

DOBRA
POWIEŚĆ

MARY McGARRY MORRIS

Godna następczyni
Carson McCullers

The book cover features a composite image. On the right side, there is a large, close-up, slightly faded portrait of a young woman's face with long brown hair. In the center, a person with long hair, wearing a white hoodie, a dark vest, and light-colored pants, is running away from the viewer on a path. To the left, there is a dark wooden picket fence and a white pillar. The background is a soft, hazy landscape with trees.

Daleko od świata

C&T

NOWA BABSKA OPowieŚĆ AUTORKI „FIONY” I „NIEBEZPIECZNEJ KOBIETY”. W TYM DOBRYM AMERYKAŃSKIM STYLU.

To było dawno, bo dwadzieścia pięć lat temu, kiedy Gordon Loomis został skazany za przypadkowe zabójstwo. Teraz wraca do rodzinnego miasteczka, po odbyciu kary, i zastaje całkiem inny świat. I ludzi, których nie rozumie...

Jego młodszy brat, Dennis, ma wspaniałą rodzinę. I nie wie, gdzie czemu, zdradza żonę.

Jada, córka sąsiadki-narkomanki, to dziecko ulicy. Do granic bezczelności próbuje wykorzystywać dobre serce Gordona, by jakoś przetrwać.

A Delores, przyjaciółka odwiedzająca go przez lata w więzieniu, teraz na siłę pragnie stać się jego drugą połową. „Życie daje nam po kilka szans, by w ten czy inny sposób ocalić samych siebie. I jeśli będziemy je odrzucać, to w końcu ich zabraknie” – usłyszy właśnie od niej. Ale czy to dotrze do Gordona?

Mary McGarry Morris pisze tak, że po kilku stronach powieści czytelnik już się utożsamia z bohaterami jej bardzo życiowych historii. Cudowna proza.

Los Angeles Times

MARY
McGARRY
MORRIS

Daleko od świata



Przekład:
Agnieszka Klonowska

C&T
TORUŃ

Pomyśl sobie, że to nie byłeś ty, tylko jakiś inny osiemnastoletni smarkacz o takim samym imieniu i nazwisku... — Dennis, jego brat, siedział u podnóża łóżka i przyglądał mu się w lustrze.

— Czyli kto? — Gordon Loomis zmarszczył spocone brwi. Ciągłe miał te odstające uszy i nijaką twarz. Uwagę przyciągał jedynie dołek w podbródku. Otarł czoło wykrochmalonym rękawem. Nie mógł jeszcze przywyknąć do ogrzewanego pokoju. Zdawało się, że tylko dzięki powietrzu wydobywającym się wraz z głosem jego brata dało się tam oddychać.

— Dobrze wiesz, o co mi chodzi! — ofuknął go Dennis. — Ludzie mają krótką pamięć. W końcu minęło całe dwadzieścia pięć lat! Pomyśl tylko, przecież to kawał czasu! Po tylu latach każdy się zmienia, i ty też.

— Wcale nie. Jestem tym samym człowiekiem, którym byłem wtedy — zaprotestował Gordon. Jego grube palce obracały drobny guzik przy kołnierzu. Sto sześćdziesiąt kilo wagi i prawie dwa metry wzrostu, zupełnie tak jak wtedy. Nazywali go „wielkolud”, bo zawsze zajmował dużo miejsca, schylał nisko głowę, żeby lepiej słyszeć, i nigdy nie wiedział, co ze sobą począć ani gdzie się podziać.

— Daj spokój! Po pierwsze, kiedyś był z ciebie niezły flejtuch, a spójrz na siebie teraz — zaśmiał się Dennis i wskazał na szczotkę do włosów Gordona z grzebieniem starannie wetkniętym w sam środek włosów. — Czekaj, jak to się nazywa? Zaburzenia obsesyjno-kompulsywne? A może nerwica natręctw z wstrzymywaniem stolca? — Ogarnął wzrokiem stosy monet, ułożonych reszką do góry, gustowną czarną latarkę i nierozpakowany niebieski krawat, który Dennis kupił mu właśnie na dziś. Gordon przygotował sobie to wszystko wczoraj wieczorem. Niektóre sprawy miał pod kontrolą, ale z większością problemów jeszcze sobie nie radził, jak na przykład z rozmową o pracę.

Wziął kilka głębszych oddechów, by zagłuszyć nosowy ton głosu Denisa. — Nic z tego nie rozumiem. Skoro Lisa i ja przygotowaliśmy ci pokój

rodziców, to po kiego licha przywlokłeś swoje manatki właśnie tutaj? Przecież to najmniejsza kłitka w całym domu.

— Bo to moja sypialnia — prychnął Gordon z uniesioną głową i wyprostował plecy. Guzik przy kołnierzu był już prawie zapięty.

— Twoja sypialnia była tu dwadzieścia pięć lat temu. A życie toczy się dalej, Gordon! Sam chyba przyznasz, że mam rację? — Na szczupłej, chłopięcej twarzy brata pojawił się zboląły grymas uśmiechu.

Gordon nie miał ochoty odpowiadać. Jego młodszy brat był skory do pomocy, a zarazem porywczy i nadwrażliwy. Przez te wszystkie lata na pewno nie było mu łatwo żyć ze świadomością, że wolność Gordona, której tak bardzo pragnął, przyniesie ze sobą same kłopoty. Odkąd tydzień temu Gordon wrócił do domu, Dennis czepiał się go na każdym kroku. Tylko w obecności innych okazywał mu, jak bardzo w niego wierzy, a wtedy ściana między nimi stawała się przezroczysta jak pleksiglas.

— Jasny gwint, ale tu ciemno. — Dennis wyjrzał przez okno na cień porośniętych liśćmi gałęzi. Korona starego drzewa zdawała się wyrastać poza granice podwórza. Zaraz Gordon usłyszy, że powinien był wyjechać do Kalifornii: tam przynajmniej zaczęłyby życie od nowa jako ktoś całkiem anonimowy.

— A niech to szlag! — mruknął, a Dennis od razu ruszył w jego stronę i wtedy wreszcie udało mu się zapiąć guzik przy kołnierzu.

— O rany, jakis ty nerwowy! — Dennis podał mu krawat. — Przecież to tylko zwykła rozmowa. O co się tak pieklisz?

Gordon owinał krawat wokół szyi pod wilgotnym kołnierzem. To dla niego za wcześnie, nie był jeszcze gotowy. Wolność przypominała tę nową marynarkę, którą kupił mu Dennis. Na oko pasowała mu jak ulał, a mimo to czuł się w niej jakoś nieswojo. Gordon walczył przez chwilę z krawatem, ale po chwili szarpnął ze złością za obie końcówki. — Nic mi z tego nie wychodzi! — syknął i cisnął krawat na biurko.

— Daj spokój, wielkoludzie — upomniał go łagodnie Dennis i założył mu krawat z powrotem na szyję. — Tyle już przeżyłeś, że wszystko inne to pestka! Dasz sobie radę!

Gordon zerknął na niego gniewnie, dopóki tamten nie usunął się w bok, i drżącymi rękami zawiązał krawat.

— Za słabo — zauważył Dennis, kręcąc głową.

Gordon zaciesnił węzeł. Z kamienną twarzą, spod przymkniętych powiek patrzył na swoje odbicie w lustrze. To już nie był człowiek, tylko jakiś punkt w czasie. Załedwie jedna krótka chwila. Chwila, która przemieniła bez bólu, bez gniewu i strat.

— No i coś ty narobił? Ta węższa końcówka jest za długa — zaśmiał się Dennis. — Chodź, pomogę ci — wyciągnął ręce.

Gordon zeszytniał. — Sam sobie poradzę — odparł i wepchnął cięższą końcówkę krawata za poję koszuli. — O, teraz przynajmniej nie wiadać.

— Nie żartuj! — Dennis zaśmiał się, zażenowany.

— Zawsze tak robiłem — tłumaczył się Gordon.

— Jasne, ale wtedy byłeś jeszcze młody. No chodźże wreszcie! — Dennis zabrał się za poprawianie krawata. — Nie mamy za wiele czasu.

Gordon wzdrygnął się, czując na sobie kwaśnawy oddech brata. W więzieniu każdemu z nich przysługiwała prywatność — pół metra nienaruszalnej przestrzeni.

— Pamiętasz tego faceta, o którym ci mówiłem — zagadnął Dennis, zawiązując ostatnią pętlę. — Chodzi o Kinnona, mojego pacjenta. Dzwoniłem do niego wczoraj wieczorem, żeby potwierdzić, i powiedział, że wszystko załatwione. Mówi, że ich przygotował i wyjaśnił im to i owo.

— To znaczy, co?

— No wiesz, wszystkie szczegóły.

Krawat zacisnął mu się na szyi. Szczegóły. Fragmenty skóry — jego własnej — wydobyte spod jej paznokci. Zadrapania na jego masywnych ramionach, pomierzone i sfotografowane: namacalny dowód jej dłoni zacisniętych na jego rękach i desperackiej próby wyrwania się spod poduszki. Szczegóły sprzed dwudziestu pięciu lat, jak szczątki wydobyte z jego snów albo jak strzępy piosenki, tamte zapachy: mdława słodycz świeżo umytych włosów. I nagła, niespodziewana cisza, przerywana jej stłumionym krzykiem, jej słabym pojękiwaniem — ostatnimi odgłosami życia Janine Walters i jej nienarodzonego syna Kevina.

— Podobno wszystko im wytłumaczył, że byłeś jeszcze młody, i takie tam rzeczy, sam rozumiesz — ciągnął Dennis, kiedy wsiadali do samochodu.

Wszystko. Gordon gapił się przez okno. To tak, jakby w dzieciństwie coś zbroił, spłatał jakiegoś figla? Po prostu zwyczajnie włamał się do domu i zabił śpiącą kobietę. Powieki mu opadły. *Obyś nigdy nie zaznał spokoju! Oby całe twoje zakichane życie zmieniło się w prawdziwe piekło!* — krzyczała jej zapłakana matka w chwili ogłoszenia werdyktu. Wolała, żeby dostał karę śmierci.

— Pokaż im tylko, że jesteś zwyczajnym, normalnym facetem — dodał Dennis, uśmiechając się szeroko. — A poza tym masz jeszcze listy. — W teczce piętrzyły się opinie o jego pracowitości i wzorowym zachowaniu

od więziennych kapelanów, naczelników i strażników. — A najlepszy jest ten od Delores.

— Co ty gadasz?

— Ona też napisała. Mówiłem ci, że sam ją o to poproszę.

— Tylko mi nie mów, że to zrobiłeś!

— Chciałem, to znaczy, miałem taki zamiar, ale chyba wyleciało mi z głowy. A zresztą, wielka mi rzecz. — Dennis wycofał auto na ulicę i zatrzymał się. Jakaś młoda, pulchna kobieta w skąpej sukience z dzieckiem na ręku pchała przez jezdnię stary wózek, a na nim przywiązany telewizor.

— Ciekawe, skąd go wytrzasnęła — westchnął Dennis, kręcąc głową. — I pamiętaj, żebyś zawsze zamykał drzwi na klucz. Jak mawia pani Jukas, wystarczy, że zostawisz otwarte okno, a wleżą ci do domu jak szczury.

— Nie powinienesz być tego robić. Poprosiłeś Delores, zamiast najpierw zapytać o to mnie?

— O co ci chodzi? Przecież to tylko Delores! W czym problem? — rzucił Dennis, zaczekał, aż kobieta przejdzie na drugą stronę, wcisnął gaz i popędził ulicą.

— Nie potrzebuję jej listu. — Gordon chwycił za klamkę. Zbierało mu się na wymioty od kolorowych znaków, nagrzaną słońcem szyby, mijających aut i dźwięku klaksonów. W drodze do domu z Fortley Dennis musiał zatrzymać się przy autostradzie trzy razy, bo Gordon dostawał w aucie odruchów wymiotnych.

— Daj spokój! — krzyknął Dennis. — I tak już to zrobiła. Napisała tylko, że zna cię od dziecka, że przyzwoity z ciebie facet, takie tam sprawy. I to wszystko.

— Nie! Wyrzuć go!

— O rany, przecież to tylko zwykły list. A zresztą sama chciała go napisać! — Dennis spoglądał na brata, oburzony. — Wcale nie musiałem jej naciskać. Wiesz, co ona o tobie myśli.

— Nie wiem i nie chcę tego listu. — Gordon chwycił teczkę, ale Dennis złapał go za rękę.

— Może mi powiesz, do diabła, dlaczego nie?

— Bo nie, i już — wysapał resztką tchu, jakby biegł pod stromą górę. — Po prostu nie chcę jej w to mieszać. — Ale tak naprawdę nie chciał mieć wobec niej jeszcze większego długu niż ten, który już miał, za listy i odwiedziny w ciągu tych wszystkich lat. Nie miał jej nic do zaoferowania. Teraz musiał być czujny i ostrożny, bardziej niż kiedykolwiek.

— Niby w co nie chcesz jej mieszać? O co ci chodzi? Przecież to twoja dobra znajoma.

Gordon zaczął szukać przy drzwiach korbki, żeby skrócić szybę, ale przypomniał sobie, że w dzisiejszych czasach wystarczy tylko nacisnąć guzik. — Mógłbyś trochę zwolnić?

— Chyba nie chcesz, żebyśmy się spóźnili?

— Ale żołądek mi fiksuje.

— To tylko nerwy.

— Mówię ci, wszystko mi się przewraca. Dawno nie jeździłem wozem i od razu robi mi się niedobrze. — Zamknął oczy i obrócił twarz do otwartego okna.

— Jezu Chryste — szepnął Dennis, zwolnił auto i milczał, dopóki nie wjechali na parking Corcopaxu. — Aha, i jeszcze jedno: pewnie będą chcieli cię zatrudnić w kadrach.

— W kadrach? A mówiłeś, że przy laminowaniu. Za nic nie przyjmą mnie do takiej roboty. Dlaczego od razu mi nie powiedziałaś? Zresztą wcale nie chcę pracować w żadnych kadrach.

— Słuchaj, Gordon, coś ci powiem. Staram się, jak mogę. Mam piekielny nawał roboty, mam pacjentów i rodzinę, mam do załatwienia milion innych spraw! Ale jestem tutaj, z tobą, bo to jest teraz dla mnie najważniejsze: pomóc bratu zacząć od nowa!

— Przepraszam. — Gordon zwiesił głowę..

— Wystarczy jedno słówko, a się odcepie.

— Nie o to chodzi.

— Zresztą sam mam na głowie tyle gównianych spraw, szkoda gadać — westchnął, zniesmaczony.

— Jasne, przepraszam. Po prostu strasznie się denerwuję. To dla mnie za wiele jak na jeden dzień, sam rozumiesz... — I tak żadna firma nie zatrudni go do pracy w zespole. Ale nie umiał powiedzieć tego na głos i z góry machnąć na to ręką. Zakrył twarz dłońmi. Pragnął tylko, żeby wszyscy dali mu święty spokój. W Fordey przynajmniej to jedno miał zagwarantowane.

— Głowa do góry, Gordo! Na pewno świetnie ci pójdzie! — zapewnił go Dennis, kiedy wysiadali z auta, i podał mu teczkę. — Nie chcę ci robić nadziei, ale sprawa jest już załatwiona, a przynajmniej tak twierdzi Kinnon. — Pomachał ręką i odprowadził go wzrokiem, po czym ruszył z wolna wzdłuż chodnika, gdy Gordon mozolnym krokiem powłókł się w stronę lśniącego, granitowo-szklanego gmachu. — Jezu! Więcej odwagi! Weź

się bardziej w garść, Gordon! Głowa do góry, wyprostuj się! Masz ich wszystkich rzucić na kolana!

W holu Gordon zdążył jeszcze wyjąć z teczki list Delores i wsunąć go do kieszeni. Jadąc windą na trzecie piętro, a potem idąc jasnym korytarem do Działu Kadr, przez cały czas czuł na sobie spojrzenia ludzi. Świadomy lękliwych odgłosów podłogi pod podeszwami, przyśpieszył kroku, uciekając wzrokiem. Niepotrzebnie dał się w to wciągnąć. Nie był jeszcze gotowy. Każdego ranka budził się i ze zdziwieniem odkrywał, że jest w domu, we własnym pokoju. Dziękował Bogu za wolność, a zarazem panicznie się jej bał. Żałował, że nie poprosił Dennisa, by mu towarzyszył. Rzecz jasna, nie przy rozmowie o pracę. Byleby tylko był gdzieś w pobliżu. Ale nie. Nie można być ciężarem dla brata. Dennis i tak już odwołał trzy wizyty po to, by go tu przywieźć. Ostatnio robił wszystko z myślą o nim: kupił mu nowe ubranie, przygotował dom, uzupełnił kuchenne zapasy. Zadbał nawet o to, by w zamrażarce znalazły się pomarańczowe lody na patyku, bo Lisa, żona Dennisa, pamiętała, jak bardzo Gordonowi ich brakowało. Dział Kadr. Jego dłoń zacisnęła się na klamce.

— Proszę wejść. — Recepcjonistka obrzuciła go spojrzeniem i wskazała na otwarte drzwi. — Już na pana czekają — dodała, widząc jego zawahanie, gdy zastygł nagle w pół kroku. Fotel zaskrzypiał, kiedy się obróciła. Spotkanie z prawdziwym mordercą musiało być dla niej nie lada atrakcją.

— Dzień dobry, panie Loomis. — Drobną kobietą w jaskraworóżowym żakiecie podniosła się zza biurka. Po tylu latach szarości kolory budziły w nim zachwyt, podobnie jak uroda i delikatność. Zarumienił się, czując miękki dotyk jej szczupłej dłoni, i natychmiast spuścił wzrok, by uniknąć jej spojrzenia.

Podawała mu swoje nazwisko: Jamison. A potem wspomniała jeszcze o jakimś panu Brownie. Co to za Brown? Ledwie nadążając za jej szybkim tokiem słów, spostrzegł w kącie jakiegoś barczystego mężczyznę. Brown będzie tu tylko siedzieć przez cały czas trwania rozmowy. Właśnie to usilnie próbowała mu wyjaśnić.

Gordon skinał głową. — A tak, oczywiście. Rozumiem. — Zastanawiał się, w jakim wieku jest ta kobieta. Wyglądała na bardzo młodą. Zupełnie nie znał się na kobietach. Wysiłił się na uśmiech do Browna, który mierzył go bez mrugnienia obojętnym wzrokiem.

— No więc spójrzmy, co tu mamy. — Otworzyła zielony folder i przesunęła lśniącem, różowym paznokciem po pierwszej kartce. — Matura,

licencjat z kierowania przedsiębiorstwem na uniwersytecie Sussex State.
— Podniosła wzrok. — To znaczy, że chodził pan na wykłady?

— Tylko na niektóre.

— I jak pan to zrobił? Zawozili pana? Bo przecież nie mógł pan wyjść stamtąd tak po prostu, prawda?

— Te, na które chodziłem, odbywały się na miejscu. To było na samym początku. Przez pierwszy rok miałem zajęcia, to znaczy kursy. Takie tam wykłady wprowadzające. Wszyscy musieli na nie chodzić. — Zdawało mu się, że język mu puchnie w zaschniętych ustach i zaczął raz po raz przełykać ślinę. — No, może nie wszyscy, tylko ci, co... — Wyciągnął rękę, jakby słowo, którego szukał, unosiło się gdzieś w ciężkim, nieruchomym powietrzu. — No, ci, co muszą zrobić kurs.

Pokiwała głową i wzięła do ręki długopis.

Nie sprawiał jej większych kłopotów. Nie dość, że stanowi potencjalne zagrożenie, to jeszcze nie potrafi się nawet wysłowić — tak pewnie to ujęła.

— No a reszta to kursy korespondencyjne.

— Podobno działał pan też w poradnictwie, panie Loomis?

— A tak, w poradnictwie — powtórzył, żeby zdążyć się uspokoić. W pokoju dało się słyszeć tylko jego oddech.

— To znaczy, że prowadził pan terapię z kolegami... z placówki? — dodała po chwili.

— Nie, proszę pani. Od tego są psycholodzy.

— To może prowadził pan jakieś zajęcia integracyjne w grupach? Na pewno mieliście tam różne spotkania. W takich instytucjach to chyba normalne.

— Tak, ale ja ich nie prowadziłem.

— A dlaczego nie?

— Bo nie. — Wzdrygnął się i zaczął wyginać dłonie. Nienawidził mówić o sobie, o swoim żalonym, pustym życiu, bo każde słowo rozbrzmiewało głuchym echem jak kroki w bezkresnym tunelu. — Po prostu wolałem się nie wyróżniać.

— Przez całe dwadzieścia pięć lat?

— Tak, proszę pani.

— To co pan robił przez ten czas? Czym się pan zajmował? Na pewno miał pan jakieś zajęcia — ciągnęła, zamykając teczkę.

— A tak, oczywiście. — Pracował wszędzie: w bibliotece, w pralni, w kuchni, w jadalni, w szpitalu, a najdłużej w fabryce. — Byłem w tym dobry i ciężko pracowałem. Zawsze lubiłem ciężką pracę.

— Hm — zerknęła na zegarek. — No cóż, to by było na tyle, chyba że chciałby pan jeszcze coś dodać.

— Mam jeszcze to. — Podał jej teczkę. — To listy od ludzi, których znam, a oni znają mnie. Piszą, że dobry ze mnie... — Człowiek, miał na końcu języka. — Pracownik.

Podziękowała mu i włożyła teczkę w swój folder. — W takim razie, panie Loomis, przejrzymy jeszcze pana dokumenty i jeśli tylko zwolni się u nas stanowisko dla kogoś z pana doświadczeniem, to na pewno się z panem skontaktujemy — wyrecytowała, zbywając go uśmiechem i podniosła się z miejsca, a wraz z nią Brown.

Gordona ogarnęła panika. Nie mógł jeszcze wyjść, rozmowa trwała za krótko. Miał przecież nową marynarkę, a Dennis odwołał swoje wizyty. — Przepraszam, czy mogę jeszcze słówko o tablicach?

— O jakich tablicach? — Kobieta zerknęła na Browna.

W więziennej fabryce wyrabiali tablice i znaki drogowe dla miast i wsi w całym kraju. On sam pilnował, czy prawidłowo nakładają emalię, czy temperatura była dość wysoka, kiedy osuszali tablice w piecu. W pewnym sensie trzeba je było upiec jak chleb. — Robiłem to przez dziesięć lat — oznajmił cicho.

— No, to rzeczywiście kawał czasu. — Kobieta stała już przy drzwiach. — W każdym razie, panie Loomis, dziękujemy, że zechciał się pan do nas pofatygować.

— Ale ja wcale nie chcę pracować w kadrach! — wypalił, jeszcze zanim zdążyła wyjść. — Wolałbym jakąś fizyczną robotę. Świetnie znam się na tym, co tu produkujecie... No, te latarki. — Wczoraj wieczorem rozkręcał i składał taką chyba ze sto razy. — Ja naprawdę... — Zabrakło mu tchu i nie mógł myśleć. — Wolałbym robić takie latarki. To znaczy, każdą robotę zrobię jak najlepiej. Ale muszę od czegoś zacząć. Wystarczy, że dacie mi szansę. — Od tego rozpaczliwego tonu poczuł mdłości i zrobiło mu się słabo. Kobieta cofnęła się, jak przed jakąś zjawą. — Przepraszam, strasznie się denerwuję — wyrzucił szybko. — Nie powinienem tu przychodzić, nie jestem jeszcze gotowy.

— Niech pan więc przyjdzie kiedy indziej, panie Loomis.

— Ale i tak mnie nie przyjmiecie, prawda? — spytał cicho.

— Tego nie powiedziałam! — Znów zrobiła krok w tył.

— Dobrze wiem, o co chodzi! Sęk w tym, że mój brat myśli, że mam tu załatwioną robotę, i jeśli mu powiem, że mam przyjść kiedy indziej, to zada mi to samo pytanie. Dopiero jak mu powiem: „nie, oni mnie tam nie chcą”, to wtedy do niego dotrze.

— Niech pan nie bierze tego tak osobiście, panie Loomis. — Warkliwy ton Browna sprawił, że Gordon poczuł na twarzy stalowy chłód. Strażnik mierzył go ostrzegawczym spojrzeniem.

— Właśnie — dodała Jamison. — Po prostu chwilowo nie mamy żadnych wolnych stanowisk.

— Jasne, rozumiem — odparł i wyszedł na korytarz, a po chwili obrócił się i wyciągnął rękę. Kobieta skuliła się i wydała stłumiony krzyk. Oboje patrzyli na siebie, przerażeni. — Chciałem tylko pani podziękować, bo chyba jeszcze tego nie zrobiłem. — Znowu poczuł się jak jakieś monstrum, tak jak wtedy, na procesie, kiedy po raz ostatni przekonywał innych, że jest tylko szarym człowiekiem.

W drodze powrotnej Dennis pienił się ze złości. Wciąż powtarzał sobie słowa Lisy: że Gordon potrzebuje czasu, by wyrwać go z otępienia i wprowadzić w normalne życie. Bo Lisa nie знаła Gordona z dzieciństwa. A on był zawsze taki sam: bezsensownie i niezdolnie uparty, aż do granic zdrowego rozsądku. Nie bronił się ani nie protestował, kiedy mu dokuczali, nie odzywał się ani słowem, nie chodził do szkoły inną drogą, żeby uniknąć ich zaczepek, tylko szedł sobie dalej, jakby nigdy nic, udając, że nie słyszy, że go to nie obchodzi. A w nocy brat słyszał, jak krzyczy zza ściany: „Nie! Błagam, zostawcie mnie!” Nie dajcie się, mówiła im matka. Nie zachowujcie się jak frajerzy, bo tak was będą traktowali. Patrzcie ludziom prosto w oczy i nie bójcie się powiedzieć, kim naprawdę jesteście! „A kim jesteśmy, mamó?” — dopytywał się Dennis, nie po to, żeby ją wkurzyć, chociaż zawsze tak się kończyło, ale dlatego, że miało to ogromne znaczenie. „Niech cię przezywają, jak sobie chcą, ale pamiętaj, że jesteś synem Teresy Pratt, i tylko to się liczy” — mówiła, przykładając palec do skroni.

Z obu braci Gordon bardziej przypominał ojca, cichego, niepozornego człowieczka, który przez całe lata pracował jako betoniarz, dopóki nie uszkodził sobie kręgosłupa przy wylewaniu fundamentów. Po tym, jak ojciec poszedł na rentę, wuj Teresy, Jimmy Pratt, urzędnik w Dziale Rejestrów urzędu miasta, pogadał ze swoim znajomym burmistrzem. Wystarczył jeden telefon i Teresa dostała posadę sekretarki w liceum. Już następnego dnia ruszyła dziarsko do pracy, a że nie umiała pisać na klawiaturze, to dali jej do dyspozycji kserokopiarkę, na której drukowała broszury i arkusze egzaminacyjne, i sprawdzała, czy nie ma w nich błędów, a przy tym sumiennie uczyła się wszystkiego, co mogłoby się jej przydać w razie możliwości awansu. Wykształcenie to prawdziwa droga do sukcesu.

su, powtarzała bez przerwy. I o ile jej postawa zainspirowała jednego z synów, o tyle ani trochę nie udzieliła się Gordonowi, który, tak jak jego ojciec, był w kontaktach z ludźmi wyjątkowo niezaradny. Dennis po dziś dzień pamiętał, jak któregoś razu matka zachorowała i nie mogła przyjść na bankiet jego drużyny koszykarskiej. Pozbawieni żywiołowej siły matki, za którą mogli się schować jak za tarczą, ojciec i brat usiedli w najdalszym kącie i przez cały czas nie ruszali się z miejsca, byleby tylko nikt nie zechciał zamienić z nimi słówka.

Zjechali z autostrady i Dennis zaraz wcisnął przycisk zamka. Gdy tylko skręcił w Nash Street, ukazał mu się ponury widok, jakby ktoś naciągnął mu na oczy szarą pończochę. Czuł się tak za każdym razem, kiedy tu przyjeżdżał. Zawsze była to kiepska okolica, ale ostatnio zmieniła się w dzielnicę slumsów. Wszędzie wokół zbite szyby, graffiti, groźne napisy ułożone z pochyłych liter. Na rogu stała stara, olbrzymia, wiktoriańska kamienica rodziny Langów, a na jej frontowych drzwiach wykaligrafowano sprayem słowo *cargo*. Kiedyś to był najładniejszy dom w całym sąsiedztwie, a potem podzielono go na mniejsze mieszkania. Po obu stronach drzwi wisiały skrzynki pocztowe z nazwiskami lokatorów wypisanymi na obdartych kawałkach taśmy maskującej. Naprzeciwko kamienicy Langów stał dom, niezamieszkały od wielu lat. Zeszłej zimy strawił go pożar. Jakiś bezdomny z psem palił w wannie drewno i gazety, żeby się ogrzać. Okna były zabite deskami, a rozłożona na dachu niebieska plan-deka unosiła się i opadała nad zwęglonymi stropami z każdym podmuchem wiatru. Na rogu stał jakiś mężczyzna z błyszczącym, złotym łańcuchem na szyi i zapalał papierosa chudej dziewczynie z jasnymi lokami.

— Ładne rzeczy — mruknął Dennis, przyglądając się tej scenie. Dziewczyna mogła mieć zaledwie trzynaście lat.

— Stój! — krzyknął Gordon i Dennis nacisnął na hamulec.

Mężczyzna wsunął dłoń do kieszeni i patrzył, jak srebrne bmw powoli się zatrzymuje. — I czego się gapisz — mruknął Dennis, nie spuszcza-
jąc z niego wzroku.

— Widziałeś tamten napis? — Gordon wykręcił szyję i wyjrzał przez tylną szybę.

— Jaki napis?

— Tam, na supermarkecie.

— Przecież w domu jest tyle jedzenia. Lisa mówi, że wystarczy na jakieś dwa tygodnie. — Wycofał jednak auto i zatrzymał się przed supermarketem przy Nash Street. Brudne szyby pooblepiane były krzywymi ta-

bliczkami, informującymi o promocjach tygodnia, a na drzwiach wisiła tekturka z czerwonym napisem: PRZYJMĘ DO PRACY.

— No właśnie — zauważył Gordon i odwrócił głowę.

— O nie — warknął Dennis. — Wybij to sobie z głowy. To nie jest robota dla ciebie. Daj spokój, Gordon, byłeś dopiero na jednej rozmowie. I co z tego, że wezwali strażnika? Przecież nawet cię nie znają. Wiesz, co ta kobieta mogła sobie pomyśleć? Że jesteś jakimś świrem, psychopatą albo...

— Mordercą — odpowiedział i poluzował krawat.

— Słuchaj, ona nie ma pojęcia, co się stało. Nie zna szczegółów. To normalne, że trochę się ciebie bała. No i co zamierzasz teraz zrobić? Już nigdy nie pójdziesz na żadną rozmowę? I co dalej? Znowu chcesz być magazynierem, tak jak dwadzieścia pięć lat temu? I co będziesz robił? Pakował kurczaki, ważył arbuzy, a może wykładał na półki cholerne tampony? — krzyczał. Ale masywna, zaciśnięta szczęka brata dała mu do zrozumienia, że to jest właśnie to. Byleby tylko być bezpiecznym, schować się w kącie, zaszyć w jakiejś dziurze, w cieniu, z dala od innych i przesiedzieć tam kolejne dwadzieścia pięć lat. — Jesteś taki sam jak ojciec! — wybuchł, ale zaraz się opanował. — Wiesz przecież, o co mi chodzi — dodał łagodniejszym tonem i dźgnął go palcem w ramię, gdy zbliżali się do małego, białego domu, gdzie spędzili dziecięce lata. Dennis poczuł ucisk w gardle. Nie powinni tu wracać, ale Gordon się uparł. Powiedział, że to wszystko, co mu zostało, że tylko na to czekał przez te wszystkie lata. — O rany, Gordon, mógłbyś chociaż spróbować. Jest tu paru ludzi, których dobrze znam, na przykład ojciec Lisy... Mam tu dobre kontakty. Chyba wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć!

Poirytowany, z rozpędem skręcił w wąski podjazd i gwałtownie odbił się od betonowego murku. Ojciec postawił go kiedyś jako zabezpieczenie przed wodą deszczową z ulicy, mimo że ich podjazd był wyniesiony nieco wyżej od jezdni. Zresztą zawsze marnował czas i energię na różne błahostki i głupoty, jak na przykład hodowla jego ukochanych krzewów róż, które obrosły już wątłymi pnączami.

— Wiem — bąknął Gordon, zanim wysiadł z auta.

W oknie sąsiedniego domu poruszyła się zasłona. Gordon szybko odwrócił głowę, a Dennis pomachał ręką. — To stare babsko już siedzi na czatach — syknął przez wygięte w uśmiechu wargi, kiedy pani Jukasz wyrzała z za zasłony, zupełnie tak jak dawniej, gdy byli jeszcze dziećmi.

— Pewnie smutno jej bez starego Jukasa. Fajny był z niego facet — zauważył Gordon.

— No, racja. I ciągle łąził za naszą mamą. — Nie powiedział bratu, jak na pogrzebie ich matki pani Jukas wzięła go na stronę. Wyraziła nadzieję, że nie sprzeda domu Portorykańczykom, tak jak inni, a on odparł, że to nie jego dom, bo rodzice zapisali go bratu. Z przyjemnością patrzył, jak jej wargi wykrzywają się w grymas niezadowolenia.

Mimo świeżej farby, nowych żaluzji, zasłon, ozdobnych tapet i delikatnych wzorów, które Lisa namalowała w kuchni, dom wyglądał tak samo, jak przedtem: ciasny i zniszczony. Tylko życie mogło zmusić kogoś, by w nim zamieszkać. Ale gdy Gordon zobaczył go w zeszłym tygodniu, wszystko to zrobiło na nim duże wrażenie: wyremontowane wnętrza, meble, ogromny telewizor na drewnianym, laminowanym stojaku i telefon bezprzewodowy, a nawet dodatkowe metalowe drzwi. A wszystko po to, by mógł tam zamieszkać — jak zauważył, wchodząc do kuchni. Dennis tłumaczył mu, że nigdy przedtem tego nie widział, dlatego wszystko wydaje mu się nowe. Większość rzeczy kupili ich rodzice po tym, jak wyjechał. *Wyjechał* — to był eufemizm, kryptonim więzienia, słowo zastępcze na ten trudny rozdział ich życia. Gordon wyjechał, zabierając ze sobą radość i wszystkie szczęśliwe chwile. A teraz, kiedy wreszcie powrócił, rodziców już nie było.

Jego ciężkie stopy zatupały na schodach. *Mysłałby kto, że marynarka i krawat go parzą. I po co właściwie to zrobił, zastanawiał się Dennis. Czy tylko dla mojej przyjemności? Ciągle tylko udaje, nie umie być szczery, byleby tylko nie wkurzyć innych. Nikomu nie pozwoli się do siebie zbliżyć.* Przypomniał mu jeszcze, że w piątek Lisa zaprasza go na kolację. — Pytała, czy przyjdiesz z Delores — dodał.

— Nie, przyjdę sam.

— A mówiłeś, że ją zaprosisz! — Parę dni temu Dennis przypadkiem spotkał Delores i wspomniał o kolacji. Palnął bez namysłu, że Gordon do niej zadzwoni.

— Tak, ale nie zaprosiłem.

— W takim razie zadzwoń do niej. Sama mi mówiła, że bardzo chce się z tobą zobaczyć.

Gordon, już na górze, obejrzał się i pokręcił głową. — Ale ja nie chcę.

— A dlaczego?

— Sam nie wiem, po prostu nie mam ochoty.

— Jezu, przecież to twoja przyjaciółka! Pisała i przychodziła do ciebie przez tyle lat. — Może nie była szczególnie ładna, ale jego bratu potrzebna była teraz przyzwoita praca i kobieta. Irytował go ten obojętny wzrok Gordona. *Pieprzony sfinks, powinien się cieszyć, że Delores jeszcze*

o *nim* myśli. *Ma facet szczęście, że tak bardzo jej na nim zależy.* — Musisz zaraz do niej zadzwonić, Gordon. Przecież nic cię to nie kosztuje.

— To o której mam przyjść?

— O której chcesz — rzucił pobłaźliwie, co zdarzało mu się bardzo rzadko, i posłał mu szeroki uśmiech. — Kolacja będzie około wpół do siódmej, ale wiesz, jaka jest Lisa. Im wcześniej, tym lepiej.

Idąc wzdłuż Nash Street, Gordon zastanawiał się, czy supermarket wciąż należy do rodziny Dubbinów. Gordon był w tym samym wieku co bliźnięta Cynthia i Cornelius Dubbinowie, choć właściwie prawie ich nie znał. Mieszkali w Dearborn i rzadko bywali w supermarkecie. Pamiętał ich ceglany dom z białymi kolumnami z niedzielnych wycieczek autem po wysadzanych drzewami alejach Dearborn, kiedy matka pokazywała im swoje ulubione domy. Pierwszy należał do Dubbinów, których uważała za swoich znajomych, bo pracował u nich jej syn. A potem był dom jej lekarza, jej szefa, szwagierki pani Jukas i paru innych ludzi, których nie znała osobiście, a o których czytywała w prasie.

Szyld supermarketu przy Nash Street pomalowany był wyblakłą, spękaną farbą, a nad szklaną tablicą, niczym gigantyczna brew nad okiem, wyginał się łukiem krzywy, zielony dach. Roztrzaskaną dolną część drzwi wejściowych zalepiała sieć z taśmy klejącej. Gordon pchnął je i odetchnął z ulgą, że nie są automatyczne. Przynajmniej nie musiał się śpieszyć w obawie, że lada chwila zamkną się za nim, uderzając go w plecy.

W środku doszedł go znajomy kwaśnawy odór stęchlizny. Zatrzymał się przy zardzewiałej kratce, za którą znajdowało się biuro. Jedno mu się nie zgadzało: cisza i niepokojąca pustka jak na tę poranną porę. Przy kasach nie było ani żywego ducha. Widocznie jeszcze nie otworzyli. Zamarł w bezruchu, poruszając jedynie oczami. A może coś się stało, a on, w tydzień po wyjściu z Fortley, miał pecha zjawić się tu jako pierwszy? I kto by mu wtedy uwierzył? Ruszając do drzwi, spostrzegł jakiegoś wysokiego mężczyznę o kręconych włosach, który układał na końcu półki paczki z makaronem.

— Przepraszam pana! — zawołał Gordon i pomachał lekko ręką, ale mężczyzna nawet nie podniósł głowy. Na wspomnienie panicznej reakcji pani Jamison Gordon wsunął obie dłonie do kieszeni i odkaszlnął. — Przepraszam, że przeszkadzam. Czy już otwarte?

Mężczyzna obejrzał się. — A jak pan myśli? — prychnął. — Chyba jakoś pan tu wszedł, nie?

— No tak, ale nikogo nie zastałem, więc pomyślałem sobie, że może jeszcze za wcześnie.

Mężczyzna cofnął się, kiedy Gordon zrobił krok naprzód.

— Wygląda na to, że jesteśmy tu sami, a ja... — Wziął głęboki oddech i zamrugał powiekami, bo pot z czoła spływał mu do oczu.

— O co chodzi? — Mężczyzna wyminął go wzrokiem.

— Bo widzi pan... Ja chciałem tylko... — j a k a ł się. — Przyszedłem, bo potrzebuję... Czy pan jest tu szefem?

— Chryste! Znowu napad? — syknął tamten, kręcąc głową. — Po co panu szef, skoro sejf jest pusty! Niepotrzebnie się pan fatygował. Wszystko trzymają w kasach. — Wskazał na biuro. — A klucze do kas są...

— A skąd! — zaprotestował Gordon. — To nie jest żaden napad! Nie chciałem nic ukraść, tylko... — Już miał wyjąć ręce z kieszeni, gdy dostrzegł przerażenie na twarzy mężczyzny. Widocznie mieli tu już niejednego napad i bał się, że Gordon ma broń. Nie spuszczać wzroku z mężczyzny, ciągnął dalej. W obliczu zagrożenia słowa same cisnęły mu się na usta. — Ja tylko w sprawie pracy. Przyszedłem, bo przeczytałem ogłoszenie. — Wysiłił się na uśmiech, choć oczy piekły go od potu.

— A spluwę przyniósł pan tak tylko dla zabawy, co?

— Nie mam żadnej spluwy! — Gordon uniósł ramiona. — Niech pan patrzy, mam puste ręce.

Minęli stanowisko mięsne i poszli na zaplecze, do jakiegoś pomieszczenia, gdzie cuchnęło fermentem. Eddie Chapman wyjaśnił mu, że jest szwagrem właściciela sklepu. Jedna kasjerka była na chorobowym, a druga właśnie wyszła do łazienki i lada chwila miała wrócić, żeby mu pomóc. — A to brat mojej żony — oznajmił i zapukał do czarnych drzwi. Pokręcił głową, westchnął i ponowił pukanie. — Neil! Ej, Neilie, wyspałeś się już? — zawołał, przyciskając ucho do ościeżnicy. — Żona dała mu ostatnią szansę. Ma jeszcze tydzień, a potem koniec. Rany boskie — mruknął i jeszcze mocniej walnął w drzwi. — Neilie!

— Co jest? — zamruczał niski głos.

Eddie uchylił lekko drzwi. — Jakiś facet w sprawie pracy — zawołał. Z pokoju dobiegł jęk. — To niech przyjdzie później.

— Ale to naprawdę kawał chłopa, Neil.

— Ooooooch! — zastękał mężczyzna i z trudem dźwignął się z wąskiego łóżka. — Tylko nie wpuszczaj mi tu światła. Jezu Chryste! — Przyślonił oczy, gdy drzwi uchyliły się szerzej. — A jak się nazywa?

— Jak się pan nazywa? — spytał Eddie i przekazał jego nazwisko mężczyźnie.

— Loomis — powtórzył tamten w ciemnym pokoju. — Loomis — zakwiczał, podpierając się na łokciu. Jedyne światło, które na niego padało, wlewało się zza na wpół otwartych drzwi. Wyciągnął rękę. — Jezu Chryste, Eddie, chyba zaraz oślepnę. — Poszperał w pościeli i założył okulary przeciwsłoneczne. — No i co? Szuka pan roboty? — Beknął głośno. — Chciałby pan dołączyć do naszej sklepowej rodzinki? Będzie pan pracował w moim zespole? Jeśli tak, to trzeba panu wiedzieć, że niełatwo pracować dla takiego sukinsyna jak ja, prawda, Eddie? — Zaśmiał się i Eddie mu zawtórował. — Niezły ze mnie kawał drania, o tak, niech Eddie sam ci powie — zamruczał i położył się z powrotem do łóżka. — Powiedz mu, Eddie, najlepiej od razu! — Skulił się i odwrócił do ściany.

— To co mam robić? — dopytywał się Eddie.

— A rób, co chcesz, do jasnej cholery — jęknął Neil Dubbin.

Kiedy pierwszego dnia przyszedł do pracy, w oknie wciąż jeszcze wisiało ogłoszenie o pracy. W sklepie były czynne dwie kasy. Przy jednej siedziała June, drobna, siwa kobietka, którą męczył suchy kaszel. Była najsprawniejszą kasjerką, ale rozedma płuc nie pozwalała jej na pakowanie towaru. Kiedy przyjeje kasie nie było klientów, sięgała po swój aparat tlenowy, zakładała przezroczyste rurki przez głowę, a ich końcówki umieszczała w nozdrzach.

Drugą kasę obsługiwała Serena. Była wysoką kobietą o chropowatej cerze i wydatnych zębach, a na palcach prawej dłoni miała wytatuowane pnącza bluszczu. Jej lewe nozdrze ozdobił maleńki, srebrny kolczyk w kształcie kółka. Serena i June zachowywały się tak, jakby klienci nieustannie działali im na nerwy, i mało co odzywały się do swojego wielkiego, niezdarne go kolegi, który upychał towar w reklamówkach aż po same brzegi. Jedna nawet pękła i puszki wysypały się na podłogę.

— Ej, Gordon — zawołała Serena, kiedy wkładał mleko, sok i papierosy do podwójnych worków jakiemuś otyłemu, brodatemu mężczyźnie w ogrodniczkach. — Reklamówki nam się kończą.

— Donieś z magazynu — wysapała June i wystawiła na taśmie tabliczkę z napisem KASA NIECZYNNA.

Gordon pośpiesznie ruszył na zaplecze przez salę, gdzie krojono mięso.

— Nie wiem, po co cię przysłały, ale u nas tego nie ma — rzucił rzeźnik Leo, pakując w folię mielone mięso.

Gordon stanął na środku magazynu. Oświetlenie było słabe i panował tam okropny chaos. Już dwa razy przybiegał tu po jakieś produkty, których klienci nie mogli znaleźć na półce, ale na próżno. Wszędzie stało pełno otwartych, na wpół pustych kartonów. Niektóre leżały wywrócone, zawalając podłogę puszkami i pojemnikami. Ale reklamówek nigdzie nie było. Już miał zapukać do pokoju Neila, kiedy zauważył, że leżą w kartonie przy chłodni. Włożył część do mniejszego kartonu, a wtedy masywne podwójne drzwi otworzyły się z rozmachem i z rampy rozładowniczej wszedł Eddie Chapman z wózkiem pełnym skrzynek mleka.

— O, jak to dobrze, że jesteś — zauważył i polecił Gordonowi zdjąć skrzynki i ustawić mleko na półkach. — Na rampie czeka jeszcze sześć skrzynek, a ja mam spotkanie z jednym facetem, więc bądź tak dobry i przywieź je tu. — Zapiął kurtkę i cofnął się do drzwi. — I dopilnuj, żeby nikt nie zawracał głowy Neilemu, choćby nie wiem co. Facet musi jakoś wytrzymać, a ja też mam swoje sprawy na głowie i nie mogę ciągle tu ślezcę — dorzucił zza drzwi.

Gordon pchnął wózek z mlekiem na salę, po czym przypomniał sobie, że na rampie zostało sześć skrzynek i że ktoś może je rozwalić albo ukraść. Szybko wniósł skrzynki do magazynu, a że nie znalazł tam drugiego wózka, ustawił je w chłodni, wnosząc po dwie na raz. Kiedy wywoził mleko wózkiem na salę, przypomniał sobie o June i Serenie. Kilkoma szybkimi ruchami ułożył mleko na półkach, co zajęło mu zaledwie parę minut, i pobiegł po reklamówki.

Przy kasie Sereny stało pięciu klientów. June nie było.

— Co z nią? — spytał, a Serena przewróciła oczami. Właśnie odliczała resztę dla jakiejś nastolatki z czarną szminką na wargach i jasnoczerwonymi cieniami na powiekach. Dziewczyna pchnęła swój wózek. W nosidle spało niemowlę, rozchylając i zamykając maleńkie usteczka. Gordon przysunął się bliżej. W sali odwiedzin widział takie tylko z daleka.

— Śliczne, prawda? — zagadnęła Serena.

— Wygląda jak mała rybka — zauważył, spuszczać wzrok.

— Co pan sobie myśli, do kurwy nędzy? — fuknęła dziewczyna.

Podniósł głowę, kiedy przeszła obok niego jak burza. — No, bo tak śmiesznie rusza buzią — wyjaśnił cicho.

— Dziwka! — rzuciła Serena na tyle głośno, żeby tamta usłyszała.

Dziewczyna odwróciła się przy drzwiach i pokazała jej środkowy palec, Serena wybuchła śmiechem, a Gordon oblał się rumieńcem. Niczego słyszał takie słowa z ust kobiet.

*

Na najwyższym stopniu domu po drugiej stronie ulicy dziewczyna w jasnych lokach odbijała drewnianą paletką piłkę na sznurku. Poprzedniego wieczoru robiła to samo aż do późna, dopóki jakaś kobieta z drugiego piętra nie zawołała jej do domu, twierdząc, że już dawno powinna być w łóżku. Dziewczyna krzyknęła coś w odpowiedzi, a wtedy kobieta wychyliła się z okna i zagroziła, że wezwie pomoc społeczną. Na te słowa dziewczyna wbiegła na werandę i schowała się za poręczą. Kiedy Gordon kładł się spać, wciąż siedziała tam po ciemku z podkurczonymi nogami, skulona i oparta o mur.

Podświadomie spuścił wzrok, wysilił się na uśmiech i mruknął coś na powitanie, a dziewczyna patrzyła zimnym, obojętnym wzrokiem, dopóki nie odwrócił głowy, i wciąż miarowo odbijała paletką piłkę. Zatrzymał się przy różach. Niegdyś wypielęgowane krzewy ojca zrosły się w spletaną gęstwę dzielącą ich dom od domu pani Jukas. Nowy kilkucentymetrowy odrost łatwo odróżniał się od suchych gałęzi. Uważając na grube, wykrzywione jak czarne szpony ciernie, Gordon wyciągnął rękę i wyłamał uschniętą gałąź, a potem następną, i jeszcze kilka, a miarowe *pac pac pac* z sąsiedniego podwórza działało na niego niemal kojąco. Dłonie i ramiona miał podrapane, więc zajął do garażu po sekator. Na widok pustych haków i półek po narzędziach ojca ścisnęło go w gardle. Znikły słoiczki po zupkach dla niemowląt, wypełnione gwoździami i śrubami, tylko w stole warsztatowym wciąż tkwiły zardzewiałe główki i nakrętki. Gordon wszedł do środka, wyjął sekator i w dwadzieścia minut przyciął krzewy tak, że nareszcie było widać, skąd wyrastają gałęzie.

Zachodzące słońce wciąż grzało mu prosto w plecy, jakaś wielka pszczoła zabzyczała mu leniwie koło nosa. Całe sześć godzin przepracował jako wolny człowiek. Mógł robić, co mu się żywnie podoba, i pójść, dokąd tylko by zechciał. W opuszkach palców i pod stopami czuł mrowienie, elektryzujący dreszcz emocji życia i przebywania w tym, a nie innym miejscu. Niespokojny pisk wiewiórek przerodził się w głośny, kłótniwy wrzask. W sąsiednim domu zapłakało dziecko, gdzieś zaskrzypiały drzwi, po czym zatrzasnęły się z hukiem. Na werandzie stała pani Jukas, posiwiała i ponura jak zawsze, tylko jakby drobniejsza niż dawniej, nie wyższa niż półtora metra. Pan Jukas pracował kiedyś jako rewident. Gdy Gordon oblał praktyczny egzamin na prawo jazdy, matka zwróciła się do pana Jukasa, a ten dzień w dzień zabierał go na miasto i kazał parkować równoległe do krawężnika, i już po tygodniu parkowanie szło Gordonowi lepiej niż sama jazda. Aresztowali go w dniu, w którym miał podejść do nowego egzaminu. Kiedy wcześniej rano policja zapukała do drzwi, mat-

ka myślała, że to pan Jukas zorganizował mu jakiś prywatny egzamin tak dla żartu, ale oni podsunęli jej pod nos nakaz wejścia do domu i ruszyli schodami na górę. Było ich pięciu, mieli w rękach broń. Wołając go po nazwisku, jednym pchnięciem otworzyli drzwi do jego sypialni i szybko się cofnęli, zupełnie niepotrzebnie zresztą, bo leżał tam, na łóżku, z otwartymi oczami, w tym samym ubraniu, które miał na sobie poprzedniego dnia. Czekał całą noc, a potem kolejne miesiące i lata, aż wreszcie to się skończy i będzie już po wszystkim. Potykając się, posłusznie zbiegł z nimi na dół. Twarz jego matki jakby nagle się postarzała, jej potargane włosy sterczały na wszystkie strony, kiedy rwała je sobie z głowy i krzyczała. *Zostawcie go i wynoście się stąd! Chyba żeście oszaleli! Trafiliście pod zły adres. Coś wam się pomyliło. Przecież mój syn nikogo by nie tknął, gdzie mu tam do morderstwa. Gordon by tego nie zrobił! Nie! Nie! Nie!*

— A ty co tu robisz? — Surowy głos pani Jukas rozdarł upalne powietrze. — Wynocha mi stąd! Jak zaraz sobie nie pójdziesz, to wezwę policję!

Gordon zerknął na ziemię, z której wyrastały różane krzewy, zastanawiając się, czy linie rabat uległy zmianie.

— Ja tylko przechodziłem. — To był ten sam młody mężczyzna z grubym łańcuchem na szyi, którego Gordon niedawno tu widział. Szedł nonszalancko po nierównym trawniku, szczerząc zęby w uśmiechu, a pani Jukas uparcie go poganiała. Gordon od razu rozpoznał ten charakterystyczny chód, ten dumny, sprężysty krok, niebezpiecznie zwinny jak u pytona, który może zaatakować lada chwila. Powoli i dostojnie mężczyzna przeszedł na drugą stronę ulicy, nie rozglądając się na boki. Nie przyśpieszył nawet, kiedy z obu stron zaczęły nadjeżdżać samochody. Zagadnął dziewczynę na schodach. Piłka odbijała się coraz mocniej i dalej z każdym głuchym uderzeniem. W jednej chwili złapał piłkę i oderwał ją od gumowej tasiemki. Piłka potoczyła się do rynsztoka. Dziewczyna krzyknęła coś, a wtedy mężczyzna chwycił ją za koszulę i poderwał na nogi. Zatoczyła się na schodach, ale szybko złapała się poręczy.

Przemknął obok niej i nacisnął dzwonek przy drzwiach. Otworzyła mu młoda, chuda kobieta w skąpych szortach i krótkiej skórzanej kurtce. Przechylając głowę, zmrużyła oczy od słońca i gestem dała mu do zrozumienia, że nie ma tego, czego szukał. Zawołała coś do dziewczyny, ta odpowiedziała jej opryskliwie, a mężczyzna chwycił ją i siłą sprowadził po schodach na chodnik. I wtedy, jakby na zawołanie, podjechał ogromny, fioletowy SUV navigator. Dziewczyna chciała wrócić na schody, ale kobieta kazała jej do niego wsiąść. Dziewczyna podeszła wolnym krokiem, po-

słusznie wsiadła i wóz szybko odjechał, a mężczyzna z młodą kobietą weszli do domu.

— Kto tam? Kto **mi** się tu kręci? — zawołała niespodziewanie pani Jukas. — Nie chowaj się, i tak cię widzę!

— Dzień dobry, pani Jukas — powiedział wtedy, wychodząc zza krzaków. — To ja, Gordon Loomis — dodał cicho. Nie chciał jej przestraszyć. **Spiesznym krokiem** wszedł na schody, tłumacząc, że Dennis kazał mu przyjść się przywitać. Od razu powinien był to zrobić. — Ale nie chciałem pani przeszkadzać. — Tak bardzo bał się tej chwili.

Kobieta ani drgnęła, a jej wyblakłe oczy spoglądały to na niego, to na ulicę, gdzie było już stosunkowo bezpiecznie. Jej jedna noga była większa od drugiej, grubo owinięta bandażami, zdawała się wręcz gigantyczna, a na stopach, zamiast butów, miała rozdeptane, brudne kapcie.

— Mama mówiła, że kiedy ojciec miał zawał, pani mąż przychodził i pomagał jej kłaść go do łóżka — odezwał się z alejki u podnóża schodów.

— Wasza matka ciągle prosiła o pomoc — odparła staruszka.

— To miło, że pani mąż jej nie odmówił.

— Ciężkie życie miał ten wasz ojciec — zauważyła, wpatrując się w Gordona. I to przez ciebie, chciała dodać, ale nie musiała.

— Tak, wiem.

Jej ciemne oczy powędrowały na jego ramiona.

Pokiwał głową. — No cóż, lepiej już sobie pójde. To przez te ciernie — dodał, siłą się na uśmiech. — Nieźle mnie urządziły. Na drugi raz będę pamiętał, żeby założyć rękawice. I koszulę z długimi rękawami.

Nic nie odpowiedziała. Nie było takiej potrzeby. Ostatni raz widziała go, jak siłą wypychali go z domu, a z jego obu ramion sączyła się krew. A teraz patrzyła tylko, jak przedziera się przez krzaki na własne podwórze.

Od lamp w korytarzu w celach zawsze było przeraźliwie jasno. Usiadł na sofie, rozkoszując się ciemnością, choć nadal nie umiał zasypiać po ciemku. Ani w ciszy. Na początku miał różnych współwięźniów, zwykle starszych od niego, ale potem przeniesiono go do najmniejszej celi i ostatnie lata udało mu się spędzić samemu. Stała tam prycza na szerokość ściany. Brakowało nawet miejsca, żeby wyprostować nogi. I tak za tę odrobinę prywatności przez parę lat sypiał skulony w kłębek.

Na ulicy zaterkotała ciężarówka i wyrzął przez okno. Odgłos przejeżdżających aut wciąż jeszcze budził w nim dziwne uczucie. W oknach mie-

szań kamienicy czynszowej po drugiej stronie ulicy paliły się światła. Na parterze mieszkała tam kiedyś Julia Kirbowitz. Zawsze chodzili razem do szkoły, dopóki w szóstej klasie nie przeprowadziła się z rodzicami do nowego domu w Dearborn. Drzwi frontowe kamienicy otworzyły się i wyszedł z nich jakiś drobny, brodaty człowieczek. Pognał schodami na dół i wsiadł do starego auta, które stało zaparkowane przy ulicy. Zaraz po tym, jak odjechał, w cieniu schodów wyłoniła się czyjaś sylwetka. Znowu ta loczkowata dziewczyna. Podbiegła do okna, zajrzała do środka i znów czmychnęła za schody. Po chwili drzwi się otworzyły, z budynku wyszedł inny mężczyzna i ruszył ulicą, podciągając džinsy w pasie. Wtedy dziewczyna wbiegła do domu, kołysząc się, jakby musiała skorzystać z łazienki. W oknie zapaliło się światło, ale zaraz zgasło.

Ulicą nadjechał biały samochód i zatrzymał się tuż przed jego domem. Gordon obserwował zza szyby, jak wysiada z niego krępa kobieta w obszernej fioletowej koszuli. Delores Dufault otworzyła bagażnik i wyjęła ogromny biały kosz. Na ostry dźwięk dzwonka włosy stanęły mu dęba. *Idź stąd, błagam cię, idź*. Nie chciał, żeby tu przychodziła. W ogóle nie miał ochoty jej widzieć. Jeszcze nie. A przynajmniej nie dziś. Nie. Nigdy więcej. Ten paniczny strach, choć całkiem irracjonalny, był tak silny, że ścisnął go w piersiach i zapierał oddech. Podczas odwiedzin zawsze do niej wychodził, nawet wtedy, gdy nie miał ochoty się z nią widzieć. Ale tu nie obowiązywały żadne zasady, nie było wyznaczonych miejsc, nikt nie kontrolował czasu. Nie był na to przygotowany. Co on jej powie? Gdzie ma usiąść? Czego ona się spodziewa? Czego w ogóle od niego chce? Po chwili podłoga zaskrzypiała pod jej krokami, drzwi auta zatrzasnęły się, a kiedy odjechała, westchnął z ulgą, rozsiadł się na sofie i czekał długo, zanim otworzył drzwi. Na progu stał ogromny kosz z czekoladkami, herbatnikami i jeszcze ciepłym ciastem bananowo-orzechowym. Na odwrocie bankowego dowodu wpłaty napisała mu kilka słów.

„Witaj w domu, Gordonie! Szkoda, że Cię nie zastałam. Zadzwonił, kiedy będziesz mógł. Delores”.

Podskoczył na dźwięk telefonu, sięgnął do stolika po słuchawkę, nacisnął guzik i odezwał się. Ku jego zdumieniu, nagle włączył się telewizor, a telefon wciąż dzwonił. Popędził do kuchni.

- Halo? — krzyknął do słuchawki na ścianie.
- Gordon! Już wróciłeś? Gdzie cię wywiało? — To był Dennis.
- Nie mogłem znaleźć telefonu!
- Jak to, nie mogłeś znaleźć?
- Było ciemno i po prostu go nie widziałem!

- To dlaczego siedzisz tam po ciemku?
 - Bo nie zapaliłem światełka!
 - To zapal. A w ogóle musisz się tak drzeć?
 - Sam nie wiem — odparł, speszony. W Fortley był taki hałas, że zawsze musiał krzyczeć do słuchawki.
 - Dzwoniła Delores. Mówi, że przed chwilą tam była, ale chyba cię nie zastała.
 - Widocznie spałem.
 - To samo jej powiedziałem — przyznał niepewnie Dennis. — Podobno coś ci przyniosła. Zostawiła przed drzwiami. Wyjdź i weź, zanim ktoś ci to zwinie.
 - Jasne, zaraz pójde.
 - Aha, Lisa prosi, żebyś pamiętał o piątkowym obiedzie. — Tu prze-rwał na chwilę. — No to jak, zadzwonisz do Delores?
 - Nie dzisiaj.
 - Och, proszę cię, zadzwoń i podziękuj jej za odwiedziny. Co ci szkodzi zadzwonić? — dodał, poirytowany.
- Gordon obiecał, że zadzwoni później. Był zmęczony i chciał już poło-żyć się do łóżka.

W porządku, Doe, mówią mi. Pracuj sobie po godzinach, jeśli chcesz, ale na nas nie licz. Mamy ważniejsze sprawy na głowie...

Śmiech sprawiał, że jej rumiana twarz czerwieniła się jeszcze bar-dziej. Delores Dufault potrafiła trajkotać bez przerwy, ale po jej wyjściu Gordon nawet nie pamiętał, co mówiła. Jej wizyty zaczynały się zawsze tak samo: zapewniała, że się cieszy, że znów go widzi, i że jego przyjaźń wiele dla niej znaczy, a on wiercił się na krześle, poirytowany. Jaskrawe kolory i krzykliwe wzory jej ubrań przyprawiały go o zawrót głowy. Na kołnierzu jej koszuli lśniły paciorki z gagatu, a długie, łopatkowate pa-znokcie pomalowane były na fioletowo w żółte paski. Wszystko jej błyszczowało — włosy, twarz, zęby — taki zwykły tandetny blichtr, który sprawiał, że wyglądała głupio i jakoś dziwnie smutno.

Ledwo zdążył odwieść słuchawkę, a znów odezwał się dzwonek u drzwi. Na palcach wszedł schodami na górę i wtedy pomyślał o długiej drodze do Fortley. To była ciężka jazda po krętych, górskich trasach, a zwłaszcza zimą, jak podkreślał Dennis. A mimo to Delores nigdy nie narzekała. A potem Dennisowi i Lisie urodziły się dzieci i nie mogli już tak często go odwiedzać. Jeszcze zanim Delores sama wybrała się do niego z wizytą, Gordon pisał jej w listach, żeby nie przyjeżdżała, bo nie dość, że

ciężko tam dojechać, to samo miejsce jest brzydkie i przygnębiające. Stresował się i niepokoił każdą wizytą. Zwykła towarzyska rozmowa nie przychodziła mu łatwo, zwłaszcza gdy musiał spędzić całą godzinę z prawie obcą kobietą. Nie chciał zranić jej uczuć, więc dalej pisał listy, z których zresztą prawie żadnego nie wysłał. Dostała od niego tylko kilka krótkich odpowiedzi na pytania zadane w swoich listach. Pytania były retoryczne i głupie, na przykład: „Co sądzisz o wczorajszym ataku bombowym na Irak?” Jak gdyby jego opinia w ogóle miała jakieś znaczenie. Któregoś dnia zjawiła się w pokoju odwiedzin w marszczonaj, błękitnej sukni i jasnej, kwiecistej chustce na szerokich ramionach. Zapytał ją wtedy, czy wraca z kościoła. Och, nie, odpowiedziała szczerze ze swoją wylewną serdecznością, która zawsze sprawiała, że wstydził się i za siebie, i za nią. Dzisiaj ludzie już nie stroją się do kościoła, wyjaśniła. A to nowe ubranie kupiła sobie specjalnie na tę wizytę, bo chciała ładnie dla niego wyglądać.

Milczał, bo nie wiedział, co odpowiedzieć. Siedział cicho, tak jak teraz, w pokoju gościnnym, gdzie nagle zrobiło się jasno od wszystkich zapalonych lamp. Ale z Delores było mu łatwo, bo zaraz wypełniała słowami każdą krępującą ciszę.

— Pomyślałam sobie, że zajrzę tu jeszcze po pracy. Chyba się nie gniewasz, Gordon. Wiem, jak bardzo próbujesz się przystosować. Słyszałam, że Dennis był z tobą w Corcopaxie. Mówiłam już, żebyś dał mi znać, gdy tylko trzeba cię gdzieś podwieźć. Chętnie obwiozę cię po okolicy i pokazę stare śmieci.

Speszony, odwrócił wzrok, kiedy poprawiała ramiączko od stanika.

— Wszystko się zmieniło, i to na gorsze, niestety. A przynajmniej takie odnoszę wrażenie. A tak przy okazji, niedawno spotkałam Susan Karp. Pamiętasz ją?

Nie pamiętał.

— Ale ty zobacz! — uśmiechnęła się szeroko, otwierając gumę do żucia. — A nie mówiłam, że rzucę palenie? — W ostatnim liście wyznała, że gdy tylko Gordon wyjdzie na wolność, to nie zapali już ani jednego papierosa. Nic nie odpowiedział. Delores zwinęła papierek w kulkę i odłożyła na stolik. — No, a Susan z siostrą chodziły z nami do klasy. Annette zaczęła szkołę rok wcześniej, ale potem, jak to mówią, wpakowała się w tarapaty. Kapujesz? — Mrugnęła okiem. — No i musiała powtarzać rok. Za to nieźle grała w koszykówkę.

— Aha. — Nie miał zielonego pojęcia, o czym mówi. Zabrał papier po gumie i schował do kieszeni. Całe szczęście, że mówiła takim miłym

tonem, ciepłym i wesołym, jakby lada moment miała wybuchnąć śmiechem.

— No więc Susan opowiadała mi o Ericu, drugim mężu Annette. Podobno pracuje w jakiejś hurtowni spożywczej. Sery, drogie dżemy, kawior i takie tam inne. Bo teraz wszędzie pełno delikatesów i sklepów z luksusową żywnością, sam rozumiesz. — Wyjęła z torebki drugą gumę. — Myślę sobie, Eric. Eric... Znałam kiedyś jednego Erica. Eric Reese, pytam. Taa, mówi. No i wspominamy dawne czasy, a ona nagle, że teraz, kiedy już wyszedłeś z więzienia, to cała rodzina trzęsie się ze strachu, że zacznie ich szukać. Wybijcie to sobie z głowy, powiedziałam jej. Gordon ani myśli się z wami kontaktować.

Siedział, wpatrzony w nią. Eric Reese był niegdyś bliskim przyjacielem Jerrego Coxa, dopóki się nie pokłócili. Jerry ciężko się wtedy obraził. A potem w drodze do domu z pracy spotkał Gordona. To było tego feralnego wieczoru, kiedy Jerry ciągle powtarzał, że Janine Walters nie może go zobaczyć. Jerry Cox miał wtedy szesnaście lat i był dwa lata młodszy od Gordona, dlatego stanął przed sądem dla nieletnich i za zabójstwo dostał pięć lat w poprawczaku. Kilka miesięcy po tym, jak wyszedł, zapuścił się w ośnieżony las za swoim domem, wpakował sobie spluwę do ust i pociągnął za cyngiel. Ojciec Gordona słyszał od kogoś, że Jerry zostawił list pożegnalny. Licząc na to, że jego treść oczyści Gordona z zarzutów, błagał rodzinę chłopaka, żeby dała mu go przeczytać. Całe dnie przesiadywał sam w domu i miał sporo czasu na rozmyślania. Z czasem też ten niepozorny człowiek popadł w obsesję. Zaczął do nich wydzwaniać i pisać listy, a raz nawet poszedł do ich domu błagać panią Cox, żeby pomogła jego synowi. Aż w końcu rodzina Coxów postarała się o to, by sąd zakazał Loomisowi zbliżania się do nich. A potem skontaktował się z nimi jakiś dziennikarz. W długim wywiadzie na pierwszej stronie zaprzeczali, jakoby syn zostawił przed śmiercią list pożegnalny, i powtórzyli to, co Jerry zeznał pod przysięgą — że do włamania namówił go Gordon Loomis. Twierdzili, że Jerry zrobił wszystko, co w ludzkiej mocy, by go powstrzymać, ale był bezsilny wobec morderczego wybuchu wściekłości Gordona tamtego wieczoru. Coxowie winili Gordona za śmierć ich syna. Uważali, że biedny Jerry nie mógł się uwolnić od wstydu i poczucia winy za to, że nie pomógł pani Walters, która zawsze okazywała mu tyle życzliwości. Kolejne publiczne potępienie i poniżenie zrujnowało matkę Gordona. Wzięła urlop i przez pół roku prawie nie ruszała się z domu. Przystała nawet pisać do Gordona i po tym wszystkim odwiedziła go tylko raz. Wkrótce potem ojciec miał pierwszy zawał.

Gordon zacisnął dłonie na kolanach. Wszystko w tym ciasnym pokoju wyglądało dziwacznie i jakby nie na miejscu. Lawendowe spodnie Delores były wygniecione, a spod rąbka jej koszuli zwisała długa nitka. Za młodu też była taka niechlujna, zawsze potrafiła wszystko zepsuć, a jej nieustanna paplanina i wylewność działały na nerwy zarówno uczniom, jak i nauczycielom.

— O rany — skrzywiła się. — Chyba się na mnie nie wściekasz, co?

— Nie chce mi się o tym gadać — mruknął sztywno. Chciał, żeby już sobie poszła, ale nie umiał jej tego powiedzieć.

Jej wargi, pomalowane szminką w kolorze fukcji, zadrżały nagle. — Och, przepraszam! Tak mi przykro. — Położyła mu dłoń na ramieniu. — Myślałam, że to cię rozbawi... Racja, nie ma w tym nic śmiesznego. Dziwne tylko, skąd im to przyszło do głowy. Chciałam ci tylko powiedzieć. Pomyslałam sobie, że skoro jesteś już w domu... Och, sama nie wiem, co myślałam. Problem w tym, że z myśleniem u mnie słabo. Przepraszam — dodała, ganiąc samą siebie, co jeszcze bardziej go zirytowało. — A widzisz? Chyba jednak za dużo gadam. Gęba mi się nie zamyka. Oto mój sposób na kłopoty: zagadać je na śmierć. Wtedy ludzie mogą sobie mówić, co chcą, a mnie już nic nie zaskoczy. Taka właśnie jestem. Zapominam tylko, że nie każdemu to pasuje. Moje siostry ciągle mi przygadują, że nie mam za grosz poszanowania dla innych ludzi. Przepraszam, Gordon. Naprawdę strasznie mi przykro. I proszę cię, zostańmy przyjaciółmi. Zacznijmy od zera, dobrze? Od tej chwili zachowujemy się tak, jakbym nigdy tego nie powiedziała, i już! — oznajmiła, uderzając się dłonią po udzie. Odgłos mięsistego klapsa przeraził go jeszcze bardziej. — Najważniejsze jest to, co się dzieje teraz, prawda? — uśmiechnęła się i powiodła wzrokiem dookoła. — No dobra! To będziesz mieszkał tu, w tym domu?

Nie czekając na odpowiedź, dodała, że wcale mu się nie dziwi. Sama chętnie zostałaby w rodzinnym domu, ale po śmierci matki siostry były tak pazerne na pieniądze, że mało brakowało, a sprzedałyby go razem z nią. — Mój znajomy prawnik mówi, że powinnam im wystawić rachunek za te wszystkie lata opieki nad mamą, ale komu przysłoby to do głowy? W końcu to była moja matka, a ja jako jedyna nie wyszłam za męża. To chyba jasne, że mnie przypadła opieka. I wcale mi to nie przeszkadzało, bo i na mnie przyjdzie czas. Chyba wiesz, o czym mówię?

Ale on myślał już o swojej matce, która jeździła do niego taki kawał drogi. Najpierw przyjeżdżała co tydzień. Na początku odwiedzin siedziała ze srogą miną, zaciskając wargi, a pod koniec zalewała się łzami, kiedy przepaszali się nawzajem za wszystko.

— Och, Gordonie. — Delores pokręciła głową i wzięła głęboki oddech. — Pewnie zanudzam cię na śmierć tą moją gadaniną. — Z troską na twarzy wyglądała jeszcze żałośniej.

— Ależ skąd — odparł niepewnie, traktując jej słowa jak pytanie. — Jestem tylko trochę zmęczony.

— Och, Gordon, biedaku! — Przysunęła się bliżej i objęła go ramieniem. — Rzeczywiście, wyglądasz, jakbyś był skonany.

W głowie mu zaszumiało, gdy przycisnęła pierś do jego ramienia. Przeraziła go własna nieudolność, nie wiedział, co powiedzieć ani co robić. Poczul na twarzy uderzenie gorąca. Pachniała owocami sfermentowanymi od przejrzenia.

— Zaparzę kawy, co? Zjemy sobie deser! — Podniosła się z miejsca. — Chcesz trochę pysznego, świeżego ciasta z bananami?

— Nie, dziękuję — rzucił nieco pośpiesznie.

Przyjrzała mu się przez chwilę. — A coś ty dziś robił, że się tak zmachałeś?

— Sam nie wiem — wzruszył ramionami. Gdyby tylko wspomniał o pracy w sklepie, to nie dałaby mu spokoju.

Zaczęła opowiadać mu o synu szefa, który po stracie pracy wpadł w głęboką depresję. — Nigdzie nie wychodzi, tylko przez cały czas siedzi w domu. Matka mu radzi, żeby wyszedł do ludzi, ale Albert mówi, że potrzebuje tylko porządnego kopa w tyłek. A ja mu mówię, że wszystko w swoim czasie. — Zerknęła przelotnie na Gordona. — Chyba opowiadałam ci już o Albercie, prawda? To cudowny człowiek, tyle że miał ciężkie życie i czasem sprawia wrażenie gbura.

Gordon miał wrażenie, że o Albercie Smicku wie już wszystko. Kiedyś myślał nawet, że Delores jest w nim zakochana, ale szybko zorientował się, że ona zawsze wychwała pod niebiosa każdego, kogo polubi.

Po jej wyjściu poprawił na sofie spłaszczone poduszki. Na podłodze leżała zmięta kapa. Delores zostawiła po sobie bałagan: wszystko porzucane, wgnieciony dywan, niedomknięte drzwi i jego niespokojnie kołające serce. Kiedy była w pobliżu, bał się wziąć głębszy oddech, choć dobrze wiedział, że to nie jej wina, tylko jego samego. Jej serdeczność zawsze go przerażała, ale teraz czuł się winny, że nawet nie podziękował jej za ciasto. Odczekał chwilę i zadzwonił.

Dysząc ciężko, odebrała już po pierwszym sygnale. Wysapała, że właśnie wkładała klucz do zamka, kiedy zadzwonił telefon. Jeszcze nie dokończył zdania, a już dziękowała mu za to, że przez tyle lat był takim dobrym przyjacielem, i nie wie nawet, ile znaczyły dla niej jego listy. I dopie-

ro po drodze do niej dotarło, że nareszcie wrócił, że już tu jest. Jej najlepszy przyjaciel na świecie wreszcie wrócił do domu! Kiedy zapanowało niezręczne milczenie, szybko się pożegnał. Zaczekaj, rzuciła, zanim zdążył się rozłączyć. Czy nie chciałby wpaść na kolację w piątek wieczorem? Specjalnie kupiła żeberka, wiedząc, że to jego ulubione danie — przecież sam jej kiedyś mówił, że lubi średnio wysmażone, prawda? A do tego pieczone ziemniaki i zieloną fasolkę. Nie pamiętał, żeby jej to mówił, ale żeberka rzeczywiście lubił. Odparł, że nie może, bo jest zaproszony do Denisa.

— Ano tak! — Znów nastąpiła cisza. — To może chociaż cię odwiozę?

— Nie, dziękuję. Pojadę autobusem.

— Daj spokój, autobus staje na przystankach i zajmie ci to kupę czasu, a ja zawiozę cię w dziesięć minut.

— A ja chcę jechać autobusem! — Przerwał, by opanować paniczny ton głosu. — I nie przeszkadzają mi przystanki. Nie mogę się doczekać, już dawno nie jechałem autobusem.

— No, racja. Jest tyle rzeczy, których dawno nie robiłeś — odparła powoli. — Ale jeśli będziesz czegoś potrzebował, to zadzwonisz do mnie, prawda? Proszę cię.

Przez pierwsze dni w supermarkecie obie kasjerki zasypywały Gordona pytaniami. Jego małomówność, nieśmiałość i zakłopotanie, które zachęcały do poufalitych rozmów nie tylko je obie, ale i klientów, wyraźnie je zaintrygowały. Ta w spódniczce mini, Allie... ładne ma nogi, nie? Kiedyś była facetem. A Leo, ten rzeźnik, cierpi na depresję, odkąd jego żona uciekła z ich osiemnastoletnią sąsiadką z parteru. Z lakonicznych odpowiedzi Gordona domyśliły się, że dorastał w Collerton, a potem przeniósł się do zachodniej części stanu. Do Hilldale, mruknął, kiedy zapytały go o dokładne miejsce.

— Hilldale! Pierwsze słyszę — zauważyła Serena.

— No coś ty! — zachnęła się June, spoglądając w jego stronę. — To tam, gdzie to więzienie, Fortley, prawda? Wsadzają tam najgorszych zbirów.

Stanowy zakład karny słynął z ogólnej surowości — rygoru, postępstwa i kar. Gordon nie miał złudzeń. I tak prędzej czy później wszystko wyjdzie na jaw, ale na razie wolał zachować tę lukę w życiorysie, a wraz z nią anonimowość, aby, udając normalnego człowieka, w końcu nauczyć się nim być. Ale najbardziej pragnął doznać jakiegoś uczucia. Jakiegokolwiek, byleby nie tę pustkę. Przez dwadzieścia pięć lat żył tylko terażniejszością, każdym dniem, każdą chwilą. Tyle należało mu się od życia, a więcej nie śmiał żądać. Nie miał pojęcia, jak obcą rzeczą jest wolność, jakie to dziwne uczucie. Kasjerki wiedziały już, że pracował w bibliotece, w szpitalu, w pralni i w fabryce, że jego rodzice nie żyją, że mieszka sam i nigdy nie był żonaty. — Zawsze omijałem kobiety z daleka — odpowiedział Serenie.

— Naprawdę? — zdziwiła się June z przejętą miną. Chciała go przedstawić swojej siostrze, niezamężnej, a właściwie rozwiedzionej, z czworgiem dzieci, z których każde mieszkało osobno. A to dlatego, zauważyła potem Serena, że wszystkie były pod opieką kuratora. Nie war-

to wiązać się z kimś takim. Serena nie umie trzymać języka za zębami, stwierdził Leo, gdy tylko wyszła. Podobno ona i jej mąż palą trawkę razem ze swoimi nastoletnimi synami i wcale nie widzą w tym nic złego.

W piątek Neil Dubbin opuścił wreszcie swój cuchnący barłóg. Godzinę siedział w zagraconym biurze i drżącą ręką podpisywał czeki, wydzwaniając przy tym do żony. Ale ona za każdym razem odkładała słuchawkę. Dopiero gdy się rozpłakał, wysłuchała go, dopóki jej nie przeprosił i nie zaczął błagać, by wróciła do domu. Ale, jak zauważyła Serena, Mary Dubbin chyba się nie zgodziła, bo gdy tylko Neil odwiesił słuchawkę, znów zniknął w swojej mrocznej kanciapie.

W sklepie było pusto. Kasjerki stały przy drabinie, a Gordon zeszkrobywał żyletką kawałki starej taśmy z frontowych okien. June rozglądała się za Eddiem Chapmanem, którego znów wezwali dziś rano na budowę.

— Eddie to skurczybyk, ale serce ma dobre — podsumowała Serena.

Dubbinowie byli głęboko zawiedzeni, że Cynthia, ich córka, wybrała go sobie na męża, ale to właśnie Eddie, w swoich butach ze stalowymi noskami i z brudem pod paznokciami, musiał ogarnąć ten cały interes, zanim Neil nie wytrzeźwiał. June twierdziła, że nie sprzedali sklepu tylko z jednego powodu: żeby Neil miał się gdzie podziać.

Gordon przysunął się do szyby, a kobiety walczyły o jego uwagę, wzajemnie się przekrzykując.

— Ona wcale tu nie przychodzi — zakomunikowała Serena, mając na myśli żonę Neila.

— To centrum miasta, a ona nie czuje się tu bezpiecznie — zauważyła June drwiącym tonem.

— A tak naprawdę chodzi jej o to, żeby być jak najdalej od Neila.

— Nieważne, czy jest pijany, czy trzeźwy.

— Ale jak jest pijany, to przynajmniej ona ma coś do powiedzenia.

— Właśnie, a jak jest trzeźwy, to potrafi być niezłym chamem. Daję słowo, wtedy jest z niego naprawdę wredny typ.

— Jasne, nigdy nie wiadomo. Lepiej uważaj — ostrzegła go Serena.

— W sumie to biedny ten Neil, bo im gorszy się staje, tym bardziej sam sobie szkodzi — zauważyła June.

— Racja, a on jest z tych, co potrafią się cieszyć tylko wtedy, gdy inni się smucą.

— Najlepiej po prostu go olewać, tak jak my.

— Jasne, to właśnie przeważnie robimy... O cholera — jęknęła Serena. — Ej, Eddie, wróciłeś już?!

— No i gdzie on się podział, do diabła? — Eddie wparował między półki.

— Tutaj — odezwał się Gordon. Drabina zachybotała się, gdy **spie-**szenie schodził na dół. W końcu to z własnej inicjatywy tam włąził. — Chciałem zedrzyć tę starą taśmę, ale powinienem chyba...

— A mówił, że weźmie się do roboty! — ryknął Eddie, rozglądając się dookoła.

— I próbował — przyznała Serena i opowiedziała mu, jak Neil zdernował się po rozmowie z żoną.

— I znów do niej wydzwaniał? — Eddie cisnął stertą najnowszych numerów *National Enquirers*, aż rozsypały się po podłodze. Gordon od razu schylił się, by je pozbiierać. — A mówiłem mu, żeby tego nie robił. Rany, Chryste, mam już tego po dziurki w nosie. Nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymam. Mam własny interes na głowie. Jeśli znów się schlał, to koniec!

Nie, nie. Kasjerki zaprzeczyły, że to niemożliwe. Neil nie wychodził ze sklepu. Ani razu.

— Idź tam do niego — nakazał Eddie Gordonowi. — Powiedz mu, że wpadłem tylko na chwilę i chcę się z nim widzieć...

Leo pakował kawałki mięsa do maszynki do mielenia. Pokręcił głową, że nie widział Neila. Gordon spytał jeszcze Thurmana, chłopaka z magazynu, który palił papierosa na rampie rozładowniczej. — Nie. Za to wczoraj wieczorem widziałem pana — odparł Thurman, rzucając niedopałek w błoto. — Mieszka pan koło mojej ciotki.

— Naprawdę? — zaniepokoił się Gordon.

— Taa — mruknął chłopak, przewracając ciemnymi oczami. Wczoraj Eddie zabrał mu połowę godzin. W okolicy było wiele napadów i potrzebowali kogoś większej postury. I tak Thurmanowi pozostało wynoszenie śmieci i ustawianie wózków sklepowych. Takie zdegradowanie do niższej rangi w znienawidzonej pracy musiało być dla niego wyjątkowo upokarzające. Musiał się uczyć i pracować w supermarkecie po to, żeby babka pozwoliła mu u siebie mieszkać.

Gordon przecisnął się ostrożnie przez bałagan na zapleczu. Tego ranka wyładowywał skrzynie z owocami i wszędzie było pełno rozsypanych pomarańczy i grejpfrutów. Aż żal było patrzeć. Dawniej stary Dubbin lubił porządek i wiedział, gdzie co leży. Drzwi do klitki Neila były uchylone. — Przepraszam, panie Dubbin? — zawołał ścisłym głosem i wetknął głowę do ciemnego, dusznego pomieszczenia. Z kranu ciekła woda, więc zastukał do drzwi łazienki i Neil Dubbin wyszedł, osuszając świeżo ogo-

loną twarz brudnym ręcznikiem. Zakłopotany, pokiwał głową, gdy Gordon powtórzył mu słowa Eddiego Chapmana, i powiedział, że jest już prawie gotów i zaraz przyjdzie.

— Czekaj no — zawołał za Gordonem. — Jak masz na imię, bo zapomniałem?

— Gordon.

— Gordon? A dalej?

— Loomis.

— Loomis? — Dłoń z ręcznikiem opadła. — A jak długo tu pracujesz?

— Od ósmej rano.

— To znaczy, kiedy dokładnie zacząłeś? W który dzień?

— W poniedziałek. Byłem tu po południu.

— I kto cię zatrudnił? — spytał, podchodząc bliżej. — Bo chyba nie ja, co?

— No, w pewnym sensie pan, a właściwie Eddie. To znaczy, pan Chapman.

— Pan Chapman! — Neil wybuchł śmiechem. — Za pierwszym razem powiedziałeś dobrze, chodziło ci o Eddiego — zaśmiał się znowu. — A co tam u Denny'ego? Dawno go nie widziałem.

— W porządku, dziękuję — odparł, z trudem przełykając ślinę.

— A ty skąd się tu... — przerwał, pomagając sobie ruchem ręki. — To znaczy, jak tu trafiłeś?

— Przeczytałem ogłoszenie, że zatrudnicie kogoś do pracy.

— Jasne, ale jak to się stało, że wyszedłeś? — zaśmiał się. — Chyba nie uciekłeś, co? — drażył triumfującym tonem, coraz bardziej zaciekawiony. — Cholera, tylko mi nie mów, że dałeś dyla?

— Zwolnili mnie warunkowo — wymamrotał, jakby jakiś ciężki kamień przygniótł mu język.

Delores Dufault znów zerknęła na zegarek. Była już prawie szósta, a Albert jeszcze nie oddzwonił w sprawie kolacji. Skontaktowała się z nim w sklepie w Dearborn, ale nie mógł rozmawiać. Powiedział tylko, że oddzwoni, żeby omówić szczegóły. Przez cały dzień myślała, że to oznacza *tak*, że przyjdzie na kolację, ale teraz nie była już taka pewna. Chciała zadzwonić jeszcze raz, ale to by go rozzłościło. Próbowała się czymś zająć, dopóki sam się nie odezwie. Zwykle spędzali razem wieczór w piątki albo w poniedziałki, w zależności od grafiku Alberta, a święta spędzał, oczywiście, z rodziną. Ale ostatnio w ogóle widywała go bardzo rzadko,

bo cały czas spędzał w nowo otwartym sklepie, który, jak zauważył z lekkim wyrzutem, już zaczął przynosić trzykrotnie większe zyski niż ten stary. Zresztą co w tym dziwnego, skoro wszyscy stali klienci chętnie przyjeżdżali do Dearborn? Albert twierdził, że nikomu nie chciało się jeździć do tak ubogiego i ponurego miastajak Collerton, i właśnie dlatego otworzył nowy sklep w małym, ale drogim centrum Dearborn. Może i płacił niebotyczne sumy za wynajem, ale tu przynajmniej mógł liczyć na klientów.

Kiki mawiała, że ich dni są policzone, że zamknięcie sklepu papierniczego Smick Stationery to tylko kwestia czasu, podobnie jak innych sklepów w Collerton. Delores nie kontaktowała się z nią od tamtej pory. Wystarczył jeden telefon do którejś z sióstr, żeby pozbawić ją radości życia. Nie potrzebowała wysłuchiwać smęcenia przyjaciółki.

Delores kończyła właśnie układać na wystawie kartki okolicznościowe, kiedy zauważyła, że na okrągłym stojaku zaczyna brakować szarych kopert. Zajrzała do magazynu, ale żadnych nie znalazła. Pewnie Albert zawiózł je do nowego sklepu z innymi rzeczami i zapomniał jej powiedzieć, wtedy mogłaby zamówić więcej. Ostatnio sprawy wymykały mu się spod kontroli. Miał bałagan w zamówieniach, a w zeszłym miesiącu pomylił czeki dla trzech dostawców. A wszystko przez jego rodzinę, która miała satysfakcję, że wysysa z tego biedaka całą energię i radość życia. W domu czekały go tylko pretensje i narzekania. Dobijał ją widok tej jego drobnej, bezczelnej żoneczki, kiedy wpadała do sklepu w błyszczącym dresie, ze sztucznym uśmiechem na ustach, nazywała każdego *skarbem* i *słonkiem* z tym swoim pretensjonalnym południowym akcentem. Delores dobrze wiedziała, jaka z niej wyrachowana egoistka. Ich syn był zwyčajnym pasożytem, a córka rozpieszczoną smarkułą. Czesne za jej prywatną szkołę i nowe sportowe auto omal nie zrujnowały finansowo jej biednego ojca, którego ledwo było stać na parę porządnych butów dla siebie. Dwa lata temu w Boże Narodzenie Delores kupiła mu drogie angielskie cordovany, które nosił po dziś dzień. Aż przykro było patrzeć na jego zdarte obcasy, pogniecione spodnie i wyblakły kołnierz. Czy żona nie potrafiła o niego zadbać? Czy, jak zwykle, tylko Delores zwracała uwagę na te rzeczy? Zatrzasnęła drzwi do magazynu, stanęła przy oknie i wyjrzała na ulicę.

I znowu dała się ponieść emocjom z powodu całej tej sytuacji, w której tkwiła już od lat. A może Kiki miała rację. Jeśli Albert naprawdę jest aż tak nieszczęśliwy, to dlaczego po prostu nie odejdzie? *Może właśnie o to mu chodzi*, mówiła Kiki, kiedy ostatni raz rozmawiały przez tele-

fon. *Traktuje cię jak śmietnik, do którego może wrzucić wszystko, co mu się naczierało, a potem wraca do domu i wszystko zaczyna się od nowa.*

Jak śmietnik. A więc tylko tyle dla niego znaczyła? Strasznie to zabrzmiało, ale Kiki, rzecz jasna, nie znała całej prawdy. Właściwie to nikt jej nie znał. Albert był uczciwy i lojalny, nie chciał ranić swoich bliskich. Regularnie co niedzielę jeździł do domu spokojnej starości odwiedzić ojca, który już nawet go nie poznawał. Raz nawet, kiedy pochylił się, by pocałować go w czoło, stary uderzył go w twarz. Delores nie powiedziała Albertowi o tym, jak zeszłej zimy, kiedy on z żoną polecili na Arubę, ona zaniosiła jego ojcu kwiaty i krówki domowej roboty i obejrzała z nim transmisję mszy w telewizji, a kiedy zbierała się do domu, stary rozpłakał się, trzymał ją za rękę i nie chciał puścić.

Do sklepu weszły dwie kobiety i przyniosły do kasy karton kolorowego papieru. Powiedziały, że właśnie otworzyły usługi sprzątające i potrzebują papieru na ulotki. Tylko jedna z nich mówiła po angielsku. Opowiadała, że jej siostra mieszka z nią od niedawna z dwoma wnuczętami. Mąż siostry zmarł w zeszłym miesiącu, a rodzice wnucząt zażywają narkotyki. Delores zapytała, czy podać im adresy, pod które mogłoby wysłać ulotki — głównie pracujących żon, którym przydałby się ktoś do sprzątanania. Były wśród nich jej cztery siostry. Po przetłumaczeniu tej propozycji ta druga, wdowa z niedbale tlenionymi włosami, chwyciła Delores za rękę i ścisnęła aż za mocno, jak na kobietę o tak drobnej posturze. Zanim wyszły, Delores spisała im na firmowym papierze dwadzieścia nazwisk i adresów. *Tak niewiele potrzeba*, pomyślała sobie, obserwując, jak roześmiane kobiety idą ulicą pod rękę. Od razu poczuła się lepiej. To działało jak magia: zawsze, kiedy była w dołku, pojawiał się ktoś, kto miał w życiu o wiele gorzej niż ona.

Zerknęła na zegarek: za dziesięć minut trzeba zamknąć sklep. Gordon jest już pewnie w drodze do brata. Żałowała, że Dennis wspomniał jej o tej kolacji. Przez cały tydzień, gdy tylko zadzwonił telefon, miała nadzieję, że Gordon zaproponuje jej, by poszli razem. Boże, jak on ładnie wczoraj wyglądał w tym codziennym ubraniu. Ale gdy tylko próbowała się do niego zbliżyć, od razu zrozumiała, że popełniła straszny błąd. Wzdrygnął się przed nią jak przed cuchnącym powietrzem czy zarazą.

Podniosła słuchawkę. Jeśli nie ma go w domu, to zostawi mu wiadomość. Tylko co mu powie? Musiała być ostrożna, przy niej zawsze był taki spięty. Dennis twierdzi, że przy każdym się tak zachowuje, ale wczoraj był bliski paniki. Widocznie biedak bał się być sam na sam z kobietą. Pewnie myślał, że jeden nerwowy ruch mógłby ją wystraszyć. Trzeba będzie

uzbroić się w cierpliwość. I nie poddawać się, dodała, wybierając pierwszą cyfrę. Powie, że jutro wybiera się na zakupy i żeby dał jej znać, jeśli czegoś potrzebuje albo chce jej towarzyszyć. A jeśli odbierze telefon, to zaproponuje, że go podwiezie. Mogłaby dodać, że właśnie jedzie zawieźć coś Albertowi, który mieszka przecież niedaleko Dennisa.

— Nie! — Odwiesiła słuchawkę, chwyciła ścierkę i płyn do mycia szkła i zaczęła czyścić szybę przy kasie. Gordon Loomis potrzebuje teraz przyjaciół, nie jakiejś samotnej kobiety, której doskwiera nadmiar wolnego czasu.

— Delores! Gdzie moja kurtka? Jasny gwint, tu jej nie ma! — zawołał poirytowany głos.

— O, Albert! — Podskoczyła, rozpromieniona, i pobiegła do magazynu. — Nawet nie słyszałam, jak wszedłeś. Tak się cieszę, że jesteś. Cały dzień czekałam, aż oddzwonisz.

— Nie mogę znaleźć kurtki — rzucił, szperając w kartonach w swoim biurze. — Gdzie ona się podziała, do diabła?

— Nie wiem, nigdzie jej nie widziałam. Czekaaj — powiedziała, kiedy cisnął notesem w drugi koniec sali. — Zaraz poszukam. Jeśli gdzieś tu leży, to na pewno ją znajdę.

— Co za cholerny bałagan — mruknął, gdy zabrała się za przeszukiwanie kartonów.

— Musisz to jakoś uporządkować — zauważyła, zerkając pod biurko.

— Nie mam czasu!

— W takim razie ja to zrobię, mówiłam ci przecież.

Popatrzył na nią i pokręcił głową z niedowierzaniem. — To dlaczego jeszcze nie zrobiłaś?

— Bo kazałeś mi tego nie ruszać — odparła, siląc się na spokojny ton. — To wszystko ma pojechać do Dearborn. Mówiłeś, żeby trzymać to osobno.

— Ale mogłabyś chociaż zrobić tu porządek, nie? Zrób z tym coś, ułóż wszystko razem, byleby tylko nie walało się po całym biurze! — Krzyczał tak rozpaczliwym tonem, że trudno było się na niego gniewać.

— Albert! — Dotknęła jego policzka. Ten jednodniowy zarost zawsze ją podniecał. Jak na drobnego mężczyznę o jasnej karnacji, był wyjątkowo gęsty. — Co się z tobą dzieje? Spójrz na siebie, jesteś wrakiem człowieka.

Wziął głęboki oddech i zwiesił głowę.

— Al, kochanie, co ci jest? No, powiedz mi wreszcie. — Objęła go ramionami, zadowolona, że się nie broni. — Opowiedz swojej Doc-doe, co

się stało. Jesteś przemęczony, prawda? W takim razie wsiadaj do auta i jedź za mną, a ja szybciotko dam ci jeść i zrobię ci dobrze — szepnęła, pocałowała go w ucho i westchnęła, czując jego dreszcz na swoim ciele.

— Nie mogę. — Odsunął się. — Cheryl zaprosiła na kolację parę osób. — Poszedł do głównego wejścia i otworzył drzwi do powielarni, wciąż rozglądając się za kurtką.

— Już wychodzisz? Dlaczego mi nie powiedziałeś? Mówiłeś, że odzwonisz. Tyle czasu cię nie widziałam i strasznie się za tobą stęskniłam.

— Przepraszam cię, Delores. Po prostu wszystko naraz zważyło mi się na głowę. To mój jedyny wieczór w tygodniu na odpoczynek. Ale co to obchodzi Cheryl? Kim ja dla niej jestem?

— Och, Al. — Znowu objęła go ramionami.

Ale on wyrwał się z jej uścisku i omal jej nie odepchnął. — Tylko nie tutaj! Co ty sobie myślisz? A jeśli ktoś wejdzie? — syknął kącikiem ust, przywierając sztywno do szyby, jakby za nią stał tłum gapiów.

— Przecież już po szóstej, zaraz wszystko pozamykam.

— No i co potem? — spytał, oburzony, patrząc szeroko otwartymi oczami. Przez chwilę zdawało jej się, że tylko żartuje.

— No, nie wiem — odparła, przyglądając się mu. Pierwszy ruch zawsze należał do niego. Popełniła okropną gafę. — Tak tylko pomyślałam.

— Co sobie pomyślałaś? Że swoje zasady i zdrowy rozsądek wyrzucę przez okno, o tam, na ulicę, żeby wszyscy widzieli?

Zacisnęła powieki, urażona jego pogardliwym tonem.

— Daj spokój, Delores. Proszę cię, weź się w garść.

Pokręciła głową i uniosła dłoń. Nic jej nie jest, wszystko w porządku. Naprawdę.

— Posłuchaj — rzucił, zamykając pośpiesznie drzwi i wyłączając światła. — Mówiłem ci już, że na więcej mnie nie stać. Wiesz, że mam swoje granice. — Wszedł do biura i wiedziała już, że wygrała. Spokojnie ruszyła za nim, położyła materac na podłodze za jego biurkiem i ściągnęła rajstopy. Albert zarygłował drzwi, zgasił światło i nie przestając mówić, zaczął się rozbierać. — Miało być łatwiej, a tymczasem nigdy w życiu nie miałem tylu kłopotów. Nigdy! Nie wiem, czy to się kiedyś skończy, ale na razie nic tego nie w r ó ż y — j ę k n ą ł i położył się na materacu.

— Stęskniłam za tobą — szepnęła, kładąc się na nim.

— Wiem — westchnął i zadrżał, zniecierpliwiony. To był znak, że może już zaczynać.

Ale ona siedziała bez ruchu. — Ostatnio jestem taka samotna.

— Tak, wiem, dlatego staram się, jak mogę, wiesz przecież — jęknął błagalnie, a jego ponaglący ton wydawał jej się dziwnie obcy i odległy, jakby jego pragnienie nie miało nic wspólnego z nią.

— Coraz rzadziej się widzimy — zauważyła. Teraz ona miała nad nim władzę. Uśmiechnęła się w ciemności.

— Ale teraz jesteśmy razem... Lepiej nie traćmy już czasu — wysapał, gdy wreszcie zaczęła.

— Mów do mnie, Albercie, proszę cię. — Pochyliła się do przodu.

— Nie, nie przestawaj.

— No to mów do mnie. Wiesz przecież, że to lubię.

— Jasne, wiem. Tak mi dobrze — szepnęła i jęknęła, kiedy znów się poruszyła. — Tak mi dobrze, nawet nie wiesz, jak bardzo. Nikt inny tak nie potrafi.

Robiła to tak, jak radzili w jednym z podręczników, które dał jej Albert. Miała ich cały karton i trzymała je w domu, w szafie. Kiedyś była dumna, że tylko ona potrafi tak go zaspokoić, ale ostatecznie, zamiast radości, czuła tylko pustkę i smutek. — Mów do mnie.

— Och...

— Mów do mnie, mów, Albercie.

— Dobrze, już mówię...

— Masz do mnie mówić. — Otworzyła szeroko oczy. W ciemności rozległy się jego zdławione, gardłowe jęki. Nie liczyły się jego słowa, dotyk ani zapach. Chciała tylko słyszeć ten głęboki, zachrypły jęk, narzmiął z rozkoszy, bezsilny wobec żądzy. *Gordon, Gordon, Gordon, Gordon*, huczało jej w głowie.

Przed dziesięciominutowym spacerem na przystanek autobusowy Gordon stanął w drzwiach. W ręce trzymał plastikowy worek z małym, okrągłym arbuzem i przewiązane sznurkiem pudełko z ciastem. Co za rozkosz, co za zaszczyt stać i patrzeć przez cienką szybę drzwi, które mógł otworzyć, kiedy tylko zechce. Ciepło popołudniowego słońca wywołało uśmiech na jego twarzy, gdy przyglądał się staremu, obdartemu człowiekowi, kuśtykającemu przez ulicę. Tuż za nim włókł się mały, kudłaty pies.

Dzielnica była podupadła, ale tętniła życiem. Niemal o każdej porze dnia i nocy przed domami siadywały kobiety, dzieci bawiły się na chodniku, głośna muzyka rozbrzmiewała z sunących ulicą aut lokalnych przystojniaków, którzy nigdy z nich nie wysiadali. I chociaż życie nie było tu łatwe, to powietrze eksplodowało energią, dziką i nieokiełznaną, buchającą z tak potężną siłą jak młode, zielone pędy z kruchych łodyg róż, jak kępka niesfornych żonkili spod gęstej trawy, jak pnącza psianki wokół krzewów pani Jukas. Nawet stary, spróchniały dereń ożywił się obsypującym je w połowie różowym kwieciami. Gordon i staruszka jednocześnie otworzyli drzwi. Na jego widok szybko się cofnęła. Myślała pewnie, że Gordon obserwuje jej dom. I chyba nie uspokoiłaby się, wiedząc, że tak właśnie więźniowie przygotowywali się do wyjścia na posiłek, do pracy czy do sali odwiedzin: po prostu stali, gapili się i czekali.

Kiedy wyszedł na ścieżkę, jakaś dziewczyna pobiegła za róg. To była ta sama dziewczyna, która mieszkała po drugiej stronie ulicy. Czmychnęła w krzaki pod oknem pani Jukas i znikła za jej domem. Gordon zawahał się, ale ruszył dalej. Świetnie znał tę zasadę. *Mc nie widziales, nic nie wiesz*, podszeptaby mu stary Jackie McBride. *Chyba nie chcesz tu siedzieć do zakichanej śmierci, co? Masz jeszcze szansę na normalne życie.*

Ruszył ulicą na swoją pierwszą samotną wycieczkę na wolności. Jakiś samochód zwolnił i sunął równo z nim. Gordon wyraźnie widział pasażer-

ra, młodego mężczyznę z czarnym, kręconym zarostem i w małych, okrągłych okularach.

— Ej, kolego! — zawołał, wytykając głowę przez otwarte okno. W dłoni ścisnął odznakę. — Nie widział pan tu przypadkiem dziewczyny?

— Nie, proszę pana — padła odpowiedź, pełna szacunku i mechanicznie wyuczona.

— Jak to? Przecież przed chwilą pobiegła za róg! — Uniósł ciemne okulary i popatrzył na Gordona spod zmrużonych powiek.

— Ja nic nie wiem, proszę pana. Dopiero co wyszedłem. — Serce waliło mu jak szalone. I pomyśleć tylko! Ile razy się o tym mówiło? Ile? Ludzie jego pokroju mogli zachowywać się wzorowo i przestrzegać prawa, a wystarczyło, że znaleźli się w niewłaściwym miejscu i czasie.

— A skąd pan wyszedł?

— Z domu. Mieszkam tutaj, przy Clover siedemdziesiąt pięć.

— A, no to w porządku — rzucił glina i nieoznakowany radiowóz ruszył dalej ulicą.

Gordon był jedynym pasażerem w autobusie. Trochę zaczęło go mdlić i wysiadł na pierwszym przystanku w Dearborn. Do domu Dennisa musiał jeszcze przejść jakieś dwa i pół kilometra. Najwyraźniej niewielu mieszkańców Dearborn jeździło autobusami. Tu wszyscy mieli samochody, po dwa, trzy, a nawet cztery, zauważył w myśli, licząc garaże przy olbrzymim żółtym domu na wzgórzu wzniesionym wysoko nad ulicą.

Zapamiętał tylko, że dom jego brata był szary. Gdy tylko wyszedł z Fortley, od razu chciał jechać do siebie, ale Dennis nalegał, żeby zatrzymali się w Dearborn. Nie mógł się doczekać, by przedstawić Gordonowi swoje dzieci. I pokazać mu swój wielki, słoneczny dom. — Mama uwielbiała się tym bawić — powiedział wtedy, naciskając guzik na pilocie, i w kominku pełnym brzoźowego drewna świsnął buchający płomień. — To na gaz, wyjaśnił Dennis przerażonemu bratu. — Sam zobacz, to właśnie lubiła najbardziej. — Po naciśnięciu innego guzika rozsunał się dach, otwierając się na gwiazdzistą noc jak gigantyczne oko. Dennis był wspaniałym synem. Gordon z przyjemnością czytał listy od matki, w których szczegółowo pisywała o osiągnięciach i sukcesach jego brata. Za to nie cierpiał czytać tych, które pisała w przygnębieniu, zastanawiając się, dlaczego przydarzyło im się coś tak potwornego. Zapytywała wtedy, gdzie popełniła błąd, w którym momencie go zawiodła, co powinna była zrobić inaczej? Przecież starała się jak mogła, kochała ich obu i wychowywała tak samo, czyżby o tym nie wiedział?

Worek z arbuзем uderzył go w udo. Był już niemal pewien, że się zgubił, kiedy nagle zauważył złoto-czarny szyld PRYWATNY KLUB GOLFOWY W DEARBORN i przypomniał sobie, że okna domu Dennisa wychodziły prosto na szesnasty dołek. W Dearborn jest chłodniej niż w Collerton, zauważył w myśli, wkraczając w ciemną strefę cieni lip i klonów. A cisza wydała mu się nienaturalna. Nie było tam nawet chodnika, wokół ani żywej duszy, ani jednego przejeżdżającego samochodu.

Doszedł do połowy alejki przed domem Dennisa, gdy nagle włączyły się zraszacze, tryskając łukami syczącej wody na wszystkie strony. Cofnął się i zaczekał, aż strumień wody przesunie się dalej, po czym skulony puścił się biegiem, dopóki nie zmoczyła go następna struga. Spuścił głowę, przycisnął pudełko z ciastem do piersi i uskoczył na bok, korzystając z chwilowej przerwy, i znów zaczął biec. W jednej chwili wszystko dziwnie ucichło. Czarne, okrągłe pierścienie spryskiwaczy znikły nagle, ukryte w gęstej, mokrej trawie, a pokryta drobinkami pyłu kwiatowego woda spływała po ścieżce aż na ulicę.

— Gordon! — zawołała z góry Lisa, która stała w drzwiach balkonowych. — O rany, jesteś cały mokry! — roześmiała się. Rzeczywiście, woda spływała mu po twarzy i ramionach. — Strasznie cię przepraszam. No, chodź — zachęciła, przywołując go ruchem ręki. — W porządku, już to wyłączyłam. — Znów wybuchła śmiechem i znów zaczęła przepraszać, prowadząc go do dużej, kwadratowej kuchni. — Wyglądałeś tak... bezbronnie. Och, Gordonie. — Zarzuciła mu ramiona na szyję. — Przepraszam. Strasznie się cieszę, ale jestem trochę zdenerwowana, i w ogóle... Jak to cudownie, że jesteś!

— Też się cieszę — mruknął sztywno i odsunął się.

Poprosiła, żeby przebrał się w rzeczy Dennisa, ale on osuszył się tylko ścierką do naczyń i odparł, że wszystko w porządku. Oznajmiła, że Dennisa jeszcze nie ma w domu, i Gordona ogarnęła panika. Jeszcze nigdy nie rozmawiał z nią sam na sam. Jasne piwo, najnowsze od Harringtona, powiedziała, wyjmując z lodówki butelkę. Browar Harringtona w Collerton należał do jej rodziny, a pan Harrington, zanim został teściem Dennisa, był jego pacjentem i partnerem do gry w golfa. Ich przyjaźń ochłodziła się jednak wraz z rosnącym zainteresowaniem Dennisa Lisą, młodszą od niego o dziesięć lat i świeżo po studiach. Już sama znajomość z bratem lokalnego mordercy była czymś krępującym dla ciągle podpitych, dobrodusznych Harringtonów, a mieszanie z nim krwi poprzez swoją jedyną córkę było dla nich nie do pomyślenia.

— No i jak w smaku? — zagadnęła przy pierwszym łyku.

— Niezłe — skłamał.

— Ono jest jeszcze lepsze niż poprzednie — dodała.

Usiadł na taborecie przy długim barku z zielonego granitu, który oddzielał kuchnię od dużego pokoju — jak zwykł go nazywać Dennis. W Fortley na świetlicę mówiło się duża sala. Gordon sam nie wiedział, dlaczego, skoro na raz mieściło się tam zaledwie dziesięciu czy piętnastu facetów. Musiał być ostrożny, bo pół butelki piwa, które wypił tu pierwszego wieczoru na wolności, zaraz uderzyło mu do głowy. Zresztą nawet mu nie smakowało. Lisa robiła w lodówce miejsce na arbuza. Tak bardzo chciał, żeby otworzyła pudełko z ciastem. Pamiętał, jak kiedyś mówiła, że na deser to ona najbardziej lubi czekoladowe ciasto z malinami. Dennis dziwił się, że Gordon pamięta takie szczegóły. Ale skoro miał tak mało kontaktów z ludźmi, to nic dziwnego, że łatwo mu było zapamiętać dokładnie, co kto mówił.

Lisa usiadła obok niego i metalową żyłką odcięła plaster sera na marmurowej tacy. Była wysoka, miała śniadą cerę i gęste, błyszczące, kasztanowe włosy. Owinęła długie nogi wokół taboretu. Ze swoją chłopcęją, szczupłą sylwetką była nawet atrakcyjna, choć zdecydowanie nie należała do najładniejszych dziewcząt, z którymi Dennis przyjeżdżał do Fortley. Gordon nie cierpiał tych odwiedzin. Wstydził się kobiet, a zwłaszcza obcych, i nigdy nie wiedział, co powiedzieć. Zresztą Dennis mówił prawie przez cały czas, a że zwykle miał do powiedzenia aż za wiele, wprost uwielbiał zwracać uwagę na małomówność brata i, nie szczędząc krępujących szczegółów, czuł się zobowiązany tłumaczyć, co w danej chwili Gordon myśli, czuje i rozpaczliwie próbuje wyrazić. Lisa jako jedyna umiała go uciszyć. Nachylając się do małego mikrofonu przy szybie, mówiła głosem mechanicznym jak robot: Gordon, tu Ziemia. Twój brat myśli, że zniknąłeś. Proszę, daj mu znak, że siedzisz naprzeciwko niego.

Kiedy podawała mu ser, kosmyk włosów opadł jej na twarz. Ucieszył się, że znów je zapuszcza. Na szyi miała wysadzany diamentami krzyżyk na cienkim, złotym łańcuszku. Lisa uczyła religii jeden dzień w tygodniu i co niedzielę śpiewała w chórze w kościele St. Margaret. Gordon miał wyrzuty sumienia, gdy Dennis wypominał mu, że nie przyszedł jej posłuchać.

Jeszcze przed aresztowaniem chodzili do kościoła całą rodziną. Przez pierwsze tygodnie w Fortley dobrze znany rytuał mszy świętej był dla niego jedyną pozostałością po dawnym życiu, które utracił. I właśnie tam, za niebieskimi ścianami małej, surowej kapliczki, cierpiał najsilniejsze udręki i wyrzuty sumienia i zakrywał twarz dłońmi, by stłumić szloch. W jego

żałosne i bezsensowne życie wdarało się zło, a on nie potrafił znieść ciężaru swoich win. W końcu przestał chodzić do kościoła, podobnie jak jego rodzina.

— Czy Delores też przyjdzie? — spytała Lisa. — Dennis wspominał, że ją zaprosisz.

— Nie, nie przyjdzie.

— A to szkoda! Dlaczego?

Czuł się winny, że ją rozczarował. Myślał tylko i wyłącznie o sobie.

— Pewnie musiała zostać w pracy?

— Nie wiem, nawet jej nie spytałem — odparł szybko.

— W takim razie na pewno chodzi o pracę. — Poklepała go pocieszająco po ręce. — Daję głowę, że to jedyny powód. Pewnie uznała, że za późno kończy. A może byś do niej zadzwonił? Powiedz, żeby przyjechała, gdy tylko zamkną sklep. Jimmy i Annie są jeszcze na basenie, a kto wie, kiedy wróci Dennis...

— Nie, to nie tak. Chodzi o to, że ja nawet jej nie spytałem, czy ze chce przyjść.

— Dlaczego? — Zamrugała oczami i pokręciła głową. — Czemu jej nie zaprosiłeś?

— Nie wiem. Chyba zwyczajnie nie miałem ochoty. — Zdumiewało go, jak inni próbują ustawiać mu życie, przekonani, że wiedzą, co dla niego najlepsze. Lisa i Dennis uznali, że Delores jest mu potrzebna, i dlatego nalegali, żeby do niej zadzwonił.

Lisa popatrzyła na niego przez dłuższą chwilę. — Ona jest strasznie sympatyczna — zauważyła.

— Aha.

— A przy tym taka rozmowna. — Zsunęła się z taboretu i wyrzuciła opakowanie po serze do kosza na śmieci. Uśmiechnął się, kiedy wzięła pudełko z ciastem. — Jej naprawdę na tobie zależy, Gordon. I to bardzo. — Zawiedziony, patrzył, jak chowa ciasto do lodówki. Tak chciał, żeby wiedziała, że pamiętał... — Oho! — zawołała, opierając się o barek. — Już ja dobrze znam tę minę. Typowy Loomis. Odczep się ode mnie, paniusiu. Dobra, jak sobie chcesz! — machnęła ręką. — Powiedziałam, co trzeba, i ani słowa więcej o Delores Dufault.

— Nie, to nie tak! — zaprotestował, widząc, że ją uraził. — W porządku, możemy o niej rozmawiać. Tyle tylko, że ja nie mam o niej za wiele do powiedzenia, a przynajmniej na razie. Mam całe mnóstwo innych spraw na głowie.

— Jakbym słyszała twojego brata — zauważyła, rozsuwając szklane drzwi. Wyszedł za nią na lśniący, biały taras. Powiedziała mu, że Dennis marzy o prywatnej klinice i w każdej wolnej chwili przegląda nieruchomości.

— Ciekawa sprawa — mruknął i ostrożnie usadowił się na leżaku, który zaskrzypiał i obsunął się pod jego ciężarem. Gordon znieruchomiał w obawie, że całkiem się pod nim zapadnie.

— Dennis ma już dość dłubania w dziurach i wyrywania zębów i chce zostać bogatym biznesmenem. O, właśnie takim. — Wskazała etykietę na butelce po piwie. — Żeby drukowali jego nazwisko. Loomis — napisała palcem w powietrzu. — Klinika stomatologiczno-chirurgiczna doktora Loomisa, luksusowa lecznica z bajerami.

Na dźwięk jej śmiechu przeszył go dreszcz. — Pięknie tutaj — zauważył, spoglądając na subtelny zarys zielonych pagórków. Czterej mężczyźni pchali wózki golfowe w różowawym blasku zachodzącego słońca.

— Może w weekend zagracie z Dennisem.

— Oj, chyba nie. Sam nie wiem. Nigdy jeszcze nie grałem — dodał na widok jej niezadowolonej miny.

— Dennis cię nauczy.

— Nie, teraz już za późno. Za stary jestem.

— Ale chyba nie na golfa! — rzuciła drwiąco.

— Tylko młodzi uczą się grać w golfa.

Dennis nie grał w golfa w młodości, zauważyła. Ale Dennis był urodzonym sportowcem, przypominał jej. Miał do tego naturalne zdolności. — Jak zresztą do wszystkiego. Za cokolwiek by się nie wziął, wszystko mu wychodziło — orzekł.

— Pewnie było ci z tym ciężko, co? Przecież jesteś jego starszym bratem.

— W sumie to byłem z niego bardzo dumny. On zawsze miał talent — uśmiechnął się. — A ja dzięki temu nie byłem w centrum uwagi, i właśnie o to mi chodziło! — dodał. — Zawsze był ze mnie kawał chłopca. Chciałem schować się gdzieś w kącie, a to niełatwe, jeśli jest się większym od innych — zaśmiał się.

— Och, Gordon, biedaku! — Poklepała go po ramieniu.

— Nie o to chodzi — rzucił sztywno. — Nie mówię tego po to, by się nad sobą użalać czy się tłumaczyć. Po prostu tak było, i już. Dopiero w Fordey przekonałem się, że dobrze jest być takim dużym.

— No tak, ale... — westchnęła. — Jakby się głębiej zastanowić, to jednak wpłynęło to na twoją przyszłość. Byłeś wyrośnięty i przez to zamy-

kałeś się w sobie. To strasznie niesprawiedliwe. Gdyby nie to, to pewnie nie poszedłbyś z Jerryem Coxem tamtego wieczoru i nic złego by się nie stało.

— Teraz już za późno.

— Przecież wcale tego nie chciałeś... — gestykulowała ręką, bo zabrakło jej słów.

— Nie, to nie tak. Nie można tak myśleć — wyjąkał niepewnie. Gdyby Dennis tu był, to już dawno by jej przerwał.

— A właśnie, że trzeba! Nie możesz się ciągle biczować, Gordonie.

Na procesie jego prawnik ukazał go jako samotnika, ofiarę losu, wielkiego, niezdarne go dzieciaka, któremu zależało na przyjaźni tak bardzo, że tamtego wieczoru bezmyślnie poszedł za tym sprytnym przystojniakiem, Jerryem Coxem, który cieszył się w szkole popularnością. *No i co z tego?* — zaryczał oskarżyciel podczas mowy końcowej. *I co z tego, że był najniezwyklejszym chłopakiem w całym Collerton, czy choćby na całym świecie? Czy to wystarczy, by usprawiedliwić pozbawienie życia dwojga niewinnych ludzi?*

— Muszę po prostu być realistą. Zrobiłem to, co zrobiłem, i nic już tego nie zmieni. Nigdy. — Gdyby to nie była Lisa, już dawno dałby sobie spokój i wyszedł.

— Chyba jednak tak nie myślisz, co?

— Myślę, i to jak najpoważniej — odparł chłodno.

— Patrę na ciebie i widzę, że jesteś napięty jak struna. Jakby tkwiło w tobie coś, czego nie umiesz się pozbyć.

Zamilkł na chwilę w obawie, że podejrzewa go o skłonność do przemocy. — Wiesz, to takie trudne... — wyjąkał.

— Jasne, że trudne, skoro ciągle się obwiniasz, Gordonie. A Bóg już ci wybaczył, możesz mi wierzyć. Dlaczego nie umiesz wybaczyć sam sobie? — Zatraskana, pogładziła go po ramieniu. — Przecież zrobiłeś to wbrew swojej woli, wcale tego nie chciałeś... Byłeś młody i przerażony.

I co by tujeszcze dodać? Że Janine Walters nasikała do łóżka ze strachu? I że w ogóle miało jej tam nie być? Jerry Cox zapewniał, że w domu nikogo nie będzie, że wyjechała z mężem na weekend do Nowego Jorku. Tamtego wieczoru Jerry Cox mówił różne rzeczy: że Janine była na niego napalona i zawsze zostawiała mu klucz w garażu, by mógł wejść, kiedy tylko zechce. Powiedział też, że w spiżarni jest alkohol. Mieli tylko się napić i zmykać, ale wtedy Jerry zaczął otwierać kuchenne szuflady i zaglądać do szafek w poszukiwaniu pieniędzy, które zalegali mu za sprzątanie podwórza. Pewnie są na górze, zauważył. Czasem zostawiała je

w szufladzie z bielizną, owinięte w jedwabne majtki, które wcześniej miała na sobie.

To wszystko zostało opowiedziane, spisane i przedstawione w zeznaniach, w które nikt nie uwierzył. Bo dlaczego niby mieliby w to wierzyć? A gdyby nawet, to czy choć jedno słowo czy szczegół cokolwiek by zmieniły? Nieważne, co wiedział i zapamiętał — i tak ostatecznie prawda nie miała tu żadnego znaczenia. Liczyła się tylko seria zimnych, niezbitych faktów, jak kamienna płyta na jej grobie. Uduszona czy zastraszona, Janine Walters nie żyła i nic nie przywróci jej życia, bez względu na to, jak bardzo poniżany, przerażony, zbłąkany, samotny i naiwny był Gordon Loomis w swoich chłopięcych latach. *To jest morderstwo!* — krzyczał oskarżyciel. *Zwyczajne morderstwo i nie poza tym!* I tak właśnie było.

Drzwi frontowe otworzyły się z rozmachem i do kuchni wbiegły dzieci z mokrymi włosami, nawołując matkę. Kiedy wparowały na taras, Gordon szybko wstał z leżaka. — Jimmy, Annie, chodźcie tu — powiedziała Lisa i przytuliła je do siebie, jakby chciała je uspokoić.

Wpatrywali się w niego wszyscy troje i jego skrępowanie sięgnęło paniki, gdy Lisa oznajmiła, jakie to szczęście, że ich cudowny wujek Gordon już na zawsze wrócił do domu.

— A teraz uściskajcie go i ucałujcie — nakazała, popychając je lekko. Jimmy posłał mu wymuszony uśmiech, a jego młodszą siostrą zerknęła na matkę. — Musisz się schylić, Gordonie, bo inaczej cię nie dosięgną — zauważyła Lisa.

Pochylił się, ale jego skrępowanie udzieliło się dzieciom, bo w jego niezdarnym uścisku odchyliły głowy. Czuł się fatalnie. Tam, w celi, wystawił sobie ich zdjęcia, by zaraz po przebudzeniu, wraz z pierwszym porannym blaskiem, i przed zaśnięciem jego wzrok padał na ich śliczne twarzyczki, a teraz byli dla siebie nawzajem całkiem obcy.

— No, to siadajcie w kącie i opowiedzcie wujkowi Gordonowi o sobie — rzuciła Lisa po drodze do kuchni.

Wszyscy troje powiedli za nią błagalnym wzrokiem. Z listów i odwiedzin Lisy wiedział już wszystko, ale mimochodem spytał Jimmy'ego, do której chodzi klasy. Do czwartej. A kto go uczy? Pan Kelly. A czy podoba mu się w szkole? Od czasu do czasu tak.

— On nienawidzi szkoły — wyznała Annie i spojrzała na brata, celowo unikając wzroku wujka.

— Wcale nie! — Jimmy popatrzył na nią, oburzony. — Tylko czasem jej nie lubię.

— A właśnie, że nienawidzisz, sam przecież mówisz, a mama się wściekła, bo nie wolno nam tak mówić. W ogóle nie wolno nam nienawidzić.

— Naprawdę? — zdziwił się Gordon.

— Tak.

— A dlaczego?

— Po prostu nie wolno. — Dziewczynka oblizała wargi i odgarnęła z twarzy długie, ciemne włosy i zaczęła skwapliwie tłumaczyć, że nienawiść to brzydka rzecz i jeśli człowiek nienawidzi, to też staje się brzydki, jak jakiś demon czy potwór, i wszyscy się go boją.

Zupełnie jak wasz wujek, pomyślał Gordon. Przypomniał sobie, jak spędzał tu pierwszą noc na wolności i Dennis zerwał się z krzesła jak oparzony, bo Jimmy pchnął siostrę.

— Ona ma dopiero sześć lat i dlatego jeszcze wierzy w potwory — powiedział Jimmy, wybuchając śmiechem.

— Mamo! — zawołała Annie i wbiegła do domu. Gordon został z chłopcem sam na sam. Nie wiedział, co powiedzieć.

— No i jak było w więzieniu? — spytał Jimmy.

— O, to ogromny budynek. Składał się z wielu różnych... pomieszczeń.

— A próbowałeś kiedyś, na przykład, przepiłować kraty i uciec?

— Nie, nigdy nic takiego nie robiłem.

— A dlaczego? Nie chciałeś wyjść?

— Po prostu musiałem czekać, aż przyjdzie na to czas.

— Ja przelazłbym w nocy przez mur. Wysmarowałbym sobie buzię na czarno, a do butów przyczepił przyssawki, żeby się mocno trzymały...

— Jimmy — upomniała go Lisa w drzwiach. Kazała mu zejść na dół i przeprosić siostrę.

Potem Gordon obserwował, jak Lisa przykrywa folią zapiekankę z cukini i młodych kabaczków. — Robi się późno, już dwadzieścia po siódmej. — Włożyła danie z powrotem do piekarnika. — Może powinniśmy zacząć bez niego.

— Ja tam mogę zaczekać — mruknął.

— A ja nie. Ostatnio codziennie spóźnia się na kolację.

Wtedy też zadudniła podłoga i drzwi garażu otworzyły się z łoskotem, a po chwili zamknęły. Do kuchni wpadł Dennis, rumiany i zdyszany i od razu zaczął przeproszać. Miał spotkanie z potencjalnym inwestorem, który chciał zobaczyć teren pod budowę, najpierw jeden, a potem jeszcze inny, po drugiej stronie miasta, i tak czas mu zleciał...

- Grill już gorący... — Lisa podała mu półmisek z rybą.
- Przepraszam, mówię przecież — powiedział, kiedy gwałtownie się odwróciła. Zerknął na Gordona, przewrócił oczami i dotknął jego ramienia. — Masz mokrą koszulę, i spodnie też. Co się stało?
- Wpakowałem się pod strumień wody.
- To idź i się przebierz. Mam tu sporo ciuchów.
- Już go prosiłam, Dennis, ale on nie chce — wtrąciła Lisa. — A teraz upiecz wreszcie tę rybę, dobrze?

Gordon wyszedł za nim na taras. — Co to takiego? — spytał, wskazując oleistą maź, którą Dennis smarował rybę.

- A czort wie, chyba jakaś marynata — rzucił, podsycając ogień.
- I po co to?
- Chyba po to, żeby była soczysta, a zresztą sam nie wiem — odparł i machnął ręką, poirytowany.
- No, to teraz przynajmniej będę wiedział, jak mnie pytają w sklepie.
- Jasne. — Dennis pchnął rybę dalej na ruszt i zamknął pokrywę. Po paru minutach otworzył ją, obrócił rybę, a upieczony bok skropił marynatą.

Skrepowany ciszą, Gordon wiercił się niespokojnie. Żałował, że wspominał o sklepie. Oparł się o poręcz, pochylił się do skrzynki z różowymi kwiatami i pociągnął nosem.

— One nie pachną, to pelargonie — zauważył Dennis rozdrażnionym tonem.

— A rzeczywiście. Mama hodowała takie czerwone, rosły zaraz przy schodach. Może i ja się tym zajmę. Ogarnąłem trochę te róże taty. Nieźle się przy nich narobiłem. Powyrywałem wszystkie suche badyle i teraz są same zielone łodygi, powinieneś sam to zobaczyć.

— Naprawdę? — Dennis zerknął na niego, jakby chciał coś powiedzieć, ale wziął tylko głęboki oddech i znów zabrał się do obracania ryby na grillu.

Gordon dobrze znał te jego huśtawki nastrojów. Dennis miewał je od dzieciństwa. Nadchodziły jak czarne chmury, co przesłaniają słońce na niebie, i oddalały się równie szybko, ale kiedy trwały, każdy odczuwał ich chłód i przygnębienie. Gordon odkaslnął nerwowo. — O rany, ale wielki ten grill. Jest chyba dwa razy większy od naszego piecyka.

Dennis zadarł głowę. — Bo tylko taki się zmieścił w tej ciasnej, obskurnej kuchni.

— Nie, nie to miałem na myśli! Ja wcale nie narzekam, tylko ten grill jest taki ogromny. Nigdy takiego nie widziałem.

— Wcale nie musisz tam mieszkać — zauważył Dennis, zerkając w stronę kuchni. — Wiesz, właśnie rozmawiałem z jedną babką od nieruchomości. Mówi, że bardzo chętnie zrobi ci wycenę domu.

— Ale ja nie chcę się przeprowadzać...

— Dlaczego nie? Podaj mi jeden powód, dla którego nie wolałbyś zamieszkać w nowym mieszkaniu z całym nowoczesnym sprzętem.

— Bo mi się tam podoba. Przynajmniej wiem, gdzie co jest. — Usilnie walczył ze złością na widok lekceważącego uśmiechu brata. Rozmawiali o tym już tyle razy. — To wygodny dom, a poza tym lubię tam majsterkować, no i mam blisko do pracy...

— W takim razie po co ta cała nauka, te wszystkie kursy? Wydaliśmy na to całą masę pieniędzy. I po co ci to było, do cholery?

— Oddam ci te pieniądze, mówiłem przecież — bąknął i znowu poczuł się jak pasożyt.

— A do diabła z pieniędzmi! — prychnął Dennis, pochylając się nad paleniskiem. Powiew wiatru zakołysał gałęziami drzew, ryba zaskwierczała, a ogień buchnął niebieskawo-pomarańczowym płomieniem. — Chcę tylko, żebyś miał normalne życie. Jezu Chryste! Czy tak trudno ci to pojąć?

Trudno to za mało powiedziane. To, że Dennis wierzył, że normalne życie w ogóle jest możliwe, było wręcz niepojęte. Zresztą jak brat miał zrozumieć jego skromne potrzeby, skoro przez całe życie żywił w sobie niepohamowany optymizm i siłę, która pchała takich jak on do sukcesu? — Wiem — przyznał Gordon dla świętego spokoju. — Tylko próbuję jakoś się z tym wszystkim oswoić i z początku zabierze mi to trochę czasu.

— Jasne, to rozumiem. Wkurza mnie tylko to, że przez całe życie zadowolasz się czymś gorszym. — Dennis poklepał go po ramieniu, a jego blade oczy znów pojaśniały. — W każdym razie ta moja znajoma od nieruchomości, o której ci mówiłem, ma do ciebie zadzwonić. Nazywa się Jilly Cross. Poprosiłem ją, żeby pokazała ci kilka mieszkań...

— A ty znowu o mieszkaniach? — zauważyła Lisa, wynosząc na taras wielką, niebieską misę z sałatką. — Błagam, tylko nie to. Dennis już dawno powinien mieć licencję agenta nieruchomości. Ostatnio próbuje sprzedać mieszkanie każdemu, kogo spotka. W zeszłym tygodniu po mszy podszedł nawet do księdza Hensile'a i namawiał go, żeby kupił mieszkanie dla swojej chorej matki! Jakby nagle mieszkanie stało się lekarstwem na wszystkie ludzkie problemy.

Dennis zaśmiał się, niewzruszony jej poirytowanym tonem. — Ale to naprawdę świetna sprawa, zwłaszcza dla kogoś w takiej sytuacji jak Gordon.

— To znaczy, w jakiej? — Lisa odwróciła się przy drzwiach.

— Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Gnije w starym domu, który traci na wartości z każdym dniem.

— A jemu się tam podoba, Dennis, i chyba tylko to się liczy.

— Dla kogoś, kto mieszka przy Clover Street, liczy się tylko to, żeby jakoś ująć z życiem — zawołał za nią Dennis, kiedy weszła do domu po dzieci. Wygasił ogień na palenisku i zamilkł.

— Zebraliśmy się tutaj, żeby podziękować Ci, Panie — zaczęła potem cicho Lisa, schylając głowę, gdy trzymali się za ręce przy stole.

— Za te dary — dodała Annie.

— Które z Twojej dobroci spożywać mamy — ciągnął Jimmy.

— Przez Chrystusa Pana naszego — westchnął Dennis.

Lisa wciąż stała z zamkniętymi oczami, a dzieci i Dennis patrzyli wyczekująco na Gordona.

Annie ścisnęła mu palce. — Teraz twoja kolej.

— Hm... Dziękuję ci, Panie, za...

— Nie tak! — upomniał go Jimmy.

— Miałeś tylko powiedzieć amen — zauważył Dennis.

— Ano tak, przepraszam. Już zapomniałem, jak to szło — wyjaśnił dzieciom.

— No to powiedz — nalegała Annie, ucieszona, że ktoś dorosły myli się przy tak prostej modlitwie.

— Amen — mruknął cicho.

Mając w pamięci krytyczne uwagi Dennisa za to, że mlaskał podczas lunchu w zeszłym tygodniu, starał się jeść jak najciszej. Tak bardzo przywykł do tego, by jeść łąpczywie, jednym tchem, do nikogo się przy tym nie odzywając, że nie wiedział, gdzie ma patrzeć — w talerz czy na towarzyszy posiłku. A gdy usiłował robić obie te rzeczy na raz, kawałki jedzenia spadały mu z powrotem do talerza i na spódnie.

Jimmy bacznie go obserwował. — A czy ktoś kiedyś próbował uciec z waszego więzienia? — spytał.

Brzdęk, brzdęk — zadźwięczały upuszczone na talerz widelce.

— Nie — Gordon pokręcił głową. Dzieci wiedziały, że ich wujek siedział w więzieniu za to, że ktoś umarł. Jeśli będą go wypytywać, to niech po prostu im odpowiada, radził mu Dennis w drodze do domu. Niech powie im wszystko, co powinny wiedzieć. Pomijając szczegóły zdarzenia,

oczywiście. Jak gdybym sam nie wiedział, pomyślał ze zdumieniem Gordon.

— Ale na pewno chciałeś kiedyś uciec, nie? — ciągnął Jimmy tonem pełnym nadziei.

— Wujek robił tylko to, co do niego należało — wtrąciła Lisa. — W życiu nie zawsze układa nam się po naszej myśli, a mimo to staramy się żyć jak najlepiej. Wujek Gordon był bardzo dzielny.

W oczach chłopca pojawił się błysk. — A co takiego zrobiłeś?

Gordon nie miał zielonego pojęcia. Wcale nie był dzielny, umiał tylko *wegetować*. — Po prostu przestrzegałem zasad i robiłem to, co mi kazali.

Dennis siedział z zaciśniętymi pięściami. — Jimmy, lepiej nam opowiedz, jak było na lekcji pływania — wtrącił, ale chłopiec już miał w nadzru następne pytanie.

— A czy inni więźniowie atakowali cię nożem?

— Nie — odparł z uśmiechem, jakby to było coś nieprawdopodobnego. Już miał powiedzieć, że widział, jak więźniowie atakowali jednego nożem, a nawet znał paru takich, którzy dostali taki cios, ale w porę się pohamował.

— A mój kolega Jack mówi, że zabiłeś jakąś panią — drażył Jimmy, nie spuszczając z niego wzroku.

Gordon pokiwał głową.

— Wystarczy już, Jimmy — upomniał go Dennis, a Lisa zaczęła opowiadać o konkursie pływackim Jimmy'ego w przyszłym tygodniu. To miały być klubowe zawody pływackie juniorów. Jimmy przypomniał jej, że sama mówiła, że nie musi brać w nich udziału, jeśli nie chce, na co Lisa poklepała go po ręce i powiedziała, że jeszcze o tym porozmawiają i dopiero wtedy podejmą decyzję. Jaką decyzję? — spytał Dennis, patrząc na Lisę. Przecież Jimmy należy do klubu i weźmie udział w zawodach, to chyba jasne jak słońce.

Gordonowi zdawało się, jakby słyszał głos matki. Nałożył palcem warzywa na widelec i zlizał z kciuka resztki sosu.

— Proszę. — Dennis podał mu koszyk z pieczywem.

— Nie, dziękuję — odparł. Zjadł już cztery bułki, a zostały tylko dwie. Nabrał na widelec następną porcję warzyw i znów oblizał palce.

— Proszę cię, weź do tego bułkę. — Dennis postawił przed nim koszyk z pieczywem.

— Przepraszam — bąknął Gordon.

— Daj spokój, Dennis — upomniała go szeptem Lisa.

— O tak. — Annie przełamała bułkę. — Trzeba ją przycisnąć...

— Dziękuję ci, Annie, ale wujek Gordon na pewno sam sobie poradzi — zauważyła Lisa, zerkając na męża.

— No, a co z Delores? — zagadnął Dennis. — Mówiłeś, że ją przyprowadzisz.

— Wcale nie — zaprzeczył Gordon, ocierając serwetką kąciuki ust. — Mówiłem tylko, że do niej zadzwonię.

— No i co, dzwoniłeś?

— Nie musiałem, bo sama przyszła. Wpadła bez uprzedzenia — dodał, choć brat i tak nie widział w tym nic niewłaściwego.

— No to pokpiłeś sprawę, Gordon. I to po tym, ile dla ciebie zrobiła przez te wszystkie lata. Wracasz do domu i nawet nie chcesz do niej zadzwonić?

— Bo widzisz... — Nagle zapało mu dech w piersiach. — Jakoś nie było okazji. — Wziął głęboki oddech, najpierw jeden, potem drugi.

— Dennis — westchnęła Lisa.

— Przynajmniej miałbyś jakieś towarzystwo! Ruszże się wreszcie z tej ciemnej chałupy i wyjdź do ludzi! — rzucił Dennis, nie do Gordona, ale do Lisy, która gromiła go wzrokiem.

— Przecież wychodzę i spotykam się z ludźmi. Codziennie poznaję kogoś ciekawego.

— Gdzie? — uśmiechnął się ironicznie Dennis. — W supermarkecie przy Nash Street? Daj spokój, Gordon! Co to za życie?

— Aleja...

— Jak możesz! — krzyknęła Lisa głosem drżącym od gniewu.

— Czy ty nic nie rozumiesz? — dziwił się Dennis, patrząc na brata. — Wszystko jest tak jak kiedyś. Wróciłeś do dawnego życia. Zamiast spróbować czegoś innego, znów zadowolasz się byle czym, prawda?

— Wcale nie! — odparł Gordon spokojnym, ale stanowczym tonem. — Po prostu jestem ostrożny. Nie wymagam wiele i niczego mi nie trzeba. I jest mi z tym dobrze.

— Ale przecież musisz czegoś chcieć od życia! Trzeba być ambitnym! Inaczej wrócisz tam, skąd przyszedłeś, i do końca całego swojego zakichanego życia będziesz łokciami podtrzymywał portki, żeby ci nie spadły!

Lisa chwyciła oburącz krawędź stołu. — Jak możesz tak mówić do brata? Za kogo ty się masz?

Gordon był przerażony. Podczas odwiedzin bywał świadkiem ich sprzeczek, ale nigdy nie słyszał nic podobnego. Było mu przykro, że przyczynił się do ich gniewu, ale doskonale ich rozumiał. Dennisa cieszył sam fakt, że odzyskał brata, ale nie mógł znieść jego fizycznej obecności — te-

go, że się pocił, mlaskał i ciągle robił coś nie tak. Gordon podniósł się z miejsca, zauważył, że zrobiło się późno i że powinien już pójść.

— Nie, proszę cię, zostań — namawiała Lisa.

Dennis przeprosił i nalegał, żeby Gordon jeszcze nie wychodził. Gordon stał w miejscu, po obu jego stronach zaciekawione dzieci gapiły się na niego szeroko otwartymi oczami, ale nawet dla nich nie mógł się zdobyć na uśmiech. — Strasznie jestem zmęczony, to chyba przez to piwo — powiedział, schylił się i pocałował Lisę w czubek głowy.

— Ja tylko próbuję ci pomóc — tłumaczył się Dennis, unosząc przepraszająco dłoń.

— Jasne, rozumiem — odparł, kiedy Lisa wyciągnęła rękę i złapała go za ramię. — Ale nie chciałbym sprawiać wam kłopotu.

— Słuchaj, tu wcale nie chodzi o ciebie. — Lisa ścisnęła go mocno za ramię.

— Tylko o mnie — dopowiedział Dennis, uśmiechnął się żałośnie i jeszcze raz przeprosił.

Zgodził się, żeby Dennis odwiózł go na przystanek. Jazda rzęzącym autobusem sprawiała mu naprawdę przyjemność. Kierowca, kobieta o **jasnorudych włosach**, ściętych **na** języka, **uśmiechała** się do **niego** w lusterku. W autobusie jechała tylko białowłosa kobieta w brudnych, turkusowych spodniach. Między nogami miała upchnięte trzy torby pełne zakupów, popakowanych w plastikowe worki. Kiedy Gordon wsiadł do autobusu, odwróciła się do okna, wyraźnie poirytowana.

Doskonale wiedział, co czuła. W więzieniu najgorszy był nie brak wolności, ale nieustanny kontakt z ludźmi. Gordon był święcie przekonany, że jako jeden z niewielu zniósłby całkowitą izolację, nie odchodząc przy tym od zmysłów. Ale nigdy, rzecz jasna, nie zasłużył na to żadnym występkiem czy złamaniem regulaminu. Co wcale nie znaczy, że był wzorowym więźniem, takim jak Jackie McBride, który pracował nie tylko nad sobą, ale i nad współwięźniami. Stary Jackie czuł się świetnie w bezwzględnych i zawiłych relacjach więziennej braci. Gdyby znalazł się w innym miejscu o innym czasie, Jackie mógłby być charyzmatycznym przywódcą albo politykiem, zamiast jakimś mafijnym szarakiem o żelaznych nerwach. Minęło sporo czasu, zanim Jackiemu udało się przebić przez nieufność Gordona. Jackie podziwiał jego zapał do nauki. Podczas gdy inni współwięźniowie jawnie naigrywali się z Gordona, nazywając go „upiorem”, Jackie brał jego małowówność za oznakę wyższości intelektualnej. Stary zmarł dwa tygodnie przed wyjściem Gordona na wolność.

Więzienna rzeczywistość wydawała mu się coraz bardziej odległa. Z każdym wspomnieniem umykało mu coraz więcej szczegółów. To było tak koszarne przeżycie, że teraz niemal wszystko wydawało mu się nie-realne i nie widział w tym żadnej sprawiedliwości. Jaką cenę zapłacił? Dwoje ludzi straciło życie, a on swoje zachował. Pustka i stracone lata nie były wystarczająco surową karą, jeśli nie liczyć ciągłego lęku, który targał mu duszę. *Me, to nie wszystko, coś musi się jeszcze wydarzyć* — myślał, kiedy autobus z turkotem wtoczył się pod estakadę prowadzącą do Colterton.

Harmonijkowe drzwi szybko zamknęły się za jego plecami. Wysokie lampy łukowe rzucały lawendową poświatę na obskurne ulice. Kiedyś Bradley Hill było najatrakcyjniejszą częścią miasta, a teraz większość ogromnych wiktoriańskich domów podzielono na mniejsze mieszkania, tak jak ten, na rogu, z masywnymi, dębowymi drzwiami, przy których zamocowano domofony i skrzynki na listy. Na ścianie przy wejściu ktoś napisał sprayem słowo *Aurora*. W oknach wisiały nieodpasowane kolorowe zasłony, niektóre przykrótkie, inne, związane na supeł, powiewały na wietrze nad parapetem. Wyrwane lub wybite kopniakami drążki przy balustradzie pozostawiły dziury jak brakujące zęby. Przed domem, na obszernym trawniku, gdzie niegdyś rosła świeża, zielona trawa i starannie przystrzyżony żywopłot, stało zaparkowanych sześć samochodów, zajmując cały chodnik aż do granitowego podestu. Drzwi frontowe otworzyły się i wyszła z nich pulchna kobieta w bluzce bez rękawów i workowatych dżinsach. W ręce trzymała za szyjkę butelkę z piwem. Przysiadła na najwyższym stopniu i zapaliła papierosa, a kiedy przechodził, powiodła za nim wzrokiem. Przypomniawszy sobie, jak kiedyś poszedł na przyjęcie z okazji siódmych urodzin Joan Kruger. To było zaraz za tym domem, pod gruszą. Pani Kruger miała włosy srebrzyste jak szron, nosiła futro i zatrudniała sprzątaczkę, która przychodziła co tydzień. Zatrudniała sprzątaczkę, chociaż sama nie pracowała, co jego matka uważała za przejaw lenistwa typowego dla ludzi z wyższych sfer. W korytarzu przy drzwiach stał ogromny, mahoniowy stojak na kapelusze. Pośrodku było lustro, otoczone mosiężnymi haczykami na płaszcze, wieszak z kości słoniowej na kapelusze, niżej ławeczka obita fioletowym aksamitem, a po jej obu stronach dwa zdobnie rzeźbione pojemniki — jeden na parasole, a drugi na laski.

W więzieniu, kiedy leżał skulony na pryczy plecami do drzwi celi, wracanie pamięcią do takich szczegółów było niczym niezbędnym codziennym rytuałem. Kiedy zewsząd dosięgały go groźne spojrzenia strażników,

a smród, jęki i chrapanie nie pozwalały mu zasnąć, przywoływał w pamięci każdy pokój, w którym kiedykolwiek był: meble, drzwi i okna, kolory ścian i dywanów. Jedynym pokojem, którego wnętrza nie mógł sobie przypomnieć, była *tamta* sypialnia *tamtego* wieczoru. Było zbyt ciemno, jak w jakiejś piekielnej jaskini pełnej dziwacznych kształtów i cieni w czerwonym świetle cyfr na radiowym zegarze obok łóżka: 21:16. Tylko to zapamiętał, i jej wilgotne włosy. I prychnięcie spłoszonego kota. Dywan ślizgał się pod jego zeszywniałymi stopami, pierze w spłaszczonej poduszce wgniotło się, dopóki nie poczuł dłonią jej ściśniętej szczęki. Paznokcie miała pomalowane na jasnoczerwony kolor. Zauważył to dopiero na powiększonych zdjęciach, wystawionych na sali sądowej. Dwa były zdarte do żywego mięsa. *Oto wstrząsający dowód rozpaczliwej walki młodej kobiety o życie* — orzekł oskarżyciel, uderzając wskaźnikiem o blyszczący papier, by podkreślić każde słowo: *stuk, stuk, stuk*.

Gordon skrzywił za róg i zatrzymał się, podkurczając palce u nóg. Mrużący niebieski błysk oświetlił szczyty i kąty dachów, gdzie roiło się od ludzi, a przed domem pani Jukas stał zaparkowany radiowóz. Wieczorna ciszę rozdarł piskliwy kobiecy głos. — Handlowali narkotykami tu, na chodniku, przed moim domem. Ludzie podjeżdżali samochodami, a ta mała podchodziła do nich i bezczelnie podawała im narkotyki, a potem dawała pieniądze temu facetowi, o którym wam mówiłam.

— Któremu facetowi? — spytał jakiś starszy gliniarz o kościstej twarzy. Jego obojętny ton jeszcze bardziej ją rozjuszył.

— No przecież mówiłam! Temu, co mówią do niego Feaster!

Gordon był już w połowie drogi do swojego domu, kiedy gliniarz spytał go, jak się nazywa. Gordon, odparł. Gliniarz chciał wiedzieć, czy Gordon zna Feastera.

— Nie, proszę pana, nigdy go...

— Znasz go przecież! Sama widziałam, jak z nim rozmawiałaś! — krzyknęła pani Jukas, machając gniewnie ręką nad poręczą. — To było w zeszłym tygodniu, na własne oczy widziałam!

Otarł pot z policzków i wyjaśnił, że Feaster sam do niego podszedł, chociaż wcale się nie znali.

— Pan jest tutaj nowy? — spytał gliniarz.

— Właściwie to tu się wychowałem — odparł Gordon, gapiąc się wychekując szeroko otwartymi oczami.

— Wychował się pan tutaj, a Feastera pan nie zna? — ciągnął gliniarz.

— Bo niedawno się tu wprowadziłem, jakieś dwa tygodnie temu.

— I właśnie wtedy ten Feaster znów zaczął się tu szwendać! — krzyknęła rozwścieczona pani Jukas. — I przyłazi tu, odkąd on się wprowadził. — Wskazała na Gordona.

Za budynkiem coś błysnęło i z ogrodu wyłonił się inny gliniarz, przesuwając mglistym snopem światła latarki od podestu aż do dachu. — Nic się nie pali — oznajmił starszce. — Niech mi pani wierzy, wszędzie sprawdzałem.

— Widocznie chcieli tylko panią postraszyć — orzekł starszy gliniarz. — Często to robią.

— Postraszyć! — Pani Jukas uderzyła się w piersi. — On mi zwyczajnie groził! Chcę, żebyście go aresztowali! Przecież możecie go za to aresztować! Jasne, że możecie! Grożenie emerytce to przestępstwo, już ja dobrze wiem! — I oddychając ciężko, osunęła się na swój wygięty, aluminiowy leżak.

Obaj policjanci pochyłili się nad nią. Czy dobrze się czuje? Czy słyszy, co do niej mówią? Czy znowu ma te bóle w piersiach?

Gordon natychmiast ruszył wąskimi schodami do swoich drzwi i mocno chwycił za klamkę.

— Panie Gordon! — zawołał starszy gliniarz. — Nie trzeba nikogo wzywać! Ta pani mówi, że czuje się już lepiej.

— W porządku — mruknął, odwracając głowę.

— Czy mógłby pan podejść na chwilę? — spytał policjant, przywołując go ruchem ręki.

— Tak, proszę pana. — Gordon podszedł do niego szybkim krokiem i stanął w cieniu, przerażony kupą śmieci w kącie werandy, na której kiedyś panował nieskazitelny porządek, a teraz walały się tu liście, papiery, plastikowe kubki, opakowania po jedzeniu z barów szybkiej obsługi i puste pudełka po papierosach.

Młodszy gliniarz w bojówkach z nogawkami upchniętymi w buty wyglądał jak żołnierz piechoty. Zniesmaczony, pokręcił głową, kiedy pani Jukas opowiadała, jak w zeszłym tygodniu wróciła do domu od lekarza i zastała Feastera rozwalonego na leżaku w jej ogrodzie. Powiedział wtedy, że się stamtąd nie ruszy.

— To trzeba było nas wezwać.

— Wezwałam, ale nie przyjechaliście!

— Powiedzieliśmy jej, że przez całą noc będziemy patrolować okolicę — wyjaśnił półszepem Gordonowi starszy gliniarz. — Ale na pewno poczuje się bezpiecznie, jeśli zapewnimy ją, że pan też przypilnuje jej domu.

Gordon miał co do tego wątpliwości, ale skinął posłusznie głową i zapytał, co się tu właściwie stało.

Najwyraźniej pani Jukas zwróciła uwagę Feasterowi i jego kierowcy, żeby przestali nakłaniać tę małą do handlu narkotykami przed jej domem. A tamci jej na to, żeby się zamknęła i weszła do środka, bo inaczej spala jej dom. Odpowiedziała im, że owszem, wejdzie do środka, ale po to, by wezwać policję! I tak też zrobiła, tyle że kiedy przyjechał radiowóz, to przed domem nikogo już nie było.

— Jechaliście tu przez dwadzieścia pięć minut! — krzyknęła starszka na leżaku. — Dwadzieścia pięć minut! Następnym razem zrobię zdjęcia, tak jak im powiedziałam. Przynajmniej będą jakieś dowody!

Starszy gliniarz spojrział na Gordona, przewracając oczami, a młodszy próbował wytłumaczyć kobiecie, żeby dla własnego dobra nie zadzierała z tamtymi, bo mogą być bardzo niebezpieczni, a zwłaszcza Ronnie Feaster, któremu ostatnio wydaje się, że w tej dzielnicy jest bezkarny.

Od tej pory nie powinna wychodzić z domu i niech pozwoli, żeby zajęła się nimi policja.

— Też coś! I niby jak się nimi zajmiecie? — krzyknęła drżącym głosem. Z założonymi rękami i dłońmi na ramionach wyglądała na słabą i zmęczoną. — I jaki z was pożytek? — ciągnęła znużonym głosem. — Gdy tylko odjedziecie, oni zaraz wrócą.

— Pani Jukas! — rzucił starszy glina, lekko poirytowany. — Pani sąsiad mówi, że przypilnuje pani domu. Nie będzie pani sama, prawda, panie Gordon?

— Tak, proszę pana. Przypilnuję — zapewnił.

— On się nazywa Loomis — poprawiła, wpatrując się w policjanta.

— Przepraszam, zrozumiałem, że Gordon — rzucił gliniarz, zbiegając po schodach.

— Bo tak mam na imię.

Kiedy radiowóz odjechał, kobieta popatrzyła na niego, przerażona, jakby zostawili ją sam na sam z szatanem, i skuliła się na swoim koślawym leżaku, z którego zwisały wyblakłe nylonowe strzępki.

— Proszę. — Gordon podniósł opakowanie po lunchu z McDonalda, oderwał kawałek tektury i zapisał na nim swój numer telefonu. — Gdyby pani się czegoś przestraszyła albo usłyszała jakieś dźwięki, proszę mnie wezwać. — Wyciągnął rękę z zapisanym numerem. — No, cóż — położył go na krawędzi oparcia leżaka i cofnął się o krok. — Warto mieć go przy sobie, tak na wszelki wypadek.

Jej przerażona twarz kryła przeświadczenie, że Gordon Loomis byłby ostatnim człowiekiem na tej ziemi, którego wezwałaby w środku nocy, bo taki potrafiłby zamordować ją we własnym łóżku.

To był bardzo sugestywny sen. Stał nago w supermarkecie i ustawiał słoiki z musem jabłkowym. Klienci z wózkami mijali go z obu stron, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Nagle stos słoików zaczął się chwiać. Wyciągnął obie ręce, by przytrzymać te spadające słoiki, ale one roztrzaskiwały się wokół niego. Otepiały, usiadł na łóżku, a po chwili zerwał się na dźwięk tłuczonego szkła i przenikliwego wrzasku. Otworzył okno i wychylił się przez parapet.

— Ratunku! Pomocy! Błagam, niech mi ktoś pomoże! — krzyczał w ciemności kobiecy głos.

Wciągnął spodnie, chwycił latarkę i wybiegł na zewnątrz. Pani Jukas stała na schodach, przytrzymując się poręczy. — Zbili mi szybę! — krzyknęła, kiedy wbiegał na schody. — Spałam, aż tu nagle słyszę brzęk szkła.

Powiedział, że sprawdzi w środku, ale nie chciała wejść z nim do domu, tylko stała przy frontowych drzwiach. Przeszukał pokoje na parterze, ale nie znalazł w oknach ani jednej wybitej szyby. Drzwi do kuchni były zamknięte na klucz, tylne wyjście zaryglowane, a drzwi do piwnicy zabezpieczone słabym haczykiem. Kiedy przechodził przez jadalnię, zapytał go o figurki. Gzy są całe? Czy w ogóle jeszcze tam stoją?

— Na to wygląda — odparł, zaglądając przez szklaną szybę biblioteczki, gdzie każda półka była pełna ceramicznych figurek dzieci z psami, kotami, parasolami na wietrze, koszami kwiatów i instrumentami muzycznymi. W swoich wspomnieniach całkiem o nich zapomniał. Matka zawsze mówiła, że to były jedyne dzieci, których obecność pani Jukas mogła znieść. Gordon wszedł do salonu i spytał kobietę, czy wezwała policję.

— Oczywiście! — odparła natychmiast.

— To co się tak ślimacza?

— Lepiej zadzwonię jeszcze raz — rzuciła i ruszyła spieszenie do kuchni.

Widocznie wcale nie zadzwoniła, uświadomił sobie, wchodząc na palcach schodami na górę. Powiedziała tak, żeby poskromić jego zabójcze impulsy. Mały pokój i łazienka na piętrze były nietknięte i nikogo tam nie zastał. Kolejne drzwi były uchylone i prowadziły do jej sypialni. Nacisnął włącznik na ścianie i snop światła ogarnął cały pokój. Na podłodze, tuż za łóżkiem pokrytym potłuczonym szkłem, leżała cegła. Gdyby upadła parę

centymetrów dalej, trafiłaby do pościeli i pewnie prosto w staruszkę. Podchodząc bliżej, zauważył przy ścianie budynku drabinę. Ręką uderzył gwałtownie w wyszczerbione rozbite szkło i nagle zrobiło mu się niedobrze na myśl, że ktoś wgramolił się do okna i rzucił cegłą w śpiącą kobietę. Poświecił latarką na drabinę. Loomis, wykaligrafowano na boku. To była stara, drewniana rozsuwana drabina jego ojca. Poczul lepki dotyk latarki: miał rozcięty palec. Włożył pięść do ust i zaczął ssać krew z rany. *Jego* drabina, *jego* krew na parapecie i na podłodze. Szybko zaczął ją wycierać. Gordon Loomis, zabójca po wyroku, zjawia się pierwszy na miejscu zdarzenia, a do tego jeszcze krwawi. W oddali wyła syrena, coraz głośniej, bliżej. *Czy to już koniec* — zastanawiał się, błędząc niespokojnie wzrokiem między drzwiami a oknem. *Czy to musiało się skończyć tak bezsensownie?*

— Policja jedzie! — zawołała pani Jukas, zerkając niepewnie w dal.

— Nikogo tu nie ma, tylko się skaleczyłem — rzucił i zbiegł schodami na dół.

Odkręciła wodę w kuchni i kazała mu włożyć ranę pod strumień. — To nie moja wina, trzeba było uważać. Oby tylko nie skończyło się szyciem — zrzedziła za jego plecami.

— Nie, to tylko draśnięcie.

— Już dość skarg złożyłam właścicielowi.

Zakręcił wodę i powiedział jej, że znalazł cegłę i stłuczoną szybę i że przy oknie stoi drabina.

— O mój Boże! — rozdziawiła usta. — Czyli oni tam byli, tak? Zagłędali przez okno do środka! Obserwowali mnie. — Jej oczy biegały niespokojnie od okna do drzwi, od sufitu do połogi, jakby nadal była obserwowana. — Oni tu są! — krzyknęła.

Dom wypełniły donośne dźwięki syreny. — To drabina mojego ojca — zawołał, ciągle liżąc ranę. Wyszedł za nią przed dom, a kiedy odwróciła głowę, powtórzył to jeszcze raz. — Nie wiem tylko, skąd ją wzięli. W garażu jej nie było.

— Nie, to moja drabina. — Powiedziała mu, że Dennis podarował ją jej parę lat temu. Od tamtej pory stała w krzakach za domem, oparta o mur.

Przeszukując potem ogród, policjanci natrafili tylko na wydeptaną trawę pod wybitym oknem. Tym razem nie byli to ci sami dwaj gliniarze, co przedtem: jeden czarny, a drugi Latynos. W drzwiach i oknach obserwowali ich zaspiani sąsiedzi. Paru wyszło przed dom, ale byli to sami mężczyźni.

— Na wszelki wypadek — powiedziała pani Jukas i włożyła pod język tabletkę nitrogliceryny. W zeszłym roku w Boże Narodzenie miała zawał, oznajmiła policjantowi nazwiskiem Pierce. Był to czarnoskóry, niski, zadbany mężczyzna, a jego inteligencja i lekki europejski akcent wydawały się działać na nią uspokajająco. Zaproponował, żeby pojechała na noc do znajomych albo rodziny. — Jak tylko wyjadę, od razu wleżą tu jak szczury. — Wskazała ręką na ulicę. — Tak jak w tamtym domu na rogu. — I opowiedziała, jak zeszłej zimy podczas śnieżycy stary Vêlez upadł i złamał biodro, a gdy po miesiącu wrócił ze szpitala, zastał w swoim domu ćpunów wdychających kokę przy stole, a cała kuchnia tonęła w śmieciach.

— No cóż, jak to mówią, natura nie lubi próżni — przyznał spokojnie policjant.

Pani Jukas gwałtownie uniosła głowę. — Jaka tam natura! Przecież oni są gorsi od zwierząt, kompletnie puści w środku. O, tutaj nie mają nic — dodała, uderzając się w piersi. — Mój mąż nie raz opowiadał mi o wojnie. Dopiero teraz, kiedy się rozglądam dookoła, patrzę na ten dom na rogu i na inne, rozumiem, co miał na myśli. Nawet u siebie nie jestem bezpieczna. Podpalają domy, rozbijają szyby w środku nocy. To wszystko słyszałam od niego. Czuję się tak, jakby była wojna, a ja tkwię w samym jej środku. Nigdy w życiu bym nie pomyślała, że tak to się skończy. — Jej głos zamienił się w szloch. — Boję się wyjść z domu i boję się w nim zostać...

Policjant Pierce położył jej dłoń na ramieniu. — Może jednak ktoś mógłby zostać tu z panią na noc. — Uniósł brwi i spojrzał na Gordona. — Pani sąsiad, na przykład.

— O nie! — krzyknęła. — Tylko nie to!

Dudniący rytm **muzyki** obwieścił majestatyczne przybycie fioletowego navigatora. Połączone kołpaki błyskały w mglistym, porannym świetle jak obrotowe noże. Wóz zatrzymał się, wznosząc dramaturgię nagłej ciszy. Z siedzenia pasażera zeskoczył kierowca Ronniego Feastera w czarnych, rozwiązanych tenisówkach. Był to olbrzymi młody mężczyzna z fałdami tłuszczu na karku pod ogoloną głową. W obu uszach miał wielkie złote kolczyki w kształcie kół. Feaster tymczasem zerknął na Gordona, który właśnie wyszedł przed dom, i zdawkowo skinął głową na powitanie. Tylne drzwi wozu otworzyły się, ukazując kobietę, uczeponą ramy obiema rękami. Przerazona, wyrzała na ulicę, jakby lada chwila miała osunąć się w przepaść. — No rusz się! Wsiadaj! — krzyknął kierowca i już miał ją chwycić, ale kobieta kopnęła go i odepchnęła. Feaster bez mrugnięcia mierzył wzrokiem Gordona znad **długiego**, brązowego papierosa, którego właśnie zapalał.

— Daj mi spokój! Zostaw mnie, do cholery! — wrzeszczała kobieta, zakłócając poranną ciszę, kiedy kierowca siłą wyciągał ją z wozu.

W kamienicy naprzeciwko otworzyły się frontowe drzwi i po schodach chwiejnym krokiem zbiegła loczkowata dziewczyna w ciężkich butach na platformach z zawiązanymi wokół chudych kostek sznurówkami.

— Jada! Jada! — wrzeszczała kobieta.

— Zostaw moją mamę w spokoju, Polie! — krzyknęła dziewczyna, okładając pięściami jego masywne plecy, kiedy wyciągał kobietę na chodnik. W pewnej chwili mała cofnęła się i kopnęła go w kolano. Kierowca zawył z bólu i silnie pchnął kobietę tak, że upadła jak kłoda. Mała usiłowała pomóc jej wstać, a wtedy mężczyzna, utykając, podszedł do niej i uderzył ją z tyłu głowy tak mocno, że powaliła się na nogi matki.

Feaster wyrzucił niedopałek przez okno i posłał Gordonowi uśmiech, a kierowca sięgnął do wnętrza wozu i wyjął krótki, sękaty kij.

— Jada! Jada! — ję c z a ł a kobieta, kiedy podszedł bliżej. — Wstawaj, zejź ze mnie! — krzyczała. Mała chwyciła się na kolana. Mężczyzna uniósł kij.

O mój Boże! Nie! Nie rób tego! — Gordon otworzył usta, ale słowa uwięzły mu w gardle. Kierowca walnął dziewczynę w bok, aż znów się przewróciła, coś jej powiedział, po czym wsiadł z powrotem za kierownicę. Potworny łomot muzyki wstrząsała powietrzem za odjeżdżającym wozem, a z rynsztoka od płonącego niedopałka wciąż unosiła się cieniutka strużka dymu.

— Jada! — jęknęła kobieta, gdy dziewczyna pokuśtykała do schodów i złapała się poręczy. — Gniewasz się na mnie, co? Wiedziałam, że tak będzie.

Trzymając się poręczy, mała z trudem weszła po schodach.

— Jada! Jada! Jada! — darła się kobieta na widok zamykających się za nią drzwi, po czym sama powlokła się po schodach zrezygnowanym krokiem kogoś, kogo nikt nigdy nie rozumie.

Nabierając powietrza, Gordon poczuł ból w piersiach. Brutalność zdominowała jego życie jak monotonne buczenie oślepiających jarzeniówek w Fortley. Ale to? Co to za łajdactwo, którego przed chwilą był świadkiem? I co za nedorzeczna podłość nakazała im zastraszać starszą kobietę we śnie zeszłej nocy? *..Jestem w ciąży. Błagam, nie rób mi krzywdy*, sapała z trudem Janine Walters, zanim przyduśił ją poduszką. Zamknął oczy, po raz kolejny rażony ogromem własnej bezsilności. Czy takiemu jak on wolno było czuć się wstrząśniętym i urażonym? Jakże miał prawo, by osądzać czyny innych?

Ruszył ulicą i po chwili minął te same dzieci, które widywał tu każdego dnia. Najstarszy z nich, Mike, sumiennie prowadził za rękę Jacka i Tima, swoich młodszych braci, ale gdy tylko skręcili za róg, zaraz zaczęli się szarpać i szamotać. Biegali tu i tam, zrywając jeden drugiemu czapkę z głowy, wskakiwali w kałuże, wpadali na siebie nawzajem i gdy już doszli do pasów przy szkole, byli potargani i upojeni swobodą. Gordon zwykle lubił ich obserwować, ale tego ranka ich okrzyki brzmiały mu zbyt pikliwie i niezbyt wesoło.

Myśl o dziewczynie z sąsiedztwa budziła w nim to samo poczucie upokorzenia, którego doznał w Fortley na samym początku. Nie dość, że dźwigał ciężar własnego przestępstwa, to wszystko go tam przerażało. Sprawiało, że czuł się podlej i bardziej niehumanie, nie zasługiwał na dobroć, a przy tym był zupełnie samotny. Całymi dniami nie odzywał się ani słowem, a kiedy kazali mu mówić, z jego ust wydobywał się tylko szept.

Nie mógł się stamtąd wydostać, więc musiał wyprzeć ze świadomości przemoc i cierpienie. Co noc inni więźniowie krzyczeli, szlochali, czy nawet rzucali własnymi fekaliami w przechodzących strażników. W pierwszym roku jego kary jeden z więźniów zginął wypatroszony pod prysznicem, innego podpalili żywcem w szpitalu więziennym, jakiś chłopak, niewiele starszy od Gordona, został zgwałcony w swoją pierwszą noc, ale potem wszystko się uspokoiło. W powietrzu wciąż wisiło coś złego, ale odrętwiająca monotonia sprawiała, że zdawało się to tak banalne jak wojna w innym kraju czy stale szalejąca burza. Cela była dla niego jak azyl, tam nic mu nie groziło. Zabarykadował się we własnym skupieniu i pracowitości.

W porze obiadowej zadzwonił Dennis. Powiadomił Gordona, że pani Jukas telefonowała rano do niego do pracy, akurat podczas trudnej ekstrakcji zęba, przy której lało się mnóstwo krwi. To nagły wypadek, powiedziała recepcjonistka, która wparowała do gabinetu — chodziło o jakiś napad związany z jego bratem. Staruszka kazała Dennisowi zabrać drabinę ojca, bo inaczej wezwie ludzi z Armii Zbawienia, żeby ją zabrali. Po tym, co się stało, nie chce jej tu widzieć. Dennis zapewnił ją, że zabierze drabinę najszybciej, jak tylko będzie mógł.

— Czy mógłbyś tam pójść i ją zabrać? — poprosił.

— Teraz? — Gordon wygłodniałym wzrokiem popatrzył na spaghetti z wołowiną, które właśnie postawił na stole.

— Wskocz tam na chwilkę, dobrze? Dopiero od pół godziny jestem w domu, a ona dzwoniła do mnie już dwa razy — ciągnął Dennis.

Gordon owinął talerz folią, pobiegł do sąsiedniego domu i nacisnął dzwonek mieszkania pani Jukas. Zaczekał przez chwilę i znów zadzwonił. Kobieta nie wychodziła, a głód doskwierał mu coraz bardziej, więc poszedł do ogrodu. Drabina stała w gąszczu zarośli. Usiłował ją wyciągnąć, ale ani drgnęła. Zbacząc ze ścieżki prosto w gęste krzaki, zauważył, że drabina jest przywiązana do jakiegoś kapiącego kranu płataniną bezładnych węzłów i supłów. Próbował je rozwiązać, ale się nie dało, i wtedy przypomniał sobie, że w tylnej kieszeni ma nóż do cięcia tektury. Jego ostrze bez trudu przecięło skruszały sznur.

Nad głową zaskrzypiała wtedy tylne drzwi. — Obserwowałam cię i wiem, że tam jesteś, Loomis. Nie myśl, że cię nie widzę.

Ośłaniając twarz przed uderzeniami gałęzi, wygramolił się z krzaków i wyjaśnił, po co przyszedł. — No i musiałem przeciąć ten sznur. — Sięgnął ręką w krzaki i wyjął drabinę.

— Przeciąłeś sznur?

— Tak, tym nożem. — Wyciągnął dłoń z narzędziem i kobieta cofnęła się w cień werandy. — Chyba się pani nie gniewa. Chciałem ją tylko stąd wydostać. Przepraszam, chyba powinienem był najpierw zapytać — dodał, rażony jej spojrzeniem. Wskazał na dyktę w rozbitym oknie. — Jeśli pani chce, to je zmierzę, żeby można było wstawić szybę. Tym lepiej teraz, skoro nie ma już drabiny.

— Nie, dziękuję — zamknęła drzwi.

Wziął ciężką drabinę na ramię i zaniósł do garażu. Umocowanie jej nad stropem, tam, gdzie kiedyś przechowywał ją ojciec, sprawiło mu ogromną przyjemność.

Gdy tylko usiadł do stołu, zadzwonił telefon. Dennis mówił, że pani Jukas bardzo się zdenerwowała. Myślała, że sam przyjedzie po drabinę. Nie wiedziała, że drabina znajdzie się w sąsiednim garażu, skąd każdy ła-two mógł ją zabrać, by znów wtargnąć do jej domu.

— Przecież zamknąłem garaż na kłódkę — zapewnił Gordon.

— Próbowałem jej to powiedzieć, a ona na to, że zadzwoni po kogoś z Armii Zbawienia, żeby zabrali tę drabinę.

— Mowy nie ma! To drabina taty. Powiedz jej, że chcę ją z powrotem i że ją sobie zatrzymam. — A po chwili milczenia powtórzył drżącym głosem: — To przecież drabina taty.

— Jezu Chryste, czy ty nic nie rozumiesz?

— Tak, wiem, ona po prostu się boi.

— Jasne. Ciebie się boi.

Delores Dufault zatelefonowała do Dearborn i zostawiła Albertowi wiadomość, że ma wizytę u dentysty i musi wcześniej zamknąć sklep. Obrysowała oczy siwo-niebieską kredką, usta pomalowała pomadką i obficie spryskała się Słodką Frezją, tą samą wodą kolońską, którą zawsze pachniała podczas odwiedzin w Fortley. I kwadrans po czwartej szła już z wózkiem po supermarkecie przy Nash Street. Pchała go coraz dalej w stronę działu mięsnego, zwalniając i rozglądając się przy każdym innym dziale. Gordon stał w najdalszym kącie i układał stopy zielonych i granatowych winogron na pochylonych skrzynkach. Za każdym razem, gdy pochylał się do przodu, spod koszuli było widać jego gołe plecy. Wiązałda czerwonego fartucha zwiślały mu po bokach.

Człowiekowi drobnej postury nieśmiałość pozwala zaszyć się w cień i pozostać niedostrzegalnym, ale wokół potężnej sylwetki Gordona zdawała się stwarzać jakąś złowieszczą aurę, złudną, a zarazem przerażają-

cą. W szkole go rozumiała, kiedy wchodził do klasy z opuszczoną głową, uciekając wzrokiem, i pośpiesznie siadał skulony na swoim miejscu. Sama zawsze była dość przysadzista i dobrze знаła to przykre uczucie, kiedy po popełnieniu jakiegoś błędu, gafy, udzieleniu nieprawidłowej odpowiedzi czy nagłym napadzie alergicznego kichania chciało się zniknąć, zapaść się pod ziemię albo po prostu umrzeć.

Delores udało się utrzymać swoje regularne odwiedziny w Fortley w tajemnicy przed rodziną aż do zeszłego roku, gdy któregoś dnia Lisa Loomis przywiozła Jimmy'ego do kliniki po silnej reakcji na ukąszenie pszczoły.

— Loomis... Moja siostra Delores знаła kiedyś jakiegoś Loomisa. — Jej siostra, Karen, pielęgniarka środowiskowa, zachowywała się tak, jakby szukała go w pamięci, choć wszyscy w pewnym wieku wiedzieli, kim są Loomisowie. W miasteczku mieszkała tylko jedna rodzina o tym nazwisku, a o procesie rozpisywała się cała bostońska prasa. Ojciec Jerry'ego Coxa grał w narodowej drużynie piłkarskiej i gdyby nie tamten feralny wieczór, to Jerry poszedłby pewnie w jego ślady. Gazety celowo przekręcały jego zhańbione nazwisko na „Gloomis”, czyli ponurak, a w artykułach podkreślano dramatyczny kontrast między tym Gloomi-sem-ponurakiem a przystojnym, złotowłosym Jerrym Coxem, który popełnił błąd, okazując życzliwość klasowemu głupekowi.

— O, to pani jest pewnie siostrą Delores Dufault — zauważyła Lisa swobodnym tonem. — Delores jest wspaniała. Zawsze poprawia nam humor, kiedy jedziemy do Fortley.

Po tym odkryciu cztery siostry Dufault dopadły Delores następnego ranka. Co też jej odbiło? Mój Boże, czy nie naczytała się w rubryce dobrych rad listów od kobiet, które wpakowały się w związek z więźniami? Czy była aż taka samotna? A skoro miała tyle wolnego czasu, to dlaczego, zamiast poświęcić go swoim siostrzenicom i siostrzeńcom, wolała zaimponować Lisie Harrington tym, jaka z niej równa babka?

— Mam nadzieję, że teraz, po jego powrocie, nie będziesz się z nim widywać — oznajmiła Karen przez telefon parę dni temu. Słyszała, że Gordon Loomis wrócił do domu przy Clover Street i znowu pracuje w supermarkecie.

— Możliwe, nic o tym nie wiem — odparła Delores, urażona, że o miejscu pracy Gordona dowiaduje się od siostry. Przemilczała to, że już się z nim widziała, bynajmniej nie dlatego, żeby nie denerwować siostry, ale z wyrzutu za to, że poszła do niego bez uprzedzenia. Czy to, co robi teraz, to przypadkiem nie to samo? Boże, czyżby zachowywała się jak

jakaś natrętna baba? Nie miała w koszu żadnych zakupów. Gordon od razu się domyśli, że przyszła tu do niego. I znów będzie patrzył na nią tym swoim zbolałym wzroldem, a ona znów zda sobie sprawę, jaka jest żałosna i beznadziejna.

— Ukroić pani kawałek? — Zza lady działu mięsnego wychylił się mężczyzna o zmęczonych oczach w zeszywniałym od krwi fartuchu.

— Nie, nie. Dziękuję. — Ruszyła spiesznie z powrotem.

— Delores! — zawołał za nią czyjś głos, gdy była już przy drzwiach. Gordon? Odwróciła się, uśmiechnięta, ale na drabinie stał Neil Dubbin i zdejmował zabrudzone płyty z sufitu. — Hej, jak się masz? — zapytał, szybko schodząc na dół.

Znali się z Izby Handlowej. Na ostatnim zebraniu podszedł do niej i szepnął, że dobrze by było trzymać się razem, skoro w Collerton jest ich tak niewielu. Kogo miał na myśli? Białych, odparł.

Opowiedział o tym, jak przez dziury w dachu uruchamiał się alarm. — W końcu gliny przestaną przyjeżdżać — orzekł. Jego pokryte brązowymi plamami dłonie drżały, a żółtawosiwe włosy zwisały jak strąki. Każdy z nich się postarzał, ale on był kompletnym wrakiem. — No i co wtedy? — westchnął. — Ostatnio tyle tu łajdactwa. Kiedyś parkowałem wóz na zapleczu, żeby starczyło miejsc dla klientów — dodał, wskazując na wąski parking przed sklepem. — Ale teraz nie ma mowy. Parkuję tutaj, przy samym wejściu.

— No i słusznie.

— O tak, tym bardziej że moi klienci nie mają samochodów — zaśmiał się. — A nawet gdyby mieli, to i tak jeździłoby tam, gdzie jest taniej. U was pewnie jest tak samo, nie? Wygląda na to, że mamy klientów na widelcu. — Przynął się bliżej. — Przychodzą do nas, bo nie mają innego wyjścia — zaśmiał się.

— Na to wygląda — mruknęła, kierując się do drzwi. Zdawało jej się, że w szybie widzi, jak Gordon zbliża się w jej stronę.

— W zeszłym miesiącu mieliśmy dwa włamania i jeden napad. Ten ćpun tak się wtedy trząsał, że kiedy pakował forszę do kieszeni, wypadł mu bon żywnościowy, a na nim były jego dane.

— A tak, rzeczywiście — rzuciła, robiąc o krok do przodu. — Czytałam o tym.

— No, ale koniec z tym. Teraz mam tu najlepszego ochroniarza — przysłonił dłonią usta. — Pamiętasz chyba Loomisa, co?

A więc **to** naprawdę *była* Delores Dufault. Gordon zastygł w miejscu między półkami z kawą a działem piekarniczym. Rozmawiała z Neilem. Gordon odwrócił się, popędził na zaplecze i zaczął przesuwać palety, żeby mieć pretekst do umycia podłogi.

To są mieszkania przy Lowell Road. — Jilly Cross podała mu listę adresów. Gordon zgodził się obejrzeć mieszkania tylko po to, by udobruchać Dennisa. Incydent z drabiną wywołał spore zamieszanie. Pani Jukas trzykrotnie telefonowała do Dennisa, żeby zabrał drabinę z garażu Gordona. Dennis zapewnił ją, że rozmawiał z bratem i że wszystkim się zajmie. Tego ranka jednak zadzwonił do Dennisa niejaki adwokat nazwiskiem Martin i oznajmił, że jego klientka, pani Elsbeth Jukas, domaga się, by zwrócić jej drabinę. Twierdzi, że użyto podstępu, by zabrać drabinę z jej ogrodu. Dennis obiecał, że zabierze ją do domu, a tymczasem trafiła w ręce mordercy z wyrokiem. Dennis odwołał dwie wizyty, przyjechał do Gordona i błagał go, by ten zgodził się oddać drabinę do Armii Zbawienia, ale Gordon nie ustępował: własność ich ojca nie pójdzie do obcych ludzi.

— Też mi cenna pamiątka, psia mać! — krzyknął Dennis i Gordon od razu zamilkł. Brat szybko go przeprosił. No dobrze, zgodził się. Zabierze drabinę do siebie i podrzuci ją do Collerton, gdy tylko Gordon będzie jej potrzebował. — To dla świętego spokoju, jasne? — orzekł.

— Przecież to bez sensu — wyklócał się Gordon. — I po co mamy robić sobie tyle kłopotu, a zwłaszcza ty?

— Jezu Chryste! Chyba nie chcesz, żeby wezwała kuratora sądowego, co?

Ale jemu najbardziej zależało na tym, żeby Dennis przestał się na niego złościć. Dlatego tylko zgodził się na przewiezienie drabiny do brata i na to, by agentka nieruchomości pokazała mu mieszkanie, którego wcale nie zamierzał kupić.

— Jest za drogie — oznajmił kobiecie. Tak drogie, że aż wstyd wziąć do ręki kartkę z ofertą, która zsuwała się z deski rozdzielczej. W czasie jazdy przytrzymywał ją jednym palcem.

— Wcale nie — zaprzeczyła, skręcając w ulicę, gdzie po obu stronach stały identyczne ceglane budynki z maleńkimi balkonikami z kutego żelaza. — Zważywszy na dzisiejszy rynek.

Dzisiejszy rynek. Gordon zerknął na zegarek. Nic jeszcze niejadł i nie przywykł do bycia głodnym. Nie bardzo rozumiał, o czym ona mówi. Codziennie od dwudziestu pięciu lat jadał o tych samych porach. Zaczęło mu burczeć w brzuchu, więc ścisnął kolana i zakaszła, aby zagłuszyć gło-

śny bulgot w brzuchu. Dennis mówił mu, żeby się nie denerwował, że pani jest bardzo miła — a przy tym rozmowna, więc nie będzie się stresował. Ty tylko siedź, a ona niech robi swoje, nakazał Dennis. Chodziło mu tylko o to, mówił, żeby Gordon obejrzał parę mieszkań. Gordon zerkał na kobietę. Była piękna i miała długie, faliste włosy blond. Wszystko w niej było takie delikatne: mały nos, idealne, białe zęby, szczupłe palce na kierownicy, różowe paznokcie lśniące w blasku światła. Kiedy zatrzymała samochód, zdał sobie sprawę, że po drodze ani razu nie poczuł mdłości.

— No, to jesteśmy na miejscu. Blok numer szesnaście. Dennis prosił, żeby pokazać ci wszystkie oferty, od A do Z — powiedziała, gdy wchodzili do środka. — Zresztą zawsze tak robię, a przy okazji dowiesz się tego i owego. — W ciasnej przestrzeni windy pachniała kwiatami. Drobnymi, białymi kwiatami. Głową nie sięgała mu nawet do ramienia.

Otworzyła kluczem drzwi. Jej głos, niesiony echem po pustym mieszkaniu, sprawił, że wydawała się jeszcze drobniejsza. Kuchnia jest tak duża, że zmieści się tam nie tylko stół, mówiła. W kącie wystarczy też miejsca na porządny stelaż do win. Albo na wnękę biurową.

Nie bardzo wiedział, co kobieta ma na myśli.

— Masz komputer? — spytała.

— Nie, nie mam. Ale znam się trochę, bo chodziłem na kurs. To znaczy, umiem korzystać z komputera — dodał, uspokojony, że kobieta nie docieka, gdzie pobierał kursy. Ona tymczasem nie zdradzała ani odrobiny zdenerwowania. Jeśli nawet wiedziała, kim on jest, to najwyraźniej jej to nie przeszkadzało.

Podłużny pokój dzienny zajmował tyle przestrzeni, co cały parter jego domu. Chciał jej to powiedzieć, żeby ją rozbawić, ale nie śmiał jej przezywać. Miała tak delikatny głos, że musiał schylać się i nadstawiać ucha, by ją słyszeć. I tak cudownie się śmiała — zadziwiająco głośno i dźwięcznie, jak na kogoś o tak drobnej posturze. Rozbawił ją, gdy próbował wcisnąć się do jej małego sportowego auta. Chcąc pokazać przestronność wnęki na szafę, rozłożyła ręce i obróciła się bez dotykania metalowych półek. — Prawie tak duża, że można by tu spać. To znaczy, niektórzy by się zmieścili, ale nie ty — dodała ze śmiechem.

Właściwie to z łatwością by się zmieścił, uznał w duchu. Jego cęła była mniej więcej tej samej wielkości.

W drodze powrotnej oznajmiła, że następnym razem pokaże mu jeszcze ładniejsze osiedle. Był tam klub z basenem sportowym, który na pewno mu się spodoba.

— Ale ja wcale nie pływam! — zaśmiał się bez powodu, czując w środku miłą lekkość.

— Nie umiesz? — zagadnęła, podjeżdżając pod jego dom.

— Jasne, że umiem! Tylko robię to bardzo rzadko.

Po ulicy krążył fioletowy navigator z błyszczącymi kołpakami i dudniącymi basami. Zatrzymał się na samym środku. Gordon szybko się pożegnał i wysiadł z auta. Nie chciał, żeby kobieta była świadkiem jakiegoś przykrego incydentu, jak tamten w zeszłym tygodniu. Z wozu wysiadł Feaster, zsunął ciemne okulary i uśmiechnął się chytrze na widok odjeżdżającej kobiety. — Cześć, wielkoludzie. No, ładnie, ładnie — zawołał, paradując w jego stronę. — Słuchaj, właśnie się dowiedziałem, że kiedyś tu mieszkałeś. Ale to było chyba bardzo dawno temu, co?

Gordon skinął głową.

Feaster znowu zsunął okulary. — A nie znasz przypadkiem Jacinta JumJuma? On też siedzi w Fort.

— Nie.

— Bo wiesz, JumJum i ja trzymaliśmy się kiedyś razem, o tak. — Feaster splótł ciasno obie dłonie. — Ale potem on pokpił sprawę i teraz zostałem już tylko ja. — Uśmiechnął się. — Słuchaj, olbrzym, gdybyś czegoś potrzebował, to daj znać. Zawsze jestem pod ręką. — W jednej chwili jakiś samochód skręcił z za rogu z piskiem opon i wokół rozległa się głośna muzyka i dźwięk klaksonu. Feaster pomachał ręką, żeby kierowca zwolnił. — Niezły tu ruch, co? Ale to spoko dzielnica. Już ja tu pilnuję, żeby wszystko grało.

Po mojej stronie jest ciasno. — Dennis przerzucił sznur przez dach swojego land rovera. Gordon otoczył sznurem koniec drabiny po swojej stronie i szybko zawiązał. Pani Jukas obserwowała ich z okna. — No i co, cieszysz się, stara raszpło? — syknął Dennis z uśmiechem i pomachał do niej. Kiedy skończyli, Gordon zaproponował bratu piwo. Specjalnie dla niego kupił sześciopak Harringtona. Dennis wszedł na chwilę do domu, ale **oświadczył, że piwa napije się innym razem. Śpieszył się do domu, bo miał do nich przyjść ksiądz Hensile. Dziś wieczorem przypadło Lisie poprowadzić kurs przedmałżeński w ich domu i na pewno nie spodobałoby jej się, gdyby mężulek zjawił się późno, mężulek do tego lekko wstawiony.**

— Wiesz, nawet tu ładnie. — Dennis usiadł na kanapie, założył ręce za głowę i wyciągnął nogi.

Zapytał Gordona o mieszkanie. Bardzo ładne, odparł mu Gordon.

— To dobrze — uśmiechnął się Dennis. — A więc jesteś zainteresowany.

— Nie.

— Jilly mówiła, że ci się spodobało, tylko było za drogie. Powiedziałem jej, że chętnie pomogę. Wiesz przecież, prawda?

— Nie.

— No to ci mówię.

— Nie, nie o to chodzi. Tu jest mi dobrze.

Dennis popatrzył na niego. — Słuchaj, miałem ci nic nie mówić, ale Lisa pogada ze swoim ojcem o pracy w browarze. Tam zarabiałbyś trzy, a nawet cztery razy więcej niż w supermarkecie.

— Mowy nie ma! — zaprotestował Gordon. W tej samej chwili zadzwonił telefon.

— To pewnie Jilly — zauważył Dennis, podnosząc się z miejsca. — Mówiłem jej, że tu będę.

Gordon przysłuchiwał się, jak Dennis rozmawia przez telefon. Nie miał już ochoty oglądać mieszkań, ale zależało mu, by znowu zobaczyć się z Jilly Cross.

— A skąd, nie przeszkadzasz! — zapewnił Dennis. — O, to świetnie. On na pewno chętnie się zgodzi. Zresztą siedzi tu, sama go zapytaj. — I podał słuchawkę Gordonowi.

— Słucham. — Uśmiech zniknął z jego twarzy. To nie Jilly, tylko Delores. Przepraszała, że przeszkadza mu w czasie wizyty brata. Wydawała się podenerwowana. Może oddzwoniły do niej, gdy Dennis już pójdzie. Nie, w porządku, odparł, bo nie chciał brać na siebie odpowiedzialności za podtrzymanie z nią kontaktu. Zresztą rozmawiając z nią w obecności Dennisa, czuł się jakby spokojniejszy. Brat tymczasem przyglądał mu się z uśmiechem, gdy Delores zapraszała go na piątkową kolację.

— Słuchaj, sam nie wiem. Chyba nie będę mógł. — Na jego zmarszczonym czole perlił się pot.

Dennis pokręcił głową z niedowierzaniem. Jeśli to przez pracę, ciągnęła Delores, to niech przyjdzie po tym, jak skończy. Zresztą im później, tym lepiej dla niej, bo mają w sklepie remanent i pan Smith każe przeliczyć każdą sztukę, co do ostatniego spinacza. Głos jej zadrżał. Tak, późniejsza pora jej odpowiada.

— No, nie wiem. — Odwrócił się, zasłaniając oczy, by nie widzieć rozpaczliwych gestów brata.

— Co ty wyprawiasz? — szepnął Dennis i podszedł bliżej. — Zgódź się. No, idźże do niej! Wolisz siedzieć tu przez cały czas?

— No dobrze — mruknął, krzywiąc się na jej wybuch radości. To świetnie, cudownie! Jak to cudownie, powtarzała jeszcze, gdy się rozłączył.

— Brawo! Tak trzymaj, Gordo! — Dennis zaczął stukać go palcem po ramieniu. — Musisz trochę wyluzować, wyjść do ludzi! Trzeba korzystać z życia, brachu!

Spojrzał na niego, zdziwiony. Korzystanie z życia było ostatnią rzeczą na świecie, którą chciałby robić.

— I pamiętaj, że zadzwoni Jilly. — Dennis skakał koło niego jak bokser, wymierzający mu markowane ciosy w twarz, czego Gordon szczerze nienawidził od dzieciństwa. — Zaufaj jej, to fajna dziewczyna, a do tego cię polubiła. Pozwól, żeby ci pokazała te mieszkania. Zobaczysz, co straciłeś przez te wszystkie lata.

Po tym, jak przez całą noc uparcie nie chciał włączyć grzejnika i trząsał się z zimna, Gordon ruszył spieszenie do pracy w chłodzie wczesnego poranka. Już przy pierwszych rachunkach zdziwił się, że wszystko jest takie drogie. Rozgarniając butami kupkę wyblakłych zdrapek przed apteką, zastanawiał się, czy nie zagrać, jednak pięć dolarów było zbyt wygórowaną ceną za parę chwil nadziei. W pracy poprosił o nadgodziny, ale Neil odparł, że go na to nie stać.

Tuż przed nim, na rogu, stała mała Jada z sąsiedztwa i czekała, żeby przejść przez ulicę. Gordon wciąż miał w pamięci incydent, który zdarzył się w zeszłym tygodniu przed jej domem, i nie chciał wprawiać jej w zakłopotanie, dlatego udawał, że jej nie widzi.

— Co za dupki! Moglibyście się zatrzymać — mruzczała na pędzące ulicą auta. — Dłużej już nie wytrzymam, przechodzę. — I zesza z krawężnika.

— Uwważaj! — zawołał. — Tu ciągle coś jedzie.

— A pan to kto? Anioł stróż? — rzuciła przez ramię.

— Tyle tu samochodów, że na razie nie da się bezpiecznie przejść. — Ruch uliczny działał mu na nerwy.

— Jasne. — Dziewczyna cała się trzęsała. Na jej chudym ramieniu wisiała pusta torba. Nie miała swetra ani kurtki, tylko cienką koszulkę z krótkimi rękawami. Jej ręce pokryte były gęsią skórą. — To mogę już przejść? — spytała, kiedy przejechał ostatni samochód.

Gordon rozejrzał się w obie strony. — Teraz droga wolna.

Przeszli na drugą stronę. Dziewczyna przyśpieszyła, żeby dotrzymać mu kroku. Zerknął na nią przelotnie, lecz po chwili wrócił wzrokiem, zdumiony niespotykaną, dziwną, mieszaną urodą jej nieprzeciętnej piegowatej twarzy. Jej mocno kręcone włosy miały kolor jasnej rdzy. Zdawało się, że jej skośne, zielone oczy są pozbawione powiek. Miała ładny, orli nos, a pod nim pełne, szerokie usta, które zajmowały prawie całą dolną

połowę twarzy. Jej skóra miała nieokreślony kolor, ni to biały, ni brązowy, ni żółty. Była szczupła i wysoka, a jej niedbały chłopięcy chód nijak nie współgrał z kobiecą sylwetką.

— O co panu chodzi?

— O nic. — Zwolnił i zaczekał, aż go wyprzedzi.

— To co się pan tak na mnie gapi?

— Chciałem tylko spytać, czy idziesz do szkoły—rzucił szybko, skrępowany.

— No jasne! — Uniosła ostentacyjnie torbę.

— A do której szkoły chodzisz? — spytał i zwolnił kroku. Zrobiła to samo.

— Do Craiga.

— O, do tego liceum. Też tam chodziłem. — Przypomniał sobie, jak strasznie tego nie cierpiał.

— To jest gimnazjum.

— Co za różnica?

— A bo ja wiem. — Zadrzała w nagłym porywie wiatru.

— I do której klasy chodzisz?

— Do siódmej. Zostałam na drugi rok.

— To ile masz lat?

— Trzynaście.

Za nimi szli jacyś chłopcy. Gordon nie bardzo wiedział, o co jeszcze ją spytać. Do supermarketu były jeszcze jakieś dwie przecznice. Kiedy mijali zakład obuwniczy, z alejki wyskoczył niewielki biały pies i warcząc, rzucił się im pod nogi.

— Pieprzony kundel! Spływaj stąd! — Kopnęła go, aż zaskomlał i zatonął się na ulicę.

— Ej, po co zaraz go kopać? — zawołał jeden z chłopców. Wszyscy mieli na sobie wypchane plecaki, a pod nimi kurtki i trykotowe koszulki.

— Jada, świrusko, dlaczego kopiesz takiego małego psiaka? — krzyknął inny.

Maszerując bez słowa pewnym krokiem, wyciągnęła nad głową dłoń i pokazała środkowy palec.

— Wariatka! Kretynka! — darli się za nią. — Pieprzona walnięta świruska!

Zmrużyła oczy i wykrzywiła wargi w grymasie, jakby ich docinki bawiły ją, a wręcz sprawiały jej przyjemność. Chłopcy minęli ją biegiem, wciąż wrzeszcząc.

— Czy to ich pies? — dociekał Gordon.

— A gdzie tam! — niktęła. — To pies Cootiego. A zresztą jaki tam z niego pies.

— Tak przynajmniej wyglądał.

— Mieszka w kartonie pod mostem, razem z Cootiem! Nawet jedzą razem to samo żarcie.

— I co temu winny pies?

Wzruszyła ramionami. — Nie wiem. Gdyby nie ten głupi kundel, to może Cootiemu żyłoby się dużo lepiej.

Jej logika wyraźnie go rozbawiła. — Mógłby go przecież oddać — za-uważył.

— Albo ukatrupić — dodała.

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Sęk w tym, że nie może. Oni są na siebie skazani. Po prostu nie mają innego wyjścia, sam pan rozumie — ciągnęła, kiedy razem ruszyli dalej. — To cholernie smutne, nie?

— A kto to jest ten Cootie?

— To stary dziwak. Jara na okrągło i ciągle ma na głowie narciarkę, nawet latem. A do tego jeszcze śmierdzi.

— A, to chyba gdzieś już go widziałem. — Gordon zatrzymał się przy supermarkecie. Parę dni temu Cootie był u nich w sklepie, żeby kupić papierosy za talony żywnościowe i June go wyrzuciła. Po jakimś czasie wrócił z torbą pełną pustych puszek i butelek, ale zapłaciła mu tylko za kilka sztuk, tłumacząc, że reszta pochodzi z innych firm, których produktów nie sprzedają. Kiedy przeglądała zawartość torby, Cootie buchnął do kieszeni cztery paczki cameli. Wtedy June wezwała policję, a oni kazali staremu trzymać się z dala od sklepu, bojeśli nie, to go aresztują. Tego samego dnia później ktoś wziął z platformy ładowniczej pustak i rzucił go na dach starego auta June. Gdy znowu wezwała policję, powiedzieli jej, że nic nie mogą zrobić, dopóki im nie udowodni, że to robota Cootiego.

— No cóż — odezwał się Gordon przy wejściu. — Ja muszę już iść do pracy.

— Mój kolega tu pracuje. Thurman Domínguez. Nie cierpi tej roboty, ale jego babcia mówi, że jeśli stąd odejdzie, to wyrzuci go z domu. A nikt inny nie chce z nim mieszkać.

— Szkoda, taki młody. — Gordona wcale to nie dziwiło: chłopak zionął nienawiścią.

— Wcale nie taki młody, ma chyba szesnaście lat, a przynajmniej tak twierdzi. Jego mad<a wyjechała do Nowego Jorku, żeby być jak najdalej od niego. Niezła mamuśka, co?

- Chyba lepiej już pójde. — Otworzył drzwi.
- A ta stara jędz jeszcze tu pracuje?
- To znaczy, która?
- Ta z tymi w nosie. — Wepchnęła dwa palce w nozdrza. — No, z tymi rurkami.
- A, June. Tak, pracuje.
- Cholerny babsztyl. Wypieprzyła mnie stąd raz na zawsze. — Jada przysłoniła oczy i zajrzała przez szybę. — Jakoś jej nie widzę...
- Pewnie jest na zapleczu. No, ale na mnie już czas.
- Słuchaj no! — zawołała za nim. — A mogę cię o coś prosić?
- No to słucham?
- Daj mi znać, jak ta cholera zdechnie, co? Przez nią muszę zapieprzać aż do Shop and Save po głupie mleko i inne takie.
- To powiedz, czego potrzebujesz, a ci przyniosę. Mieszkam po drugiej stronie ulicy.
- Taa, wiem. — Jej wydatne wargi zadrżały w słabym uśmiechu. — A JumJuma znasz?
- Nie, nie znam.
- On też siedzi w Fort. Pewnie o nim słyszałeś?
- Tak, słyszałem to imię — odparł sztywno. — Właściwie to nawet parę dni temu. — Zerknął na zegarek. — No, ale leć już, bo się spóźnisz.
- A co o nim słyszałeś? — spytała, bacznie go obserwując.
- To, co mówiłaś. Że tam siedzi.
- Bo widzisz, on też stuknął takiego jednego. — Rozejrzała się dookoła i przysunęła się bliżej. — Rozwalił mu mózg w nowiutkiej celice jej dziewczyny. Ale nie za to siedzi. Chodzi niby o nielegalny handel, a tak naprawdę o co innego...
- Jasne, to do zobaczenia — przerwał jej. Wyciągnęła rękę i chwyciła jego dłoń. Miała silny, męski uścisk.
- Lepiej zajrzyj do kieszeni i sprawdź, czy niczego nie brakuje — zawołała Serena, kiedy wszedł do sklepu.
- Ale po co?
- Chyba wiesz, co to za jedna, nie?
- To moja sąsiadka, mieszka po drugiej stronie ulicy.
- Fossumowie nie są niczymi sąsiadami! — prychnęła Serena. — Wcale nie mają prawa tam mieszkać. To zwyczajne pasożyty, a takich nie da się pozbyć.

Jeszcze nigdy Gordon nie pracował tak ciężko, jak podczas ostatnich kilku dni. Koleżanki z pracy twierdziły, że pod wpływem chwilowej trzeźwości ambicje Neila Dubbina sięgały coraz to wyższych i bardziej stromych szczytów, zwłaszcza że miał już na swoim koncie mnóstwo niespełnionych obietnic. Kiedy zarzekał się, że przerobi supermarket na pierwszorzędną sklep, mało kto w jego rodzinie się łudził, ale przynajmniej wierzyciele przedłużyli mu termin zapłaty o kolejne trzy miesiące. I tak Gordonowi przypadła niewdzięczna robota zrywania spróchniałych półek, aby zrobić więcej miejsca w magazynie. Neil starał się mu pomagać w przerwach między napadami silnego bólu głowy, od którego mdliło go i wirowało mu przed oczami. Zasywał się wtedy w swojej dusznej klitce, w ciemności, która była jego jedynym antidotum; oprócz alkoholu, rzecz jasna. Kiedy znowu wyszedł i usiadł przygarbiony na wywróconej skrzyni, wzdrygając się na każde uderzenie młotka, Gordon któryś raz z rzędu spytał go, czy ma przestać.

— Nie, proszę cię, stukaj sobie do woli. Chcę, żebyś to skończył. To naprawdę ważna sprawa — dodał z naciskiem. Neil świetnie umiał obarczać innych odpowiedzialnością za swoje samopoczucie. Potrzebna mu była nie tylko ich pomoc, ale i oddanie, a w pewnym sensie też uczucie, dla podniesienia poczucia własnej wartości. Zresztą może rzeczywiście tego potrzebował — Gordon nie umiał go dokładnie wyczuć, zwłaszcza przez swoją wrodzoną nieufność do ludzi. Znał już takich jak Neil, ludzi strasznie nieszczęśliwych, których błędy wynikały bardziej z ich cierpienia niż ze złej natury. I nawet błahe zainteresowanie Neila problemami innych utwierdzało ich w przekonaniu, że ten człowiek naprawdę interesuje się ich życiem.

— Nieźle sobie radzisz — zauważył Neil. — To tam cię tego nauczyli?

— Kiedyś często pomagałem ojcu — mruknął Gordon.

— Nie to, co ja i mój ojciec. Oni nigdy nie chcieli, żebym marnował czas na takie rzeczy. Chyba wyobrażali sobie, że zostanę jakimś ważnym księgowym czy prawnikiem, dokładnie nawet nie pamiętam. Dzięki Bogu, że nie sprzedali tej ziemi! — oświadczył, rozgoryczony, zataczając ręką dookoła. — Cholera, co ja bym bez niej zrobił?

Gordon postukiwał łomem, usiłując wsunąć go głębiej pod obudowę szafki.

— Chcę tylko, żebyś wiedział — ciągnął Neil — że nie pisałem ani słówka o tobie i o tym, co się wtedy wydarzyło. Nikomu nic nie powiedziałem.

Oparty ramieniem o ścianę, Gordon raz po raz wypychał ciężki metal. Manipulant, mawiał jego ojciec. Manipulant. A więc tamci nie wiedzą. Jeszcze nie. A jednak lepiej by było mieć to już z głowy.

— Bo i po co? Przecież tylko by się zdenerwowali, sam rozumiesz. A zwłaszcza dziewczyny. Jeszcze zaczną wymyślać jakieś bzdury... Dajmy na to, nie będą chciały pracować z tobą sam na sam. Tylko jak długo można utrzymywać to w tajemnicy? Pewnie niezłe piekło tam przeszedłeś, co? Taki młody i taki szmat czasu za kratkami. Ja bym nie wytrzymał. Skończyłbym ze sobą zaraz pierwszej nocy, stłuczonym szkłem, prześcieradłem albo czymś podobnym. A ty próbowałeś kiedyś?

Łom upadł na podłogę. Posapując, Gordon pociągnął półkę z całej siły.

— Na pewno o tym myślałeś, co? Głowę daję, że tak. — Jego świszczący oddech przerywał ciszę. — Wiesz, niedawno widziałem, jak ktoś odbierał cię z roboty. Piękna kobieta. Pewnie nadrabiasz stracony czas, co? Kurczę, to w końcu dwadzieścia pięć lat! Jezu Chryste, co ma ze sobą zrobić taki potężny, zdrowy facet jak ty? Założę się, że nabawiłeś się pęcherzy na dłoni, i nie tylko, co?

Szafka zsunęła się ze ściany i w powietrze wzbił się cuchnący kurz ze zbutwiałego od wilgotnej żywności drewna.

— Robiłeś to, co musiałeś, prawda? W każdym razie ja nikomu nie powiedziałem — westchnął. — Chcę, żebyś o tym wiedział.

Nadszedł piątek. Gordon wracał z pracy do domu z nadzieją na telefon od Jilly Cross. W torbie miał biszkopt, pół kilograma truskawek i puszkę naturalnej bitej śmietany na wieczorny deser. Sam się dziwił, że nie może się doczekać kolacji u Delores. Dość już miał gotowania samemu z opłakanym skutkiem. Nic nigdy mu nie wychodziło. Wczorajszy stek był tak suchy i twardy, że musiał pokroić go na drobne kawałki, żeby w ogóle dał się przeżuć.

Kiedy otwierał kluczem drzwi, rozdzwonił się telefon. — Halo! Halo! — krzyczał do słuchawki, w której słychać było już tylko ciągły sygnał. Wziął wizytówkę Jilly, wykręcił pierwsze trzy cyfry i odwiesił słuchawkę. Nie wypada wypytywać o mieszkania, których wcale nie kupi. Chyba że zadzwoni sama — to co innego.

Przez chwilę czekał przy telefonie na wypadek, gdyby znów zaczął dzwonić, a gdy ten ciągle milczał, Gordon ruszył wąskimi, drewnianymi schodami na dół, do piwnicy. Tam zdjął z siebie brudne, przepoczone ubranie i włożył do pralki, żeby na jutro było czyste. Nie pomyślał nawet,

że przydałoby mu się więcej ubrań, dopóki June nie spytała, czy ta niebieska koszula i spodnie to jedyna odzież, którą ma.

Namydlając ręce pod prysznicem, próbował przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz kupował w sklepie jakieś ubranie. Przez zaparowane powietrze zamajaczyły niewyraźne wspomnienia: jak stukając łokciami o ściany kabiny, pospiesznie się przebierał, aby zdążyć, nim rozsunie się zasłona, a potem chował się przed blaskiem światła, gdy matka podawała mu koszulę z przykrótkimi o kilka centymetrów rękawami i spodnie, przy których rozpruwała nogawki i zszywała je na nowo długim, niestarannym szwem. Jako pierwsza kobieta w rodzinie, która nie pracowała na akord w fabryce, matka szczyliła się swoim beztalentem do igły i nitki.

Włożył drelichy i żółtą koszulę, które dostał od Dennisa, kiedy wychodził z Fortley. Przysiadł na krawędzi łóżka i zaczął zawiązywać buty, obserwując z góry ogród pani Jukas. W pełnym blasku przedwiecznego słońca drzewa zdawały się gęściej porośnięte liśćmi niż rano, a trawa ciemniejsza w nadciągającym cieniu. Jedyne drzewa, które było widać z okien w Fortley, rosły w oddali, a dokoła była tylko goła ziemia, pozbawiona wszelkich krzewów czy pni, aby żaden człowiek nie mógł się za nimi ukryć.

Neil Dubbin wypytywał go o samobójcze zamiary, ale tak naprawdę Gordon nigdy nie brał tego pod uwagę. To, co najważniejsze, umarło w jego duszy, jeszcze zanim trafił do więzienia. Z czasem przestał dostrzegać na horyzoncie śmiercionośny zarys drutu kolczastego. Listy i odwiedziny, na które tak bardzo czekał, stały się bolesnymi wspomnieniami utraconego świata, a drżąca głowa ojca i jego sparaliżowana po wylewie twarz jeszcze bardziej uświadamiały mu okropieństwo własnej zbrodni. Właściwie po śmierci ojca w pewnym sensie mu ulżyło: cieszył się, że skończyła się jego męka, że uwolnił i siebie, i matkę, która wydawała się weselsza i jakby mniej zmęczona. Od tamtej pory jej listy były pełne radosnych szczegółów o bogatym życiu Dennisa, o jej wycieczkach z przyjaciółmi, a potem o tym, jak bardzo dumna była z Lisy, która okazała się idealną dziewczyną, jaką tylko matka może sobie wymarzyć dla syna — wyznała szczerze w jednym z listów. Ale on dobrze wiedział, co miała na myśli. I doskonale rozumiał. To była część ceny, którą musiał zapłacić.

Kiedy zadzwonił telefon, chwycił słuchawkę zaraz po pierwszym sygnale. Lekki wiatr rozwiął zasłony, a głos Jilly Cross wypełnił cały pokój. Przepraszała, że nie zadzwoniła wcześniej. Tamto mieszkanie zostało zarezerwowane, ale dziś po południu na rynku nieruchomości pojawiła się nowa oferta. To jest idealne, ma odpowiedni metraż, położone jest w Col-

lerton, bo przecież o to mu chodziło, tyle że w dużo lepszej dzielnicy — a przy tym, dodała jeszcze, mieści się w jego przedziale cenowym. — Od razu pomyślałam o tobie! — powiedziała, a on się uśmiechnął. — Czy mógłbyś obejrzeć je dziś wieczorem? Wykonam jeszcze parę telefonów i podjadę po ciebie.

— A tak, oczywiście. — Miał jeszcze tylko coś sprawdzić, a potem oddzwonić i dać jej znać, o której godzinie.

Wybrał numer Delores, ale ośmielony dźwiękiem nagrania szybko odłożył słuchawkę. Miał u niej być za dwadzieścia minut, więc dlaczego nie odpowiadała? Pewnie była zajęta gotowaniem. Zadzwoił jeszcze raz i wysłuchał taśmy. — Cześć, Delores — rzucił spiesznie po sygnale. — Tu Gordon Loomis. Nie mogę dziś... Chodzi o to, że będę musiał... Sama rozumiesz... No i co ja teraz zrobię? Pewnie jesteś jeszcze w sklepie i dlatego nie ma cię w domu. Spróbuję tam zadzwonić. Tak będzie najlepiej. Zaraz zadzwonię do sklepu.

Odsłuchując nagranie, Delores zamarła. Zaledwie parę centymetrów dzieliło jej dłoń od słuchawki. Już tyle razy słyszała to napięcie w głosie mężczyzn. Gdyby odebrała, powiedziała by, że nie może przyjść. Ale w przeciwieństwie do innych, przynajmniej nie przyznał się do tego w wiadomości, którą jej zostawił. Znowu zadzwonił telefon. Odezwał się jego rozpaczliwy głos: — Delores? Cześć. Tu jeszcze raz Gordon Loomis. Dzwoniłem już wcześniej, ale cię nie było, więc dzwonię jeszcze raz. Telefonowałem do sklepu, ale tam też cię nie zastałem. Nadal nie ma cię w domu, więc sam już nie wiem. Może pomyliłem daty. Zdawało mi się, że mówiłaś o dzisiejszym piątku, ale widocznie chodziło ci o...

— Gordon! — krzyknęła, pędząc co tchu do telefonu. — Nie wiedziałam, kto dzwoni. Właśnie byłam w kuchni i usłyszałam, że to ty. Wcale się nie pomyliłeś, miałam na myśli ten piątek, a więc dziś wieczorem. I właściwie prawie wszystko jest już gotowe... — Na kuchennych blatach walały się obierki po ogórkach, łupiny po cebuli i liście sałaty, karafki z oliwą i z przyprawami, a w zlewie piętrzyły się garnki i misy. Przytrzymując słuchawkę ramieniem, odkręciła gorącą wodę i zaczęła szorować brudną patelnię.

Nie mógł przyjść. Parę minut temu przypomniał sobie, że ma jakieś bardzo ważne spotkanie. — Tak mi przykro...

— O nie! — wrzasnęła. Wszystko przez te listy, na które nigdy nie dostała odpowiedzi, pełne nadziei wizyty w Fortley, jej upokarzające próby podtrzymania rozmowy, kiedy opowiadała mu o rzeczach, które

ani trochę go nie obchodziły: o swoich siostrach, o ich córkach i synach, o sklepie i o swoim szefie. I to perwersyjne uczucie podniecenia, kiedy wymawiała imię Alberta przy innym mężczyźnie — tym, na którym od lat coraz bardziej jej zależało. I podobnie jak z Albertem, ten sekret zaczęła żyć własnym życiem, a jego treść nabierała coraz to większego znaczenia wraz z wymaginowanym współudziałem Gordona, o którym on sam nie miał pojęcia. I nagle to wszystko wydało się strasznie chore. Tak, oczywiście. To było chore. Wiedziała o tym, ale nie mogła i nie chciała ciągle być tą niekochaną, i dlatego jego chłodna obojętność i jej pożądanie musiały poruszać się po równoległych torach, niekontrolowane. A teraz, kiedy doszło do ich zderzenia, nie bardzo wiedziała, do kogo właściwie ma żal: do urojonego kochanka czy do odrętwiałego towarzysko byłego więźnia. — Nie możesz tak po prostu zadzwonić sobie na dwadzieścia minut przed przyjściem! Przecież czekam tu na ciebie! Kolacja jest już gotowa. — Głos jej zadrżał, kiedy rozejrzała się po kuchni. — I co ja teraz zrobię z tym wszystkim...

— Przepraszam. Powinienem być pomyśleć. Zaraz tam będę. Na pewno zdążę na czas. Muszę jeszcze tylko gdzieś zadzwonić i już wychodzę... Zaraz przyjdę!

Z torbą wciśniętą pod ramię Gordon popędził chodnikiem.

— Dzień dobry. Jak leci? — zawołała leniwie ze schodów Marvella, matka Jady, kiedy przechodził przez ulicę, i pomachała do niego ręką.

— Dzień dobry. — Skinął sztywno głową i minął ją szybkim krokiem. Serena знаła brata Marvelli, Boba, jedyne prawie normalnego w tej rodzinie. Tylko on jeden pracuje, mówiła. Miał własną firmę — a przynajmniej jeździł własnym wozem — i czyścił szamba.

— Niech pan kiedyś wpadnie do nas, na Clover sześćdziesiąt cztery. Proszę śmiało przyjść. Na parterze, drzwi na prawo. U nas zawsze jest impreza, bawimy się na okrągło...

Jeszcze za rogiem słyszał jej lubieżny ton.

Musiał się spieszyć. Nie miał najmniejszej ochoty na ten spacer. Bolały go stopy. Bez tchu sadył po dwa stopnie na piętro do mieszkania Delores.

— Przepraszam... Przepraszam — zaczęli jedno przez drugie, gdy tylko otworzyła drzwi.

— Nie powinnam była tak do ciebie mówić — przyznała.

— A ja nie powinienem był dzwonić na ostatnią chwilę — wysapał, usiłując złapać oddech.

Ich skrępowanie dało się wyczuć, kiedy na krótką chwilę usiedli przy koktajlach. Przygotowała mu w lodówce szklanę, a on poprosił tylko o colę. Może być w puszcze, dodał, zanim zdążyła wylać ją do oszronionego naczynia. — Szkoda brudzić szklanę — dodał.

— Przecież to żaden problem — odparła i nalała mu coli. Jeden manhattan rozlał jej się na sofę, a drugiego wysączyła zdecydowanie za szybko. Siedzieli przy stole, który przed jego przyjściem przytасzczyła z kuchni. Nakryła go płóciennym, haftowanym obrusem i postawiła przy oknie w pokoju gościnnym. Potarła zapałkę i drżącą ręką zapaliła długie, zielone świece. Z kompletu matki Róża Pustynna pozostały tylko dwa talerze. Mówiła, że kiedyś odzyska cały komplet, ale on wpatrywał się w nią bez wyrazu. No tak, pomyślała, ale najpierw trzeba spisać każdy element. Nalała im obojgu Cabernet, ulubionego wina Alberta do pieczonego mięsa i od razu poczuła się lepiej. A Gordon znowu zerknął na zegarek. *Taki potężny facet, pewnie jest bardzo głodny.* Rubinowa ciecz lśniła przez ścianki kieliszka, kiedy Delores sprawnym ruchem uniosła go do toastu. — Za twój powrót do domu, Gordonie. — Przerwała, ale on nie podniósł kieliszka. — I żeby nigdy nie zabrakło ci smacznego jedzenia, dobrej zabawy i wspaniałych przyjaciół. I niech twoje serce zazna tylko miłości. — Zabrał się do jedzenia, więc poruszyła lekko kieliszkiem i wypiła łyk wina.

— Dziękuję. Bardzo ci dziękuję. — Zdażył już zjeść połowę sałatki. — Była wyśmienita — dodał, kiedy skończył i zerknął na drugi koniec stołu. Pomyślała, że czuje się skrępowany, że tak szybko zjadł, podczas gdy ona jeszcze nie skończyła swojej porcji. ZapropoNowała mu dokładkę; w lodówce stała jeszcze cała miska sałatki. — Och, nie, dziękuję. — OpoWiedziała jej, że w Fortley sałatka była mazistą papką zwiędłej sałaty i zgniecionych krojonych pomidorów. — A co to za ser? — spytał, wskazując na jej widelec.

— Z koziego mleka — odparła i zauważyła, że rozchylił wargi, kiedy podnosiła ten swój widelec do ust. Zniosła jego talerz do kuchni, a gdy wróciła, uśmiechnął się na widok dołożonej sałatki, którą postawiła przed nim na stole.

Wszystko było wyśmienite, naprawdę pyszne, powtórzył po tym, jak zjadł ostatni pieczony ziemniak. To była najlepsza kolacja, którą w życiu jadł. — Zostaw sobie trochę miejsca na deser — ostrzegła go. Nie wspomniała nawet o torcie czekoladowym, taka była wzruszona, że pomyślał o tym, by przynieść coś na deser.

— Chyba lubisz truskawki — powiedział tak przejętym tonem, że fala ciepła zalała ją od piersi aż po policzki.

— Jasne, że lubię.

— Teraz jest sezon na truskawki.

— Tak, teraz są najlepsze.

— Nie mogę się doczekać, żeby je zjeść. — Znów zerknął na zegarek.

Pomyślała, że widocznie nie chce wracać do domu po ciemku. Mówiła już przecież, że go odwiezie.

— Tego mi właśnie brakowało — mówił. — Świeżych truskawek. I właściwie tyle innych rzeczy uciekło mi z pamięci... No, może niezupełnie. Przestałem o nich myśleć i tak jakoś same odeszły. Po prostu nie miałem okazji ich robić. — Wzruszył ramionami, zażenowany.

Jeszcze nigdy nie powiedział jej tyle o swoich odczuciach. Zesztywniała na krawędzi krzesła, przypatrywała się jego twarzy: silnie zarysowany podbródek, gładkie policzki i szerokie czoło, ciągle chłopiące mimo tego wszystkiego, przez co musiał przejść — całe to zło, które mogła sobie jedynie wyobrazić, i samotność, okropniejszą od śmierci. *Dwadzieścia pięć lat*, pomyślała, patrząc zmęczonymi oczami, z nieznośnym bólem w żołądku. *Dwadzieścia pięć lat bez pieśczęt i dotyku kobiety*. Był zadziwiająco odporny na upływ czasu, młody i zarazem dojrzały, a mimo to niedoświadczony, jakby jedno z drugim nie miało żadnego związku. Głowa jej drżała, gdy siłą woli trzymała na stole dłonie zaciśnięte w pięści. *Pozwól, że ci pomogę, będę cię przytulać i dotykać, oddaj mi swoje cierpienie, a ja ci pokażę, że życie jest dobre i piękne*. Nie było dnia, by nie budziła się z myślą, jak bardzo czeka na ten dzień. Miłość, jej sekrety i szaleństwa, dzieci, jedzenie, śmiech — to wszystko było takie cudowne. Nawet cierpienie miało swój urok. Na pogrzebach i stypach robiła, co mogła, dawała z siebie wszystko, pocieszała, płakała, przytulała nawet obcych ludzi, kiedy byli w potrzebie. Nigdy nie bała się takich uczuć. Ale najgorszą męką byłoby nie móc kochać.

— Ale pewne rzeczy nigdy nie odchodzą, prawda? — spytała, nie bardzo wiedząc, co ma na myśli. Musiała być ostrożna. Wypiła sama prawie całą butelkę wina. Obiecała sobie, że tym razem nie dopuści nawet do cienia poufałości, żadnego dotykania czy siadania za blisko. Najpierw potrzebna jest więź emocjonalna. — Musiało ci być bardzo ciężko. Nie wyobrażam sobie, by w tak młodym wieku nagle stracić wszystko, czego się doświadczyło i pragnęło. No i całą przyszłość. Co się wtedy dzieje z takim dzieciakiem? — Ale jego surowe spojrzenie było jak wysoki mur nie do przebycia. Zrobiła słaby ruch ręką. — No, bo jak można żyć i nie mieć...

— Jak on to powiedział? — I nie mieć okazji robić różnych rzeczy? Jak to w ogóle możliwe? — ciągnęła, a głos i serce zadrżały jej na widok jego zimnych, nieruchomych oczu, które dawały do zrozumienia, że znowu posunęła się za daleko, tym razem nie przez nadmierną bliskość ciała, ale przez wylanie swego bólu — a przecież to jego ból ją przenikał, to jego rany chciała pomóc mu uleczyć.

— Taka jest kolej rzeczy, i już. — Zerknął na zegarek.

— Ale ty musiałeś być silny, zwłaszcza że wiedziałeś...

— Po prostu musiałem myśleć realnie.

— A Jerry Cox skłamał, wiesz przecież. Wrócił tam potem, zupełnie sam. — Czuła się niezręcznie, a mimo to nie mogła przestać. Przeczytała jego zeznanie na mikrofilmie i musiała mu pomóc, chciała, żeby wiedział, że ona jedna na całym świecie mu wierzy. Zostawił tamtą kobietę nieprzytomną i przygniecioną poduszką, ale przynajmniej jeszcze żywą. Nie udusił jej na śmierć, tak jak mu wmówili.

— Nie chcę o tym mówić. — W blasku długiego, niebieskawego płomienia jego twarz stała się niewyraźną plamą. — Jeśli pozwolisz — dodał cicho.

— Wybacz — rzuciła, podnosząc się z miejsca. — Jedną chwileczkę, zaraz przyniosę ci deser. — Poklepała go po ramieniu, a on spojrzał na nią z miną tak zbolaną i zrezygnowaną, że od tej chwili zapragnęła zrobić wszystko, czego ten mężczyzna zapragnie, wszystko bez wyjątku, mówiło mu jej spojrzenie.

— Za pół godziny muszę wyjść. Ktoś po mnie przyjedzie.

— Nie rozumiem — odwróciła się, oszołomiona. — Kto? Kto po ciebie przyjedzie?

— Agentka nieruchomości, Jilly Cross. Mówiłem przecież, że jestem umówiony, nie pamiętasz? Dzwoniłem do ciebie. Przesunąłem tylko godzinę. — Wyraźnie podenerwowany, znowu spojrzał na zegarek. — Słuchaj, nie trzeba kroić tych truskawek, można je jeść w całości. — Przeknął jedną z trudem. — Tak nawet lepiej smakuja.

— Umówiłeś się z agentką nieruchomości? — Nie powiedział, że to randka. Bo czy w takich okolicznościach wypadałoby mu użyć tego słowa?

— Jedziemy obejrzyć parę mieszkań. Podobno Jilly ma dla mnie jakieś nowe oferty.

— Oglądasz mieszkania? To znaczy, że chcesz sprzedać dom?

— Ależ nie, skąd! Mnie się tam podoba. Chodzi o Dennisa, robię to tylko dla niego. Nalega, żebym się przeprowadził, ale ja wcale nie chcę.

I pewnie chodzi mu o to, żeby pomóc Jilly Cross rozkręcić interes — uśmiechnął się.

— A mnie się zdaje, że skoro i tak nie chcesz nic kupić, to marnujesz tylko jej czas i niepotrzebnie ją zwodzisz. — *Najbardziej szkoda jego czasu*, dodała w myślach, poirytowana zachowaniem Dennisa. Przecież jeszcze do niedawna wcale nie cieszył się z powrotu brata.

— Wiem, sam jej mówiłem. — Gordon wyszedł za nią do kuchni z brudnym talerzem w ręce, a nóż i widelec wpadły do zlewu z denerwującym brzękiem. — Ona wie, że wcale nie chcę się przeprowadzić — dodał, wkładając truskawkę do ust. — Nie wiem, może myśli, że pod jej wpływem zmienię zdanie. — Uśmiechnął się i cienka, czerwona strużka soku pociekła mu po brodzie. Szybko otarł ją mankietem.

W pośpiechu skaleczyła się w kciuk. Owinęła go papierową serwetką i dalej kroić truskawki. Strzęp skóry dotykał owoców, więc go oderwała, nie zważając na to, że jej krew mogłaby wymieszać się z niedbale posiekkanymi truskawkami. Zniosła salaterkę na stół. U podstawy czaszki poczuła tępy ból. Okres. Kolejna strata. *Comiesięczna konfrontacja z pustką... Okazja, która wkrótce zniknie jak odpływająca fala*, pomyślała, stojąc nad nim ze schłodzoną śmietaną w sprayu. Potrząsnęła nią raz po raz i mocno wycisnęła długi, kręty pasek śmietany na truskawki. *Niepotrzebnie je przyniósł tak bez uprzedzenia*, myślała, patrząc na rozpryskującą się na obrus śmietaną, co jeszcze bardziej ją rozżłościło. *Me ma nawet pojęcia o tym, że wszystko zepsuł*

— Dziękuję — mruknął, przeżuwając owoc. — Jest naprawdę pyszne.

W jednej chwili ucieszyła się, że zaraz sobie pójdzie. Przynajmniej będzie miała cały wieczór dla siebie. Będzie mogła robić to, na co ma ochotę. Nie była już młodą kobietą, a nieustanna samotność męczyła ją i przerażała świadomością, że młodość już nie wróci. Usiadła przy stole, ale on nawet nie podniósł wzroku. Wzięła do ust koniuszek kciuka i patrzyła, jak Gordon przechyla salaterkę, by nabrać łyżką resztkę soku. *Me, to nie jest ostrożność ani powściągliwość. Nie. Po prostu czegoś mu brak. W duszy. A może chodzi o mnie. Może nie ma we mnie nic, co zasługuje na miłość I przywiązanie mężczyzny.*

Wyszło na to, że dziś możemy obejrzeć tylko jedno mieszkanie — orzekła sztywno Jilly Cross, kiedy jechali ulicą. Jej głos brzmiał dziś inaczej, jakby pełen napięcia.

Bał się, że ją rozzłości, kiedy niezdarnie usiłował zapiąć pas. Ósma wieczorem to zbyt późna pora dla właścicieli mieszkania przy State Line Road, a więc mogą obejrzeć tylko to w Meadowville, oznajmiła. Ale ono stoi puste i lepiej byłoby obejrzeć je za dnia.

— Nie ma sprawy, mogę obejrzeć je dziś wieczorem — zapewnił szybko. Nie miał ochoty jechać do domu. Koniec pasa wsunął pod biodro tak, aby wyglądała na zapięty. To właśnie jego nieporadność w tak banalnych sytuacjach sprawiała, że czuł się nieswojo wśród ludzi.

— Mam jeszcze jedną ofertę, ale właścicielka trzyma tam koty i podczas oglądania mieszkania musi być w domu. Sama nie wiem, ale tak słyszałam — dodała, wyraźnie roztargniona.

— A dlaczego? Czy te koty gryzą?

— Nie, to domowe koty. Widocznie kobieta boi się, że ktoś zostawi otwarte drzwi, a one uciekną.

— Domowe koty w mieszkaniu? To chyba koty mieszkaniowe — zauważył z szerokim uśmiechem. Chciał ją rozbawić. Kiedy tak jechali w stronę księżycy, wschodzącego na czarno-granatowym niebie jak wielka mandarynka, prawie zakręciło mu się w głowie. Wieczorne powietrze miało słodkawy zapach.

— No tak — przyznała. Jej policzki i nos były zaczerwienione, jakby spieczone od słońca, a wargi miały delikatnie koralową barwę o takim samym odcieniu, co chustka zawiązana wokół szyi.

— Właściwie to lubię koty — ciągnął. — W domu nigdy nie mieliśmy kota, ale pełno ich biegało po podwórzu. Mama zawsze karmiła te bezdomne, za to ojciec za nimi nie przepadał. Mówił, że miski z mlekiem i karmą dla kotów na kilometr zwabiają inne zwierzęta. Na przykład, bezpańskie psy, szopy czy skunksy. Albo wiewiórki! Boże, jak on nie cierpiał wiewiórek. Mówił na nie szczury z puszystymi ogonami. A ja prawie całym o tym zapomniałem — westchnął i pokręcił głową. — To niesamowite, ile rzeczy ucieka człowiekowi z pamięci.

Zjeżdżali akurat z autostrady. Miło było wreszcie porozmawiać, choćby o niczym. Było mu cudownie, nagle poczuł się zrelaksowany i bardziej otwarty. Nareszcie mógł być sobą. Przynajmniej nie musiał uważać na każde słowo, tak jak przy innych, a zwłaszcza przy Delores. Zastanawiał się, co by tu powiedzieć, żeby zabrzmiało inteligentnie. Jilly tymczasem zwolniła. Może — podobnie jak on — pragnęła, żeby ta podróż trwała jak najdłużej.

Przy bramie okazała strażnikowi licencję agenta nieruchomości. Osiedle Meadowville było ogromne i obejmowało co najmniej dziesięć

pięciopiętrowych bloków. Jilly zatrzymała się na parkingu dla gości, nie wyłączając silnika. Światło reflektorów padało na ogród skalny, pełen białych kwiatów. Pośrodku stała fontanna w kształcie ryby. Z jej otwartego pyszczka ciekła woda.

— Gordon... O rany, nie wiem, co powiedzieć. Słuchaj, ja nie wiedziałam, że ty... To znaczy, wiem, że długo cię nie było, ale Dennis nigdy nie mówił, dlaczego.

— Aha. — Odwrócił się, omyłkowo wypuszczając pas, który szybko się zwinął, gdy Jilly ruszyła z miejsca. — Przepraszam, myślałem, że wiesz. — Cofnął stopy i przywarł kolanami do tablicy rozdzielczej.

— Dopiero co mi powiedział. Chwilę przed tym, jak po ciebie przyjechałam — przyznała, dotykając rumianego policzka i szyi.

— Strasznie mi przykro — odrzekł i wziął głęboki oddech. — Nie wiem, co powiedzieć. — Wilgotne, kamienne skrzela ryby zdawały się otwierać i zamykać.

— Mówiłam mu, że jest już późno i że zdążymy obejrzeć tylko jedno mieszkanie, to, które stoi puste. Powiedziałam też, że takie wyjątki robię tylko dla znajomych klientów, no a ty jesteś przecież jego bratem — westchnęła.

— Rozumiem, w takim razie nie musimy tam iść.

Jej wargi poruszały się, aż wreszcie wyrzuciła to z siebie. — Powiedział, że to było morderstwo i że tamta kobieta była mniej więcej w moim wieku.

Pokiwał głową.

— Mówił, że to był wypadek. Podobno nie chciałeś, żeby cię zobaczyła, a ona udusiła się pod poduszką.

Przetarł oczy.

— Nie rozumiem. Jak można to nazwać wypadkiem? — dziwiła się. Przeszedł ją dreszcz i objęła się ramionami.

— Jasne — mruknął beznamyślnie. Nagle powietrze wydało mu się ciężkie, a księżyc jakby bledszy.

— Wypadki dzieją się mimo woli, a ty celowo włamałeś się do jej domu, prawda?

— Myśleliśmy, że nikogo nie ma — wyjąkał. Mówienie sprawiało mu ból.

— I wtedy się obudziła?

Skinął głową.

— To dlaczego nie uciekłeś?

Zerknął na jej śliczną twarz, ale odwrócił wzrok, onieśmielony jej niewinnością. Ile już razy zadawał sobie to pytanie?

— Dlaczego po prostu nie wyszedłeś?

Pokręcił głową i zmrużył oczy. Jerry krzyczał, żeby zakryć jej twarz, a on chciał uciekać. Czuł, że to właśnie powinien zrobić. Zdażyłby uciec i uratowałby życie sobie i jej. Ale wtedy chwycił leżącą obok niej poduszkę, tę, na której leżałby jej mąż. Powinien był tam wtedy być, a tymczasem ona skrzyła kostkę, która spuchła jej tak bardzo, że nie mogła jechać z nim, i kiedy dwóch wstawionych, na wpół przytomnych intruzów wtargnęło do jej sypialni, leżała tam całkiem sama. *Jakby gotowa na śmierć*, szepnęła oskarżyciel do ławy przysięgłych. *Ostąpiła Janine Walters i jej nienarodzony syn leżeli wyczekująco bez ruchu w ostatnich chwilach swojego życia.*

— To chyba straszne uczucie zdać sobie sprawę, że ktoś... No wiesz, wchodzisz, patrzysz, a ona tam leży... Sama nie wiem. — Znowu przeszedł ją dreszcz. — Dennis mówi, że to najgorsze, co mogło mu się przydarzyć. I w ogóle całej rodzinie. Twierdzi, że po tym wszystko się zmieniło.

Gordonowi zabalgotało w żołądku od fermentującej śmietany i truskawek, których kwaśność podchodziła mu do gardła. Dennis miał rację: nie powinien był tu wracać. Ludzie nie wiedzą, jak sobie z tym radzić. A zresztą, z jakiej racji miałyby tego od nich oczekiwać? Zbrodnia wykroczyła tak daleko poza granice normalnego życia, że początkowo sam nie zdawał sobie sprawy z jej potworności i następstw. Ale jego łzawe wyznania spotkały się z drwiną. A przecież wtedy, gdy wybiegł z jej sypialni, rozbijając się o stoliki, lampy i telefon, i stoczył się ciemnymi schodami na dół, w łagodną, dżdżystą noc, miał świadomość tego, że ona jeszcze żyła... *Pędzili przez aleje i ogródki, a on zanoślił się szlochem, kiedy Jerry raz po raz wypytywał, czy widziała jego twarz. Czy jest pewien, że go nie widziała? A co mówiła? Błagam, nie — słyszał. A potem tylko jakieś jęki.*

— *To znaczy, że nie żyje?* — spytał Jerry, chwytając go za koszulę, żeby się zatrzymał.

— *Ależ skąd!* — *upierał się. Jasne, że żyła.*

— *Przecież nawet się nie ruszała. Leżała jak kłoda.*

— *No tak, ale wciąż ją słyszałem.*

— *A co słyszałeś?*

— *Coś jakby cichy jęk.*

— *Jezu Chryste! No to musimy tam wracać!*

— *Nie!*

— **Me** mamy innego wyjścia, pieprzony durniu!

— **Me**, nie mogę! Nie dam rady! — wysapał i popędził dalej. Kiedy wpadł do domu, matka właśnie robiła prażoną kukurydzę. Namawiała go, żeby się do nich przyłączył I tak siedzieli stłoczeni w ciasnym, ciemnym pokoju i gapili się w telewizor. Matka, ojciec i Dennis oglądali mecz Red Soxów, a on nienawidził samego siebie i brzydził się własnym tchórzostwem. Najpierw skrzywdził tę biedną kobietę, a potem nie miał odwagi wrócić tam z Jerry'm, żeby jej pomóc. Oby tylko nic się jej nie stało, oby tylko przeżyła, szeptał błagalnie do pałkarzy, miotaczy, sędziów i rozwrzeszczanych kibiców, którzy zdawali się rzucać mu nienawistne spojrzenia. I wtedy w kuchni zadzwonił telefon. Matka oznajmiła, że to do niego.

— Już po niej — szepnął Jerry.

— **Me.** — rzucił tak głośno, że wszyscy podnieśli głowy.

— Stul pysk! Nikt się nie dowie, że tam byliśmy, tylko siedź cicho! Masz trzymać gębę na kłódkę, do cholery! Ani słowa nikomu, rozumiesz?

Matka stanęła przy nim, dopytując się, kto dzwoni, a po chwili wydała z siebie stłumiony okrzyk, złapała go za ręce i przyjrzała się ranom na obu ramionach. To od kolców, wyjaśnił Pokaleczył się o krzaki róż, kiedy szedł przez podwórze. Ale matka zawołała ojca, a ten stwierdził, że rany są za głębokie jak na kolce róż. Każde słowo wymawiał z naciskiem, jakby wiedział, że dzieje się coś złego, i nie chciał, żeby cokolwiek splamiło niewinność jego róż. Wtedy oświadczył im, że ktoś go pobił. Po prostu wdał się w bójkę. A z kim? Z jakąś dziewczyną?— drwił sobie Dennis.

— Popatrz, zgubiłeś sygnet! — zauważyła matka. — Nowy, markowy sygnet — zwróciła się do ojca, który wbrew jej woli pozwolił Gordonowi wybrać najdroższy.

— Na pewno się znajdzie — uspokoił ją ojciec. — Jest na nim jego imię i nazwisko. Kazałem je wygrawerować, żeby w razie czego było wiadomo, komu go zwrócić.

Następnego ranka do drzwi zapukała policja. Funkcjonariusz trzymał w ręce plastikowy worek. Spytał, czy to sygnet ich syna.

— A więc znalazł go pan! Bardzo panu dziękuję — odparła matka, która nagle stała się częścią bezcielesnego chóru głosów, recytujących w myśl nakazu serię nazwisk, dat i miejsc, że ma prawo milczeć, co ma mówić, a czego nie, i że może skorzystać z pomocy własnego adwokata, a jeśli nie, to przyznają mu obrońcę z urzędu...

Jilly odwiozła go do domu. Mieszkanie obejrzą innym razem, kiedy będzie jaśniej. W porządku. I tak nie interesowały go mieszkania. Zależało mu tylko na tym, żeby jej nie wystraszyć. Zaparkowała przed jego do-

mem. Po drugiej stronie ulicy dwóch małych chłopców przypatrywało się, jak Jada Fossum upuszczają jojo i nawijają je z powrotem, a ciężarek kręci się dynamicznie na napiętym sznurku. W tyle, na schodach przy drzwiach, stały w cieniu dwie ciemne postacie. Po chwili zadzwonił telefon i jeden z mężczyzn zaczął rozmawiać przez komórkę, przechadzając się tam i z powrotem.

— Zaczekaj, Gordon — odezwała się Jilly, kiedy chwycił za klamkę drzwi auta. — Przepraszam. Naprawdę strasznie mi przykro.

— Wcale nie musisz przepraszać.

— To był dla mnie wielki szok. Dowiedziałam się tak nagle, to wszystko spadło na mnie jak grom z jasnego nieba. Nie miałam nawet czasu tego przetrwać.

— Jasne — odparł, siląc się na uśmiech.

Na ulicy stał zaparkowany fioletowy navigator. Po schodach zeszło dwóch mężczyzn w kapturach na głowach. Polie powiedział coś do chłopców i tamci zaraz uciekli, a Feaster objął Jadę ramieniem i szepnął jej coś na ucho. Dziewczyna wyminęła obu mężczyzn i wsiadła do wozu.

— Myślisz, że to, co się stało, to jakieś zrządzenie losu? Mam na myśli to morderstwo — zagadnęła, patrząc na niego.

— Chyba nie rozumiem — odparł, lekko zaskoczony. W Fortley pełno było fatalistów i ich nieszczęsnych ofiar.

— No wiesz, to, że znaleźliście się tam razem, i ty, i ona. I nagle jakby to wszystko złożyło się w jedną całość, i to w tak okropny sposób. Ja na przykład w to wierzę — dodała.

— Wierzysz, że nie ponosimy winy za to, co robimy? — spytał cicho. W jednej chwili wydała mu się bardzo młoda.

— No tak, w pewnym sensie. Zresztą nauka daje na to dowody. Jak by się głębiej zastanowić, to wszystko jest przesądzone: to, kim jesteśmy i jacy będziemy w przyszłości. Mamy to zapisane w genach.

A już myślał, że powie „w gwiazdach”. A to znaczyłoby, że jesteśmy zaledwie maleńkimi pchełkami, które skaczą przez wyznaczone krążki w pozbawionym sensu wszechświecie. Nędzni, bezbronni, niewinni.

— Tak naprawdę człowiek jest w stanie zrobić tylko to, na co pozwala mu przeznaczenie. Zresztą o to właśnie chodzi, nie? Trzeba się starać żyć jak najlepiej, bez względu na wszystko. Nieważne, co się wydarzy, a co nie. Nie liczy się to, co mamy, ani to, czego nie mamy — westchnęła. — Niezbyt jasno się wyrażam, ale rozumiesz, co mam na myśli?

A więc jej teoria zrobiła z niego urodzonego mordercę, zaprogramowanego genetycznie, z wrodzoną skłonnością do zabijania, bezwolnie

ulegającego naturalnym morderczym impulsom, wywoływanym jakąś ślepą, przypadkową siłą. I choć nie wiedział wiele, to jednak był święcie przekonany, że to nieprawda.

— Sam nie wiem, ale chyba tak. To całkiem możliwe — odparł powoli. Może i nie zdawała sobie sprawy z wagi własnych słów, ale wzruszyło go to, że starała się jakoś go usprawiedliwić.

Kiedy już odjechała, navigator ruszył po ulicy. Na tylnym siedzeniu Jada skręciła szybę, uśmiechnęła się i energicznie pomachała do Gordona.

Jada kucnęła w toalecie i przypatrywała się spod przymrużonych powiek wylotowi muszli klozetowej, aż wreszcie nożem kuchennym odkręciła płytę. Mysie odchody i kawałki gipsu wysypały się razem ze zwitkiem banknotów, który wyjęła z pojemnika. Osiemnaście dolarów — tyle tylko udało się jej znaleźć w dzinsach matki po tym, jak wróciła z Lowell czy skądkolwiek tym razem ją diabli przygnali. Jada nie lubiła zostawiać jej samej na zbyt długo, a w domu nie było nic do jedzenia.

Zadzwoił telefon. Pobiegła podnieść słuchawkę, nim obudzi się matka. To pewnie znowu szkolny psycholog. Albo Ronnie Feaster. W obu przypadkach oznaczało to kłopoty. W szkole nie było jej przez cały tydzień, a matka znów pokłóciła się z Ronniem. Była mu winna sporą sumę pieniędzy i zaczęła mu płacić gotówką, tak jak cała reszta, bo choroba nie pozwalała jej obsługiwać klientów. Raz obudziła Jadę w środku nocy. Płacząc, tłumaczyła, że musi gdzieś iść i że zaraz wróci. Po trzech dniach przywlokła się do domu z podbitymi oczami i pociętą twarzą. Leżała w łóżku prawie bez ruchu i Jada raz po raz sprawdzała, czy jeszcze oddycha. Ale teraz matka budziła się coraz częściej. Kazała Jadzie zadzwonić do Ronniego, a ta skłamała, że zostawiła mu już z dwadzieścia wiadomości.

Matka jęknęła, kiedy Jada chwyciła z łóżka dzwoniący telefon. Pognała do łazienki. Jeśli to on, powie mu, że matka jeszcze nie wróciła. Za parę dni najgorsze minie i znowu przestanie brać.

— Halo — odezwała się niskim głosem, przystaniając dłonią słuchawkę. — Tak, tu Marvella Fossum — oznajmiła szkolnej sekretarce, która dopytywała się, dlaczego Jada nie chodzi do szkoły. — Złapała grypę. Jest taka słaba, że nie może jeść ani nawet ruszyć się z łóżka. — To nie było dalekie od prawdy. Dziś zjadła tylko precle i wypiła mleko, tak ohydne w smaku, że pijąc je, musiała wstrzymywać oddech.

— Coś długo choruje — zauważyła sekretarka. — A była u lekarza?

— O tak, już dwa razy ją wiozłam. Za każdym razem mówili to samo: żeby pić dużo płynów i spać. Ona musi się porządnie wyspać. I wywalić to z organizmu — dodała, rozochociona. Powinna zostać aktorką, tak powiedział kiedyś JumJum, a Marvella na to: jasne, ciekawe tylko, w którym filmie obsadziliby kogoś z tak szpetną gębą?

— A który to lekarz? Jak się nazywa?

Nie pamiętała. Wystarczyło podać pierwsze lepsze nazwisko. — Gordon — rzuciła, zerkając przez okno. — Doktor Gordon.

Zaszeleściły przewracane kartki. — Gordon... A imię?

| — Powiedział tylko, że doktor.

— A gdzie ma swój gabinet?

— Hm... Chyba w szpitalu. Tam właśnie pojechałyśmy, bo strasznie gorączkowała.

W słuchawce zapadła cisza. — Jada! Wiem, że to ty.

— Nieprawda. Mówiłam już, że jestem Marvella, matka Jady — odparła, oburzona.

— W takim razie nie mam innego wyjścia. Przesyłam do was inspektora szkolnego.

— Oczywiście — rzuciła Jada obrażonym głosem, rozłączając się w panice. Powie, że matka ma grypę i czuje się tak fatalnie, że nie może z nikim rozmawiać.

Włożyła piżamę i przez cały dzień czekała przed telewizorem, ale nikt nie przyszedł. O wpół do czwartej znowu usłyszała jęki. Weszła do sypialni i przysiadła na krawędzi łóżka. Matka leżała zwinięta w kłębek i cała się trzęsała. Czy dzwonił już Ronnie? Koniecznie chciała się naćpać. Jeszcze chwila, a umrze — jęczała, szczękając zębami. Cuchnęła potem i stęchłym moczem.

— Wszystko będzie dobrze — odezwała się łagodnie Jada. — Zaraz ci przejdzie i od razu poczujesz się lepiej, tak jak wtedy, obiecuję ci.

— Chrzań się. Odpieprz się ode mnie, jasne? — Uniosła głowę, ale nagły wysiłek ją osłabił. — Dzwon po Ronniego, niech zaraz przyjeżdża! — ję c z a ł a błagalnie.

— Dobrze, mamusiu. Tak, wiem. Tylko się połóż, a poczujesz się lepiej. Zaopiekuję się tobą. Nie pozwolę, żeby coś ci się stało.

Matka płakała. Jada dotknęła jej ramienia, ale szybko cofnęła rękę. W takim stanie niekiedy zdawało jej się, że Jada chce ją skrzywdzić. — Już dobrze — szepnęła. — Już dobrze, mamusiu, tylko nie płacz. — Poszła do łazienki i zmoczyła ręcznik. — Weź, mamo. — Dotknęła lekko dłoni matki. — Może to ci pomoże.

— Przynieś mi telefon — krzyknęła matka, ciskając ręcznikiem. — Mówiłam, żebyś przyniosła mi telefon.

— Spróbuj to wytrzymać, mamó. Jeszcze tylko jeden dzień. Na pewno ci się uda, głowę daję. Proszę cię! Postaraj się, dobrze?

— Przynieś mi ten cholerny telefon! Podaj mi go, ty mała, wstrętna suko, bo jak nie, to zaraz sobie pójdę! Tego właśnie chcesz? Mam sobie pójść? Tyle tylko, że tym razem już nie wrócę. Słyszysz, co do ciebie mówię? Słyszysz? — wrzeszczała do Jady, która wbiegła do sypialni z telefonem w ręce.

Podparła się na łokciu, próbując usiąść, ale drżące palce ciągle wybierały błędny numer. Podała telefon Jadzie i kazała jej zadzwonić, a sama płaczącym głosem nagrała wiadomość. Powiedziała Ronniemu, że strasznie jej przykro, że fatalnie się czuje i boi się, że zaraz umrze. — Proszę cię — błagała. — Przywieź mi cokolwiek, trochę koki za pięć dolarów albo pigułki, wszystko jedno. Proszę cię, zrobię wszystko, obiecuję. Błagam, błagam, błagam.

Jada pobiegła ulicą w chłodnej mźawce, nienawidząc wszystkich w każdym domu i sklepie, które mijała po drodze, za to, że mieli lepsze życie niż ona. Nienawidziła matki i Ronniego, ale najbardziej siebie samej za to, co zrobiła: szła po niego, mimo że to właśnie on był wszystkim winien. Po ostatnim odwyku matka nie brała przez prawie cztery miesiące, do tej pory najdłużej. Miała pracę w dużej firmie sprzątającej i znowu zaczęła spotykać się z JumJumem, co nie spodobało się Ronniemu. I choć nikt nie miał odwagi powiedzieć mu tego prosto w twarz, to wszyscy podejrzewali, że umyślnie wrobił JumJuma, aby odzyskać Marvelle. Tyle tylko, że po jego wyjeździe wcale nie traktował jej lepiej. To był cały Ronnie. Zawsze musiał postawić na swoim i wszędzie wszystkimi rządzić.

Jada podejrzewała, że to JumJum jest jej ojcem, a w każdym razie wszystko wskazywało na niego. Matka spotykała się z nim, odkąd w pierwszej klasie liceum wyleciała ze szkoły. Czasami, kiedy Ronnie na chwilę przestawał być wrednym, podłym chamem, wyobrażała sobie, że to jej ojciec. Matka mówiła, że mógł to być którykolwiek z jej czterech facetów. A może nawet wszyscy czterej, śmiała się, dokuczając Jadzie z powodu jej nietypowej urody.

Drobny deszcz spychał ją pod witryny sklepowe. Przyspieszyła kroku na widok dwóch mężczyzn, którzy palili papierosy przed salą bilardową. Jeden z nich, parszywy tłuścioch Polie Valens, był kuzynem Ronniego i pochodził z Bronxu, co było wystarczającym powodem, żeby go tu považano. Twierdził, że nie wie, gdzie jest Ronnie, bo tu nikt nikogo nie pil-

nuje, a zwłaszcza Ronniego Feastera, po czym zrobił gest ręką i ten drugi wszedł do środka.

— A czego od niego chcesz? — dociekał Polie.

— Niczego, po prostu muszę mu coś dać.

— W takim razie daj to mnie — zaproponował, przysuwając swoją tłustą gębę do jej twarzy. — A ja mu przekażę. — Wciągnął ją do korytarza.

— Nie mogę — rzuciła. Próbowwała się wycofać, ale on trzymał ją za ramię.

— Kici, kici, koteczko — wycedził przez ściśnięte wargi. — Wiesz, przypominasz mi kotkę. — Jego ogromne cielsko naparło na nią i przycisnęło ją do szyby. Cuchnął papierosami, piwem i jakąś piżmową wodą kolońską. Miał błyszczące, pożółkłe białka oczu, a nos i podbródek zaczerwienione od pryszczy.

— Nie! Nie! Nie chcę. — Odwracała głowę na boki.

— Proszę cię, proszę, tylko raz. Dasz mi buzi i będzie po wszystkim, obiecuję.

— Nie! Zostaw mnie! — Uderzyła głową w jego ramię.

Zaśmiał się. — Ja mam to, czego potrzebuje. To dlatego ciągle wydzwania, nie?

— Przecież do ciebie nie dzwoniła.

— Co za różnica. I tak ja odbieram wszystkie wiadomości, bo Ronnie musiał gdzieś wyjechać — wyjaśnił, ściskając jej podbródek w swojej ciepłej, pulchnej dłoni.

— A kiedy wróci? — spytała i odepchnęła jego rękę.

Uśmiechnął się. — Dla Marvelli i tak będzie już za późno. Do tej pory już dawno zdąży się przekręcić. Masz, dotknij. — Przesunął jej dłonią po swoim biodrze. — Jest tu, w kieszeni.

— Ile chcesz? Mam tylko kilka dolców.

— Daj mi tylko buzi, a dostaniesz za darmo.

— Mam tylko dziesięć dolców. — Za pozostałe osiem miała kupić coś do jedzenia.

— To za mało.

— No coś ty! Spokojnie wystarczy na jedną działkę.

— Już nie. Cena poszła do góry, ale to nic. Daj mi tylko buzi. Jak będziesz się tak ociagać, to sama wiesz, co się z nią stanie.

Jak przepychacz do kibla, pomyślała, wzdrygając się, kiedy jego grube, mokre wargi przyssały się do jej ust. Jego ogromny jęzor wypełnił jej buzię, a jego obie dłonie powędrowały do jej majtek. Nie mogła krzyknąć

ani go odepchnąć. *Błagam, nie*, wołały jej oczy do szarych, nisko wiszących chmur i do mokrej, opustoszałej ulicy. *Błagam, niech ktoś powstrzyma tę świnię*, tę parszywą, śmierdzącą świnię, która kwicząc, wgrzyza się w jej usta. Kiedy zakaszła i zaczęła się dławić, szybko się odsunął. Jakiś samochód zbliżył się do krawężnika, a po chwili odjechał. Widocznie jakiś klient.

— Masz. — Wcisnął jej kókę do ręki i szybko odszedł na salę bilardową. Popatrzyła na działkę białego proszku, zawiniętą w przezroczysty plastik. Za mało jak na dziesięć dolarów. Wyraźnie ją orznął, ale nie miała zamiaru biec za nim na salę. Zresztą na takim głodzie matce to wystarczy, czegokolwiek by nie przyniosła.

Przez całą drogę wzdłuż Nash Street raz po raz spluwała na chodnik, żeby pozbyć się jego obrzydliwego smaku. Miała obolałe usta. Ten smak przypominał jej odór wozu wuja Boba po wypompowaniu ścieków. Zatrzymała się przed wejściem do supermarketu i jeszcze raz splunęła. Przydałaby się guma do żucia. Z głodu burczało jej w żołądku. Thurmana nigdzie nie było widać, a przy kasie siedziała jakaś inna kobieta, nie ta wredna z aparatem w nosie. Podeszła do okna. Na końcu przejścia stał ten facet, Gordon. Gdyby udało jej się kupić tu coś do jedzenia, to przynajmniej nie musiałyby due się taki kawał do Shop and Save. Weszła do środka i wzięła litr mleka, karton płatków śniadaniowych Cap'n Crunch, colę, napój Mountain Dew dla matki (w butelce, bo po wypiciu przyda jej się do palenia), dwa ciasteczka Hostess, batoniki Reese's z masłem orzechowym, chipsy Tostitos, pikantny sos salsa i dwie mrożone pizze na kolację. Zdążyła już okropnie zgłodnieć. — Halo! — zawołała.

Gordon odwrócił głowę znad lady z mięsem, którą właśnie szorował, i odpowiedział na jej powitanie. Ze ścierki spływała mu woda.

— Macie tu gdzieś jabłka? Takie zielone, nie pamiętam, jak się nazywają. — Nie przepadała za jabłkami, ale od czasu do czasu jadała je, bo zawierały witaminy. Działa jej krwawiły, a dwa trzonowe zęby miała zepsute i obolałe i wciąż śniła jej się, że wypadają jej za każdym razem, gdy tylko otwiera usta. Nie chciała skończyć tak jak te dwie ofiary losu, siostry Burdle z sąsiedztwa, które nie miały jeszcze nawet dwudziestu lat, a już brakowało im jedynek. Tak to jest, kiedy zamiast normalnie jeść, zażywa się narkotyki, ostrzegała matkę. To ona powinna była zostać matką, a Marvella córką. O tylu rzeczach jej matka nie miała pojęcia.

— Granny Smith. — Gordon wskazał ręką, ale ich nie zauważyła. — O tam, obok pomarańczy.

Przełożyła zakupy na drugą rękę i pospiesznie się oddaliła. Matka już pewnie rzuca się po ścianach. Dziewięćdziesiąt dziewięć centów za pół kilograma. Ile, do diabła, może ważyć jedno jabłko? Starannie wybrała dwie najmniejsze sztuki tak, aby nie poruszyć tabliczki. Tego by jeszcze brakowało, żeby spowodowała lawinę jabłek.

— A ty co tu robisz? — zapytał jakiś piskliwy głos.

— Przyszłam na zakupy. — Jada chwyciła jabłko, ale ta jędza June już truchtała w jej stronę, wlokąc swój aparat denowy.

— Wynoś się stąd, i to natychmiast! — June wyrwała jej owoc z ręki i próbowała odebrać jej mleko.

— Nie! Mam pieniądze! To moje, zapłać! — krzyknęła Jada i cofnęła się do tyłu.

— Chcesz, żebym wezwała gliny? Bo jeśli nie, to lepiej oddaj towar i wynoś się stąd na zbity pysk.

— A o co chodzi? — spytał Gordon, wycierając dłonie w fartuch. Zaczęły mówić jedna przez drugą. June twierdziła, że ta dziewczyna to złodziejka, a Jada upierała się, że ma pieniądze. — A więc chcesz za to wszystko zapłacić? — spytał niepewnie.

— No jasne! — rzuciła, przewracając oczami. — Tu, w kieszeni, mam pieniądze.

— I co jeszcze tam masz, ty mała złodziejko? — June wyciągnęła rękę do kieszeni Jady.

— Tylko mnie nie dotykaj, suko! — wrzasnęła ostrzegawczo. Oprócz pieniędzy miała tam jeszcze kokę. Zapomniała schować ją do kieszeni spodni.

— Widzisz! — zapiszczała June do Gordona. — A nie mówiłam ci?

Pochylając się, Jada położyła zakupy na skrzyni z cytrynami. — O, proszę! — Wyjęła zwitek banknotów i pomachała nimi przed nosem tej wiedźmie o napiętej, szarzałej twarzy. — Osiemnaście dolców!

Gordon zapewnił June, że przypilnuje Jadę przy kasie. Zaniósł jej zakupy na ladę, a kiedy Serena naliczyła towar, zapakował go do worków. Jada dorzuciła na ladę paczkę gum do żucia.

— Dwadzieścia dolarów i czterdzieści dziewięć centów — podsumowała Serena.

— A niech to. — Speszona, Jada sprawdziła cenę na kartonie z pizzą. Dwa czterdzieści dziewięć. — W takim razie tego nie. Mam tylko osiemnaście dolarów. — Zje płatki, a pizza będzie dla mamy.

— Głowę daję, że chciała coś ukraść — zapiąta June z kasy obok.

— Suka! — odparowała Jada.

— W porządku. Weź je, proszę. — Gordon usiłował wsunąć pieniądze w dłoń Jady.

— Lepiej policz teraz palce. Sprawdź, czy są na miejscu — trąkotała June. — Ci Fossumowie zwiędzą wszystko, co im się nawinie.

— Chrzań się! — krzyknęła Jada i przepychając się, trąciła jego wyciągniętą rękę. Monety posypały się na podłogę. — Mam to gdzieś. Obejdę się bez waszych gównianych zakupów — wysapała, wybiegła na ulewny deszcz i pognała do domu.

Drzwi frontowe były otwarte na oścież, grał telewizor i paliły się wszystkie światła. Powyciągane z komody szuflady leżały rzucone na łóżku, w kuchni sterczało oderwane w rogach linoleum, wyszczerbiony pojemnik na śmieci leżał przewrócony na podłodze, a tuż obok jego cuchnąca zawartość. Zza kanapy dobiegał głos, który z nienaganną dykcją powtarzał: „Proszę się rozłączyć i spróbować za chwilę. W razie potrzeby proszę wybrać numer operatora. Proszę się rozłączyć. Tu automatyczna sekretarka”. Jada sięgnęła ręką i podniosła telefon. Był pęknięty. Tuż nad nim widniała dziura w ścianie. Jada opadła na kanapę. Kiedy potem jadła rozmiękłe precle i oglądała kreskówki, zadzwieczał dzwonek.

— Proszę. — To ten wielkolud Gordon. Podał jej dwie torby z zakupami.

— No? I czego tu chcesz?

— Weź, to przecież twoje.

— To ile mam ci zapłacić? Nie pamiętam — dodała z nadzieją, że machnie ręką i nie weźmie od niej pieniędzy.

— Osiemnaście.

— Zostało mi tylko pięć. — Umyślnie wyjęła tylko jeden banknot. — Musiałam jeszcze coś kupić, jakieś lekarstwa dla mamy.

— Aha — mruknął, zażenowany i wziął od niej pięć dolarów.

— Resztę ci oddam.

— Jasne, w porządku — skinął głową, jakby przekonywał samego siebie.

Gdy tylko wyszedł, usiłowała włączyć piekarnik, ale nie dała rady. Widocznie odciepli gaz. — A niech ją szlag — mruknęła pod nosem, wkładając na blat zamrożoną pizzę. Będzie musiała zjeść ją na surowo. A może ten facet Gordon pozwoliłby jej skorzystać ze swojego piekarnika. Widziała go, jak stoi przed domem, w deszczu, i obrywa ze swoich krzewów suche gałęzie. Podbiegła do drzwi, ale szybko je zamknęła, bo ulicą właśnie nadjechał navigator. Polie siedział za kierownicą. Ronnie Feaster wbiegł po schodach, naciśnął dzwonek, po czym zaczął walić w drzwi.

— Przekaż jej to — nakazał, kiedy oznajmiła mu, że matki nie ma w domu, i podał jej jakiś świstek papieru, swój nowy numer pagera. Często go zmieniał, tak na wszelki wypadek. Kiedy próbowała zamknąć drzwi, przyblokował je butem. Chciał, żeby coś dla niego zrobiła. Zapłaci jej dwadzieścia dolarów tylko za to, żeby poszła do parku South Common i zaczekała przy huśtawkach na faceta i dziewczynę, którzy podjadą czarnym jeepem wranglerem. Chodziło o to samo, co poprzednio: zapłata, a ona da im towar. Odparła, że nie może tego zrobić.

— Będziemy z Poliem w barze po drugiej stronie ulicy. Bar nazywa się Pod Wieżyczką. Stamtąd będziemy cię mieli na oku.

— Jasne, a gliny pewnie niczego się nie domyśla, jak zobaczą, że łąkę po parku w takiej ulewie?

— Powiesz im, że czekasz na matkę, bo ma po ciebie przyjechać.

— Tere-fere.

— Daj spokój. Jesteś moją gwiazdą, mówiłem ci już. Gliny nie czepiają się lasek. Nie będą zaglądać ci w majtki, żebyś się nie darła, że cię gwałcą czy coś w tym rodzaju. No chodź, przecież to nic wielkiego. — Wyciągnął rękę.

Wzdrygnęła się na wspomnienie Poliego. — Nie, nie mogę. Mam strasznie dużo zadane, a jutro całą masę egzaminów.

— Przecież jutro jest sobota — wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— To są specjalne egzaminy. Długo chorowałam.

— Daj spokój! No dobrze, to ile chcesz? Dwadzieścia pięć?

— I znów pewnie nawet nie zobaczę tej forsy.

— Podziękuj za to Marvelli. Ale tym razem nic jej nie powiemy. No chodź!

— Nie mogę. Umieram z głodu. Właśnie miałam coś zjeść.

— Chodź, to potrwa tylko dwadzieścia minut, a potem najesz się do woli, gdziekolwiek tylko zechcesz!

— W Burger Kingu? — spytała. Nigdy jeszcze tam nie była, bo nie miała samochodu.

— Jasne, jak sobie chcesz! — Poczochrał jej włosy i od razu się uśmiechnęła.

Usiadła na tylnym siedzeniu, unikając w lusterku spojrzenia Poliego. Wstrętny typ, teraz nie ważyłby się jej tknąć. Przyjrzała się lśniący, czarnym lokom nad kołnierzem Ronniego. Właściwie to nie miałyby nic przeciwko, żeby był jej ojcem. Może i wredny z niego sukinsyn, ale przynajmniej się nią interesował. Mimo że nienawidziła sprzedawać narkotyków, to matka często kazała jej to robić. A Jada lubiła być potrzebna i pomagać

Ronniemu w tarapatach. W razie wpadki nie dostałaby tak surowego wyroku jak osoba dorosła, ale na pewno zabraliby ją z domu i wsadzili do poprawczaka albo wysłali do rodziny zastępczej, a tego właśnie bała się najbardziej.

Gordon wyszedł, gdy tylko Jilly Cross podjechała pod jego dom. Wcześniej dzwoniła i powiedziała, że zaraz u niego będzie, jeśli tylko chciałby obejrzeć mieszkania. Wyglądała na zmęczoną. Miała podpuchnięte oczy, a włosy związane z tyłu w ciasny kok. — Przepraszam za zeszły tydzień — odezwała się, kiedy skęcili za róg.

— Nie ma sprawy.

Jechali dość długo, aż wreszcie spytał, gdzie jest to mieszkanie. W Collerton, odparła, ale na tyle blisko granicy miasta, że część drogi dojazdowej leży w Dearborn. Po chwili znów zamilkła, a on myślał, co by tu jej powiedzieć, byleby tylko przykuć jej uwagę.

— Popatrz, widzisz? Kiedyś robili tam parówki do hot dogów. — Wskazał na ponure skupisko cementowych budynków, które właśnie mijali. — Co miesiąc jeździliśmy tam z ojcem po parówki. Braliśmy trzy kilo w kartonie, połowę tych bez flaka, a połowę w naturalnych oślonkach. — Uśmiechnął się na wspomnienie ojca, który nie lubił kupować niczego po cenie detalicznej. Nowe buty mieli ze sklepu fabrycznego, gdzie sprzedawali egzemplarze drugiego gatunku i te z nadwyżki towaru. — Fajnie było! Tyle ciekawych miejsc, przynajmniej mieliśmy co robić. — Dawniej w mieście były też fabryki odzieży: jedna produkowała bieliznę, a druga kurtki i płaszcze. A w Whipple's, fabryce soków owocowych, można było kupić całą skrzynkę soku za pół ceny. — Jak chcesz, to kiedyś pokażę ci te wszystkie miejsca — zaproponował, gdy skręciła z szosy na osiedle. — Czy raczej to, co po nich zostało — dodał, kiedy parkowała auto.

— A jaka właściwie jest ta twoja bratowa? — spytała, przez chwilę zbijając go z tropu.

— Bardzo miła. To naprawdę sympatyczna osoba — odparł i popatrzył na skupisko połączonych ze sobą willi w stylu Tudorów. — No, nie wiem. Tu jest jakby luksusowo.

— Może i tak, ale Dennis mówi, że bratowa ma ci załatwić pracę w Harringtonie, a tam zarobisz dużo więcej.

— Nie, nie. Dam sobie radę. Lubię swoją pracę. Wcale nie chcę pracować w tym browarze.

— Ale twoja bratowa ma inne plany.

— Nawet z nią o tym nie rozmawiałem. Może myśli, że się ucieszę. Sam nie wiem.

— Pewnie lubi się szarogęsić, co?

— Lisa? Nie, to cudowna kobieta.

Jilly otworzyła drzwi i wysiadła. Pospiesznie obejrzeni przykładowe mieszkanie, a potem Jilly zawiozła go do jeszcze innego, które było mniejsze i tańsze. W drodze powrotnej nie mówiła za wiele, tylko kilka razy zapytała o Dennisa. Kiedy skręciła w Clover Street, był wyraźnie przygnębiony.

— Ten dom jest w całkiem niezłym stanie — zauważyła znad kierownicy. — Wygląda dużo lepiej niż te obok.

— Rzeczywiście! Dennis sporo się przy nim narobił — odparł i uśmiechnął się na widok małego, zadbanego domku. — Nawet róże wróciły do życia. Widzisz te paki?

— Dobry z niego brat, prawda?

— O tak, bardzo dobry — przyznał i popatrzył na nią. — Może wejdziesz do środka? — spytał i zamarł w bezruchu.

— Nie mogę — rzuciła spieszenie. — Ale dziękuję za zaproszenie.

— Obejrzałaś dom od środka.

— Aha, pewnie chodzi ci o wycenę.

Skinął głową. Koniecznie chciał dostać jeszcze jedną szansę.

— No, ale wracając do twojej bratowej. Jaka ona właściwie jest?

Przecież już jej powiedział. — Uprzejma, troskliwa. I ma niezłe poczucie humoru. Przy niej zawsze czuję się taki... odprężony*To chyba właściwe słowo.

— I jest bardzo religijna, prawda? Często chodzi do kościoła.

Zabrzmiało to trochę dziwnie. Nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Ale może właśnie w ten sposób mężczyźni i kobiety poznają się lepiej — poprzez serię krępujących pytań. Będzie musiał pomyśleć, jak zapytać ją o jej rodzinę.

— Tego nie wiem, ale ma w sobie coś, co zawsze robiło na mnie wrażenie. Ona należy do tych ludzi, którzy wiedzą, co chcesz powiedzieć, jeszcze zanim zdążysz otworzyć usta... — Zauważył, że Jilly bawi się breloczkiem. W obawie, że lada chwila zapali silnik, nie przestawał mówić, zaskakując nawet samego siebie. Opowiadał jej, że Lisa była najbardziej naturalna ze wszystkich kobiet, które Dennis przyprowadzał w odwiedzinach. Dodał też, że nie bardzo wiedział, czy Dennisowi chodziło o to, by brat zaakceptował jego kobiety, czy żeby one zaakceptowały jego.

— Pewnie o jedno i drugie — wtrąciła z uśmiechem.

— Na to wygląda, ale kiedy usłyszałem jej nazwisko, Harrington, to trochę się zaniepokoiłem. Myślę sobie, taka ładna, młoda kobieta z jednej z najbogatszych rodzin w okolicy, a na sali odwiedzin śmieje się i rozmawia tak swobodnie, jakbyśmy sobie siedzieli w jakimś salonie...

— Widzę, że ktoś tu ma słabość do swojej bratowej — zauważyła, unosząc brwi. — No, ale do rzeczy. — Sięgnęła po jakąś wizytówkę. — Proszę. Hillman, rzeczoznawstwo majątkowe. Zawsze korzystam z ich usług. Zgłoś się do Randy'ego, to właściciel.

Gapił się w wizytówkę.

— W porządku? — spytała i zapaliła silnik.

— Tak, jasne. Będę pamiętał, że do Randy'ego. — A więc to tylko znajomość służbowa. Zrobiła to dla Dennisa, siłąc się na pozory przy jego bracie-nieudaczniku. Chociaż nie, to było coś więcej. Budził w niej szczególną ciekawość. Wyczuwał to i dostrzegał w jej niespokojnych oczach.



Neil Dubbin zatrudnił jakiegoś stolarza od szwagra, żeby zainstalował mu nowe winylowe półki i stelaże na towary, a po trzech okazałych kosztorysach remontu zlecił malowanie Gordonowi. Z początku robota szła powoli, bo Gordon, prócz rutynowych obowiązków w sklepie, musiał znaleźć wolną chwilę na malowanie i starać się równo nakładać pędzlem farbę. Ale teraz robił to już w szybszym tempie i spora część magazynu była prawie gotowa.

Właśnie był na zapleczu, stał na drabinie i zamalowywał sufit, kiedy zjawił się Leo i oznajmił, że potrzebują go na sali. To już drugi raz w ciągu pół godziny: najpierw pomagał przy rozładowaniu towaru, a teraz miał naprawić taśmę w kasie June. Co kilka dni taśma plątała się, zacinała i blokowała kasę. Neil już próbował wyjąć rolkę z kasetki, ale był tak podenerwowany, że drżały mu ręce. Gordon zajął jego miejsce i zajrzał do zatkanej kasetki. Neil stanął tuż za nim i rozpoczął kolejną litanie skarg. Inne sklepy już dawno były skomputeryzowane, a on nadal trzymał trzydziestoletnie kasy do obsługi ręcznej. — Chyba mi odbiło. Tyle lat zmarnowałem w tej dziurze. Jezu Chryste, ciągle tu tkwię i próbuję to jakoś rozkręcić. A powinienem pójść do tych cholernych drzwi i po prostu stąd wyjść. Niech moja siostra i jej durny mąż sami sobie radzą, skoro tak bardzo im zależy, żeby prowadzić ten nędzny interes.

— Już prawie ją mam — wysapał Gordon, wciskając końcówkę cienkiego śrubokrętu w szpulkę taśmy. — Znowu było to samo — mruknął. — To małe kółko się obluźowało.

June przysiadła na skrzyni, popijając jeżynowy napój Gatorade. Właśnie miała chwilę spokoju, bo klienci ustawili się przy sąsiedniej kasie. Serena nabijała towar i sama musiała go pakować.

— To jest skandal! — rzuciła jakaś zaniedbana kobieta w białym, poplamionym kitlu. Jej dwoje małych dzieci wyło wniebogłosy, bo właśnie dała im po łapach za to, że wzięły gumę do żucia, mimo że im zabroniła.

— Czy ktoś wreszcie naprawi tę kasę? — spytała inna, pokazując palcem.

— Gdzie młody? Dlaczego nie pakuje towaru? — dociekał Neil i rozejrzał się za Thurmanem.

— Wyszedł po wózki — odparła June swym świszczącym głosem i uśmiechnęła się złośliwie. — Jakies dziesięć minut temu — dodała. Tak naprawdę wyszedł na papierosa.

— O Jezu. — Neil ruszył w stronę drzwi. Na ulicy przed sklepem jakiś drobny, łysiejący mężczyzna w szarym garniturze wykrzykiwał coś do Thurmana, wyższego od niego o całą głowę. Wczoraj chłopak zwymyślał Leo i uciekł ze sklepu. Kiedy jego babcia wróciła z pracy, przyprowadziła go z powrotem i kazała mu przeprosić i Leo, i Neila.

— Chrzęć się! — zagrzemiał głos Thurmana przez otwarte drzwi.

Na widok Neila mężczyzna zaczął gniewnie wymachiwać rękami w stronę Thurmana, a tamten stał w upalnym słońcu w białej koszuli z długimi rękawami i workowatych więziennych portkach i gromił go wzrokiem. Neil poklepał mężczyznę po ramieniu i chciał zaciągnąć go do środka, ale ten odwrócił się, krzyknął coś i chłopak gwałtownie ruszył na przód. Mężczyzna odepchnął go, ale młody znów się na niego rzucił. Neil wepchnął się między nich. Błada, okrągła twarz mężczyzny płonęła wściekłością, kiedy parł na Neila, żeby dostać się do Thurmana.

— Gordon! — zawołała błagalnie June, wlokąc swój aparat do drzwi, ale ten stał bez ruchu jak słup soli.

— O mój Boże! — wrzasnęła jakaś kobieta z kolejka. Powiedziała, że zna babcię tego chłopaka.

— Pchnął we mnie wszystkie te wózki — wydyszał mężczyzna, wchodząc do sklepu.

— Czasami trudno je zatrzymać — zauważył Neil, a czując na szyi oddech chłopaka, nakazał mu iść do domu i ochłonać. Na te słowa Thurman wparował do środka i zaczął krzyżeć, że ten dupek sam wjechał w wózki i stąd zadrapania na jego aucie.

— Jakby nie mógł zaczekać! — pieklił się Thurman.

— Gówno prawda — syknął tamten, poprawiając krawat, i spojrzął na Gordona.

— Niech ci powie, jak mnie nazwał! — zwrócił się Thurman do Neila. — No dalej, spytaj go!

— Spadaj stąd, do diabła! Drugi raz nie będę powtarzał. Leć do domu, weź na wstrzymanie, i to już! — nakazał Neil.

— O nie! — ryknął Thurman. — Nigdzie się stąd nie ruszam. Przecież nic nie zrobiłem! To jego wina, nie moja! Niech ci powie, jak mnie nazwał! No, dalej!

— Dobra, wystarczy! Dość już mam tego twojego gadania, słyszysz? O co ci chodzi? Chcesz, żebym cię wylał? Zdaje się, że chyba nie. — Neil zaciągnął Thurmana do drzwi.

— Ty jesteś Loomis, prawda? — Oczy mężczyzny płonęły niespokojnie i głowa mu drżała.

Gordon przytaknął.

— Sam go zapytaj! No, dalej! Niech ci powie, jak mnie nazwał! — darł się chłopak, kiedy mężczyzna zbliżył się do Gordona.

— No to masz, popatrz! — Mężczyzna drżącymi rękami otworzył portfel. — Widzisz! Widzisz tę ładną buzię? Przez ciebie tylko to mi zostało! To zdjęcie — dodał niskim głosem, który złał się z krzykami Neila i Thurmana.

Gordon gwałtownym ruchem odwrócił głowę, by nie patrzeć na jej radosny uśmiech. Dwadzieścia pięć lat temu wydawała mu się dużo starsza niż on. Dopiero teraz do niego dotarło, jaka była młoda i piękna.

— Ty pieprzony smoluchu! Tak do mnie powiedział — rzucił Thurman zza zamkniętych drzwi.

— Ty sukinsynu — splunął mężczyzna. — Ale ciebie gównu to obchodzi, nie? Cox miał na tyle przyzwoitości, żeby strzelić sobie w łeb, jak tylko go wypuścili.

Gordon wlepił wzrok w swoje wielkie, spocone stopy w idiotycznych granatowo-białych tenisówkach. W celi przynajmniej oddzielały go kraty.

— Ale dla ciebie jest już po wszystkim, nie? Odsiedziałeś swoje, wróciłeś, zaczynasz od nowa i masz to wszystko gdzieś! Ona nic dla ciebie nie znaczyła, prawda? — przerwał, wargi mu drżały. — Ale była moją siostrą. Janine! O Boże — jęknął i ukrył twarz w dłoniach, nie wypuszczając portfela z ręki. Wizytówki i zdjęcia ^tosypały się na podłogę.

Neil schylił się, by je pozbiierać. — Daj spokój, Tom — szepnął i podał je tamtemu.

— Moja siostra nie żyje — szlochał mężczyzna, wciąż zmagając się z tym niepojętym, strasznym i prawdziwym zdarzeniem. — Moi rodzice zmarli, bo mieli złamane serca. Ale ty ciągle żyjesz. Jak możesz? Co z ciebie za człowiek? Popatrz na siebie! Nie umiesz nawet spojrzeć mi prosto w oczy, co?

Gordon pokręcił głową. Nie.

— No zrób coś! — krzyknął mężczyzna, uderzając Gordona portfelem po piersi, targany napadem wściekłości i bezsilności. — Powiedz coś! Nie stój tak, ty pieprzony tchórze, cholerny łajdaku, pomyłony skurwielu! — Uderzył go w szyję i Serena wydała z siebie wrzask.

Gordon nie ruszał się z miejsca. Nie potrafił tego wyrazić, nie umiał powiedzieć, że rozumie jego poczucie pustki, że ani przez chwilę nie odrzucił ani nie wyparł się winy i że na swój milczący sposób też opłakiwał i przeżywał jej śmierć. Ale dręczące go myśli na nic się nie zdały, podobnie jak wybuch gniewu jej brata. Bo jaką karę trzeba by ponieść za odebranie komuś życia? Jakie zadośćuczynienie naprawiłoby taką szkodę? Żadne, oczywiście. Nawet kara śmierci czy samobójstwo to za mało, by zabił tę ranę, którą zadał światu. I swojej własnej duszy. — Przepraszam — wyszeptał. — Tak strasznie mi przykro.

— Ty przepraszasz! Tobie jest przykro! I jak mam to rozumieć? Co to niby ma znaczyć? Nic! To przecież tylko słowa! Cholerne, bezsensowne, puste słowa, i nic więcej! — Jego głos załamał się w chrypliwym szlochu jak niewidoczne grzyby zapadającej się jaskini.

Na górze otworzyły się drzwi. — Gordon? Gordon, jesteś tam...? Gordon? — Neil zatrzymał się w połowie skrzypiących schodów do piwnicy. — A co ty tu robisz?

— Szukam drabiny.

— Przecież stoi na górze, sam na nią wchodziłeś.

— Chciałem poszukać innej, trochę wyższej.

Zdawało się, że Neil szczerzy zęby w uśmiechu. — Wcale nie, chciałeś się tylko tu schować.

Mdliło go w żołądku i czuł się tak wykończony, że bolały go wszystkie kości.

— Nie miałem pojęcia, co to za facet — ciągnął Neil. — Nawet wtedy, gdy powiedział, że nazywa się Tom Ferguson. Po prostu jakoś nie skorzystałem. Mówił, że właśnie się dowiedział, że tu pracujesz, i coś w nim pękło. Jechał do pracy i pruć non stop. Z New Jersey. Bite sześć godzin — nie zatrzymał się ani razu. Miał w głowie tylko to jedno: żeby cię zobaczyć. Powiedział, że coś w nim puściło, te wszystkie emocje, sprawy, od których przez tyle lat myślami uciekał.

Gordon przypomniał sobie go siedzącego między osłupiałym ojcem a zdruzgotaną matką — to ten młodszy brat, który podczas procesu często wybuchał płaczem. Gordon zastanawiał się, po co go na to narażali,

zamiast wysłać go do szkoły. Ale teraz już wiedział. Chodziło o to, żeby nie zapomniał i żeby po ich śmierci ich częśćka nadal powtarzała jej imię.

— Powiedziałem mu, że dobry z ciebie facet. To wszystko, co o tobie wiem.

Gordon pokiwał głową.

— Bo niby co miałem powiedzieć, skoro ty nigdy nic nie mówisz?

Gordon wzruszył ramionami.

— Wolisz tłumić to w sobie, prawda? To nie to, co ten Domínguez. On bez przerwy na kogoś wygaduje. Gdyby nie jego babka, wywaliłbym tego nędznego smarkacza na zbity pysk. — Neil podniósł za rączkę usmolone wiadro od węgla i zaczął nim wymachiwać. — Wiesz, pewnie cię to zdziwi, ale ja ci zazdroszczę. Żadnych ograniczeń i zobowiązań. Nic cię nie trzyma w tej dziurze — zaśmiał się, strzelając błyszczącymi oczami na zakurzone skrzynie, piętzące się stosy palet, szyldy spowite pajęczyną i powykrzywiane półki. Przy ścianie stała oryginalna markiza. NASH STREET MARKET — głosił napis na czerwonym szkle, zmatowiały od brudu, z popsutymi żarówkami. — Tu jest jak w grobie, prawda? Jak w jakimś cholernym grobie! — Upuścił wiadro i kopnął je w stronę markizy.

*

Gordon wzdrygnął się przy pękaniu żarówek.

— Powinienem być to sprzedać, kiedy trafiła mi się okazja. Ale wtedy pomyślałem sobie, no i co ja teraz będę robił, do cholery? Uznałem, że jest już za późno, żeby zaczynać od początku. Miałem na utrzymaniu rodzinę. Bo niby co miałem robić, handlować samochodami? Czułem się jak zamrożony, jakbym zastygł w jakimś wielkim pieprzonym lodowcu i próbował wyrzeć na zewnątrz. I wtedy pojawiłeś się ty i nagle mnie olśniło, że wcale nie muszę tak dalek żyć. Ja też odsiedziałem tu swoje i teraz jestem wolny. Rozumiesz?

— Chyba niezupełnie.

— W każdym razie niech ten sklep chociaż wygląda, że jest coś wart, skoro mam go sprzedać.

— Pan chce sprzedać sklep? — spytał Gordon, czując ucisk w gardle.

— A pewnie. Jak tylko znajdę frajera, który go kupi.

Kilka dni później zadzwoniła Lisa. W niedzielę za dwa tygodnie odbędzie się przyjęcie z okazji jedenastych urodzin Jimmy'ego. Dennis mógłby po niego wpaść albo, jeśli Gordon woli, to niech przyjedzie autobusem. — I przyprowadź ze sobą, kogo tylko chcesz, Gordonie. Będziemy w ogrodzie. Im nas więcej, tym weselej.

— Jasne — mruknął, byleby tylko nie zdradzić się ze strachem.

— Aha, i jeszcze jedno. Miałam zadzwonić wcześniej, żeby ci o tym powiedzieć. Zgadnij, kogo spotkałam w sklepie. Delores Dufault! Krótko rozmawiałyśmy, ale tak się ucieszyłam na jej widok. Jest taka sympatyczna!

— O tak, rzeczywiście.

— Mówiłam jej, jak bardzo mi jej brakuje. Uwielbiałam jeździć z nią w odwiedziny do ciebie. Zawsze była taka zabawna. Wiesz, powiedziała mi, że dwa tygodnie temu byłeś u niej na kolacji.

— A tak, zgadza się. Byłem.

— No i jak? Daję głowę, że ona świetnie gotuje.

— O tak, bardzo mi smakowało. Było naprawdę pyszne. — Pamiętał tylko słodycz truskawek i podniecenie przed spotkaniem z Jilly. Myślał o niej bez przerwy, a zeszłej nocy nawet mu się przyśniła.

— No i co? Fajnie było?

— Tak, bardzo fajnie. — Uśmiechnął się na samo wspomnienie snu. Jilly grała w karty z jego matką na łodzi w suchym doku z widokiem na ocean, a fale szumiały tak głośno, że nawet nie słyszał ich rozmowy.

— A jednak od tamtej pory nawet do niej nie zadzwoniłeś, prawda?

— Wiesz, byłem trochę zajęty...

— Rozumiem. To samo jej powiedziałam. Mówiłam, że masz sporo pracy i żeby sama do ciebie zadzwoniła. Ale potem zrobiło mi się przykro, bo powiedziała, że przestała do ciebie dzwonić, żeby nie zawracać ci głowy.

— Sam nie wiem. Praca w sklepie zabiera mi tyle czasu.

— A może jednak byś do niej zadzwonił? Powiedz, że jesteś zapracowany, spytaj, co u niej... Zresztą sam wiesz, co powiedzieć. — Przerwała. — Nie powinieneś ciągle być sam, Gordonie. Potrzebny ci ktoś, z kim mógłbyś podzielić się tym i owym.

Było jeszcze wcześniej rano. Bezchmurne niebo miało jaskrawoniebieski kolor, a słońce zaczęło już przygrzewać. Gordon przykłąkł na wilgotnej trawie i odmierzył ćwierć szklanki nawozu, który kupił w sklepie ogrodniczym. Na etykiecie napisane było, żeby dokładnie wysypać go wokół każdego krzewu. Następnie wziął starą konew i starannie polał intensywnie pachnące granulki tak, aby wsiąkły w czarną próchniczą glebę. Z każdym dniem krzewy stawały się coraz zieleńsze i bujniejsze i niemalże odczuwał ich wdzięczność po tylu latach zaniedbania. Niekiedy po skończo-

nej pracy odwracał głowę, jakby czekał na ich błagalne prośby, aby nie odchodził. Potem zebrał narzędzia i ruszył w stronę domu.

— Hej! Co tam porabiasz? — zawołała Jada Fossum z drugiej strony ulicy.

— Dzień dobry — rzucił i wszedł do środka, udając, że nie słyszy jej krzyków. W zeszłym tygodniu poprosiła go, żeby przyniósł jej do domu mleko, chleb i masło orzechowe. Chciał odmówić, bo nie oddała mu jeszcze pieniędzy za poprzednie zakupy, ale przyniósł jej to, co chciała, a wtedy ona oświadczyła, że zapłaci później, bo matki nie ma w domu, a ona nie ma przy sobie ani centa. Dwa dni później zjawiła się w sklepie i nakupowała jedzenia za dziesięć dolarów, a miała przy sobie tylko trzy dolary i pięćdziesiąt centów. Tłumaczyła się, że reszta pieniędzy widocznie wypadła jej z kieszeni. Wtedy Serena spytała ją, które produkty chciałyby odłożyć. Gordon akurat zamiatał podłogę. Nie wiedział, co powiedzieć, kiedy dziewczyna postukała go po ramieniu, prosząc, by pożyczył jej brakujące sześć pięćdziesiąt. Przysięgała na Boga, że odda mu jeszcze wieczorem.

— O nie, tak się nie robi! — upomniała ją Serena. — Nie wypada przychodzić do sklepu i żebrać o pieniądze.

— Ja wcale nie żebrzę! — syknęła Jada. — My się znamy, to mój kolega. Jeśli zechce, to mi pomoże. — Przysunęła się bliżej i wlepiła w niego wzrok. — Słuchaj, muszę kupić to jedzenie. Przysięgam, że oddam ci forszę — dodała niskim, słabym głosem. — Ojej, dzięki! Bardzo ci dziękuję! — zapiszczała, kiedy podał Serenie pieniądze.

Obmywając ręce w kuchennym zlewie, wyjrzał przez okno. Ogród pani Jukas był usiany jasnożółtymi dmuchawcami. Wczoraj wyszła w szlafroku i upychała papierowe śmieci i gałęzie do worka. A kiedy wczoraj wieczorem Gordon wrócił z pracy do domu, jakaś kobieta w różowym kitlu i dredach na głowie trzepała jej złachane dywany na poręczy za domem. Myślał, że to pielęgniarka, więc zapytał, czy pani Jukas przypadkiem się nie rozchorowała.

— Nic mi o tym nie wiadomo — odparła kobieta i wyjaśniła, że raz w miesiącu przychodzi tu posprzątać.

Gordon spryskał zlew płynem do szyb i wytarł go listkiem papieru kuchennego, który miał pod ręką. Co tydzień odrywał nowy listek, bo oszczędność dawała mu znikome poczucie kontroli nad własnym życiem. Najtrudniejsze na wolności okazało się narażenie na kontakty z ludźmi. Czy to Tom Ferguson, czy Jada Fossum, czy Delores — wszyscy mogli dotrzeć do niego w każdej chwili. Wszelkie zaproszenia, zamiast go cieszyć,

tylko go irytowały. Wcałe nie miał ochoty pójść na urodziny Jimmy'ego. Bał się spotkania z rodzicami Lisy i przerażenia w ich oczach. Tylko Jilly Cross była wobec niego naprawdę szczerą. W pracy na razie nic nie mówili, ale czuł na sobie ich badawcze spojrzenia. Serena i June przesadnie mu nadskakiwały, byleby za wszelką cenę wkupić się w jego łaski. Neil ani słowem nie wspomniał o incydencie z Fergusonem, ale za to wczoraj dał Gordonowi dwieście pięćdziesiąt dolarów w dowód wdzięczności za jego ciężką pracę i za to, że nigdy mu nie odmówił. Ani razu, o cokolwiek by go nie poprosił, zauważył.

Tymczasem Gordon już postanowił. Gdy tylko zje śniadanie, zadzwoni do Jilly. Właśnie wyskoczyła z tosterą grzanka, kiedy zadzwieczętał dzwonek u drzwi.

— Hej! — uśmiechnęła się Jada przez siatkę w drzwiach. — Wołałam cię. Nie słyszałaś?

— O co chodzi? — spytał, nie kryjąc rozdrażnienia.

— Proszę! — Podała mu garść banknotów i zerknęła ukradkiem na swój dom.

Otworzył drzwi i wziął pieniądze. Na banknoty położyła jeszcze kilka monet. — Wzięłam je w pośpiechu. Jeśli się nie zgadza, to zaraz doniosę resztę.

— Dzięki — mruknął po tym, jak szybko przeliczył gotówkę. Brakowało osiemdziesięciu dziewięciu centów, ale przymknął na to oko.

— Pewnie myślałaś, że ci nie oddam, co?

— Nie, wcale nie.

— To dobrze, bo ja jestem bardzo uczciwa, sam rozumiesz.

— Jasne. Dzięki, że mi je oddałaś — rzucił i już miał zamknąć drzwi.

— Mmm, ale ładnie pachnie — zauważyła, pociągając nosem przez siatkę. — Co to za kawa?

— Chyba zwyczajna.

— Ja tam piję tylko mocną. Ta bezkofeinowa to świństwo, fuj. Szkoła na nią czasu.

— Słuchaj...

— Poczęstujesz mnie kawą? W domu nie mamy ani grama, skończyła nam się.

Mruknął, że zaraz wraca, poszedł do kuchni i nalał jej kawy. Zerknął na zegarek. Lada chwila Jilly wyjedzie do pracy. Kiedy wrócił z kawą, Jada była już w pokoju gościnnym. Spytała, czy Gordon ma mleko. Mogłaby wypić czarną, ale z mlekiem smakuje jej jeszcze bardziej, oświadczyła

i poszła za nim do kuchni. Ładny dom, zauważyła, rozglądając się dookoła.

To był błąd. Dziewczyna miała nad nim kontrolę, nie mógł jej tak po prostu wyprosić. Podał jej karton z mlekiem.

— Dzięki! — Wysunęła krzesło i usiadła przy stole, po czym nalała do filiżanki mleka i zaczęła głośno i długo siorbać kawę. — Ej, nie zapomnij o tej grzance — rzuciła, wskazując palcem na toster. Po każdym łyku dolewała sobie mleka. — Az czym lubisz grzanki? Z masłem czy z dżemem? — Łyk kawy. — Ja tam lubię z jednym i drugim. — Łyk. — Właściwie to lubię wszystko. — Łyk. — Wszystko mi jedno, mogę zjeść cokolwiek. — Łyk. — I tak ciągle jestem głodna. — Łyk. — Mama czasem mówi: ty chyba masz robaki, głowę daję. To niemożliwe, żebyś tyle jadła i była taka chuda. — I znowu łyk. W filiżance zostało już tylko samo mleko. — No to jak, będziesz jadła tę grzankę?

— Za chwilę. — Celowo się ociągając, zmoczył gąbkę i przetarł kuchenny blat.

— Jak nie chcesz, to ja zjem. — Utkwiła w nim wzrok i głośno przełknęła ślinę. — Ale podgrzej ją jeszcze trochę, dobrze? — poprosiła, kiedy sięgnął po grzankę. — Wtedy masło się lepiej rozpuści. Podobają mi się tutaj, taki ładny dom. A u nas w kamienicy to każdy ma wszystko w dupie... O, przepraszam. Wiesz, co mam na myśli? Właścicielowi chodzi tylko o czynsz. — Jej głos drażnił go tak samo jak skrobanie nożem z masłem o suchą grzankę. — Ale kiedyś się stąd wyprowadzimy. Nie wiem jeszcze kiedy, ale już niedługo. Miałyśmy zamieszkać u JumJuma, ale wszystko się zesrało, sam rozumiesz. Dzięki! — Chwyciła grzankę, jeszcze zanim zdążył postawić talerz na stole. — A najgorsze jest to, że mamy tylko jedną sypialnię. Jak ją tego nie cierpię. Moja mama chrapie jak niedźwiedź. Czy mogę prosić o jeszcze jedną? — spytała, oblizując palce, po czym pochyliła się nad talerzem i zgarnęła z niego okruchy. — Chyba cię nie wkurzam, co? — zagadnęła, kiedy podała jej drugą grzankę. — Moja mama mówi, że jestem nie do zniesienia, kiedy tak nawijam, ale nic na to nie poradzę. Po prostu nie lubię, jak jest cicho. To tak, jakby nikogo nie było. Wiesz, co mam na myśli?

— A ja bardzo lubię, kiedy jest cicho — odrzekł z tak silnym naciskiem, na jaki było go stać.

— O rany! W takim razie lepiej już sobie pójdę. — Wepchnęła do ust resztki grzanki i ruszyła do drzwi.

Powtarzał to w myślach już chyba z tysiąc razy, aż wreszcie wybrał jej numer. Wzdrygał się przy każdym sygnale. Wszystko miał już zaplanowane: kolacja w zajeździe Pod Żółtą Cegielką. Podśledzał, jak June mówiła, że to najlepsza restauracja w całej okolicy. Kiedy Jilly po niego przyjedzie, pokaże jej róże, a potem zerwie jedną specjalnie dla niej. Albo będzie już miał gotowy bukiet. Tyle że wtedy pewnie zwiędną w samochodzie. Może w restauracji dadzą im jakiś wazon z wodą i będą stały tam podczas kolacji, te czerwone płatki, aksamitnie miękkie jak jej policzki.

— Halo? — odezwała się, zasapana.

— Cześć. — Restauracja, róże, jej uroczy głos, wszystko to zlało się w jego głowie. Nie bardzo wiedział, co powiedzieć. — Tu mówi Gordon Loomis.

— A tak, Gordon! Co u ciebie? Miałam do ciebie zadzwonić. Chciałam spytać, czy ci się podobały tamte mieszkania.

— Jasne, były bardzo ładne. Cieszę się, że mogłem je obejrzeć. Chciałem ci podziękować... Za czas, który mi poświęciłaś.

— Cała przyjemność po mojej stronie. Masz już wycenę domu?

— Nie, ja nie w tej sprawie. Chciałem cię zapytać, czy nie poszłabyś ze mną do restauracji. Dlatego właśnie dzwonię.

— Do restauracji? — zdziwiła się, zmieszana.

— Tak, na kolację. O to mi właśnie chodziło. Pasuje mi o każdej porze, każdego wieczoru. Kiedy tylko zechcesz. Wiem, że czasami masz wieczorem jakieś spotkania i inne sprawy...

— Och, Gordon, przepraszam cię, ale nie mogę.

— Aha. No cóż, trudno... Dobrze, w takim razie nie będę przeszkadzał.

— Wcale mi nie przeszkadzasz! Nie w tym rzecz. Chodzi o to, że już się z kimś spotykam. Tak mi przykro, Gordonie, naprawdę.

— Nie, nie mów tak. Wiesz przecież, że nie masz za co przepraszać.



Głupi był, myśląc, że taka piękna, młoda kobieta mogłaby się nim zainteresować. Musiał sobie zapamiętać, żeby nie wymagać zbyt wiele. Powrót do normalnego świata wcale nie znaczył, że człowiek staje się wolny. Wystarczy, że w ciepłe, słoneczne popołudnie wraca z pracy do domu. Gdy tylko skręcił w swoją alejkę, przez ulicę przebiegła Jada Fossum ze szczeniakiem na ręce.

— Spójrz tylko, jaki śliczny! Och, jak ja cię kocham, mój ty maleńki! — zapiszczała, głaszcząc fałdki jego pulchnego, brązowego karku.

— Ładny piesek — zauważył i nagle przypomniał sobie, jak kiedyś kopnęła wynędzniałego kundla jakiegoś starca.

— No dalej, pogłaszcz go! — Chwyliła jego rękę i położyła na ciepłym łbie psa. — Widzisz? Już cię polubił!

Szczeniak zapiszczał i pomachał do niego ogonem. — Jest bardzo przyjazny.

— Te ćpyny chciały oddać go do schroniska, a moja mama na to: o nie, mowy nie ma. Ona nie cierpi, kiedy zwierzętom dzieje się krzywda. Tam go uspia, mówi, a to maleństwo nawet nie widziało świata. Te potwory przez cały czas trzymały go w klatce. Prawda, maleńki? — szepnęła mu do miękkiego ucha. — Biedne maleństwo, brudzi w całym domu. Chciałam go nauczyć, ale za każdym razem, kiedy go sadzam, to mi ucieka. Ej, nie masz gdzie przypadkiem jakiejś starej smyczy?

— Niestety — odparł, ale na widok jej zawiedzionej miny przypomniał sobie, że w garażu leżą kawałki starego sznura do bielizny.

Przywiązała najkrótszy z nich do obroży. Ta była zdecydowanie za luźna, ale Gordon ani myślał się wtrącać. Gdy tylko Jada postawiła szczeniaka na ziemi, ten wyslizgnął się z obroży i popędził w krzaki, prosto na werandę pani Jukas. Dziewczyna z krzykiem ruszyła za nim. Kiedy wreszcie dopadła szczeniaka, usiłując założyć mu obrożę, otworzyły się drzwi.

— A ty co tu robisz? — fuknęła pani Jukas zza siatki.
— Chciałam tylko złapać psa.
— Wynocha mi stąd!
— Chwila, tylko założę mu to na szyję i już mnie nie ma.
— Wynos mi się stąd, i to już! Złaz z moich schodów!
— Zaraz idę! Muszę tylko to założyć! — rzuciła Jada, ale obroża znów ześlizgnęła się psu z głowy.

Głośne krzyki sprawiły, że w drzwiach stanęła Marvella Fossum. Najpierw wyglądała na zdezorientowaną, ale już po chwili zbiegła ze schodów i popędziła przez ulicę prosto na wąską werandę pani Jukas. — Co ty wyprawiasz, do cholery? — wrzasnęła. — Skoro nie umiesz się nim zająć, to trzeba będzie go oddać. Mówiłam ci przecież, nie? Czy nie mówiłam? — Jada wzięła psa na ręce i zaczęła rozplątywać sznur owinięty wokół nogi aluminiowego krzesła, które pies wyrzucił. — Odpowiedz mi! Słyszysz? — wrzeszczała Marvella szaleńczym tonem pozbawionej autorytetu matki.

— Obie się stąd wynoście! Wynocha z mojej werandy! — krzyknęła pani Jukas.

— Chrzań się! — Marvella wymierzyła kopniaka w drzwi.

Kobieta odskoczyła jak oparzona. — Dość już tego! Zaraz dzwonię na policję. Nie pozwolę, żeby jakaś wywłoka kręciła się przy moim domu!

— Mamo! — krzyknęła błagalnie Jada, kiedy Marvella znów naparła na drzwi.

Gordon, który stał na podjeździe, podniósł rękę.

— Przestań, mamo! Przestań! — krzyczała Jada, chwytając matkę za ramię.

— Myśli, że może mnie wyzywać od najgorszych? — zawołała Marvella. — Jakbym była zerem albo jakimś śmieciem? — wykrzykiwała, aż wreszcie Jada z pociesznym szczeniakiem na sznurku odciągnęła ją od werandy.

Delores nie wierzyła własnym oczom. Od paru dni ani słowa od Alberta, aż tu nagle zjawia się z tą swoją Katie, drobną, myszowatą urzędniczką z Dearborn w dżinsowej kurtce, i oświadcza, że za kilka tygodni zamyka sklep w Collerton.

— Wiem, że trochę za późno ci to mówię — przyznał.

— Za późno to mało powiedziane!

Katie robiła w notatniku zestawienie towaru, ale Delores domyśliła się, że Albert przyprowadził ją dla własnej asekuracji.

— Po prostu, jak by to powiedzieć, doznałem olśnienia i tak postanowiłem — wyrecytował swoim głębokim, gardłowym tonem, którego używał wtedy, gdy chciał wywrzeć na kimś wrażenie. — W jednej chwili pomyślałem sobie, co my właściwie robimy? Po co ponosić straty z miesiąca na miesiąc?

Katie podniosła wzrok i przytaknęła ruchem głowy.

My? To znaczy, kto? On i Katie? Jak on śmie? Jak można być tak bezduśnym?

— I nagle mnie olśniło! A może by tak z tym skończyć? — ciągnął.

— Jak to? Nie rozumiem — odparła drżącym głosem, patrząc mu w oczy tak, jakby byli sami.

— No, zamknąć sklep. Po prostu wszystko stąd zabrać i zamknąć drzwi na klucz — oświadczył.

— Tak po prostu?

— No, bo jaki jest sens prowadzić nierentowny interes? Zresztą i tak wszystko zabieramy do nowego sklepu — zawołała Katie zza szklanej gabloty i przyklękła, żeby policzyć bloczki samoprzylepne.

— Może damy radę zabrać to wszystko w jeden dzień — zauważył Albert.

— Oby tylko! — zadrwiła Katie.

— A co ze mną? — dociekała Delores.

— Szczegóły musimy jeszcze przemyśleć — rzucił i otworzył drzwi do magazynu. — Słuchajcie, gdzie się podziała stara kserokopiarka?

— Jakbyśmy nie mieli na głowie ważniejszych rzeczy, Albercie, tylko jakieś stare kserokopiarki! — zaśmiała się Katie i zerwała się z miejsca. — On uwielbia wszystko chomikować — rzuciła do Delores. — Nigdy nie wiadomo, kiedy to i owo może się przydać, prawda, Albercie?

Tego wieczoru Delores zatelefonowała do najmłodszej z siostr. Dzwoniła do Babbie zawsze, gdy musiała się wyzalić i nie chciała wysłuchiwać kazań. Spośród pięciu siostr Dufault to właśnie Babbie nazywano ptasim mózdzkiem, mimo że jako jedyna skończyła studia. Babbie stwierdziła, że siostra powinna być wdzięczna losowi za likwidację sklepu. Nigdy nie mogła pojąć, dlaczego Delores tkwiła tam przez tyle czasu.

— No dobrze, już idę! — zawołała potem do kogoś po jej stronie słuchawki. Musiała kończyć, bo Dwayne na nią czekał. Wybierali się do klubu Elks na wieczór tańca country.

Maureen nie było w domu, a Linda miała akurat na linii swoją synową i obiecała, że oddzwoni. Delores zatelefonowała wtedy do najstarszej

siostry, Karen i przygryzając policzek do krwi, starała się nie rozpłakać. — Przecież wiedziałas, że tak będzie. Taki szef jak Smick nie zna, co to lojalność. To zwyczajna menda! Zawsze taki był.

— Nieprawda, to uczciwy człowiek i dobry przyjaciel. Mój bliski przyjaciel — dodała.

— A czy ten twój bliski przyjaciel awansuje cię na kierowniczkę?

— Na to wygląda.

— Awansuje cię czy nie?

— Jasne, że tak, i to bez dwóch zdań. Tylko ostatnio jest taki zapracowany, że...

— Delores! Czy ty nic nie rozumiesz? To koniec! Za parę tygodni zostaniesz bez pracy!

— Wcale nie!

— Gdzie indziej mogłabyś zarabiać o wiele więcej. Nie rozumiem, po co tkwisz w tym sklepie. Ile razy ci mówiłam, że szukają kogoś na pocztę? Dziś byłabyś już kierowniczką, miałabyś zapewnioną pracę i emeryturę. Jesteś taka bystra. Nie rozumiem cię, Delores. Co ci chodziło po głowie przez te wszystkie lata? Myślałaś, że czeka cię tam jakaś przyszłość? Wiesz, nawet matka to przewidziała. Dlaczego ona jeszcze mieszka ze mną, pytała. Dlaczego po prostu się nie wyprowadzi, tak jak wy wszystkie?

— Bo się nią opiekowałam! Sama chciała, żebym z nią została. Potrzebowała mnie. Kto inny miał się nią zająć? — krzyczała Delores, widząc w duchu, że Karen kolejny raz przypisuje zmarłej matce słowa, których tamta nigdy nie powiedziała.

— Zależało jej, żebyś ty też miała swoje życie, Doe, tak jak my wszystkie.

— Przecież mam swoje życie. Zawsze je miałam. Może to nie to, czego ode mnie oczekujecie, ale przynajmniej jestem szczęśliwa. — Mówiąc to, od razu poczuła się lepiej. Wzięła głęboki oddech. — Jeśli nie chcesz mnie zaakceptować, to już twój problem.

W słuchawce zapadła cisza. — O mój Boże — jęknęła Karen po chwili.

— I co to ma znaczyć?

— Jesteś lesbijką, prawda? To właśnie chcesz mi powiedzieć. Tak strasznie mi głupio! Ja, pielęgniarka, przeoczyłam coś takiego. Tyle lat przeżyłam z rodzoną siostrą i nawet się nie domyśliłam. No jasne! Od dawna mam przecucie, że chcesz mi coś powiedzieć. No i wszystko jasne.

- Jak to?
- Zawsze miałaś tyle koleżanek! Nie umawiałaś się z chłopakami.
- Nieprawda.
- No racja, ale to byli tylko kumple.
- Kumple?
- No wiesz, albo spotykali się z innymi, albo to byli geje... Mój Boże, dopiero teraz przyszło mi to do głowy. Albo jak ten Gordon Loomis, prawda? Facet w więzieniu to doskonała przykrywka, nie? Ale posłuchaj, Does, to i tak bez znaczenia. Naprawdę. Jesteś moją siostrą i kocham cię taką, jaka jesteś! I bez względu na to, kim jesteś! — oznajmiła zapalczywie Karen w przejawie tolerancyjności, siostrzanej miłości czy poczucia ulgi — cokolwiek by to nie było.
- Karen, ja wcale nie jestem lesbijką.
- W porządku, umiem się z tym pogodzić.
- Ale to nieprawda!

Następnego ranka o dziewiątej Delores siedziała w samochodzie na wąskim parkingu w Dearborn, tuż za sklepem Smicka. Silnik chodził na biegu jałowym. Zauważyła nowe pojemniki na śmieci na kółkach. W Collerton mieli tylko stare, metalowe kubły, które, napełnione, ledwo dawały się ruszyć. A tu mieli nawet krzesła ogrodowe i mały, plastikowy stolik dla pracowników na cieplejsze dni. Albert zaparkował tuż obok niej.

— A ty co tu robisz? — Jego lśniąca łysina zaróżowiła się na jej widok.

— Muszę z tobą porozmawiać.

— W porządku. Wiem, że musimy pogadać, ale czemu właśnie teraz? — Zerknął na zegarek. — Zresztą zaraz powinnaś otworzyć sklep, nie?

Wzruszyła ramionami. — I po co? Teraz to już chyba nie ma sensu, prawda? — Mocno pomalowane oczy piekły ją od porannego brzasku. Nie spała całą noc, ale za to dołożyła wszelkich starań, by wyglądać jak najlepiej wjasnofioletowym spodniem i jaskrawozielonej chustce.

— Przecież mogłaś się tego spodziewać, nie? — zauważył ściszym głosem.

— A dlaczego nie przyszedłeś sam? Wiesz, jak się poczułam? Zawsze się jakoś dogadywaliśmy. Mój Boże, jak długo my się... znamy? — dodała szybko na widok jego szeroko otwartych oczu.

— No, jest mi przykro.

— Bardzo mnie zraniłeś, Albercie. A ja zawsze byłam ci wierna, sam dobrze wiesz. I starałam się być wyrozumiała. Cokolwiek by się nie wydarzyło, zawsze trzymałam twoją stronę. Jak mogłeś mi to zrobić?

— Przepraszam.

Jego powściągliwość, która zawsze ją podniecała, teraz raniła jej serce. — Mam w sobie straszną pustkę — szepnęła, nie mogąc już powstrzymać niechcianych łez. — Nie wiem, co robić.

— To nie jest właściwe miejsce na taką rozmowę, a zwłaszcza w takim stanie! Przykro mi! — syknął przez zastygłe w uśmiechu wargi, jak jakiś brzuchomówca. — Właśnie mamy tu wielką wyprzedaż. Reklamiarz już przyjechał i na pewno na mnie czeka! — Jego wargi rozszerzyły się w uśmiechu. — Wybrałaś najmniej odpowiednią porę!

— Przepraszam — szepnęła i odwróciła głowę.

Tylne drzwi sklepu otworzyły się. — No, Albercie! Nareszcie jesteś! — odezwała się Katie.

— Wpadnę do ciebie, to pogadamy — zawołał, a jego sztucznie wesoły ton ugodził ją w plecy jak ostrze noża, kiedy oddalała się do auta.

Zdziwiła się na widok siostry, która czekała na nią przy sklepie. Karen właśnie skończyła dyżur i nie mogła się doczekać, żeby opowiedzieć Delores, kto był na oddziale zeszłej nocy. — No więc o trzeciej nad ranem podejżdza taksówka, a po chwili wbiega jakiś potężny facet, naprawdę kolos, cały roztrzęsiony i mówi, że przywiózł jakąś kobietę, że została w taksówce i chyba ma zawał, a on się boi, że zaraz umrze. Nie wygląda dobrze, mówi, proszę, niech ktoś weźmie nosze i zabierze ją do środka. A ja siedzę z rozdziawioną buzią, gapię się na niego i myślę sobie, mój Boże, nie wierzę własnym oczom. Przecież to Gordon Loomis. Muszę powiedzieć Delores.

— A kim była ta kobieta?

— Zapisałam nawet jej nazwisko. — Rozłożyła jakąś kartkę. — Jukas. Elsbeth Jukas.

Delores starała się nie okazywać ulgi. — A dlaczego nie przyjechali karetką?

— Nie dała się namówić. Gordon twierdzi, że nalegała, aby zawiózł ją jej samochodem, a on nie ma prawa jazdy... No racja! Nie pomyślałam o tym, dopóki sam mi nie powiedział. Zresztą i tak pewnie nawet nie potrafi prowadzić samochodu, prawda?

— Chyba nie.

— Dwadzieścia pięć lat. O rany! Pomyśl tylko, co zrobiłaś w ciągu dwudziestu pięciu lat. Wyobrażasz sobie?

Przez jedenaście lat pracowała w banku. Wtedy też zjawił się w jej życiu Robert Cleary, młodszy od niej o pięć lat nauczyciel angielskiego w liceum. Aż któregoś pięknego czerwcowego ranka oznajmił jej przez okienko kasowe, że dostał pracę w Japonii i zaraz wyjeżdża. Pisała, ale nie odpowiadał. Po Robercie byli jeszcze inni, których poznała w klubach, na wycieczkach dla osób samotnych, w pracy, w kręgielni albo podczas gry w softball. Randki z samotnymi i żonatymi, w ciemno, z ogłoszeń towarzyskich — to wszystko nie miało znaczenia, dopóki któregoś dnia nie trafiła na wyściełane papierem łóżko operacyjne. Leżała z rozłożonymi kolanami, stopy miała przywiązane, a dłońmi zatykała uszy, żeby nie słyszeć odgłosów łapczywego wysysania. Krótco potem, kiedy jeszcze krwawiła i nienawidziła samej siebie, do jej okienka przywłókł się Albert Smick z utargiem ze sklepu i zaczął ciężko wzdychać. Właśnie miał jechać z żoną i dziećmi do Disney World, ale ekspedientka zrezygnowała mu z pracy, a on nie mógł pozwolić sobie na to, żeby zamknąć sklep. Jechał do domu powiedzieć im, że będą musieli wybrać się bez niego. Proszę jechać z nimi, mówiła mu, a ona zajmie się sklepem. Miała jeszcze mnóstwo urlopu, a to był najlepszy moment, by zmienić coś w jej życiu.

— Dziwna sprawa — ciągnęła Karen. — Teraz jest, rzecz jasna, dużo starszy, a ciągle wygląda tak samo, jakby nic się nie zmieniło. Nadal nie ma prawa jazdy, zupełnie jakby nic się nie wydarzyło i nie zostawiło na nim żadnego śladu. To tak, jakby wcale nie istniał. Rozumiesz, co mam na myśli?

— A poznał cię? Mówiłaś mu, że jesteś moją siostrą?

— Niby tak, ale on był jakby w innym świecie. Siedział w kącie i gapił się na podłogę przez cały czas, kiedy ją reanimowali.

— A co z nią? Żyje? — *Biedny Gordon, musi zmagać się z tym zupełnie sam.*

— Tak. Zabrali ją na kardiochirurgię. A on ciągle zaciskał dłonie, a ja myślałam sobie, Boże, jakie ogromne! Przecież ta nieszczęsna Janine Walters nie miała żadnych szans. — Karen pochyliła się nad ladą. — Czy na tych odwiedzinach zrobił kiedyś coś, co cię zaniepokoiło?

— Nie.

— Bo wiesz, on wydaje się taki jakiś... spięty.

— Jest po prostu skryty, i tyle. Nieśmiały i zamknięty w sobie.

— A opowiadał ci o tym morderstwie? — spytała Karen z błyskiem w oku. — Głowę daję, że tak. Proszę, Delores, mnie możesz powiedzieć.

- Nie opowiadał, a nawet gdyby, to i tak nic bym nie powiedziała.
- Och, daj spokój. Jasne, że byś powiedziała. Nie umiesz trzymać języka za zębami, Delores, i sama dobrze o tym wiesz.

Pani Jukas była jeszcze w szpitalu. — Twarda z niej staruszka — oznajmiła pielęgniarka Dennisowi przez telefon. Gordon nadal czuł się zbędny, tak jak tamtej nocy, kiedy zadzwoniła pani Jukas, dysząc do słuchawki, że ma zawał. Nie pozwoliła mu nic zrobić, tylko zaczekać przed jej domem na taksówkę i pomóc jej wsiąść. Zanim ją odwieźli, zdążyła tylko powiedzieć: pilnuj, żeby nie zbliżali się do mojego domu. Przydałoby się skosić u niej trawę, ale bez jej pozwolenia nie odważyłyby się. W drzwiach jej domu widniała biała kartka, której jeszcze wczoraj tam nie było. Wszedł szybko na werandę. Z gazowni na zapisanie odczytu licznika gazu. Wsunął ją przez otwór na listy w drzwiach, żeby wyglądało na to, że kobieta jest w domu. Krótka, ale silna wichura postrzącała z drzew gałęzie i rozsypała je po całym podwórzu. Gordon zgarnął je w kupkę przy krawężniku przed jej domem, żeby śmieciarze zabrali je razem z jego workami, co miało być kolejną oznaką na obecność pani Jukas w domu.

Po drugiej stronie ulicy szczeniak Jady czekał i rzucał się na sznurku jak opętany. Przywiązany do poręczy, skakał i biegał w kółko, niemal zrywając się z obroży. Gordonowi żal było niesforenego stworzenia, ale szybko zajął się pracą, bo im więcej okazywał serca, tym częściej dziewczyna to wykorzystywała.

Wieczorem ledwo skończył jeść kolację, a już zjawiła się ze szczeniakiem na rękach. Rozmawiał z nią przez siatkę w drzwiach. Spytała, czy nie zostały mu jakieś resztki jedzenia, bo skończyła jej się karma dla psa.

— A twoja mama nie mogłaby dokupić? — Widział, jak przed chwilą Marvella Fossum wychodziła z domu z Ronniem Feasterem.

— Mama śpi — odparła dziewczyna ściszonego głosem, udając, że nie chce jej budzić. — A Leonardo jest głodny. Moje biedne maleństwo umiera z głodu, prawda? — dodała i pocałowała szczeniaka.

— Leonardo? To tak go nazwałaś?

— No! Fajnie, nie? Trochę mi go przypomina.

— Od Leonarda da Vinci? Tego malarza?

— Nieee! — zaśmiała się. — Leonarda DiCaprio! Tego chłopaka z Titanica — dorzuciła na widok jego zdziwionej miny.

— Niech zje trochę mięsa, bo kością może się zadławić — powiedział, wracając z kuchni, podał jej przez drzwi jakiś pakunek w folii i znów założył siatkę.

— Ładnie pachnie. — Jada i jej szczeniak obwąchali pakunek. — Co to jest?

— Kurczak.

— O, pewnie z KFC! Uwielbiam te najnowsze smaki, z grilla. Ale to nie to, czuję po zapachu.

— To pieczony kurczak mojej roboty.

— Aha! — zawołała, odwijając folię. — W takim razie przekonajmy się, czy dobrze gotujesz, co? — Ugryzła udko kurczaka, a pies obskakiwała ją, rzucając się na mięso. — Pycha — mruknęła i wzięła jeszcze dwa kęsy. — Ty naprawdę świetnie gotujesz!

Uśmiechną się. — Może przynieść ci jeszcze kawałek? Wygląda na to, że jesteś tak samo głodna jak ten pies.

— No, może trochę. Mieliliśmy coś zamówić, ale potem mama musiała... się położyć i zasnąć.

Urywając większy kawałek folii, usłyszała szcęk klamki przy przekreconym zamku. Zapakował jeszcze jedno udko, zimnego pieczonego ziemniaka i trochę zielonej fasoli. Podziękowała mu i zerknęła przez ulicę. — Nie wolno mi tu przychodzić. Mama myśli, że każdy facet, z którym rozmawiam, chce się do mnie dobrać.

Dwa dni później znów przyszła ze swoim szczeniakiem. Matka kupiła karmę dla psa, ale Leonardo nie chciał jej jeść. Trudno, powiedziała, w takim razie będzie leżała w misce tak długo, aż pies zgłodnieje i ją zje, choćby miała całkiem się zepsuć. — Mówi, że dwa niejadki w domu to już za wiele! — wołała za nim, kiedy poszedł do kuchni.

Była potem już w połowie drogi, niosąc zapakowany stek i makaron z serem, gdy pod dom zajęchał wóz Ronniego Feastera, wysiadła z niego matka dziewczyny i zaczęła na nią krzyczeć. Gordon szybko zamknął drzwi, ale po paru minutach zapukał do niego Ronnie Feaster. Błysnął uśmiechem jak ostrzem noża w ciemności.

— Czego pan chce?

— Nie ja, człowieku, tylko Marvella. Wścieka się jak lew, leje tę małą na oślep, krzyczy, że wezwie gliny. Cholera, chyba już sama za siebie nie może. — Przy każdym zdaniu uderzała się dłonią w pierś. — No i przyszedłem w jej imieniu. Ta mała jest trochę dziwna, sam rozumiesz. Ma w sobie tyle... no, wiesz, o co mi chodzi. Tylko sobie nie myśl, że to w porządku, bo Marvella też jest taka. — Wbił w Gordona zimny wzrok. — Bo to wcale nie jest w porządku, mówię ci.

— Nie rozumiem — wyjąkał przerażony Gordon.

— Przyszedłem w jej imieniu, mówię przecież.

— Dałem jej tylko jedzenie dla psa.

— Tak też słyszałem, ale ta Jada opowiada różne historie. Twierdzi, na przykład, że ciągle jej coś dajesz. — Feaster przymrużył oczy. — Ale tego jednego jej oszczędź, jasne?

Ej, zaczekaj! — zawołała Jada następnego ranka. Gordon przyspieszył kroku. Nie chciał, żeby Marvella Fossum wyszła z domu i znów zaczęła krzyżeć. — Zaczekaj, chcę ci tylko coś powiedzieć! — wołała i pobiegła za nim. — Zgadnij, jaki dziś dzień — rzuciła, doganiając go. W jej uśmiechu było coś cierpkiego, co — jak blask światła w obskurnym pokoju — nadało jej młodej twarzy wynędzniałego, szarego wyrazu.

— Nie mam pojęcia — odparł. Skręcając za róg, poczuł wyraźną ulgę. — A jaki to dzień?

— Moje urodziny! — Dlatego wyszła do szkoły tak wcześnie. Żeby powiedzieć o tym koleżankom i kolegom. Trajkotała tym swoim sztucznym, cienkim głosikiem, pełnym fałszu i nadziei, jakby lada chwila miał się załamać. Gordonowi przypomniawszy się Rodney Swift, który piskliwie z zapartym tchem opowiadał po nocach niestworzone historie o bogactwie, sławie i tysiącach kobiet w łóżku, a następnego dnia był zastraszaany i bity po nerkach. Ale nawet sińce czy rany nie zdołały pogłębić Rodneya, jakby te zniewagi jeszcze bardziej potęgowały jego idiotyczną radość.

— No to wszystkiego najlepszego. Ile skończyłaś lat?

— Trzyście.

— O, to dobry wiek — przyznał. Nie wspomniawszy jednak, że jeszcze parę tygodni temu mówiła mu, że mają już skończone trzyście lat.

— A niby dlaczego?

Zastanawiał się, co jej odpowiedzieć. — No, bo to już poważny wiek, dobrze brzmi...

— Jasne, ale i tak ciągle nic mi nie wolno.

— A co byś chciała robić?

Kiedy doszli do apteki, pobierała z chodnika kilka zdrapek. Obejrzała dokładnie każdą z nich i zaczęła kolejno wyrzucać. — No, dajmy na to, wejść do sklepu i kupić sobie papierosy — odparła. — A niech to, jeszcze jeden pik i miałabym darmową zdrapkę — dodała, ciskając kupon na ziemię.

— Palisz?

— Czasami. Kupuję od Thurma.

— To Thurman sprzedaje papierosy?

— Taa, na parkingu, ale nie na paczki, tylko po pięćdziesiąt centów za sztukę. Kiedyś podbierałam mamie, ale teraz nie mogę, bo cały czas nosi je przy sobie. E, wszystkie do kitu! — mruknęła i wrzuciła ostatnią zdrapkę do rynsztoka. — Raz jeden facet wygrał milion dolców dzięki znalezionej zdrapce. Znalazł ją na chodniku i krótko po tym miał już swojego szofera, służącego i ogromną rezydencję z podgrzewanym basenem.

— Naprawdę? — spytał, zastanawiając się w duchu, czy papierosy, którymi handlował Thurman, przypadkiem nie pochodziły z ich supermarketu.

— Aha. I taką długą limuzynę, i prywatny samolot.

— Miał facet szczęście.

— Jasne, zupełnie jak ja. Ja też mam cholerne szczęście.

— I często wygrywasz?

— No pewnie! Zawsze coś wygrywam. Dajmy na to, Leonardo. Jego też wygrałam.

— Wygrałaś? A gdzie?

— W sklepie zoologicznym! A co ty, kurde, myślałaś? — zaśmiała się. — Mieli na wystawie wielgachny słój, wypełniony chrupkami w kształcie kości. Wygrywał ten, kto odgadnął, ile ich tam jest. Codziennie przechodziłam obok tej wystawy i za nic nie mogłam do tego dojść, aż któregoś dnia idę sobie i w głowie mi świta: dziewięć tysięcy osiemset trzydzieści cztery chrupki. I wiesz co? Zgadzało się! Dokładnie tyle ich było. Sama nie mogłam w to uwierzyć!

— No to na razie — rzucił, kiedy doszli do supermarketu. Dziś mieli dostawę nowych produktów. **PRIMA PRZYSMAKI Z NAJWYŻSZEJ PÓŁKI**, głosił napis z czarnych, połączonych na krawędziach liter na drzwiach małej, czerwonej furgonetki przed sklepem.

— Słuchaj, dobry był ten stek, naprawdę pyszny — zawołała za nim Jada.

Neil właśnie rozcinał kartony, a sprzedawca z firmy Prima przykucnął obok niego i układał towar na najniższych półkach.

— Gordon! Spójrz tylko — zagadnął Neil, przywołując go ruchem ręki. — To jest właśnie to, o co nam chodziło. — Wziął słoik kaparów. — No i co ty na to? Pierwszorzędny towar, nie?

Sprzedawca podniósł wzrok i uśmiechnął się.

Gordon minął ich szybkim krokiem i poszedł do magazynu.

— I co to miało znaczyć? — wybuchnął Neil, który chwilę później przyszedł za nim. — Zadaję ci pytanie, a ty sobie odchodzisz, jakby nigdy nic?

— Miałem coś ważnego do zrobienia.

Na ustach Neila zagościł uśmiezek. — A wiesz, kto to był?

Gordon skinął głową. Eric Reese, najlepszy przyjaciel Jerry'ego Coxa. Na procesie Reese opowiadał, jak poszli z Coxem na węgry. Całe popołudnie pili alkohol u Reese'a w domu. Waltersowie mieszkali po drugiej stronie ulicy. Cox mówił Reese'owi, że Waltersowa się do niego przystawia. Kiedy pracował w ogrodzie, chodziła roznegliżowana po domu. Chyba śniesz, uciał Reese, a wtedy Cox powiedział to samo o dziewczynie Reese'a. Pokłócili się i Reese kazał mu się wynosić, a chwilę potem zza rogu wyszedł Gordon i natknął się na pijanego i rozwścieczonego Coxa. Gordon ucieszył się, że Cox zna jego imię. Schlebiało mu, że tamten zaczął mu się zwierzać, kiedy włączyli się po parku. Nie miał pojęcia, kim była ta napalona Waltersowa, więc Cox zaproponował, że pokaże mu jej dom.

— Zdziwił się, jak cię zobaczył — ciągnął Neil, podchodząc bliżej. — Nie wiedział, że wyszedłeś. To fajny gość, powinieneś pójść się z nim przywitać.

— Wolałbym jednak nie.

— Powiedział, że zawsze ci współczuł. Zaraz po tym, jak wypuścili Jerry'ego, poszli razem się napić. Podobno Jerry się rozpłakał i wyznał Reese'owi, że najbardziej dręczy go nie śmierć tej dziewczyny, ale twój wyrok. Mówił, że cię wydymali. A następnego dnia strzelił sobie w łeb. Reese mówi, że od tamtej pory nie daje mu to spokoju. Spytał mnie nawet, co na to Gordon?

— Nie chcę o tym rozmawiać.

— Ale ja chyba mam prawo wiedzieć. Jestem to winien tym ludziom. — Wskazał palcem na drzwi. — A oni nie bardzo wiedzą, co o tym myśleć. Mówią tylko to, co słyszeli. Dziewczyny nie chcą cię o nic wypytywać, jednak po tamtym incydencie z Fergusonem po prostu mają stracha.

— Skoro tak, to trudno. Przykro mi, ale nic na to nie poradzę.

— A mógłbyś. Wszyscy chcieliby wiedzieć, jak było naprawdę. Ciagle mnie wypytują. No i co ja mam im powiedzieć?

— To, co chcesz, Neil. To już twoja sprawa.

Gordon wybierał się **na** spotkanie **ze** swoim kuratorem sądowym. Ich pierwszy kontakt ograniczył się zaledwie **do** biurokratycznej procedury, podczas której powtórzono **mu** postanowienia zwolnienia warunkowego oraz podano nazwy instytucji opieki społecznej i przytułków w razie, gdyby był w potrzebie. Gordon wziął prysznic, jeszcze raz się ogolił i wypolerował buty: nic **mu** już nie groziło. Mazzorio nie będzie miał żadnych zastrzeżeń **do** jego życia **na** wolności. Kiedy mocował się z krawatem, **za-**dzwonił telefon.

To była Delores. Jej siostra Karen mówiła **jej**, że panią Jukas przywieziono **na** dyżur i Delores była ciekawa, jak ona się czuje. Dobrze, odpowiedział **jej**. Okazało się, że to wcale nie był zawał i **za** parę dni **ma** wrócić **do** domu.

— A ty? Co u ciebie?

— W porządku, jakoś leci. Jestem okropnie zapracowany. — *To dlatego zadzwoniła*, pomyślał sobie. Bo **jej** siostra **na** pewno wiedziała więcej o stanie zdrowia pani Jukas niż **on**.

— Karen mówi, że okazałeś tej biednej kobiecie tyle życzliwości.

— Ona bardzo cierpiała, a przy tym okropnie się bała.

— To musi być straszne, odebrać taki telefon w środku nocy.

— Była bardzo zdenerwowana.

— Biedaczka. A **do** tego jeszcze samotna. Wiesz, moja sąsiadka z góry **ma** osiemdziesiąt sześć lat. Czasem myślę sobie, o rany, tak dawno **jej** nie widziałam, i zaraz pędzę **po** schodach **na** górę, a ona, jak zwykle, leży w...

— Słuchaj, Delores, przepraszam cię. Przykro **mi**, ale nie mogę rozmawiać. Muszę wyjść, **mam** ważną rzecz **do** zrobienia.

Od razu zaczęła przeproszać. Mówiła, że nie chce **mu** przeszkadzać, ale gdyby tylko miał ochotę gdzieś wyjść, chciał, żeby **go** podwieźć, **potrzebował** czegokolwiek, **to** niech śmiało **do** niej dzwoni. O każdej porze.

Aha, i chciała mu powiedzieć jeszcze coś: jej szef zamyka sklep w Collerton, a to oznacza, że wkrótce przeniosą się do Dearborn, i dlatego daje mu nowy numer w razie, gdyby...

— Delores! Wybacz, ale nie mogę dłużej rozmawiać. Strasznie się śpieszę.

Do sądu rejonowego dotarł kwadrans przed czasem. Jego proces odbył się za rogiem, w sądzie powszechnym, ale oba budynki wyglądały tak samo i pachniały starym drewnem i kurzem ksiąg. Idąc korytarzem, znów poczuł się ogromny, większy niż inni. Wszedł do zatłoczonej windy, ale się rozmyślił, narażając się na gniewne spojrzenia pasażerów, i pognął schodami na pierwsze piętro, do biura kuratora. W korytarzu czekało jedenastu mężczyzn. Gordon zaszył się w kącie. Wszyscy byli od niego młodszy i tylko on jeden miał na sobie marynarkę i krawat. Po godzinie Mazzorio wezwał go do biura.

— No i jak tam? — zagadnął. Był ubrany w czerwoną sportową koszulę i szperał w stosach akt na podłodze przy biurku.

— Świetnie, dziękuję — odparł Gordon i założył ręce, po chwili szybko splótł dłonie na kolanach, żeby nie wyglądać groźnie czy arogancko.

— Jakież problemy? — dobiegł go głos Mazzoria z drugiego krańca wielkiego biurka.

— Nie, a przynajmniej nic nie przychodzi mi do głowy. — Tylko ten Neil. Ale gdyby napomknął, że jego szef dziwnie się zachowuje, Mazzorio zaraz by pomyślał, że Gordon sam do tego doprowadził. I może rzeczywiście tak było. W jego głowie pojawiły się wątpliwości.

— Jezu Chryste — mruknął Mazzorio. — Niczego nie mogę znaleźć w tym bałaganie... No, nareszcie! — Wyjął jakąś teczkę. — Aha — mruczał pod nosem, przewracając kartki. — Aha, aha. Zobaczmy, co my tu jeszcze mamy. — Przesunął palcem po stronie i doczytał na następnej. — Aha. W porządku, żadnych przestępstw na de seksualnym, gwałtów, molestowania, napastowania nieletnich, prawda? Tylko to jedno zabójstwo sprzed... Zaraz, gdzie my to mamy? O, tutaj: sprzed dwudziestu pięciu lat. A więc nie ma pana na liście PS-ów.

— Nie — potwierdził. PS oznaczało przestępcę seksualnego. Omawiali to już przy pierwszym spotkaniu.

Zerknął na Gordona. — Zna pan zasady? Trzeba tylko poprawnie się zachowywać, żyć przyzwoicie, przychodzić tu regularnie, a będzie pan wolny. — Zapisał coś na zaplamionym formularzu i podsunął go Gordo-

nowi, a ten podpisał i oddał mu. Mazzorio dodał jeszcze, że Gordon zostanie powiadomiony o terminie następczej wizyty.

— I to wszystko?

— Z mojej strony tak. Chyba że są jakieś problemy. — Mazzorio spojrział znad okularów i po raz pierwszy popatrzył mu w oczy.

— Nie, nie ma żadnych problemów. Chciałem tylko się upewnić. — Wystarczyło nie zjawić się na umówionym spotkaniu, nie odesłać wymaganego dokumentu albo stać się powodem czyjejsz anonimowej skargi. Każde choćby najmniejsze podejrzenie mogłoby sprawić, że wróci z powrotem do więzienia.

Kiedy szedł wzdłuż Essex Street, podmuch wiatru z jakiejś wąskiej uliczki wzniesił ostry odór moczu, który wywołał u niego mdłości i wspomnienia z Fordey. Przyspieszył kroku i minął pizzerię, gdzie dawniej mieścił się zakład fotograficzny „U Coco”. To właśnie tam miał robione zdjęcie do księgi pamiątkowej w ostatniej klasie. Matce strasznie się ono nie spodobało i nalegała, żeby zrobił sobie jeszcze jedno. Przekonywała go, że jego twarz wyszła grubo i że miał tępy, ospały wzrok, ale on ani myślał po raz kolejny stawać przed kłamliwym obiektywem. Nie chciał się wykłócać, więc powiedział, że pójdzie, ale nigdy nie poszedł. I właśnie to zdjęcie pojawiło się potem w serwisach prasowych, żeby pokazać twarz nastoletniego zabójcy.

— *O nie!* — *plakała matka, pokazując mu gazetę.* — *Wygładasz na nim tak podłe i bezdusznie, jakbyś rzeczywiście był zdolny zrobić coś takiego.*

— *Przecież to zrobiłem* — *odparł, a ona uderzyła go w twarz i wybuchła łzami.*

— *Co ty wyprawiasz? Chcesz mnie zniszczyć? O to ci chodzi?* — *szlochała.*

W oddali, na wzgórzu, zza koron drzew wyłaniała się biała wieżyczka kościoła świętej Teresy. Kiedyś całą rodziną chodzili na mszę do małego, drewnianego kościółka. Tuż obok była szkoła parafialna — parterowy budynek z cegły i szkła. To właśnie ogrodzony teren szkoły był jego pierwszym więzieniem. Dźwięk elektrycznego dzwonka rozdarł ciszę i znów trzeba było ustawić się w szyku, porzucić bezpieczny azyl celi i zanurzyć się w zgiełk pod nieustanną czujną obserwacją. Chmary dzieci wysypały się otwartymi drzwiami na boisko. Pewne rzeczy wcale się nie zmieniły: dziewczynki nadal nosiły kraciaste mundurki i białe bluzki, a chłopcy ciemne spodnie, białe koszule i kraciaste, przypinane krawaty. Nauczyciele zaprowadzili całą czeredę do skutej łańcuchem bramy. Jej otwarcie powierzono Uczennicy Tygodnia — wysokiej, szczupłej dziewcz-

czynie o rudych włosach do pasa. Na oko była tam tylko jedna zakonnica, która zamiast ciężkiego habitu miała na sobie bluzkę, spódnice i krótki, jasnoniebieski welon. Na jej skinienu brama została otwarta i tłum dzieci wylał się na ulicę. Samochody zatrzymały się, krzepka kobieta w czarnych spodniach stanęła na jezdni i wyciągnęła ręce w stronę aut, a dzieci ruszyły na drugą stronę. Kiedy go mijały, uśmiechnąły się.

— Przepraszam pana — odezwała się kobieta, gdy ostatnie dziecko weszło już na chodnik. — Czy mogę pomóc?

— Nie, nie, chciałem tylko popatrzeć na dzieci — odparł, posyłając jej uśmiech.

— A po co? Czeka pan na kogoś? — spytała i podeszła bliżej.

— Nie. Po prostu tędy przechodziłem, zobaczyłem dzieci i przypomniały mi się dawne czasy. — Zauważył to w jej dociekliwym spojrzeniu. Coś tu było nie tak. Chyba się domyśliła. Widocznie dziwnie się zachowywał. Zbyt nerwowo i podejrzanie. Ten wymuszony uśmiech, ten beznamiętny głos. — No cóż, lepiej już pójść.

— Mieszka pan w tej okolicy?

— Niedaleko, kilka przecznic stąd.

— Zaraz, czy my się przypadkiem nie znamy? Wygląda pan bardzo znajomo.

— Pewnie dlatego, że pracuję w supermarkecie przy Nash Street.

— Nie. Raczej przypomina mi pan kogoś, kogo kiedyś znałam. To było bardzo dawno temu, byłam wtedy jeszcze dzieckiem. Nazywam się Cecilia Reardon.

— A ja Gordon... Loomis.

— Ano tak — przyznała cicho. — Byłam małą dziewczynką, młodszą od ciebie o parę lat. — Głos miała opanowany, ale jej zszokowana twarz zdradzała przerażające myśli, które krążyły jej po głowie. Jej koszmar z dzieciństwa powrócił.

— Miło było cię spotkać — mruknął, skinął głową i szybkim krokiem ruszył ulicą. Miał ochotę uciec, schować się gdzieś albo całkiem zniknąć. Wszystko, byleby tylko nie być tu samotnym. Czy pobiegła do szkoły powiedzieć wszystkim nauczycielom? A może zadzwoniła na policję: *zgadnijcie, kogo przyłapałam pod szkołą, jak gapił się na niewinne dzieci? Tyle lat upokorzeń musiała znosić jego rodzina. Każde przypadkowe spotkanie z sąsiadami, dawnymi znajomymi czy obcymi ludźmi, którzy wiedzieli wszystko. I hańba, ta straszna hańba, którą na nich ściągnął. Skręcając za róg, pomyślał, że sklep Delores musi być gdzieś w pobliżu.*

Na biurku Alberta czekały dzbanek z mrożoną herbatą i jego ulubione karmelki toffi. Właśnie przyniósł ze sklepu w Collerton rachunki z ostatnich sześciu miesięcy kiepskiej sprzedaży. Oczy miał zaczerwienione, jakby nie spał całą noc. To, co chciała mu powiedzieć, wyparowało jej z głowy na widok jego zmęczonej i rozdrażnionej miny. Nie umiała się na niego złościć. Nie odpowiadał na jej telefony i zostawił tylko krótką wiadomość na jej domowej poczcie głosowej, mimo że wiedział, że ją zastanie w sklepie. W jego głosie dało się wyczuć napięcie, jakby to wszystko była jej wina — że dzielnica schodzi na psy, a dawni klienci już nie chcą tu kupować, bo wolą bezpieczne, wysadzone drzewami ulice sielankowego śródmiejskiego Dearborn.

— Ciężka sprawa — westchnął. — Aż się boję tej rozmowy.

— Rozumiem, Albercie. Sklep trzeba zamknąć. Nie musisz mi tłumaczyć, dlaczego. Sama się domyślam! Po prostu bierzmy się do pracy. Jakoś sobie poradzę. Myślałeś, że ten sklep to całe moje życie? Że nie potrafię funkcjonować gdzie indziej? Myślisz, że nie dam sobie rady w Dearborn? O rany, Albercie, przecież tak dobrze mnie znasz. Na Boga, jestem chyba najbardziej ugodową osobą na świecie. — Usiadła, żeby mógł górować nad nią wzrostem. Tak bardzo chciała mu to ułatwić, ale on nawet na nią nie spojrział. Zawsze był dla siebie bardzo surowy.

— Chyba jednak nie rozumiesz. Wiem, ile z siebie dałaś, jak ciężko pracowałaś, doceniam też twoją lojalność. Ale wiesz, jak to z nami było... Chodzi o to, że w Dearborn nie będziesz mi już potrzebna. Katie jest kierowniczką.

— Nie szkodzi! — Głos jej zadrżał, ale wysiliła się na uśmiech. — Równie dobrze mogę sprzedawać. To nawet lepiej, bo pracowałabym codziennie, nie musiałabym robić remanentu i...

— Nie, Delores. Nic z tego nie będzie! Zresztą i tak nie mamy już wolnych stanowisk. Nie ma dla ciebie miejsca, wszystko jest obsadzone.

Zaniemówiła, wstrząśnięta jego nieczułością i swoim zaślepieniem. Na dzbanku osiadły kropelki lodowatej wody. Karmelki były z drugiej partii. Pierwszą wyrzuciła, bo przypaliły się od spodu. Wzięła jednego.

Albert przechadzał się tam i z powrotem. Chętnie napisze jej referencje, ile tylko będzie trzeba. Gospodarka ma się tak dobrze, że praca czeka na ludzi. A w międzyczasie powinna ubiegać się o zasiłek dla bezrobotnych. Na tak długo, jak tylko się da. I niech korzysta z tego, że jest lato. Tak bardzo chciał, żeby dobrze jej się ułożyło.

Kciukiem spłaszczyła gumową masę. *Dziecko miałoby teraz kilkanaście lat. Dzięki Bogu, że nigdy nie poznało swojej żalostnej matki.* Nie umia-

ła nawet się złościć. I znowu ta sama pustka, ten sam słaby uśmiech na jego wargach, kiedy położył dłoń na jej ramieniu, zapewniając, że w końcu wszystko się ułoży. Ani się nie obejrzysz, a będzie dobrze, mówił. A ona, zamiast dławić się jego fałszywą litością, powinna coś zrobić. Gdyby tylko miała przy sobie pistolet czy nóż... *Weź ten dzbanek i upuść.* Wtedy przynajmniej sprawiłaby, że coś by się działo, zamiast tak siedzieć z zaciśniętymi udami i znosić to bez końca, i po raz kolejny pozwolić, by wyzuto ją z życia i miłości... Zaszleściły kartki. Albert czytał formularze zamówień. *No i problem z głowy. A więc to koniec, już po wszystkim. I co to w ogóle było? Nikt nic nie wiedział, a jeśli nawet, to nie powiedzieli ani słowa.* Nie będzie go pytała. Jak mogłaby go pytać? Ta tajemnica to wszystko, co jej zostanie. Nie zasłużyła sobie, żeby ją poznać, skoro nie liczyła się z jej istnieniem. Jak mogła tak postąpić? A teraz jeszcze to? I znowu ta pustka. Ból przynajmniej trzymał ją przy życiu. Tyle tylko, że był nie do zniesienia. Gorszy niż śmierć.

— Halo! Delores? — zawołał ze sklepu męski głos.

Ałbert gwałtownie podniósł głowę. — Ciii. Ktoś tu jest — szepnęła, przerażony na widok jej łez.

— Wszystko mi jedno — szlochała. — Nie obchodzi mnie, kto to. W ogóle nic już mnie nie obchodzi.

— Przestań, Delores! Ktoś przyszedł, to chyba jakiś klient.

— I dobrze! W takim razie będzie musiał sam się obsłużyć, boja nie mogę. Proszę wziąć towar! — zawołała, zanosząc się od płaczu. — Niech pan bierze, co tylko pan chce! Może pan zabrać wszystko, nic mnie to nie obchodzi! Albert Smick to oszust! Potrafi tylko zadawać ból.

— O rany, Delores, daj spokój...

— Wziął sobie tę smarkulę Katie w tej swojej szeleszczącej kurtce, a mnie już nie potrzebuje! O Boże — jęknęła.

Albert Smick nie mógł już dłużej tego znieść. Wyszedł, przemknął przez sklep i zniknął w swoim samochodzie.

— Delores? — Gordon Loomis zajrzał przez drzwi. — Czy wszystko w porządku?

Zamknęła oczy i pokręciła głową.

— Pomyślałem, że zajrzę na chwilę. Trochę niegrzecznie potraktowałem cię przez telefon. Przepraszam, ale naprawdę musiałem wyjść. A potem zacząłem się bać, że może coś się stało.

— To był Albert, mój szef.

— Aha.

— I właśnie mnie wylał.

— No, to nic dziwnego, że tak ci smutno — powiedział tonem tak poważnym, że omal się nie roześmiała.

— Ludzie zawsze tak mówią, prawda? Jakby nie wolno było smuć się bez powodu — dodała, szlochając. — I wiesz co? Ja się nigdy nie smucę. Nigdy się na nikogo nie gniewam, nawet wtedy, gdy powinnam. Ale nie umiem, i w tym tkwi cały mój problem. Zawsze próbuję usprawiedliwiać innych. Zastanawiam się, dlaczego są tacy podli, gruboskórni i samolubni. Chcę ich zrozumieć po to, żeby im pomóc i wybaczyć. Och, przepraszam, Gordonie — zawodziła na widok jego zatroskanej miny. — Po prostu przyszedłeś w złym momencie. O Boże, co ja mówię, w złym momencie? To przecież koszmar, najgorsze, co może być.

— W takim razie może sobie pójde? Czy tak będzie lepiej?

Pokiwała głową.

— Jasne, już mnie nie ma — rzucił, wycofując się do drzwi. — Ale gdybym mógł jakoś pomóc... to proszę, daj mi znać.

— Przepraszam, przepraszam — powtarzała, sama za zamkniętymi drzwiami. Ukryła twarz w dłoniach. Nareszcie to zrobiła. Za jednym zamachem usunęła ich obu ze swojego życia.

Siema! — zawołał Ronnie Feaster z werandy pani Jukas. Siedział oparty na krześle aluminiowym, a przy nim Polie i Thurman w koszulce bez rękawów. Na przedramieniu chłopaka widniał wytatuowany wąż. Podejrzliwy uśmiezek zniknął z jego twarzy na widok zbliżającego się Gordona.

— Nie powinniście tu być. To własność pani Jukas — pouczył ich Gordon z alejki pani Jukas.

— Wiem — odparł Feaster. — Dlatego właśnie tu jestem. Pilnuję domu tej starszej pani.

— Ona was tu nie chce, wiecie przecież.

— My nic nie robimy, tylko siedzimy — wyjaśnił Feaster, zerkając na pager przy pasku. — Chcemy zaznaczyć swoją obecność, tak jak gliny. Trochę tu, trochę tam, żeby ludzie wiedzieli, że wszystko gra.

— Może jednak zeszlibyście z tej werandy, co? O nic więcej was nie proszę.

— A wiesz, ilu gliniarzy przejeżdżało tędy, odkąd tu siedzimy? No ilu, Polie? — spytał Feaster.

Polie złączył gruby palec wskazujący z kciukiem w „zero”.

— Chyba ktoś musi doglądać sprawy — zauważył Feaster.

— Jeśli nie chcecie, żebym tam przyszedł, to lepiej sami zejdźcie. — Gordonowi zaschło w gardle aż do bólu.

Ale Feaster westchnął tylko i pokręcił głową. — No i co? Zrobisz coś głupiego, a gliny przyjadą i powiedzą: Loomis, po co zadajesz się z tymi mętami, do kurwy nędzy? I co ja im wtedy powiem? Myślisz, że w ogóle będą mnie słuchać? Zapomnij. Lepiej wracaj do tego swojego ślicznego gniazdzka, a wszystko będzie w porządku, obiecuję ci to. Naprawdę. Popytaj ludzi, a sami ci powiedzą. To ja pilnuję tu porządku. Mam rację, Polie? Thurm?

— Taa.

— Jasne.

Długo włókł się do drzwi, a potem co jakiś czas wyglądał za zewnątrz. Młody przykucnął na werandzie i palił skręta, a Feaster drzemał na krześle. Czasem dzwoniła mu komórka, a wtedy Thurman biegł gdzieś ulicą. Chwilę później wyszła Jada ze swoim szczeniakiem na rękach i postawiła go na skrawku pożółkłej trawy. Schyliła się i trzymała go za obrozę, kiedy się załatwiał, ale gdy Polie wstał i ruszył na drugą stronę ulicy, szybko chwyciła psa i wbiegła do domu.

W sobotę rano przyjechali Dennis i Lisa z dziećmi i przywieźli mu kilogram truskawek, które właśnie zebrali na farmie w Boxford. Wieczorem Dennis miał jechać do Hartford na trzydniową konferencję stomatologiczną, dlatego postanowili z Lisą spędzić cały dzień z dziećmi i spełniać ich każdą zachciankę. Dzieci spytały, czy mogą wyjść przed dom i położyć się pod starym klonie. Dennis i Gordon nie zgodzili się, ale Lisa pozwoliła im pod warunkiem, że nie będą się oddalać. Gordon raz po raz wstawał i podchodził do tylnych drzwi sprawdzić, czy wszystko w porządku. Feastera i jego paczki jeszcze tam nie było. Na werandzie pani Jukas przeziadywali zwykle późnym popołudniem.

Lisa i Dennis poprosili, żeby Gordon pojechał z nimi do Bostonu. Wybierali się do oceanarium. Parząc kawę, tłumaczył się, dlaczego nie może jechać. Wczoraj po jakiejś scysji Neil wylał Thurmana. Wieczorem jego babka przyszła do sklepu prosić Neila, żeby przyjął go z powrotem. Już raz go wylali i bała się, że chłopak z nadmiaru czasu wpakuje się w jakieś poważne kłopoty. — No i w końcu Neil się zgodził, ale prosił babkę, żeby na razie nic mu nie mówiła. Niech się chłopak trochę pomożczy. Sęk w tym, że lada chwila może trafić do aresztu albo jeszcze gorzej — ciągnął Gordon, stawiając na stole filiżanki z kawą. Na początku zdenerwował się ich wizytą, ale teraz ich towarzystwo sprawiało mu przyjemność. — Jego babka też pracowała dla Neila. Chodzi o to, że dziś muszę go zastąpić.

— Jakiś smarkacz podskakuje i oprócz ciebie nie ma nikogo innego, kto mógłby iść za niego do roboty? — zdziwił się Dennis.

— Nie, to nie tak, tylko...

— W takim razie jedź z nami! — uciał Dennis.

— Powiedziałem już Nełowi, że przyjdę.

— No i co z tego? Mogłeś przecież zmienić plany, jak każdy człowiek na świecie! Po prostu zadzwoni i powiedz, że jesteś zajęty. Wielkie mi rzezy.

— Nie mogę. Chciałbym, Dennis, ale on bardzo na mnie liczy.

— W porządku — wtrąciła nerwowo Lisa, zerkając na męża.

— Przecież ty nigdzie nie wyjeżdżasz ani nic nie robisz. Co to za życie? Daj spokój, jesteście swoją rodziną. Mogłbyś spędzić z nami trochę czasu — zauważył Dennis.

— To może w przyszłym tygodniu.

— Wiesz, kogo mi przypominasz? — spytał Dennis znad filiżanki.

Lisa wzięła głęboki oddech i popatrzyła na męża, a Gordon zaniósł mleko do lodówki i znowu wyjrzał na podwórze. Dzieci huśtały się na najniższej gałęzi.

— Tato też nigdzie nie chodził. Boże, jak ja nie lubiłem tu przychodzić i patrzeć, jak ogląda telewizję przy zasłoniętych oknach.

— Dennis! — upomniała go Lisa.

— Musisz ruszyć się z miejsca i coś zrobić, Gord. Nie możesz tylko siedzieć w domu.

— Wcale nie siedzę w domu.

— A właśnie, że tak! Wymień choćby jedną rzecz, którą zrobiłeś od chwili powrotu do domu. Albo jedno miejsce, które odwiedziłeś.

Jeździł po mieszkaniach z Jilly Cross, ale o tym wolał nie wspominać. Wlepił wzrok w swoją kawę. Dennis nic nie rozumiał. Nawet najprostsza rzecz wydawała się strasznie trudna, taka jak na przykład wziąć telefon, zadzwonić do Delores i spytać, co u niej. Chciał to zrobić, wiedział, że powinien, ale kiedy rozważył wszystkie możliwe scenariusze — że pewnie będzie zajęta, skrępowana albo pomyśli, że on zwraca jej głowę — cała ochota zdażyła mu minąć.

— Dennisowi zależy, żebyś był szczęśliwy. Obojgu nam na tym zależy — wyjaśniła Lisa, poklepując go po ręce.

— Chcę tylko, żebyś miał swoje życie, Gordo — dodał Dennis i stuknął go w ramię.

Po ich wyjeździe wyszedł przed dom i pobierał gałęzie, które dzieci oberwały z drzewa. Na świeżo posianym trawniku przy płocie widać by-

ło głębokie ślady ich butów. Na ziemi leżała przewrócona konew, a drzwi do garażu były otwarte. Zamknął je, ale nie mógł znaleźć klucza. Tym dzieciom brakowało dobrego wychowania. Dennis był zbyt wybuchowy, a Lisa zanadto pobłażliwa.

Już miał wychodzić do pracy, kiedy zadzwonił telefon. To była Delores. Chciała go zaprosić wieczorem na kolację.

— Wiem, że dzwonię na ostatnią chwilę i na pewno jesteś zajęty, ale pomyślałam, że mimo wszystko spróbuję — powiedziała.

— Wiesz, ja dzisiaj pracuję, właśnie wychodzę, ale...

— W porządku — ucięła szybko. — Powinam była zadzwonić wcześniej. W takim razie nie będę ci przeszkadzać.

Milczał, napinając całe ciało, by wyrzucić z siebie te słowa. — Słuchaj, chciałem powiedzieć, że kończę o siódmej. Nie będzie za późno?

— Ależ nie, skąd! Może być o siódmej, jak najbardziej. A dokąd chciałbyś pójść?

— Nawet nie wiem. — Nie mógł sobie przypomnieć. Jilly wspominała o jakiejś restauracji. — Nie pamiętam, ale to było coś o cegłach. Pod Żółtą Cegielką. — Pokaże Dennisowi, że jego życie to nie tylko supermarket przy Nash Street.

Biedny Gordon, powtarzała w myślach Delores podczas kolacji. Wszystko, dosłownie wszystko było dla niego nowe. Kiedy składał zamówienie, był tak sztywny i skrupowany, że kelnerka potraktowała go jak upośledzonego. Obserwując, jak odstawia kieliszek z wodą przy czubku noża, Delores zastanawiała się, czy to z przekonania, że musi stać dokładnie w tym samym miejscu, gdzie postawił go młody kelner. Gordon rozglądał się raz po raz, jakby chciał się upewnić, że postępuje tak jak inni goście. Mogła zaproponować coś mniej oficjalnego. Podczas godzinnej jazdy był bardzo rozmowny. Ale kiedy znalazł się w oświetlonym świecami foyer, zamilkł nagle i od tamtej chwili odzywał się tylko ściszym, pełnym podziwu głosem.

— W życiu nie jadłem takiej dziwnej sałatki — szepnął, kiedy kelnerka zabrała talerze i rozejrzała się dookoła. — Co to za czarne ziarenka?

— To kawior.

Uśmiechnął się. — Naprawdę? No, no! Kto by pomyślał, że właśnie jadłem kawior — powiedział tak cicho, że pochyliła się, by go usłyszeć.

— A ja myślałam, że wyczytałeś w menu.

— Tak się denerwowałem, że nawet nie czytałem. Dlatego zamówiłem to samo co ty.

— Niepotrzebnie tak się denerwujesz. Wielu z tych ludzi też jest tu po raz pierwszy.

Rozejrzał się jeszcze raz, powoli, wodząc tylko oczami. — Skąd wiesz?

— Bo do takiej restauracji nie przychodzi się co tydzień.

— Naprawdę?

— Tak. To miejsce na specjalne okazje.

— Aha — skinął głową, nieco speszony.

Zaczęła opowiadać mu o przyjęciu-niespodziance dla Cheryl Smick, które urządzili tu z okazji jej pięćdziesiątych urodzin. Delores zorganizowała wszystko: zespół jazzowy, papierowe kapelusze w kolorze lawendy, jej ulubionym, i inne drobiazgi — złote i srebrne ramki w kształcie serc ze zdjęciem Cheryl.

— A ja myślałem, że nigdy przedtem tu nie byłeś — szepnął.

— Nie poszłam na to przyjęcie. Pomagałam tylko Albertowi. Sporo było do zrobienia: listy gości, zaproszenia, menu. A Albert nie radzi sobie z takimi drobiazgami. To było przyjęcie-niespodzianka, no i odpowiedzi na zaproszenia musiały, rzecz jasna, przyjść na adres sklepu. Zupełnie jak przygotowania do wesela. Zresztą to też już robiłam, dla mojej młodszej siostry Babbie. Ale ty pewnie nawet jej nie pamiętasz, co? — Na języku czuła delikatny smak wina, paliły ją policzki. — Była jeszcze mała, kiedy się poznaliśmy.

— Nie, nie pamiętam jej.

— No więc Babbie mieszka w Dearborn. Ma dwie córki, to takie cudowne dziewczynki. Jej mąż, Dwayne, zajmuje się programowaniem i sporo zarabia. Bardzo go lubię, ale to największy skąpiec, jakiego znam. Kiedy moja siostra kupuje nowe ubrania, to musi kłamać, że dostała je ode mnie. — Delores szastała słowami tak samo bezmyślnie jak Babbie pieniędzmi na zakupach. Wpadła w upojny szal zwierzeń, choć w duchu wiedziała, że wkrótce tego pożałuje. Niedyskrecja była najgorszym z grzechów, ale ich zażyłość zmuszała ją do jego popełniania. Zapytał o te siostry, które pamiętał — o Karen i Lindę. Właśnie kończyli jeść jagnięcinę, kiedy Delores zdała sobie sprawę, że ciągle odpowiada mu na to jedno pytanie. Od razu się zreflektowała i przeprosiła. Ona tu gada bez przezwry o sobie, a on tak uprzejmie siedzi bez słowa.

— Wcale nie, naprawdę mnie to interesuje. Tyle mam do nadrobienia. Wszystko tak bardzo się zmieniło. — Choćby w sąsiedztwie: Ronnie Feaster i jego paczka codziennie przesiadują teraz na werandzie pani Ju-kas.

— Ronnie Feaster! — powtórzyła. — Ten podły, nikczemny drań. Albert przyłapał go kiedyś, jak handlował narkotykami za sklepem. Zagroził, że jak stamtąd nie pójdzie, to zawała policję. No i tego samego wieczoru ktoś włamał się do sklepu i go zdemolował. Ale najohydniejsze było to, co zostawili Albertowi na biurku — dodała, pochylając się do przodu. — Wielką, śmierzdzącą... no wiesz, nie będę mówić tego przy jedzeniu. To chyba najgorsze, co mogło przytrafić się Albertowi. On jest taki wrażliwy. Biedaczysko, nie może nawet słuchać, gdy ktoś przy nim dmucha nos, bo od razu przewraca mu się w żołądku. Niektórzy ludzie są tacy przeczuleni, nawet na punkcie temperatury czy bólu. To chyba ma jakiś związek z końcówkami nerwów. On po prostu odczuwa wszystko bardziej dotkliwie niż przeciętny człowiek.

— To jak mógł cię wylać, skoro jest taki wrażliwy? — spytał Gordon.

— No, bo wiesz — zaczęła i przerwała z ulgą, kiedy młody kelner podszedł do ich stolika zabrać talerze. Bo jej dominująca siła rani jego delikatną naturę. Bo każde jej poświęcenie było wielkie, bezgraniczne i doniosłe. Bo jej wielkoduszność przerażała innych, sprawiała, że zastanawiali się, czego chce od nich w zamian. — Bo nie miał innego wyjścia — wyjaśniła po tym, jak kelner się oddalił.

— To on jest szefem. Powinien dać ci jakąś pracę.

— Widocznie nie mógł — odparła ze łzami w oczach.

— Przepraszam. Nie chciałem cię zdenerwować.

Poruszona jego troską, pokiwała głową. Rozmyta sala, pełna migających płomieni i miriad głosów zdawała się rozptywać w jednostajny, cichy szum. Uwielbiała jeść poza domem. Chłoneła ten zmysłowy nastrój i delectowała się apetytem innych aż do bólu żołądka. *Kiedy on ostatni raz był z kobietą? Jeśli w ogóle kiedykolwiek. Mój Boże, jaki byłby jego pierwszy raz? Przystań*, upomniała się w myślach, jeszcze teraz słysząc głos matki, mówiącej ciotkom, sąsiadom czy całkiem obcym ludziom: *W życiu nie widziałam, żeby ktoś miał taki apetyt. Spośród moich córek tylko ona tyle je.*

Zanim Delores zdążyła zaprotestować, kelnerka podała rachunek Gordonowi. Ten wlepił w niego wzrok, zmarszczył brwi i poruszył wargami. Poprosiła, żeby jej go oddał. Przecież to ona zaprosiła go na kolację.

— Ja zapłacę — powiedział, wziął głęboki oddech i zaczął wyładować dwudziestodolarowe banknoty na cynową tackę. Zgarnęła jego pieniądze i położyła swoją kartę kredytową. Próbował protestować, ale ona nalegała uparcie. Następnym razem będzie jego kolej, zapewniła radośnie, kiedy wyszedł za nią do holu, gdzie kilka par siedziało na wypchanych, obitych tkaniną sofach i popijało brandy z eleganckich kieliszków. Zaczeka-

ła przy drzwiach, a Gordon poszedł do toalety. Zaczęła czytać oprawioną w ramkę na ścianie „Odę do wybrednego klienta”, kiedy w szkłe dostrzegła odbicie jakiejś pięknej pary, która schodziła po schodach. Zatrzymali się na podeście, śmiejąc się i tuląc do siebie. Kobieta była młoda, drobna blondynką w krótkiej, czerwonej, jedwabnej sukni, a jej opalonym partnerem w kanarkowożółtej marynarce okazał się Dennis Loomis. Trzymając się pod ręce, czekali przy pulpicie, aż kierownik restauracji zaprowadzi ich do stolika. Wtedy drzwi męskiej toalety otworzyły się i Gordon wyszedł prosto na nich. Od razu zamienili parę słów. Kobieta przyłączyła się do rozmowy, jakby dobrze go znała, a gdy zjawił się kierownik, poirytowany Dennis ruchem ręki polecił jej wejść do sali, a sam zaszył się z Gordonem w cieniu holu. Przez cały czas mówił Dennis.

Tym razem nie odezwała się ani słowem. W drodze powrotnej Gordon gapił się przez okno.

— Nie wierzę, że mógł zrobić Lisie coś takiego — rzucił wreszcie.

— Może to nie to, co myślisz.

— Był wściekły. Wkurzył się, że widziałem ich razem. To chyba oczywiste.

— Nie wiadomo. Może to jego dobra przyjaciółka.

— Ona ma dwadzieścia pięć lat.

— Sam ci powiedział?

— Nie. Znam ją, to Jilly Cross, agentka nieruchomości. Ta sama, z którą oglądałem mieszkania. Wierzyć mi się nie chce — dodał.

Powoli dojechała do Collerton. Widok atrakcyjnego Dennisa z młoda, czułą dziewczyną w połączeniu z winem i bliskością Gordona w ciemnym wnętrzu sunącego auta obudziły w niej bolesne pragnienia. Chciała wyciągnąć rękę i dotknąć go. Zaparkowała przed jego domem, zastanawiając się, jak się do niego wprosić.

— Bardzo ci dziękuję i przepraszam, że tak się skończyło — powiedział.

— Co masz na myśli? — spytała, przejęta.

— To, że widzieliśmy Dennisa z Jilly. Tak bardzo się na nim zawiodłem. Nigdy w życiu bym się tego nie spodziewał. — Miał taką minę, jakby było mu niedobrze.

— Takie rzeczy czasem się zdarzają, czy to się ludziom podoba, czy nie.

— Ale Lisa jest taka dobra, a poza tym to jego żona, matka jego dzieci. A ja myślałem, że oni się kochają — dodał smutno.

— Na pewno się kochają.

— Jak on może ją kochać, skoro robi coś takiego? W takim razie to kłamstwo, jedno wielkie kłamstwo!

— Ale to nadal twój brat, prawda? Bez względu na to, co robi, cokolwiek by się nie stało. Prawda? — Dotknęła jego ramienia, nie zdejmując ręki. — Prawda? — szepnęła i odwróciła się w jego stronę. Miała już lekko przerzedzone włosy i najładniejsze niebieskie oczy, zwłaszcza teraz, gdy było w nich tyle bólu.

Pokiwał głową. — I tak nie mogę uwierzyć, że to zrobił — dodał.

— Nie przejmuj się. — Ścisnęła go za ramię. — To tylko jakaś głupia smarkula. Dla kogoś takiego na pewno nie zostawiły rodziny. Dennis jest taki jak ty. Ma silny charakter i potrzebuje stabilizacji. Wszystko będzie dobrze.

— Sam nie wiem. Może wcale nie.

— Och, Gordonie, nie mów tak. Masz przed sobą wspaniałe życie. Tyle że na razie wszystko jest dla ciebie nowe.

Po drugiej stronie ulicy ze schodów zeskoczyła nastolatka. Podbiegła do samochodu i nachyliła się do okna od strony Gordona. — Wiesz, co się stało? — wysapała jednym tchem. — Jakiś facet próbował się włamać do twojego domu, a Thurman powiedział o tym Feasterowi i razem z Poliem wyciągnęli go z twojego ogrodu, a Polie nieźle skopał mu dupę. — Oczy jej błyszczały, gdy Gordon wygramolił się z auta i ruszył do swojego domu. Delores i dziewczyna weszły za nim do środka. — Już tu panią widziałam — oznajmiła tamta, gdy Gordon zapalił światła. Wszystkie okna i drzwi były szczelnie zamknięte. — Jasne, była tu pani, jak się wprowadzał — ciągnęła. Gordon wrócił do pokoju dziennego. Najwyraźniej wszystko było w porządku, ale na wszelki wypadek poszedł sprawdzić na górze. Delores przedstawiła się jako dawna przyjaciółka Gordona. — To super — zauważyła dziewczyna. — Bardzo fajny z niego gość. Tyle że prawie nikt do niego nie przychodzi. Widzę wszystko przez okno, bo mieszkam tu blisko, o tam — uniosła żaluzje i wskazała palcem.

— A jak masz na imię? — spytała Delores, zafascynowana, a zarazem przerażona wulgarnością jej wydatnych, błyszczących ust.

— Jada Fossum, bardzo mi miło — rzuciła, śmiało i zdecydowanie ściskając jej dłoń. — Wiesz, Gordon — zawołała, kiedy zszedł na dół. — Następnym razem, jak będziesz wychodził, to przyprowadzę Leonarda, żeby pilnował ci domu — oznajmiła i opadła na kanapę. — Świetny z niego pies obrounny.

— Naprawdę? — spytała Delores. Podobnie jak Gordon, stała w miejscu i wpatrywała się w rozwaloną na kanapie dziewczynę.

— Chryste, on nic nie robi, tylko szczeka — zaśmiała się, a gdy oboje milczeli, usiadła prosto. — O, to chyba jakaś randka, co? — uśmiechnęła się sprośnie półgębkiem. — Pewnie czekacie, aż sobie pójdę? — I zeskoczyła z kanapy.

— Dziękuję ci, Jada. I tobie też, Delores. Miło było razem wyjść — rzekł wtedy Gordon, odprowadzając je do drzwi.

I tak Delores znalazła się na chodniku w towarzystwie Jady Fossum, a w małym domku Gordona kolejno gasły wszystkie światła. Po drugiej stronie ulicy ujadał jakiś pies.

— Lubię go, to fajny facet — powiedziała Jada, odganiając komary ze swoich niesfornych loków, które lśniły w blasku latarni.

— Racja, jest bardzo miły.

— Wszyscy się go boją, a ja go lubię.

— A dlaczego się go boją?

— Podobno kiedyś kogoś zamordował. Jakąś dziewczynę z dzieckiem. Nie słyszała pani?

— Ano tak, zapomniałam.

— Jezu, jak można zapomnieć coś takiego? Moja mama okropnie się go boi. Nie wolno mi tu przychodzić.

— Gordon nie zrobiłby ci krzywdy — uspokoiła ją, otwierając drzwi samochodu. — No, ale lepiej idź już do domu, żeby się mama nie czepiała.

— I tak zawsze się mnie czepia! — rzuciła dziewczyna ze śmiechem i przeszła przez ulicę. Pies ujadał jak oszalały.

June mówiła Thurmanowi, że nie trzeba zamiatać między półkami, ale on nie zwracał na nią uwagi, tylko jak zwykle snuł się leniwie z miotłą po sklepie ze słuchawkami na uszach. Niech babka każe mu przychodzić do pracy, ale nie zmusi go do jej polubienia. Kiedy Gordon podziękował mu za to, że nie dopuścił do włamania w jego domu, wzruszył lekceważąco ramionami, wyraźnie dając do zrozumienia, że nie zrobił tego z troski o Gordona, tak jak nie spełnił jeszcze ani jednej prośby June czy Sereny. Gordon unikał go, jak tylko potrafił. Chłopak był jak beczka prochu, wystarczyła tylko iskra.

Sklep świecił pustkami. Od samego rana padało i tylko nieliczni zdesperowani klienci stawili czoła ulewie. Gordon nie lubił takich dni — wlokły się niemiłosiernie, dając mu zbyt wiele czasu na myślenie. Szyby w oknach drżały przy nagłym huku grzmotu. Gordon wcisnął w podłogę kolejną płytkę. Widok Dennisa z Jilly wczoraj wieczorem zburzył mu cały porządek. Dla niego Uczyło się to, żeby ludzie, których miał w życiu tak niewiele, nie zmieniali się, żeby pozostali takimi, jakich ich potrzebował. A teraz czuł się zdradzony. I było mu głupio. Zdawało mu się, że jego życie idzie naprzód, a tymczasem zdał sobie sprawę, że tkwi w miejscu. Nie miał nawet ochoty odbierać telefonów. Jeśli zadzwoni Dennis, to nie będzie wiedział, co powiedzieć, a jeśli Delores, to na pewno będzie chciała o tym porozmawiać, a on przecież nie mógł.

Wymienił prawie wszystkie pęknięte płytki przy drzwiach frontowych. Praca zawsze była dla niego najlepszą terapią. Przysiadł na piętach. Zostało jeszcze kilka. Wystarczy to robić powoli, po jednej na raz, i od razu wygląda lepiej. Czarne i szare płytki pasowały do reszty podłogi. W zeszłym tygodniu znalazł je w piwnicy w kartonie pokrytym sadzą, a kiedy pokazał je Neilowi, ten powiedział mu, żeby nie zawracał sobie głowy, bo następny właściciel i tak wszystko pozrywa, żeby urządzić to miejsce na nowo. Ale widząc rozczarowanie Neila tego ranka, Gordon ukląkł na

podłozde i zaczął zrywać płytki i przyklejać nowe. A nuż potencjalny nabywca nie będzie skłonny tak od razu spisać ten sklep na straty. W kryżu go rwało, a pokaleczone dłonie szczypały od gryzącego kleju. Czuł lekkie zawroty głowy i burczenie w żołądku. Nie zrobił sobie nawet przerwy na lunch. Jego entuzjazm do pracy najwyraźniej irytował Neila. Reagował tak samo jak Dennis, kiedy Gordon mówił mu o tym, co naprawił w domu: o mosiężnych haczykach, które wkręcił nad zlewem, żeby było gdzie wieszać ścierki, zamiast przekładać je przez drzwiczki od piekarnika, jak to zwykle robiła ich matka, o ogranicznikach, które przykleił na starej, klonowej komodzie, żeby szuflady równo się zasuwały, o kawałkach metalu, które mozolnie zestrugał z uchwytu starej mieszkarki do farb i powcisnął pod zawiasy drzwi szafy, by wreszcie można było je zamknąć na zasuwkę. Wczoraj wieczorem w foyer Dennis posłał mu to samo spojrzenie, jakby Gordon nadal nic nie rozumiał. *A niby co tu jest do zrozumienia? Że dziś już nic się dla nikogo nie liczy? Nawet drugi człowiek?*

June i Serena martwiły się o Neila. Po dwóch dniach niemal euforycznej radości leżał skulony na łóżku, z głową pękającą od migreny, ściskając w ręce fiolkę z Fiorinalem. Sklep miał kupić pierwszy klient agenta nieruchomości, młody, energiczny, czarnoskóry mężczyzna w błękitnym garniturze, który błyszczał w blasku świedówek. Jeździł srebrnym mercedesem i był właścicielem dwóch innych sklepów spożywczych, w Haverhill i w Lowell. Chciał założyć sieć supermarketów dla potrzeb zróżnicowanej etnicznie społeczności okolicznych miast. Wczoraj wieczorem przyjechał ze swoim księgowym obejrzeć księgi rachunkowe, a dziś rano agent nieruchomości oznajmił przez telefon, że ten księgowy dopatrywał się sfałszowanych rachunków i uznał sklep za niedochodowy. Jedynym sposobem na rozkręcenie interesu byłoby rozbudować salę, ale żaden bank nie zgodzi się na taką inwestycję w tej dzielnicy.

— Ten księgowy mieszka w Dearborn. Co on, cholera, może wiedzieć o naszej dzielnicy? — zauważyła Serena.

— Widać, wie wystarczająco dużo — westchnęła June i otworzyła puszkę dietetycznej coli. — Do diabła, gdzie się podział ten Thurman? Trzy razy mu mówiłam, żeby poszedł po te wózki.

— Racja, został już tylko jeden.

— Ja pójdę — zawołał Gordon, nakładając pędzlem klej na ostatnią płytkę. — Już prawie skończyłem.

— Mowy nie ma. Masz jeszcze sporo pracy — odparła Serena.

— Właśnie, to robota Thurmana — dodała June.

— Wiem, ale trochę mnie zemdliło — powiedział i podniósł się z miejsca. Przyda mu się odrobina świeżego powietrza.

— W takim razie idź do domu! Mógłbyś trochę odpocząć — zauważyła niepewnie June.

— Jasne, mnie też oczy się same zamykają — ziewnęła Serena.

— To przez ten deszcz — podsumowała June.

Mdliło go od kleju, ale bał się nalegać, żeby sobie nie pomyślały, że pod wpływem chemikaliów ogarnął go jakiś morderczy szal.

— Na dworze jest ciemno jak w nocy — zauważyła Serena.

Niespodziewanie w całym sklepie rozległo się potworne wycie. — A to co? — zawołał Gordon i doskoczył do kobiet. Te cofnęły się, pobladłe, dysząc ciężko, a Thurman tymczasem posuwał się w ich stronę z miotłą, wyjąc do muzyki, którą tylko on jeden słyszał. Z ręką na piersi June ruszyła między półki, mocno stuknęła chłopaka w ramię i kazała mu wyjść przed sklep po wózki.

— Przecież nikogo nie ma — zaprotestował, unosząc słuchawkę.

— Ale zaraz ktoś przyjdzie — odparła.

— To wtedy pójdę.

— O nie, masz iść teraz!

— Przecież leje jak z cebra!

— Rusz się po te cholerne wózki, bo zaraz zawołam Neila — wysapała.

— Jasne — zaśmiał się Thurman, włożył słuchawkę z powrotem do ucha i wrócił między półki, wyjąc swoim piskliwym, ochrypłym głosem.

— Ja pójdę. Nic nie szkodzi, że leje. Lubię deszcz — oznajmił Gordon, niezdarnie wkładając przez głowę podarte służbowe poncho. Kobiety spojrzały po sobie: *lubi deszcz — nic dziwnego, to przecież zboczeniec.*

Wybiegł na ulewę i dźwięk miarowego bębnienia deszczu o daszek jego czapki od razu go uspokoił. Wziął kilka długich, głębokich oddechów, by przewietrzyć mózg i płuca i silnie pchnął wózki przez zryty koleinami plac. Ustawił je przed wejściem i chlupocząc po kałużach, ruszył na ulicę szukać następnych. Kilka samochodów przejechało z zapalonymi reflektorami, a spod ich kół prosto na Gordona chlusnęły strumienie wody. Powoli zebrał resztę wózków. Nie musiał się spieszyć, i tak był już całkiem przemoczony. Odchylił głowę, by poczuć na twarzy tnący chłód deszczu. Dołączył wózki do pozostałych i już miał pchnąć drzwi, gdy nagle zamarł. Pełna grozy scena, którą ujrzał przez rozmyte szkło, wydała mu się wręcz nierealna. Spływające po zamglonych szybach strumienie deszczu sprawiały, że świadka jarzeniówek wewnątrz sklepu rzucały pulsujący, jaskra-

wożółty blask. Mężczyzna w czarnej kominiarce i bluzie z kapturem celował do Sereny z pistoletu, podczas gdy ta wybiegała z biura, niosąc pod pachami dwie kasetki z pieniędzmi. Odgradzona kasą June trzymała przy nosie swoje rurki i gapiła się na Gordona, a niczego nieświadomy Thurman snuł się między półkami, poruszając rytmicznie głową. Było po trzeciej, a więc Leo poszedł już do domu. Sąsiednie witryny sklepowe świeciły pustkami, te po drugiej stronie ulicy też, a najbliższy telefon był za rogiem w monopolowym. Tyle że wtedy będzie już za późno. Mógł wbiec z tyłu sklepu, od ładowni, i skorzystać z telefonu w masarni, ale przypomniał sobie, że tamte drzwi są zawsze zamykane na klucz. Wystarczy, że Thurman minie dwa rzędy półek, a znajdzie się w zasięgu wzroku bandyty. Serena postawiła kasetki na ladzie i zaczęła się cofać, ale oprych odwrócił się, krzycząc i wymachując pistoletem. Przy każdym słowie rzucał się do przodu na jednej nodze, a potem znów odskakiwał w tył i wrzeszczał na June. Przerażona Serena chwyciła garść plastikowych worków. Część wysypała się jej pod nogi, gdy usiłowała powkładać jeden w drugi, po czym wysypała pieniądze z kasy do worków. June rozplakała się. Ulicą nadjechał jakiś samochód. Gordon podbiegł do niego, wymachując rękami, ale wystraszona kobieta za kierownicą skrzyła w następną alejkę i szybko odjechała. Wtedy drzwi sklepu potworzyły się i mężczyzna wybiegł. Gordon stał na drodze i obserwował go, a błoto przelewało mu się przez buty.

— On ma broń! To był napad! — krzyczała Serena w drzwiach, kiedy mężczyzna pognał wzdłuż Nash Street, przyciskając worki do piersi.

Ciężkie, przemoknięte tenisówki Gordona poczępały po ulicy, ale za rogiem bandyta zniknął w deszczowej mgłę. Kiedy Gordon wrócił, przed sklepem stały trzy radiowozy, bezładnie zaparkowane w miejscach, w których się zatrzymały. Nie było sensu przesłuchiwać Thurmana, mimo że obie kobiety zeznały, że to jego miauczące zawodzenie skłoniło złodzieja do ucieczki. Serena bez przerwy się trzęsła, a June oddychała gwałtownie. Jej syn był już w drodze, by zabrać ją do domu. To był pierwszy napad, w którym grożono im bronią.

Otępiąły z bólu i odurzony lekami Neil przykucnął przy frontowym oknie. Miał na głowie czapkę Red Soxów i okulary, żeby nie raziło go światło. — Akurat spałem — tłumaczył się siwowłosemu komisarzowi Warrenowi, który ręką gładził sobie brzuch. Poprosił, żeby kobiety opisały głos sprawcy. Drżący, przyznały zgodnie. Bez naleciałości. Ani niski, ani wysoki. Ani cichy.

— I wystraszony — dodała Serena, obejmując się ramionami. — Jakby się bał, że jeśli go nie posłuchamy, to naprawdę zacznie strzelać. Jakby to było silniejsze od niego.

— A pan gdzie wtedy był? — Brzuch komisarza Warrena skierował się w stronę Gordona.

— Przed sklepem. Zbierałem wózki.

— I jak długo to trwało?

— Nie wiem, może jakieś pięć minut.

— Pięć minut to trochę długo, jak na taką pogodę.

— Musiałem zebrać wszystkie wózki. Niektóre stały aż na ulicy.

— No a kiedy już je pan zebrał, to stanął pan przy oknie...

— Zgadza się — mruknął, a wszelkie szczegóły powoli zamazywały mu się w pamięci, jak za więziennymi drzwiami, gdzie obowiązywała go tajemnica.

— A skoro stał pan przy oknie, to na pewno coś pan widział.

— Właściwie to nawet nie spojrzałem. Musiałem poustawiać te wózki... — June obrzuciła go wzrokiem.

— A więc kiedy dokładnie zauważył pan coś dziwnego?

— Ten człowiek wybiegł ze sklepu i Serena zaczęła krzyczeć. Wtedy pobiegłem za nim.

Oczy Warrena wpatrywały się w niego zimnym wzrokiem. Komisarz poślinił kciuk i przewrócił kartkę w swoim niebieskim notatniku. — A z zeznań Sereny Rimsky wynika, że stał pan na środku drogi i machał rękami, kiedy do pana krzyczała.

— Możliwe, że tak. Nie wiem. Nie jestem pewien. — *Przyznaj się*, nakazał sobie w myślach, gdy komisarz mierzył go wzrokiem. *Powiedz mu prawdę, że nie mogłeś zebrać myśli, że znów w najważniejszym momencie zwyczajnie się spietrałeś.*

Zapamiętaj sobie, miody — ty nic nie wiesz. Typo prostu tylko tam byłeś: oto pierwsza zasada przetrwania Jackie McBride'a.

— A kiedy pan wyszedł z więzienia? — dociekał komisarz.

— Pierwszego maja.

— I pewnie mnie pan nie pamięta.

— Nie wiem, proszę pana. Nie jestem pewien.

— To było dwadzieścia sześć lat temu. Pamiętam to dobrze, moja żona była wtedy w ciąży. Właśnie tyle lat ma teraz moja córka. — Jego słaby, wilgotny uśmiech wyrażał wszystko, choć dookoła nie było słyhać nic prócz miarowego buczenia świetlówek na suficie.

•!': ;: i. •"z . ••••,"i. o"/>• ;<y'0-. *'"'".!.'"-.'"' D h^jmaaK^f'fi' > - { • •

Następnego dnia w gazecie pojawiła się krótka wzmianka o napadzie w supermarkecie Nash Street, należącym do Neila Dubbina. Gordon z ulgą zauważył, że nie wymieniono jego nazwiska. Tego wieczoru zadzwonił Dennis. — Dzwonię, bo Lisa właśnie pokazała mi gazetę. Chcieliśmy się upewnić, czy u ciebie wszystko w porządku — nagrał się na automatycznej sekretarce. Słyszając w tle głos Lisy, Gordon poczuł się bezpiecznie i podniósł słuchawkę. Oznajmił, że nic mu nie jest i wyjaśnił, że podczas całego zdarzenia był przed sklepem. Jak to dobrze, jak to dobrze, powtarzał Dennis, po czym podał słuchawkę Lisie, bo chciała z nim zamienić parę słów.

— Gordon, to jest niebezpieczne. Nie możesz dłużej tam pracować. Dosyć tego. Zaraz dzwonię do ojca i...

— Nie, Liso. Naprawdę nic mi nie jest. Nie rób tego.

W pracy, podnosząc głowę, czuł na sobie spojrzenia obu kobiet, a gdy tylko się do nich zbliżył, zaraz się odwracały i udawały, że są zajęte. Leo całkiem przestał się do niego odzywać, a kiedy do sklepu przyszedł jego dwie nastoletnie córki, szybko zaprowadził je na zaplecze, byle jak najdalej od Gordona.

Neil był zniesmaczony. — Jak myślisz, po co cię tu trzymam? Bo dobrze pakujesz towar? Albo naprawiasz te pieprzone kafle? Guzik prawda!

Powód był tylko jeden — miał nie dopuścić do tego, co się tu stało. A gdzie on, do cholery, się podział w tym krytycznym momencie, w tym niefortunnym zbiegu zdarzeń, kiedy planety po raz kolejny ułożyły się w okrutną konfigurację złych pass i niepowodzeń, na które Neil był skazany przez całe swoje życie? Co on, do diabła, robił przed sklepem w boksie z wózkami, skoro to robota Thurmana?

— Przepraszam.

— To niczego nie załatwi, zwłaszcza że jestem trzy tysiące dolarów do tyłu.

Trzysta dolarów. Gordon wiedział, ale nie powiedział ani słowa. Policja zjawiła się dopiero, kiedy Neil zakładał w kasach nowe taśmy, żeby mieć dowód dla firmy ubezpieczeniowej.

— Powiedz mi jedno — zaczął Neil następnego dnia, idąc za nim do ładowni. Był nieogolony i miał na sobie pogniecione ubranie. — Na pewno masz jakieś kontakty, nie? No wiesz, znasz ludzi, którzy znają innych... — dodał ciszej. — Na przykład takich, co się znają na... pożarach.

— Nie, nie znam — uciął, stojąc w miejscu, oparty o puste skrzynie.

Na twarzy Neila pojawił się wyraz niechęci. — Nie rozumiem cię. Powinieneś być w sklepie, a ty lekceważysz polecenia June i wychodzisz na

zewnątrz. Nagle masz potrzebę i ochotę wyjść, bo lubisz, jak leje deszcz, do kurwy nędzy. I wychodzisz sobie na spacer, jakby nigdy nic, a w międzyczasie mamy tu pieprzony napad. Wracasz z wózkami, ale za wcześnie, więc znowu znikasz, no i co mam powiedzieć? Kurwa, co za zbieg okoliczności?

— Bo tak było. Ale w porządku, rozumiem. Może mnie pan zwolnić.

— Cholera, zejdź mi z oczu! — pchnął go, przecisnął się obok i stanął, jakby spodziewał się ataku czy wręcz go pragnął.

Kolejnego ranka Neil otworzył sklep z prawie godzinnym opóźnieniem. Ręce mu drżały i trzeba było mu powtarzać każde słowo, zanim do niego dotarło. Tego dnia po południu przy kasie zrobiło się też zamieszanie i Serena zawołała o pomoc.

Thurman trzymał przypartego do ściany Cootiego.

— To moje! Przysięgam na Boga, że to moje! — powtarzał uparcie stary, kiedy Thurman wysypał mu z kieszeni kilka paczek papierosów. Z podszewki wytartej kurtki wyjął jeszcze trzy. W sumie było jedenaście.

— Dostyc tego — orzekła June i chwyciła za słuchawkę.

— Nie! Błagam, niech pani nie dzwoni! Nie pozwól jej. Proszę cię, Neil! — ję c z a ł Cootie. — Mogę to odpracować. Pozbieram wszystkie papiery. I puszki też, oddam wam je wszystkie, tak jak wtedy, Neil. Dobrze się wtedy spisałem, pamiętasz przecież — krzyczał stary. — Proszę cię, Neil, proszę!

— A niby dlaczego, do diabła, miałbym się zgodzić? — spytał Neil równie rozpaczliwie.

— Tam jest mój pies, mój biedny pies. — Cootie wskazał na czworonoga przywiązanego do parkometru. W jego zmierzwionej sierści tkwiły kolce. — Będą chcieli go uśpić. Ostatnim razem mówili mi, że to zrobią. Proszę cię, Neil. Zrobię, co tylko chcesz.

Neil wyprowadził go na zewnątrz. Stali i rozmawiali. Cootie odwiązał psa. Zaniedbane zwierzę podniosło się na drżących łapach i powlokło się ulicą za swoim panem, który pochylił się, usiłując zapalić papierosa na wietrze.

Następnego dnia Gordon wszedł do magazynu i zastał Thurmana, jak pakował do plecaka dwa kartony Newportów. Gordon spytał go, czy za nie zapłacił. Nie twój zakichany interes, syknął Thurman, zapinając plecak na zamek.

— Ale to interes Neila — odparł spokojnie Gordon.

— Jasne, kurwa — zaśmiał się Thurman.

— W takim razie odłóż je i będzie po wszystkim — nakazał.

Thurman wyszedł jednak na salę i kierował się w stronę wyjścia.

Neil ma już dość kłopotów, po co mu jeszcze to, pomyślał Gordon, wychodząc za chłopakiem na ulicę. — Słuchaj, chyba nie chcesz skończyć w pierdłu? Bo to cię właśnie czeka, sam chyba rozumiesz?

— Chrzęć się! — powtarzał Thurman i próbował uciec, ale Gordon szybkim ruchem zdjął mu z ramienia plecak, wyjął kartony z papierosami i zaniósł z powrotem do sklepu.

Obie kobiety obserwowały całe zajście przez okno. Bez słowa Gordon odłożył papierosy na półkę. Jeszcze tego samego dnia Neil zatelefonował do babki Thurmana i oznajmił, że go zwalnia.

Delores naciśnęła dzwonek. Szybko wyszedł na werandę, byleby tylko nie zapraszać jej do środka.

Właśnie upiekła ciasteczka owsiane. — Masz, weź jedno, póki jeszcze ciepłe. — Otworzyła puszkę, ale odparł, że nie jest głodny. — Chyba ci nie przeszkadzam? — spytała.

Przyznał, że miał ciężki dzień. Po drugiej stronie ulicy dwóch mężczyzn próbowało rozpalić grill, który wynieśli na trawę przed domem, a drzwi za nimi otwierały się i zamykały z trzaskiem, gdy kobiety wносиły na werandę półmiski i talerze zjedzeniem.

— Czytałam o napadzie. Wydzwaniałam, żeby spytać, czy u ciebie wszystko w porządku, ale nie odbierałeś telefonu i zaczęłam się martwić — wyjaśniła Delores.

— Nic mi nie jest.

— Całe szczęście. No a co u ciebie słychać? Co w ogóle porabiasz?

— Nic ciekawego. Sam nie wiem. — Jej zaciekawiony uśmiech dał mu do zrozumienia, że chce porozmawiać o tamtym wieczorze.

— W gazecie pisali, że facet miał pistolet — powiedziała, a po chwili spytała: — Czy już go złapali?

— Chyba nie, a przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo.

— A widziałeś, jak wyglądał?

— Nie, bo miał na twarzy maskę. A poza tym byłem wtedy przed sklepem.

Dopytywała się, czy nie przyszło mu do głowy, że to miało jakiś związek z próbą włamania do jego domu, ale zapewnił ją, że nie. Spytała też, czy ta dziewczyna, Jada, była u niego po tamtym wieczorze. Tamten wieczór... A więc w ten sposób chciała nawiązać do zdrady Dennisa.

— Tak, zajrzała tu niedawno ze swoim psem. Jadłem akurat obiad i nie podeszedłem do drzwi. Ona zawsze przychodzi w porze obiadowej.

— Pewnie myśli, że jesteś samotny i że ona jest twoją jedyną towarzyszką, może oprócz mnie.

— Jej się wydaje, że może tu przychodzić, kiedy zechce, a mnie się to nie podoba — orzekł powoli, z naciskiem, ale spokojnie. — Mam ochotę zwrócić jej uwagę, że to niezbyt uprzejme.

Delores wybuchła śmiechem. — Możesz spróbować, chociaż głowę daję, że w języku tej dziewczyny nawet nie ma takiego słowa.

— Wiem, ale to mi działa na nerwy. Przecież mam tyle do roboty. Zresztą sama wiesz, jak to jest; kiedy człowiek cały dzień przebywa wśród ludzi, to w domu chciałby mieć spokój. I побыć trochę sam.

— Sam? W tej okolicy? — rzuciła Delores, kiedy koło domu śmignęła na rowerach grupka dzieci.

Jasne, gdybym tylko mógł zamknąć się we własnym domu, odparł w myślach. Po drugiej stronie ulicy cała rodzina wysypała się z domu na schody werandy. Na trawniku jakiś młody mężczyzna w workowatych wojskowych spodniach opiekął na grillu parówki i hamburgery. Starsza kobieta, Inez, usiadła na najwyższym stopniu, co chwila sięgając do tyłu, by podać innym jedzenie z mis i talerzy, które stały za nią na werandzie. Z okna na piętrze rozbrzmiewała salsa, gdzieś ujadął jakiś pies. Kobieta z długimi, czarnymi włosami wyszła tyłem z napojami chłodzącymi w rękach i stosem plastikowych kubków upchanych pod brodą. Nad skwierczącym grillem unosiła się gęsta chmura tłustego dymu.

— Ładnie pachnie — zauważyła Delores.

Z przejeżdżającego auta rozległ się dźwięk klaksonu i młody mężczyzna pomachał łopatką.

— Siema! — zaśmiała się Delores, gdy inny kierowca zatrąbił na powitanie i tamten znów uniósł rękę. — Strasznie dziś duszno — dodała, zgarniając włosy z czoła. — Mogę sobie usiąść? — spytała i przysunęła do balustrady białe plastikowe krzesło.

— Brudne jest — zauważył, ale ona zdążyła już opaść na siedzenie.

Stał bez ruchu, trzymając puszkę ciasteczek w wyciągniętej ręce jak ksiądz kościelną tacę. Zwężone nogawki jej żółtych spodni ciasno opinały jej nogi. Wokół kostki widać było płataninę nabrzmiałych, fioletowych żył. Widok jej zmęczonych stóp wywołał w nim smutek. Cienkie, białe paski sandałów wznęły się w jej zgrubiałe palce. Nieustannie goniła za czymś, co nigdy nie będzie możliwe. — Może coś ci przynieść? — zaproponował. — Coś zimnego do picia? — W zlewie piętrzyły się brudne naczynia, kawa zdążyła już wystygnąć. Poirytowany, usiłował przypomnieć

sobie, jak miło spędził z nią tamten wieczór na kolacji. Dopóki nie natknęli się na Dennisa i Jilly.

— Nie, dziękuję. I tak zaraz pójdę — odparła, odrzucając włosy do tyłu. Niesforne, długie, czarne loki nadawały jej twarzy żaloszny, zdesperowany wyraz, sprawiały, że wydawała się starsza i jakby tęższa. — Chciałam cię tylko o coś zapytać — dodała, uśmiechając się z nadzieją. — Czy to ty poprosiłeś Lisę, żeby do mnie zadzwoniła?

— Nie — wyjąkał niepewnie.

— Tak myślałam. Zaprosiła mnie na urodziny Jimmy'ego, ale nie chcę, żebyś czuł się... no wiesz. — Zrobiła ruch ręką, jakby reszty sam miał się domyślić. — Sam rozumiesz, jak to jest. Siostry tak mnie swatały przez ładnych parę lat. Przychodzę i na kogo się natykam? Najakiegoś kretyna, rozwiedzionego kuzyna szwagra, którego uznały za idealnego kandydata dla mnie. Ale ostatnio zabrakło kretynów, a może siostrom znudziła się ta zabawa. Niech ciotka Doe chodzi na przyjęcia sama, jeśli chce — zaśmiała się. — W takim razie powiem jej, że nie przyjdę.

Zdał sobie sprawę, że kryło się w tym pytanie. — Nie. Idź, jeśli tylko masz ochotę.

— I nie będziesz się gniewał?

— A skąd! — Bo co niby miał jej powiedzieć, zapytywał się w myślach i znowu ogarnęła go złość.

Kiedy już poszła, rozsiadł się w ciemnym pokoju i popijał wystygłą kawę. Tymczasem na imprezie po drugiej stronie ulicy zbierało się coraz więcej ludzi. Stojące w oknie radio ożywiło wieczór muzyką rap. Na chodniku kilku chłopaków zabawiało towarzystwo tańcem, który zdaniem Gordona był niczym innym jak pokazem spazmatycznych wygibasów. Opiekaniem mięsa zajął się jakiś starszy mężczyzna. Wtedy przed domem pani Jukas zaparkował wóz Ronniego Feastera. Mężczyzna przy grillu zamarł na widok zbliżających się do niego Feastera i Poliego. Widząc to, jakaś młoda, ładna kobieta w czerwonej sukni z odkrytymi plecami podbiegła do balustrady i pomachała ręką, ale ten przy grillu rzucił coś do niej po hiszpańsku i natychmiast usiadła. Dwie małe dziewczynki chichotały, zasłaniając usta. Rozjarzony do czerwoności koniuszek papierosa poruszały się wargach mężczyzny, kiedy rozmawiał z Feasterem. Nie chciał go tu widzieć. Inez podniosła się z miejsca, założyła ręce i popatrzyła na nich gniewnym wzrokiem. Mężczyzna ze złością wymachiwał łopatką, a Feaster i Polie przeszli przez ulicę i niedbale rozsiedli się na werandzie pani Jukas, zaśmiewając się, jakby fakt, że są tu niemile widziani, nie miał dla nich żadnego znaczenia.

Na zewnątrz rozległo się ujadanie psa. Gordon poruszył niespokojnie głową i otworzył oczy. Nie bardzo wiedział, jak długo spał w fotelu, tymczasem po drugiej stronie ulicy zebrało się jeszcze więcej ludzi. W oddali ulicą szła jakaś chuda dziewczyna w czarnych spodniach. To była Jada. Kiedy się zbliżała, ujadanie stało się coraz głośniejsze. Gordon zerknął na zegarek. Dwudziesta druga. Dziewczyna wbiegła do domu, a po chwili wyszła z psem na rękach i postawiła go na ziemi. Zwierzę natychmiast pobiegło na trawnik i podniosło nogę przy opustoszałym grillu. Jada chwyciła parówkę i pochłonęła ją w tej samej skulonej pozycji, w której Gordon widywał ją już wcześniej. Pies zaczął biegać ludziom między nogami. Kilka osób odsunęło go kopnięciem. Jakiś chłopak cisnął za balustradę bułkę i pies rzucił się na nią, położył się, wyciągając tylne łapy, i zjadł. Inez zawołała coś do Jady. Dziewczyna weszła po schodach, narażając się na gniewne spojrzenia kobiet, i napełniła miękki, papierowy talerz jedzeniem z kilku misek. Nikt nie zareagował, a dzieci trzymały się od niej z daleka, kiedy przysiadła na schodach, wkładając jedzenie palcami do ust. A kiedy skończyła, napełniła następny talerz i zaniósła psu.

Kobiety kręciły głowami. Jedna zawołała coś gniewnym tonem, ale Inez zwróciła jej uwagę i tamta zaraz znikła w drzwiach. Jada wzruszyła tylko ramionami i jadła dalej.

Gordon zastanawiał się, gdzie się podziała jej matka. W dzień po napadzie Jada pytała o niego w sklepie, ale był zajęty rozładowywaniem towaru. Później Leo powiedział mu, że June ją wyrzuciła. Zeszłego wieczoru Polie zaniósł do domu Jady jakąś papierową torebkę. Była taka ciężka, że musiał ją trzymać oburącz. Dziewczyna wzięła ją i szybko zamknęła drzwi, ale Polie ciągle tam stał i stukał do drzwi, dopóki mu nie otworzyła, zerkając znad łańcucha. Coś do niej mówił, ale ona znów zatrzęsnęła drzwiami. Zszedł po schodach, ale w połowie drogi zawrócił i zaczął walić i kopać w drzwi, a potem podszedł do okna i zastukał w szybę, aż wreszcie wyjął coś z tylnej kieszeni i próbował wcisnąć w zewnętrzne okno. Wtedy pod dom zajechał jakiś samochód, a Polie zbiegł po schodach i oddalił się ulicą.

Tymczasem na werandzie pani Jukas Ronnie Feaster rozkręcił swój interes na dobre. Ulicą podjeżdżały różne auta i natychmiast odzywał się dzwonek komórki Feastera. Po krótkiej rozmowie, której treść Ronnie przekazywał Poliemu, nagle jakby znikąd pojawiał się jeden z chłopaków. Niektórzy z nich mieli dopiero po dziewięć czy dziesięć lat. Na polecenie Poliego maszerowali chodnikiem do zaparkowanego na ulicy auta i zatrzymywali się przy oknie. Każda taka transakcja trwała najwyżej trzy mi-

nuty. A potem chłopcy dumnym krokiem mijali werandę pani Jukas i znikali w jej ogrodzie. Jednak Gordon ani razu nie widział, żeby przekazywano tam sobie jakiś towar czy pieniądze. W Fortley przynajmniej trzymali gotówkę w zamkniętej mydelniczce pod ruchomą płytką przy prysznicach.

Pani Jukas już od tygodnia była w domu. Przyjechała taksówką i weszła po schodach sama, bez niczyjej pomocy, podpierając się tylko laską. Przez pierwsze kilka dni przychodziła pielęgniarka, ale Gordon nie widział jej już od wtorku. Zastanawiał się, czy nie pójść się dowiedzieć, jak staruszka się czuje, ale nie chciał jej denerwować. Wczoraj jakaś starsza kobieta przyniosła jej kosz z owocami, a chwilę potem furgonetka z opieki społecznej przywiozła jej gorący posiłek, ale pani Jukas go nie przyjęła.

Z każdym dniem przybywało coraz więcej obumarłych liści. Pierwszymi oznakami choroby były drobne, czarne plamki. Każdego ranka przed wyjściem do pracy Gordon spryskiwał krzewy mieszaną sody oczyszczonej, wody i płynu do mycia naczyń, tak jak doradzali w czasopiśmie *W domu i w ogrodzie*, które w wolnych chwilach czytywał w pracy, po parę stron dziennie. Mydlana piana spływała po butelce prosto na jego buty. Róże były już namoczone, a liście lśniły jasną zielenią. Przy kilku ostatnich naciśnięciach rozpylacza w powietrzu uniosły się bańki mydlane.

— Ej, patrzcie! — zawołał jakiś chłopak na ich widok, ocierając usta.

— Siema! Co pan tam robi? — krzyknął inny i zza domu pani Jukas wyłoniło się czterech młodzieńców. Odkąd staruszka wróciła do domu, nie było widać ani Feastera, ani jego szmuglerów. Ostatni z chłopców, którzy wyszli z jej ogrodu, miał na szyi gruby, złoty łańcuch, a w uszach diamentowe kolczyki i — podobnie jak pozostali — przemoczony przód koszuli.

— Nie powinniście tam chodzić — zauważył Gordon ściszoneg głosem. — To starsza pani, jest bardzo chora.

— Przecież nic nie robimy — prychnął najstarszy z chłopców. Jego duża, okrągła głowa i małe, ciemne oczy nadawały mu wygląd małego Buddy. Na jego brzuchu było widać fałdy duszczu.

— Nieważne. I tak nie powinniście się tu kręcić.

— Ale Feaster kazał nam tu czekać — odparł chłopak.

Gordon wyszedł zza krzaków. — Nie ma mowy. Zaczekajcie sobie tam, na chodniku. I to już.

Jego oczy napotkały ich spojrzenia, ale wyszli z ogrodu, oglądając się za siebie, dopóki nie znikli za rogiem.

Parę minut później zdawało mu się, że słyszy szum wody. Poszedł za dom pani Jukas i zobaczył w ogrodzie odkręcony kran. Zakręcił go tak mocno, jak się dało, ale woda wciąż kapała. Podłożył pod kran kilka kamieni. Wtedy zabrzączało otwierane okno i pani Jukas zapytała, co on tam robi. Wyjaśnił, że kran się popsuł i spytał ją, czy czuje się już lepiej. Nie, rzuciła. Prawdę mówiąc, czuje się fatalnie, gorzej niż kiedykolwiek. Ale trudno, nikt nic na to nie poradzi. Jeszcze zanim zdążyła zamknąć okno, spytał, czy nie potrzebuje czegoś ze sklepu, bo mógłby podrzucić jej po pracy. — Nie, dziękuję — odparła i zatrasnęła okno.

Wszedł do domu i umył ręce. Kiedy ruszył potem ścieżką, pani Jukas przyczłapała się na werandę i zawołała go. Straciła dużo na wadze. Głowa jej się trzęsła, a gdy obiema rękami oparła się o laskę, poły jej podomki rozchyliły się, odkrywając obwisłe majtki. Potrzebowała kawy i soku pomarańczowego, byle najtańszej marki. Zapłaci mu od razu albo później, jak sobie zechce, wszystko jedno. Może być później, odparł, zadowolony, że może jej pomóc. Miłego dnia, rzucił, ale kobieta zdążyła już wejść do środka.

Po pracy zadzwonił do jej drzwi. Czekając, zdziwił się na widok zaśmieconej werandy. Niedopałki, plastikowe kubki, puste puszki, pomięte torebki po jedzeniu na wynos. Kopnięciem zgarnął śmieci na kupkę, gdy otworzyły się drzwi.

— Ile? — spytała, wyjmując portmonetkę z kieszeni tej samej podomki, którą miała na sobie rano. Zapłaciła mu, a zanim zamknęła drzwi, poprosił ją o jakiś worek na śmieci z werandy.

— Daj spokój — rzuciła.

— Żaden problem, to potrwa tylko chwilę i będzie po wszystkim — odparł, zgarniając śmieci w drugą kupkę.

— Wszystko mi jedno, jak sobie chcesz. Ja jestem wykończona — mruknęła i zamknęła za sobą drzwi.

Poszedł do domu i wrócił z miodą i workiem na śmieci. Właśnie kończył zamiatać, kiedy przy chodniku stanął wóz Feastera. Polie przebiegł przez ulicę i zastukał do drzwi Jady, za którymi ujadął jej pies. Nikt nie otwierał, więc zajrzał przez okno, zapukał parę razy, po czym wrócił do samochodu. Wtedy wysiadł Feaster i ruszył ścieżką w stronę domu pani Jukas. Gordon zszedł po schodach z miotłą i workiem. Feaster spytał go, czy widział Jadę albo jej matkę. Nie widział. Przynajmniej w ciągu ostatnich paru dni.

— Słuchaj, zrobiłbyś coś dla mnie? — ciągnął Feaster, zapisując coś na świstku papieru. — Daj to jej matce. Powiedz, że to nowy numer.

— Nie ma mowy.

— Jak to, nie? Do kurwy nędzy, przecież to tylko numer komórki. Weź go.

Ale Gordon minął go i poszedł dalej.

— A więc to tak? Nie chcesz mi wyświadczyć przysługi? — Kipiąc ze złości, Feaster ruszył za nim na werandę. — O to ci chodzi? Nawet takiej małej, drobnej przysługi nie chcesz mi wyświadczyć? Nie?

Gordon już miał otworzyć drzwi, ale Feaster zablokował mu drogę, a Polie przyczłapał ścieżką w swoich wielkich, klapiących tenisówkach.

— A więc to tak? O to ci chodzi? — powtarzał Feaster.

— Przecież nic nie mówiłem — odparł Gordon z opuszczoną głową, gapiąc się przed siebie.

— Ty chyba nic nie rozumiesz. Ja tylko próbuję jej pomóc. Jak jest na głodzie, to ma wszystko gdzieś. Wtedy całkiem jej odbija. Poderżnęłaby ci gardło dla paru centów i nawet by cię nie poznała. Daj jej to, i już. — I znowu podał mu świstek, patrząc na niego z błyskiem w oku.

— Nie.

— Bierz tę cholerną kartkę — warknął Polie z kijem przy nodze.

— Mam lepszy pomysł — oznajmił Feaster. — Skoro nie chcesz dać jej numeru, to posiedzimy tu sobie i poczekamy, aż ona wróci. I co ty na to?

Feaster przysunął do balustrady dwa krzesła i usiadł. Ręce założył za głowę, a stopy oparł o poręcz. Polie przysiadł się do niego w tej samej pozycji.

Gordon wszedł do środka i usiadł na kanapie. Worek ze śmieciami położył na kolanach. W żołądku go mdliło. Z Thurmanem jakoś by sobie poradził, ale ci dwaj gotowi byli zaatakować go nożem czy bronią. Słyszał ich śmiech i krzyki do ludzi. W ciągu ostatnich paru dni nie przejeżdżał tędy żaden radiowóz, a teraz ulicą pędziły aż dwa, nie na sygnale, ale z błyskającymi kogutami. Skręciły za róg i odjechały.

Parę minut później pod dom podjechał samochód. Dennis szedł przez trawnik, ale w połowie drogi zatrzymał się.

— Fajna bryka — zauważył Feaster, kiedy Gordon podszedł do drzwi.

— A pan to kto? — spytał Dennis, unosząc głowę.

— A pan, że tak spytał? — rzucił Feaster, a Polie zachichotał.

Gordon stał w otwartych drzwiach.

— Co się tu dzieje? — zapytał go Dennis.

— Czeka ją tu na tę panią z przeciwka — odparł Gordon, gestykulując niezdarnie ręką. W duchu pragnął tylko, żeby Marvella nie zjawiła się teraz, w obecności Dennisa. — No to jak? Wchodzisz? — spytał i otworzył szerzej drzwi.

Dennis wszedł do środka i stanął przy oknie. — Czy powinienem ci coś wiedzieć? — spytał, wyglądając na zewnątrz. — Może powiesz mi łaskawie, o co tu chodzi? Czego oni chcą i co tu robią?

— Zaraz sobie pójda. Bo wiesz, ta kobieta...

— Słuchaj, to zwyczajne męty. Zgadzasz się, żeby przesiadywali tu, przed twoimi drzwiami, z buciorami na poręczy? Co ty sobie myślisz? Nie możesz tak po prostu pozwalać tym mętom robić, co im się żywnie podoba, bo ani się obejrzysz, a będą włązić ci do domu, kiedy tylko zechcą.

— Czekaj, zaraz sobie pójda. Po prostu nie chcę żadnych kłopotów, I już.

— Ty nie chcesz kłopotów! — Dennis pokręcił głową i zaśmiał się drwiąco. — Jezu! Dobre sobie, nie ma co! Ty nie chcesz żadnych kłopotów!

— Naprawdę nie chcę.

— To idź i powiedz im, żeby poszli w diabły.

Zerknął na Dennisa. Ale to nie odraza czy litość sprawiły, że odwrócił wzrok, tylko jadowite spojrzenie brata. Gordon doskonale zrozumiał, za co. Za to, co widział i wiedział. I za słabość Dennisa.

— W takim razie ja to zrobię. — Dennis wybiegł przed dom jak burza i nakazał Feasterowi wynieść się z werandy. Jego brat nie życzy sobie, żeby tu siedzieli. Wtedy Polie podniósł się z miejsca. Był o głowę wyższy od Dennisa.

— Chrząć się — syknął Feaster, nawet nie odwracając głowy.

Dennis pochylił się i zrzucił nogi Feastera z poręczy tak, że tamten prawie spadł z krzesła. Odepchnięty przez Poliego, Dennis zatoczył się po werandzie i chwycił się filara. Gordon szybko wybiegł na zewnątrz. Polie trzymał w ręce matowoczną spluwę.

— Jezu Chryste! — wysapał Dennis. — Co ty wyprawiasz? Co, do cholery...

— Nie ruszaj się, zasańcu — ryknął Polie, a Feaster podszedł do Dennisa.

— To mój brat — wyjąkał cicho Gordon.

— Gównu mnie obchodzi, kim on jest — syknął Feaster, wykrzywiając twarz i nie spuszczać wzroku z Dennisa. — Niech mnie, kurwa, nie

dotyka, bo inaczej, kurwa, nie będzie już niczym bratem. A teraz do domu. Do domu, kurwa!

Dennis wszedł do środka za Gordonem i gdy tylko zamknęli za sobą drzwi, od razu chwycił za telefon.

— Zostaw! — zaprotestował Gordon.

— Jak to? Przecież on ma broń!

— Ani się waż! Zobacz, już odjeżdżają. — Gordon wskazał ręką. Rzeczywiście, Feaster i Polie wsiadali do wozu. — Pojechali — oznajmił, gdy tylko samochód zniknął. — Już w porządku — dodał i wyciągnął rękę, by odebrać mu słuchawkę.

— To jest w porządku? — Dennis pokręcił głową i dopiero teraz Gordon zauważył, że jego brat ciężko oddycha. Miał popielatą twarz. — Naprawdę myślisz, że wszystko jest w porządku? Chryste, jesteś jeszcze bardziej żałosny, niż myślałem.

— Ty nic nie rozumiesz.

— Ja nic nie rozumiem! O rany! Jak możesz tak mówić?

— Bo naprawdę nie rozumiesz. Nie wiesz, jaki muszę być ostrożny. I to przez cały czas, w każdej chwili, dzień w dzień. Muszę trzymać się z dala od kłopotów. Robię to od tak dawna, że nie umiem już inaczej żyć. Chodzę ze spuszczoną głową, odwracam wzrok, nic nie widzę, nic nie słyszę, o nic nie pytam. Ktoś mnie trąca, aja przepraszam. Masz rację, to żałosne, ale tak już musi być. Nie mam innego wyjścia.

— Wybacz. — Dennis potarł czoło w smutnym geście zawstydzenia i rezygnacji. — Zrozum, chcę tylko twojego dobra. Wcale nie chciałem cię dołować. Tylko to wszystko jest teraz takie popieprzone. — Westchnął i znowu odwrócił się do okna. — Właściwie to przyjechałem tu, żeby... no wiesz, chodzi o tamten wieczór. Bo widzisz, są pewne sprawy, o których nie wiesz. Zresztą skąd miałbyś wiedzieć? Nie jesteś żonaty, nie rozumiesz, jak to bywa. O Chryste! Chcę ci tylko powiedzieć, że to, co wtedy widziałeś, to nie to, co myślisz. Chodzi o to, że... czasem taksie po prostu układa, i nikt, u diabła, nie wie, dlaczego!

— Nie musisz mi tego mówić.

— A żebyś wiedział, że muszę. To ważna sprawa. Chcę, żebyś wiedział. Jilly to miła i uczciwa dziewczyna. Przepląkała wtedy całą noc. Ciągle ją to gnębi. Myśli, że zrobiła coś strasznego.

— I chyba słusznie, prawda? — wyskoczył Gordon.

— Właśnie, że nie — odparł powoli Dennis. — Chodzi o to, że w gruncie rzeczy nic złego nie zrobiła. Ale najbardziej martwi się przez ciebie.

- Przeze mnie? A dlaczego? — spytał, prawie się uśmiechając.
 - I po to właśnie przyszedłem. Ona się boi. Mówi, że chciała być mi-
ła i pokazała ci mieszkania, tak jak ją prosiłem, ale ty źle to odebrałeś i za-
cząłeś się do niej przystawiać.
 - Zaprosiłem ją na kolację, i nic więcej.
 - Tyle tylko, że cała ta sytuacja nieźle ją wystraszyła. Podobnie zre-
szta jak ciebie i mnie!
- Twarz Gordona płonęła ze wstydu i gniewu. — A co z Lisą? — spytał.
- Nie rozumiem.
 - No, czy się rozstajecie? — Od tych słów zrobiło mu się niedobrze.
 - A skąd! Jezu Chryste, naprawdę tak myślałeś? — Dennis spojrział
na niego z niedowierzaniem. — Za nic w świecie! Nigdy bym tego nie
zrobił. Przenigdy! Przecież rodzina to całe moje życie.

Gordon wybiegł po schodach z piwnicy. Ktoś dzwonił i stukał do drzwi. Jada. Wyglądała fatalnie: na czole i nosie trądzik, na wargach opryszczka, czerwona buzia, załzawione oczy. Leonardo ma robaki. Jej pieseczek umiera, a ona nie wie, co począć. Cały ranek leży na łożku i skamle. Nie chce jeść ani pić. Gordon zasugerował, że potrzebny będzie weterynarz, ale równie dobrze mógłby powiedzieć jej, żeby zawiozła psa do Tybetu. Jaki weterynarz? Gdzie? Skąd?

— Poszukaj w książce telefonicznej. — To był jego przewodnik po życiu. Znalazł tam wszystko, co chciał wiedzieć. — Weterynarze — mruknął, przewracając kciukiem strony. — O, tu. Są na całej stronie.

Pochyliła się nad książką, a po chwili podniosła głowę. — Wszyscy są gdzieś daleko. Tutaj nie ma ani jednego — powiedziała i oddała mu książkę.

Dearborn, Hilliard, Plainfield: same przedmieścia. Miała rację, w centrum nie było żadnych weterynarzy.

— To może ktoś mógłby cię podwieźć — zasugerował.

— Raczej nie.

— A twoja mama?

— Ona nie ma samochodu, a zresztą nie ma jej w domu.

— To zaczekaj, aż wróci.

— Mogę kawałek? — Wskazała bochen chleba na blacie.

Podał jej kromkę. — Może mama zadzwoni po kogoś znajomego.

— Jasne, po Poliego — rzuciła dziewczyna, przeżuwając chleb. — Ale ja nigdzie z nim nie pojedę. To palant.

Poczęstował ją jeszcze jedną kromką. Widząc, jak żarłocznie pochłania chleb, zapytał, czy nie zjadłaby kanapki z szynką. Uśmiechała się szeroko, przypatrując się, jak przygotowuje kanapkę. Z musztardą? No pewnie! Dużo czy mało? Dużo, odparła. Tak jak w kanapce z musztardą.

— W kanapce z musztardą? Pierwsze słyszę o takiej.

— No wiesz, czasem nie ma nic innego.

Dołożył jej jeszcze plaster szynki. — Proszę. Usiądź sobie. — Postawił talerz na stole.

— Nie trzeba — odparła, jedząc kanapkę na stojąco przy kuchennym blacie. — A to co? — Ruchem głowy wskazała na puszkę od Delores.

— Nic — rzucił, chcąc zostawić sobie kilka ciasteczek na popołudniowy deser.

Kiedy odwrócił się, żeby podać jej szklanekę mleka, po kanapce nie było już ani śladu. Jada wypijała duszkiem połowę mleka i poprosiła o plastikowy kubek. Może po odrobinie mleka Leonardo poczuje się lepiej. Gordon nie miał plastikowych kubków. Pozwolił jej zabrać mleko w szklance pod warunkiem, że ją potem zwróci. — A wy nie macie w domu mleka? — spytał.

— Nie, ale jest jeszcze trochę coli — zawołała.

Po jej wyjściu czuł się winny. Trzeba było dać jej te ciastka, pomyślał, sprząając stół i kuchenny blat. Marvelli Fossum nie widział już od jakiegoś czasu. Może jest chora. Nie, Jada mówiła, że nie ma jej w domu. Przypomniał sobie, jak dziewczyna z wilczym apetytem pochłaniała jedzenie tamtego wieczoru przy grillu. Jak jakaś bezdomna, którą każdy bał się przepędzić. A ten jej pies pewnie wcale nie jest chory. Potrzebowała tylko wymówki, żeby przyjść i żebrać. Gordon wyjrzał przez okno. Jak to możliwe? Czy to dziecko naprawdę głoduje? Nie pamiętał, żeby coś podobnego zdarzyło się w jego dzieciństwie. A przynajmniej nie tutaj, na Clover Street. Kiedyś przy Liberty Street mieszkał pewien starzec, który spadł ze schodów do piwnicy i złamał biodro, a po paru dniach listonosz znalazł go obłąkanego z głodu i pragnienia. Ale po dwudziestu pięciu latach wszystko się tu zmieniło. Każdego dnia w sklepie dzieci wrzeszczały na matki. Napady były na porządku dziennym, przez cztery miesiące u Neila zdarzyły się aż trzy. W zeszłym tygodniu grupa dziewcząt pobiła w bibliotece nastoletnią siostrzenicę Sereny za to, że wysłała e-mail do chłopaka któregoś z nich. Liczył na rozum i porządek, a zastał pokręcony świat, wytraconą z równowagi planetę. Z nieba, zamiast meteorów, leciały w dół śruby i metalowe szczątki samolotów, a pozostawione bez opieki niemowlęta wypadały z okien. Ale za kogo on się uważa, jakie ma prawo do pretensji, rozczarowania i oburzenia, właśnie on, Gordon Loomis, „nic nie znaczący i tak pochłonięty własnym życiem, że swoją drogę wybrał już dawno, dawno temu, jeszcze zanim nadszedł ten wieczór, kiedy kobieta zaryglowała drzwi i, kuśtykając na jednej kuli, wyszła spod prysznicza do łóżka, gdzie przeczytała swoją ostatnią książkę, *Udana ciąża*.”

Poradnik zdrowej kobiety, nie mając pojęcia, że za dziesięć minut nadejdzie koniec. Wszystkiego. I przeszłości, i przyszłości. Koniec. A dziś tamten miałby dwadzieścia pięć lat, prawie dwadzieścia sześć..."

Kevin, zeznaje ojciec, a adwokat Gordona zrywa się i protestuje, by nie nadawać temu czemuś człowieczeństwa ani imienia. Bo co jego imię ma wspólnego z tym, co wydarzyło się tamtego wieczoru? — Wszystko! — krzyczy ojciec. Gordon tymczasem jeszcze głębiej pograża się w kamiennym, haniebnym milczeniu. Któryś z dziennikarzy opisuje to jako „bezlitosną pogardę dla pokrzywdzonych. Podczas składania zeznań ten młody człowiek patrzy przed siebie, unikając wzroku ludzi, z jego własną rodziną włącznie". Mimo to przez te wszystkie lata znajdował pociechę w tym, że tamtemu nienarodzonemu dziecku dano chociaż to jedno — imię wypowiedziane przez jego ojca. Jeśli nie zasługiwał na pamięć, to przynajmniej miał imię zapisane na jakiejś cienkiej kartce protokołu sądowego. To imię nigdy nie trafiło na akt urodzenia, ale być może wryto je w granicie, by zaznaczyć jego istnienie. Kevin Walters, który dla obrońcy był jedynie suchym faktem, a nie istotą ludzką.

Była czwarta po południu, a one jeszcze nie wracały. Miał wobec Delores nowy dług wdzięczności. Żałował, że do niej zadzwonił, ale gdy później tego ranka Jada zjawiła się z psem, który patrzył mętnym wzrokiem i dyszał, leżąc bezwładnie na jej rękach, ogarnęła go panika.

— On umiera. Spójrz na niego, na pewno zaraz umrze. Już prawie nie czuję, jak bije mu serce — ję c z a ł a dziewczyna. — Moje kochane małenstwo umiera.

Tłumaczył się, przekrzykując szloch Jady, przeproszał, że dzwoni do sklepu, ale to nagły wypadek. Delores nie musiała już dalej słuchać. Nie wahała się ani chwili. Potrzebna była pomoc, więc szybko zamknęła sklep i przyjechała za niecałe dziesięć minut. Doktor Loop w Hilliard. Do niego jej matka wozila chore koty, zawołała przez ramię, kiedy Jada skrzyżowała swoje długie, chude nogi w przednim fotelu. Pies dyszał jej na piersi. — Jest naprawdę dobry! — dodała Delores i odjechała, a Gordon został z mędikiem w głowie, a przy tym czuł się dziwnie pobudzony, jakby mógł wykonać tysiąc rzeczy naraz, gdyby tylko wiedział, co dokładnie ma zrobić.

Kiedy wreszcie wróciły, Jada trzymała cztery różne lekarstwa dla psa. Ten, nieco ożywiony, zaczął obwąchiwać nogę od stołu. Delores powiedziała Jadzie, że pies musi się załatwić.

— Masz. — Jada chwyciła kawałek gazety i rzuciła na podłogę. Leonardo przykucnął i obryzgał papier, aż długa smuga żółtawej cieczy spłynęła na podłogę.

— Jada! — upomniała ją Delores.

— Co? — spytała dziewczyna.

— Nie możesz mu pozwalać załatwiać się w czymś domu!

— Ale nauczyłam go załatwiać się na gazetę — wyjaśniła Jada, kiedy Gordon wybiegł z kuchni z papierowymi ręcznikami i płynem do czyszczenia.

— Proszę. — Delores wzięła od niego rolkę ręczników i podała dziewczynie. — Sprzątnij to i zabierz go do domu. Biedactwo miało już dość wrażeń, jak na jeden dzień.

Jada szybko wytarła podłogę i wzięła Leonarda i jego lekarstwa. Zdążyła już podziękować Delores i się pożegnać, ale przy drzwiach trochę się ociągała. Wreszcie spytała Delores, jak długie muszą być jej paznokcie, żeby mogła zrobić sobie manikiur.

— Mówiłam ci już, że muszą ci trochę odrosnąć, aż będzie widać białe czubki, przynajmniej na długość opuszków palców — odparła Delores.

Jada zerknęła znad łba psa na swoje poobgryzane paznokcie i zmarszczyła brwi. — To jak długo mam czekać?

— Zleci tak szybko, że sama się zdziwisz — pocieszyła ją Delores.

— A jeśli wcale nie odrosną?

— Odrosną. Tylko częściej myj ręce, to paznokcie będą rosły jeszcze szybciej.

— A jak już będę miała długie i któryś mi się złamie?

— To i tak pójdziemy do manikiurzystki! — zaśmiała się Delores. — A teraz bądź tak miła i idź już, żeby ten biedny psiak trochę odpoczął.

— O tak, ty moje kochane maleństwo — zamruczała Jada i wyszła, muskając ucho szczeniaka.

— O rany! Niezłe z niej ziółko, co? — westchnęła Delores i popatrzyła przez okno.

— Przepraszam, niepotrzebnie zawracałem ci głowę, ale nie wiedziałem, co robić — wyjąkał Gordon. Było mu głupio, że ją w to wciągnął.

— No coś ty! — wykrzyknęła. Cieszyła się, że do niej zadzwonił. Chodziło jej o to, że nigdy w życiu nie spotkała kogoś takiego jak Jada Fossum. To wprost nie do wiary — taka zaniedbana, a jednak pod maską tej wariatki kryje się całkiem miła dziewczyna. — Nie wiesz czasem, od jak dawna jest bez opieki?

Nie bardzo wiedział, czy dziewczyna rzeczywiście mieszka sama.

— Jakiś tydzień. Mówi, że jej matka jest w jakimś ośrodku. Tylko nie chce, żeby ludzie się dowiedzieli, bo boi się, że znowu dadzą ją do rodziny zastępczej, a wtedy będzie musiała wstawać codziennie rano, chodzić do szkoły, a potem wracać prosto do domu. To zabawne, jak taki dzieciak kombinuje, kiedy nie ma matki. Ale najbardziej boi się Ronniego Feastera, bo ten codziennie przyjeżdża i wypytuje o jej matkę.

— Nawet mnie pytał, czyjej nie widziałem.

— Pewnie jej matka wisi mu pieniądze i facet chce, żeby Jada odpracowała dług.

— Co za nędzna kreatura — mruknął, speszony mocnymi słowami, ale Delores wcale się nie zraziła.

— Wiem. Mówiłam jej, że nie powinna mieszkać sama, ale ona twierdzi, że jej wujek przychodzi codziennie zobaczyć, jak sobie radzi. Jemu też nie podoba się, że dziewczyna mieszka w takiej dzielnicy, ale ona zapewniła go, że po drugiej stronie ulicy mieszka bardzo życzliwa rodzina, która zawsze jej pomaga.

— Naprawdę? A co to za rodzina?

— Ty.

W ciągłym ruchu każde z dzieci dwoiło i troiło się w oczach. Jeszcze przed sekundą wspinały się na drzewo, zaraz potem wyłaziły spod tarasu, a teraz próbowały przerzucić piłki tenisowe przez dach. Gordon nie miał ochoty tam być. Wiedział, że to przyjęcie dla dzieci, jednak wśród gości byli przeważnie znajomi albo sąsiedzi Lisy i Dennisa. Znał tu tylko Delores, ale ta była zajęta pomaganiem Lisie. Kierując się na taras, Gordon widział, jak Delores wynosi tacę z koreczkami owocowymi nadzianymi na wykałaczki.

Wtedy też stanęła przy nim jakaś wysoka, bosa kobieta w długiej, zwiewnej sukni. — Chyba jeszcze się nie znamy. Jestem Greta Deacon.

— Dzień dobry.

— Mieszkam w tym zielonym domu. Parę tygodni temu się wprowadziliśmy. Ciągłe pracuję, dlatego nie znam jeszcze ludzi z sąsiedztwa. Ale w październiku mam termin i wtedy poznam wszystkich. Nie pójdę od razu do pracy. Zaczekam, aż dziecko będzie starsze. Niech skończy co najmniej rok! A potem, kto wie...

— Przepraszam. — Odwrócił się i zniknął w chłodnym cieniu domu. Zewsząd dochodziły fragmenty rozmów.

— Jak chcesz zrzucić cztery kilo...

— Ten najmłodszy synek Lee i Kendry...

- Robactwo wyżarło im cały ogródek...
- I kto by pomyślał...
- Hej! Proszę pana! Czy pan jest wujkiem Jimmy'ego?

Gordon skinął głową, a chłopak przygryzł wargę, odwrócił głowę i zerknął na Jimmy'ego i dwóch innych chłopców na hamaku, którzy bacznie mu się przyglądali.

- Serio?
- Tak.

Chłopak biegiem wrócił na hamak.

Dookoła rozbrzmiewał śmiech. Dennis tymczasem przykląkł przy bramce i mierzył długość ostatniego rzutu trzonkiem młotka do krokieta. On i Lisa grali z inną parą, których imiona wyleciały Gordonowi z głowy w chwili, gdy kobieta przyznała, że już od dłuższego czasu chciała go poznać. Niby dlaczego? Co miała przez to na myśli? Czego od niego chciała? Na szczęście go nie zauważyli i obszedł dom od frontu. Na ulicy stał szereg zaparkowanych samochodów. Jeśli pójdzie dalej, to za dwadzieścia minut dojdzie do przystanku, a za następne dwadzieścia będzie w domu.

— Gordonie! — Trawnikiem pod górę śpieszyła Lisa, a za nią jakiś pulchny mężczyzna w czarnych, wygniecionych spodniach i koszuli z krótkimi rękawami. — Nie mogłam się doczekać, żeby was ze sobą poznać — orzekła i przedstawiła go księdzu Heniyemu Hensile'owi.

— Mów mi Hank — zaproponował ksiądz.

— Miło księdza poznać. — Gordon uścisnął jego miękką, lepką dłoń.

— Ksiądz Hank pracował kiedyś w parafii świętej Teresy w Collerton — oznajmiła Lisa i dodała, że od pięciu lat pracuje w Dearborn.

— O, to świetnie — zauważył Gordon.

— Dennis i Gordon dorastali w parafii świętej Teresy — wyjaśniła księdzu.

— To bardzo dobra parafia. Ale dziś pewnie różni się od tej, którą pamiętasz — zauważył ksiądz.

— Rzeczywiście — przyznał niepewnie Gordon.

— Gordon pracuje w supermarkecie Nash Street. Jego właścicielami są Dubbinowie. Na pewno zna ksiądz Cindy — dodała Lisa.

— A pewnie! Oczywiście, że znam. Bez Cindy nie byłoby Wieczoru Las Vegas — odparł ksiądz.

— To taka impreza ze zbiórką pieniędzy — wyjaśniła Lisa Gordonowi. — I chyba największe wydarzenie roku, prawda, proszę księdza? Może nawet w całej diecezji.

— Ciii — szepnął ksiądz, rozglądając się dookoła. — Nie wiem, czy to akurat powód do dumy.

Lisa odwróciła się, gdy lśniące, czarne auto nadjechało ulicą. — O, są już moi rodzice! — zawołała i wybiegła na podjazd. Pan Harrington trzymał ją przez chwilę w ramionach, a jego żona sięgnęła po dwa misternie zapakowane pakunki na tylnym siedzeniu. Ojciec Lisy był korpulentnym, łysawym mężczyzną, nieco niższym od smukłej żony i córki. Jej matka była cała ubrana na biało — buty, spodnie i sweter — a srebrzyste włosy, zebrane w mały, gładki kucyk, odsłaniały jej opaloną twarz.

— Ciekawe, jak im minęła podróż — zagadnął ksiądz, obserwując rodzinne spotkanie.

— Nie wiem, nawet ich nie znam — przyznał Gordon.

— O, to na pewno ich polubisz. Są bardzo mili. Spodobają ci się.

Lisa szybko przyprowadziła rodziców. — Mamo, to jest...

— Ksiądz Hank! — wtrąciła pani Harrington, zaciskając niespokojnie wargi. — No i co tam u mamy? Jak ona się czuje, biedactwo?

— Jakoś się trzyma — odparł ksiądz.

— Zapaliliśmy jej świeczkę nad Balatonem, prawda, Tom? To było w ślicznej, kamiennej kaplicy z witrażami...

— Czekaj, mamo! Nie znasz jeszcze Gordona. Gordonie, to moja mama Mitzi i mój tato Tom.

Spokojne oczy o głębokim spojrzeniu nie pasowały do rumianej, piegowatej twarzy pana Harringtona.

— Miło państwu poznać — rzucił Gordon i uściśnął im dłonie.

— I wzajemnie — wycedziła pani Harrington przez wargi ściśnięte w wymuszonym uśmiechu. Jej urodziwa twarz zastygła z zakłopotania.

— Pan też grywa w golfa, tak jak brat? — zapytał pan Harrington.

— Nie, proszę pana, nie grywam.

— Sprytny z pana facet! Ale daję głowę, że Dennis szybko się za pana weźmie — dorzucił pan Harrington. — A skoro o nim mowa, to gdzie się podział ten mój kochany zięć? — spytał, oddalając się z żoną. Nie mogli się doczekać, żeby zdać Dennisowi szczegółową relację podróży.

— Nie przejmuj się. Oni po prostu trochę się denerwują spotkaniem z tobą — uspokoiła Lisa.

— Jasne, rozumiem — odparł, zanim odeszła i dołączyła do swoich rodziców.

— Pewnie już nie raz doświadczyłeś czegoś podobnego — zagadnął ksiądz, kiedy obaj wolnym krokiem ruszyli przed siebie. — Ludzie nie bardzo wiedzą, co powiedzieć, prawda?

— Chyba nie. Ale co mi tam — odparł, umyślnie uciekając wzrokiem.

— Podziwiam cię za to, że wróciłeś. Na pewno nie było ci łatwo. Wiele na twoim miejscu nie dałoby rady.

— Sam nie wiem. — Zatrzymał się przy schodach. — Przepraszam księdza, ale muszę na chwilę wejść do środka.

— Jasne, nie ma sprawy, Gordonie. Ale czy mógłbym cię jeszcze o coś spytać? Przez kilka ostatnich lat Lisa sporo mi o tobie opowiadała. Ona bardzo cię lubi i... wiesz, nie ma sensu owijać w bawełnę, Gordonie. Poprosiła mnie, żebym dołożył wszelkich starań, by lepiej cię poznać. Chętnie to zrobię, ale nie chcę ci się narzucać. Pomyślałem, że może poszlibyśmy gdzieś, na przykład na kawę. Oczywiście, jeśli tylko będziesz miał ochotę.

— No, nie wiem. Może kiedyś. — Kiedyś, w bardzo dalekiej przyszłości.

— A co powiesz na poniedziałek? O wpół do dziesiątej? Albo o dziesiątej?

— Przed południem jestem w pracy — odparł, uspokojony.

— To może po pracy.

— Nie wiem jeszcze, do której pracuję.

— To może nie na kawę, tylko na piwo któregoś wieczoru?

— Ale ja nie piję.

Ksiądz zamilkł, taksując go znaczącym wzrokiem, do którego Gordon zdążył już przywyknąć. — W porządku, rozumiem. W takim razie weź może to... — Wyjął wizytówkę z wytartego, spłaszczonego portfela. — To mój numer. Zadzwoń, gdy będziesz gotowy. Zresztą możesz dzwonić o każdej porze. Naprawdę miło byłoby z tobą pogadać.

W domu nie było nikogo. Gordon przeszedł przez jadalnię i pokój dzienny. Musiał być bardzo ostrożny, żeby niczego nie zniszczyć. Nigdy w życiu nie widział tylu pięknych ozdób: ceramiczne naczynia, orientalne wazony, figurki, lśniące emaliowane szkatułki, oprawione w skórę książki i rzeźbione ptaki, malowane tak znakomicie, że z daleka wydawały się prawdziwe. W szafce pod oknem mieniła się w słońcu kolekcja szklanych, zabytkowych przycisków do papieru, należąca do Dennisa. Na pianinie stała oprawiona fotografia ślubna Dennisa i Lisy z rodzicami obojga stron. Gordon przysunął się bliżej. Okryta cieniem twarz jego ojca była zmęczona chorobą, zapadłe oczy patrzyły słabym wzrokiem. Gordon uśmiechnął się na widok wesołej, zadziornej miny matki — Teresa

Pratt, z podniesioną głową i wysuniętym podbródkiem, dumna jak paw. Wszedł do salonu, ale zatrzymał się na widok brata w głębi kuchni.

— No chodź — zawołał Dennis, zanim Gordon zdążył uciec. Brat wsypywał do miski lód z kostkarki w drzwiach lodówki. — To urządzenie bije na głowę dawne metalowe pojemniki do lodu. Pamiętasz je? — rzucił Dennis, przekrzykując brzęk kostek lodu wpadających do miski.

Na szelest drzwi prowadzących na taras obaj podnieśli głowy. Jakaś zgrzana kobieta z obfitym biustem zajrzała do środka, oznajmiając, że Lisa potrzebuje lodu. — Ty chyba też — zauważył Dennis i podał jej miskę.

— Lisa prosi, żebyś wyjął z lodówki tort — zawołała, wychodząc.

— No, spójrz tylko na to — powiedział Dennis i wyjął udekorowany tort w kształcie boiska do piłki nożnej. Były na nim bramki, tablica wyników i miniaturowe figurki graczy kopiących piłkę. — Masz, przelicz świeczki, tak dla pewności — dodał, podając mu ciasto.

— Dwanaście? Ja myślałem, że skończyli jedenaście lat. — Kupił nawet kartkę z napisem: z okazji jedenastych urodzin.

— Racja, ale jedną dodaje się na szczęście, prawda?

— Ano tak. Na szczęście. Zupełnie zapomniałem...

— Ejże, wyluzuj trochę. Spójrz tylko na siebie: pot spływa ci po twarzy. Kompletny wrak człowieka. Pewnie te wredne oprychy dalej cię nachodzą, co?

— Nie, od tamtej pory ich nie widziałem — rzucił, wyraźnie spięty, spodziewając się dalszej rozmowy o tamtym wieczorze w restauracji i o Jilly.

— Całe szczęście. Tylko nie daj się złamać, Gordo. Wystarczy jedna chwila słabości, a dopadną cię jak sępy. Zapamiętaj to sobie.

Gordon skinął głową w zdumieniu. Co sobie myśli ten jego brat? Że niby jak udało mu się przetrwać w więzieniu? Czy Dennis nie dostrzega pewnych rzeczy, czy po prostu woli dzielić swoje życie na części? Czy on sam nie doświadcza tego samego, obracając się wśród porządných ludzi i udając, że dorównuje im przyzwoitością, jak gdyby nikt nie wiedział, jaki jest naprawdę?

— Słuchajcie! — zawołał Dennis, wynosząc ciasto na taras. — W następnym wcieleniu chciałbym być dzieckiem Lisy Harrington.

— Przecież już nim jesteś! — rzuciła jakaś kobieta, a Dennis roześmiał się najgłośniej ze wszystkich.

Pod kwitnącą lipą o słodkim zapachu Delores przysunęła się z krzesłem bliżej Gordona. Po tym, jak podano tort i otworzono prezenty, dzieci,

uwolnione od obowiązków gości, zaczęły krążyć między ogrodem a podwórzem sąsiadów, rzucając się w szaleńczych zrywach za frisbee i piłką. Przez cały czas biegały i wrzeszczały, a głosy i śmiech dorosłych rozbrzmiewały coraz częściej i głośniej. Ten niemal wariacki zgiełk przypominał mu zachowanie więźniów podczas ostatnich minut zajęć w sali rekreacyjnej. Czul się zmęczony. Już sama obecność na tym przyjęciu była dla niego udręką. Niebo wisiało nisko nad ziemią, zwiastując deszcz.

— Ale fajna impreza — westchnęła Delores, rozsiadając się na krześle. — Widzisz tamte dwie kobiety? Ta w długiej, niebieskiej spódnicy to Mary Bianci, kuzynka szwagierki Alberta. Chodziła z nami do liceum, dwie klasy wyżej. Wygląda też na to, że Albert miał kiepski tydzień. Mary mówi, że jego córka rozbiła drogi, sportowy wóz, a następnego dnia ktoś włamał się do ich wielkiego, pięknego domu w Dearborn — ciągnęła, kręcąc głową. — I to ma być bezpieczna dzielnica. Niech sobie gadają, co chcą, ale w Collerton nigdy nikt się do mnie nie włamał, ani razu!

— Przecież mieszkasz na drugim piętrze.

— No i co z tego? Mamy tam schody przeciwpożarowe. Gdyby ktoś zależało, to łatwo mógłby dostać się tamtędy do środka. W upalne noce zostawiam nawet otwarte okno.

— Nie powinnaś tego robić — upomniał ją, przypominając sobie o pani Jukas.

— A niby dlaczego nie?

Krępowąło go jej badawcze spojrzenie. Pewnie uznała, że jego ostrzeżenie wynika z przestępstwa, które sam kiedyś popełnił. — Bo to niebezpiecznej i tyle — odparł. Zerwał źdźbło trawy i nawinał je sobie na palec.

— Nic nie jest bezpieczne — zauważyła, nie spuszczając z niego wzroku.

— Wujku Gordonie! — zawołała za ich plecami Annie i wychyliła się znad oparcia jego krzesła. — Mama kazała mi zapytać, czy dobrze się bawisz.

— Jasne, bawię się świetnie. Dziękuję, Annie.

Wysunęła się zza krzesła i jej zadziorna, spocona twarzyczka znalazła się tuż przed jego oczami. — Miałam też zapytać, czy masz na coś ochotę. Może na tort albo na lody? Albo na bombę malinową?

— To poproszę tę bombę malinową.

— Jasne! A masz! — zaśmiała się i uszczypnęła go w szyję. — Teraz będziesz miał bombę malinową!

— Aha, rzeczywiście — odparł po chwili. — Teraz rozumiem. — Wysłił się na uśmiech.

— To go na pewno zabołało! Biedny wujek Gordon — zawołała za nią Delores, gdy dziewczynka pobiegła, chichocząc. — Śliczna jest, prawda? I taka podobna do matki. Mój Boże, a Jimmy tak bardzo przypomina mi Dennisa — westchnęła. — Pomyśl tylko, jakie to cudowne: niby każde dziecko jest kopią rodziców, a w gruncie rzeczy to przecież odrębna istota. Kiedy moja siostra Babbie urodziła swoje pierwsze, mówiła, że to istny cud, ale przy następnym zrozumiała, że coś więcej niż dziecko — to prawdziwy człowiek z krwi i kości, którego wydała na realny świat.

Tymczasem w głębi ogrodu nad zwisającą siatką trwało zagorzały pojedynk w badminton. Dennis objął Lisę ramieniem i obserwował grę, rozmawiając przy tym z księdzem Hensile'em i jeszcze jednym starszym mężczyzną, wspartym na kulach.

— To Ernie — wyjaśniła Delores. — Ma firmę, która produkuje parasole. A najbardziej znani są z parasoli golfowych.

Parasole, pomyślał z żalem. Przecież ten biedny facet nawet nie da rady utrzymać parasola.

— Wyglądają na bardzo szczęśliwych — zauważyła po chwili Delores.

— Jak myślisz, czy ona wie? — spytał Gordon. W nagłym podmuchu wiatru zaszeleściły liście.

— Chodzi ci o tamten wieczór? — Przynęła się bliżej i pouczającym tonem ciągnęła: — O tym raczej nie wie, ale zna Dennisa na tyle dobrze, że na pewno się domyśla. Zresztą jak mogłaby się nie domyślić? Zawsze był z niego niezły kobieciarz.

Gordon popatrzył na nich, na jego rodzinę, jego opokę i przystań. Gdyby nie oni, nie miałby nic. Ani nikogo. Ręka Dennisa leżała na ramieniu Lisy, a jej ramię ciasno obejmowało go w pół. Załóżmy, że Delores miała rację. Sam już nie wiedział, co jest gorsze: łatwość zachowywania pozorów czy ta sztuczna poufałość. *A przecież to wszystko zmienia. I wypacza.* Jego brat miał wszystko, a mimo to pragnął jeszcze więcej. Czyżby nie wiedział, czym to grozi? Czy nic go to nie obchodziło? Wystarczy jeden błędny ruch, jeden fałszywy krok. Gordon zacisnął dłonie na podłokietnikach. Miał ochotę już pójść.

— Gordonie? — Delores dotknęła jego nadgarstka. — Co ci jest?

— Nic.

— Masz taką smutną minę. Dobrze się czujesz?

Trzymając się za ręce, Dennis z Lisą podeszli do jej rodziców. Annie pokładała się na kolanach u dziadka, oparta głową o jego ramię. Kiedy pani Harrington skinęła dłonią, Dennis przysunął się bliżej. To, co szepta-

ła mu **do** ucha, sprawiło, że nagle pochwycił Annie, jakby natychmiast chciał z nią uciec. Ale wśród śmiechu dorosłych Annie wyswobodziła się z jego uścisku i znów rzuciła się w otwarte ramiona dziadka.

— Jak mógł to zrobić? Co się z nim dzieje? — dziwił się Gordon.

— Nic. A co niby ma się z nim dziać? — odparła Dolores, przyciskając rękę do jego ramienia. — Tyle tylko, że niektórzy mężczyźni potrzebują więcej niż inni.

— A czego jeszcze mogą potrzebować?

— W małżeństwie znajdują szacunek i poczucie bezpieczeństwa, ale oprócz tego mają jeszcze inne potrzeby. Szukają kogoś, kto ich zrozumie, odgadnie, czego im brak... Kogoś, kto nie oczekuje niczego w zamian. — Tu głos jej zadrżał. — Ale on nigdy nie odejdzie od Lisy, jeśli to masz na myśli.

Obserwował, jak paznokciem o grubej warstwie lawendowego lakieru zdrapuje z nogawki plamę po keczupie. *Brak jej logiki i zdrowego rozsądku*, pomyślał. Nawet jej życzliwość dla Jady Fossum wydawała się przypadkowa i lekkomyślna — taki tam zwyczajny dobry uczynek, pozbawiony szlachetności, bo nią nie kosztował, po prostu nie umiała odmawiać. Jej altruizm był zdrożny i powierzchowny. Nie robiła tego dla dobra dziewczyny ani dla niego, tylko dla siebie samej. Pomagając innym, zaspokajała własną przyjemność. W ten sposób zakradała się w życie innych ludzi, karmiła się ich pragnieniami i samotnością.

Delores jechała powoli. Ociągała się na skrzyżowaniach i po zmianie świateł na zielone przeczekiwała tak długo, że inni kierowcy zaczynali trąbić, zanim wreszcie ruszyła.

— Dziękuję ci — powiedział Gordon, otwierając drzwi, kiedy zatrzymała się pod jego domem.

— Ciekawe, jak się czuje ten psiak. Oby tylko Jada podała mu te leki. Doktor Loop kazał zużyć je wszystkie.

— No, to dzięki jeszcze raz. — Jedną nogą był już na chodniku.

— Jak myślisz, czy ona w ogóle czyta?

— A czemu nie? Jest chyba dość bystra.

— Nie w tym rzecz. Widziałam, jak próbowała przeczytać wskazówki na fiolce z lekami. Najpierw trzymała ją tak blisko... — Delores przyłożyła dłoń do twarzy. — A potem jeszcze bliżej. Coś mi się zdaje, że tej biedaczce przydałyby się okulary.

— Na to wygląda. No, ale w każdym razie...

— Jej matka powinna coś z tym zrobić. Czyjej naprawdę to nie obchodzi? Jada ma w sobie coś: jakąś iskrę, ogień, którego nie da się ugasić, choćby nie wiem co — ciągnęła Delores niemal gniewnym tonem.

— Sam nie wiem — odparł, przywołując wspomnienia. — Ale widziałem już ludzi, w których ogień zgasł. — Billy Leeman oberwał po głowie za to tylko, że nie porozmawiał z psychicznie chorym współwięźniem. A on po prostu chciał mieć święty spokój, żeby poczytać czasopiśma o samochodach wyścigowych i napisać listy do żony.

— Ale twój nie zgasł, prawda?

— Nigdy go w sobie nie miałem.

— Oczywiście, że miałeś. I nadal masz. Dlatego udało ci się to wszystko przetrwać.

— Nie, że mną tak nie było. Ja tylko czekałem, i nic więcej.

Zamarł, kiedy położyła mu rękę na dłoni. — Dobry z ciebie człowiek, Gordonie, naprawdę dobry. Mam nadzieję, że o tym wiesz. Bo trzeba, żebyś wiedział.

Jadę bolały nogi. Przeszła z jednego końca miasta na drugi, a teraz droga prowadziła pod górę, a ona niosła Leonarda na rękach. Ten przez całą drogę siadał uparcie i musiała ciągnąć za sznurek, żeby go zmusić, aby szedł. A kiedy w końcu zaczął skamleć, wzięła go na ręce. Wodziła wzrokiem po domach, szukając tego, w którym mieszkał jej wuj. Ostatni raz była tam jakieś parę lat temu na chrzcinach jego adoptowanego dziecka. Wredna ciotka Sue oskarżyła ją o kradzież łańcuszka z czternastokaratowego złota z kółkami i krzyżykami. Tak naprawdę wzięła go Marvella. A co miała zrobić Jada? Twierdziła uparcie, że to nie ona. Wtedy ciotka Sue wyciągnęła ją na werandę i, zionąc piwem i czosnkiem, syczała, ile stracili czasu i pieniędzy, że cały rok zmarnowali na opiekę nad nią, kiedy sąd odebrał ją matce, że wuj Bob zawsze próbował ją przekonać, że w gruncie rzeczy Jada to dobre dziecko, a tymczasem okazuje się, że jest taka sama jak inni Fossumowie — zepsuta do szpiku kości. Po tym wszystkim wuj Bob nie chciał już się nią zajmować, a ją to zabolowało, bo był jedynym krewnym, który w ogóle interesował się, co się z nią dzieje.

— O, to tutaj! — oznajmiła Leonardowi. Ciężarówka na podjeździe ozdobiona była napisem BOB. CZYSZCZENIE SZAMB, wymalowanym złotymi literami na zielonej cysternie. Stał tam dom-bliźniak, który wuj przebudował na budynek trzyrodzinny. Trawnik był ogrodzony białym drutem kolczastym, sięgającym do kostek, a po obu stronach krótkiej ścieżki sterczały szeregi miniaturowych flag amerykańskich. Matka

mówiła, że wuj kradł je z grobów. Jada postawiła Leonarda na ziemię, zwilżyła palce, usiłując zdjąć sierść psa ze swojej czarnej koszulki, po czym nacisnęła dzwonek.

Mieszkała u nich przez rok, kiedy po raz pierwszy zabrała ją opieka społeczna. Matka obiecała, że już nigdy jej do nich nie puści, bo dziewczyna wróciła „zepsuta do cna”. Bo płakała za każdym razem, kiedy zmoczyła majtki albo nie dostawała czegoś. Jadzie podobały się te słowa. Nie tylko oznaczały, że matka się o nią troszczy, ale i utwierdzały Jadę w przekonaniu, że naprawdę jest coś warta. Kiedy miała siedem lat, opieka społeczna znów zabrała ją od matki, przydzielając jej tym razem rodzinną zastępczą, bo ciotka i wujek nie zgodzili się jej przyjąć. Twierdzili, że odesłanie jej z powrotem do matki, która zniweczyła cały ich trud, było dla nich zbyt bolesne.

— Dzień dobry, wujku! — uśmiechnęła się, kiedy otworzył drzwi. Oboje mieli ten sam rudawy odcień włosów, tyle że jego były proste, jak przystało na rodowitego Anglika, a nie loczkowate jak jej fryzura.

— Jada — odezwał się beznamiętnym tonem.

Leonardo zaszczekał, a wuj wyszedł przed dom i zamknął za sobą drzwi.

— A to co? — Wskazał na psa, który skakał mu do nóg.

— To mój pies, Leonardo. Bardzo cię polubił!

— Nie powinnaś go tu przyprowadzać. Tiffany jest uczulona na łupież zwierzęcy. To mogłoby ją zabić — dodał z przerażeniem w oczach.

— O rany! Nie wiedziałam. A co to za Tiffany?

— Moja córka.

— A, rzeczywiście, całkiem zapomniałam. — To ten gruby, ośliniony niemowlak, który nawet nie był ich własnym dzieckiem. — A teraz pewnie ma już jakieś sześć czy siedem lat? — Zdawało jej się, że od ich ostatniego spotkania upłynął taki szmat czasu.

— Tiffany właśnie skończyła cztery lata, a dokładnie w zeszłym miesiącu — odparł, uśmiechając się blado.

— I pewnie jest śliczna, co?

— O, tak. Jest naprawdę śliczna.

— Słuchaj, gdybyście kiedyś potrzebowali opiekunki, to mam w tym spore doświadczenie — oznajmiła, szczerząc zęby w uśmiechu.

— A w ogóle to jak się tu dostałaś? — spytał i zerknął w stronę ulicy.

— Przyszłam pieszo, razem z Leonardo. Właściwie to ja szłam, bo ten mały, rozpieszczony szczeniak prawie przez całą drogę siedział u mnie na rękach.

— Przyszłaś pieszo? Dlaczego? Co się stało? Pewnie masz jakieś kłopoty, co?

— A skąd! Żadnych kłopotów — zaśmiała się. — Muszę tylko pożyczyć trochę pieniędzy, no i pomyślałam sobie, że...

— Ale dlaczego? Co się dzieje z twoją matką?

— Nic, tylko ma jakąś grypę czy coś w tym rodzaju. Wygląda na to, że złapała jakiegoś wirusa, no i...

— Przysłała cię do mnie po pieniądze?

— Nie! Ona nawet nie wie, że tu jestem. Po prostu pomyślałam sobie, że mógłbyś mi pomóc. Chodzi o to, że muszę jechać na szkolną wycieczkę i do jutra trzeba wpłacić pieniądze. Za bilety. Na autobus... Właśnie, chodzi o te bilety na autobus — przełknęła ślinę. — Będą kosztowały jakieś... pięćdziesiąt dolarów — dodała i zrobiła szybki krok naprzód. Może i lepiej, że to tak powiedziała, chociaż z jego twarzy łatwo było wyczytać, że raczej nie da jej ani centa, palant jeden!

— A dokąd ta wycieczka?

— Do oceanarium. — To było pierwsze, co przyszło jej na myśl. Tyle szkolnych wycieczek opuściła przez te wszystkie lata.

— Pięćdziesiąt dolarów za te parę kilometrów do Bostonu?

— Nie, nie do tego oceanarium, tylko do innego. Do tego w Nowym Jorku. — Jezu Chryste, nie wiedziała nawet, czy w ogóle mieli tam jakieś oceanarium. Pewnie nie, sądząc po rumieńcach na jego twarzy. Patrzył na nią takim wzrokiem, jakby lada chwila coś miało w nim eksplodować.

— No dobrze, posłuchaj, Jada. Tym razem jeszcze ci pomogę, ale najpierw masz mi powiedzieć całą prawdę. No więc dla kogo te pieniądze? Dla ciebie czy dla twojej matki?

— Przysięgam, że dla mnie!

— Bo jeśli dla niej, to znaczy, że pomagasz jej umrzeć. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

Nawet jej skinienie głową było zdradliwe.

— Czy ty wiesz, ile razy twoja matka mnie wykiwała? Ile razy kręciła, zmyślała, czy wręcz kradła z mojego domu różne rzeczy? Latem wyjechaliśmy na weekend nad wodę. I akurat w ten jeden głupi weekend ktoś włamał mi się do domu. Zginęła cała biżuteria Sue i jej mały kuchenny telewizor. Od razu wiedziałem, czyja to sprawka — dodał, zakładając ręce. — Dlatego proszę cię, powiedz mi prawdę. Na co ci te pieniądze?

— Na wycieczkę — powtórzyła. Gdyby się przyznała, że najedzenie, domyśliłyby się, że mieszka sama, i znów zawiadomiłby opiekę społeczną.

— Na pewno?

— No jasne! Mam nawet o tym książkę, poczytam ją sobie dziś wieczorem. Piszą tam o wielorybach, rekinach, łososiach, dorszach... — przerwała, bo omal nie wymknęło jej się słowo „wędzonych”.

— A jak się nazywa twój nauczyciel?

— Pan Ansaldo — wyjąkała, obserwując, jak wuj wsuwa rękę do kieszeni.

— Sam Ansaldo? To mój klient. Zeszłej jesieni wypompowałem mu szambo. A o której zaczynasz lekcje?

— Za piętnaście ósma.

— W takim razie przyjadę o wpół do ósmej. W ten sposób pieniądze się nie zmarnują i nie będę musiał się martwić, że trafią do Marvelli. Sam zapłacę twojemu nauczycielowi — dodał, otwierając drzwi. — No to do zobaczenia rano.

— Wujku! To wcale nie chodzi o żadną wycieczkę...

— A więc kłamałaś.

— A skąd! Potrzebuję pieniędzy, ale nie na wycieczkę. Z wycieczką to nieprawda. — W głowie kłębiło jej się od wymówek. Mogła powiedzieć, że na ubranie albo na buty, ale wtedy pewnie zaproponowałyby, że sam jej kupi. — To na lekarstwa — wyjaśniła.

— Na lekarstwa? Przecież dostajecie zasiłek zdrowotny.

Nie miała o tym pojęcia. — To dla niego. Dla Leonarda — wyjaśniła, wskazując na psa, który spał skulony przy jej nogach. — Strasznie się rozchorował i jedna bardzo miła pani zawiozła nas do Dearborn, do swojego znajomego weterynarza, a on dał nam lekarstwa, ona za nie zapłaciła, no i teraz muszę jej oddać...

— Jada! Gadasz zupełnie jak twoja matka, jak cała ta banda oszustów i krętaczy. Coś ci powiem. Byłem niewiele starszy od ciebie, kiedy poszedłem na swoje. I jeśli ty masz trochę oleju w głowie, to zrobisz to samo, do diabła! Znajdź sobie porządnych ludzi i takich się trzymaj.

— Ale to prawda, ja nie kłamię. Ona ma na imię Delores, to taka gruba pani. Naprawdę jestem jej winna pieniądze, przysięgam!

W oknie za jego plecami rozsunęły się zasłony i ktoś zastukał pięścią w szybę.

— No, czas na kolację. Twoja ciocia Sue woła mnie do domu. Proszę. — Wyciągnął rękę jak do pożegnania i poczuła na dłoni dotyk banknotu. — Tylko bądź grzeczna i nie kłam więcej.

Drzwi otworzyły się i zamknęły. Pikantny zapach sosu do spaghetti ścisnął jej żołądek aż do bólu. Kiedy się pochyliła, przed oczami zawirowały jej światełka towarzyszące przepięknej wizji fiołków, stokrotek i róż,

bulgocących w gęstym, czerwonym sosie. Wzięła Leonarda na ręce, by nie dać im satysfakcji, kiedy pies nie będzie chciał za nią pójść. — Cholerny sknera — mruknęła pod nosem. Dwa zakichane dolary. Facet ma własną firmę i klientów, a tyle tylko jej dał. To nie w porządku. Niech się wypcha, jeśli o nią chodzi. Niech wszyscy się wypchają, każdy po kolei, niech ich szlag. A w ogóle do kitu z tym całym zasranym światem. Kim on, do diabła, jest, że każe jej nie kłamać, skoro sam robi to bez przerwy — i on, i ta jego wiedźmowata żona, i inni, wszyscy porąbani dranie, których znała? — Głodna jestem — szepnęła Leonardowi do ucha. — Tak cholernie głodna, że chce mi się płakać. — I rozpłakała się. Łzy ciekły jej po policzkach, ale ona głośno się śmiała. Jakaś drobna staruszka szła w jej stronę, ciągnąc metalowy wózek z pakunkami. Na jej ręce wisiał szmaciany, brązowy portfel. Nic prostszego, prawda? Wystarczy chwycić go i zmykać jak najdalej. Nawet z psem na rękach zdążyłaby uciec, zanim staruszka połapałaby się, w czym rzecz. Była bliżej. Coraz bliżej. Przestraszony jej gwałtownym uściskiem, pies zaczął szczekać. — Przestań — syknęła, ściskając go jeszcze mocniej. — Zamknij się! No bądźże cicho! — Ale ujadanie stawało się coraz głośniejsze.

Staruszka uśmiechnęła się. — Cóż za ładny piesek. A jak ma na imię?

— Leonardo. — Do diaska, niepotrzebnie podała jego prawdziwe imię.

— Cześć, Leonardo — rzuciła śpiewnie staruszka i pogłaskała go po wygiętym karku. — Czy mogę dać mu psi smakołyk? Właśnie kupiłam. Trzymam je, bo syn czasem przywozi swoje psy. Takie małe, czarne pudelki. Zaraz, gdzie ja to mam. — Położyła portfel na ziemi i zaczęła przeszukiwać pakunki. Jada podeszła bliżej. Jej stopa dotykała portfela. — O, są tutaj! — Staruszka rozerwała pudełko i wyjęła małe psie ciastko. Leonardo szybko zgarnął je ozorem z jej dłoni. Dała mu jeszcze jedno, aż wreszcie zerknęła na Jadę i uśmiechnęła się słabo. — Co ci jest? Dlaczego tak na mnie patrzysz? Co się stało? — spytała, podniosła portfel i strzepnęła go.

— Nic, tylko samej chce mi się jeść.

— Och, przepraszam. Niepotrzebnie cię zatrzymywałam. No cóż... — Włożyła pudełko z powrotem do torby. — W takim razie możesz już iść. Miło było cię poznać. I ciebie też, Leonardo — zawołała, przyciągając wózek do krawężnika. Zatrzymała się, rozejrzała w obie strony i ruszyła przez ulicę.

Dzień dobry—rzucił Gordon znad palety kartonów płatków zbożowych, które przywiózł wózkiem na salę.

— Cześć — mruknęły jednocześnie Serena i June, zadzierając na jego widok głowy jak wystraszone ptaki.

Zapytał o Neila, bo ten nie wypisał zamówienia na jajka i kierowca z firmy Hensmen powiedział, że zajrzy jeszcze raz pod koniec dnia.

— Jest na zapleczu. Tnie kartony — oznajmiła Serena.

— Naprawdę? — Gordon wyszedł zza palety. — A po co? Przecież sam dałbym radę zrobić to na czas. — Po napadzie na sklep był tu kapitan straży pożarnej i zabronił Neilowi składować kartony przed sklepem, bo to wykroczenie, które zwiększa ryzyko pożaru i zagraża bezpieczeństwu. Przecież całe to miasto grozi pożarem i nieszczęściem, śmiał się wtedy gorzko Neil.

Obie kobiety wpatrywały się w niego w osłupieniu szeroko otwartymi oczami, jakby wstrzymując oddech przed zatrutym powietrzem. Przez całą drogę na zaplecze czuł na sobie ich wzrok. Neil był na zewnątrz i kładł złożone kartony na stertę obok ładowni. — Nie musisz tego robić, Neil. Sam się tym zajmę — rzucił, pędząc w dół po skrzypiących schodach. Od czasu napadu Neil prawie się do niego nie odzywał, a Gordon nijak nie umiał mu dogodzić, choćby nie wiadomo jak ciężko pracował.

Neil mruknął coś i wziął się za następny karton.

— Wejdz do środka, a ja dokończę resztę.

— Już prawie gotowe — rzucił, przecinając cztery narożniki kartonu.

— W takim razie zaniosę je na śmietnik — oznajmił Gordon i zaczął przesuwając pocięte kartony w głąb podwórza.

— Nie! Zostaw je! — warknął Neil.

— Ale przecież stąd ich nie zabiorą — zauważył Gordon. Kierowcy śmieciarek wywozili tylko to, co leżało w śmietniku.

— Może oddam je na makulaturę i zarobię parę centów.
— Niezła myśl — przyznał Gordon.
— Hm. — Neil wyprostował się i uśmiechnął. — No właśnie.
— Wiesz, mógłbyś zrobić coś jeszcze, na przykład oddać czerstwe pieczywo do schroniska dla bezdomnych. Przechodzę tamtędy i mógłbym im zanieść. — Ostatnio widział wieczorem, jak ciężarówka piekarni Lida przywiozła tam sporo chleba.

Neil cofnął podbródek. — A niby czemu miałbym to robić?

— Ot tak, z dobrego serca — odparł Gordon, wzruszając ramionami.
— A w dupie! Niech lepiej idą, kurwa, do roboty, tak jak my wszyscy! Tak jak ty i ja! Pieprzone leniwe sukinkoty. Po jaką cholere mam sobie wypruwać flaki po to, żeby przedłużyć takiemu życie o jeden dzień, hę? — wrzeszczał Gordonowi prosto w twarz. — A mnie to, kurwa, nikt nie pomoże! Gównu kogo obchodzi, czy żyję, czy już zdechłem! — W jednej chwili opamiętał się i znów posłał mu słaby, kliwy uśmiech. — Ale co z tego, do kurwy nędzy? Prawda, *Gloomis*?

Czuł każdy napięty mięsień. Odwrócił wzrok. Po tylu latach nadal sprawiało mu to ból.

— I wiesz co? — ciągnął Neil, wyjmując z kieszeni pudełko zapałek.
— Masz. Następnym razem, kiedy będziesz tędy przechodził, zrób im przysługę i podpal je.

Przez resztę dnia skutecznie unikał Neila, którego rozwścieczony głos rozbrzmiewał w całym sklepie. Łoił Leo za to, że ten zamówił połcie wołowiny, nie pytając go o zgodę.

— Przecież zawsze tyle zamawiamy! — Leo patrzył na niego jak na wariata.

— Od dziś najpierw pytasz mnie. Masz to ze mną uzgadniać, do cholery! — ryczał Neil.

O trzeciej w sklepie zrobiło się doczno. Gordon stał przy kasie Sereny i pakował towar kobiecie ze srebrnymi pierścionkami na wszystkich palcach. Kiedy Serena wybiła sumę, kobieta wyjęła z torebki białą koperkę i przeliczyła bony żywnościowe.

— Wiedziałam — mruknęła pod nosem Serena.

Kobieta podniosła wzrok. Serena nie przestawała się uśmiechać. Po wyjściu kobiety Gordonowi ulżyło.

— Ale biżuterii nie sprzeda — zauważyła June z sąsiedniej kasy.

— Broń Boże — westchnęła Serena.

Leo stał u boku June, która właśnie wbijała ceny, i znów skarżył się na Neila. Był blady i patrzył wybałuszonymi, ciemnymi oczami. — Mówię ci, to psychol. Pieprzony świr. Czuję, że stanie się coś złego — dodał ściszym głosem, gdy palce June biegały po klawiszach.

— Daj spokój, Leo. Neil jak to Neil... Po prostu taki już jest — rzuciła Serena, naliczając towar.

— Tak czy inaczej, dość mam jego szajbniętych bzdur. Jak sięgam pamięcią, zawsze zamawiałem towar bez jego zgody, a teraz nagle się wścieka? Mówię wam, że coś tu jest nie tak. Facetowi zaczyna niezłe odbijać. Coś się szykuje, same zobaczycie. Wspomnicie moje słowa.

Chwilę później, kiedy dumy się rozeszły, June wyszła odpocząć do biura, a Gordon poinformował Serenę, że idzie rozładować skrzynię z nabiątkiem i gdyby go potrzebowała, miał natychmiast wrócić.

— Czekaj — rzuciła, zanim zdążył się oddalić. — Chcę ci coś powiedzieć. Wiesz, kiedy zacząłeś tu pracować, pomyślałam sobie: skądś znam tego faceta. Twoje nazwisko też brzmiało znajomo. Loomis. Cholera, myślałam sobie, skąd ja je znam? — Przysunęła się bliżej. — Musiało ci być ciężko. Takie nieszczęście w tak młodym wieku.

Pokiwał głową. Na kilka dni przed śmiercią tamta dziewczyna skończyła dwadzieścia dwa lata.

— Pewnie myślałeś, że twoje życie jest skończone, co? I że po wyjściu na wolność będziesz już starym dziadem?

Zorientował się, że to jego miała na myśli.

— No i co? Masz dopiero czterdzieści parę lat. Całe życie jeszcze przed tobą. Jedyne, co cię ominęło, to ten cały wyścig szczurów. — Jej ochrypliwy chichot przeszył go na wskroś. Wysilił się na uśmiech.

Nazajutrz po pracy zatelefonował do Dennisa. Muszą trzymać się razem, bez względu na to, co się dzieje w życiu brata. Dennis nigdy go nie zawiodł i teraz wypadało odpłacić mu tym samym.

Nie było go w domu. — Powinien wrócić lada chwila — powiedziała Lisa. Dennis dzwonił z biura, mówił, że ma jeszcze parę spraw do załatwienia i że wpadnie do Gordona pomóc mu naprawić rurę w piwnicy. *Jaką rurę*, zastanawiał się. Lisa tymczasem ciągnęła dalej.

— Nie wiem, co tam kombinujecie — zaśmiała się. — A wystarczyłoby wezwać hydraulika, nie? Po co zgrywać macho? A może wspólne naprawianie rur to dowód waszej męskiej przyjaźni?

Parsknął cicho wymuszonym śmiechem.

— To już trzeci wieczór z rzędu! Czy ktoś tu czegoś nie rozumie?

No właśnie: ty, pomyślał ze smutkiem.

— Tak tylko żartowałam, Gordon. Właściwie to nawet się cieszę, że spędzacie razem tyle czasu. Ostatnio Dennis ma świetny humor. — Dodała jeszcze, jak bardzo ucieszyła się z jego wizyty na urodzinach Jimmy'ego i jak miło było zobaczyć Delores. — Cudowna z niej kobieta... O, byłabym zapomniała: ksiądz Hensile cieszy się, że mógł cię poznać, i bardzo chciałby się z tobą spotkać. To przesympatyczny człowiek — ciągnęła, bo Gordon nie odzywał się ani słowem.

— Na to wygląda.

— Myślę, że polubiłbyś jego towarzystwo.

— Jasne, ale teraz jestem trochę zajęty.

— To może w weekend? W sobotę? Moglibyśmy przecież...

— Nie, nie mogę. Muszę uporządkować ogród. Róże, liście... Pełno na nich czarnych plam.

To była niedziela. Gordon po raz kolejny wyjrzał przez okno: padało i nie było widać żadnych oznak przejaśnienia. Dennis miał przyjechać lada chwila. Rano Gordon skontaktował się z nim na domowy numer i oznajmił, że muszą porozmawiać. Wczoraj wieczorem dzwoniła Lisa, pytała o niego. Powiedział jej, że spędzi u Gordona prawie cały dzień. A że Dennis nie odzywał się aż do wieczora, to Lisa zadzwoniła do Gordona, informując, że jedzie z dziećmi do Lidy po pizzę i że zaraz u niego będą. Spytała tylko Gordona, jaką pizzę lubi najbardziej — wiejską, pepperoni czy anchois.

— Dennisa tu nie ma — oznajmił jej.

— A niech to! A mogło być tak miło. Szkoda, że nie pomyślałam o tym wcześniej. A o której wyszedł?

— Nie pamiętam.

— W takim razie kończę. Może dodzwonię się na telefon w samochodzie. — Kilka minut później zadzwoniła znowu. — Dziwna sprawa... Nie odbiera telefonu. Będę próbowała dalej i jeśli tylko uda mi się go złączyć, to zaraz do ciebie oddzwonię.

Oddzwoniła po dwóch godzinach. Było wpół do ósmej wieczorem, a Dennis wciąż się nie odzywał i zaczynała się niepokoić. Chciała wiedzieć, kiedy dokładnie wyszedł od Gordona, ale ten odparł, że nie wie. Nie był pewien, nie pamiętał. Nastała chwila ciszy. — Kłamiesz — orzekła wreszcie. — Pewnie wcale go tam nie było, co?

— Słuchaj, ja...

— No mów. Mów całą prawdę, Gordonie. Czy Dennis był dziś u ciebie? Tak czy nie?

— Nie wiem, co powiedzieć.

— W takim razie kłam dalej. Powiedz, że był u ciebie przez cały dzień, od samego rana, i że ciągle tam jest, ale właśnie robi coś ważnego i nie może podejść do telefonu. Tylko to masz mi powiedzieć, nic więcej nie chcę słyszeć...

Nie bardzo wiedział, czy Lisa się śmieje, czy płacze.

— To bez sensu. Jestem taka żałosna.

— Nie płacz. Proszę cię, Liso, tylko nie płacz. On na pewno zaraz wróci. Widocznie coś mu wypadło — pocieszał, ale płakała tak głośno, że nie był pewien, czy go słyszy.

Wycieraczki pracowały na pełnych obrotach, a mimo to deszcz zalewał przednią szybę. Dennis wcisnął w podłogę pedał gazu. Pędził równie szybko jak jego myśli. Lisa nie wierzyła mu, że wczoraj spotkał Charliego, dawnego kolegę ze studiów, pojechał z nim do Bostonu na kilka drinków, a w pubie spotkali jego kuzyna i oglądali razem mecz Soxów z Yankeesami. *Jaki Charlie?*

Ross.

I skąd ty niby go znasz, dopytywała się.

Ze stomatologii, uciał, wściekły, że został nakryty, że podważano jego słowa, kiedy to zawsze należało mu się zaufanie, wściekły, że Lisa wypytuje o szczegóły, że chce je zapisać, tylko po co? Jako dowody czy argumenty? Na co? Że nie kochał rodziny i nie starał się, jak mógł, nawet w zaistniałych okolicznościach? A do tego Jilly kazała mu wybrać: ona albo oni. Dla niego, rzecz jasna, to żaden wybór: nie chciał stracić Jilly i nie potrafił znieść myśli o rozstaniu z nią, ale rodzina była najważniejszą częścią jego życia, a zarazem najbardziej uciążliwą. Nie było takiej rzeczy, której by dla niej nie zrobił. Jedyne, czego nie mógł znieść, to ta presja — ta nieustanna presja, by dawać z siebie jeszcze więcej. Zawsze coś było nie tak. A przecież, wychodząc za niego, Lisa doskonale wiedziała, co w nim siedzi. Nigdy nie ukrywał, jaki jest naprawdę. Za to ona się zmieniła. Na co liczyła, epatując tą swoją mdłą pobożnością i bezustannym optymizmem? Czuł się tak, jakby żył pod jednym dachem z zakonnica na prozacu. Mdliło go za każdym razem, kiedy słyszał, że powinien tryskać optymizmem i miłować bliźniego. Dość już miał starań, by zrozumieć tęki innych ludzi i usprawiedliwiać ich słabości. Jak mogła oskarżać go o egoizm, skoro całe życie poświęcił innym, by zadośćuczynić za rodzin-

na hańbę i nieszczęście brata? I ciągle jeszcze to robił, nadal w tym tkwił, kisząc się w fetorze ułomności i porażek, z których składało się życie Gordona. Ale ona tego nie rozumiała. Nigdy.

Zatrzymał się przed domem z piskiem opon. Mokną pięścią uderzył w drzwi i walił raz po raz, coraz mocniej i mocniej. — Otwieraj! Otwieraj te cholerne drzwi, ty...!

— Cały jesteś mokry — zauważył Gordon swoim uległym, beznamiętnym tonem, ale zamiast wpuścić brata do domu, stał w uchylonych drzwiach w szarej, przyciasnej piżamie z kusymi rękawami, z materiału równie zmatowiałego jak jego oczy.

Dennis przepchnął się do środka. Miał ochotę wykrzyknąć bratu, że już raz to przeżył i że nie ma zamiaru znowu się w to pakować, żyć w świecie wywróconym do góry nogami, pod groźbą utraty wszystkiego, na czym mu zależy. Dobrze wiedział, że nic z tego nie będzie. A co on sobie myślał? Już dawno powinien był sprzedać ten dom i kazać bratu żyć na własną rękę, zamiast trwać w przekonaniu, że to jemu przyjdzie pozbierać rozsypane skrawki i poskładać je w jedną całość, bo przecież zawsze tak było, bo to jedyne, co potrafił zrobić.

— O co chodzi? Co się stało? — dociekał Gordon.

Opadł na kanapę, tak zamroczony, że nic nie odpowiedział. Nie był w stanie. Jego serce było jedną raną, która drgała, płonąc krwistoczerwonym ogniem w jego piersi, kiedy usiłował przyzwyczaić oczy do mroku obscurnego wnętrza.

— Może przynieść ci coś do picia? Szklanek wody? Piwo? Mam tam jeszcze jedno. — Wskazał w stronę kuchni. — Specjalnie dla ciebie. Jest zimne, prosto z lodówki. Mogę ci przynieść.

Dennis roześmiał się mimo woli. — Słuchaj, co ty tu w ogóle robisz? Czym się zajmujesz, kiedy wracasz do domu?

— Czytam, oglądam telewizję. To znaczy, czasami, jeśli jest coś ciekawego.

— A powiedz mi jedno: czy oprócz mnie ktoś jeszcze cię tu odwiedza?

— Nie — przyznał Gordon, mrugając powiekami.

— I tam jest twoje miejsce? — Wskazał na krzesło w kącie. — To tam zwykle siadasz, prawda? Stamtąd przynajmniej możesz jednocześnie obserwować ulicę i oglądać telewizję — zachichotał. — Okno Gordona na świat?

— Nie złość się na mnie, Dennis. Przecież nic złego nie zrobiłem.

— Jasne, to moja wina, tak?

- Tego nie powiedziałem.
- Pamiętasz tamte listy, które dostawałeś? Wieści z rodziny, głupawe dowcipy, wycinki z gazet? Słuchaj, czy ty kiedykolwiek pomyślałeś o tym, co się tu naprawdę działo? A może zdawało ci się, że wszystko było tak jak dawniej?
- Wiem, że było wam ciężko i strasznie się nacierpieliście — mruknął, wgapiony w podłogę, kiwając lekko głową w górę i w dół tak irytująco i bezmyślnie, że sprawiał wrażenie niedorozwiniętego. — Wiem, jak was to dotknęło.
- Aleja nie o tym! Ciagle tylko się nad sobą użalasza i myślisz, że cały świat kręci się wokół ciebie, prawda? Biedny Gordon, nic mu nigdy nie wychodzi. Słuchaj, męczenniku, kiedy ty lizałeś swoje rany, ja zostałem tu całkiem sam. Przez ciebie straciłem ojca i matkę i od tamtego dnia wszystko spadło na mnie. Na mnie! To ja musiałem spełniać ich oczekiwania.
- Przepraszam, Dennis.
- Co takiego? A na cholere mi twoje przeprosiny? — wybuchnął, zaciskając pięści tak mocno, że paznokcie wpijały mu się w skórę.
- A czego byś chciał? Co niby mam powiedzieć? — spytał powoli monotonnym głosem.
- Najlepiej nic. — Dennis zapomniał, jak nieczuły i otepiały potrafi być jego brat.
- Właściwie to nawet nie myślałem o tym, jak to wpłynęło na ciebie. Chodziło mi raczej o ojca i matkę. Ty zawsze byłeś szczęściarzem i wszystko ci się udawało.
- Dennisa przeszył dreszcz, a po chwili ogarnęło go przygnębienie. Poczuli się niedoceniony. Odwrócił wzrok, nie chciał tego słuchać. W ogóle nie miał ochoty ciągnąć tej rozmowy. Czego właściwie chciał? Nie miał pojęcia, nie wiedział nawet, po co tu przyjechał. Ale Gordon dalej coś głądził. Na dźwięk imienia Lisy Dennis podniósł głowę.
- Była załamana. Nie wiedziałem, co powiedzieć.
- Do diabła, co ty gadasz?
- Twarcz Gordona oblała się rumieńcem. Jego podbródek zadrżał niepewnie. — Nie... Nie powinieneś jej tego robić.
- Cholera, ty chyba sam nie wiesz, co mówisz. — Zerwał się z miejsca, gotowy do wyjścia. Wtedy zobaczył dwie białe, przeraźliwie wielkie tenisówki. Stały przy schodach, jedna obok drugiej noskami w stronę drzwi, jakby czekały. Na co? — zastanawiał się. Na to samo, na co on sam przez dwadzieścia pięć lat? Czyli na nic, przyznał w duchu, zupełnie na nic, jeśli to wszystko sprowadzało się do jedzenia, snu i budzenia się

w poczuciu krzywdy i niepowetowanej straty. Za czym tak tęsknił, skoro brata miał już przy sobie? To się musi wreszcie skończyć.

— Jesteś żonaty, Dennis. Powinieneś być wierny swojej żonie.

Dennis odwrócił się gwałtownie. — Posłuchaj, wyjaśnijmy sobie jedno. Jeśli nadal chcesz tu mieszkać i żyć po swojemu, to rób jak chcesz. Ale moja rodzina to moja sprawa, nie twoja. Jasne, Gordo?

Patrzyli na siebie tak długo, dopóki Gordon nie uciekł wzrokiem. Dennis chwycił za kłamię.

— To także moja rodzina — szepnął pod nosem Gordon.

Zwykle wystarczyło zamachnąć się kilka razy, żeby zarzucić worek ze śmieciami na plecy, ale dziś parę z nich ledwo dało się ruszyć. Przywieźli dwie skrzynie zgniłych melonów i dostawca wolał je wyrzucić, a kolejny transport był w drodze. Gordon chwycił worek w obie ręce i już miał go podnieść, kiedy z zapaćkanego brudem śmietnika dobiegł go głośny brzęk. Zamarł, nastawiając uszu. Za głośny jak na wiewiórkę czy szczura. To musiało być coś większego, na przykład szop. Albo skunks. Cofnął się 0 krok.

— Cholera! — zapiszczał jakiś cienki głos.

Gordon odłożył worek i zajrzał do środka, ale stos śmieci przysłaniał mu widok. Nagle odskoczył, bo nad głową przeleciał mu karton z pączkami. Przeszedł na drugi koniec śmietnika. Na ziemi, oprócz lśniących skorup i odłamków po starej kasie sklepowej, od lat przysypanej śmieciami, leżały spłaszczony bochen chleba i mocno wgnieciona puszka ananasów.

— Cholera! — rozległ się jęk bólu.

— A to co? Kto tam jest? — Przez chwilę słychać było tylko bzyczenie much i świszający, gniewny pisk wiewiórki z chudego, samotnego drzewa, jakby złościła się, że ktoś plądruje jej spiżarnię.

— Kto tam, pytałem?

Nadal żadnej odpowiedzi. W ładowni zaskrzypiały metalowe drzwi i zatrzasnęły się z hukiem. Neil taszczył kolejny stos kartonów, by po spłaszczeniu ustawić je przy ścianie. Widząc niepokój Gordona, przybiegł natychmiast. Tamten dał mu do zrozumienia, że ktoś siedzi w śmietniku. Neil skinął głową, zniknął pod ładownią, a po chwili wrócił z zardzewiałym kawałkiem rynn i zaczął uderzać nim w śmieci. — No wyłaźże, lumpie jeden! — krzyczał raz po raz. — Pieprzony menelu!

Na drugim końcu śmietnika pojawiła się głowa, a potem ręce i tułów i ktoś zatoczył się w bok, kiedy Neil rzucił się naprzód. — Matko święta, spójrzcie tylko — oznajmił, wyciągając zza zaśmieconych krzaków jakąś

Od tamtej chwili Jada wyraźnie unikała Gordona. Jeszcze tego samego dnia wieczorem przyszedł do jej domu, zadzwonił do drzwi, zapukał nieśmiało, po czym spieszenie odszedł i od tamtej pory już go nie widziała. Było wczesne popołudnie. Wracała do domu ze szkoły i znowu czuła głód. Ostatnio ciągle bolała ją żołądek i nawet po jedzeniu wydawał się pusty, bo wtedy zaczynała zastanawiać się, kiedy zje następny posiłek. Nie bardzo wiedziała, jaki dziś dzień. Miała tylko nadzieję, że nie piątek, bo przez cały weekend nie jadłaby ciepłego lunchu, na który zawsze tak bardzo czekała i głównie po to chodziła do szkoły. Dziś chciała nawet przemyścić dodatkowy kawałek pizzy dla Leonarda, ale złośliwa dyżurna kazała jej odłożyć go z powrotem.

Mijając drogerię, zajrzała przez szybę, by sprawdzić, kto stoi za ladą. *Oby tylko nie ten Hindus w turbanie, co ma oczy jak peryskopy.* Widział wszystko kątem oka, a parę dni temu prawie przytapał ją z ręką w paczce ciastek.

Całe szczęście! Przy kasie stała ta dziewczyna w pelerynie, która mówiła wszystkim, że jest czarownicą. Oparta o ladę, była tak zajęta piłowaniem swoich długich, czarnych paznokci, że nie zauważyła nawet, jak drobna Azjatka usiłuje przepchnąć wózek z dzieckiem przez bramkę antykradzieżową. Jada przytrzymała jej tę bramkę, po czym szybko ruszyła na tył sklepu, do półek z żywnością. Sięgnęła po paczkę herbatników, którą ostatnio otworzyła, wepchnęła do kieszeni garść markiz, powolnym krokiem udała się do półki z czasopismami i zaczęła wertować *Cosmopolitana*. Tymczasem kobieta z wózkiem, na którym leżała teraz gigantyczna paczka pieluch, przeszła między półkami, a kiedy stanęła już przy kasie, Jada cofnęła się w głąb sali, poupychała w kieszenie resztę herbatników, a puste opakowanie schowała za towar na półce. — Jakie śliczne maleństwo — rzuciła jeszcze, wychodząc ze sklepu.

— Bóg zapłać! — zawołała za nią kobieta.

— Sama sobie zapłać — mruknęła Jada, śmiejąc się pod nosem.

Połowę herbatników zjadła jeszcze w drodze do domu. Pośliniła palec, wsunęła je do kieszeni, zlizwała okruchy. Resztę herbatników zostawiła dla Leonarda. Wczoraj wieczorem, kiedy Inez zrobiła jej kanapkę z masłem orzechowym i dżemem, Jada chciała ją zjeść w łazience, ale Leonardo tak skamlał zza drzwi, że ruszyło ją sumienie i dała mu resztki. Powiedziała Inez, że jej matka na pewno się spóźni i że w międzyczasie chętnie by coś zjadła. Wiedziała, że Inez jej nie wierzy, ale przy niej takie kłamstwo uchodziło jej na sucho.

Jada nie pamiętała już, od jak dawna nie było matki. Którejś nocy przysłała do domu z jakimś chudym, długowłosym facetem o imieniu Tron. Jada wstała z poduszką i kocem, żeby mieli łóżko dla siebie, ale matka kazała jej zostać. Powiedziała, że ona i Tron zaraz wychodzą, ale najpierw muszą się naćpać. Facetowi ciekło z nosa, cuchnął papierosami i potem. — Cześć, psiaku — rzucił, a Leonardo wskoczył mu na kolana i polizał w szyję. Facet wyciął otwór w pustej butelce po napoju Mountain Dew, wsunął słomkę i zaczęli palić. Matka wciągała pierwsza.

Jada zasypiała się i budziła przy ich podniesionych od narkotycznego upojenia głosach, dobiegających z pokoju obok. Trochę bawiło ją to, że mówią do siebie jednocześnie. Tron powiedział, że już dawno wpisali go na listę oczekujących na odwyk w klinice w Lowell. I że czeka już cholernie długo. Niech jej da znać, kiedy do niego zadzwonią, mówiła Marvela. Ona już przez to przeszła i mu pomoże. Ona się na tym zna, sama już tam była, więc niech tylko da jej znać, a pojedzie z nim. Moralne wsparcie jest najważniejsze. Tak, moralne wsparcie. Tego właśnie jej brakowało. Moralnego wsparcia. Jasne, każdy tego potrzebuje. I choć Jada bardzo nie lubiła być sama w domu, to warto było się poświęcić, jeśli matka rzeczywiście trafiła na odwyk razem z Tronem.

Gdy tylko dotarła do domu, wskoczyła na kanapę i nakarmiła Leonarda herbatnikami. Dawała mu po jednym, a kiedy się skończyły, pies zanurzył pysk w jej kieszeni z nadzieją na następny kasek. Zamknęła oczy i śmiała się, a jego szorstki język lizał ją po twarzy. — Kocham cię. Tak bardzo cię kocham — mówiła, trzymając psa nieruchomo, by całować go tam, gdzie lubiła najbardziej — w ciepłe, pachnące wnętrze miękkiego ucha. Tym razem, kiedy mama wróci do domu, wszystko się odmieni. Jada przysięgła sobie być dla niej miłsza. Nie będzie już marudzić z byle powodu i zadba o czystość, żeby mama już nigdy nie wychodziła z mieszkania. Będzie się lepiej uczyć i przynosić dobre oceny, a wtedy mama znacznie chodzić na zebrania rodziców, a po powrocie powie Jadzie, jaka jest dumna ze swojej córki, a wszystko, co do tej pory mówiła, że zawsze nazywała ją „dzieckiem z pękniętej prezerwatywy”, to przez te narkotyki. Bo Jada zawsze była dla niej najpiękniejszym dzieckiem na świecie.

Na dźwięk głośnego stuknięcia drzwiczek zerwała się, przerażona. Było już po piątej. Widocznie zasnęła przed telewizorem. W obawie, że to znowu Ronnie Feaster będzie dobijał się do jej drzwi, zakradła się pod okno i wyjrzała znad parapetu. Przy krawężniku rzeziło stare auto syna Inez, z głośników dudniła jakaś muzyka, a przez ulicę człapał Gordon Loomis, niosąc dwie torby pełne zakupów. Ale Jada bała się wyjść. Ron-

nie Feaster i Polie byli tu już dwa razy w ciągu godziny, a ostatnim razem Ronnie krzyczał, że dość już ma czekania, aż Marvella odda mu dług. Jada zawołała, że matki nie ma w domu, ale Ronnie jej nie uwierzył. Kazał jej otworzyć drzwi, grożąc, że wyważy je kopniakiem. Wtedy z okna wyjrzała Inez i krzyknęła, żeby sobie poszedł, bo wezwie gliny. Kiedy Ronnie odjechał, Inez zeszła na dół i spytała Jadę, gdzie jest matka. — Śpi — skłamała dziewczyna, dodając, że matka choruje od paru dni. Sprawa była delikatna i Jada musiała uważać. Dałaby głowę, że to Inez powiadomiła ostatnio opiekę społeczną.

Kiedy Gordon wszedł na werandę, Jada otworzyła drzwi i przebiegła na drugą stronę ulicy. — Czekaj, Gordon! Gniewasz się na mnie czy co? — spytała z szerokim uśmiechem. Wyraźnie czuła, że jest na nią zły.

— Nie — odparł, patrząc bez mrugnienia, ale z jego twarzy, jak zwykle, trudno było cokolwiek wyczytać.

— Przepraszam cię za tamto. Ten twój szef rzucił się na mnie jak jakiś psychol, i co niby miałam robić? Powiedzieć, jasne, bierzcie mnie i aresztujcie, bo grzebałam w waszym zakichanym kiblu? Nic innego nie robiłam. Zresztą sam widziałeś, prawda? No i co się takiego stało? Chyba nic w tym złego?

— Ten śmietnik to własność prywatna. Nie powinnaś tam chodzić. A w ogóle tam jest strasznie brudno. A co, gdybyś natknęła się na jakieś szczury?

— Chyba nie myślisz, że boję się szczurów?

— A powinnaś, skoro łazisz po śmietnikach. Mogłyby cię pogryźć.

Zaśmiała się. — Szukałam tylko kości. Zwykłej, zakichanej kości dla Leonarda.

— A jak twoja rana? Chyba czymś ją posmarowałaś, dajmy na to, jakąś maścią?

— A, o to ci chodzi. — Zakasała rękaw i polizała strup. — Widzisz? Niczego więcej nie potrzeba. Ślina to taki naturalny środek bakteriobójczy... Ej, masz tam coś dobrego? — Wokół unosił się jakiś apetyczny zapach. Obwąchała torby. Jabłka. A może banany. Znowu poczuła w żołądku drganie i pulsujący ucisk. Najgorsze było to, że po jedzeniu wydawał się jeszcze bardziej pusty niż przed, a mimo to nie mogła się powstrzymać. Gordon mocno ścisnął torby, jakby przeczuwał, że dziewczyna lada chwila coś pochwyti. Niby taki straszny z niego facet, a przecież on tylko robi swoje, zupełnie tak jak ona. Ona nie bała się go tak jak inni. Kiedy pracował w ogrodzie, Inez nie ruszała się z domu, a stara pani Jukas chodziła od okna do okna i obserwowała go, tak jak w tej chwili. W zeszłym

tygodniu, kiedy Polie próbował wciągnąć Jadę do wozu, ostrzegła go, że Gordon patrzy z okna. Dodała jeszcze, że Gordon kazał jej dać mu znać, gdyby ktoś ją zaczepiał. Wtedy Polie rzucił jakąś sprośną uwagę na temat jej i Gordona i od razu ją puścił.

— Proszę. — Podał jej brzoskwinię. — Małe, ale dojrzałe. I bardzo słodkie.

Zjadła tak szybko, że nawet nie poczuła smaku, a pestkę trzymała w ustach i ssała jak cukierka.

— Pewnie jesteś głodna, co?

— Żebyś wiedział! Zresztą najwyższy czas na kolację, nie? — Wyjęła z ust pestkę i zaczęła wygryzać włókna z rowków w skorupie, ale przestała, gdy zauważyła, jak on na nią patrzy. Jakby z obrzydzeniem. Włożyła pestkę do kieszeni.

— A co tam w szkole?

— Jak to w szkole — wzruszyła ramionami.

— Masz dobre oceny?

W odpowiedzi zaśmiała się tylko.

— Szkoła to ważna rzecz, wiesz chyba?

— A ty lubiłeś chodzić do szkoły?

— Starałem się polubić — odparł, bijąc się z myślami.

— I pewnie zmagaleś się z całą bandą kretynów, co?

Roześmiał się. — Powiedzmy, że coś w tym rodzaju. Ale za to w starszym wieku nawet polubiłem szkołę. Sporo się wtedy nauczyłem.

— U nas był kiedyś taki jeden nauczyciel, pan Cesster. Któregoś razu naniósł mi parę książek do poczytania. Jedną nawet próbowałam, to był „Domek na prerii”! Dajcie spokój! Co to w ogóle ma być? Jakaś pieprzona koza ucieka, bo Laura zapomniała zaryglować furtkę, a mnie to wcale nie rusza. Myślę sobie, i co z tego? Przecież na świecie dzieją się dużo gorsze rzeczy. Dlaczego o nich nikt nie pisze?

— Może ty powinnaś. Spróbujesz?

— Jasne. Tere-fere. Słuchaj, dostanę jeszcze jedną? — Tym razem jadała powoli. Brzoskwinią była tak pyszna, że aż ścisnęła w żołądku. — A jak tam twoja znajoma? No wiesz, ta pani, która pomogła Leonardowi. — Mogła tylko nie wspominać o tym, że matki Jady nie ma w domu, ale ogólnie była w porządku.

— Delores?

— Właśnie. Co tam u niej? — spytała, przeżuując małe kawałki brzoskwini.

— Wszystko dobrze.

— Lubię ją, to bardzo miła pani. I też kocha psy, ale tam, gdzie mieszka, nie wolno trzymać psów — ciągnęła między jednym kęsem a drugim. — Kiedy była w moim wieku, to też miała psa, ale ugryzł jej siostrę i trzeba było się go pozbyć. Mówiła, że jej tato gdzieś go wywiózł, a ona płakała po nim przez całe dwa tygodnie, no i wszyscy się na nią wściekali, że bardziej żał jej tego głupiego psa niż własnej siostry. Ale to nieprawda, ona bardzo kochała siostrę. A ten pies to był Bogu ducha winny — dodała, rozkładając ręce. — Bo pies to tylko pies! Wiadomo.

— Pamiętam tego psa! Wszyscy mieli przed nim stracha — uśmiechnął się, ale zaraz posmutniał.

— No więc jak to jest? Chodźcie ze sobą?

— Tylko się przyjaźnimy.

Nie uwierzyła mu. Sama widziała, jak Delores na niego patrzy, wymawiając jego imię. — Dasz mi znać, kiedy znowu przyjdzie? Bardzo lubię z nią rozmawiać — dodała, chowając do kieszeni drugą pestkę.

W tyle trzasnęły drzwi auta i Gordon znowu spuścił wzrok. Z wozu wysiadł Feaster, a Polie siedział za kierownicą. Feaster zawołał do Jady, żeby do niego podeszła. Tylko na chwilę. Musi z nią porozmawiać. Nie ma mowy, krzyknęła. Jego gniew wyraźnie sprawia jej przyjemność. Powiedziała, że z daleka świetnie go słyszy.

— Chodzi o twoją matkę! — zawołał.

Popędziła natychmiast, myśląc, że widział się z jej matką.

— Słuchaj — ryknął. — Lepiej mi powiedz, gdzie ona jest.

— Wyjechała i nie ma jej w domu.

— Przestań, nie chcę więcej tego słyszeć.

— Ale usłyszałeś — wzruszyła ramionami i zaczęła oddalać się krokiem na tyle dumnym, na ile pozwalały jej drżące kolana.

— Ty mała suko — syknął i odwrócił ją twarzą do siebie. — Myślisz, że to zabawne? — Zdawało się, że jego palce lada chwila złamią jej rękę, a mimo to nie płakała. — No proszę! — warknął, ściskając jeszcze mocniej. — No proszę! Śmieję się teraz do woli.

Śmiała się. Zarzuciła głową w tył i śmiała się dalej, tak głośno, jak tylko mogła, a ten drań ścisnął jej ramię tak, jakby zaraz miał pogruchotać jej kości.

— Puść ją — odezwał się wtedy Gordon, ale Feaster ścisnął jeszcze mocniej. — Mówię ci, żebyś ją puścił.

— Chrzań się! Lepiej się odpieprz, słyszysz! — ostrzegł go Feaster. Gordon stał na schodach z torbami w ręce. — To nie ma nic wspólnego z tobą. To jest biznes! Mój zakichany biznes, słyszysz? — syknął jej prosto

w twarz. — Słyszysz, co mówię? Lepiej mów, gdzie ona jest, bo inaczej wyrznię ci jej imię na tej głupiej gębie.

Odcharknęła głęboko i splunęła mu prosto w twarz, a on trzasnął ją grzbietem dłoni jak płaską deską z taką siłą, że jej zęby wbiły się w język, a oczy jakby zapadły się w głębi czaszki. W żółtawym świetle majaczyły ich fioletowe sylwetki i ledwo było słychać ich groźne głosy, kiedy zatoczyła się w cierniste krzewy. Krew ciekła jej po podbródku.

Uderzyłeś ją!

Kurwa, zejdź mi z drogi!

Przecież to jeszcze dziecko!

Spadaj, mówię...

Ona jest jeszcze dzieckiem!

Niczego się tam nie nauczyłeś, co?

Był środek nocy. Znowu wstała sprawdzić, skąd dochodzi hałas. Tym razem skuliła się na kanapie i patrzyła w okno. Na zewnątrz ktoś się kręcił. Usłyszała kroki, a potem zgrzyt, jakby ktoś włókł po chodniku coś ciężkiego. Zakradła się do okna i przycisnęła nos do szyby, ale nikogo tam nie było, a na ulicy stało tylko kilka zaparkowanych pustych aut. Pewnie jakieś zwierzę — szop albo skunks — wywleka śmieci wokół domu. Tak, to na pewno to. Tylko dlaczego Leonardo śpi smacznie w swoim legowisku, zamiast szczekać wniebogłosy? Ulicą nadjechał jakiś wóz. Navigator. W środku siedział tylko Polie. Zaparkował na rogu, wysiadł i spiesznie ruszył chodnikiem, niosąc u boku jakiś pakunek. Jada pobiegła do sypialni, otworzyła okno, chwyciła Leonarda i zsunęła się po pochyłym dachu szopy. Przytrzymując psu pysk, by nie szczekał, przemknęła obok domu. Polie stał na jej werandzie i stękając, usiłował wyważyć łomem drzwi. Jada popędziła przez ulicę i ścieżką koło domu Gordona dobiegła do tylnej werandy. Dzwonka nie było. Nacisnęła klamkę, ale drzwi były zamknięte na klucz. Zauważyła na piętrze otwarte okno, podniosła mały kamyk i rzuciła, celując w siatkę, ale kamyk uderzył w ścianę domu. — Gordon! Ej, Gordon! — powtarzała szeptem, po czym rzuciła następny kamyk.

— A co ty tu robisz? — spytał, wyglądając z ciemności.

— Ciii — szepnęła, próbując uciszyć Leonarda.

— Czego chcesz?

— Polie włamuje mi się do domu.

Otworzył tylne drzwi. Weszła za nim do ciemnego salonu i oboje obserwowali przez okno Poliego, który właśnie usiłował wyważyć okno. Gordon dociekał, czyjej matka jest w domu. Odparła, że nie.

- Mam wezwać policję? — spytał.
- Jezu, tylko nie to! Chybaby mnie zabił.
- To co teraz zrobisz?
- Zostanę tutaj, ale tylko do rana — dodała szybko. — A potem wrócę z Leonardem do domu.
- Mowy nie ma! Nie możesz tu zostać!
- Proszę cię — szepnęła błagalnie.
- A o co właściwie chodzi? Czego on chce? Po co to robi?
- Feaster mu kazał. Twierdzi, że moja mama wisi mu kasę, i chce ją odzyskać...
- Popatrz tylko — rzucił Gordon.

Frontowe drzwi otworzyły się i na ulicę wyszli mąż Inez z synem Carlosem, przysadzistym kierowcą ciężarówki. Obaj mężczyźni zaczęli wrzeszczeć na Poliego. Ten krzyknął coś w odpowiedzi i szybkim krokiem ruszył do wozu. W sąsiednich oknach zapaliły się światła. Mężczyźni stali przed domem, dopóki Polie nie odjechał.

— Tu był pokój mojego brata — oznajmił Gordon i zapalił światło. Pokój był mały i ładny. Stało tam łóżko, komoda, biurko i krzesło. Ściany były tego samego beżowego koloru co pościel i zasłony. Gdy tylko zamknął drzwi, podziękowała mu jeszcze raz i skuliła się w czystej pościeli, tuląc mocno Leonarda.

Długo leżała i nie mogła zasnąć, a kiedy usłyszała chrapanie, wzięła Leonarda, na palcach wymknęła się schodami na dół, do kuchni, i otworzyła lodówkę. Nigdy nie widziała tyle jedzenia. Leżały tam prawie same resztki: trochę fasoli szparagowej, pół skrzydełka kurczaka i porcja tłuczonych ziemniaków. Dziewczyna stała w świetle otwartej lodówki i wyjadała jedzenie z misek, wszystkiego po trochu, a potem próbowała z powrotem szczelnie owinąć je folią. Chciało jej się pić, ale gdyby użyła szklanki, to Gordon od razu by się domyślił, że myszkowała po kuchni, dlatego wypła mleko prosto z butelki, po czym zakradła się po schodach na górę, do łóżka. Leonardo ułożył się tyłem do niej i spał smacznie. Ale ona nie chciała zasnąć. Gdyby zasnęła, obudziłaby się dopiero rano, a wtedy musiałaby opuścić ten czysty, spokojny dom. Nie była pewna, jak długo jeszcze wytrzyma sama. Może kilka dni. Ostatnio, kiedy trafiła do rodziny zastępczej, matka spędziła na odwyku pięć miesięcy. Niedługo będzie musiała zatrudnić się na stałe u Feastera i sprzedawać kokę, a wtedy Polie dopadnie ją i dostanie to, czego chce. Może trzeba zamknąć oczy, wstrzymać oddech i pozwolić mu, skoro taka z niego świnią. — Kochasz mnie? — szepnęła, a Leonardo zaskomlał cicho przez sen. Za oknem

wiatr poruszył liśćmi drzew. Na dźwięk skrzypnięcia Jada usiadła i nasłuchiwała. Czy to drzwi? Nie, to pewnie tylko konar starego drzewa. Bez względu na to, co działo się za oknem, tutaj była bezpieczna.

Gdyby tylko Gordon pozwolił jej zostać. Nie sprawiałaby żadnych kłopotów. Sprzątałaby dom i codziennie czekała z obiadem, aż Gordon wróci z pracy. W weekendy przyrządzałiby coś z grilla, a potem może poszli do kina, a ludzie mówiliby: no, no, patrzcie tylko na tę Jadę Fossum, jak ładnie się opiekuje tym biednym Gordonem...

Przez drzwi widziała tylko ogromną wypukłość pod białą kołdrą. Podeszła na palcach do jego łóżka. Spał z poduszką na głowie, tak jak ona. Uniosła kołdrę i wślizgnęła się pod nią, przysuwając się powoli coraz bliżej, aż poczuła dotyk ciepła jego ciała. Jęknął, zamruczał coś i odwrócił się, a ona czuła na karku jego urywany oddech. Wtuliła się w jego długi, wygięty tors. Znow coś zamruczał i zamarła na chwilę, ale uśmiechnęła się, kiedy wzdychając, dmuchnął jej w szyję. Leżała bez ruchu, a on przysunął się bliżej i podciągnął nogi do jej ud. — A po co przyszli? — mruknął cicho. Poczowała na udach jego sztywność, sięgnęła ręką do tyłu, żeby go dotknąć, a on przycisnął dłoń do jej brzucha. Nagle drgnął i zerwał się tak gwałtownie, że omal nie spadła z wąskiego łóżka.

— Co się dzieje? Co ty robisz? Skąd się tu wzięłaś?

— Byłam się.

— Wyjdź stąd! Wynos się stąd! — krzyczał.

— Usłyszałam jakiś hałas i się przestraszyłam.

— Wynos się stąd, i to natychmiast! No idź już! Idź! Proszę cię, idź sobie!

— Przepraszam. Tylko błagam, nie gniewaj się — prosiła, ale on stał w kącie, ciasno owinięty kołdrą, i nalegał, żeby sobie poszła. Do pokoju wbiegł Leonardo i zaczął na niego szczekać. — Idę na dół — oznajmiła i wzięła psa na ręce. — Zaczekam tam, na kanapie. Tylko do rana. Proszę cię.

O świcie na niebie zebrały się gęste, mlecznobiałe chmury. W pokoju zapanaował wilgotny, przenikliwy chłód. Może to był tylko sen. W duchu dobrze wiedział, że nie. Przysiadł na krawędzi łóżka, bojąc się zejść na dół, by jej tam nie zastać. Spuścił wzrok i popatrzył na swoje dłonie. Przecież to mała dziewczynka, jeszcze dziecko. W środku czuł pustkę i odrętwienie.

Ksiądz opowiadał o swojej rodzinie. Był najmłodszym z sześciu braci, a jego matka przed ślubem była tancerką na Broadwayu. Prawdziwa balerina, śmiał się, wspominając jej coroczne występy w kościelnym musicalu. — Drobna, niepozorna kobietka, ale wystarczyło, że wyszła na scenę. O rany, to dopiero była Ethel Merman.

— Naprawdę? — mruknął Gordon któryś raz z kolei. *No i co z tego? Po co w ogóle tu przyszedł?* A teraz ksiądz Hensile opowiadał o tym, jak w wieku siedemnastu lat odkrył swoje powołanie, kiedy jako ratownik na Salisbury Beach ocalił od utonięcia kobietę. I właśnie wtedy, podczas morderczej próby dociągnięcia jej do brzegu, zrozumiał, że aby przetrwać, człowiekowi potrzebna jest pomoc.

Jasne: jeden ocalił, drugi odebrał życie kobiecie. Trzeba było nie otwierać drzwi. Wokół taka okropna pustka, ciągnął ksiądz. *A potrzeby są ogromne.* Na przykład, żeby zorganizować młodzieży wolny czas. Parafia miała wynajmując salę gimnastyczną do gry w siatkówkę i koszykówkę, a dzięki odpowiednim datkom zakupiłaby też sprzęt do siłowni. *A więc chodzi mu o pieniądze.* W powietrzu unosił się zapach nie umytych naczyń z kolacji. Gordon chciał tylko posprzątać w kuchni i obejrzeć telewizję. I być sam. Zerknął przez okno, zauważył Jadę Fossum, która właśnie przechodziła przez ulicę, i zarumienił się ze wstydu. Dziś rano, gdy tylko wzeszło słońce, kazał jej szybko wyjść. *I tylko mi tu nie przychodź. Nie teraz.*

Ksiądz Hensile spojrzął na zegarek. — No, to ja już pójdę. Nie chcę ci zajmować więcej czasu — powiedział. W tej samej chwili zadzwieczał dzwonek.

— Czy mogę wejść? Tylko na chwilę? — spytała przez uchylone drzwi.

— Nie ma mowy. Nie jestem sam, mam gościa — odparł ściszym głosem.

— Chcę ci tylko coś wyjaśnić.

— Nie, nie trzeba. Nic nie musisz wyjaśniać. — Wyszedł przed dom i zamknął za sobą drzwi.

— A właśnie, że tak. Po prostu strasznie się bałam. Zdawało mi się, że słyszę...

— Nie! Zmykaj stąd! Idź już, dobrze?

— Ale to prawda. Gniewasz się na mnie...

— Nie, nie gniewam się.

— Nie? A wyglądasz, jakbyś był naprawdę wściekły.

— Nie jestem wściekły. W ogóle nic mi nie jest. A teraz muszę wracać, więc proszę cię, idź już sobie, dobrze?

Łypnęła badawczo wzrokiem na zamknięte drzwi. — Masz może pożyczyc parę dolców?

Miał tylko sześć dolarów w dwóch banknotach, piątkę i jednego dolara.

— To daj mi piąta. Oddam ci, obiecuję — rzuciła i pobiegła ulicą.

— To moja sąsiadka — wyjaśnił, wchodząc do domu. — Mieszka po drugiej stronie ulicy i ma dopiero trzynaście lat.

— Słuchaj, ja właśnie w tej sprawie — zaczął nagle ksiądz.

— Nie rozumiem. — Głos mu zadrżał.

— Chodzi o to nowe centrum dla młodzieży. Pomyślałem sobie, że mógłbyś nam czasem trochę pomóc. Nie obowiązuje nas żaden stały harmonogram zajęć. Cały urok w tym, że pracujemy w dowolnych godzinach. Tak jak wypadnie. Możesz przyjść, kiedy masz ochotę.

— Dziękuję, ale raczej nie. Chyba bym się nie sprawdził — dodał, czując na sobie wzrok księdza.

— Nie musisz się w niczym sprawdzać. Wystarczy tylko, że tam będziesz.

— Nie, nie. Nie mogę.

— Twoja pomoc bardzo by mi się przydała. Boję się, że trochę się zapędziłem — orzekł, uśmiechając się słabo.

— Przepraszam, ale nie mogę.

— A można wiedzieć, dlaczego? — Patrzył mu prosto w oczy uporczywym wzrokiem.

— Przykro mi, proszę księdza. Nie chciałbym być niegrzeczny, ale naprawdę nie mogę. Mam tu sporo pracy. Jestem bardzo zajęty. Nie mam za wiele wolnego czasu i po pracy zwykle przychodzę zmęczony. A poza tym... Szczerze mówiąc, wolę być sam. Tego mi teraz trzeba.

— W takim razie wybac mi, że się trochę zasiedziałem. — Ksiądz podniósł się z miejsca.

— Nie o to chodzi. Mam na myśli ogólnie, na co dzień. Po tym wszystkim... Po tylu latach.

— No tak, rzeczywiście — odparł ksiądz i przysunął się bliżej. — Byłeś wtedy jeszcze młody. Taki szmat czasu. Ciężko odpokutowałeś za ten wypadek.

— To nie był wypadek.

— Nie? — zdziwił się ksiądz, nie ruszając się z miejsca. — Przecież nie zrobiłeś tego naumyślnie.

— A czy to ważne?

— Tak czy inaczej, ciężko za to odpokutowałeś — podsumował ksiądz jak przy znaku przebaczenia po spowiedzi.

Gordon oniemiał ze zdziwienia. *Najcięższą pokutą jest to, że ja żyję, a ona nie.*

— No cóż, mam nadzieję, Gordonie, że po tylu latach udało ci się jakoś z tym pogodzić — dodał ksiądz na widok jego zszokowanej miny. — No, bo jak inaczej z tym żyć?

Nijak, pomyślał, patrząc mu prosto w oczy.

— Trzeba spojrzeć na to z innej strony. Musisz zrozumieć, że niektórych zdarzeń nie da się wyjaśnić po ludzku. A za to, co wtedy zrobiłeś czy też nie, nie będziesz potępiony, a przynajmniej nie na zawsze — dodał niepewnie. — W każdym razie nie w oczach Boga.

Gordon wziął głęboki oddech i odwrócił wzrok. Oto jego misja: ocalić grzesznika od potępienia. Czuł, że przywiera kurczowo do obtłuczonego parapetu. Ksiądz tymczasem próbował zwabić go z powrotem do pokoju.

— Nie wierzysz, że Bóg ci przebaczył?

— Prawdę mówiąc, proszę księdza, jakoś się nad tym nie zastanawiam.

— A dlaczego?

— Bo... bo to nie ma nic do rzeczy! — rzucił gniewnie, zaskoczony, a zarazem ośmielony swoim oschłym tonem.

— Ale dlaczego? Bo sam nie potrafisz sobie wybaczyć?

— Dlatego, że nieważne, co robię i myślę, bo i tak nie wrócę życia jej ani jej dziecku — wyrzucił jednym tchem, pozwalając sobie na wybuch złości. Podobnie jak inni, ksiądz uważał, że to on powinien sobie wybaczyć i nadać sens temu, co zrobił. — I nic już nie wypełni tej pustki. Zreztą mnie się nawet nie godzi próbować.

Ale ksiądz tylko kręcił głową. — Myślisz, że Bóg chce, żebyś cierpiał na okrągło, żebyś ciągle się zadreczę?

— On niczego ode mnie nie chce — odparł, nie chcąc nawet wymawiać jego imienia.

— A właśnie, że chce! — Chęć czynienia dobra wylewała się z niego jak gorący miód. — Nie jesteś tutaj bez powodu, Gordonie. Tak jak my wszyscy.

— A więc, inaczej mówiąc, wszystko dzieje się poza naszą kontrolą.

— Nie, nie! To nie tak. Chodzi o to, że skoro przyszliśmy na świat, jesteśmy ludźmi i tu żyjemy, to wolno nam dociekać, dlaczego tak jest.

W tej chwili Gordon bardziej niż kiedykolwiek zapragnął, żeby ten mały, wścibski człowieczek już sobie poszedł. Miał go serdecznie dość i nie chciało mu się już dłużej udawać. Podniósł się z miejsca. — Jestem wykończony i muszę jeszcze pozmywać naczynia...

Grubo po północy pies rozszczękał się i zeskoczył z łóżka. Jada poszła za nim chwiejnym krokiem do drzwi frontowych i sennym wzrokiem patrzyła na poruszającą się klamkę.

— Mamo!

Matka minęła ją i weszła do łazienki. — Tylko nie zapalaj światła — rzuciła, siadając na muszli.

— Mamo, gdzie byłaś? Siedziałam tu sama tak długo.

— Trzeba było zadzwonić do wujka Boba, tak jak ci kazałam.

— Wcale nie. Powiedziałaś tylko, że zaraz wrócisz.

— Chyba nie muszę ci wszystkiego mówić, co? Sama powinnaś była wiedzieć. Mogłaś do niego zadzwonić.

— Mamy odłączony telefon.

— To trzeba było zadzwonić od Inez.

— Nie chciałam, żeby się dowiedziała, że cię nie ma.

Z łazienki dobiegł dźwięk splukiwanej wody. — O rany! — westchnęła na widok matki wzdygającej się od światła. Była mocno opalona, ale tak chuda, że jej ręce i nogi sterczały jak patyki. Miała rozjaśnione włosy, splecione w cienkie warkoczki. — Fajnie wyglądasz, mamo. Twoje włosy... Podobają mi się. Kto ci je tak zapłócił? — spytała, drepcząc za nią do sypialni. Usiadła na łóżku ze skrzyżowanymi nogami i przytuliła Leonarda, a matka rozbierała się po ciemku.

— Jakiś facet. Zresztą sama nie wiem, tam wszyscy to robią. Chodzą po plaży i plotą warkoczki. Masz, dotknij — matka wyciągnęła jeden, ale Jada ani drgnęła. — Zakładają nawet maleńkie koraliki.

— Byłaś na plaży? — spytała, zmęczona, ale całkiem już rozbudzona. A więc matka nie pojechała na żaden odwyk i wcale nie przestała

brać. Widocznie dopiero co wzięła działkę i była na haju. Leonardo wyrwał się do niej, ale Jada mocno go trzymała.

— Tyle ich było, że nie pamiętam nawet ich nazw. Całe mnóstwo łodzi, stały jedna przy drugiej tak ciasno, że prawie zasłaniały wodę. Wystarczy po nich przejść, żeby się dostać do portu — ciągnęła, a po chwili położyła się na łóżku. — Żadna filozofia — dodała, ziewając.

— Mieszkałaś na łodzi?

— To był jacht. Szkoda, że go nie widziałaś, dziecko. Nie uwierzyłaśbyś własnym oczom — odparła i pogłaskała Leonarda, któremu udało się wyrwać z zaborecznych objęć Jady. Leżał matce na piersi, skamlać i próbując polizać jej twarz, ale matka przytrzymała mu pysk dłonią. — Mają tam nawet swojego prywatnego szefa kuchni...

W oknie zadzwoniła szyba i Jada usiadła sztywno. — A to kto?

— On się jakoś tam nazywa z francuskiego. Taki kucharz, który gotuje różne wymyślne potrawy.

— Mamo, Feaster domaga się pieniędzy. Mówi, że kupiłaś u niego sporo towaru, a potem związałaś.

— Czy ty zawsze musisz wszystko zepsuć? — jęknęła matka. — Cholera jasna, szkoda, że tam nie zostałam. Wróciłam tylko ze względu na ciebie, a ty nawet nie chcesz mnie posłuchać.

— Słucham cię, mamo, tylko...

— A wiesz, co jadłam codziennie na kolację?

— Nie wiem, ale Feaster naprawdę się wściekł, mamo. Okropnie się bałam. On i Polie mnie straszili...

— Powiedziałam, że nie chcę o nich rozmawiać, jasne? — przerwała i potrząsnęła Jadę za ramię, a po chwili ciągnęła ciepłym, dziewczęcym głosem. — No, zgadnij, co jadłam codziennie na kolację?

— Nie wiem. — *Byłam tu i tam, jadłam to i owo, a jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Może oprócz tego, że mówi do mnie*, pomyślała Jada.

— Podpowiem ci: to jedna z twoich ulubionych potraw.

Jada wzdrygnęła się. Bez Leonarda u boku czuła się nieswojo, jakby ktoś oderwał jej płat skóry.

— No pomyśl, Jada! Co wieczór zawsze powtarzałam wszystkim to samo: to jest to, co moje dziecko uwielbia najbardziej na świecie. No dobrze, powiem ci: koktajl z krewetek!

— A co z Tronem? On też tam był?

— Tron? — Tu nastała chwila ciszy. — Och, nie, jego tam nie było.

— Nie? Nie pojechał na odwyk?

— Hę?

— Miał jechać na odwyk, a ty z nim.
— Ten Tron to gnojek.
— Ale dla mnie był miły.
— To zwykły ćpun, dziecinko... — Głos jej zamarł. — Z takiego nic już nie będzie — dodała i już po chwili zaczęła chrapać.

Jada wyciągnęła ręce do psa, ale ten warknął na nią w ciemności. — Leonardo — szepnęła, urażona.

— Jezu Chryste — jęknęła matka i chrapała dalej.

Jada zakryła twarz dłońmi, powstrzymując łzy. Wymknęła się z łóżka i po omacku znalazła na podłodze torebkę matki. Poszła do łazienki i otworzyła ją. Dwie dwudziestki i pełno jednodolarowych banknotów. Na dnie torebki, oprócz ziarenek piasku, zapałek, spinek do włosów, żetonów z kasyna, pogniecionych skrętów i kilku papierosów, leżały trzy owinięte w celofan kamienie. Wzięła jeden, przytrzymała nad muszlą i uśmiechając się, wypuściła go z ręki, ale gdy rozległ się plusk, ogarnęła ją panika. Wyjęła szybko kamień, wytarła w koszulę i odłożyła na miejsce.

Wślizgnęła się z powrotem do łóżka i zapadła w przerywany sen. Przytuliła się do Leonarda tak mocno, jak tylko mogła, uważając, by nie obudzić matki.

Następnego ranka Jada siedziała na taborecie w Donut Shop i jadła śniadanie. Po bułce cebulowej z topionym serem zamówiła jeszcze pączka z dżemem w polewie czekoladowej i następną kawę. W lustrze za bufetem było widać odbicie idących ulicą trzech chłopców: Thurmana i jego dwóch kolegów, Colta i Raya. Jada podbiegła do drzwi. — Ej, Thurman! Może chcecie pączka, chłopaki? Ja stawiam — krzyknęła, machając dwudziestodolarówką. Chłopcy wcisnęli się do środka i usiedli przy barze, umyślnie zostawiając obok niej jeden wolny taboret. Każdy z nich zamówił po dwa pączki, które spałaszowali bez słowa, a kiedy już zjedli, zeskoczyli z krzesel i ruszyli do wyjścia.

— Czekajcie! — zawołała Jada i wybiegła za nimi, ale oni popędzili jeszcze szybciej. — Czekajcie! A chcecie papierosa? No! Mam tu parę cameli...

Wiatr raz po raz gasił płomień zapałki, więc skęcili w alejkę przy drogerii i zwartym kołem otoczyli ogień. Pierwszy zapalił Thurman. Jada była ostatnia i głęboko zaciągnęła się dymem. Poszli dalej, zanosząc się od śmiechu z opowieści Thurmana. Opowiadał im o swojej stukniętej siostrze, która przy rozwożeniu gazet zawsze myliła adresy, ale nikt jakoś jej nie czepiał, bo tylko dzięki niej prasa docierała do ludzi w tak zawszo-

nej okolicy. Czasem, kiedy Thurman potrzebował paru centów, szedł do jej klientów i pobierał opłaty. A potem ona robiła to samo, a klienci twierdzili, że już zapłacili. Dziewczyna była skołowana i uznała, że widocznie zapomniała sobie zapisać.

— O kim mówisz? O Peggy Triker? To twoja siostra? — zagadnęła Jada, przyspieszając, by dotrzymać im kroku. Peggy ważyła grubo ponad sto kilo i rozwodziła gazety na ogromnym trójkątowym rowerze. — Jest niezłe wyrosnięta. Jak może być twoją siostrą, skoro jest taka... — Stara, miała na końcu języka, kiedy nagle Thurman przycisnął ją do zaparkowanego auta.

— Przystopuj, szkarado jedna, bo wybije ci te krzywe zęby tak, że się nimi udławisz.

— Proszę bardzo, tylko spróbuj — stęknęła i roześmiała się, choć tak naprawdę była wściekła. Próbowwała kopnąć go kolanem, ale on przysunął głowę do jej twarzy i przyparł ją biodrami. Dwaj pozostali przyglądali się temu z lubieżną uciechą.

— Ej! Co tam robisz? Zostaw ją w spokoju! — zawołał jakiś mężczyzna.

Nie zważając na niego, Thurman ścisnął ją za nadgarstki, jakby chciał je połamać.

— Thurman! Powiedziałem, żebyś ją zostawił. Odejdź od niej! — Nad chłopakiem zamajaczył cień Gordona. Gapiąc się w niego szklanym wzrokiem, Thurman zrobił krok w tył, chichocząc nerwowo. Gordon zerknął na dziewczynę, po czym ruszył dalej ulicą.

— Stój! Zaczekaj chwilę — zawołała i pobiegła za nim, ale on przyspieszył kroku. — Nie gniewaj się — jęknęła błagalnie. Dogoniła go i spiesznie truchtała obok.

Speszony, Gordon rozejrzał się dookoła.

— Proszę cię, proszę, nie gniewaj się już... Przecież ci mówiłam... Powiedziałam ci, co się stało... Ja się zwyczajnie bałam... — Chwyliła go za ramię. — I to wszystko. Wcale nie chciałam się do ciebie przystawiać.

Stał w miejscu z rozdziawionymi ustami.

— Naprawdę nie chciałam!

— Słuchaj, śpieszę się do pracy.

— W takim razie chrzań się — szepnęła, kiedy oddalił się szybkim krokiem. Miał ten sam wyraz twarzy, co wuj Bob, kiedy nie dał się jej nabrać i uważał ją za jakąś paskudną wywłokę.

Ray owinął rękę koszulą i czekał, a Thurman rozcinał nożem siatkę przy tylnym wejściu. Odblokował dodatkowe drzwi i trzonkiem noża postukał w szybę, aż popękało szkło, a wtedy Ray wypchnął je, sięgnął do środka i nacisnął na klamkę. — Kiedy wraca do domu? — spytał, gdy wbiegli do kuchni i zaczęli szukać pieniędzy, narkotyków i alkoholu. Thurman nie bardzo wiedział. Nie pracował już w sklepie, odkąd ten kretyn go wylał.

Jada nawet nie próbowała ich powstrzymać. Była mocno naćpana, a poza tym Gordon sam się o to prosił. Mógł przynajmniej jej wysłuchać. Miło było przechadzać się po piętrze jak pani domu. Wszędzie panował porządek, w szafach, w szufladach, w komodzie czysta bielizna, ułożona w słopek. Jada przyjrzała się zdjęciu na stoliku nocnym i od razu poczuła niechęć do dwojga dzieci w idiotycznych pozach, ze sztucznym uśmiechem na twarzy. Dziewczynka siedziała tuż przed chłopcem.

Z parteru dochodził trzask otwieranych i zamykanych drzwi. Ktoś włączył telewizor, a po chwili Colt i Ray zaczęli nawoływać Thurmana. Na górze czuć było słodkawy zapach trawki. Thurman kupił ją po drodze za resztę jej pieniędzy. Jada przysiadła na łóżku i otworzyła szufladę przy stoliku nocnym, ale nie znalazła nic szczególnego. Leżała tam tylko wizytówka jakiegoś biura nieruchomości ze zdjęciem kobiety, pod którym napisane było Jilly Cross. I Biblia. A to dopiero świętoszek, to dlatego pewnie tak się spietrał wtedy w nocy. Na oko jednak nie nosiła żadnych śladów czytania. Było tam jeszcze parę książek w tanich wydaniach, które też wyglądały na nowe, i spis numerów telefonicznych. W głębi szuflady leżały dwie złożone strony z jakiegoś czasopisma. Jada rozłożyła je i zachichotała. Były to zdjęcia nagich kobiet, tak przetarte na zagięciach, że miejscami widać było maleńkie dziurki. Jadę ukłuła zazdrość. Obie kobiety były blondynkami, a Miss Lipca miała wydatne wargi i długie, szczupłe nogi, tak jak ona. Za to daleko jej było do Miss Maja z nadnaturalnej wielkości białymi piersiami, które nawet nie były prawdziwe — od razu poznała. Stanęła bokiem do lustra, z ręką na pośladku jak Miss Maja, związując koszulę ciasno na plecach. Nic z tego, chyba że kiedyś zafunduje sobie silikonowy biust. Tymczasem na dole rozległ się trzask, a po nim następny, i jeszcze jeden. Jada rzuciła zdjęcie i zbiegła do kuchni, gdzie Ray i Colt wyrzucali na podłogę całą zawartość szafek.

— Przestańcie! Przestańcie natychmiast! — krzyknęła w drzwiach.
— Co wy wyprawiacie?

Ray przerwał, by dopić ostatni łyk znalezionej piwa, po czym otworzył wąską szafkę przy drzwiach do piwnicy i wyrzucił z niej zmywaki na kiju, miotły i kilka puszek i pudełek. Colt tymczasem poszedł po swoje pi-

wo, dokończył je donośnym, spazmatycznym beknięciem i stłukł butelkę w zlewie. Z piwnicy wyszedł Thurman. — Jezu Chryste... — zaśmiał się, odgarniając butami porozrzucane szczątki i skorupy.

— Powiedz im, żeby przestali! — krzyknęła, ale Thurman minął ją i poszedł do salonu.

— Cholera, nic więcej tu nie ma? — rzucił, wskazując na magneto-wid na podłodze przy drzwiach wejściowych. — A tam, na górze? — dodał i ruszył po schodach, przeskakując po dwa stopnie.

Ray i Colt wybiegli z kuchni i popędzili za nim.

Słyszała kroki na górze. Przekleństwa. Coś upadło ciężko na podłogę, a oni wylili ze śmiechu. Jadzie zrobiło się niedobrze.

— Patrzcie, jakie zajebiste cycki — zapiszczał Ray.

— Gliny! Gliny! — wrzasnęła i wbiegła po schodach. — Jada tu, sama widziałam — krzyknęła w drzwiach.

Materac zsunął się do połowy z łóżka i Thurman stoczył się z niego, gdy wylądował w przedpokoju. Potykając się, Colt i Ray też zbiegli po schodach i znikli za tylnymi drzwiami.

Jada wyrównała krzesła i postawiła stół na miejsce, ale reszta była w fatalnym stanie. Podłoga lepiła się od dżemu i syropu z rozbitych słoików i błyszczała od tłustego sosu do sałatek. Tyle zmarnowanego jedzenia. Opłukała w zlewie ręce. Wszystkie paznokcie były poobgryzane do żywego mięsa, oprócz tego przy małym palcu. Przynajmniej wyhodowała ten jeden. Nieźle jak na początek. Ale teraz już będzie inaczej, obiecywała sobie, wybiegając tylnymi drzwiami. Przedarła się przez labirynt małych ogródków aż do Green Street i powolnym krokiem ruszyła do domu.

Kiedy wślizgnęła się do łóżka obok Leonarda, matka uniosła lekko głowę znad poduszki.

— Gdzie byłeś?

— W szkole.

— Chcę moją torebkę. Idź i przynieś mi ją.

— Zaczekaj trochę, mamó. Przekonaj się, jak długo wytrzymasz.

— A po co?

— Mogłabyś chociaż spróbować. Dla mnie, mamó.

— Dobrze, w takim razie spróbuję.

Jada wtuliła roześmianą buzię w ciepły kark Leonarda.

Tymczasem matka usiadła na łóżku i wybuchła złowrogim śmiechem. — No proszę! Sama widzisz, że próbowałam. A teraz idź i przynieś mi tę cholerną torebkę. No, już!

Delores poprosiła go przez telefon, żeby wracając z pracy, pomógł jej przenieść parę rzeczy, bo w najbliższy weekend definitywnie zamyka ją sklep. Gordon właśnie się tam wybierał, ale najpierw musiał kupić znaczki.

Wiele szyldów w mieście było po hiszpańsku, a budynki, które utkwiły mu w pamięci, to ogromne, granitowe banki, które, opustoszałe, wydawały się jakby mniejsze. Poczcie wybudowano jeszcze wtedy, gdy chodził do szkoły średniej, ale po latach budynek zmatowiał od brudu i niszczał jak pozostałe. Gordon spiesznie wszedł do środka i stanął na końcu kolejki, ale po chwili uświadomił sobie, że wszyscy ci ludzie ustawili się przed drzwiami do biura paszportowego. Stanął obok i kupił osiem znaczków na rachunki.

Wychodząc z poczty, natknął się na kobietę w żółtym żakiecie i czerwonych okularach przeciwsłonecznych.

— O, Gordon! Prawie cię poznałam przez ten pośpiech — rzuciła Jilly Cross i uśmiechnęła się niepewnie.

— Kupiłem tylko parę znaczków—wyjąkał, obserwując swoje odbicie w jej okularach, idiotycznie umocowanych na pasku.

— A ja muszę przedłużyć ważność paszportu — oznajmiła i przycisnęła torbę mocniej do ramienia.

— Strasznie długa kolejka. Też tam stałem. To znaczy, przez pomyłkę.

— Wiem, powinnam była przyjść wcześniej, ale ostatnio jestem taka zajęta. Biegam tu i tam jak idiotka. — Zerknęła w stronę drzwi. — Chcę się wybrać na wycieczkę. Na Bermudy.

— To lepiej już idź, bo kolejka coraz dłuższa. — Twarz mu płonęła. Czy naprawdę to powiedział? Na jej policzkach perliły się kropelki potu. Czy zauważyła, jak mocno wali mu serce? Nagle zaparło mu dech.

— Tak, masz rację... A co tam u ciebie?

— Dobrze, dziękuję. — Przerwał, ale nic nie odpowiedziała, więc czuł się w obowiązku mówić dalej. — Po prostu uwielbiam taką pogodę — dodał. Wyraźnie zaniepokojona, popatrzyła na niego tak, jakby chciała mu coś powiedzieć. — Zwłaszcza po tych ulewach. Tak przyjemnie jest wyjść z domu na słońce. I róże są takie... piękne.

Uśmiechnęła się z ulgą. — Wiesz, pewnie cię to nie zainteresuje, ale przedwczoraj dostałam świetne nowe oferty i od razu pomyślałam o tobie. — Zdjęła okulary. — Mieszkanie na parterze, z własnym małym... no wiesz, ja to nazywam podwórzem, ale można tam coś posadzić. I wyjść

posiedzieć przed domem, kiedy tylko ma się ochotę. Bo wiesz, Dennis ma rację. Przecież to nie ma sensu, żebyś dłużej mieszkał w Collerton. Tyle tam rozbojów... i on się o ciebie martwi, Gordonie.

Czuł, jak coś w nim wzbiera — wściekłość, oburzenie, żądza. Taka łądna i miła, a robi coś tak potwornego.

— To mu nie daje spokoju. On ciągle...

— Nie powinnaś się spotykać z moim bratem — usłyszał swój głos. — To nie w porządku. On ma żonę, to bardzo miła kobieta. I dzieci... Jest naprawdę szczęśliwym mężem. I ojcem. Czy to się nie liczy? Czy nic cię to nie obchodzi? To chyba ważne, prawda?

— No wiesz, ja... — wyjąkała. Odwróciła się i prawie biegiem ruszyła na parking.

Drzwi frontowe były zaryglowane. Pewnie Delores już wyszła. Widocznie poradziła sobie bez niego. Po prostu poszła sobie. Czuł złość, a zarazem dziwną, rozkoszną ulgę. Wreszcie zadziałał, słowa same wyrwały się z jego głębi, wypełniając go prawdziwą energią i poczuciem wielkości, jakby nagie nie było takiej rzeczy, której nie mógłby dokonać. Zapukał jeszcze raz i przez szybę w drzwiach dostrzegł biegnącą z zaplecza Delores.

— Nie myślałam, że przyjdiesz! — powiedziała i wpuściła go do środka. Miała na sobie czarne spodnie i czarną bluzę, a włosy związała z tyłu, odsłaniając twarz. Bez makijażu wyglądała młodziej. Taką właśnie ją pamiętała ze szkoły średniej, świeżą i atrakcyjną. — Właśnie miałam wynieść do samochodu parę rzeczy. Resztę zostawię Albertowi — oznajmiła, wskazując na stos kartonów. — Wszystko już popakowane i oznaczone — westchnęła. — Nie wiem, co z tym zrobić. Już więcej do niego nie zadzwonię, mowy nie ma. Zostawiłam mu kilka wiadomości. No ale skoro sam tego chce... — Przysłoniła usta, jakby chciała wziąć głęboki oddech. — Jedenaście lat. Aż trudno uwierzyć. Przepraszam, Gordon, zaraz wracam. — I popędziła do biura.

Zaczekał chwilę, po czym wszedł do magazynu. Drzwi do łazienki były zamknięte, a w środku lała się woda. Delores wyszła z małym, okrągłym lusterkiem w dłoni. Oprawka była ozdobiona muszlami. W jej zaczerwienionych oczach pojawił się błysk. — Sama to zrobiłam — oznajmiła, siląc się na uśmiech.

— Naprawdę?

Skinęła głową. — Sama zbierałam te muszle. Kiedyś w lipcu co roku spędzaliśmy z siostrą i jej mężem dwa tygodnie nad morzem. Każdego

ranka chadzałam z siostrzenicami na długie spacery i zbierałyśmy muszle, a w deszczowe dni robiłyśmy z nich różne rzeczy.

— To bardzo ładnie.

— Proszę, weź to. — Wyciągnęła dłoń.

— Och, nie...

— Proszę cię, weź. Bardzo cię proszę. — Wyglądała tak, jakby lada chwila miała zalać się łzami. Podziękował jej.

Przenieśli do auta jej rzeczy — dywanik, mały stolik i kilka kartonów. Zamknęła sklep, szybko wsiadła za kierownicę i gwałtownie wycofała wóz do ulicy. — Rany, jak to dobrze, że tu jesteś — wyznała, gdy zatrzymali się na czerwonym świetle. — Gdyby nie ty, to już dawno podjechałabym tam. — Wskazała na drogerię. — I kupiłabym paczkę papierosów. Zawsze tak jest. Za każdym razem, kiedy rzucam palenie, świat wali mi się na głowę i ani się obejrzę, jak zapalam następnego.

— Ale to i tak lepsze niż wódka, nie?

Spojrzała na niego i zaśmiała się. — Sama nie wiem. Jedno i drugie chyba tak samo szkodzi, a zwłaszcza przy takim samopoczuciu.

Zdziwił się, kiedy skręciła w Clover Street. — Nie pomóc ci zanieść tego do mieszkania?

Pokręciła głową. — Nie trzeba.

— Żaden problem. I tak miałem to zrobić. — Poklepał dłonią ząteczkę, zrolowany dywan, którego koniec wystawał między ich fotelami. — Przecież sama nie będziesz tego wnosić.

— Wcale nie mam ochoty. Zresztą nawet mi to niepotrzebne. Nie chcę tylko dać mu satysfakcji, żeby sam to wyrzucił. — Zatrzymała wóz przed jego domem. — Przepraszam, że nie jestem dziś tą wesołą Delores. — Znużenie przyćmiło jej wymuszony uśmiech.

— W porządku, rozumiem. Jesteś nie w sosie i po prostu wolisz być sama.

— A skąd. Nie cierpię być sama. To coś, czego nie znoszę najbardziej. Czasem ogarnia mnie strach i myślę, a co będzie, jeśli się przewrócę i złamię nogę albo zemdleję? Nikt by się nawet nie dowiedział, a zresztą i kogo by to obchodziło. Może najwyżej gazeciarza albo listonosza! — Próbowała się zaśmiać i szybko zakryła twarz, powstrzymując łzy.

Gordon nie wiedział, na czym zawiesić wzrok i co powiedzieć. Najbardziej przerażała go absurdalność jej uczuć i łatwość wchodzenia w intymne kontakty, która była jak jakaś choroba zakaźna, wymagająca stałej troski. Bił się z myślami, byleby tylko zmienić temat. Najakolwiek inny. — A tak, listonosz. Właśnie coś mi się przypomniało — zaczął sztywno,

gdy ona sapała i pociągała nosem z dłońmi przy twarzy. — Wychodziłem dziś z poczty i spotkałem tę kobietę, która była wtedy z Dennisem. Głupia sprawa. Nie widziałem jej od tamtego wieczoru w zajeździe. I nagle wszystko jakby samo ze mnie zeszło. Wcześniej nawet się nie zastanawiałem, co powiedzieć. A jej chyba mowę odebrało... — Wtedy stało się coś dziwnego. Niby nie miał ochoty jej o tym opowiadać, czuł, że nie powinien, a mimo to karmił się każdym słowem i delektował samym wspomnieniem tak, jakby dowodził słuszności swojego postępowania, wierząc głęboko, że ten czyn przerósł jego oczekiwania.

— Nie bardzo rozumiem — powiedziała, ocierając oczy. — Gordonie... — Dotknęła jego ramienia. — Naprawdę to powiedziałeś? Zabroniłeś jej widywać się z twoim bratem?

— Nie miałem wyjścia. Dennis i Lisa to moja rodzina. Nie mogę tak po prostu stać i nic, tylko patrzeć. To nie w porządku. Zresztą ty zrobiłaś to samo, wiesz przecież.

— Nie, tego akurat bym nie zrobiła.

— Jasne, że tak. Sam widziałem, jak troszczysz się o innych. Zawsze im pomagasz, tak jak wtedy, z Jada. Zostawiłaś wszystko i od razu przyjechałaś.

— To dlatego, że byłeś strasznie zdenerwowany.

— Zawsze obchodzą cię inni — orzekł, schylając się nad nią. Chciał pomóc, przekonać ją, ile jest warta.

— To ty mnie obchodzisz.

Oczami wyobraźni ujrzał siebie jako dziecko wchodzące do stawu coraz głębiej, zmuszone stąpać po wodzie. W panicznym strachu zdał sobie sprawę, że jego zatrzymanie się oznacza koniec. — A mnie obchodzi mój brat i jego rodzina, Lisa, Jimmy i Annie.

Wyciągnęła rękę i poklepała go po dłoni. — Oczywiście, Gordonie. Niech się nawet Dennis pogniewa, ale ty przynajmniej masz pewność, że postąpiłeś słusznie. A to chyba najważniejsze, prawda?

Skinał głową.

— Kto wie, może to coś zmieni. Może wreszcie z nim zerwie ta... jak jej tam...

— Jilly — wtrącił, rozkoszując się ciepłym brzmieniem jej imienia.

Delores dotknęła jego ręki i pogłaskała ją opuszkami palców. — No właśnie, i wtedy wszystko wróci do normy — dodała i musnęła wargami jego policzek. Przez chwilę powieki zdawały mu się tak ciężkie, że nie miał siły ich otworzyć.

Ruszyła za nim ścieżką. Oświadczyła, że musi skorzystać z łazienki. Nie wierzył jej, ale, o dziwo, wcale mu to nie przeszkadzało. Po raz pierwszy od dłuższego czasu nie miał ochoty być sam.

Gdy tylko otworzył drzwi, uderzył go ostry zapach musztardy, a potem octu. Niechcący trącił coś stopą. Magnetowid. Dlaczego stoi na podłodze? Gordon zapalił światło.

— O Chryste — jęknął na widok zdemolowanej kuchni. To, co zobaczył, jeszcze do niego nie docierało.

— A to ci dopiero męty — szepnęła Delores, podchodząc bliżej.

Popatrzył na nią. — Jakie męty? — spytał. Sprawiała wrażenie, że wie, co tu się stało. Przyglądał się, jak spośród szczątków wyjmuje ocalały spodek.

— Trzymałeś tam pieniądze?

— Nie.

— A więc o to chodziło. Pewnie nieźle się wściekli.

— Ale kto?

— Chyba jacyś smarkacze — odparła, podnosząc nienaruszony talerz. I miskę. I jeszcze jeden spodek. — Miejmy tylko nadzieję, że ubezpieczenie pokryje szkody. Lepiej zawiadom policję.

— Mowy nie ma.

— Słuchaj, jeśli tego nie zgłosisz...

— Nie. Po prostu nie chcę.

— W takim razie rozejrzyj się jeszcze po domu, sprawdź inne pokoje.

Ale Gordon ani drgnął, tylko stał i gapił się, osłupiały z niedowierzania.

— No, to bierzmy się za sprzątanie — rzuciła, stąpając ostrożnie po zabrudzonej podłodze. Postawiła na miejsce kosz na śmieci i zaczęła wrzucać do niego większe odłamki szkła. Po chwili kosz był już pełen, a wtedy wyjęła z niego plastikowy worek, związała go i postawiła w tyle przy schodach. Wzięła pusty worek i zaczęła napełniać go szkłem. — A niech to! — mruknęła nagle, wkładając do ust rozcięty kciuk, i poprosiła o bandaż. To wyrwało go z osłupienia i szybko popędził na górę po bandaż z apteczki. Wtedy rozdzwonił się telefon. Gordon zbiegł na dół, ale Delores zdążyła już chwycić za słuchawkę. Z przerażeniem zauważył, jak łatwo wkracza w jego prywatność. Gdyby wrócił do domu sam, przynajmniej nikt nie dowiedziałby się o tym, co tu zaszło. Absolutnie nikt. Delores nie miała pojęcia, jak bardzo się bał.

— Nie do wiary... No tak, cała kuchnia. Wszystko, nawet lodówka — mówiła, otwierając drzwi. Puste półki straszły ciemnością. Zajrzała do

środku. — Nawet żarówkę sdukli... A skąd! Nie wiem. Ale zdaje się, że było ich więcej... — Słuchając, patrzyła na Gordona. W pewnej chwili rozchyliła usta. — Naprawdę? W takim razie proszę to powiedzieć Gordonowi. Właśnie tu jest. To twoja sąsiadka, pani Jukas — oznajmiła i podała mu słuchawkę.

Usłyszał skrzekliwy głos staruszki: — Od razu wiedziałam, że coś jest nie tak. Widziałam, jak stamtąd wybiegała. Pędziła jak szalona waszymi tylnymi schodami i poleciała prosto do McGint/ego. Powinnam była wezwać policję, ale ta dziewczyna już nie raz u ciebie bywała. Wpuszczałeś ją nawet do domu! Nie bardzo wiedziałam, co się dzieje. Co on wyprawia, myślałam sobie. Otwiera jej drzwi jak na zawołanie.

Nie przerywając jej, oddał słuchawkę Delores, a sam wziął miotłę i zaczął zgarniać na szufelkę ogórki wymieszane ze stłuczonym szkłem i połyskujące kawałki mięsa.

Delores przekonywała staruszkę, że to na pewno nie była Jada i tylko zbieg okoliczności sprawił, że biegła wtedy przez podwórze. Ale Gordon wiedział swoje. To musiała być Jada. Tak mu się odpłaciła za tamten wieczór.

Pod nogami chlupotały mu keczup i sos czekoladowy. Delores uprzątnęła bałagan na tyle, żeby dało się otworzyć tylne drzwi. Cichutkie cykanie świerszczy zagłuszał brzęk zamiatanego szkła.

— Zaraz będzie po wszystkim — oznajmiła.

Odpowiedział jej spojrzeniem.

— Słuchaj, Gordon, to nie mogła być Jada. Ona cię uwielbia, za nic w świecie by ci tego nie zrobiła — orzekła, zgarniając całą masę papierowych ręczników na mokrą kupkę. — Gdyby czegoś potrzebowała, sama by cię o to poprosiła — dodała i oparła miotłę o stół. — O rany, Gordon! — westchnęła, obejmując go ramionami. — Tak mi cię żal. Ledwo zacząłeś nowe życie, a już spotyka cię coś tak okropnego.

Komary brzęczały jej koło uszu. Jeśli nawet w okolicy były jakieś świerszcze, to ich cykanie tłumiły wieczorne hałasy — alarm w oddali, wibrujące takty muzyki z samochodowego radia, co jakiś czas głos kobiety nawołującej chyba kogoś — a w tle miarowe uderzanie piłki koszykowej o ziemię, ostry pisk butów w biegu, a po każdym brzęknięciu obręczy słowne potyczki chłopaków. — Spieprzaj z mojej chaty! — zaśmiał się jeden z nich.

— Właśnie. Spieprzaj z mojej chaty — powtórzyła szeptem Jada. Jednostajna mantra tych słów kołła ją w cieniu estradowych schodów. Niespokojnym spojrzeniem ogarnęła ulicę. Navigator stał zaparkowany przy Liberty Rooming House. Wydawał się pusty, ale Polie ostrzegał, że będzie go miał na oku. Pokąsany kark piekł ją, kiedy drapała go nierówną krawędzią pagera. Podkuliła nogi i naciągnęła koszulę na kolana i kostki, by chronić je przed owadami. W szkole nie była od paru tygodni, odkąd matka wróciła do domu. Zresztą prawdopodobnie już zaczęły się wakacje. I pewnie znowu nie przepuszczą jej do następnej klasy, a wtedy rzuci szkołę i znajdzie pracę. Niebawem skończy czternaście lat. Dokładnie dwudziestego czwartego lipca. Licho wie, co dziś za dzień czy miesiąc, ale to na pewno już niedługo. Zresztą matka i tak zapomni. Wszyscy zapomną. — Pieprzę to — rzuciła na głos, zaśmiała się i powtórzyła to samo jeszcze raz.

Gordona widywała tylko z daleka, gdy wychodził z domu i wracał z pracy, kosił trawę albo przynosił zakupy dla pani Jukas. Wczoraj wieczorem przed jego domem widziała wóz Delores. Stał tam aż do północy, a Jadę zżerała zazdrość. W głowie miała mętlik, nie wiedziała, kogo nienawidzi bardziej: Delores, bo była z Gordonem, Gordona, bo był z Delores, czy może ich oboje za to, że nie ma ich przy niej. Zaczęła przygryzać krawędź kciuka, dopóki nie poczuła smaku krwi. A potem już tylko siedziała beczynn timer i czekała.

Na ulicy zahamowało jakieś niskie, czerwone auto. Jada podniosła się z miejsca. Nie było widać, czy to toyota spider, a Polie nie dawał sygnału klaksonem, aż w końcu auto pojechało dalej i Jada usiadła na schodach. Jej dłoń ścisnęła jakiś wypukły pakunek na brzuchu — upchnięty w szorty woreczek z koką. Szykowała się spora transakcja. Jada miała najpierw przeliczyć gotówkę, dwa tysiące, a dopiero potem przekazać towar. Jak usłyszysz klakson, instruował Polie, od razu robisz w tył zwrot. A w razie kłopotów przejdź obok wozu, upchnij forszę w majtki i pędź na złamanie karku.

Po drodze Polie i Feaster zafundowali jej Big Maca i dużą porcję Chicken McNuggets, a mimo to znów burczało jej w żołądku. Ostatnio ciągle była głodna, a jedzenie tylko pogarszało sprawę. Może Polie kupiłby jej colę czy coś innego, choćby zwykłą wodę. Potruchtała ścieżką pod górę, do wozu.

— Jezu Chryste! To oni! — krzyknął Polie na widok czerwonego, sportowego samochodu, który zatrzymał się po drugiej stronie parku. Jada szybko wróciła na miejsce i przysiadła na schodach.

Zgasły reflektory. Jada klepnęła się po nodze, rozgniatając komara na lepłą miazgę. — No dalej! Rusz się! — Wgniotła palce w betonowy stopień. Pewnie jej nie zauważyli. Wstała więc i podparła się pod boki, by wydawać się jak największa. To się kiedyś źle skończy. Za daleko już zabrnęła, ale matka była winna Feasterowi pieniądze, no i potrzebowała jeszcze na kokę, nie mówiąc już o jedzeniu czy czynszu. Wczoraj odłączyli im prąd, a gdy matka zadzwoniła z automatu i oznajmiła z płaczem, że dopiero co przywiozła do domu noworodka, to rano włączyli z powrotem. Już dwa razy był szeryf z nakazem eksmisji, ale go nie wpuścili.

Po obu stronach auta otworzyły się drzwi i ścieżką ruszył jakiś kartony waty męczyzna w błyszczącej, czarnej koszuli. Drugi stał z założonymi rękami, oparty o wóz i obserwował sytuację. W połowie drogi ten niski zawołał do niej, pytając, czy ma coś dla niego. Odparła, że tak.

— W takim razie przynieś to tutaj.

— Najpierw miałeś mi coś dać. — Zrobiła parę kroków i zatrzymała się.

— No to podejdź tu. — Przywołał ją ruchem ręki. — No chodź. Masz, weź. — Podał jej brązową, papierową torebkę.

Chwyciła ją. Nie miała być zaklejona taśmą. — Co za palant — mruknęła, rozrywając papier. Szybko przeliczyła: dwadzieścia setek, a właściwie dwadzieścia banknotów, nie bardzo wiedziała, jakich. Zajrzała jeszcze raz.

— No dalej! Pośpiesz się! — ponaglał, rozglądając się dookoła. — Szybciej!

Wyjęła z szortów woreczek. Tamten biały facet wbiegł na ścieżkę. Nigdzie nie było widać navigatora, Polie gdzieś zniknął. Coś tu było nie tak.

— No już, dawaj! Nie będę tu stał przez cały dzień! — Niski podszedł bliżej. Ten drugi miał brodę i dłuższe włosy. Diabli nadali! To był ten sam gliniarz, który gonił ją i Thurmana przy ostatniej transakcji. Wyciągnął rękę. Przekonana, że trzyma broń, rzuciła mu woreczek i pager prosto w twarz i popędziła w stronę budynku Liberty. Ale obaj prawie deptali jej po piętach. Wbiegła na jezdnię, gdzie z obu stron nadjeżdżały auta. Mężczyźni zaczęli krzyczeć.

— Stój, mała kretynko! Stój! Policja! Stój! Policja! Policja!

Jasna cholera! Przecież miała ich pieniądze. Rozdzwięczały się klaskony. Jakiś samochód wjechał na chodnik i zahamował. Jada rozluźniła palce, wyrzuciła banknoty w górę i pognała uliczką za Liberty. Biegła przez całą drogę, aż do garażu Gordona. Dopiero po paru godzinach, kiedy nikt się nie zjawił, przybiegła do domu i, wyczerpana i roztrzęsiona, opadła na kanapę.

W porannym powietrzu dało się czuć lekki zapach róż. Gordon właśnie spryskiwał krzewy płynem z sodą, gdy od strony domu pani Jukas dostrzegł nadłamany długi pęd. Był oberwany u nasady. Zeszłego wieczoru Delores zaniósła pani Jukas kawałek wiśniowego placka i, zamiast pójść ścieżką, widocznie przedzierała się przez krzewy. *To do niej podobne*, pomyślał, przycinając całkiem zdrowy pęd. Przez ten swój niewolniczy instynkt uszczęśliwiania innych robiła więcej szkody niż pożytku, uznał w myślach, nagle rumieniąc się ze wstydu i pożądania.

Delores była pierwszą kobietą, z którą się przespał. To przeżycie okazało się zarówno silne, jak i niepokojące. Nie był aż tak naiwny, by wierzyć, że poza nim nie miała żadnego mężczyzny, ale czuł, że było ich niewiele. Po prostu nie należała to tego typu kobiet. Erotyczny charakter ich związku dostarczał mu takich emocji, o których nawet mu się nie śniło. Jeszcze nigdy nie czuł takiej bliskości z drugą istotą, tak bezbronną, a zarazem silną. Ale kiedy było już po wszystkim, ogarniała go jakaś pustka. Delores przywierała do niego całym ciałem, chciała się przytulić, rozmawiać, a on nie mógł się doczekać, aż sobie pójdzie, byleby tylko został sam. A kiedy już dotarła do domu, od razu dzwoniła do niego. Zmuszał się, by podnieść słuchawkę. Delores zasługiwała na tyle bezgranicznej czułości i życzliwości, ile sama świadczyła, ale jego nie było na to stać. Może nigdy nawet nie miał tego w sobie. Może tak naprawdę nigdy niczego nie osiągnął, a to wszystko było jedną wielką farsą, cokolwiek by się go nie tyczyło. I może na zawsze pozostanie tylko cieniem, podążającym za innym życiem, bardziej realnym i sensownym niż jego własne. Kobietom łatwiej jest angażować się uczuciowo, powiedziała Delores zeszłej nocy, po raz kolejny usiłując dotrzeć do jego świadomości. A on nie umiał jej wyznaczyć, jak bardzo przerażały go takie rozmowy, bo uświadamiały mu własną płytkość i poczucie niższości, a wtedy sam już nie wiedział, co jest

gorsze: to, że nie miał jej nic do ofiarowania, czy to, że tak naprawdę niczego od niej nie potrzebował. Ani zresztą od nikogo innego.

Wierząc się w łóżku w środku nocy, widział we śnie słodką twarz Jilly Cross i bardzo go to niepokoiło. Po przebudzeniu czuł się jak obłudny hipokryta, pozbawiony wszelkich zasad. A przecież nawet w swoich więziennych fantazjach zawsze starał się być wierny tym samym kobietom z rozkładówek. Kiedy zmieniał plakat, robił to z poczuciem winy i niechęci do siebie samego. Te wiecznie młode kobiety na wytartym papierze nigdy nie rozkładały nóg przed sprośnym obiektywem aparatu, nie dotykały się ani nie rzucały bezwstydnymi, wyzywającymi spojrzeń, tylko patrzyły nieśmiało, delikatnie odwrócone, jakby wraz z pstryknięciem migawki miały zaraz okryć swoje ciała.

Właśnie kończył jeść płatki śniadaniowe, kiedy zadźwięczał dzwonek. Szybko wypłukał miskę i ruszył do sąsiedniego pokoju, gdy usłyszał przeraźliwe walenie do drzwi. Tamta noc z Jadą wzmogła jego czujność i wyjrzał przez okno. Na podjeździe stał samochód jego brata.

— Dennis! — zawołał, otwierając drzwi.

Dennis wparował do środka. — Do diabła, co z tobą? Może byś tak chociaż raz się zastanowił?

— Ale o co ci...

— Nieźle ją wystraszyłeś! Co ty wyprawiasz? Po co za nią łązisz i ją prześladujesz?

— Aleja...

— Sama mi mówiła! Poszła na pocztę i nagle ni stąd, ni zowąd zjawiasz się ty? I grozisz jej? Każesz jej trzymać się ode mnie z daleka?

— Ja tylko powiedziałem, że masz żonę i...

— Jakby o tym nie wiedziała! Posłuchaj no — ciągnął, trzęsąc gniewnie głową, szukając właściwych słów. — Nie wiem, jak inaczej ci to wyduńczyć. Ale nie możesz tak dalej. Nie wolno ci tak po prostu schrzanić mi życia! Dłużej tego nie wytrzymam. Przez tyle lat próbowałem jakoś to wszystko uporządkować. Nie wolno ci tego robić! Jeśli chcesz, żeby między nami jakoś się układało, to trzymaj się z daleka od moich spraw, Gordon! Słyszysz? Rozumiesz, co do ciebie mówię? — Wyrzucił ręce w górę. — Jezu Chryste, czy ty mnie w ogóle słuchasz?

— Nie chcę tylko, żeby między tobą a Lisą i dziećmi stało się coś złego. Przecież jesteście moją rodziną.

— Nic się nie stanie. Ale są pewne sprawy, których nie zrozumiesz. Ma być tak, jak ty chcesz... Ale życie to co innego. I ja też.

— A jaki ty jesteś? — spytał Gordon i odkaszlnął, by przeczyścić ścisnięte gardło.

— Podobny do ciebie — odparł Dennis, siląc się na uśmiech. — Też popełniam błędy, ale w gruncie rzeczy jestem dobry i uczciwy, o tu, w środku — wskazał na serce.

— Wcale nie, skoro nie potrafisz nawet być wierny własnej żonie.

Uśmiech zastąpił mu na wargach. — Wiesz, przejrzałem cię na wylot. Zupełnie jak ojca. On też nigdy nie mówił tego, co myślał. Unikał ludzi, krył się po kątach i zawsze próbował na siłę coś zmieniać. Tak jak po twoim wyjeździe. Robiłem, co tylko mogłem, i ciągle było coś nie tak. Nic nie zdołało go uszczęśliwić. Zupełnie nic! A ja starałem się, jak mogłem — dodał, spluwając. — Ale on nie powiedział ani słowa, bo niby jak? A w głębi duszy miał za złe mnie i matce, że próbowaliśmy być szczęśliwi. Widział w nas samo zło — ja k b y ś m y to my byli zabójcami!

Gordon usiłował opanować drżenie ciała i powiek. — Przepraszam — wyjąkał.

— Daj spokój! Po prostu przyznaj się, przynajmniej przed samym sobą. Chcesz ją wystraszyć, bo ci na niej zależy — rzucił, zerknął na zegarek i otworzył drzwi. — Ale i tak nic nie wskórasz, wielki bracie. — Poklepał Gordona po ramieniu. — O nie. Mowy nie ma.

Słowa Dennisa wciąż wracały mu w pamięci. Po raz pierwszy od wielu lat Gordon był na niego wściekły. Zawsze uważał brata za najlepszego przyjaciela, i to jedyne, którego miał. A Dennis przez cały ten czas żywił do niego urazę, a w odwiedzinach do Fortley przyjeżdżał jedynie z tego samego poczucia obowiązku, które trzymało go w małżeństwie.

W sklepie było tłoczno przez cały dzień, a kiepski nastrój Neila popsuł się jeszcze bardziej, kiedy June zadzwoniła, że jest chora. Gordonowi ulżyło, gdy w południe Neil wyszedł grać w golfa z księgowym. Przy kasie Sereny ustawiały się co najmniej trzy osoby na raz i Gordon kręcił się w pobliżu, by pomóc pakować towar czy sprawdzić cenę. Kilka razy musiał też biec na zaplecze odebrać dostawę. Dopiero o wpół do szóstej mieli chwilę spokoju. Pod nieobecność June przez cały dzień Serena była zadziwiająco miła. Narzekała tylko na Neila.

— A często tak chodzi grać w golfa? — zagadnął Gordon, zakasując rękawy. Popołudniowe słońce biło w okienne szyby, a hałaśliwa klimatyzacja okazała się niezbyt skuteczna.

— On wcale nie grywa w golfa — prychnęła drwiąco Serena i założyła swoje czerwone okulary przeciwsłoneczne. — Po prostu siedzi

gdzieś w barze. To widać gołym okiem, a ja zawsze czuję takie rzeczy. Miał taki drżący głos, a kiedy mu mówiłam, żeby na lato zatrudnił jakiegoś nowego chłopaka, to nie mógł nawet spojrzeć mi prosto w oczy, taki był zamroczony.

— Zdaje się, że ostatnio ma sporo na głowie — zauważył Gordon. Jeszcze wczoraj telefonował hurtownik, grożąc, że wstrzyma dostawy, dopóki Neil się z nim nie rozliczy.

— Naprawdę? No to witam w klubie, tyle że ja nie urywam się z pracy w samo południe. Dziś wieczorem, dajmy na to, w domu czeka na mnie ośmioro ludzi. Muszę ich wszystkich wykarmić i potem jeszcze po nich posprzątać.

— W takim razie zamknę sklep, żebyś mogła wyjść wcześniej...

— O Jezu, tylko nie to! — jęknęła a Serena na widok Cootiego, który przykuśtykał do sklepu. Na rękach trzymał swojego psa z zaropiałymi oczami.

— Jest Neil? — rzucił stary, krzywiąc się z bólu przy każdym kroku prawą nogą. — Wrócił już?

— Nie! Już panu mówiłam, że wyszedł na cały dzień. Dziś już go nie będzie — odparła Serena i powachlowała ręką, by odpędzić odór.

— Mnie powiedział, że wróci, i kazał mi tu przyjść. A mnie ciężko z tą chorą nogą, nie dam rady łązić tam i z powrotem.

Gordon wstrzymał oddech, ale smród był nie do zniesienia. Najwyraźniej stary nie mył się od kilku dni. Neil na pewno nie chciał go tu widzieć.

— On przyjdzie dopiero jutro rano — wtrącił.

— Nie ma mowy! Sam mi mówił, podał nawet godzinę. Zapisał mi, o tu — odparł, postawił psa na ladzie i sięgnął do kieszeni. Pies polizał Gordona w rękę, odwrócił się w stronę Sereny i zamachał ogonem, posklejanym od wyschłych odchodów.

— Niech go pan zabierze! Proszę go natychmiast stąd zabrać! — krzyknęła Serena. — Jest cały uşwiniony.

— Miałem to gdzieś tutaj — ciągnął Cootie, wykładając na ladę całą zawartość kieszeni. — Neil mi zapisał, żebym nie zapomniał. — Zaczął rozkładać jakieś zwiłki papieru, ale tego właściwego nie mógł znaleźć. — O wpół do trzeciej, powiedział. Jasne, pamiętam bardzo dobrze. Nigdy nie zapomnę godziny. Podajcie mi jakąkolwiek godzinę, a od razu zapamiętam. O, tu, mam już. — Rozwinął kartkę i przeczytał na odległość ramienia. — O wpół do trzeciej, tak jak mówiłem! Patrz pan — podsunął kartkę Gordonowi.

- No dobrze, ale jest już za piętnaście szósta — zauważył Gordon.
- A tu jest napisane: druga trzydzieści w nocy.
- Serio? A jaki dziś dzień? — zdziwił się Cootie.
- Czwartek — odparł Gordon.

Stary zrobił taką minę, jakby lada chwila miał się rozpłakać. — To gdzie się podziała środa? Co się dzieje, do diaska? Jest pan pewien?

- Na sto procent.
- No to schrzaniłem sprawę — jęknął stary. — Nie przyszedłem na czas!

— Dość już tego — przerwała stanowczo Serena, zamknęła kasę na klucz i wyszła do biura. — Jeśli zaraz pan nie wyjdzie, to dzwonię po gliny.

— A nie, nie. Nie trzeba. Już nas tu nie ma. Już sobie idziemy, proszę pani. No chodź, piesku, chodź. Musimy pomyśleć, co z tym fantem zrobić — mruknął, wziął psa na ręce i pokuśtykał do drzwi.

Po jego wyjściu Gordon podniósł z podłogi kartkę, która wypadła starremu z kieszeni. Mleczarnia Halefield, napisane było u góry. Neil miał w biurze cały bloczek takich kartek. Tylko po co chciał się spotkać ze starym o takiej porze?

O szóstej znów zrobił się ruch, a fala klientów, chętnych na zakupy w porze kolacji, napływała aż do siódmej. — O rany, już nie czuję nóg. — Serena przysiadła na skrzyni po mleku i zaczęła masować podeszwyjedną po drugiej, krzywiąc się przy tym z bólu.

— Idź do domu — nakazał Gordon. — No idź już, sam zamknę sklep.

— Na pewno? — Zerwała się z miejsca i włożyła buty. — Dzięki jeszcze raz — rzuciła, kiedy ją wypuszczał frontowymi drzwiami. — Bardzo mi pomogłeś. I pamiętaj, że brakuje nam trzech wózków — zawołała, wychodząc.

Odprowadził ją wzrokiem, póki nie znikła za rogiem, i wziął się za mycie podłogi przy wejściu do sklepu. Stare, gumowe linoleum skruszało i jego kawałki kleiły się do sznurków mopa. Dziwna złość na brata, którą odczuwał do tej pory, przerodziła się teraz w poczucie krzywdy. Wylewając czarną wodę z wiadra do zlewu w magazynie, czuł, że znowu wzbiera w nim gniew. Niby nie zrobił nic złego, ale Dennis przedstawił to inaczej. Gordon tylko chciał pomóc, a ze słów Dennisa wynikało, że to coś zdroźnego, godnego politowania. Czyżby brat był aż tak okrutny i zapatrzony w siebie? Czy też, podobnie jak matka, gdy tylko czuł się osaczony, to od razu wytykał innym wady, błędy i niepowodzenia? Nie znosił

uczucia, które go ogarnęło. Przez tyle lat udawało mu się opanować uczucia i wznieść się ponad wszelkie zło i plugastwo. A teraz? Nie mógł przecież chować głowy w piasek i całkiem się odciąć. Tu chodziło o jego brata. Gordon miał wrażenie, że w środku coś mu się zerwało i brzęcząc, przemieszczało się między jego głową a żołądkiem. Ale najlepszym lekarstwem była praca. Trzeba się czymś zająć. Skoro Dennis z własnej woli ryzykuje wszystko dla jakiejś kobiety, to już jego sprawa. Gordon nic na to nie poradzi. A teraz trzeba się skupić. I mieć wszystko pod kontrolą. Nikt nie zdoła go zranić, chyba że sam im na to pozwoli. Tak jak ta mała, Jada. Pozwolił jej za bardzo się do siebie zbliżyć. Zachował się bezmyślnie, posłuchał serca, nie rozumu.

Przed zamknięciem sklepu jeszcze raz wszystko dokładnie sprawdził. Dopiero na ulicy przypomniał sobie o brakujących wózkach. Pewnie stały gdzieś wśród zarośli za zapleczem sklepu. W zeszłym tygodniu wybuchł tam pożar. Jeszcze zanim przyjechały wozy strażackie, z zadymionych krzaków wyskoczyła gromada jakichś chłopców, po czym rozbiegli się na wszystkie strony. Trzeba zajrzeć tam jutro z samego rana. W końcu jedna noc w zaroślach nie zaszkodzi kilku starym, zardzewiałym wózkom.

Gdy Gordon oddalił się od sklepu na kilka kroków, zauważył jeden z wózków w uliczce. Była tak wąska jak jakaś szczelina między kamieniami i musiał wcisnąć się tam bokiem.

— Ej, panie! — zawołała jakaś niska, okrągła kobieta z zielonymi pasemkami we włosach i ruszyła za nim. — Co pan robi? To moje! Kradnie pan mój wózek! Tak się nie robi!

— To własność supermarketu przy Nash Street — wskazał ręką na wprost.

— Guzik prawda! Dostałam go i jest mój — upierała się, ciągnąc wózek w swoją stronę.

— Przykro mi, ale nie.

— A właśnie, że tak. Dostałam go z Shop and Save, proszę zobaczyć! — wskazała palcem.

— Gdzie? Gdzie to jest napisane? — spytał. Plastikowe logo sklepu było oderwane od uchwyty. — To własność supermarketu — powtórzył i popchnął wózek.

— Panie, błagam pana! — jęknęła, doganiając go. — Jasne! Ma pan rację, to wasz wózek, ale jest mi bardzo potrzebny. Mam dziewięciomiesięczne dzieci, bliźniaki. Tydzień temu skradziono mi z korytarza wózek, a dzieciaki są tak wyrosnięte, że nie dam rady ciągle nosić ich obu na rękach.

kach, kiedy chodzę po zakupy i mleko dla niemowląt, nie wspominając już o Pampersach. Kupuję wielgachne paki i dlatego potrzebny mi wózek. Pożyczcie mi go na tydzień czy chociaż na parę dni — wydyszała z zapartym tchem, próbując dotrzymać mu kroku. — Wanda, moja znajoma, pracuje w sklepie Goodwill, to postara się mi jakiś załatwić. Bardzo pana proszę!

— Przykro mi — rzucił, a ręce wibrowały mu od terkotu wózka. Czuł się okropnie, jak jakiś nieczuły, gruboskórny typ. Ale czy mógł tak po prostu oddać coś, co do niego nie należało? A jeśli nawet, to mogliby oskarżyć tę kobietę o kradzież, i co wtedy? Na pewno zeznałaby, że dostała wózek od niego. Wystarczy jeden taki głupi błąd, jedna taka chwila słabości, a wszystko weźmie w łeb.

— Błagam pana! Tylko na parę dni. Oddam na pewno, jak pragnę zdrowia. Błagam! Jest mi potrzebny! Błagam! — krzyczała za nim. — Och, ty podły sukinkocie...

Skręcając za róg, dojrzał unoszącą się zza sklepu smużkę ciemnego dymu. W powietrzu, niczym płatki czarnego śniegu, wirowały suche popioły. Gordon zostawił wózek przy wejściu i ruszył na zaplecze. Płomienie ognia sięgały prawie samego dachu. Widocznie zapaliła się sterta kartonów, które Neil ustawił przy ścianie budynku. Wraz z dymem strzelały w powietrze kawałki tektury.

Gordon pobiegł do ładowni i zdjął z haka wąż. Sięgając do kranu pod schodami, usłyszał świst i w płomieniach stanęła druga sterta kartonów, której rano jeszcze tam nie było. Gordon skierował potężny strumień wody prosto na ten mniejszy ogień i natychmiast go ugasił, po czym usiłował przeciągnąć sztywny wąż za platformę ładowni. Wąż jednak okazał się za krótki i Gordon musiał przykucnąć, by przejść z nim pod zadymioną platformą. Wyłaniając się z drugiej strony, zauważył, jak stary Cootie znika w zaroślach, a tuż za nim smyrnął jego pies. Serce mu zamarło, gdy po pierwszym chluśnięciu wodą ogień rozniecił się jeszcze bardziej, a ze ścian budynku zaczęła schodzić płonąca elewacja. Gordon przybliżył się i skierował strumień wody na środek płomienia, aż wreszcie pozostał tylko czarny, gęsty dym. Kaszląc, spryskiwał palącą się elewację, polewając to platformę ładowni, to budynek. Pod stopami miał kałuże błota i nie słyszał nic prócz szumu wody. I wtedy ktoś szarpnął go za ramię. Wzdrygnął się, przerażony, po czym zaczął wciskać wrzeszczącemu strażakowi wąż do rąk, dopóki nie zorientował się, że przecież mają swój. Kazali mu odejść na bok.

Policja zastała Neila w klubie golfowym za miastem. Przybiegł na zaplecze sklepu, postukując po asfalcie obcasami swoich białych butów do golfa.

— Nie jest tak źle, jak wygląda — pocieszył go kapitan straży pożarnej, sporządzając jednocześnie raport. — Całe szczęście, że pana pracownik zjawił się w samą porę.

Gordon wzruszył ramionami i posłał mu wymuszony uśmiech. Biedny Neil, nie dane mu było odpocząć.

— To on was wezwał? — spytał Neil.

— Nie, ale za to ugasił ogień — oznajmił kapitan. — Użył tego węża. Wygląda na to, że pożar dopiero co wybuchł.

— A jak to się stało? — dociekał Neil.

— Ktoś musiał podłożyć ogień. Tyle tu macie kartonów — podsumował kapitan i zatrzasnął cienką, metalową okładkę notesu. Dodał jeszcze, że służba przeciwpożarowa zajmie się dochodzeniem, i oznajmił Neilowi, że musi jeszcze wejść do środka.

Po co? Czego właściwie szukają, dopytywał się Neil. Pewnie myślą, że kogoś tam znajdują?

Nie, chcieli tylko sprawdzić, czy ogień nie uszkodził instalacji elektrycznej.

Kiedy Neil z kapitanem i dwoma strażakami obchodzili budynek, pozostali czekali przy wozach i, popijając wodę z butelek, dyskutowali o jakimś nowym, świeżo nabytym graczu Red Soxów. Gordon tymczasem kręcił się koło śmietnika. To zakładał ręce, to znów prostował, chodził tam i z powrotem, aż wreszcie postanowił zajrzeć w zarośla, czy nie ma tam gdzieś brakujących wózków. Pierwszy leżał wywrócony w wyschniętej strudze, a drugi znalazł się tuż w pobliżu, ukryty w gąszczu splątanych krzaków. Był pełen pustych opakowań i przykryty obszarpanym, brązowym kocem. To pewnie kryjówka Cootiego, podsumował Gordon, wyciągając wózki z zarośli. Na głośny brzęk pustych puszek i butelek w kleoczących wózkach strażacy nagle zamilkli. Wiedzieli przecież, kim jest Gordon. Wziął głęboki oddech. A jeśli pomyśla, że to on podłożył ogień?

Tymczasem kapitan, zadowolony, że nie znalazł żadnych poważnych szkód, szykował się do odjazdu.

— Szlag by trafił tych smarkaczy. Sam już nie wiem, co robić — zawołał Neil przez szparę w drzwiach, po czym zamknął je na klucz.

Gordon zaczął pakować do worków puste puszki i butelki. Obaj z Neilem obserwowali, jak mniejszy z wozów strażackich wyjechał na ulicę i zablokował ruch, usiłując zmieścić się jakoś z drabiną.

— Neil, to był ten stary Cootie. To on podłożył ogień, sam go widziałem.

— Widziałeś, jak podpalał?

— Nie, ale kręcił się tu. Widziałem, jak pobiegł w krzaki, kiedy wyciągałem wąż.

— I powiedziałeś im?

— Nie. Wolałem najpierw powiedzieć tobie.

— Jasna cholera, całe szczęście. — Neil westchnął z ulgą.

— Straszny tu bałagan, nie? Ale szybko sobie z tym poradzę. Zabiorę się za to jutro z samego rana.

Neil gapił się gdzieś na ulicę.

— Tyle w tym dobrego, że przynajmniej nie musisz zamykać sklepu — ciągnął Gordon.

Wtedy Neil odwrócił głowę. Miał grymas na twarzy i wilgotne, zaczerwienione oczy. — Wiesz, zapomnij o Cootie'em. Nie widziałeś go, nie było go tutaj. On nie ma z tym nic wspólnego, jasne? Rozumiesz?

Gordon skinął głową.

— Wcale nie jesteś taki tępy, jakiego przede mną udajesz, prawda, Gloomis? — Wargi Neila powoli rozciągnęły się w uśmiechu. — Chcesz czegoś? O co ci chodzi? Ile chcesz?

— Niczego nie chcę — wyjąkał, cofając się.

— To po jaką cholere gasiłeś ten pożar?

Trudno mu było zrozumieć takich facetów jak Dennis czy Neil, myślał sobie po drodze do domu. Czy nie widzą, że tańczą nad przepaścią? Czy nie dostrzegają tego obłądu ani cząstek tej okrutnej, zabójczej energii, ciężkiej w powietrzu, które wdychają?

Nazajutrz w furgonetce przed sklepem zastał Eddiego Chapmana w towarzystwie jednego z pracowników, krzepkiego młodzieńca z cienkim kucykiem aż do połowy pleców.

Pewnie przyjechali posprzątać na zapleczu, pomyślał Gordon, chwytając za klamkę.

— Ej, Loomis! — zawołał Eddie, zeskoczył z wozu i razem z pracownikiem ruszyli w jego stronę.

— Co tam słyszać, Eddie? — zagadnął z uśmiechem, przytrzymując drzwi.

— Zamknij je — nakazał Eddie.

— Dlaczego? Co się stało?

— To koniec, już po tobie. Możesz tam nie wchodzić — rzucił Eddie.

- Jak to?
- Wylali cię, i już.
- Nie rozumiem.

Serena i June siedziały sztywno przy kasach z założonymi rękami, obserwując całą scenę.

- A co tu jest do rozumienia? Już tu nie pracujesz.
- Ale dlaczego? O co chodzi?
- O rany! Chcesz to na piśmie? Taka jest naturalna kolej rzeczy.

Gordon otworzył drzwi, ale Eddie przyblokował je ramieniem. — Chcę porozmawiać z Neilem — oznajmił wtedy, przecisnął się i szybkim krokiem ruszył na zaplecze, mijając Leo, który właśnie siekał tasakiem piersi kurcząt. Tamci ruszyli za nim. Gordon zapukał do drzwi i otworzył mu Neil, wyraźnie zaskoczony.

- O co chodzi? Co ty tu robisz? Czego chcesz?
- Dlaczego mnie zwalniasz, Neil? Co ja takiego zrobiłem?
- No wiesz, ludzie się boją. Nie czują się tu bezpiecznie — odparł, zerkając mu przez ramię na swojego szwagra.

— Ale dlaczego? Co ja takiego zrobiłem?

— Jezu Chryste! — warknął Eddie. — Chciałeś puścić ten interes z dymem.

— Wcale nie! To nie ja. Neil, przecież wiesz...

— Wiem tylko, że nie chcę żadnych kłopotów. I ty też nie, prawda, Gloom? A właściwie to nawet cię tu nie zatrudniłem. Przecież Eddie nic nie wiedział. Pomyślałem sobie, co mi tam, dam mu szansę, zobaczymy, jak będzie. Ale po wczorajszej nocy... Chryste, to już całkiem inna historia. Nie chodzi mi tylko o pracowników, ale też o klientów. To się nazywa bezpieczeństwo publiczne, sam rozumiesz. Masz, weź to. — Wcisnął mu do ręki zwitek banknotów. — Na początek ci wystarczy.

Nagle życie stało się szare. Gordon stracił apetyt i coraz słabiej widział — wokoło było tak mroczno, jakby patrzył na świat przez jakąś brudną firanę. Słońce biło po oknach, a mimo to jego mały dom pozostał wewnątrz szary i zimny. Jeszcze do niedawna odnajdywał w tej ciszy upragniony spokój, a teraz powietrze wciąż zdawało się mętne i rozedrgane. Nie odebrany telefon dzwonił uporczywie. Gordon uchylił lekko drzwi, by odebrać pocztę. Z krzewów róż sypały się liście. Pani Jukas raz po raz jeździła do lekarza specjalnym busem, który zawoził ją i przywoził. Po trawniku walały się papiery i resztki jedzenia. Czy to wszystko, co mu pozostało? I kogo to właściwie obchodzi? We śnie dręczyły go jakieś

wykrzywione twarze i przeraźliwe więzienne jęki. Zeszłej nocy śniło mu się, że siedział nago na werandzie pani Jukas i onanizował się, a kobiety i dzieci uciekały z wrzaskiem. Tylko Janine Walters stała w miejscu, patrzyła i uśmiechała się pobłaźliwie, a po chwili zaczęła dyszeć razem z nim. Jęczała, kiedy odsunął się od jej łóżka, a potem widział jej zimne, zastygłe oczy i usta otwarte w tłumionym krzyku.

Zadzwonił telefon i znowu włączyła się automatyczna sekretarka. — Gordon! Jeśli tam jesteś, to odbierz natychmiast — prosiła Delores i wzdrygnął się na ton jej głosu. — Błagam cię! Tak bardzo się o ciebie martwię... Już tam do ciebie jadę...

Szybko podniósł słuchawkę i wyjaśnił, że po prostu źle się czuje, ale ona upierała się, żeby przyjechać. Po drodze miała jeszcze wstąpić do delikatesów po rosół. Czy przypadkiem czegoś mu nie trzeba? Bo zajrzy też do apteki. Nie, nie, tłumaczył się. To nie choroba. Po prostu nie ma ochoty nigdzie wyjść ani z nikim się widzieć.

— Aha, jasne, rozumiem — ucięła szybko.

Nastała chwila ciszy, którą przerwali oboje jednocześnie.

— Muszę tylko...

— W porządku...

— Muszę pobyć trochę sam.

— W porządku, rozumiem.

Jada już dwa razy pukała do niego, ale nie otworzył.

— Gordon! — wołała za drugim razem. — Ej, Gordon, jesteś tam? To ja, Jada. Chcę cię tylko o coś spytać.

Słyszał za drzwiami jej oddech. — O rany... — westchnęła w końcu i odeszła.

Dzwoniła też bratowa i zostawiła wiadomość, by zaprosić go z Delores w przyszły piątek na kolację. Oddzwonił i oświadczył, że w piątek nie może. Była wyraźnie zawiedziona. To miał być ich jedyny wolny weekend, zanim Dennis wyjedzie na Międzynarodowe Sympozjum Chirurgów Stomatologów i nie będzie go przez cały tydzień.

— Wyjeżdża na Bermudy.

— Na Bermudy?

— Tak, to jedno z moich ulubionych miejsc — odparła Lisa. — Ale Dennis mówi, że w tym roku seminaria będą trwały przez cały dzień aż do wieczora i dlatego nie chce, żebym jechała. Mówi, że byłoby mu przykro, gdybym wylegiwała się na plaży, podczas gdy on męczy się na jakiejś konferencji.

Odkładając słuchawkę, czuł się jeszcze podlej. A więc Dennis wyjeżdża sobie z Jilly. Dręczyło go poczucie winy za własne milczenie i słabość. Próbował już rozmawiać z bratem, a gdyby znów przemówił do rozsądku Jilly Cross, to jeszcze bardziej rozwścieczyłby Dennisa. I tak świat schodził na psy, a on nie miał pojęcia, jak naprawić zło. Na trawie pod mizernymi krzewami róż leżało pełno zwiędłych liści. Nic dziwnego, że róże ojca zmarnieją pod okiem takiego syna. Już wtedy nie było dla niego miejsca, podobnie jak teraz. Nawet w Fortley czuł się bezradny, choć tam wystarczyło tylko przebrnąć przez kolejny dzień. Zasady były proste, wręcz prymitywne. Łudził się jak głupi, a tymczasem świat okazał się o wiele bardziej skomplikowany i zdrażliwy. Nic nie było takie, jak sobie wyobrażał.

Tej nocy leżał w łóżku, nie mogąc zasnąć. Sięgnął po telefon i położył go sobie na piersi. Podniósł słuchawkę i zaczął naciskać podświetlone cyfry numeru, wszystkie, oprócz ostatniej, ale po chwili zrezygnował. Kilka minut później spróbował jeszcze raz i znów nie odważył się nacisnąć ostatniej cyfry numeru Delores. Rano obudził się, zdziwiony, z telefonem przy twarzy, który unosił się i opadał z każdym jego oddechem.

Gordon! — zawołała Delores, kiedy wreszcie otworzył drzwi. Nigdy przedtem nie widziała go nieogolonego. Ze sterczącą szczeciną na twarzy i zapadniętymi oczami wyglądał na starszego i zmęczonego. — Przepraszam za ten hałas, ale strasznie się niepokoiłam. Właśnie byłam w supermarkecie i powiedzieli mi, że już tam nie pracujesz.

Pokiwał głową. — Neil mnie wylał. Jakież półtora tygodnia temu. — Wzruszył ramionami i potrząsnął głową, jakby zabrakło mu słów.

— A to ci wstrętny, samolubny drań — wybuchła, zagłuszając jego cichy głos, gdy tłumaczył się, że z szoku i wstydu wołał nikomu o tym nie mówić, nawet rodzonemu bratu. Że też to musiało się stać akurat teraz, w najgorszym momencie, kiedy Dennis nie chciał mieć z nim nic wspólnego.

Zaraz, przecież to nie koniec świata, tłumaczyła mu bez przekonania, bo wciąż pamiętała, jak bardzo była zdruzgotana po stracie pracy. Ale Gordon, jak zwykle, nie odzywał się ani słowem. Ludzie tracą pracę z różnych powodów, ciągnęła, na pewno znajdzie się coś innego, a tam będą płacić o niebo lepiej niż w supermarkecie. Ale on tylko gapił się w podłogę. — Gordon?

— Przepraszam, ale kiepski jestem w tych sprawach.

— W jakich sprawach? — spytała, wrywając się za szybko, tknięta tym dawnym strachem, który paraliżował jej serce.

— Sam nie wiem — wzruszył ramionami. — Ale chyba we wszystkich.

— Co ty opowiadasz? To nieprawda, Gordonie, nie wolno tak mówić.

Jadąc z Delores samochodem, patrzył przez boczną szybę. Już samo to, że wyciągnęła go z tej ciasnej, zatęchłej chałupy, było dla niej sukcesem, a teraz, parę kilometrów za Collerton, cieszyła się jeszcze bardziej. Do tej

pory nigdzie razem nie wyjeżdżali, a że Gordon nie chciał u niej nocować, to ona przesiadywała u niego. I chociaż nigdy o tym nie wspomniał, to zawsze wyraźnie dawał jej do zrozumienia, że powinna wyjść zaraz po tym, gdy się kochali. Zapalał wtedy wszystkie światła, schodził na dół i czekał, aż Delores się ubierze. Ostatnio postanowiła udawać, że śpi, ale Gordon wrócił na górę, delikatnie ją zbudził i oznajmił, że robi się późno i że niebezpiecznie jest jeździć o tej porze. O tak, przyznała, rzeczywiście było już późno, a ona czuła się zbyt zmęczona, by wsiąść za kierownicę i wolała zaczekać do rana. Nie, to niezbyt dobry pomysł, odparł i stanął nad nią, trzymając w ręce jej ubranie. Speszona i urażona, wyszła jak najszybciej i kiedy przez następne dziesięć nie dzwonił ani nie odbierał telefonu, czuła się jak zbity pies. Wymowne milczenie Alberta zawsze było dla niej najskuteczniejszą, a zarazem najokrutniejszą karą. Niechby krzyczał, klął i trzaskał drzwiami, byleby tylko nie odchodził. Była wtedy tak zrozpaczona, że pragnęła, żeby poniżył ją jeszcze raz, i tak bez końca. Ale Gordon taki nie jest, uświadomiła sobie z ulgą, która rozwiązała jej obawy.

Krążąc bocznymi uliczkami, musiała zwalniać raz po raz. Przy każdym zakręcie bała się, że Gordon zacznie protestować albo przynajmniej dopytywać się, dokąd jada. W Hampton obrała drogę prowadzącą do plaży i skręciła szyby. Właśnie nadszedł czas odpływu i wewnątrz wozu wypełnił ciepły, wilgotny, bagienny zapach, nabrzmiały niemal wyuzdaną żądzą spełnienia.

— Pięknie tu, prawda? — zagadnęła i wzięła głęboki oddech, ale jej nie odpowiedział. — Chyba się nie gniewasz, co? Pomyślałam sobie, że dobrze ci zrobi, jeśli trochę się oderwiesz. Słuchaj, przecież ty codziennie widzisz w kółko to samo: te same ulice, ci sami ludzie.

— O rany, nie do wiary. Całkiem o tym zapomniałem! — Wyciągnął szyję i ogarnął wzrokiem łuk nadbrzeżnej drogi znad białego falochronu. — Zapomniałem, że jest jeszcze ocean. A przecież zawsze starałem się wszystko zapamiętać: przedmioty i pokoje w domach różnych ludzi albo w ich ogrodach. Każdy dziecięcy rower, moją drogę do szkoły, gdzie kto siedział w auli i w innych klasach. I ubrania mojej matki. Próbowalem zapamiętać jej suknie. I piosenki, które ojciec nucił przy pracy, chociażby te dla mojej mamy... — Tu Gordon zanucił „Oto idzie panna młoda”^{*} tak pięknie, że Delores mało się na niego nie rzuciła. — A kiedy dalej szło mu coraz trudniej, to podśpiewywał sobie coś innego — i Gordon zanucił

^{*} *Here Comes The Bride* — pieśń śpiewana podczas ślubu na melodii marszu weselnego z opery „Lohengrin” Richarda Wagnera.

skoczną wersję „Kiedy Johnny znów przymaszeruje do domu”*. To było jak musztra, coś w rodzaju dyscypliny. Bo zapamiętywanie to jedno, co potrafiłem, i gdybym zaczął zapominać, to utraciłbym cząstkę... Sam nawet nie wiem czego.

Siebie samego, dodała w myślach, gdy głos mu się urwał. Zatrzymała wóz na parkingu publicznym w Rye. Podczas odpływu woda cofnęła się daleko od brzegu, odsłaniając ogromne skały, których nie widziała nigdy przedtem. Często z Albertem spacerowali wieczorami po plaży na początku ich bliskiej znajomości. *Czy z Katie też tu przyjeżdża?* Zastanawiała się w nagłym przypływie zazdrości. Zresztą czy to ważne? I tak nigdy jeszcze nie czuła się tak szczęśliwa, jak teraz, w tej chwili. Gordon okazał się najukochańszym i najbardziej wielkodusznym mężczyzną, którego знаła, i nie było piękniejszego miejsca niż ta plaża o zmierzchu. Na horyzoncie, za połaciami mokrego piasku, żarzyły się wstęgi różu i fioleto, a za nimi zachodzące, czerwonawe słońce zalewało niebo ognistym blaskiem. Po plaży przechadzały się i truchtały grupki ludzi. Dwaj chłopcy rzucali na przemian piłkę tenisową, a potężne, czarne psisko goniło ją, rzucając się na przybrzeżne fale, po czym pędziło z powrotem z mokrą sierścią. Z nadbrzeża wystartowała mała, żółta awionetka, zapikowała nad niskimi falami i śmignęła w górę. Przeleciała tuż na wierzchołkami drzew na Straw Point, a po chwili całkiem znikła.

— I o nich też zapomniałem. — Gordon wskazał Isles of Shoals. W oddali, za tymi wyspami, zapadał już wieczorny mrok.

Zaproponowała, żeby wysiedli i przeszli się po plaży, i zdziwiła się, że tak od razu się zgodził. Zostawiła buty w aucie, ale Gordon nie chciał zdjąć swoich. Byli już na środku plaży, kiedy nad wodą rozbłysnął pierwszy blask księżyca. Gordon zatrzymał się, wyraźnie przejęty. — Spójrz tylko! Nigdy w życiu czegoś podobnego nie widziałem — powiedział.

Idący nadbrzeżem ludzie też zatrzymywali się i patrzyli na wyłaniający się krwistoczerwony okrąg, dopóki nie pojawił się cały na wyblakłym nocnym niebie.

Delores potknęła się i złapała go za ramię, ale zaraz przeprosiła i cofnęła się. — Nic nie szkodzi — odparł cicho.

— Mało się nie przewróciłam.

— Lepiej trzymaj się mnie — zaproponował i uniósł łokieć. — Pełno tu dziur.

* *When Johnny Comes Marching Home Again* — stara pieśń amerykańska, popularna w czasie wojny secesyjnej.

— To dzieci je wykopują — zauważyła, wsuwając mu dłoń pod ramię.

Przyznał, że ostatni raz widział ocean w wieku chyba jedenastu czy dwunastu lat. Uwielbiał jeździć z rodzicami na plażę. Ale ojciec miał chory kręgosłup i dlatego pewnie przestali przyjeżdżać. Delores zauważyła, że Gordon idzie sztywnym krokiem. Domyśliła się, że to dlatego, by piasek nie dostał mu się do butów. — Masz, weź. — Podniosła z mokrego piachu biały, jajowaty kamień i podała mu.

— A co to? — spytał, szczerze zdziwiony.

— Właściwie to zwyczajny kamień.

— I co mam z nim zrobić?

— Dotknij go. Czujesz, jaki gładki?

Gordon przyjrzał się mu, przytaknął, po czym oddał kamień Delores. Przez całą drogę uderzał jedną dłonią o drugą, strzepując lepki piach. Delores wiedziała, że to idiotyczne, ale w końcu zaczęło ją to drażnić. Musiała przypominać sobie w duchu, jak bardzo nienaturalne było jego życie. Gordon zaczął potem wycierać dłonie o boki spodni.

Kiedy doszli do końca kamiennego nasypu, nagle się zatrzymał. — Mam w butach pełno piachu — zauważył niemal z wyrzutem w głosie.

— W takim razie zdejmij je, a poczujesz się jeszcze bardziej plażowo. O tak! — Podskoczyła lekko na piasku.

— Nie mogę — odparł ze zboląłą miną.

— Jasne, że możesz. Idź i usiądź sobie na kamieniu.

— Nie. Nigdy nie chodzę boso. Koniecznie muszę zawsze mieć coś na nogach — uciał i powlókł się dalej jeszcze sztywniejszym krokiem.

— Ale jako dziecko nie biegałeś po plaży w butach, prawda? — zawołała, doganiając go ze śmiechem, ale kiedy nic nie odpowiedział, natychmiast pożałowała swoich słów.

W samochodzie przeproszała i tłumaczył się, że w więzieniu człowiek narażał się na niebezpieczeństwo, chodząc boso czy na wpół nago. Na pocieszenie opowiedziała mu, jakiej przykrości doznała na plaży, gdy była jeszcze nastolatką, w dodatku otyłą, w kostiumie kąpielowym. A najgorsze było ognisko w ostatniej klasie. Co za straszna udręka. Musiała przez cały dzień chodzić owinięta największym ręcznikiem, który udało jej się kupić. — Łaziłam po sklepach za tym ręcznikiem dłużej niż za kostiumem kąpielowym — mówiła znad kierownicy. — I nagle słyszę: patrzcie, to ta słońca Delores! Bucky Dean podbiegł do mnie i zerwał ze mnie ten ręcznik, a ja stałam tam jak obnażona, i pragnęłam zapaść się pod ziemię. — To dziwne, że dziś tamto wszystko nie ma już żadnego znaczenia, doda-

la jeszcze. Nic już nie ma znaczenia, nawet jego milczenie, zauważyła w myślach, nie mogąc się doczekać, by jak najszybciej pokonać te sześćdziesiąt kilometrów z powrotem.

Przed jego domem wyłączyła silnik i ciągnęła rozmowę tak długo, że w końcu był zmuszony zaprosić ją do siebie, a potem snuła się za nim po kuchni, kiedy parzył kawę. Najwyraźniej znowu zmarkotniał, ale Delores uparła się, by go rozweselić. Śmiała się ze wszystkiego albo zupełnie bez powodu, a przedmioty wypadały jej z rąk. Czuła się taka lekka, jakby lada chwila miała się unieść w powietrze. Gordon nalał jej kawy i przeprosił. Musiał na chwilę pójść na górę zmienić buty, bo zdaje się, że od tego piachu porobiły mu się pęcherze. Pewnie *chce, żebym sobie poszła*, pomyślała w duchu, ale dalej popijała kawę. *Me, to nie przeze mnie, to te jego problemy. Z piętra dochodziły ją różne odgłosy. Zahaczało w rurach, kiedy odkręcał i zakręcał wodę w łazience, a po chwili zapanowała kompletna cisza. — Gordon? — zawołała, ruszając po schodach.*

Na palcach weszła na górę i dostrzegła światło spod drzwi łazienki. A więc jeszcze nie wyszedł. Przechodząc obok jego sypialni, miała ochotę zdjąć ubranie i wśliznąć się do jego łóżka. W duchu wiedziała jednak, że popełniłaby błąd. Czasem wystarczył jej najdrobniejszy ruch, by go onieśmielić. Podobnie zresztą było z Albertem, tyle tylko, że jego fałszywa wstydlivość stała się częścią ich związku, swego rodzaju moralną otoczką ich cudzołóstwa. To ona zawsze przełamywała bariery, a jemu łatwiej wtedy było zgrywać uległego, bezradnego i zagubionego niewiernego męża. Za to u Gordona wstydlivość była cechą wrodzoną, ale też pewną formą samoobrony. Może wszyscy mężczyźni byli pod tym względem do siebie podobni, a może po prostu było w niej coś, co sprawiało, że przyjmowali wobec niej postawę obronną.

Zabrzączał dzwonek przy drzwiach. Delores otworzyła i z przerażeniem spojrzała na Jadę. Jej zapadnięta twarz była cała usiana wypryskami. Dziewczyna wyglądała na jeszcze bardziej wychudzoną — jej ręce i nogi przypominały same kości powleczone skórą. — Dzień dobry! — rzuciła, siląc się na wesoły ton, który nie zdołał ukryć jej zmęczenia. Delores spytała, czy przypadkiem nie jest chora, na co Jada odparła, że dopadła ją jakaś grypa, ale czuje się już lepiej. Delores zauważyła głośno, że dziewczyna sporo schudła, a Jada przyznała, że choroba odebrała jej apetyt.

Delores zaprosiła ją do kuchni i odkroiła jej trochę kawowego tortu, który znalazła w lodówce, ale zanim Gordon zdążył zejść na dół, z ciasta nic już prawie nie zostało.

— A ty co tu robisz? — rzucił w drzwiach, oblewając się rumieńcem.

Jada wysiliła się na uśmiech, ale miała wystraszoną minę. Wyjąkała, że nie widzieli się już tyle czasu i że bardzo chorowała, i kiedy zobaczyła samochód pani Delores, to postanowiła zajrzeć się przywitać. — Ona poczęstowała mnie ciastem — oznajmiła, pakując do ust ostatnią porcję. Próbowana desperacko podtrzymać rozmowę, podczas gdy Delores walczyła z poczuciem winy. — Jest naprawdę pyszne. Ciasto domowej roboty zawsze smakuje najlepiej, nie? — Głos jej zdrzął pod jego chłodnym, przenikliwym spojrzeniem. — Sam je upiekłeś? — spytała go.

— Nie, to od Entenmanna — odezwała się wreszcie Delores i oboje popatrzyli na nią, a na ich twarzach malowały się napięcie i zażenowanie.

— No cóż, mam jeszcze coś do zrobienia — oznajmił i odwrócił się, kierując się na schody.

— Jasne, a ja w tym czasie podgrzeję kawę — zaproponowała Delores.

Zerknął na nią. — Nie trzeba, i tak jest już późno, nawet na kawę.

Czy raczej za późno na jej wizytę. Głęboko urażona, wściekała się na siebie za to, że wpuściła dziewczynę do środka.

— Ja tam nie chcę kawy — wtrąciła Jada. — A nie masz przypadkiem mleka? Chętnie bym się napiła, strasznie chce mi się pić.

— Nie mam mleka — uciął.

— To może sok? Nie masz tu jakiegoś soku? — Wzrok dziewczyny powędrował w stronę lodówki.

— Powinnaś już pójść — rzucił do niej.

Delores nie była pewna, co bardziej ją zaniepokoiło: jego oschły ton czy kompletny brak reakcji, gdy dziewczyna wzruszyła ramionami i posłusznie wstała od stołu. Czy była naćpana, czy raczej tak odporna na odrzucenie, że jego ton nie robił już na niej żadnego wrażenia?

— Ja też mam już iść? — spytała Delores, kiedy za dziewczyną zamknęły się drzwi.

— A skąd — mruknął, ale w duchu wiedziała, że mówi nieszczerze.

— Przepraszam, nie powinnam była wpuszczać jej bez twojej zgody.

Gordon spłukał po Jadzie talerz i widelec i wyszorował je namydloną gąbką. W odpowiedzi na jego milczenie próbowała wstawić się za Jada, jednocześnie broniąc jego i sama się tłumacząc. Rozumie jego złość, ale przecież Jada nie zrobiła nic złego — przynajmniej nie umyślnie. Dziewczyna nie umie inaczej się zachować, bo nikt nie wpoił jej podstawowych zasad kultury czy manier. Wyglądała tak mizernie, że Delores nie miała

serca jej przegonić, tłumaczyła mu. — Ale następnym razem najpierw zapytam cię o zgodę — dodała, kładąc mu rękę na ramieniu.

— Nie musisz! — odparł i odwrócił się gwałtownie. — Nie chcę jej tu więcej widzieć. Nigdy!

— Na Boga, Gordonie, przecież to biedne dziecko. A w dodatku była głodna! To chyba nic złego poczęstować ją czymś do jedzenia? — Przeżądała jego obojętność, zwłaszcza po tym, co sam przeżył.

— To już nie moja sprawa.

Popatrzyła na niego. — Oczywiście, że twoja. To jeszcze dziecko i wszyscy jesteśmy za nią odpowiedzialni.

— Nie mogę ryzykować.

— Ryzykować? I tak robisz to codziennie, na przykład wstając z łóżka.

— O nie, ja to co innego.

— Naprawdę? Bo siedziałeś w więzieniu? I tylko dlatego chcesz dalej tak żyć? — To właśnie robił przez ostatnie półtora tygodnia: zamykał się w domu i unikał ludzi.

— Nic nie rozumiesz. Przecież wiem, że ta mała ma problemy, ale nie wolno mi się wtrącać ani nawet się nią interesować.

— Ale tak trzeba, Gordonie. Musisz się otworzyć na ludzi. — I na mnie też, chciała dodać. — A zwłaszcza na to dziecko.

Jego chłodne milczenie wzbudziło w niej dawny strach. Miała go wyrwać z otchłani, a on wciągnął tam ich oboje. Słowa popłynęły tak szybko, że aż zabrakło jej tchu, by zdążyć wypowiedzieć je wszystkie. — Słuchaj, Gordon, musimy sobie pomagać. Życie daje nam po kilka szans, by w ten czy inny sposób ocalić samych siebie. I jeśli będziemy odrzucać, to w końcu ich zabraknie.

— No to trudno — mruknął, wyciskając gąbkę.

— Jak możesz? — Jej głos zagłuszył szum wody z kranu. — Jak możesz się tak zamykać w sobie? Nie rozumiem, co to za życie. To chyba gorzej od śmierci.

Zakręcił wodę i zaczął wycierać krzesło, na którym siedziała Jada. Kiedy tak stał, pochylony nad stołem, a światło padało mu na plecy, zdało się, że próbuje zetrzeć swój własny cień.

Wieżnienny gong oznajmia, że czas wracać do celi, a on nie może ruszyć się z miejsca.

Wyciągnął gwałtownie rękę i lustro Delores spadło na podłogę. Szkło się nie potłukło, ale z ramki odpadło kilka muszelek. Telefon rozdzwonił się na dobre.

— Dzięki Bogu — odezwała się pani Jukas, gdy odebrał słuchawkę.
— A już myślałam, że wyszedłeś do pracy.

Zerknął na zegar: 6:10. Staruszka potrzebowała paru rzeczy z supermarketu. Jej skrzekliwy głos brzęczał mu w uszach. No to jak? Jeśli Gordon nie może, to niech powie wprost. Bo ona nie znosi fałszu i ludzi, którzy nie mówią tego, co myślą, a jeszcze bardziej nie cierpi prosić o pomoc, ale w jej paskudnym wieku po prostu nie ma innego wyjścia. — No więc masz tam coś do pisania? — spytała.

— Jasne — mruknął, sięgając do szafki nocnej po długopis.

— Trzy średnie brzoskwinie, tylko żeby były dojrzałe. Jeden banan żółty i dwa zielone. — Czy na pewno sobie to zapisał? Bo jeśli kupi nie to, co trzeba, to mu nie zapłaci. Odczytując, umyślnie szeleścił kartką przy słuchawce. — I jeszcze litr chudego mleka — ciągnęła. — I sześć puszek rosółu z kury z makaronem, najlepiej z niską zawartością sodu. — Nie wiedziała dokładnie, ile co kosztuje, ale w supermarkecie strasznie zdzierają i ceny są trzykrotnie wyższe. Miała mu zapłacić przy odbiorze. Aha, i niech Gordon wejdzie frontowymi drzwiami, bo z jej spuchniętą i obolałą nogą prawie wcale nie rusza się z kanapy.

Zanim wyszedł, postanowił przykleić muszelki z powrotem do ramki lusterka. Część z nich popękała, inne nie dały się wpasować na miejsce i lustro nie wyglądało już tak jak przedtem. Gordon schował je w szufladzie, żałując, że Delores mu je podarowała. Znowu poczuł się urażony jej wielkodusznością, a jednocześnie winny za to, że nie umie się odwdziaczyć tym samym.

Po rozmowie o pracę miał pójść do Shop and Save zrobić zakupy dla pani Jukas. Nie mógł przecież przyznać się jej, że go zwolnili. O dziesiątej miał spotkanie w firmie Treeshrub'n'lawn Landscaping. Przez trzy dni zakreślał kółkiem ich ogłoszenie w prasie, zanim wreszcie zebrał się na odwagę i zadzwonił. Firma mieściła się w strefie przemysłowej na drugim końcu miasta. Część drogi przejechał autobusem, a potem szedł przez parę kilometrów po zakurzonej drodze, mijając skromne, parterowe domy. Wyglądało to na jakieś niedokończone osiedle. Ale gdy dotarł do strefy przemysłowej, zaraz ogarnął go niepokój. Większość budynków miała wprawdzie szyldy, ale nie wszędzie było widać tablice z nazwami ulic i kiedy znalazł wreszcie właściwy adres, było już pięć po dziesiątej. Siedziba firmy znajdowała się w ostatnim budynku na samym końcu wielkiego, betonowego kompleksu. Przed wejściem otarł z potu twarz, szyję i ręce, zwinął chustkę i schował do kieszeni.

— No dobrze, to w czym rzecz? — spytał go potem Bart Pugh, rudobrody blondyn o miażdżącym uścisku dłoni.

— Słucham?

— Zwykle przychodzą tu sami młodzi, głównie nielegalni imigranci. A pan? Po co panu taka praca?

— Lubię pracować na świeżym powietrzu i uprawiać rośliny, a zwłaszcza róże.

— Jasne, ale my zajmujemy się koszeniem trawy.

— To też potrafię — odparł z przejęciem. — Zawsze to robię u siebie w ogrodzie.

— A używał pan kiedyś kosiarki traktorowej?

— Nie, tylko starej kosiarki ojca. To taka zwykła, ręczna, nie ma nawet silnika.

— A, rozumiem. — Wyraźnie tracąc zainteresowanie, Pugh zaczął wertować jakieś papiery na biurku. — A pana dotychczasowe zatrudnienie? Gdzie pan ostatnio pracował?

— W supermarkecie przy Nash Street, inaczej Nash Street Market.

— Naprawdę? — Pugh podniósł na niego wzrok. — I co pan tam robił?

— Różne rzeczy. Pakowałem i rozkładałem towar, i tym podobne.

— No i co się stało?

— Wylali mnie.

— Rzadko kiedy słyszę taką odpowiedź. — Pugh wyglądał na rozba-wionego. — A dokładnie za co?

— Bo widzi pan, zaszło pewne nieporozumienie.

— Jakie nieporozumienie?

— Wolałbym raczej o tym nie mówić. Chodzi o mojego szefa, a zresztą to pewnie tylko moje domysły. Lepiej oszczędzę panu szczegółów. Ale zapewniam pana, że dobry ze mnie pracownik. I niezawodny. Nigdy nie choruję ani nie urywam się z pracy, nic podobnego.

— A gdyby tak się zdarzyło? Załóżmy, że by się pan naprawdę poważnie rozchorował?

— Trudno! I tak przyszedłbym do pracy. Będę przychodził, choćby nie wiem co.

Pugh odłożył papiery na bok. — A prawo jazdy pan ma?

— Zaraz za rogiem mam autobus — wskazał gdzieś za siebie, jakby ten właśnie na niego czekał. — A potem już niedaleko, a ja lubię chodzić...

— Chwileczkę! Co takiego? Nie ma pan samochodu?

— Nie, nie mam. I prawa jazdy też nie.

— A więc to tak — westchnął Pugh, niezadowolony. — Pewnie prowadził pan po pijanemu?

— Nie, po prostu nie zrobiłem prawa jazdy.

— Czyli nielegalny imigrant? Nie wygląda pan na takiego.

Jaki był głupi i naiwny, myśląc, że uniknie tych wszystkich pytań. To dlatego, że siedział w więzieniu, wyjaśnił wreszcie. Przez wiele lat. Na dobrą sprawę spędził tam większą część życia. Ulżyło mu nie dlatego, że Pugh usłyszał całą prawdę, ale że wreszcie to z siebie wydusił.

— Pan chyba żartuje! Wcale się nie domyśliłem. Taki kawał życia! Rany boskie, a co pan takiego zrobił? Zamordował pan kogoś?

— Tak, młodą kobietę.

Pugh wgapił się w niego, jakby coś ostrego stanęło mu w gardle. — Jezu Chryste — zakwiczał. — W takim razie nie mogę pana przyjąć. Przez większość czasu pracowałyby pan tam, gdzie są kobiety i dzieci. Muszę to poważnie przemyśleć, tu chodzi o bezpieczeństwo, sam pan rozumie.

— Oczywiście.

— Na oko cholernie miły z pana gość, ale muszę być ostrożny.

— Tak, wiem. — Wyciągnął rękę i szybko się cofnął. — Dziękuję, że przynajmniej zaprosił mnie pan na rozmowę.

Gordon nacisnął dzwonek, a gdy pani Jukas nie podeszła do drzwi, postawił zakupy tuż za ścianą werandy tak, by nikt z ulicy ich nie zauważył. Ledwo zdążył wejść do domu, a już zadzwonił telefon.

— Nie mogłeś zaczekać? Właśnie szukałam torebki! — wybuchła pani Jukas.

— Myślałem, że pani śpi.

— Co takiego? Przecież ja nigdy nie śpię, tylko tak sobie leżę. Jestem ci winna pieniądze. Zostawiłabym je przed drzwiami, ale lada chwila będzie tu ta mała. Od razu wiedziałam, że jest jakaś dzika, ale to za mało powiedziane. Z nią jest naprawdę coś nie tak. To jej spojrzenie, te jej nocne wędrówki. I bez przerwy obserwuje twój dom. Jest taka...

— To mam teraz zająrzeć do pani? — przerwał jej.

— Jak sobie chcesz.

Już odliczone, powiedziała, podając mu banknoty i parę monet przez lekko uchylone drzwi. Nie podziękowała mu, ale przynajmniej ucieszyła się, że zrobił zakupy w Shop and Save, a nie w Nash Street Market, co to od lat zdzierają z ludzi pieniądze. Odparł, że po prostu było mu po drodze. Następnym razem miał jej kupić wybielacz i małą butelkę napoju alkoholowego Fab.

— Leonardo! Gdzieś ty się podział, głupi psie! — rozległ się krzyk po drugiej stronie ulicy.

— No ładnie, ładnie. — Pani Jukas wyjrzała zza jego łokcia. Jej głowa sięgała mu gdzieś między biodro a ramię. — Aż dziw bierze, że nikt się za nią nie weźmie.

Marvella Fossum stała na schodach z papierosem w ustach. Miała na sobie cienką, wytartą koszulę nocną, która opinała jej okrągły brzuch. Zanosząc się od kaszlu, zapalała jedną zapałkę po drugiej.

— Paskudny widok, prawda? — rzuciła pani Jukas, kręcąc głową. — Rozmnażają się jak szczury. Ciągłe przychodzą do niej jacyś mężczyźni. Całymi nocami. A właściciel nawet nie może jej wyeksmitować, bo sprawa wlokłaby się w sądzie bez końca. Wszyscy mają swoje prawa, tylko nie my. W zeszłym tygodniu była tu policja, ta Hiszpanka Inez ich wezwała. Którejś nocy było tam trzech mężczyzn, a ta mała czekała przed domem. Tylko czekać, aż pójdzie w ślady matki. Inez mówiła, że strasznie wtedy lało i widziała, jak dziewczyna tu biegła.

— Gdzie? — Czy padało tamtej nocy, kiedy wpuścił ją do domu? Nie, nie padało.

— Do twojego garażu. Zdjęła z gwoździa klucz...

— Halo! Proszę pana! — Marvella schodziła na dół. — Potrzebuję ognia. Masz pan zapałki albo zapalniczkę? Wszystko jedno, byleby się zapaliło.

— Nie, nie mam — uciał szybko, ale ona już szła w ich stronę.

— A pani? — zwróciła się do pani Jukas, która od razu zamknęła drzwi. W słońcu Marvella wyglądała tak, jakby była całkiem naga. — Chcę tylko zapałkę — j ę k n ę ł a . — Czy to aż taki problem?

— Mamo! — Jada pędziła przez ulicę z torbą na rękach, a po chwili szybko wślizgnęła się między matkę a Gordona.

— Gdzieś ty się, do diabła, podziewała? — ryknęła Marvella.

— Mówiłam ci przecież, że idę do sklepu i zaraz wracam.

— Jasne, dobrze ci zostawiać mnie samą z tym cholernym psem, co pysk mu się nie zamyka. Nic nie mogę przełknąć, nawet krakersów. Tak mnie mdli, że od razu wszystko zwracam. — Jej drobna, okrągła twarz wykrzywiła się ze złości i żalu nad samą sobą.

— Spokojnie, mamo. Masz, przyniosłam ci oranżadę. — Jada postawiła zakupy na ziemi i odkręciła butelkę, ale matka wzdrygnęła się z obrzydzeniem na jej widok.

— Potrzebuję tylko zapałek. I nikt nie chce mi ich dać. O nic więcej nie proszę — j ę c z a ł a , jakby Jada domagała się od niej wyjaśnień.

— Nie mam zapałek — wtrącił Gordon, ciągle unikając wzroku Jady.

— Jasne, że pan masz! — Marvella zmrużyła paciorkowate oczy, wyraźnie ubawiona jego zakłopotaniem. — Po prostu nie chcesz pan dać, i tyle.

— Mamo, ten pan nie pali. Chodź, na pewno kilka się znajdzie. Zaraz ci przyniosę.

— Mogłaś mówić od razu — mruknęła Marvella, kiedy Jada schyliła się po zakupy i ruszyła w stronę domu. — Toby mi nie uciekł.

Jada stanęła jak wryta. — Leonardo?

Szlochając, Marvella skinęła głową. — Szukałam zapałek. Musiałam zostawić otwarte drzwi. Nawet nie zauważyłam, jak gdzieś zwiął.

— Co ty mówisz? A szukałaś go chociaż?

— A jak myślisz? Przez cały czas stałam przed domem. Wołałam i wołałam. Leonardo! — zawyła, chwycając się z wysiłku. — Leonardo! Leonardo!

— Widziałeś go? — zwróciła się Jada do Gordona.

— Nie.

— No, to chodź już, mamo. Szybciej, bo chcę go poszukać. Muszę go znaleźć — powiedziała, prawie siłą ciągnąc matkę przez ulicę.

Gordon ruszył prosto do garażu, zdjął klucz z zardzewiałego gwoźdźdza i schował do kieszeni. Delores twierdziła, że powinien zatroszczyć się o tę małą, a tymczasem ona budziła w nim tylko strach. Nijak nie mógł się od niej uwolnić. Była jak czarcie ziele, które usuwał z ziemi. Ono za-

wsze pozostawiało na jego dłoniach ten okropny odór. Próbował wszystkiego: octu, środka na chwasty, przycinania przy korzeniach, ale odór wracał. Gordon zatrzymał się na podjeździe. Wyraźnie słyszał skamlenie. Zajrzał do ogrodu, pod schody, po czym ruszył do granicy posesji, skąd dochodził dźwięk. Nie ścinane od lat krzewy rozrosły się tak, że nie sposób było się przez nie przedrzeć, nawet komuś jego wzrostu i postury. Skamlenie stało się coraz głośniejsze. Gordon przykląkł i zajrzał w gąszcz, gdzie napotkał błagalne spojrzenie wyjącego psa. Sznurek, który służył mu za smycz, zaplątał się w krzaki tak, że zwierzę ledwo mogło się poruszać. Gordon próbował go rozplatać, ale sznur zahaczył się o gałęzie, więc przyniósł z garażu sekator. Udało mu się go przeciąć za pierwszym razem. — No chodź, piesku — nawoływał, usiłując złapać końcówkę sznura, ale nie musiał tego robić, bo pies od razu sam wskoczył mu na rękę. Gordon zaniósł go na drugą stronę ulicy.

— Jady nie ma — zawołała Marvella przez otwarte okno.

— Znalazłem waszego psa. Właśnie go przyniosłem — oznajmił.

— To nie mój pies. Nie mam żadnego psa.

— To Leonardo — zawołał, schylił się i zajrzał przez okno, ale na widok jej zamglonej sylwetki na kanapie szybko się wyprostował. Kokaina. Kobieta podpałała ją i wciągała przez słomkę z butelki po napoju. — To pies pani córki. Przeprowadziłem go tu.

— Jezu Chryste, nie chcę żadnego psa! — krzyknęła, odpędzając go ruchem dłoni. — Weź go pan sobie, proszę bardzo.

— Nie mogę. A zresztą na co mi pies. W takim razie zostawię go tu, przy drzwiach.

W jednej chwili otworzyły się sąsiednie drzwi i na werandę wyszła Inez ze swoją czteroletnią wnuczką, która śmiejąc się, wyciągnęła rączki, by pies oblizywał jej palce, ale babka zgromiła ją surowo po hiszpańsku i dziecko szybko schowało ręce za siebie.

Wtedy Marvella otworzyła drzwi i przez dłuższą chwilę przyglądała się psu ze zdziwioną miną, jakby nigdy przedtem go nie widziała. — Błagam, zabierz go pan stąd — jęknęła. — Albo weź go pan sobie, mam to gdzieś.

— O nie, tak nie można — odparł, przytrzymując psa, który skamlał i wrywał się do Marvelli.

— A na co mu twój pies — fuknęła Inez. — Sama się go pozbądź, jeśli chcesz. To twój problem.

— Stul gębę! — wrzasnęła Marvella. — Stul tę głupia...

— Przestań! — odwarknęła jej Inez, wskazując na uczezione jej nóg dziecko.

Marvella skuliła się na ten groźny ton. — Jasna cholera — mruknęła, zabierając psa. — Jeszcze tego mi trzeba.

— Dziękuję pani — rzucił Gordon, gdy Inez z wnuczką wyszły na ulicę, i opowiedział, jak znalazł psa zaplątanego w krzaki.

— Trzeba było go tam zostawić. Lepsze to niż ten dom — splunęła i ruszyła ulicą, ciągnąc za sobą dziecko.

Po paru minutach Jada już stała przy jego drzwiach. Dzwoniła, pukała, a nawet próbowała wejść tylnymi drzwiami. Widocznie chciała mu podziękować, ale wystarczy, że okaże jej odrobinę uprzejmości i zamieni z nią parę słów, a zaraz będzie próbowała wkraść się w jego życie. Zaczekała na górze, aż sobie poszła.

Właśnie jadł kanapkę z tuńczykiem, kiedy zadzwoniła Delores. Okazało się, że całkiem zapomniał o koncercie w parku. Zaprosiła go przed dwoma tygodniami, gdy w jego życiu jeszcze panował spokój, a teraz wpadł w kłopoty. Nie miał pracy, pieniądze mu się kończyły, a na domiar złego wczoraj przy zdrapywaniu farby ze ściany domu nadwerżył sobie kręgosłup. Nie miał drabiny, więc wspiął się na poręcz werandy i jakoś sobie radził, dopóki drewno pod nim nie pękło. Szybko zeskoczył na ziemię, ale upadł tak nieszczęśliwie, że coś mu strzyknęło w dole pleców. Bolało go najbardziej wtedy, gdy długo chodził — tłumaczył Delores, na co ona odparła, że wcale nie będzie musiał chodzić, bo parking jest zaraz przy muszli koncertowej. Przy długim siedzeniu też go boli, dodał.

— Pewnie nie chcesz jechać, **co?** — spytała wprost.

— Nie, nie o **to** chodzi. Jasne, że chcę. **Tylko** ten mój kręgosłup... — Rzeczywiście nie miał ochoty jechać, ale nie chciał jej denerwować. Nie widział jej **od** ich wspólnego wyjazdu na plażę i się za nią stęsknił. Rozmawiali przez telefon, ale Delores była jakaś podenerwowana, niemal oschła i bał się, że Jada opowiedziała jej o tym, jak leżała z nim w łóżku.

— To dobrze. W takim razie przyjadę **po** ciebie za kwadrans. Wyjdź, jak zatrąbię — powiedziała i Gordon **od** razu zaczął się przygotowywać.

Wkrótce potem siedział w parku Dearborn Common **na** trochę za **ni**-skim, plastikowym krześle i drżąc z zimna, słuchał utworu *Sweet Caroline* w wykonaniu jakiegoś kwartetu.

Było chłodno, a Delores miała **na** sobie bluzkę bez rękawów. Twierdziła, że nie jest **jej** zimno. — A wszystko dzięki duszcykowi — powiedziała, podając mu **na** talerzu smażonego kurczaka własnej roboty, a **do**

tego sałatkę z ziemniaków, fasolę i chleb kukurydziany. Mięso było jeszcze ciepłe i chrupiące. Delores umiała świetnie gotować, za to jego matka tego nie lubiła i większość potraw przygotowywał ojciec. Jednak, nie wiedząc czemu, po wyjeździe Gordona wszystko się zmieniło. Dennis twierdził, że z czasem matka polubiła gotowanie, a Gordon tkwił w przekonaniu, że to jego nieobecność ją do tego zachęciła. O ile łatwiej musiało jej być, gdy jej niezdarny, stuczterdziestokilogramowy syn przestał wchodzić jej w drogę.

Zajadał się wszystkim, co Delores miała w koszyku. Upiekła nawet szarlotkę, ale była tak gorąca, że nie dało się jej pokroić ani zapakować i mieli ją zjeść później, u niej w domu. Gordona wciąż bolały plecy i po koncercie najchętniej pojechałby do domu, ale nie chciał urazić Delores, tym bardziej że upiekła ciasto. W oddali pobłyskiwały świetliki, a małe dziewczynki tańczyły boso wokół artystów, którzy z jakiegoś powodu grali tuż pod sceną na rozkładanych krzesłach.

Delores machała do mijających ich ludzi. Ma tu sporo znajomych jak na kogoś, kto nawet nie mieszka w Dearborn, zauważył głośno. Odparła, że większość z nich to klienci sklepu oraz ci, którzy wzbogacili się na tyle, by móc się przeprowadzić z Collerton do Dearborn.

— Widzisz ją? — szepnęła i skinęła głową do przechodzącej kobiety. — To Dawn Lintz. Chodziła z nami do szkoły. Wyszła za męża w ten sam weekend, w którym kończyliśmy szkołę, pamiętasz? Jej ciążę było widać nawet pod togą.

— Aha — mruknął. Rzecz jasna, nie pamiętał, ale mimo to dał się ponieść jej głosowi w wir wspomnień, które nie dotyczyły nawet jego samego.

— Już dwa razy była mężatką i ma trójkę dzieci, każde z innym facetem. Jej syn to olimpijczyk, jest gimnastykiem, a właściwie był, bo teraz pracuje chyba jako trener...

Gordon słuchał jednym uchem, upajając się bardziej jej bliskością. A więc Jada jednak nie pisnęła ani słowa, skoro Delores zachowuje się tak jak zwykle, uznał w duchu. Jego czujność słabła z każdą chwilą. Ona jedyna znała go najlepiej, a mimo to nic jej w nim nie przeszkadzało.

— No i postanowiłam tak zrobić. Już widzę, jak cała moja rodzina wpadnie w szal, i wiesz co?

— Hę? Co takiego? — Nie miał pojęcia, o czym ona mówi.

— Mam to gdzieś! I co ty na to? — zaśmiała się. — Oni wszyscy założyli rodziny, to niby czemu ja nie mogę? Przez cały czas myślałam, jaka ze mnie nieudacznica, bo jestem sama i nie mam rodziny tak jak inni. Ale

potem zaczęłam się zastanawiać, jak ciężko musi być tobie. Wróciłeś, wszyscy cię tu znają, a ty nie pozwalasz, by cokolwiek stanęło ci na przeszkodzie, tylko idziesz naprzód, próbujesz zacząć od nowa i zrobić coś ze swoim życiem. Podziwiam cię za to. Kiedy tak na ciebie patrzę, myślę sobie: do diabła, niech inni mówią, co chcą, a ty, kobieto, rób swoje! — dodała, szperając w dużej torbie z plecionej słomy, ubrudzonej majonezem i pokazała mu niewyraźne zdjęcie jakiegoś smutnego chińskiego dziecka.

— To Mary Catherine — odrzekła, gdy zapytał, kto to jest. — To znaczy, tak dam jej na imię. Na razie nazywa się May Loo. No i co ty na to?

— Milutka i bardzo ładna, ale kim ona jest? I po co chcesz zmieniać jej imię?

— Mówię ci przecież, że mam zamiar ją adoptować. Ma już niespełna rok i przebywa w misyjnym domu dla sierot Najświętszej Matki Chrystusowej w Kawang. Załatwienie formalności potrwa jakieś pół roku, potem będzie już moja. — Delores przycisnęła zdjęcie do piersi i wzięła głęboki oddech. — **Jeszcze** jej na oczy nie widziałam, a już ją kocham — dodała łamiącym się głosem i zamilkła na chwilę. — Nawet sobie nie wyobrażam, jakie to uczucie tulić takie maleństwo w ramionach.

Gordon nie wiedział, co powiedzieć. Był wyraźnie zakłopotany. Delores nie miała przecież męża ani pracy. Przyszła mu też na myśl ciężarna matka **Jady**, niezamężna i bezrobotna, a w dodatku ćpunka. Świat był coraz bardziej zwariowany.

— Tak się cieszę, Gordonie. — Wyciągnęła rękę i ścisnęła mu dłoń. — Nigdy w życiu nie byłam taka szczęśliwa, nic mnie tak nie cieszyło. A wszystko dzięki tobie, bo taki dobry i silny z ciebie człowiek.

Uśmiechnął się i przez chwilę, dosłownie w ułamku sekundy, zastanawiał się, czy naprawdę mogłoby tak być.

Wziął pilota i zaczął skakać po kanałach. W ogromnym telewizorze Delores było ich dziesięciokrotnie więcej.

— To dlatego, że nie masz kablówki — wyjaśniła, postawiła na stoliku dwa kawałki szarlotki z lodami i usiadła obok Gordona. — Powinieneś sobie założyć.

— A po co, skoro mogę przyjść pooglądać u ciebie — odparł, zafascynowany potokiem szybko zmieniających się obrazów.

— No racja — przyznała i przez chwilę jedli w milczeniu.

— Co za pyszności — podsumował, po raz kolejny zauważając, że Delores dopiero co zabiera się do jedzenia, podczas gdy on już skończył.

— Pieczesz najlepszą szarlotkę.

— Dziękuję, Gordonie, ale nieprędko upiekę następną.
— A to dlaczego? — zdziwił się, speszony swoim zaniepokojonym tonem.

— Dlatego, że muszę dbać o zdrowie! — Wzięła ze stolika zdjęcie dziewczynki. — Nie chcę być wielką, niezdarną mamuszką, skoro mam się uganiać za tą małą po placu zabaw — rzekła, wyciągając ręce. — Zobacz, schudłam już cztery i pół kilo. Zaczęłam tego samego dnia, kiedy podjęłam decyzję o adopcji.

— Myślałem, że to z innego powodu — przyznał, chociaż wcale nie chodziło mu o to, że schudła, tylko o ten dziwny spokój, który ją ogarnął, coś jakby rezygnacja.

Delores przywarła do niego. — Och, Gordonie — westchnęła i odwróciła się, a jej ciężki biust przesunął się po jego piersi, kiedy poruszył się razem z nią. — Czy wszystko w porządku? Nie przeszkadza ci, że tu jesteśmy? — spytała, muskając wargami jego uszy, oczy i usta. — Możesz pójść do domu. Przeszanę, jeśli tego chcesz. Zrobię wszystko, co tylko zechcesz, spełnię każde twoje życzenie, tylko daj mi znać. Mów, co mam robić...

Jak miał jej powiedzieć? W głowie mu wrzało od tych wszystkich barw i gorąca. Niezdolny myśleć ani mówić, sapnął tylko i skinął głową na znak zgody i zadowolenia. Delores rozpięła bluzkę, położyła jego dłoń na swojej piersi, jęknęła, prosząc, by nie ścisnął. — Spokojnie, tylko spokojnie... — szeptała, wzięła go za drugą rękę i zaczęła się nią dotykać, coraz niżej i niżej. W napływie oślepiającej żądz widział jej twarz jakby za mgłą. Kiedy wstał z miejsca, był całkiem nagi. Oboje byli nadzy i Gordon nie pamiętał już, czy sam zdjął ubranie, czy to ona go rozebrała. Trzymając ją za rękę jak małe dziecko, poszedł za nią do sypialni i, objęci, opadli na łóżko. Tam bez reszty oddał się pożądaniu.

Po pierwszej próbie, zachęcony własną odwagą, Gordon udał się jeszcze do czterech innych miejsc. Najtrudniej było wytłumaczyć, skąd się wzięła w jego życiorysie dwudziestopięcioletnia przerwa, bo wtedy musiał wyznać całą prawdę. Petro, właściciel baru Athens, chciał tylko wiedzieć, czy Gordon umie czytać i pisać, i od razu go zatrudnił. Pizzeria i bar kanapkowy Athens mieściły się naprzeciwko fabryki butów Paramount Shoe Manufacturing. I tak dwa razy dziennie, w południe i o wpół do piątej, na koniec zmiany w Paramount, kolejka ustawiała się aż za drzwi. Piece do wypiekania pizzy obsługiwał sam Petro, łysy, spocony jegomość, który umiał po angielsku zaledwie parę słów i zwrotów i zawsze poprze-

dzał je tym samym wyrazem: kurde, gorące; kurde, gotowe; kurde, spieprzać mi stąd.

Do obowiązków Gordona należało przyrządzanie kanapek. Nadzorował go Chad, siedemnastoletni Amerykanin kambodżańskiego pochodzenia, który uczył się w wieczorówce. Ów cichy, młody człowiek w ciągu trzech dni cierpliwie przeszkolił Gordona i przepytął go z wszystkich możliwych kombinacji. Lista składników każdej kanapki była wypisana na wielkiej planszy zaraz za ladą i w razie gdyby Gordon czegoś zapomniał, wystarczyło tylko zerknąć, ale i tak przez cały czas był bardzo spięty. Chad raz po raz zapewniał go, że robienie kanapek świetnie mu idzie, ale największym problemem Gordona była jego pokaźna sylwetka. Ciągłe wchodził komuś w drogę, a zwłaszcza Petrowi, który swoją długą, drewnianą łopatą to wkładał pizzę do pieca, toje stamtąd wyjmował. Wtedy Gordon przyśpieszał kroku i przywierał do ściany, byleby uniknąć spotkania z obracającą się łopatą. Płacili mu lepiej niż w supermarkecie, obowiązywał go ośmiogodzinny dzień pracy, a przy tym mógł się najeść, ile dusza zapragnie. Czwartego dnia, kiedy kroił na pół kanapkę z klopsiem, Petro przybiegł do zlewu z łopatą w ogniu. Usuwając się mu z drogi, Gordon wielkim nożem rozciął sobie dłoń. Owinięty w ręcznik lód nie powstrzymał strumienia krwi i Chad chciał go zawieźć do szpitala, ale Gordon się nie zgodził. Nawet Petro nalegał, żeby pojechał, to mu, kurde, szwy założą. Niestety, Gordon nie mógł. Nie był ubezpieczony i Dennis uprzedzał go, czym ryzykuje, a teraz jego słowa się sprawdziły. Jedna wizyta w szpitalu mogła go kosztować kilkaset czy nawet parę tysięcy dolarów. W końcu Chad odwiózł go do domu, ale przez całą noc ręka pulsowała mu z bólu. Następnego dnia w pracy naciągnął na zabandażowaną dłoń gumową rękawicę, ale najmniejszy ucisk wzmagał krwawienie, aż cała rękawica wypełniła się krwią i Chad musiał zawieźć go do domu. Nazajutrz Gordon owinał dłoń ręcznikiem, okleił go taśmą klejącą, wcisnął w rękawicę i poszedł do pracy. Sytuacja się powtórzyła i znów Chad zawiózł go do domu, ale zanim Gordon wysiadł z auta, oznajmił mu, że Petro kazał mu już więcej nie przychodzić. Zatrudnił kogoś innego.

— Strasznie mi przykro, to nie fair — dodał młody swoim łagodnym tonem.

— Jasne, nie ma sprawy. Ciężko mi, ale go rozumiem. Musi dbać o swój interes.

— Przecież to była jego wina! — zauważył Chad.

— Słuchaj, czy to ważne?

— No pewnie!

- Daj spokój, to się nie liczy.
- Mylisz się. W tym kraju wszystko się liczy — dodał żarliwym tonem świeżo upieczonego obywatela-patrioty.

Delores była przerażona. Owinęła mu dłoń gazą i plastrem tak mocno, że aż palce mu zsiniały. — Trzeba będzie założyć szwy — oznajmiła, ucięła plaster i założyła dodatkowy bandaż. — To nie będzie kosztowało tyle, ile myślisz. Zresztą dam ci pieniądze.

- O nie!
- W porządku, w takim razie pożyczę ci.
- Słuchaj, przecież nawet nie mam pracy i od miesiąca zalegam z rachunkami.
- Przestałyś unosić się dumą. Gdybym ja potrzebowała pieniędzy, to bez wahania zwróciłabym się do ciebie.
- Tyle tylko, że nie miałbym ci z czego pożyczyć.
- Ale gdybyś miał, to byś pożyczył, nie?
- No tak. Gdybym miał pieniądze, a ty byłabyś w potrzebie — wyjąkał niepewnie, widząc w jej oczach cień żalu, który natychmiast zniknął. W wybaczeniu była równie wielkoduszna jak we wszystkim innym. Zazdrościł jej choćby z tego powodu, że sam doznawał bólu i rozterek za każdym razem, gdy musiał dawać albo się dzielić.

Kiedy ostatnio się kochali, wyznała mu, że go kocha. Nie był pewien, czy odwzajemnia tę miłość, bo tak naprawdę to uczucie było mu obce. Uniesienie, które towarzyszyło mu na co dzień niemal w każdej chwili, nie mogło być miłością. Przy Delores odczuwał jedynie zadowolenie. Przynajmniej nie musiał zastanawiać się nad każdym słowem, zanim otworzył usta. Kiedy telefonowała, lubił słyszeć jej głos i już nie podskakiwał na dźwięk dzwonka u drzwi, ale gdy zostawał sam, rzadko kiedy o niej myślał. Miłość — uznał w duchu — to chyba ten ból, który towarzyszy wspomnieniom o Jilly Cross.

- Czy Dennis wie, że skaleczyłeś się w rękę?
- A skąd. Nie wie nawet, że wylali mnie ze sklepu.
- No wiesz, Gordon!
- Ale powiem mu, gdy już znajdę nową pracę.
- Musisz mu powiedzieć. Nie wolno ci niczego przed nim ukrywać.
- A dlaczego nie, skoro on też wszystkiego mi nie mówi? — odparł, zaskoczony wybuchem złości, a zarazem poczucia winy. Już sama rozmowa o romansie Dennisa oznaczała brak lojalności wobec brata, Lisy i Jilly i sprawiała mu przykrość, bo stał się częścią ich prywatnego życia, jeszcze

zanim zdołał ułożyć sobie własne. Romans Dennisa był jak niewidzialny mur, dzielący go od brata. Czuł, że musi coś z tym zrobić, ale nie bardzo wiedział co.

— Dennis chce ci pomóc. Zależy mu na tym, żeby być blisko ciebie, Gordonie. Zawsze, kiedy jeździliśmy cię odwiedzić, powtarzał, jak cudownie będzie, gdy wreszcie wrócisz do rodziny.

Doktor Loomis już wie, że pan przyszedł — oznajmiła recepcjonistka. — To nie potrwa długo. Prosił, żeby zaczekał pan w jego gabinecie.

— Zaczekam tutaj — odparł, zanim zdążyła podnieść się z miejsca. — To żaden problem. Posiedzę sobie i poczekam. — Zwykle do głowy by mu nie przyszło nachodzić brata w godzinach pracy, ale nie miał innego wyjścia. Musiał pożyczyć pięćdziesiąt dolarów, bo po drugim ponagleniu z elektrowni ogarnął go paniczny strach. Czuł się fatalnie, że przez cały tydzień jadał kolację u Delores, ale jeszcze bardziej upokarzające było przyjść z pustymi rękami.

Jedynym miejscem, gdzie udało mu się zatrudnić, była firma przewoźowa. Uznał, że dłoń już się zagoiła, ale po dwóch dniach rana pękła i krew zaczęła mu kapać na białe kafle w holu jakiegoś domu. Nowa właścicielka była przerażona. — A jeśli ma AIDS? — wybuchła, wskazując na Gordona, który klęczał na podłodze, skrobiąc zaplamione fugi i tamując krew papierowymi ręcznikami. — Przecież ja mam dzieci! Najmłodsze jeszcze raczkuje.

Kierownik trącił go butem. — Masz AIDS?

— Nie.

Dał mu na taksówkę i wysłał go do domu, „dopóki to cholerstwo się nie zagoi”.

Gordonowi bardzo zależało na tej pracy i jak tylko mógł, doglądał ręki. Dwanaście pięćdziesiąt za godzinę to niezła stawka, ludzie go polubili. Nie było takiej rzeczy, której by nie podniósł. Po raz kolejny powąchał rękę. Ciągłe bolało, a od rana spod bandaża wydobywał się jakiś dziwny odór. Plaster i gaza sporo kosztowały, dlatego Gordon zmieniał opatrunek co parę dni.

— Fotele w gabinecie pana doktora są wygodniejsze.

— Dobrze mi tu, na tym krześle. — Postukał w drewniane podłokietniki. — Jest całkiem niezłe i wygodne.

— Jak pan woli — westchnęła recepcjonistka. — Doktor powinien przyjść lada chwila — dodała, pochylając się nad klawiaturą.

Przyglądał się jej znad czasopisma. Może Dennis zerwał z Jilly i to jego nowa kochanka. Była starsza i nie dorównywała Jilly urodą ani klasą. Żuła gumę przednimi zębami. Miała ekstrawagancko najeżone włosy, nie tak miękkie i idealnie gładkie jak Jilly. W piersi poczuł dziwne ukłucie zardrości. Skąd to podenerwowanie? Czy chciał, aby brat nadal widywał się z Jilly? Drzwi się otworzyły, wszedł jakiś starszy mężczyzna i usiadł naprzeciwko niego, a po chwili asystentka wyprowadziła siwowłosą kobietę z ustami pełnymi zakrwawionych wacików. Mężczyzna wstał, objął ją ramieniem, spytał, czy wszystko w porządku, po czym oboje wyszli.

— Cześć, Gordo.

Wszedł za Dennisem do jego gabinetu. Stały tam masywne meble o ciemnych, zdobionych frontach, inkrustowanych pozłacany drewnem. Żaluzje były zaciągnięte, lampy miały czarne abażury i Gordon musiał mrużyć oczy, by lepiej widzieć siedzącego za biurkiem brata. Wiedząc, ile dumy przynosi Dennisowi cały jego dobytek, pochwalił jego piękny gabinet, zwracając szczególną uwagę na wielki obraz olejny w pozłacanej ramie, wiszący nad szafą. Był to portret siwego jegomościa w czarnym garniturze i koszuli ze sztywnym kołnierzem. — Jakbym gdzieś już go widział. Wygląda dziwnie znajomo — zauważył Gordon, przekrzywiając głowę, by lepiej mu się przyjrzeć.

— To by się nawet zgadzało. To przecież Clancy Meldrin.

— A kto to taki?

— Nasz pradziadek. Dziadek mamy.

Gordon dziwił się, jak bardzo są do siebie podobni. Mężczyzna przypominał Dennisa w starszym wieku. Matka zawsze chwaliła się, że Clancy Meldrin miał w Irlandii kilkaset hektarów ziemi, dopóki jakiś Anglik go nie ocyganił. Gordon spytał, skąd się wziął ten obraz. Wyglądał na stary, a nie pamiętał, żeby kiedykolwiek wisiał u nich w domu. Dennis odparł, że namalowano go na zamówienie. Ale jak? — dziwił się Gordon. Pewnie z jakiejś starej fotografii?

— To autentyczny portret! — zaśmiał się Dennis. — Dobra robota, co? — Pozował do niego jeszcze z Irlandii, sto lat temu, a artyście kazał wyobrazić go sobie jako starca, kulturalnego i wykształconego bez względu na to, że wszystko stracił. Gordon spoglądał to na portret, to na siedzącego pod nim brata. Zaniepokoiło go to szokujące podobieństwo i po raz pierwszy w życiu wstydził się za brata.

W skrócie wyjaśnił, po co przyszedł. Stracił pracę w sklepie, ale znalazł inną. Pokazał mu obandażowaną dłoń, napomykając o ostrym nożu, nawale klientów i palącej się łopacie Petra. Ale nie było powodu do niepo-

koju, bo miał już nową pracę, tylko trzeba zaczekać, aż rana się zagoi. — Przyjmą mnie z powrotem, ale najpierw muszę to wyleczyć, żeby mi się nie otwierało.

Dennis zapytał, czy może zerknąć i Gordon odwinął plaster. Odchylając opatrunek, Dennis stwierdził, że wdarło się zakażenie. Rzeczywiście, przyznał Gordon. Tak też mu się zdawało, bo od paru dni pojawiły się zaczerwienienie i zapach. Trzeba natychmiast założyć szwy i zażyć antybiotyki, orzekł Dennis.

Gordon odparł szybko, że nie po to tu przyszedł. Potrzebne mu pięćdziesiąt dolarów na zapłacenie rachunku za prąd. Rzecz jasna, to tylko pożyczka. Odda mu zaraz po wypłacie.

— Posłuchaj — zaczął Dennis, pochylił się nad biurkiem i, poirytowany, zaczął coś wypisywać. — Przecież to bez sensu. Czy ty mnie wreszcie posłuchasz? Zdaje ci się, że pozjadałeś wszystkie rozumy?

— Wcale nie.

— Naprawdę? Bo takie sprawiasz wrażenie, Gordo. — Oderwał z bloczka jakąś kartkę i cisnął na blat.

— Nie mogę zrealizować czeku, musiałem zamknąć rachunek. To się na nic nie zda — dodał, wskazując na kartkę.

— To nie czek, tylko recepta na to świństwo, które robi ci się na ręce.

— Aha, to przepraszam. Widziałem, że coś piszesz. Myślałem, że wypisujesz czek.

Dennis pokręcił głową. — A mogłeś pracować w Corcopaxie! Wszystko było już załatwione!

— I tak by mnie nie przyjęli.

— A co ty tam wiesz!

— Wiem, bo sami mi mówili. Ta pani powiedziała...

— Mógłbyś pracować w browarze. Wystarczy jeden telefon. Słuchaj, zaraz zadzwonię do Toma Harringtona...

— Nie! Ani się waż. Nie chcę.

Dennis zgromił go wzrokiem. — A czy ty w ogóle wiesz, czego chcesz? Tak czy nie?

— Przepraszam, nie chciałem cię martwić...

— Czyżby? — Dennis uniósł ręce i zaśmiał się. — Ty jeden rujnujesz mi życie!

— Naprawdę? — wyjąkał. Twarz mu płonęła.

— Proszę — rzucił Dennis, sięgnął do kieszeni, wyjął cztery stułarowe banknoty. — Nie musisz oddawać.

— Potrzebne mi tylko pięćdziesiąt. Oddam w przyszłym tygodniu.

— W przyszłym tygodniu mnie nie ma, więc bierz i nie gadaj. — Podał mu pieniądze. — Jeśli ci się nie przydadzą, to nie ma sprawy, przynieś z powrotem.

Gordon zawahał się, ale wziął pieniądze. — Wyjeżdżasz gdzieś? — spytał, speszony.

— Na Bermudy — uśmiechnął się Dennis. — Na konferencję stomatologiczną.

— ZLisą?

— Nie tym razem. Będzie tyle seminariów, że by się jej znudziło.

— Ale jedziesz z Jilly Cross, prawda?

— Co? O czym ty mówisz?

— Ona też jedzie na Bermudy. Mówiła mi, kiedy spotkałem ją wtedy na pocztce. — Odłożył pieniądze na biurko. — I po co to robisz? A Lisa i dzieci? Masz takie udane życie, a ty...

— No nie, co ty, do diabła, wygadujesz...

— Chodzi o ciebie i Jilly. Wyjeżdżacie sobie razem. Jak możesz?

Dennis zerwał się z fotela. — Jak rozumiem, nie potrzebujesz już niczego więcej ode mnie ani ja od ciebie, tak? — Wziął banknoty i cisnął je Gordonowi prosto w twarz. — Więc wynoś się stąd, do cholery!

Podróż autobusem trwała zaledwie kilka minut, a potem został mu jeszcze kawałek pieszo, który przeszedł jeszcze szybciej. Nie był pewien, czy ją zastanie, ale to nie miało żadnego znaczenia. Liczyło się to, że próbował, że przynajmniej coś zrobił. Nie mógł przez całe życie chować głowy w piasek, udawać, że nie widzi, nie działać zgodnie z honorem. Nie tylko Lisa i dzieci ucierpią przez bezmyślność Dennisa, ale i niewinna młoda kobieta.

Już na ulicy Jimmy dogonił go na hulajnodze. — Chodź do ogrodu zobaczyć domek na drzewie. Wczoraj z tatą właśnie go skończyliśmy.

— Jasne, ale najpierw muszę porozmawiać z waszą mamą. — Naciśnął dzwonek, ale Jimmy podbiegł szybko i otworzył drzwi.

— No, wejdź! — zachęcił go ruchem ręki. — Mamo! Mamo, gdzie się podziałaś? Przyszedł wujek Gordon! Pewnie jest na dole. — Otworzył drzwi do piwnicy. — Mamo! Mamo! — zawołał.

— Co się stało? O co chodzi? — krzyknęła z dołu i, przerażona, wbiegła na schody. — Gordon! — Uściskała go. — Och, Gordon, tak się cieszę, że jesteś. Co za miła niespodzianka. — Przyjrzała mu się. — Zaraz, czy wszystko w porządku?

— Słuchaj, musimy pogadać.

— Oczywiście. A ty, Jimmy, możesz już iść na dwór.
— Ale ja chciałem pokazać wujkowi domek na drzewie. Zaraz wróci-
my.

— Już cię tu nie ma — wyprosiła go za drzwi. — Jak skończymy, to
cię zawołam.

Kiedy Jimmy wyszedł, zaproponowała mu kawę, sok i wodę. Nie, nie
trzeba, odparł i podziękował. No to wejdź i siadaj, poprosiła. Poszedł za
nią do kuchni, ale nie usiadł.

— No więc o co chodzi, Gordon? Coś nie tak?

Skinął głową i krew odpłynęła jej z twarzy.

— Co się stało? Mów. Mnie możesz powiedzieć.

Ale on tylko na nią patrzył. W swoim oburzeniu i złości nawet nie
przemysłał, co powiedzieć. — Już dobrze — dodała łagodnie. — Choćby
nie wiem co, to i tak ci pomogę. Przecież wiesz. Jesteś dla mnie jak rodzo-
ny brat. — Położyła mu dłonie na ramionach. — Naprawdę. I mam
nadzieję, że ty traktujesz mnie jak siostrę.

— Oczywiście.

— Jesteśmy przecież rodziną i musimy sobie pomagać, prawda?

Skinął głową. Tak. I dlatego właśnie tu przyszedł. I znowu siedział jak
sparaliżowany. Nie mógł, nie potrafił tego zrobić. Brakowało mu odwagi,
siły, energii — cokolwiek by to nie było.

— Czy mam zadzwonić do Dennisa? Właśnie ma przerwę i...

— Nie. Ja właśnie w tej sprawie. Chodzi o Dennisa. On się spotyka
z inną kobietą, już od jakiegoś czasu, a teraz jedzie z nią na wycieczkę.

Przymknęła oczy i przez chwilę jakby się zachwiała. — Skąd to
wiesz? Kto ci powiedział? — spytała, oszołomiona.

— Dennis. I w pewnym sensie ona też.

— Dennis? Tak ci powiedział? Że spotyka się z inną kobietą? — py-
tała, wpatrzona w niego.

— Widziałem go z nią. I przyznał się, kiedy go zapytałem.

— A więc zawsze, kiedy mówił, że jedzie do ciebie, tak naprawdę je-
chał do niej... — Jej oczy biegały po całym pokoju, jakby wszędzie szuka-
ła odpowiedzi. — Znasz ją? Kim ona jest?

— To Jilly Cross — odparł i podał jej wizytówkę ze zdjęciem ładnej
kobiety.

Po wyjściu Gordona usiadła z telefonem na kolanach. Cała się trzęsła,
drżała ze złości i bezsilności, szczękając zębami. Nawet jej stopy podnosi-
ły się i opadały, tupiąc w podłogę. Zgięta się wpół i głośno się rozpłakała.

Dlaczego? Po co to zrobił? Po co powiedział jej o tym, co już od dawna wiedziała? Nie mogła już dłużej się oszukiwać, nie miała wyboru. Musiała coś zrobić, kogoś zranić, zniszczyć coś, co było jej drogą.

Wybrała numer z wizytówki i zaczęła do końca wiadomości powitalnej na poczcie głosowej. — Słuchaj, tu Lisa Loomis, żona Dennisa. Chcę ci tylko powiedzieć, że wiem o tobie wszystko. Wiem, gdzie pracujesz i gdzie mieszkasz. — W obawie przed tym, co mogłaby jeszcze powiedzieć, trzasnęła słuchawką. Zadzwoiła do matki, ale wyłączyła się, jeszcze zanim usłyszała pierwszy sygnał. Nie mogła zrobić tego swoim rodzicom, za bardzo uwielbiali Dennisa. Był jednym z najbliższych przyjaciół jej ojca. W takiej chwili najbardziej brakowało jej brata albo siostry. Czuła się taka samotna. Biedne dzieci — zasługują na lepszą, silniejszą matkę, która zostałaby przy ich ojcu wyłącznie dla ich dobra. Co jeszcze mogła zrobić? Próbowwała już wszystkiego: starała się być lepsza w łóżku, brała lekcje golfa, bywała dla niego raz bardziej, raz mniej stanowcza. Utrzymywała dom w czystości, tak jak lubił, to znów pozwalała na bałagan, byleby nie zrzędzić na dzieci, kiedy wracał do domu. Próbowwała być lepszą katoliczką — taki kompromis z Bogiem w zamian za udane małżeństwo. Wybuchła płaczem, zawodząc ze złości i wstydu — tyle razy podczas kursów przedmażeńskich snuła te swoje nudne, płytkie, świętoszkowate wywody o tym, że trzeba być ze sobą szczerym bez względu na konsekwencje, ale w duchu już wiedziała, nosiła to w sercu jak jakiegoś robaka, pozwalając, by niszczył jej dumę i wiarę w siebie, aż całkiem znikną. Jednego tylko nie spróbowała: po prostu odejść.

Zadzwoiła na plebanię do księdza Hensile'a, ale pani Siane oznajmiła, że wyjechał do Bostonu na jakieś spotkanie. Czy coś przekazać? Gardło miała tak ściśnięte od łez, że pani Siane nie poznała jej po głosie. Nie, nie trzeba.

Wystarczyło trzy razy wejść na strych, żeby znieść wszystkie torby. Najpierw spakowała Annie, potem Jimmy'ego, a swoją torbę zostawiła pustą na łóżku. Po co, skoro i tak przestała się już liczyć? Teraz nic się nie liczyło. Już nie. Zadzwoiła do biura żeglugi. Ostatni prom na wyspę miał odpłynąć o ósmej wieczorem. Wykręciła numer matki i oznajmiła, że zabiera dzieci do domku letniskowego na nieplanowane wakacje. Matka ucieszyła się, że po remoncie domek zostanie zamieszkały, i zaproponowała, że poprosi ich pomocnika, Hendersona, żeby go przewietrzył. — I powiedz Dennisowi, żeby popłynął z Jimmym nową łodzią ojca. I z Annie też, oczywiście, jeśli tylko...

— Jadę sama z dziećmi, mamó.

— Aha, rozumiem. Czy wszystko w porządku, skarbie?
— Tak.
— Masz taki dziwny głos.
— Może i mam... — rzuciła, wsłuchując się w niespokojny oddech matki. Strach był zakodowany w ich genach, podobnie jak tchórzliwość. Matka też wolała nie wiedzieć.

Kiedy pakowała walizki do samochodu, do garażu wjechał wóz Den-
nisa. Twarz miał poczerwieniałą i zmęczoną.

— O, widzę, że odsłuchiwała moją wiadomość. — Zerknęła na zegarek. — Dzwoniłam do niej godzinę temu. A ty co? Przyjechałeś zaraz po jej telefonie? I pewnie jeszcze próbowałeś ją pocieszać? Przekonywałeś, żeby się mnie nie bała, bo jestem nieszkodliwa, naiwna i głupia, tak?

— Przepraszam. Błagam cię, Liso. Proszę cię, posłuchaj mnie — zaczął, unikając jej wzroku.

— Nie mogę, muszę jechać. Dzieci są w pokoju obok i czekają na mnie.

— Zaczekaj. Tylko mnie wysłuchaj. Błagam. Przynajmniej na tyle chyba sobie zasłużyłem, co?

— O nie! — zaśmiała się mimo woli, wsiadła do samochodu i zapaliła silnik. Pochylił się i uchwycił się skręconej szyby. Te piękne dłonie sprawiały, że jego zdrada bolała ją jeszcze bardziej. Patrząc mu przez dłuższą chwilę w oczy, zrobiło jej się go żal. Zawsze się śpieszył, ciągle żył w biegu, śmiał się jak na zawołanie, kochał łatwo i pobieżnie. W ogóle wszystko traktował bardzo powierzchownie, ten pogodny uśmiech, luksusowy wóz, duży, wspaniały dom. Wolność i szczęście zamienił na to, by wżenić się w Harringtonów. Biedny Dennis. Może i Gordon nigdy do końca nie wydorósł, ale Dennis też zatrzymał się w rozwoju: nadal był tym przystojnym nastolatkiem, chorym z ambicji, próbującym za wszelką cenę pokazać całemu światu, jaki świetny z niego facet. Nie umiał nawet przebaczyć rodzonemu bratu.

— Nie odchodź, Liso, błagam cię. Zrobię wszystko — szlochał, a łzy płynęły mu po twarzy. — Nie mogę bez ciebie żyć. Nie chcę zostać sam.

— To wracaj do domu, do brata! — zawołała, cofając auto.

Delores wyszła z Dearborn Lady przy Main Street; poranek zapowiadał się obiecująco. Właśnie dostała pracę w najlepszym sklepie w mieście i miała zacząć od przyszłego tygodnia. Zapomniała już, jak ruchliwym, a zarazem spokojnym miastem jest Dearborn. Tu wszystko działało jak trzeba, nawet sznur samochodów jadących jeden za drugim zatrzymywał się, gdy tylko zeszała z chodnika. Przespacerowała się najpierw po jednej stronie ulicy, a potem po drugiej, zdziwiona widokiem tylu sklepików z pamiątkami. W Collerton nie było ani jednego. I te banki! Mieściły się wszędzie: w eleganckich gmachach z granitu i cegły i w skromnych oddziałach z dwoma okienkami, zaszytych gdzieś między pralnią a zakładem fryzjerskim. Delores zajrzała do kilku sklepów, ale zapach przypraw i eukaliptusowych odświeżaczy sprawiał, że kichając, wybiegała z powrotem na świeże powietrze. Zatrzymała się na rogu, zaskoczona, że przeszła taki kawał drogi. Tu właśnie był ten sklep papieżniczy. A dlaczego by nie zajrzeć? Przecież to nic złego? Zwłaszcza teraz, pięć i pół kilo lżejsza, wystrojona w swój niebiesko-fioletowy kostium. Miała już ukochanego mężczynę, a w torebce fotografię May Loo.

Już w drzwiach wyczuła, że coś tu jest nie tak. Albert był całkiem sam, sklep świecił pustkami, wszędzie panował nieład. Na szklanym blacie widać było plamy, a na ladzie stał karton wypełniony do połowy ryzami papieru. Wyglądało to tak, jakby papier sprzedawano prosto z kartonu. Najbardziej raziło jednak gwiaździste pęknięcie na lustrze, pamiątce Alberta z uczelni. Albert zalił się na nowy sklep sieci Staples, który właśnie otwarto przy Route 28.1 to właśnie z *tego* powodu jego dawni klienci z Dearborn przestali przyjeżdżać do Collerton. Ile razy próbowała mu to powiedzieć? Ugrzyła się w język. Albert popadł w niezłe tarapaty: podpisał umowę najmu na siedem lat i płacił pięciokrotnie wyższy czynsz z jednej trzeciej dawnych dochodów. Najgorszy był brak solidnych pracowników. Zatrudnił jedną uczennicę w niepełnym wymiarze godzin, ale

okazało się, że dziewczyna ma dysleksję, więc chciał ją zwolnić, a wtedy adwokat jej ojca przysłał mu pismo informujące o prawach osób niepełnosprawnych. Albert szukał kogoś na jej miejsce, młodym matkom proponował nawet korzystne godziny, ale każdego interesowała tylko praca w nowoczesnym biurze i wysoka pensja. I tak harował sam po sześćdziesiąt, siedemdziesiąt godzin tygodniowo, podczas gdy w jego wieku należałoby już „pomyśleć o odpoczynku”. A do tego jeszcze Cheryl, na dokładkę, zaczęła grywać w golfa i całe dni spędzała w klubie. Albert musiał odwołać coroczną wielką wyprzedaż lipcową, zaplanowaną na ten weekend, bo Cheryl zapisała ich na turniej par i zwyczajnie zapomniała mu o tym powiedzieć.

Delores bardzo chciała się cieszyć z jego nieszczęścia, ale jej zadowolenie szybko wprawiłoby ją w poczucie winy i wzbudziło współczucie. Zawsze naiwna Delores. Już czuła zbierające w niej silne pragnienie bycia potrzebną. — A gdzie Katie? — spytała, rozdrapując dawną ranę, by przypomnieć sobie, jakim okazał się draniem.

— Katie? Odeszła. Nie wyszło nam.

— A to szkoda — mruknęła, oczami wyobraźni widząc, jak mąż Katie roztrzaskuje pięścią pamiątkowe lustro albo, co gorsza, tłucze w niego głową biednego Alberta.

— To sprzątaczką je zabiła — wyjaśnił, podążając za jej wzrokiem.

— Szkoda — powtórzyła, zawiedziona, aż zrobiło jej się wstyd. Ona przeżywała najszcześniejsze chwile swojego życia, a jego świat walił się w gruzy.

— Wiesz, ja zapłaciłbym ci więcej niż Lady — wyrzucił nagle, oblewając się rumieńcem. — U mnie nie musiałybyś przechodzić żadnych szkoleń. Mogłabyś zacząć od razu.

— Jak to, zacząć od razu? Po tym, jak się rozstaliśmy?

— Błagam cię, Delores. Kiedy tu weszłaś, świat wydał się taki piękny i jasny, jakbyś odpędziła mi znad głowy czarną chmurę. Nagle zrozumiałem, jak bardzo cię potrzebuję. Stałaś się ważną częścią mojego życia. Bez ciebie nic mi się nie układa — mówił, podążając za nią do drzwi. — Powiniennem być zadzwonić, chciałem, ale ty zachowywałaś się tak, jakbyś postradała zmysły. Nie byłem pewien, jak zareagujesz. Delores! — To były najbardziej pochlebne słowa, jakie kiedykolwiek od niego słyszała. Przez tyle lat wykorzystywał ją i poniżał, a ona cierpliwie to znosiła.

Pod wpływem jakiejś gwałtownej, kobiecej siły ruszyła ulica. Była za to wdzięczna Gordonowi, bo on potrzebował jej bardziej niż którykolwiek inny mężczyzna. Pragnął nie tyle jej ciała, co jej odwagi, a jej cierpliwość

była teraz jak szyba dzieląca ich niegdyś w sali odwiedzin. Starcie jego chłodnej, niezgłębionej natury z jej wrodzoną serdecznością było dla niej niezręczne i męczące, ale z czasem uczyła się panować nad uczuciami i odchodzić we właściwym momencie. W duchu jednak wciąż zastanawiała się, co tak naprawdę rządzi jego życiem: oziębłość czy wręcz nie-ludzkie wyobcowanie. Przez chwilę zdawało jej się, że jego lodowata maska pękła, kiedy okazał zyczliwość Jadzie. Teraz jednak nie chciał mieć z nią nic wspólnego. Usuną ją ze swojego życia bez żalu, smutku czy wyrzutów sumienia, tak jakby wyciął w ogrodzie zwiędłą różę.

A co to takiego, ta galeria mody? — dociekał Gordon przy stole.

— To butik odzieżowy. Szefowa go tak nazywa — wyjaśniła Delores, szorując patelnię. — I ciągle używa słowa „biznes”, jakby chodziło o jakąś korporację, do której mnie przyjmą, jeśli mi się poszczęści — dodała, udając obojętną, by nie ranić jego uczuć. Gordon był bez pracy.

— Już nie raz ci się poszczęściło. Gdy tylko starasz się o pracę, to zawsze cię przyjmują.

— Nic dziwnego, skoro z niejednego pieca chleb jadłam — zaśmiała się. Ale Gordon był tak przygnębiony, że nie stać go było nawet na uśmiech. Próbował udawać zainteresowanie, ale Delores od razu zauważyła, że go to męczy. Zachowywał się tak od ostatniej wizyty Dennisa. — Przepracowałam już kawał życia — dodała i odkręciła wodę akurat wtedy, gdy Gordon się odezwał. — Co mówisz? — spytała.

— Nic.

— Coś tam powiedziałaś. Mógłbyś powtórzyć?

— Nic takiego.

— Gordon, przecież sama słyszałam. Wspomniałeś coś o Lisie.

Odrzucił głowę i zrozumiała, że lepiej dać spokój. Jedynym powodem, dla którego tu przyszedł, była potrawka z wołowiny, która właśnie gotowała się na palniku. Zaraz po tym, jak zgodził się przyjść, pobiegła do sklepu i zrobiła zakupy na największą i najdustszą potrawkę, jakiej nikt przy zdrowych zmysłach nie gotowałby w prawie czterdziestostopniowym upale, nie mówiąc już o jedzeniu. W taki dzień nawet Gordon nie miał apetytu.

Biedaczysko, miał taką markotną minę. Powinna była go zmusić, żeby to od niej pożyczył pieniądze, zamiast narażać się na aroganckie przytyki jego tchórzliwego brata. Dennis musiał mu powiedzieć coś przykrego, bo za każdym razem, gdy o nim wspominała, Gordon odwracał wzrok w stronę drzwi. I właśnie znów to zrobił.

Wycierając gąbką blat stołu, schylił się, by przyjrzeć mu się z każdej strony i upewnić się, że nie został ani jeden okruch. Na środku stołu leżała żółta koperta. Już podczas kolacji Delores chciała pokazać mu najnowsze zdjęcie, które przysłali jej razem ze wstępnym zezwoleniem na adopcję i kolejnym plikiem formularzy, ale Gordon miał tak żalostny wyraz twarzy, że wolała nie psuć sobie radości i dobrego nastroju niczym przykrym. Po raz pierwszy wyraźnie czuła, jak wszechświat emanuje jakąś magnetyczną siłą i potężną energią. Pragnęła ją ujarzmić, nie tylko na własną korzyść, ale i jego, i tego dziecka. Tak bardzo chciała, żeby on też je pokochał.

— A co z tą kopertą? Mam ją tu zostawić? — spytał.

— Na razie tak — odparła i zaproponowała, żeby poszli na spacer, ale on nie miał ochoty. Powiedział, że powinien już pójść, po czym usiadł i zaczął bębnić palcami po stole. Zapytała, czy przed wyjściem zmienić mu bandaż. Rana nie była już tak bardzo zaczerwieniona jak przedtem. Kiedy owijała gazą jego silną dłoń, oczy zasły jej mgłą. Nigdy przedtem nie był taki ufny i delikatny. Po chwili oznajmił, że się rozmyślił i chciałby jednak pójść na spacer.

Mijając wystawy sklepów, zerknęła na ich odbicie w szkło, zachwycona swoim wyglądem i samopoczuciem. Za to Gordon przybrał na wadze, a ona uwielbiała mu gotować i nic nie mogła na to poradzić. Na jutro obiecała mu zapiekankę mięsno-ziemniaczaną, dokładnie taką, jaką przyrządzała jego matka. Patrząc na zdjęcie, uznała, że May Loo też trzeba trochę podkarmić. Amerykańska kuchnia pewnie jej nie zasmakuje. Nagle Delores zdała sobie sprawę, że nie umie ugotować ani jednej chińskiej potrawy. Kilka przecznic dalej była księgarnia Landmark i Delores chciała zajrzeć tam po chińską książkę kucharską. Gordon zapytał, ile czasu jej to zajmie. Jakies piętnaście minut, odparła.

— Jestem trochę zmęczony — westchnął. — Nie gniewasz się?

Było jej głupio, że poczuła się zawiedziona. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że wszystko, co dotyczyło May Loo, wywoływało u niego niechęć. Chociaż nie, to chyba nie tak. Musiał naprawdę być zmęczony. Wzdychał głośno raz po raz.

— Co za piękny wieczór — zauważyła i wsunęła mu dłoń pod rękę, gdy zbliżali się do parku. Czuła, jak on sztywnieje. — Gordon, co ci jest? O co chodzi?

— Nic. Po prostu nie powinienem był wychodzić. Przepraszam, ale nie mam ochoty na spacer.

— W porządku — rzuciła, kierując go do parku. — W takim razie posiedzmy sobie trochę. — Zgarnęła kurz z najbliższej ławki i usiadła. — Gordon! — zawołała, zaniepokojona, gdy stał w miejscu i wpatrywał się w nią. — Co się stało? Musisz mi powiedzieć. Chodzi o Dennisa, prawda?

— Chcę już wracać. Co ty na to? Nie gniewasz się?

— Jasne, że nie.

Drżąc z pożądania, otworzyła kluczem drzwi. Gordon zniknął w łazience. Światelko przy telefonie mrugało, informując, że ktoś zostawił wiadomość. Nacisnęła klawisz odtwarzania, usiadła i zsunęła sandały.

— Delores, to ja, Albert. Muszę z tobą porozmawiać. Po twoim wyjściu... — Jednym susem doskoczyła do telefonu i nacisnęła „skasuj”. Dzięki Bogu, że Gordon nie zdążył wyjść z łazienki. Niespodziewanie na dworze usłyszała czyjeś kroki, a po chwili w korytarzu zaskrzypiały schody i rozległo się ciche pukanie do drzwi — *puk-puk-puk-puk* — j a k to zwykle robił Albert. Delores zamarła. Jeśli będzie cicho, to może sobie pójdzie. *Tylko nie wychodź, błagam cię, nie wychodź jeszcze*, powtarzała w myślach do Gordona.

— Delores? — zawołał Albert ściszym głosem, żeby nikt z jej sąsiadów go nie rozpoznał. — To ja. Jesteś tam?

Nie, pokręciła głową.

W zamku zazgrzytał klucz. Obserwowała, jak Albert przesuwając rygiel, przekręca gałkę i otwiera drzwi.

— Tak się cieszę, że jesteś — westchnął i podbiegł do niej. — Krażyłem tu przez cały wieczór i czekałem, aż zapalisz światło.

— Idź sobie — rzuciła, kuląc się, gdy stanął nad nią.

Wymachiwał rękami, szlochał, błagał, by do niego wróciła i dalej go kochała, by wybaczyła mu jego głupotę, bo dostał już nauczkę i zrozumiał, co jest w życiu najważniejsze. — Lojalność — wykrztusił, wyciągając rękę, żeby ją dotknąć.

Odepchnęła jego ręce i usiłowała wstać, ale on przytrzymał ją z zadziwiająca siłą. — Albercie, przestań. Musisz stąd iść.

— Nie! — krzyczał. — Nie pozwolę ci odejść! Zrobię wszystko. Wszystko, co tylko każesz. Chcesz, żebym odszedł od żony? Oczywiście, zaraz to zrobię! Odejdę jeszcze dziś! Proszę, już do niej dzwonię. — Chwyił za telefon. — Widzisz? Cheryl? Cheryl? — krzyczał.

Drzwi do łazienki otworzyły się. — Czy wszystko w porządku? — spytał Gordon.

— To Albert — rzuciła słabym głosem.

— O mój Boże! O mój Boże — j ę c z a ł Albert, wybiegając na korytarz.

Delores podniosła się z miejsca i zamknęła drzwi na klucz. Unikając swoich spojrzeń, wsłuchiwali się w odgłosy jego kroków po schodach.

— Lepiej już pójde — odezwał się Gordon.

— Nie! Zaczekaj. Nic nie rozumiesz — prosiła, zastępując mu drogę do drzwi. — To nie to, co myślisz. Był po prostu zdenerwowany i...

— Mówił, że chcesz, żeby odszedł od żony — powiedział powoli, żeby do niej dotarło.

— Wcale nie chcę! Oczywiście, że nie!

— I powiedział, że cię kocha.

— Był zdenerwowany. Nie wiedział, co mówi. Wszystko wali mu się na głowę, całe jego życie. Potrzebuje pomocy. Chciał tylko, żebym mu pomogła. Po to właśnie przyszedł — dumaczyła, widząc, że i tak jej nie wierzy.

— Tak czy inaczej, lepiej już pójde. — Jego twarz znowu stała się maską obojętności i nieczułości. Chwycił za gałkę u drzwi.

— Nie, błagam, nie rób mi tego. Pozwól mi tylko wyjaśnić — szepnęła.

Popatrzyła na nią, ale jego wzrok był zimny i pusty. Chciała, żeby poznała całą prawdę, nie o tym, jak szybko zaczął się ich romans i jak łatwo dała się uwieść Albertowi w kilka dni po jego powrocie z Disney World, ale o tym, jak bardzo podziwiała go za doskonały zmysł do interesów i, jako oddana pracownica i przyjaciółka, zbyt mocno zaangażowała się w jego trudne życie, a przy tym pozwalała, a wręcz nalegała, by na pierwszym miejscu zawsze stawiał rodzinę. Była żałosna, sądząc, że jest częścią jego rodziny, tą najważniejszą częścią. Wierzyła, że jest głównym trybikiem w machinie życia Alberta, jego żony i dzieci i że dzięki niej wszystko było możliwe. Troszczyła się, żeby nigdy nie wracał do domu zły i nie wyżywał się na nikim z rodziny. Pilnowała, żeby interes się kręcił. Nie raz grała adwokata diabła, żeby pomóc mu zrozumieć argumenty syna albo córki, kiedy dochodziło do sprzeczki. Zdawała sobie sprawę, że brzmi to jak seria wymówek, ale w gruncie rzeczy sama była sobie winna, bo zawsze stawiała siebie na ostatnim miejscu.

— To mój odwieczny problem. Tak bardzo chcę wierzyć w ludzi, że przestaję wierzyć w siebie. Gordonie? — Głos jej się załamał. — Powiedz, że mnie rozumiesz... A jeśli nie, to przemyśl moje słowa i chociaż postaraj się mnie zrozumieć, dobrze?

— Jasne, w porządku. — Otworzył drzwi. — I dzięki za kolację.

Miał ten sam wyraz twarzy, co tamci inni, tyle że jego był pozbawiony jakiegokolwiek wrażliwości — wymuszony, wyuczony, narzucony. On

po prostu nie chciał troszczyć się ani myśleć o innych, bo dla niego nie istniało inne cierpienie poza jego własnym. Wszystko zaczynało się i kończyło na jego wyroku. I zawsze tak będzie. *Me potrafi żyć bez poczucia winy, pod jego ciasnym kloszem czuje się bezpieczny. Oprócz tego nie ma w życiu nic. To daje mu siłę i sens. Inaczej nie znałby poczucia prawdziwego człowieczeństwa. To wypełnia mu całą tę pustkę w jego życiu.* Trzeba pozwolić mu odejść. Bez miłości niemal zatracił serce, a teraz jest już za późno. A szkoda, bo mogło być inaczej. Gdyby tylko puścił w niepamięć swoją przeszłość i zobaczył w ludziach to, co najlepsze, tłumaczyła mu. — Tak bardzo jesteś pochłonięty sobą i tym, co przeżyłeś, że nie umiesz wyciągnąć ręki do innych. Ktoś wyrządza ci krzywdę, a ty uważasz, że jesteś skończony? Już po tobie? Jesteś do niczego? Myślisz, że teraz możesz wyciąć się na cały świat? Najpierw na Jade, potem na Dennisa, a teraz na mnie? Nie wolno ci się od nas odwracać, Gordon. Jesteśmy tylko ludźmi i też popełniamy błędy. Musisz nam wybaczyć. — I dopiero wtedy będziesz umiał wybaczyć sam sobie, chciała dodać, ale już nie mogła.

— Muszę już iść.

— Posłuchaj, ja też robiłam wiele rzeczy, z których nie jestem dumna. Robiłam je, bo byłam słaba, samotna albo po prostu głupia. Ale nigdy, przenigdy nie odwróciłam się od kogoś, kto potrzebował mojej pomocy.

— Przepraszam. — Przeżywał tak bolesne rozterki, że aż przykro było na niego patrzeć. Nie potrafił spojrzeć jej w oczy, a kiedy wreszcie się odezwał, to tak cicho, że ledwo go usłyszała: — Nie jestem taki, jak myślisz.

— Nieprawda. — Wyciągnęła dłoń, chciała go dotknąć, ale się odsunęła. — Po prostu nie jesteś taki, za jakiego sam się uważasz.

W oddali ujadał jakiś pies.

— Leonardo! Leonardo! Chodź, piesku! — wołała Jada na schodach. Ze spuszczoną głową Gordon przemknął do sąsiednich drzwi. Nie miał ochoty widzieć dziewczyny ani nikogo innego. Odrzucił wszystkich tych, na których mu zależało. Dennis miał do niego żal, że Lisa zabrała dzieci i wyjechała, a Delores nie widział już od paru dni. Bo jak zrozumieć jej romans z żonatym mężczyzną, skoro własnego brata potępiał za ten sam grzech? Delores twierdziła, że Gordon nie umie wybaczać innym, bo nigdy nie wybaczył sobie. Ale ona nic nie rozumiała. Najtrudniej jest coś tolerować. Przebaczenie to tylko słowa, prosta mantra na zagłuszenie sumienia, by z biegiem czasu krzywda poszła w niepamięć i przestała zalegać na sercu jak krwawiąca rana.

Zdrową dłonią nacisnęła dzwonek. Skaleczenie wprawdzie już się zagoiło, ale najmniejszy ucisk wciąż powodował rwący ból. Gordon chciał wrócić do pracy, ale firma przewozowa znalazła już kogoś na jego miejsce. Zostało mu tylko trzynaście dolarów. Nie było go stać nawet na gazetę, więc codziennie po południu chodził do kiosku i spisywał ogłoszenia drobne. Wreszcie pani Jukas otworzyła drzwi, cała wystrojona, z policzkami przypudrowanymi różem i jasnoczerwoną szminką na ustach. Zaraz po nią przyjadą, oznajmiła. O dziewiątej miała umówioną wizytę u kardiologa w Burlington. — Wszystkie zapasy mi się skończyły — dodała, a Gordonowi serce zamarło na widok jej listy zakupów. — Spójrz tutaj. Widzisz? — Wskazała palcem pośrodku kartki. — Widzisz, co jest napisane przy jajkach? Białe. Zapamiętaj to sobie raz na zawsze — białe! Bo ostatnio kupiłeś brązowe.

— A to przepraszam.

— Leonardo! Leonardo! — nawoływała dalej Jada płaczącym tonem, wydając z siebie przeszywający gwizd. Gdzieś rozszczękały się dwa psy.

— Rany boskie, po kiego się tak drzeć — jęknęła pani Jukas.
— Szuka swojego psa — wyjaśnił Gordon. Pies zaginał przed paroma dniami.

— Oby już nigdy go nie znalazła. Tak czy siak, kiedy wrócisz z pracy, powinnam już być w domu. Wrócę pewnie około pierwszej czy drugiej. I wtedy oddam ci pieniądze, dobrze?

— Lepiej teraz — rzucił. — Jeśli to nie sprawi kłopotu — dodał szybko. — Po prostu chwilowo nie mam pieniędzy. Przepraszam.

Zmrużyła podejrzliwie swoje głęboko osadzone oczy. A ile mu trzeba? Sam nie wiedział. Lista zakupów była dwa razy dłuższa niż poprzednio, a wtedy zapłacił dwadzieścia jeden dolarów. Chwileczkę, rzuciła i zamknęła drzwi. Długo nie wychodziła, więc znów nacisnął dzwonek.

— Pali się czy co? — wysapała, otwierając drzwi.

— Przepraszam, myślałem, że pani zapomniała.

— Już ja bym nie zapomniała. Nigdy! — Błysnęła złowrogo oczami, aż się wzdrygnął. — O, proszę. — Pochylając się nisko, odliczyła pieniądze i położyła mu na dłoni. — Trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt. I przynieś mi resztę, dobrze?

— Tak, oczywiście.

— Gordon! — zawołała za nim, kiedy szedł ścieżką. — I nie zapomnij: jajka mają być białe. Białe, nie brązowe.

Po drugiej stronie ulicy na schodach stała skulona Marvella Fossum i trzęsąc się, paliła papierosa. Gordon zatrzymał się, by wyrwać kępkę chwastów spod różanych krzewów, ale słysząc jej prostacki, zrzędlawy ton, szybko ruszył dalej. — Daj już spokój, co? Jasna cholera, dajże już spokój! — krzyczała do Jady, która chwiejnym krokiem biegała po ulicy w butach na grubych podszewkach i trącała płoty, słupy telefoniczne i żółty hydrant linką do prania, przywiązaną do luźnej obroży.

Jada! — wołała matka z sypialni, ale ta nie odpowiadała. Matka chciała wysłać ją do Feastera po działkę prochów. — Jada!

Jada zamknęła cicho drzwi, czmychnęła na ganek i przysiadła na schodach, gapiąc się na samochód, który właśnie zajechał po drugiej stronie ulicy. Jakaś biała kobieta w blond dreadach wyjęła z bagażnika odkurzac i wtaszczyła go na werandę, a po chwili przyniosła wiadro z mydłami i pomarańczowe gumowe rękawice. Jada zastanawiała się, czy nie pójść powiedzieć jej, że stara raszpla dopiero co odjechała białą furgonetką, wysztafirowana, z małą, brązową, płócienną torbą w rękę.

W mieszkaniu rozległ się trzask, a potem przeraźliwy krzyk matki. — Jada! Jada! — Tak się cieszyła na wiadomość, że matka jest w ciąży. Odkąd sięgała pamięcią, zawsze chciała mieć małego braciszka albo siostrzyczkę. Niestety, teraz w domu działo się tysiąc razy gorzej niż przedtem. Matka ciągle wymiotowała i nie miała ani centa, a Jada nie mogła nawet zwrócić się o pomoc do Feastera, bo po tamtym wieczorze, kiedy goniła ją policja, nie odpowiadał na telefony ani na pager. Do długu matki dodał jeszcze koszt prochów, które Jada porzuciła w parku. Oprócz tego znowu odłączyli im kablówkę. Parę razy Inez pozwoliła jej oglądać telewizję u siebie na piętrze, ale Jada znów wszystko zepsuła, podobnie jak z Gordonem. W czwartek wieczorem Inez, jak zwykle, poszła do syna pilnować wnuki, a Jada bardzo chciała pooglądać MTV. Wdrapała się na górę schodami przeciwpożarowymi i wcisnęła się do środka przez kuchenne okno. Było tam sporo do jedzenia, więc wyjadała sobie małymi porcjami wszystkiego po trochu z misek z resztkami. Kiedy wyciągnęła się na welurowej kanapie z pilotem w ręce, niespodziewanie zjawiła się Inez z synem. Wróciła wcześniej niż zwykle, no i rozpętało się piekło. Carlos chciał wzywać gliny, ale Inez go powstrzymała. Gdy awantura rozniosła się po korytarzu, po schodach wparowała Marvella, pchnęła Inez i od tej pory cała rodzina je obie znienawdziła. Nawet najmłodsze z wnuków Inez krzyczały i waliły pięściami, przebiegając obok ich drzwi.

Leonardo jeszcze się nie znalazł, ale Jada wierzyła, że wróci. Ktoś na pewno wziął go z ulicy i zabrał do domu, ale on ucieknie i wróci przy pierwszej lepszej okazji. Co do tego nie miała wątpliwości. Nigdy w życiu nie kochała nikogo takjak tego psiaka. Nawet własnej matki.

Gdy test ciążowy wypadł pozytywnie, matka starała się jak mogła. Poszła nawet do lekarza po pomoc, ale on uznał, że decyzja należy do niej. Nie wiedziała, co wybrać: odwyk czy aborcję. Jedno i drugie ją zabije, powiedziała mu. Nie brała przez kilka dni, ale wczoraj wieczorem przyszedł Tron i kiedy wrócili do domu o drugiej w nocy, byli tak naćpani, że ledwo trzymali się na nogach. Jada wypadła z domu jak burza, ale matka wcale się tym nie przejęła i pewnie nawet nie zauważyła. Dziewczyna pobiegła do garażu Gordona, by przesiedzieć kolejną noc po ciemku wśród pajęczyn, ale nie było klucza, więc zakradła się z powrotem do domu.

— Wołam cię i wołam — wyrzuciła matka, wyszła na werandę i oparła się o poręcz. — W żołądki mi dudni, łup, łup, jak na kolejce górskiej. Mamy chociaż trochę krakersów?

— Nie.

— To leć do tego swojego kumpla, jak mu tam, no wiesz, ten wielki-
lud. Powiedz mu, że to dla matki, że musi wrzucić coś na ruszt.

— Jego nie ma w domu.

— A ty za to jesteś wściekła. Ciagle się na mnie gniewasz!

Jada nie odpowiedziała.

— Cholera, może mi powiesz, co ja takiego zrobiłam.

Dziewczyna przygryzła wargę.

— Nie widzisz, że jestem chora? Czy ty w ogóle rozumiesz, ile ja muszę znosić? Staram się jak mogę, a ty nic a nic mi nie pomagasz. I w ogóle masz to gdzieś!

— Nieprawda. Wcale nie.

— A właśnie, że tak!

— Nie, mamó, ja też się staram, ale ty...

— A to kto? — Matka wskazała na drugą stronę ulicy.

— Sprzątaczką.

Kobieta zeszła właśnie do samochodu po kosz na bieliznę i gąbkę na kiju, postawiła wszystko przy drzwiach, po czym sięgnęła pod skrzynkę na listy i coś wyjęła. Otworzyła kluczem drzwi, schowała go z powrotem pod skrzynkę i wniosła sprzęt do środka.

— A gdzie ta stara jędza?

— Wyjechała gdzieś, pewnie na jakąś wycieczkę.

— A skąd wiesz? — spytała matka cicho zaniepokojonym tonem, nie spuszczać oka z domu naprzeciwko.

— Nie wiem, ale chyba miała ze sobą jakąś walizkę.

Matka weszła do środka, a po chwili zjawiła się z papierosem. — To znaczy, że nie będzie jej przez dobrych parę dni. — Zaciągała się dymem tak głęboko, że aż świzaczało, po czym zanosiła się od kaszlu.

— Nie wiem, może i tak. Ale nie powinnaś tyle palić, mamó. To najgorsze, co możesz zrobić.

— O nie! Najgorsze jest usunąć. Nie chcę drugi raz przechodzić przez to cholerne piekło. — Wzdrygnęła się. Mało nie umarła, próbując usunąć Jadę. Swego czasu dziewczyna uznawała to za najokrutniejszy zarzut z ust matki, ale teraz jej docinki utwierdzały ją w przekonaniu, ile jest warta: już nikt ani nic nie mogło jej pokonać. Dzięki tej niezniszczalności mogła chronić nienarodzonego brata lub siostrę.

— A więc już postanowiłaś — orzekła, siląc się na powagę.

Kaszląc i dysząc, matka zerknęła na drugą stronę ulicy. A gdy już wypaliła papierosa, cisnęła go przez poręcz na chodnik. — Muszę się położyć, a ty tu zostań i czekaj, aż ona odjedzie, i mnie zawołaj.

Jada musiała raz po raz poprawiać na spoconych dłoniach plastikowe worki. Myszkowanie po kątach u pani Jukas budziło w niej to samo lękliwe podniecenie, co w domu Gordona i Inez. Przypomniało jej się to podniosłe uczucie, kiedy ciotka Sue zabierała ją w niedzielę do kościoła. Przerazona, czuła, że tam nie pasuje, ale ogarniało ją coś niepojętego, jakby czyjaś obecność kazała jej się skupić. Nie wiedziała tylko, na czym. Kiedy tak chodziła z pokoju do pokoju, towarzyszył jej dziwny spokój.

Na piętrze dały się słyszeć kroki Marvelli. Widząc, jak pani Jukas daje Gordonowi pieniądze, matka była pewna, że stara musi trzymać w domu sporo gotówki. Wczoraj wieczorem Tron powiedział jej o mieszkaniu przy Brand Street. Pierwsze piętro, dwa pokoje, świeżo malowane, obudowana weranda. Jego właściciel był winien mu przysługę, trzeba tylko mu zapłacić za pierwszy i ostatni miesiąc oraz wpłacić kaucję i matka liczyła na to, że znajdzie na to pieniądze. Powiedziała, że czuje zapach kasy. Jada weszła na palcach do zatęchłej jadalni. Zaciągnięte rolety i zasłony sprawiały, że nic nie widziała. Przeszła po omacku wzdłuż ściany, nacisnęła przełącznik i w jednej chwili oszklony kredens w kącie wypełnił się światłem, a na każdej lustrzanej półce, od góry do dołu, lśniły drobne, malowane figurki dzieci: chłopców z wiadrami i dziewczynek trzymających kwiaty i konewki. Przekręciła mały kluczyk w szklanych drzwiczkach. Och, jak bardzo spodobała jej się figurka dziewczynki i szczekającego psa z odrzuconym do tyłu łbem! Wsunęła ją do kieszeni. Nie do wiary, że ta stara jędra, która tak nienawidzi dzieci, trzyma w domu coś takiego. Jada przykłękała, sięgnęła w głąb dolnej półki i wyjęła inną figurkę dziewczynki w rozwianej chustce i z bukietem kwiatów w ręku. Włożyła ją do drugiej kieszeni.

Na piętrze rozległ się huk i w mgnieniu oka popędziła schodami na górę. — Nic ci nie jest? — spytała. Komoda prawie leżała na łożku. Jedna z szuflad się zacięła i matka pociągnęła ją tak mocno, że aż przewróciła cały mebel.

— Patrz, co znalazłam! — Matka trzymała w ręce aksamitną, niebieską torbę Crown Royal. Rozluźniła sznurki, by Jada mogła zajrzeć do środka. Pełna banknotów, leżała za szufladą. — A nie mówiłam, że czuję zapach kasy — prychnęła matka, kiedy odstawiały komodę na miejsce.

— Lepiej już chodźmy — powiedziała Jada. Wprawdzie sprzątaczką dopiero co odjechała, ale Gordona nie było już kawał czasu. Zwykle robił zakupy w ciągu godziny. Thurman powiedział jej, że wylali go z supermarketu.

— Czekaj, coś tu jeszcze musi być — odparła matka, grzebiąc w szafie. Przeszukała kieszenie, po czym rzuciła garsonki i suknie na podłogę. Kulki na mole potoczyły się pod łóżko, a Jada zaczęła kichać. — Na pewno schowała tu gdzieś jeszcze z tysiąc dolarów — ciągnęła matka, wyciągając szycję, by zajrzeć na gęsto zastawioną półkę. — Podaj mi jakiś taboret.

Jada pobiegła do łazienki po metalowy stołek z wanny. Jeszcze mokry, oznajmiła, prosząc, by była ostrożna. Ale matce kręciło się w głowie i kazała Jadzie wspiąć się na stołek. Jada zaglądała pod zakurzone pokrywy kartonów, a jej owinięte workami dłonie były śliskie od potu. — Nic, tylko buty. Stare, męskie buty — zawołała.

— A niech to! — Matka podbiegła do okna. Ktoś zadzwieczał klaksonem, w aucie zacharczał i strzelił silnik.

— Idziemy, mamó. A jeśli to ona? Zaraz tu wejdzie i nas zobaczy.

— To nie ona — orzekła matka, zerkając przez firanę. — To ten kretyń Carlos. Wynosi jakieś pudła. Ciekawe, czy przypadkiem Inez się nie wyprowadza. Na to wygląda.

— Słuchaj, to może wprowadzimy się na jej miejsce.

— No coś ty, oszalałaś?

— Nie, ale jeśli się stąd wyprowadzimy, a Leonardo wróci, to nas nie znajdzie... — Ta myśl nie dawała jej spokoju.

— Rany boskie, niedobrze mi się robi, kiedy słyszę o tym psie. Zdejmij te kartony, co?

Jada zrzuciła je na łóżko i zeskoczyła ze stołka.

— Patrz! Widzisz? A nie mówiłam? — zapiszczała matka. W czubku jednego z butów leżała para złotych spinek do mankietów z onyksami i zaśniedziały męski zegarek.

— Chodźmy już, dobrze? — Jada raz po raz zerkała w dół, na ciemny przedsionek przy schodach. — Powinniśmy już pójść. Proszę cię, mamó.

Ale matka właśnie przeszukiwała szafkę w przedpokoju. — Ej, spójrz na to! — Wskazała na mundur policyjny. Wcisnęła czapkę na głowę Jady i wybuchła śmiechem. — O rany! — Przysłoniła usta i zatoczyła się do tyłu. — Szkoda, że siebie nie widzisz. Nigdy w życiu nie widziałam czegoś tak śmiesznego.

Jada zerwała czapkę i cisnęła na podłogę, co jeszcze bardziej rozbawiło matkę.

Po ścianie na parterze przemknął jakiś cień. Jada podbiegła do schodów. Ktoś mignął za oknem, a teraz stał na werandzie.

— Kto to? — szepnęła matka.

— Nie wiem!

Zgrzytnął zamek w drzwiach.

— Mamo!

Matka zaszyła się we wnęce i przylgnęła do ściany z ręką na ustach, oniemiała ze strachu. Zaskrzypiały otwierane drzwi i rozległy się powolne, ospałe kroki zmęczonych stóp. Ustały przy podeście schodów. — Rosie? To ja. Właśnie wróciłam. A ty jeszcze tutaj? Pewnie się spóźniłaś — mruzczała staruszka, wspinając się mozolnie po schodach i sapiąc z wysiłku. — Albo zastałaś tu taki... Och! Nie! — Staruszka stanęła w drzwiach sypialni i wgapiła się w bałagan.

Przerażona Jada obserwowała ją z naprzeciwka. Przekonana, że starają widzi, matka wyskoczyła na schody, usiłując wyminąć kobietę, ale ta chwyciła ją za rękę, rozpaczliwie próbując złapać równowagę.

— Zostaw mnie! Puszczaj! — wrzasnęła matka, zamachała ręką i wyrwała się jej.

Wtedy rozległ się złowrogi trzask. Pani Jukas uderzyła biodrem o podłogę, a jej groteskowo zdeformowana noga zawisała nad stopniami, stercząc sztywno w bok, jakby już nie była częścią jej ciała.

Gdy tylko Marvella zerwała się do ucieczki, kobieta wyciągnęła rękę. Jada nie bardzo wiedziała, czy to rozżłościło matkę, czy jeszcze bardziej ją wystraszyło. Dość, że Marvella pchnęła panią Jukas obiema rękami i staruszka sturlała się ze schodów w ślad za nią, odbijając się od każdego stopnia, jakby jeszcze raz rozpaczliwie próbowała ją zatrzymać. Wreszcie chwyciła Marvellę za nogę. — Nie! Nie! Nie! — jęczała przy każdym kopnięciu. Każdy cios sprawiał, że gwałtownie zarzucała głową w tył.

— Przestań! Przestań! — wrzeszczała Jada. Zbiegła na dół tak szybko, że zdawało jej się, że jednym susem przeskoczyła całe schody. Strach matki przerodził się w atak szału. Jada bała się do niej zbliżyć. Zakryła twarz, ale jej stłumiony krzyk jeszcze bardziej rozwścieczył matkę. — Przecież to staruszka! Zabijesz ją!

Oczy pani Jukas wyrwóciły się białkami, a po chwili znów utkwily w Jadę nienawistne spojrzenie, resztkami przytomności okazując jej swój wstręt. Wściekłość i oburzenie utrzymywały ją przy życiu. Nie miała już sił, ale wciąż oddychała i wpatrywała się w nią dopóty, dopóki starczyło jej nienawiści.

Po chwili rozległ się dzwonek i blade, starcze oczy otworzyły się szerzej i skierowały na drzwi. Kobieta rozchyliła wargi i wydała z siebie długi, niezrozumiały, bezdźwięczny krzyk. Jadzie zdawało się, że to brzęcze-

nie rozwścieczonych os. Matka wymierzyła w staruszkę palec. — Cicho! Zamknij się, słyszysz! — syknęła.

Po raz drugi zadźwięczał dzwonek, a po chwili odezwał się telefon i Marvella znów wyciągnęła palec. Ktoś stał na zewnątrz, czekał i nasłuchiwał, a następnie zapukał trzy razy cicho do drzwi, nieśmiało i przeproszając, aż wreszcie oddalił się ciężkimi krokami. Za firaną bocznego okna przemknął cień Gordona Loomisa.

— Mamo! Chodź! Spadamy stąd!

Matka popatrzyła na nią pytająco. W końcu ruszyła za Jada do kuchni, a stamtąd do bocznych drzwi. Jada zaczęła mocować się z trzema zamkami. — Ona wygada, że to my! — szepnęła matka i pobiegła z powrotem do przedpokoju. Stanęła nad staruszką, sapiąc i kołysząc się w przód i w tył, jakby chciała się zmusić się do działania.

— Patrz, mamo. Ona umiera!

Staruszka usiłowała unieść opadające powieki, w desperackim wysiłku drżała na całym ciele. Jada wbiła wzrok w matkę, podczas gdy u ich stóp toczyła się straszliwa walka. — Nie wiem, co teraz robić. Powiedz mi, co dalej — lamentowała matka, gdy Jada odciągnęła ją do kuchni.

Przebiegły przez ogród staruszki drogą, którą Jada dobrze знаła, wzdłuż wąskiego pasa gęstych zarośli. Zatrzymały się dopiero jakieś trzy przecznice dalej. Jada zerwała worki z rąk matki i swoich i kopnięciem wsunęła je pod zaparkowane auto. — Już dobrze, mamo. Wszystko będzie w porządku — powtarzała matce, która szła chwiejnie, ledwo trzymając się na nogach.

Gordon przyklął na ziemi, a jego kultywator pobłyskiwał w słońcu, gdy wyszarpywał nim świeże chwasty. Nagle zamarł bez ruchu. Nie mógł zerwać się i uciekać, mimo że parę minut temu jakaś pszczoła już ukąsiła go w policzek. Słyszac znowu brzęczenie nad głową, przymknął powieki. Po spuchniętym policzku popłynęła strużka potu. Otarł ją brudną roboczą rękawicą i pszczoła odleciała.

Wyciągnął szyję i zobaczył, że trzy torby z zakupami ciągle stoją przy drzwiach pani Jukas. Mleko i sok pomarańczowy nie wytrzymają bez lodówki. Gdy tylko skończy wrywać chwasty i nadal jej nie zastanie, to zabierze zakupy do siebie. Było już parę minut po trzeciej. Dałby głowę, że miała wrócić około pierwszej czy drugiej. Zadzwoił telefon, więc upchnął rękawice do kieszeni i wbiegł do domu. Może to pani Jukas dzwoni dać mu znać, że wizyta u lekarza trochę się przedłużyła. Ale gdy dobiegł do telefonu, ten zdażył już ucichnąć. Gordon usiadł i czekał, czy

nie zadzwoni jeszcze raz. Czubki butów miał oblepione gliną. Zdjął ją i ostrożnie położył na gazetę. Widocznie ktoś wybrał nie ten numer. Przez tę ciszę w domu zrobiło się strasznie pusto. Znowu rozboleła go ręka. Zaczęła mu dokuczać już w drodze z zakupami dla pani Jukas. Część rany się otworzyła i wdarło się tam trochę piachu. W kuchni włożył rękę pod bieżącą wodę. Po drugiej stronie ulicy stał zaparkowany wóz Ronniego Feastera, a na werandzie Polie pukał do drzwi mieszkania Jady. Przy wozie od strony pasażera stały trzy nastolatki w kusych bluzkach i szortach i rozmawiały z Feasterem. Gordon pochylił się nad zlewem. W sąsiedni podjazd skręciła taksówka i po chwili odjechała ulicą. A więc pani Jukas jest już w domu, pewnie przyjechała taksówką. Ruszył spiesznie do sąsiednich drzwi, by oddać jej resztę, zanim sama się o nią upomni.

— Ej! Siema! Cześć, wielkoludzie! — zawołał Feaster i dziewczyny natychmiast odwróciły głowy.

Nie zwracając na niego uwagi, Gordon przemknął po ścieżce do domu pani Jukas. O dziwo, torby z zakupami nadal stały przy drzwiach. Nacisnął dzwonek, a po chwili uchylił siatkę w drzwiach i zapukał do drzwi. Pewnie weszła na górę się przebrać i dopiero potem zejdzie po zakupy. A może wcale ich nie zauważyła. Nie lubił dzwonić raz po raz, więc zaczekał chwilę, po czym ruszył za dom i zapukał do tylnych drzwi. Ale ona nadal nie otwierała. Widocznie bała się Feastera. Gordon wrócił na werandę i wcisnął resztę pieniędzy przez wlot na listy w drzwiach. Szesnaście dolarów i pięćdziesiąt pięć centów. Słyszac, jak monety spadają na podłogę, od razu tego pożałował. Jeśli któraś wpadnie pod szafę, kobieta uzna, że ją oszukał. Gordon otrzepał rękawice z piachu i założył je, idąc przez podwórze. Postanowił jeszcze chwilę się tu pokręcić. Feaster właśnie odjechał i kobieta pewnie zaraz wyjdzie.

— Gordon! — zawołała wtedy Jilly Cross z jego werandy.

— Dzień dobry — rzucił z uśmiechem. Trzymała pod pachą teczkę i uznał, że przyjechała pokazać mu nowe oferty. Może w ten sposób próbowała przywrócić wszystko do normy. Jej włosy wyglądały teraz nieco inaczej — jaśniej, krótsze i jakby postrzępione. Uśmiechała się, ale gdy podeszła bliżej, jej oczy patrzyły nieufnie. Wydawała się młodsza i jeszcze delikatniejsza niż przedtem.

— A już myślałam, że cię nie ma.

— Byłem u sąsiadki, ale jeszcze nie wróciła. Musiałem jej oddać pieniądze, resztę z zakupów, tyle że nawet ich nie zabrała. — Wskazał na torby, po czym podniósł ręce w górę. — O, zupełnie o nich zapomniałem

— dodał, śmiejąc się cicho i zdjął rękawice. — Właśnie pracowałem w ogrodzie.

— Musimy porozmawiać — zaczęła poważnym tonem i od razu się domyślił, o co chodzi.

— Dobrze. To może wejdiesz? Mam dietetyczną pepsi.

— Słuchaj, wiesz, coś ty narobił? Co? Czy w ogóle cię to obchodzi? Dennis i ja byliśmy współnikami, aż tu nagle dzwoni do mnie jego żona i drze się, żebym się trzymała z dala od jej rodziny. Powiedziałam jej, co zrobiłeś. Opisałam całą scenę na poczcie, jak krzyczałeś na mnie przy ludziach i wygadywałeś okropne rzeczy... O r a n y — j ę k n ę ł a , przytykając do oczu zwiniętą chustkę. — Ale się narobiło.

— Wcale na ciebie nie krzyczałem. — Myśli zakodowały mu się w głowie, gdy próbował odtworzyć w pamięci, co się wtedy stało. Stali na zewnątrz, przed wejściem na pocztę, ani razu nie podniósł na nią głosu, a wokoło nikogo nie było.

— Niewiele brakowało. Rzuciłeś się na mnie przy ludziach.

— Przecież nie rzuciłem się na ciebie. A skąd! Po prostu bałem się o brata i jego rodzinę. Może nie powinienem był się wtrącać, ale to nie dawało mi spokoju. I kiedy zobaczyłem ciebie, to wszystko ci wygarnąłem, bo moim zdaniem to nie w porządku, żebyś ty z moim bratem... — Głos mu się urwał, a twarz wykrzywiła w gniewnym grymasie.

— Nie, to nie tak! — rzuciła i silnie dźgnęła go w ramię. Gordon zrobił krok w tył. — Oboje dobrze wiemy, w czym rzecz. Ubzdurałeś sobie, że coś nas łączy. Myślałeś, że zainteresowałby mnie taki facet jak ty. I to właśnie cię gryzie. To dlatego tak na mnie wyskoczyłeś! Od tego wszystko się zaczęło! — Gwałtowny cios wytrącił mu rękawice z rąk. Jej teczka upadła na ziemię i wszystkie papiery wysypały się na chodnik.

Wycofał się na schody. — Przepraszam, przepraszam — mamrotał, otwierając drzwi i wszedł do środka. Osłupiały, popatrzył przez okno, jak odjeżdża.

Delores od razu spodobało się w nowej pracy. Mały, przytulny butik Dearborn Lady urządzony był w bladym różu i zieleni, a na suficie o stonowanej niebieskiej barwie wymalowane były białe, puszyste obłoki. Miejsce to miało przypominać bardziej damski buduar niż sklep odzieżowy — taki był zamysł Jean Coppersmith, kiedy otwierała go przed trzydziestu laty. Znała większość klientek po imieniu i skrzętnie zapisywała sobie daty ich urodzin, wiedząc, że gdyby nie ona, niektóre z tych starszych pań nie dostałyby ani jednej kartki z życzeniami. Każdy centymetr

ściany zajmowały półki. W tak ciasnej przestrzeni Delores ciągle się o coś potykała. Właśnie wyszła z magazynu, skąd przyniosła naręcze jedwabnych bluzek. Układając je na zdobnie obitym fotelu, czuła na sobie wzrok Jean. Zwykle pogodna i ożywiona Jean była dziś markotna przez cały dzień i Delores dałaby głowę, że parę minut temu słyszała w łazience płacz. Odwiesiła bluzki na miejsce, a gdy odwróciła głowę, drobna, siwowłosa kobieta stała z ręką na ustach. Delores spytała ją, czy dobrze się czuje, na co Jean odparła, że ma po prostu ciężki dzień. W takim razie powinna pójść do domu i wziąć przyjemną, gorącą kąpiel, zaproponowała Delores, obejmując ją ramieniem. Mogła przecież sama zamknąć sklep, a w razie jakichkolwiek pytań od razu by zadzwoniła. Sztynniejąc, Jean podziękowała jej i zapewniła, że nic jej nie będzie.

— Prawdę mówiąc, nie wyglądasz za dobrze.

— Wiem, ale zaraz mi przejdzie — pokiwała głową Jean i wysiliła się na uśmiech, ale jej jasnoniebieskie oczy wezbrały łzami. Przyznała, że od wielu miesięcy bała się tego dnia, ale już tylko kilka godzin i będzie po wszystkim. Dokładnie rok temu miała wziąć ślub, ale sprawy potoczyły się inaczej.

— Nie do wiary — szepnęła Delores, kryjąc zaskoczenie. Jean mogła mieć grubo ponad sześćdziesiątkę.

Wtedy Jean wyjaśniła, że została panną ze względu na długotrwały związek z kimś, kto wreszcie wziął rozwód, ale zmarł na dwa dni przed ich ślubem w Palm Beach. — Wszystko było już gotowe. Bilety kupione, bagaże spakowane, a on nagle jakby zapadł się pod ziemię. A wiesz, skąd się dowiedziałam? Wyczytałam w gazecie, w rubryce „zgony”. Jego rodzina okazała się tak podła, że nawet nie raczyła mnie zawiadomić, a jego syn poprosił, żebym nie przychodziła na pogrzeb. To ze względu na dobro rodziny, powiedział. A ja to kto, zapytałam. Kim niby jestem po niespełna dwudziestu latach? — Jean stanęła przy drzwiach i wbiła wzrok w wielką, żeliwną urnę, z której gęsto wyrastał bluszcz i różowe i białe petunie. Rano nauczyła Delores przycinać je tak, by jeszcze ładniej zakwitły.

— To bardzo smutna historia — rzekła Delores.

— I wiesz, co na to jego syn? Chcesz wiedzieć, to ci powiem, mówi. Jesteś idiotką, i tyle.

— Co za okropność! — zawołała Delores, szczerze wzburzona. — Przecież ty go kochałaś. I on ciebie też.

— Teraz, kiedy sięgam pamięcią, wiem, że zawsze łączyła nas prawdziwa przyjaźń. Gdybyśmy oboje byli kobietami albo mężczyznami, byłoby nam o wiele łatwiej. Ale tak naprawdę jedno wykorzystywało drugie:

on dzięki mnie przez całe lata tkwił w nieszczęśliwym małżeństwie, a ja dzięk niemu nie musiałam się narażać. Nie potrzebowałam żadnych innych związków i mogłam poświęcić swój czas i energię na prowadzenie sklepu. No cóż! — rzuciła, przywracając twarzy swój pogodny uśmiech, i zaczęła porządkować rachunki. — Teraz już znasz moją ponurą tajemnicę. Wcześniej czy później i tak dowiedziałybyś się od którejś z klientek. Dla nich to taka tragiczna historia, zwłaszcza dla tych młodych. Wiem, bo widzę, jak na mnie patrzą. Tak, jakbym nie miała nic, zupełnie nic. A tymczasem prawda jest taka, że mam wszystko, czego chciałam. Sęk w tym, że przez dłuższy czas pragnęłam tego, co w moim przekonaniu mi się należało.

Wychodząc na ulicę, Delores wciąż czuła na ramionach gęsią skórkę. Walczyła ze sobą, by nie zapukać do zamkniętych już drzwi i nie poprosić, by opowiedziała jej coś więcej. Ale co? To, co przypominało jej własne życie i postępowanie z Albertem, który znowu wrócił — przez dwa dni z rzędu za piętnaście szósta zajrzał do niej na drinka i przekąskę przed obiadem w domu.

Kiedy dotarła do domu, Albert już u niej siedział i przygotowywał jakiegoś drinka z martini. Przetrzęsał lodówkę, a w telewizji leciały wiadomości. Na blacie leżał mrożony groszek, filety z kurczaka i hamburgery.

— Gdzie się podziała wódka? Przeszukałem każdy kąt.

— Nie mam pojęcia.

— Jak to, nie masz pojęcia? — fuknął, poirytowany. — Przecież było jeszcze pół butelki.

— Nie wiem, może ktoś wypił — rzuciła. Otworzyła szafkę, położyła torebkę na półce i przystanąła na chwilę. W całym mieszkaniu cuchnęło ód jego stóp. Na stoliku leżał zwinięty krawat, buty stały niedbale przed drzwiami łazienki, tam, gdzie je zrzucił. Zawsze zaczynał od łazienki. Woda spływała do muszli i Delores poprawiła uchwyt spłuczki. Na umywalce leżała jej gazeta. Albert oparł ją o kran, żeby lepiej mu się czytało. Delores spryskała powietrze odświeżaczem tak energicznie, jakby razem z jego zapachem chciała się pozbyć jego samego.

— Jak to, wypił? Nie rozumiem — rzucił w drzwiach.

— Może w weekend. A zresztą sama nie wiem — rzuciła, wymijając go.

— Chcesz mi powiedzieć, że ten typ, Loomis, znowu tu był?

— To był weekend. Czy to ważne, kto tu był? — spytała. Z pojemnika z lodem wyjęła butelkę wódki. — Proszę — podała mu.

— Jasne, rozumiem. Masz rację — zgodził się i zmierzył na oko ilość wódki i wermutu. — Tylko trochę się o ciebie martwię, Doe. Samotna kobieta w takiej dzielnicy... Musisz na siebie uważać. — Delikatnie wymieszał martini srebrnym mieszadełkiem, które kupiła mu w zeszłe święta pod choinkę. Zawsze zostawiał u niej skarpetki, a ona co roku upychała w nie prezenty. — Co z tego, że ten facet wydaje ci się miły? Nie zapomnij, za co siedział. — Dodał dużą hiszpańską oliwkę, zamieszał i upił łyk.

Ale Delores nie chciała rozmawiać o Gordonie, nie tylko dlatego, że sprawiało jej to ból. Ich znajomość wyraźnie drażniła Alberta. — Jeszcze parę miesięcy i pewnie się stąd wyprowadzę. Potrzebna mi większa sypialnia dla May Loo, no i ogród, żeby miała się gdzie bawić — oznajmiła, uśmiechnięta, jak zawsze, gdy wspominała o dziecku.

— A więc już postanowiłaś? I na pewno o wszystkim pomyślałaś? Wiesz, czym grozi samotne wychowywanie i... no wiesz, różnice rasowe? — spytał, niemal krzywiąc się z niesmaku.

— Oczywiście, że wiem — zjeżyła się. Zdążyła już zapomnieć jego pogardliwy ton i to poczucie niższości, które budził w niej do tego stopnia, że musiała się pilnować przy każdym słowie.

— Wychowywanie dzieci wcale nie jest takie łatwe, jak ci się wydaje — dodał, prychając lekceważąco, po czym wyciągnął się przed telewizorem i oparł stopy na podnóżku. Celowo kupiła taki wielki telewizor, żeby częściej ją odwiedzał. — Trzeba odkryć w sobie właściwy instynkt, a nie każdy go ma. Ludzie myślą, że wystarczy zadbać o wikt i opierunek, a reszta jakoś się ułoży...

Wyszła do sypialni się przebrać, wróciła i poszła do kuchni, a on ciągle mówił. Opowiadał o swoich zdolnościach wychowawczych. Ściszał głos, jak zawsze, gdy mówił na jakiś poważny temat. U swojej żony najbardziej krytykował lekkomyślność. Była powierzchowna i w niczym nie liczyła się ze zdaniem innych, a zwłaszcza jego. Delores odkręciła lekko wodę i zaczęła obierać w zlewie cebulę. Nagle wparował do kuchni, poyrutowany, i spytał, czy słyszała, co powiedział. Prawie wszystko, odparła i zakręciła wodę.

— No więc mówiłem Cheryl o tym, że planujesz adopcję, a ona od razu przypomniała mi o swojej kuzynce Sandy. Przez jej narzeczonego odmówili jej prawa do adopcji. Nie mówiłem ci o nim? To były więźni, pamiętasz? Siedział za gwałt, czy raczej uwiedzenie nieletniej, ale to jeden diabeł. Rozumiesz, do czego zmierzam? Musisz bardzo uważać, tak jak ze wszystkim, z firmą, dajmy na to. Trzeba się zaprezentować, stworzyć idealny wizerunek. Dlatego nie powinnaś pozwalać, żeby Gordon

Loomis kręcił się koło ciebie. Przecież to morderca z wyrokiem. Co sobie ludzie pomyślą, a zwłaszcza ci z ośrodka adopcyjnego? Chcesz, żeby tak cię kojarzyli? Chyba nie, a zresztą sama byś się bała...

— Nie rozumiem, dlaczego powiedziałaś Cheryl. Jak mogłeś? — Oczami wyobraźni widziała tych dwoje ludzi, których nic już nie łączy, którzy nie mają już o czym gadać, więc naśmiewają się z niej. I z Gordona.

— I co z tego, że jej powiedziałem? I nawet ją to zainteresowało. Wielka mi rzecz.

— A żebyś wiedział, że dla mnie wielka. — Popatrzyła na niego zadowolonymi oczami, z nożem w jednej ręce i mokrą cebulą w drugiej. Siłą woli odłożyła je na miejsce.

— Och, daj spokój, Doe. Nie gniewaj się. Po prostu martwię się o ciebie. I, prawdę mówiąc, o siebie też. Wiem, co czujesz. Cheryl ma rację: tyk tyk tyk tyk, twój zegar biologiczny tyka. Tylko nie rób żadnych głupich, nieprzemyślanych rzeczy. Nagle zdaje ci się, że musisz znaleźć pracę, faceta, nowe mieszkanie i dzieciaka, i to zaraz, najlepiej jeszcze przed zachodem słońca, bo inaczej twoje jajniki zaczną coś tam wyprawiać. Tak właśnie się zachowujesz. Rany, weź na wstrzymanie. — Wyrzucił ręce w górę. — Zaraz eksplodujesz.

Poszedł za nią do pokoju, a jej milczenie zachęciło go do okazania jej jeszcze większej troskliwości. — Słuchaj, przystopuj trochę. Łączy nas wspaniałe, solidne i bardzo ważne uczucie, Doe. Ty i ja. Przetrwaliśmy już tyle lat. To coś naprawdę wyjątkowego — dodał, uśmiechając się po błaznliwie. — Nie uważasz?

Otworzyła drzwi i wyniosła na korytarz jego cuchnące buty i krawat. — Uważam tylko, że jesteś śmieszny — odparła, wybuchła śmiechem i od razu jej ulżyło. Jego zaróżniona twarz drgnęła w grymasie złości i niedowierzania, ale Delores nie mogła się powstrzymać. — Wybacz, ale to prawda. Jesteś po prostu śmieszny!

Błyskawica rozdarła noc z przeraźliwym grzmotem i pokój zalała oślepiająca biel. Gordon zerwał się z łóżka i stanął, oślepiiony strzępiastymi pazurami piorunów, których błysk sprawiał, że wokół robiło się na przemian to czarno, to biało. Ognisty, rozedrgany negatyw jego koszmarnych wizji zaczął z wolna nabierać kształtów — rozrzucona pościel na łóżku, zamknięte drzwi i skulona sylwetka w lustrze, czyli on sam. Była trzecia czterdzieści trzy nad ranem. Strugi deszczu zacinały w okienne szyby. To przecież dom. Był już w domu. Opadł na łóżko z głową w rękach. Dennis miał rację, nie powinien był tu wracać. Me, *nie rób tego*, powtarzał do siebie, ale czarne myśli w jego głowie już walczyły o pierwszeństwo. Za dużo tych rozterek. Odkąd wrócił do domu, stał się coraz bardziej zagubiony.

Podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Deszcz powoli ustawał, a opóźniony grzmot pomrukiwał leniwie w dali jak zepsuty silnik przy uporczywym uruchamianiu. Przysunął się bliżej. Zakupy ciągle stały na werandzie pani Jukas. Chwycił za telefon, ale zaraz go odłożył. Nie powinien dzwonić do niej o tej porze. Czyżby wchodząc do domu, wcale ich nie zauważyła? Mleko i sok na pewno już skwaśniały, masło stopniało. Wszystko inne nadawało się do spożycia, tylko cukier i soda przemokną od deszczu.

Przemknął bokiem do jej drzwi i wziął zamoczone torby. W końcu to przecież jego wina. Pewnie będzie musiał odkupić to, co się zepsuło. Że też to musiało się stać właśnie teraz, kiedy nie miał pieniędzy, pracy i ani jednej przyjaznej duszy. Pomyślał o Bernie'em Samuelsie z sąsiedniej celi, z którym znali się przez ostatnie dwa lata. Dla Berniego, który spędził w więzieniu tyle samo czasu, co na wolności, życie poza celą było zbyt skomplikowane. Rachunki, ubogie dzieci, zrządzające kobiety, psujące się samochody. Powrót do więzienia był dla niego niemal ratunkiem. Przystępców zamyka się po to, by chronić społeczeństwo, przez co więźniowie

stają się wolni **od** społecznych oczekiwań i niuansów, które **dla** niejednego mężczyzny są jak jakiś niezrozumiały język. Może on sam też do nich należy, zastanawiał się, wycierając rękami ostatnią z puszek. Może tak naprawdę najgorszą karą jest wolność.

Dziewiąta rano, trzy telefony, żadnej odpowiedzi. Krzywiąc się, spróbował jeszcze raz, coraz bardziej zniechęcony po każdym sygnale, obawiając się jej zrzędlivej tyrady o tym, że wydzwania i nie da się jej wyspać. Uspokojony, odłożył słuchawkę i wyszedł do kiosku po gazetę. Sprzedawca zauważył go, jak spisuje ogłoszenia i od tej pory musiał kupować prasę. W drzwiach pani Jukas dostrzegł zatkniętą gazetę. Zawsze zabierała ją w chwili dostarczenia. Wszedł po schodach, nacisnął dzwonek, kilka razy mocno zapukał do drzwi i po chwili ruszył do kiosku. Po drodze do domu natknął się na rogu na Jadę.

— Dzień dobry — rzucił cicho.

— Dzień dobry — mruknęła i popędziła dalej, obejmując się ramionami, mimo że na dworze był trzydziestostopniowy upał. Prognozowano, że w najbliższych dniach temperatura może osiągnąć nawet czterdzieści stopni, a w wiadomościach zalecano pić dużo płynów i unikać słońca, zwłaszcza osobom starszym.

— Szykuje się niezły skwar — zauważył listonosz, wracając ścieżką ze starej kamienicy Langów na rogu.

— Na to wygląda — odparł Gordon i nagle coś go tknęło. Przypomniał sobie historię z dawnych lat, jak pan Petracolli przez parę dni leżał bezradnie w piwnicy, dopóki nie znalazł go listonosz.

Ten wsunął właśnie jakąś kopertę przez otwór w drzwiach pani Jukas, po czym wyjął z torby zwitek gazet i wcisnął do jej skrzynki pocztowej. — Proszę, to dla pana — powiedziała, podając mu ostatnie ponaglenia do zapłaty.

Gordon podziękował i spytał, czy u Jukas były jakieś listy. Chodzi o zaległą pocztę, wyjaśnił. — W skrzynce pocztowej — dodał, wskazując niezdarnie ręką.

— Tylko parę katalogów — odparł nieufnie listonosz. — Przesyłki ekspresowe kazała mi wrzucać przez otwór na listy. A dlaczego?

— Tak tylko pytałem. Zastanawiałem się, czy w ogóle zaglądała do skrzynki. — Wzruszył niepewnie ramionami, widząc zdziwiony wzrok młodego człowieka. — Nawet gazety nie wzięła.

— Ale chyba jest w domu, co? Czy może gdzieś wyjechała? — Wyjął notes z kieszeni koszuli. — Musi być w domu, skoro nie mam jej na liście

przesyłek wstrzymanych. — Szybkim ruchem zamknął notes. Jeśli Gordonowi nie daje to spokoju, to niech się skontaktuje z jego przełożonym, a wyślą pod jej adres kogoś z policji.

— A nie, nie trzeba! — odparł spiesznie, wiedząc, jak bardzo byją to zdenerwowało. Widocznie sobie odpoczywa, uspokoił listonosza, a przy okazji siebie.

Gordon zauważył, że zdążył już zakreślić prawie wszystkie ogłoszenia w całym dziale. Właśnie wtedy doszedł do anonsu browaru Harringtona. „Magazynier/zaopatrzeniowiec. Atrakcyjne dodatki do pensji. 555-2233”. Dennis już dawno mu to proponował. Gdyby go posłuchał, pewnie nie wpakowałby się w te wszystkie kłopoty. Teraz wprawdzie nie odważyłby się prosić brata o pomoc, ale jeśli sam się postara, to może między nimi znów się jakoś ułoży.

Mężczyzna, który odebrał telefon, przeprosił i oznajmił, że ogłoszenie jest już nieaktualne.

— Panie Harrington? Czy to pan? — spytał Gordon przez ściśnięte gardło, przerażony swoją nienaturalną śmiałością.

— Nie, tu Bill Powers. A pan do pana Harringtona? W takim razie zaraz połączę.

— Nie, nie trzeba... — zaczął Gordon, gdy usłyszał w słuchawce już inny głos.

— Biuro pana Harringtona. Kto mówi? — odezwała się jakaś kobieta z brytyjskim akcentem z wyższych sfer, a kiedy nie odpowiadał, powtórzyła pytanie.

— Gordon Loomis — wyjąkał wreszcie i usłyszał w słuchawce cichy trzask.

— Gordon — odezwał się zaraz pan Harrington. — W czym mogę ci pomóc?

— Szukam pracy, proszę pana — odparł, skulony, z zamkniętymi oczami. — Oczywiście, jeśli ma pan coś. To znaczy, jakieś wolne stanowisko.

— Oczywiście, Gordon, tyle że głowy nie dam, czy akurat teraz mamy coś wolnego. — A czy próbowałeś w Dziale Kadr? — Tak, dzwonił tam przed chwilą. Pan Harrington zapisał sobie jego numer. Sprawdzi sam i oddzwoni najszybciej, jak się da.

Chwilę później zadzwonił telefon. — Gordon, tu Tom Harrington. Chyba mamy coś dla ciebie... — Mieli kogoś zatrudnić, ale w Dziale Kadr

powiedzieli, że to jeszcze nic pewnego. Harrington spytał, kiedy mógłby do nich zajrzeć. W tej chwili, odparł Gordon. Choćby zaraz.

Tak się śpieszył na przystanek, że prawie biegł. Jeśli go przyjmą i znacznie od dzisiaj, dostanie prawie całą tygodniówkę, a dzięki ubezpieczeniu będzie mógł pójść do lekarza ze swoją chorą ręką. Przy najmniejszym ucisku ciągle wyciekała z niej jakaś żółtawa, cuchnąca ciecz. Będzie mógł też zapłacić rachunki i może nawet odłożyć trochę co tydzień, taka rezerwa na nagłe przypadki. Na pierwszy rzut oka jego dom wyglądał nienagannie, ale z czasem na gipsowych sufitach pojawiły się pęknięcia, w rurociągach coś grało, z tylnej ściany domu odchodziła farba, a dach garażu zaczął butwieć. Za stałą pensję mógł kupić, co trzeba i sam wszystko naprawić. Z rzucającego autobusu obserwował rozgrzane upałem ulice, coraz bardziej ucieszony. Niech tylko dostanie tę pracę, a będzie najlepszym pracownikiem pana Harringtona. Zastanawiał się, czy na rozmowie nie wspomnieć o tym, że nie pije alkoholu. To mogłoby być dużym plusem. Przynajmniej o to nie musieliby się martwić. Ale z drugiej strony, pewnie szukają kogoś, kto wie coś nieoś o tej branży.

Autobus minął budynek, gdzie mieszkała Delores, i Gordon zerknął na jej okna. Był ciekaw, czy podobają jej się w nowej pracy. Pewnie radzi sobie całkiem nieźle, zważywszy na jej jaskrawy styl ubioru. Ostatnio sporo o niej myślał i zawsze, gdy miał jakiś problem, zastanawiał się, co zrobiłaby i powiedziała Delores. Pewnie zdążyłaby już wyjawić mu wszystkie sekrety browaru — kto jest kim i na co należy uważać. Myślenie o niej dodało mu na tyle odwagi, że energicznym pchnięciem otworzył lśniące, zielone drzwi browaru.

— Pan Loomis! — powitała go recepcjonistka szerokim uśmiechem, jakby jego wizyta umiliła jej dzień. Podążył za nią dwa piętra w dół, a potem przeszli jeszcze przez kilkoro nie oznakowanych, stalowych drzwi. Znajome *trzask, trzask, trzask, trzask* zamykanych za nimi drzwi podziało na niego dziwnie kojąco. Dalej szli długim, krętym, szarym korytarzem. Sam za nic nie trafiłby z powrotem, ale na razie nie miało to żadnego znaczenia. Kobieta była wysoka i szczupła, miała ciemne, kręcone włosy, duży, orli nos i dźwięczny, śpiewny głos. Zastanawiał się, czy jest mężatką, ale zaraz przypomniał sobie o Delores i ogarnęło go poczucie winy. — Dobrze się tu pracuje — mówiła kobieta. — Wszyscy są bardzo mili. Na Święto Dziękczynienia każdy dostaje indyka, a na Boże Narodzenie mamy tu na dole wielkie przyjęcie. Podają wtedy homary, krewetki i różne inne przystawki. Myślę, że bardzo się panu tu spodoba. — Przystanął przy podwójnych stalowych drzwiach na końcu korytarza.

— No nie wiem. Na razie przyszedłem tylko na rozmowę.

— Nie ma sprawy, już pan jest przyjęty. — Otworzyła drzwi, za którymi mieścił się wielki, oświetlony magazyn. Setki złoto-zielonych skrzynek piwa Harrington sunęły z brzękiem po taśmociągach na palety, skąd zabierano je wózkami widłowymi do ładowni, do przyczep czekających tam ciężarówek. Wszyscy pracownicy mieli na sobie zielone kombinezony i pasy balastowe.

— Pan Loomis! — Kierownik, mężczyzna o wydatnym torsie, chwycił jego rękę i krzyknął coś wśród zgiełku tej bezokiennej, jaskrawo oświetlonej hali. Gordon uśmiechnął się. Pierwszy raz od paru tygodni poczuł, jak ogarniają go spokój i ulga.

Jada weszła na palcach do nagrzonej, dusznej sypialni. Stopy kleiły się jej do podłogi. Na komodzie stały figurki starszej pani. Sięgnęła po jedną. Matka jęknęła, usiłując się podnieść. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny to odpływała, to odzyskiwała przytomność. Za pieniądze starszej pani kupiły dwadzieścia gram koki i matka wszystko już wypaliła. Zostało jeszcze piętnaście dolarów. Jada chciała kupić coś do jedzenia, ale gdy tylko sięgała pod materac, matka zaraz się budziła.

Półężała, oparta o łóżko, z szeroko otwartymi oczami, kołyszając się w przód i w tył. — Za daleko do dna, za głęboko — mamrotała niewyraźnie zdumionym, trwożliwym tonem, po czym oparła się bezwładnie o ścianę.

Jada wsunęła figurkę do kieszeni. Sprzeda ją Bruce'owi na Alston Street i kupi coś do jedzenia. Od matki zwykle przyjmował wszystko. Nie wybrzydzał, bo i tak niewiele płacił. Figurkę dziewczynki z psem Jada postanowiła zatrzymać dla siebie. Leonardo też tak na nią patrzył. Wczoraj przechodziła obok jakiegoś podwórza i widziała czarnego szczeniaka, przywiązane linką do prania. Skakał i piszczał, żeby do niej przybiec, ale z domu wyszedł jakiś młody chłopak i zabrał go do środka.

Na ulicy synowie Inez ładowali do swoich furgonetek jej ostatnie meble, a gdy poszli na górę, Jada wybiegła przed dom. Jej wzrok zatrzymał się na brązowym, kwadratowym budynku po drugiej stronie ulicy. Matka rzuciła się na staruszkę krótko po tym, jak tamta weszła do domu. Może wcale ich nie rozpoznała. Może ma tylko parę sińców i nic jej nie jest, tylko jest tak obolała, że nie wychodzi z domu. W uszach ciągle dudniło jej *bęc bęc bęc bęc*, kiedy głowa staruszki uderzała o stopnie. Może tylko na chwilę zemdląta. A może jednak nie żyje...

— Jada! Ej, Jada! — zawołał za nią Thurman.

— Kretyn — mruknęła, przyspieszając kroku. Dość już miała jego i całej reszty w tym zakichanym życiu. Wczoraj wieczorem zadzwoniła do wuja Boba powiedzieć mu o dziecku i poprosić, żeby namówił swoją siostrę na odwyk, ale telefon odebrała ciotka Sue i oznajmiła, że go nie ma. Zdawało się, że zewsząd otaczają ją jakiś mur, który zamyka się wokół niej i staje na przeszkodzie, gdy tylko próbuje gdzieś pójść i coś zrobić. Dawniej umiała się z tym pogodzić, przeciwstawianie się innym dawało jej satysfakcję. Ale teraz już nie. Wszystko było do kitu. Świat zdawał się powolny i ociężały jak jakiś zły sen, z którego nie mogła się obudzić.

Zapomniała już, jaki z tego Bruce'a dziwak. Czekwała, aż skończy rozmawiać przez telefon. Stojąc, przewyższała go o głowę. Jego biała, świecąca skóra przypominała oślizły brzuch ryby. Miał na sobie jasnoniebieską hawajską koszulę, tak długą, że zakrywała mu kolarskie spodenki i przez chwilę Jadzie zdawało się, że jest w samej koszuli. Chodził po mieszkaniu i darł się przez komórkę do kogoś, kto trzy tygodnie temu pożyczyl od niego wóz i do tej pory nie oddał. Domyśliła się, że nagrywa się na automatyczną sekretarkę, bo za każdym razem, kiedy kończyła się taśma, krzyczał „a niech to szlag!” i musiał ponownie wybierać numer. Jeśli tamten jeszcze dziś nie odda mu wozu, to wezwie gliny. — Masz jeszcze pięć godzin. Pięć godzin, do cholery! — wrzeszczał.

— Ale tu pięknie — zauważyła po tym, jak już się rozłączył. Wszystko miało fioletowy kolor — zasłony, meble, dywan. Nawet ściany. Telewizor był prawie tak wielki jak ekran w kinie. Kiedy tu przychodziły, matka zawsze kazała jej czekać w korytarzu. Naliczyła już sześć białych, długowłosych kotów, a spod koronkowej narzuty na sofie wyłonił się jeszcze jeden i mrużąc, zaczął ocierać się o jej nogi. Wzięła ze stolika szklanego, fioletowego klauna. — To prawdziwe diamenty? — spytała na widok połyskujących oczu i guziczków.

— Odłóż to! Odłóż natychmiast! — krzyknął Bruce, robiąc wielkie oczy i wskazał palcem na figurkę, dopóki nie odstawiła jej na miejsce. — Masz coś dla mnie? — Wyciągnął rękę. Podała mu figurkę, a Bruce popatrzył na jej podstawę. — To Hummel. Pięć docłów.

— Pięć docłów! A jeden facet chciał mi za nią dać... dwadzieścia pięć. — Niech to szlag, niepotrzebnie się zawahała.

— To wracaj do niego, póki jeszcze się nie rozmyślił — powiedział z uśmiechem, oddając jej figurkę.

— To za daleko. Znajoma, która mnie przywiozła, już odjechała. Niech będzie dwadzieścia. — Wyciągnęła rękę, ale on kręcił głową. — Przecież to ładna figurka, chyba jest tyle warta.

- Ale nie dla mnie.
- No to ile?
- Już ci mówiłem, że pięć.

Ścisnęła dłonią twardy przedmiot w kieszeni. Może za obie dostałaby piętnaście. — No dobra, niech będzie piętnaście — nalegała, chcąc zatrzymać tę, która tak bardzo jej się podobała.

— Nie, i spadaj stąd — rzucił, wymachując rękami. — Nie handluję z dzieciakami, a zwłaszcza z jakimiś świrniętymi ćpunkami.

— Nie jestem ćpunką.

— Jasne. Sam cię widziałem z tą szmatą, jak jej tam... Marbella — odparł, otwierając drzwi.

— Marvella. To moja matka.

— A co za różnica. — Wypchnął ją na korytarz i zatrzasnął drzwi.

— Chrzań się, ty głupi pedale!

Jada usiadła przy ostatnim wolnym stoliku. Azjacie za barem powiedziała, że czeka na koleżankę i zamówią razem, a potem wypatrywała przez okno tej, którą pod wpływem głodu wytworzyła jej wyobraźnia. Nie bardzo wiedziała, co robić, ale czuła, że zwymiotuje, jeśli zaraz czegoś nie zje. Odurzona zapachem i widokiem przeróżnych potraw — pizzy, kanapek, spaghetti czy klopsów — trzymała się stołu, bojąc się, że spadnie z krzesła. Wtedy weszło jakichś dwóch mężczyzn. Głośno przełknęła ślinę, by zwalczyć ssanie w żołądku. Starszy mężczyzna utykał, młodszy oparł się brzuchem o bar i złożył zamówienie.

— Ej! — zawołał Azjata, gdy Jada gapiła się na zaplamione menu. — Ej, ty! Dziewczyna! Ci panowie chcą stolik.

— Jasne, mogę zaczekać tutaj. — Stanęła przy barze, oparta o ścianę, chwiejąc się na nogach.

— Stek z serem — rzucił starszy mężczyzna.

— Dwa razy — dorzucił jego towarzysz i obaj usiedli przy stoliku.

Kilka minut później gotowe kanapki czekały już na odbiór w okienku za barem. Jada nie mogła oderwać od nich oczu. Azjata zapisywał jakieś telefoniczne zamówienie, a mężczyźni przy stoliku rozmawiali. Przynęła się bliżej wzdłuż baru. — Nie nudzi ci się czekać na koleżankę? — spytał Azjata, odkładając słuchawkę. Skinęła głową. — To jak, zamawiasz coś?

— Taa, ale jeszcze się nie zdecydowałam. — Popatrzyła na menu na ścianie. — Sama nie wiem. O, kanapki już gotowe — zauważyła, wskazując palcem. Azjata się odwrócił.

— Kanapki! — zawołał, kładąc je na blacie.

Chwyliła pojednej każdą ręką i była już prawie przy drzwiach. Puściła się biegiem, jeszcze zanim zdążył krzyknąć: stój! Nie chciała ani nie mogła się zatrzymać, nic już nie miało znaczenia prócz obiecującego ciepłego sera, ciekącego jej po palcach.

Kiedy szła ulicą, pochłaniając drugą kanapkę, zastała Thurmana na schodach do jej domu. Ufarbowane na pomarańczowo włosy sterczały mu jak świecące marchewki. Szybko przełknęła kanapkę, żeby nie zdążyć poprosić o kawałek. Usiadła obok niego. W żołądku ją mdliło, ale przynajmniej już nie słabła tak jak przedtem. Thurman oznajmił, że Polie jej szuka. Chciał, żeby dostarczyli towar do Dearborn — jakaś większa akcja. Polie i Feaster budziłiby podejrzenia, a Thurman i Jada wyglądali jak para miejscowych dzieciaków kręcących się po parku.

— Akurat! — W niczym nie przypominała bogatej dziewczuchy z Dearborn.

Objął ją niedbale ramieniem. — Będziemy udawać, że jesteśmy na randce.

— A gównu. Mowy nie ma. — Odepchnęła go.

— Musisz, twoja matka już im powiedziała.

— To niech sama sobie jedzie. Chcesz? — Podała mu papierosa od matki. Ostatnio, zamiast jeść, paliła jak komin. Zaciągnęła się głęboko, rzuciła zapalonego papierosa na suchą trawę i obserwowała wypalony okrąg. JumJum tak robił, nawet w domu; a ona gasiła butem zapalki. I za każdą dostawała dolara.

— Polie mówi, że dostaniemy po dwadzieścia na głowę.

Od dwóch dni pani Jukas nie dawała znaku życia. Jeśli zabrali ją do szpitala, to czy już dawno ktoś nie powinien był go powiadomić? A może była taka chora, że nie miała siły zabrać z werandy zakupów. Nie pamiętał nawet, u którego lekarza była, jeśli w ogóle o tym wspomniała. Dennis miał numer do jej siostrzenicy w Michigan, ale Gordon nie był jeszcze gotów na rozmowę z bratem. A przynajmniej wolał zaczekać z tym do poniedziałku, kiedy już zacznie pracę. Wczoraj wieczorem w jej domu znowu było ciemno, pomimo hałasów na ulicy. Wcześniej zauważył, jak Jada i Thurman odjeżdżają wozem Feastera, a gdy wrócili, było już bardzo późno. Marvella Fossum wybiegła z domu i usiłowała wsiąść do wozu z Feasterem i Poliemi. Zrobiła taką afere, że przyjechała policja. Był tam ten sam ciemnoskóry gliniarz, którego Gordon poznał w tydzień po powrocie do domu. Kiedy w oknach błysnęły latarki, walczyły ze sobą, żeby

wyjsć i powiedzieć im, że niepokoi się o panią Jukas. Ale chwilę potem Jada zabrała matkę do domu i policja odjechała.

Dwadzieścia pięć lat temu na Clover Street najgłośniej było w weekendy, podczas pijackich burd u pana Shire'a. Kiedy zaczynał rozrabiać, to pani Shire zamykała przed nim drzwi, a wtedy pan Shire obrzucał aluminiową fasadę budynku gradem kamieni, aż się wgniecenia porobiły, i wreszcie przyjeżdżała policja i prosiła panią Shire, żeby wpuściła go do domu. Gordon zaczął składać papierowy ręcznik w kostkę, coraz mniejszą i mniejszą. Jednak nie, największe zamieszanie na Clover Street było tamtego ranka, kiedy przyjechały po niego radiowozy.

Wykręcił numer Dennisa. O tej porze i tak nikogo nie było w domu. Zostawi wiadomość o pani Jukas — niech Dennis sam się tym zajmie. Ale telefon odebrała Lisa i Gordon wyjąkał, że się jej nie spodziewał, bo myślał, że wyjechała nad jezioro. Rzeczywiście, wyjechała, ale Dennis prosił, a wręcz błagał ją, by wróciła do domu. Nazajutrz wybierali się na pierwszą wizytę w poradni małżeńskiej. Gordon wstrząsnął się, jakby rażony bólem. Nie chciał nic a nic o tym słyszeć, ale Lisa mówiła dalej. Na jedną wizytę poszła sama. Psycholog stwierdził, że sama jest sobie winna. Tak ją to uraziło, że miała ochotę wstać i wyjść. Ale taka była prawda. Przez całe lata lekceważyła wszelkie oznaki i chowała głowę w piasek nie z miłości do Dennisa i obawy, że go straci, ale dlatego, że nie umiała kochać samej siebie na tyle, by zacząć działać.

— Dopiero teraz, z perspektywy czasu, dociera do mnie to, co zrobiłam. A wtedy myślałam, że to całkiem... normalne. A przynajmniej tak sobie wmawiałam. Wystarczy, że o tym pomyślę i zaraz czuję do siebie wstręt. A wszyscy wokół na pewno wiedzieli — westchnęła z goryczą. — No, bo skoro ty wiedziałeś, to inni pewnie też. Ale tylko ty jeden miałeś na tyle odwagi, żeby mi powiedzieć.

— Nie, to nie tak. Po prostu byłem wściekły.

— I całe szczęście. Dziękuję ci.

— Wiesz, byłem wściekły na Dennisa i dlatego ci powiedziałem.

— To był dla mnie niezły szok, że usłyszałam prawdę od jego starszego brata. To podziałało na mnie jak zimny prysznic. Dennis zawsze uważał, że to on musi pomóc ci naprawić życie, a tu nagle ty wytykasz mu, że źle postępuje.

Gordon domyślał się, o co jej chodzi, a mimo to nadal się boczył. — Słuchaj, może słyszałaś już, że znalazłem nową pracę, i to dzięki twojemu ojcu — oznajmił z urażoną dumą. — Od poniedziałku będę pracował w browarze na pełen etat.

— Och, Gordonie! — Głos jej się załamał. — Tak się cieszę, że ci się udało. I nam wszystkim.

Dopiero gdy odłożył słuchawkę, zorientował się, że nie powiedział ani słowa o pani Jukas. Zamiast zadzwonić znowu, postanowił pójść do jej drzwi i trochę się rozejrzeć. Ledwo zdążył wyjść z domu, a już rozdzwonił się telefon.

— Gordon?

— Dennis! — uśmiechnął się, słysząc głos brata. — Wiesz, to chyba jakaś telepatia...

— Słuchaj, co ty sobie myślisz, co cholery? Poszedłeś do mojego teścia bez mojej zgody? Nie chciało ci się nawet zadzwonić! Co z tobą? Czy ty nic nie rozumiesz? Nie wiesz, jak się załatwia takie sprawy?

— Przepraszam. Po prostu przeczytałem ogłoszenie i poszedłem. To znaczy, najpierw zadzwoniłem...

— A do mnie nie raczyłeś zadzwonić? Mogłeś mnie chociaż uprzedzić! Cholera, nie przyszło ci do głowy, w jakiej sytuacji mnie stawiasz?

— I dlatego właśnie wolałem do ciebie nie dzwonić. Nie chciałem ci robić kłopotu. Pomyślałem sobie, że sam się skontaktuję i zapytam...

— Jasne, i załatwisz to za moimi plecami, tak? Skoro Dennis popadł w niełaskę, to można go olać. Kogo obchodzi, jak on się czuje.

— Nie! Dennis, przysięgam, to nie tak. Wcale tak nie było. Nie sądziłem, że dostanę tę pracę, i nawet nie przyszło mi do głowy, że mnie połączą z panem Harringtonem.

— Słuchaj, przez całe życie byłem schowany w twoim cieniu. Było mi wstyd, bałem się, że czego bym nie zrobił czy nie powiedział, ludzie wciąż będą się zastanawiać: czy on jest taki sam jak jego brat?

— Przepraszam. Nie masz pojęcia, jak mi przykro.

— Guzik prawda. Jesteś po prostu pieprzonym nałogowym świrem, i nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy...

I Dennis ciągnął swoją nieprzerwaną tyradę. W Gordonie zawrzała gniew, ale po chwili minął: był naiwny, wierząc, że powiedzie mu się w browarze. Prędzej czy później kogoś by obraził albo przestraszył, a następstwa byłyby dużo gorsze, niż gdyby pracował u całkiem obcych ludzi. — Spokojna głowa, i tak nie skorzystam — przerwał mu z trudem. — Zadzwoń do pana Harringtona. Albo sam to zrób, jeśli chcesz — dodał szybko. — Powiedz mu, że nie wypada mi przyjąć tej pracy, bo jestem z rodziny.

— Nie mogę, rozumiesz? Widzisz, w jaką kabałę mnie wpakowałeś?! — jęknął Dennis.

Nie, nie rozumiem — myślał, idąc po trawniku. Jego brat był strasznie uparty. Czegokolwiek by Gordon nie zrobił, i tak zawsze było źle. Tak bardzo chciał porozmawiać z Delores, zwłaszcza teraz. Ona zawsze rozumiała rozterki rodzinne, które właśnie w tej chwili przysparzały mu więcej kłopotów, niż były tego warte. Przez ułamek sekundy pożałował tego, co jej powiedział, ale od razu przypomniał sobie, jaka okazała się obłudna. Zaprzagnął znaleźć się daleko stąd, gdzie nie musiałyby troszczyć się o niego innego oprócz siebie.

Na werandzie pani Jukas leżały dwie świeże gazety, a pokrywka skrzynki pocztowej nie domykała się, zablokowana upchniętymi katalogami. Nacisnął dzwonek, zapukał, po czym ruszył na tył domu. Na najwyższym stopniu stała stara, metalowa skrzynia, a w niej trzy bańki mleka, nietknięte od paru dni. Drewniane drzwi zatrzęsły się pod jego uderzeniem, a spod zwisającej siatki wzbił się kurz. Gordon pochylił się nad barierką i zajrzał w okno. Zaniepokojony, przysunął się jeszcze bliżej. Jeśli teraz wyszłaby z kuchni i go zobaczyła, to natychmiast trafiłby do aresztu. Na nic by się zdały jego wyjaśnienia. Drzwiczki szafki nad piecykiem były otwarte, na blacie leżały rozsypane herbatniki z rozerwanej paczki, a na stole stała butelka piwa imbirowego. Nie przypominało to spustoszenia, które zastał niedawno u siebie w kuchni, ale coś tu było nie tak. Staruszka na pewno nie zostawiłaby kuchni w takim stanie. Schodząc po stopniach, zauważył w mokrej trawie jakiś błyszczący przedmiot. Klucz. Podniósł go, wszedł z powrotem po schodach i włożył go do zamka, ale szybko zdał sobie sprawę, że to niedorzeczne.

Wsunął klucz przez otwór na listy i metal upadł z brzękiem na podłogę po drugiej stronie drzwi. Następnie zdmuchnął z gazet kurz i wepchnął je przez otwór. Teraz przynajmniej już nie było widać, że w domu nikogo nie ma. Wsunął jeszcze kolejno wszystkie katalogi, a na koniec *Newsweeka*, zajrzał przez okno i już miał odejść. Ale zaraz, co to takiego? Przycisnął nos do brudnej szyby i zajrzał przez firanę. To był but, czarny but i kobieca stopa, ledwie widoczna w ciemnym przedpokoju. — Pani Jukas! Pani Jukas! — wołał, waląc w szybę i w drzwi. Zaraz, co on wyprawia? Przecież ona nie może wstać, inaczej by tam nie leżała. Zacisnął dłoń na gałce w drzwiach i pociągnął, bojąc się nie widoku, który tam zostanie, ale tego, co mu groziło za samowolne wtargnięcie do jej domu. — Pani Jukas! — zawołał z twarzą przy szybie. — Zaraz tu wrócę. Wszystko będzie dobrze. Biegnę wezwać pomoc.

Popędził ścieżką, przystanął i rozejrzał się po ulicy. Młoda kobieta z domu na rogu spacerowała ze swoim dzieckiem, które siedziało w wózku, wepchnięte między torby z zakupami. Kobieta spuściła wzrok i przyspieszyła kroku. — Proszę pani! — zawołała za nią. Odwróciła głowę i zaklęła po hiszpańsku, żeby trzymał się z daleka. Gordon popędził do domu, chwycił za słuchawkę i zadzwonił do brata. — Czy zastałem Dennisa? — wysapał, ale automatyczna sekretarka oznajmiła, że gabinet jest nieczynny i że można zostawić wiadomość.

Przedtem zawsze musiał wyszukać numer Delores, ale nie tym razem. W jednej chwili rozjaśniło mu się w głowie i zaczął myśleć tak trzeźwo, jakby nagle znalazł się poza własnym ciałem i patrzył na siebie z boku, obserwując tego ociężałego, ślamazarnego, nieporadnego człowieka. — Boże, żeby tylko odebrała — szeptał z zamkniętymi oczami, a głowa drgała mu przy każdym sygnale, jakby próbował ją przywołać, gdziekolwiek by nie była. Przecież właśnie dostała pracę. Na pewno jest w sklepie.

— Halo! — wysapała jednym tchem.

— Delores! Dzieje się coś niedobrego. Chyba coś nie tak z panią Jukas. Na pewno jest ranna. Widziałem jej nogę. Wygląda na to, że spadła ze schodów. Nie bardzo wiem, co robić.

Spytała, czy drzwi są otwarte. Odparł, że nie wie. Bał się próbować wejść do środka. — W takim razie dzwoń po policję — nakazała. — Wykręć dziewięćsetjedenastcie, na pewno zaraz tam będą. Przyjadą za jakieś dwie minuty. Już oni będą wiedzieli, co z tym zrobić.

— Nie mogę! Boję się. A jeśli pomyśla, że coś jej zrobiłem?

— No dobrze już, Gordon, uspokój się. Sama się tym zajmę. Dzwonię po nich, a ty tam czekaj. Zaraz przyjadę.

Słyszac dźwięk syren, Jada już wiedziała. Na trawniku stała karetka, a na ulicy trzy równo zaparkowane radiowozy.

— Idą po nas? — krzyknęła matka z łóżka.

— Nie, przyjechali do tej staruszki. Właśnie tam wchodzą.

— No i co? No i co teraz? — ję c z a ł a matka z dłońią na ustach, kiwając się jak wystraszone dziecko, szukające ukojenia.

— Na razie nic, tylko wchodzą i wychodzą — relacjonowała Jada przy oknie. Policjanci kręcili się po posesji i dużo ze sobą rozmawiali. Był wśród nich ten sam czarnoskóry, siwowłosy gliniarz, który przyjechał tu zeszłego wieczoru. Właśnie rozmawiał z Gordonem, a obok stała Delores i trzymała mu dłoń na ramieniu. Przed domem Gordona zebrał się tłumek gapiów.

— Właśnie wychodzą. Znaleźli ją. Zabierają ją z domu — mówiła Jada, a matka pojękiwała przy każdym jej słowie. — Leży na noszach, a lekarz trzyma jej coś przy twarzy, chyba maskę tlenową. A teraz zatrzymali się, żeby ją poprawić.

— To ona żyje? — spytała matka z niedowierzaniem i mrużąc oczy, wyszła skulona z ciemnego pokoju na światło dzienne.

— Nie wiem, ale chyba tak, skoro tak koło niej skaczą i ciągle coś przy niej robią.

— Jezu Chryste! — Matka zakryła twarz i przykucnęła.

— Całe szczęście, że żyje — orzekła Jada z ulgą. Przez ostatnie kilka dni była pewna, że ciało staruszki leży tam spuchnięte od upału. Zdawało jej się nawet, że czuje jego odór.

— Teraz na pewno wszystko wygada. Powie, że to my. Rany boskie! Rany boskie! I co dalej? — Matka truchtała w kółko po pokoju.

— Nic. Wnieśli ją do karetki i zamknęli drzwi, a teraz włączyli światelko i odjeżdżają.

Uderzając się o ścianę, matka pobiegła z powrotem do sypialni. — Spadamy stąd! Szybciej, musimy stąd uciekać!

— No coś ty! Teraz już za późno. Już tu idą. Mamo, jacyś dwaj gliniarze idą po schodach!

Powiedziała im, że matki nie ma w domu. Starszy policjant pamiętał ją, ale nie z imienia. Przedstawiła mu się i zaraz zanotował.

— Ile masz lat?

— Dwanaście. — Bała się przyznać, że trzynaście, wolała mieć jedenaście, dziesięć, dziewięć. W głębi mieszkania, w sypialni, panowała cisza i Jada przestraszyła się, że może matka wyszła przez okno na dach. Ale nie, była zbyt nawalona. Starszą panią z domu naprzeciwko znaleziono nieprzytomną, poinformował policjant. Została dotkliwie pobita. Nie bardzo wiedzieli, kiedy to się stało, ale prawdopodobnie parę dni temu. Była w strasznym stanie. Czy Jada wie coś o tej sprawie? Nie. A może widziała, że ktoś kręci się koło domu staruszki? A czy ostatnio działo się tu coś dziwnego? Nie. A co to za pokój? Sypialnia. A czy ktoś tam jest? Policjant sięgnął ręką, zapalił światło i wszedł do środka.

— Marvella! — krzyknął na widok postaci zwinętej pod kocem.

— Już dobrze, mamo — uspokajała ją Jada. — Nie chodzi im o ciebie, tylko o tę starszą panią z naprzeciwka. Podobno ktoś ją pobił. Przyszli spytać, czy przypadkiem nikogo tam nie widziałyśmy.

Matka przysłoniła oczy i poprosiła Jadę, żeby zgasiła światło.

— Mogę zgasić? — spytała Jada policjanta. Spocona koszulka lepiła jej się do pleców. Jeszcze chwila i matkę zacznie nosić. Już to czuła.

Policjant kazał nie gasić światła. Musiał coś zanotować.

Matka oznajmiła, że kiepsko się czuje.

— A kiedy ostatnio brałaś? — dociekał policjant.

Nie pamiętała. Próbowwała sama odstawić prochy. Była na głodzie, a do tego jeszcze w ciąży. Musi z tym zerwać, mówiła, i w Jadzie coś drgnęło. Nawet w kłamstwie doszukiwała się nadziei. Gdyby tylko udało im się przez to przejść, wszystko by się jakoś ułożyło. Matka twierdziła, że od tygodnia nie ruszała się z łóżka...

— Aż do wczorajszego wieczoru — przerwał jej policjant. Matka zrobiła niepewną minę. — O co poszło z Feasterem i Poliem? Po co się pchałaś do ich wozu?

— Nie pamiętam. Coś mnie wkurzyło, ale nie wiem co. — Popatrzyła na Jadę. — Czy to przypadkiem nie ty?

— Aha. — Jada zerknęła na matkę. — Nie chciałaś, żeby te ćwoki ze mną gadały. Kazałaś mi przyjść do domu, a ja nie posłuchałam. — Tak naprawdę poszło o to, że schrzaniła akcję w Dearborn. Thurman przyszedł tak naćpany, że nie mógł z siebie wydusić ani słowa i musiała sama dostarczyć towar. Poszła z czterdziestoma gramami koki, upchniętymi między nogami, z Thurmanem w chuście na głowie i szerokich spodniach, który ślinił się do niej, kiedy siedzieli na ławce w parku, pośrodku miejsca akcji, a mijający ich ludzie gapili się na nich jak na parę idiotów. Wreszcie zjawił się jakiś starszy facet. Wyglądał na kogoś, kto mieszka w Dearborn, ale ręce mu się trzęsły, a oczy miał tak samo rozbiegane od prochów jak jej matka. Powiedział, że przy Thurmanie sprawa będzie wyglądać podejrzanie i żeby poszli do jego wozu, tylko ona i on. Gdy tylko wsiadła, odpalił silnik. Wjechał tylko w boczną ulicę, ale Jada miała takiego stracha, że chwyciła pieniądze bez przeliczenia. Okazało się, że brakowało sześćdziesięciu dolców, przez co Jada i Thurman nie dostali od Feastera ani centa. A kiedy wrócili, matka wpadła w szal, że Feaster nie dał jej prochów, które jej obiecał pod warunkiem, że Jada dostarczy towar. Nigdy przedtem Jada nie widziała Feastera i Poliego tak spietranych, jak wczoraj, kiedy zjawiły się gliny.

— Czy dwa dni temu byli tu Feaster z Poliem? — dociekał starszy policjant.

— Nie przypominam sobie — odparła matka.

— A ktoś zeznał, że tu byli. Któryś z sąsiadów widział ich wóz.

— W takim razie pytajcie jego, a nie mnie — ucięła matka.

— Podobno Feaster nie przepada za tą starszą panią z przeciwnika? — ciągnął policjant.

Matka wzruszyła ramionami. Zęby jej dzwoniły. Objęła się ramionami.

— A nie widziałas przypadkiem, czy w poniedziałek ktoś się tam kręcił? Na jej werandzie?

— Aha — mruknęła, trzęsąc się. — Ten duży facet z przeciwnika. Gordon. Podobno już raz kogoś zabił.

— Poszedł tylko zanieść jej zakupy! — wtrąciła Jada.

— A kiedy to było? — spytał ten młodszy. — Kiedy dokładnie zaniósł jej zakupy?

— Nie wiem, ale czasem robi dla niej zakupy, kiedy go o to prosi — odparła Jada.

— A w zeszły poniedziałek?

— Nie wiem, nie pamiętam. — Czuła, jak matka przewiercają wzrokiem.

— Tak, w poniedziałek też — dodała matka, zanosząc się od kaszlu. Czekali, aż jej przejdzie, a młodszy policjant zasłonił dłonią nos i usta. — Pamiętam bardzo dobrze — świszczała. — Przyniósł jakieś dwie czy trzy siatki. — Piersi jej falowały, gdy usiłowała złapać oddech.

— Zostawił je na werandzie — rzuciła Jada do matki.

— A skąd mam wiedzieć — jęknęła matka, zginając się wpół. — Jezus, chyba znowu zwymiotuję.

Młodszy policjant próbował wyciągnąć od Jady coś więcej na temat Gordona i jego zakupów, ale ona nie pamiętała i nie była pewna. Ją też zaczęło mdlić w żołądku i musiała pójść do łazienki.

Może tak właśnie miało być. A ta Juka to wredna, stara jędza. Nawet gliniarze jakoś szczególnie się nią nie przejęli. Co by nie było, życie musi toczyć się dalej. Gliny odjechały, zostawiając po sobie mdły, gorzkawy zapach wody po goleniu, taki sam, jakim pachniał wuj Bob. Przypomniało jej się, jak kiedyś wuj i ciotka zabrali ją do zoo. Wuj Bob był tam pierwszy raz w życiu. Niech tylko maleństwo trochę podrośnie, a zabierze je do zoo. Kupi jakiś wózek i będzie je wozila na długie spacery. Matka też pewnie nigdy nie była w zoo. Ją także zabierze. Tak wiele chciała jeszcze dla nich zrobić, i dla matki, i dla dziecka.

Matka wczołgała się do łóżka, bez przerwy szlochając. Jada pogładziła ją po spoconych plecach. — Już dobrze, mamó, już dobrze.

— Boję się. Tak bardzo się boję. Nie wiem, co zrobić.

— Nie bój się, mammo. Zaopiekuję się tobą. Obiecuję. Wszystko będzie dobrze.

— On się domyśla — jęczała matka. — Widziałam, jak na mnie patrzył.

— Daj spokój. Spojrzał na ciebie i pomyślał: nie, to na pewno nie ona, skoro jest w ciąży i tak źle się czuje.

Matka podparła się drżącą ręką. — Masz rację, nawet nie miałabym siły.

— No widzisz, mammo. Jak to dobrze, że będziesz miała dziecko — zawołała piskliwym, podnieconym głosem, którego matka tak nie znosiła. Ale to było silniejsze od niej. Teraz wiedziała już, że będzie lepiej. — Musisz tylko jeść same dobre rzeczy, żeby dziecko było zdrowe, prawda, mammo?

Matka opadła na łóżko, naciągnęła poduszkę na głowę i błagała, żeby Jada dała jej święty spokój. Ale dziewczyna tak się cieszyła, że nie zwracała na to uwagi. Wybór był prosty: albo matka i dziecko, albo stara jędzka z przeciwka.

Jak można? Jak można tak potraktować starszą kobietę? — powtarzał śledczy.

I co Gordon miał mu na to odpowiedzieć? Jakie mogą być motywy tak potwornych czynów? Znał tylko swoje własne: strach i tchórzostwo. A teraz wszystko nagle wróciło: ślady opon na trawniku, chaos głosów, kolejne pytania, jeszcze zanim zdążył odpowiedzieć na poprzednie. Wspomnienia pulsowały mu w głowie. Prawda leżała w szczegółach, a oni je przekreślali. Dlaczego nie wszedł tylnymi drzwiami, jeśli były otwarte? Już dwa razy im tłumaczył, że nie miał pojęcia, że są otwarte, dopóki sami mu nie powiedzieli. A skoro tak się o nią martwił, to czemu nie skorzystał z klucza? I dlaczego ma zabandażowaną rękę? I dlaczego wsunął pieniądze przez otwór w drzwiach? Przecież już im mówił. Proszę, pokazał im paragon. Najbardziej zainteresowała ich godzina wydruku. W takim razie gdzie są te zakupy? Wskazał na pakunki na stole. A gdzie sok i mleko, dociekał śledczy, sprawdzając listę na paragonie. Tłumaczył, że musiał je wyrzucić. Policjant w lateksowych rękawicach wygrzebał z kosza na śmieci puste kartony. A więc zostały wypite? Nie, Gordon wylał je do rynsztoka.

A więc to jego zakupy? Nie, były dla niej. Po co miałyby to wszystko zmyślić? Choćby dla pretekstu wejścia do jej domu. Ale przecież wcale tam nie wchodził. A jednak ludzie widzieli, jak się tam kręcił. To dlatego, żeby sprawdzić, czy wróciła już do domu. Przeprosiny śledczego zabrzmiały potem sztucznie i zdawkowo. Jeśli o niego chodzi, to pewnie nawet by Gordonowi uwierzył, przyznał. Ale zadawanie trudnych pytań to jego praca. Oczywiście, tak, doskonale rozumie. Ale guzik prawda, nic nie rozumiał.

Przez następne dni Gordon prawie nie miał apetytu. Czuł, jak jego ciało kurczy się wokół niego. Oddychał nawet wolniej. Stał się jeszcze bardziej czujny i milczący i chwilami miał tak wyostrozony słuch, że szmer

liści i skrzywienie gałęzi na wietrze niemal sprawiały mu ból. Na brzęk w rurach zrywał się jak oparzony, a gdy otwierał gazetę, wzdrygał się na sam szelest papieru. Zadzwonił telefon i serce podskoczyło mu do gardła. To był Dennis. Inspektor śledczy, który prowadzi sprawę, nazywa się Warren Kamiński i chodził z Lisą do liceum do jednej klasy. Dennis przekazał mu już numer telefonu siostrzenicy pani Jukas. Kobieta nadal leżała w śpiączce. Wszystko wskazuje na włamanie, twierdził śledczy, nie wiadomo tylko, czy prawdziwe, czy upozorowane, a biedna staruszka prawdopodobnie wróciła do domu podczas całej akcji. Mają już kilkoro podejrzanych, a zwłaszcza jednego — handlarza narkotyków, który widocznie chciał ją nastraszyć. Dennis domyślał się, że chodzi o Feastera. Powiedział, że kamień spadł mu z serca. Dlaczego, chciał spytać Gordon. Pewnie myślałaś, że to ja? Ich rozmowa była chłodna, o Lisie i nowej pracy Gordona nawet nie wspomnieli.

Pierwszy tydzień pracy Gordon miał już za sobą. Zdążył też polubić niestanny zgiełk browaru. Tutaj był trybikiem w maszynie, jedną z wielu sterowanych, ruchomych, niezbędnych części uporządkowanego świata. Potrzebny był mu tylko silny kręgosłup i dokładny zapis liczby skrzyń, sunących taśmociągami do ciężarówek. Rana na dłoni prawie się zagoiła, ale skóra była jeszcze wrażliwa, dlatego w pracy zakładał na rękę grubą, roboczą rękawicę.

W piątek po pracy przyjechała po niego Delores. Miała go zawieźć do banku, żeby po pierwszej wypłacie otworzył konto. Wsiadł do auta i od razu zajrzał do koperty. Chyba się pomylili, powiedział, pokazując jej wydruk, i przyglądał się niespokojnie, jak przeliczała szeptem.

— Nie, wszystko się zgadza. Piętnaście dolarów za godzinę. Przepracowałeś pięć dni, a czterdzieści godzin razy piętnaście daje sześćset dolarów brutto. — Oddała mu wydruk.

— Za tydzień? — spytał, oszołomiony.

Po wyjściu z banku raz po raz klepał się po kieszeni, by się upewnić, że książeczka czekowa i oszczędnościowa są na swoim miejscu. Odkąd wsiadł do auta, Delores nie zamilkła ani na chwilę. Musiała się wygadać za całe dwa tygodnie milczenia, i to w o połowę krótszym czasie. On natomiast zasłuchiwał się w jej głos, odpływając jak we śnie, a gdy dojechali już do Clover Street, poczuł się zawiedziony. Tak bardzo pragnął jechać dalej.

— Biedna kobieta — ciągnęła, kiedy zatrzymali się naprzeciwko jego domu i siedzieli w aucie przy zapalonym silniku. — Wyobrażasz sobie

tak leżeć przez całe dwa dni? Pamiętasz, jak ci mówiłam, że okropnie byłoby tak skończyć?

— Pamiętam, rzeczywiście mówiłaś. — Niech nie przestaje, byleby tylko nie musiał wysiadać z samochodu. Rozpiętość tematów, które poruszała, przypominała operowe solo, przechodzące od dramatu po sensację, które zlewały się w fascynującą całość. Historie nabierały życia, a każda prowadziła do następnej, i tak bez końca, jak w bezkresnym wszechświecie, gdzie wszystko i wszyscy są nie tylko wzajemnie zależni, ale silnie złączeni jakąś całkiem niepojętą, a jednak logiczną więzią.

Opowiadała mu, jak bardzo podoba jej się praca w butik. Jakiś czas temu Jean spytała ją, czy nie chciałaby go od niej odkupić. — No i zadzwoniłam do mojej siostry Lindy. To ta, której mąż handluje obligacjami. A on mi na to: mowy nie ma, to najgorsza inwestycja, zwłaszcza teraz, przy tak niepewnej sytuacji na giełdzie. Niepotrzebnie dzwoniłam, straszny z niego malkontent, i wiesz co? Gdy tylko odłożyłam słuchawkę, od razu przyszła mi na myśl ta biedna staruszka, pani Jukas. Ciągłe wyobrażam sobie, jak tam leżała, całkiem bezradna. Sama nie mogła nic zrobić, tylko czekała i czekała, aż ktoś przyjdzie jej z pomocą. Mój Boże, to musi być straszne. Wyobrażasz sobie, jak to jest? Każda minuta, każdy odgłos. I wtedy pomyślałam sobie, o nie! Nie pozwolę na to. Nie mogę tak skończyć. Po prostu nie mogę! — dodała i uśmiechnęła się.

— Nie — przyznał cicho, a Delores poklepała go po ramieniu. Ociągając się, wysiadł z samochodu. O zmroku mały, ciemny dom staruszki wydawał się jakby wyższy i większy, jakby wznosił się nad całą ulicą.

Jada i Thurman przysiedli na murku przed starym budynkiem kasy oszczędnościowo-pożyczkowej w Collerton. Opustoszały od lat wielki, granitowy gmach ożył niedawno, gdy otwarto w nim sklep meblarski, który specjalizował się w masywnych, welurowych sofach i krzesłach z różnymi dodatkami na zamówienie. Były tam stojaki na filizanki, podnóżki, podgrzewane siedzenia, fotele z masażem, słuchawki i wbudowane mikrofony. Jada i Thurman siadali na fotelach z wibrującym masażem, aż głosy im drgały, ale sprzedawca kazał im wyjść, bo Thurman obrażał klientów przekleństwami.

Jada raz po raz rozglądała się wokoło, zastanawiając się, jak by go tu spławić. Dla niego ostatnią deską ratunku był teraz kuzyn Antawan, bo wczoraj wieczorem zjawiły się gliny, doszukując się jakiegoś związku między Thurmanem a staruszką z obitą głową.

— Pieprzony Polie — rzucił po raz kolejny i splunął na chodnik. Był pewien, że Polie mści się na nim za nieudaną akcję w Dearborn. — Przecież to nie moja wina.

— Jasne. Słuchaj, następnym razem mógłbyś nam skombinować jakieś latarki. — Chodziło nie tylko o słabe światło latarni, ale i o jej oczy. Jeśli dalej tak będzie, to wkrótce całkiem oślepnie.

— Zastrany kretyn. Wiesz, co jeszcze im powiedział? — zagadnął, podając jej papierosa.

— Nie. A co takiego? — Zaciągnęła się tak głęboko, aż poczuła zawroty głowy. Żołądek jej się skręcał. Za każdym razem, kiedy matka wymiotowała, ją też zaczynało mdlić.

— O demolce w chacie u tego wielkoluda. Pewnie teraz sobie myślą, no tak, wszystko się zgadza. Ten sam gówniarz włamał się do staruszki, a kiedy go nakryła, rozwalił jej łeb.

— Polie nic o tym nie wie — ucięła, ciskając papierosa na chodnik. Bo skąd niby miał wiedzieć? A jeśli tak, to pewnie już wie, że ona też tam była. A wtedy Gordon całkiem ją znienawidzi. Twarz jej płonęła. Co ona w ogóle sobie myśli? Przecież tak naprawdę zrobiła coś jeszcze gorszego. — A co ze mną? Nie mówił przypadkiem, że ja też tam byłam? I włamałam się do tej starszej pani? Że oboje tam byliśmy...?

— A skąd! Nagadał tylko na mnie, wstrętny tłuścioch. Z tobą za nic by teraz nie zadarł, a przynajmniej dopóki nie namówi Marvelli, żeby pozbyła się tego, co jej zrobił.

— A co jej zrobił?

— No, dziecko! Przecież twoja matka jest w ciąży, nie? Nie chce mi się wierzyć, że ta szmata mnie tak urządziła, powiedział.

— To znaczy, że to dziecko Poliego? To on jest ojcem?

— No jasne! A co ty, z księżycą spadłaś?

Poczuła, że cała drętwieje. A więc nie będzie żadnego ślicznego dzi-dziusia, tylko mały, brzydki Polie. Ale kiedy przeszli kilka przecznic, uznała, że Thurman na pewno kłamie. Polie wcale nie jest ojcem dziecka i dlatego nie udało mu się nakłonić matki, żeby je usunęła. A zresztą matka nienawidziła Poliego. A on po postu zgrywał *twardziela* i przechwalał się przed Thurmanem, który jeszcze do niedawna był w niego zapatrzony.

Thurman tymczasem wyszedł spieszenie z monopolowego z dwiema puszkami napoju, upchniętymi w kieszenie workowatych spodni. Stary sprzedawca był akurat zajęty wyjaśnianiem jakiemuś debilowi, jak wypełnić kupon loteryjny, i wtedy udało mu się zwinąć napoje. Pobiegli ulicą

do parku i usiedli na betonowej ławce, otoczonej krzewami bzu. Thurman otworzył puszkę i wypił duszkiem połowę jej zawartości. — Słuchaj, tak sobie myślę... To palant jeden, pieprzony grubas... Powiem wszystko Featherowi. Wiesz, sam mi kiedyś kazał. Jak ktoś ci będzie dosrywał, mówi, to od razu wal do mnie.

— Ale Polie nie jest ojcem — rzuciła.

— Nie? W takim razie kto?

— To tajemnica, nie mogę ci zdradzić.

— Daj spokój!

— Nie mogę, to sprawa osobista. Matka by mnie chyba zabiła.

— A niby za co? — zaśmiał się. — Przecież i tak jej wszystko jedno.

— Chrząć się! — Zerwała się z miejsca i pobiegła piaszczystą ścieżką. Podtrzymując spodnie, próbował ją dogonić, gdy kroczyła szybko na swoich długich nogach.

— Daj spokój, tylko żartowałem! Nie gniewaj się! — wysapał. Co chwila musiał przystawać, bo zapierało mu dech w piersiach. — No, powiedz mi!

— A po co? Co cię to obchodzi? — Czy w ogóle kogokolwiek obchodziło? Jej samej było już wszystko jedno. Po co to wszystko? Nie mogła znieść myśli, że ta świnia Polie jest ojcem tego ślicznego dzidziusia, o którym co noc tak marzyła.

Jednym ruchem Thurman złapał ją w pół i powalił na ziemię. Im mocniej go biła i kopała, tym głośniej się śmiał. — Puszczaj, draniu jeden, porąbany sukinsynu — krzyczała, wbijając mu kolano w krocze, aż się zwinął i zaczął jęczeć. Była już w połowie ścieżki, gdy z prawej strony na piaszczystej drodze zatrzymał się radiowóz. — Thurman! — krzyknęła. Nie mógł odejść daleko. Obeszła zakurzone krzewy bzu i zawołała jeszcze raz.

— Moment — rzucił znad strumienia padającego na suche gałęzie.

Gliny, powtarzała, gdy radiowóz podjechał bliżej. Policjant za kierownicą spytał ją, jak się nazywa. — Izzy Rodriguez — rzuciła. Biały gliniarz łatwiej zapamiętałby Fossum niż jakieś latynosko brzmiące nazwisko. Szukali wysokiego chłopaka z nastroszonymi, pomarańczowymi włosami, w drelichowych spodniach. Czy widziała kogoś takiego? Nie, a dlaczego? Co takiego zrobił? Napad z bronią w rękę. Przed chwilą okradł sklep monopolowy...

— To ile zwinąłeś? — spytała, kiedy przemykali bocznymi uliczkami.

— Tylko kilka zdrapek, i tyle. — Wyjął z kieszeni całą serię. — Wiesz, ten facet za ladą to niezły kretyn. Nie mogłem się powstrzymać.

— A masz broń?

— A skąd! W kieszeniach mam tylko puszki z napojem.

Wyciągając nogi, rozsiadła się na schodach przed domem jego kuzyna Antawana, podczas gdy ten golił Thurmanowi głowę. Po chwili Thurman wyszedł w czarnej koszuli i luźnych, perforowanych spodenkach koszykarskich. Jada nigdy przedtem nie widziała jego nóg. Były owłosione i masywne jak u mężczyzny.

— Gładka jak tyłek niemowlaka — oznajmił, gładząc się po głowie.

Zaśmiała się i też dotknęła. — A nawet jeszcze gładsza.

Zatrzymali się za apteką i na przemian zeszkrobywali ćwierćdolarówką małe, szare kwadraciki. Przy każdej zdrapcie waliło jej serce. A do tego spodobał jej się ten nowy wizerunek Thurmana, te jego ciemne oczy i groźna mina.

— Ten będzie trafiony! — obiecywał, trzymając monetę nad ostatnią zdrapką, dzięki której mieli wygrać milion dolarów. Najpierw kupiłby czerwoną corvette i wyjechał gdzieś, gdzie zawsze jest gorąco. — Chole-
ra, co za ścierna! — zaklął. Jedenaście zdrapek i zero wygranych. I ani nawet jednej darmowej zdraпки.

Kiedy dotarli do supermarketu przy Nash Street, Thurman spytał, kto, jeśli nie Polie, jest ojcem dziecka, i Jada zaczęła opowiadać mu o pewnym bogatym facecie z Miami. — Ma nawet własną awionetkę. Czasem tu przyjeżdża, bo ma mieszkanie w tym nowym apartamentowcu, gdzie kiedyś była fabryka koszul. Nazywa się Lenny Roth — ciągnęła, widząc przy supermarkecie ciężarówkę z napisem ROTH, która rozwoziła chleb. — I jest bardzo przystojny. Nosi fioletowe koszule i białe, jedwabne bokserki...

— Białe bokserki! — zaryczał Thurman. — A ty skąd wiesz?

— O rany — westchnęła i przewróciła oczami. — Chciałeś wiedzieć, to ci mówię. Na małym palcu nosi diament wart pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Zaraz po tym, jak urodzi się dziecko, zabierze nas na wycieczkę. Pojedziemy wszyscy czworo.

— A dokąd?

— Do Disney Worldu. — Na początek pojechałaby symulatorem kosmicznym. Właśnie to najbardziej jej się podobało w nagraniu wideo u Inez.

— Ej! Wy pieprzone gnoje! — Thurman walnął w okno supermarketu. Brudna szyba zabrzęczała i uderzył jeszcze raz. Przerażone kasjerki odwróciły głowy, gdy obiema pięściami walił w szkło. Jada pokazała im środkowy palec i jedzą z rurkami w nosie zawołała coś w stronę biura. Po

chwili drzwi otworzyły się z rozmachem i wypadł z nich Neil Dubbin, wrzeszcząc i obrzucając Thurmana wyzwiskami. Przebiegli przez parking, niemal oślepieni błyskiem rozbitych butelek i popędzili między drzewa za magazynem. Żadne z nich nie odzywało się ani słowem, gdy przeciskali się przez sztywne gałęzie i dzikie winorośle, oplatające korony drzew jak jakaś gigantyczna pajęczyna. Przed nimi, na polanie, stał jakiś szałas, zrobiony z rdzewiejących wózków sklepowych, przykrytych złożonymi kartonami. Z jego wnętrza dobiegł jakiś żałosny skowyt, a gdy podeszli bliżej, usłyszeli ciche poszczekiwanie.

— Leonardo! — Jada popędziła na polanę. W cieniu powoli wyłonił się żółtawy łeb psa, a potem szeroko rozstawione łapy. Przy każdym ruchu naprzód zwierzę wydawało z siebie przenikliwy pisk. — To pies Cootiego, ledwo się rusza! — wysapała, ściągając kartony na ziemię. — Gdzie on jest? Gdzie Cootie?

— Wykitował. Znaleźli go tydzień temu w mieście, przed jakąś speluną.

— No chodź, chodź tu, piesku — szepnęła, ale kiedy próbowała się zbliżyć, pies warczał, wyszczerzając dziurawe, żółte kły.

— Rany boskie, ale smród. — Thurman zatkał nos. — Chodź, spadamy stąd, bo inaczej zaraz się porzygam.

Rozejrzała się wokoło, ale nie zauważyła nic prócz zardzewiałych puszek i nadpalonych patyków. — Na pewno jest głodny. Nie ma co jeść ani nawet wody do picia.

— No i co? A niby co nam do tego? — Thurman odsunął się, trzymając się za nos.

— Daj mi parę dolców. Mówiłeś, że masz pieniądze. Przysięgam, że ci oddam. Kupię mu tylko jakąś karmę dla psów.

— Cholera, mowy nie ma! Popatrz, przecież on już zdycha. — Wokół zada psa roiło się od much.

— Proszę, kupię tylko karmę. Błagam cię!

— A po co? Żeby dalej srał i śmierdział?

— Nie. Słuchaj, znam jedną panią. Ona przyjedzie i go zabierze. Zawiezie go do weterynarza, a tam już się nim zajmą.

— Szkoda czasu. Sam się nim zajmę. — Tracił nogą zaśmiecony krzak, aż zabrzczały butelki i puszki po piwie. — Na jedno wyjdzie — prychnął, podnosząc z ziemi pękniętą cegłę. — Trzeba skrócić jego cierpienie.

— Nie! — wrzasnęła, wyciągając ręce. Bała się, że każdy jej ruch może go sprowokować.

— A właśnie, że tak! — zaśmiał się. Słońce błysnęło na w jego spoczonej, ogolonej skórze, kiedy podniósł cegłę do piersi. Oszalałe zwierzę warczało, próbując odczołgać się dalej, poza jego długi cień, ale nie dało rady.

— Nie, proszę cię. Błagam cię, Thurman, nie, proszę — szeptała, le-dwo wydobywając z siebie słowa.

Rzucił cegłę na bok. — Zgoda, ale musisz coś dla mnie zrobić.

— To znaczy co?

Wybrał największą teksturę i zaciągnął w głąb lasu. Poszła za nim i przystanęła, gdy dotarł do kawałka wilgotnej, zasypanej igliwiami ziemi tuż pod trzema cienkimi, strzelistymi sosnami. Przytrzymała teksturę, a Thurman przykląkł i odgarnął kamienie i gałęzie. Kilkakrotnie poklepał ziemię i wygładził dłonią igliwie. Jada podała mu teksturę, a on zdjął swoje wielkie, czarne trampki, położył się z rękami pod głową i popatrzył na dziewczynę, nieco speszony.

— No, to jak?

— O co ci chodzi?

— Długo jeszcze będziesz tak stała?

— A skąd mam wiedzieć?

— No chodźże wreszcie! Na co czekasz? — Wyciągnął ręce. — Pewnie się boisz, co?

— Wcale nie.

— Robiłaś to już kiedyś?

— No jasne — przewróciła oczami.

— No to chodź. Chodź tu, lalunia — zachęcał cicho. — Spodoba ci się. Za mną na pewno to polubisz. — Usiadł, złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie. — Ale najpierw musisz je zdjąć — zakwiczał, szarpiąc ją za szorty.

— O nie! — zawołała, krzyżując nogi. — Najpierw idziemy po karmę dla psa.

— Nie teraz!

Myślała o Poliem i matce. O Poliem i dziecku. Poliem i o tym, jak ciągle się do niej dobierał. Próbowała się podnieść, ale Thurman położył się na niej, przytrzymując ręką gardło. — Chyba się umawialiśmy. Chcę cię pieprzyć, rozumiesz?

Rzuciła mu gniewne spojrzenie. Popatrzył na nią i wybuchnął śmiechem, po czym zdarł z niej ubranie i prawie wył, oszalały i skołowany od chuci. Kiedy było już po wszystkim, oboje szybko wstali. Żadne nic nie mówiło. On poszedł za drzewo oddać mocz, podczas gdy się ubierała. By-

ło jej zimno, wokół uszu brzęczały jej komary. Zastanawiała się, czy to był gwałt, ale uznała, że jednak nie. Najpierw sama się na to zgodziła i jeśli nawet nie miała ochoty, to bała się mu sprzeciwić. Przez cały czas miała w pamięci wykrzywioną twarz staruszki z przeciwka i jej grymas przy każdym kopnięciu matki. Wtedy z bólu trzymała się go tak kurczowo, że w końcu musiały ją odepchnąć.

— A co z karmą dla psa?

— Nie mam forsy, do cholery — niknął, nie oglądając się. Zawijał sobie koszulkę na ogolonej głowie.

— A mówiłeś, że masz pięć dolców!

— Bo miałem, ale musiałem je dać Antawanowi. Przepraszam cię — odwrócił głowę i posłał jej złośliwy uśmiech. — A zresztą to ja zrobiłem ci przysługę. Cholera, głowę daję, że jeszcze długo nie doczekasz się takiej przyjemności.

Podniosła kamień wielkości jej pięści, rzuciła nim mocno i skrzywiła się, kiedy trafił go w chude plecy. Thurman odwrócił się, zacisnął pięści i zgromił ją wzrokiem. Bała się, ale postanowiła nie uciekać, tylko szła dalej. Na widok jego chłodnego uśmiechu poczuła się bezpieczna. Jakoś sobie z nim poradzi. Dla takiego jak on nie liczy się nic prócz nienawiści. Przy śmietniku na zapleczu supermarketu wspięła się do góry i wygrzebała pokruszony bochen chleba.

— A ty co, świnia jesteś?

— To dla psa Cootiego — odparła.

Obserwował, jak zeskoczyła na dół. — A co się stało z twoim psem?

— Z Leonardem?

— No, z tym zasrańcem. Polie tak go nazywał.

— Gdzieś się zapodział. Pewnie ktoś go zabrał. Sama nie wiem, szukam go codziennie.

— Szkoda czasu — zaśmiał się.

— Co? To znaczy, że wiesz, gdzie on jest? — uśmiechnęła się głupawo i naiwnie. Serce jej kołatało w nadziei jak zraniony ptak, który macha skrzydłami coraz szybciej i szybciej, opadając z nieba na ziemię.

— Jasne. Już dawno zdechł. Polie wsadził go do skrzyni, nakładł kamieni i wrzucił do rzeki.

Siatka z chlebem upadła na ziemię. — Nie, to nieprawda — rzuciła, siląc się na uśmiech. — Ty się tylko ze mną droczysz. — W ten sposób chciał zrobić na złość i jej, i Poliemu.

Z poręczy werandy zwiisał kawałek żółtej policyjnej taśmy. Zeszłej nocy burza strąciła potężny konar, który zalegał w ogrodzie staruszki. Gordon właśnie wracał z pracy do domu, gdy spostrzegł inspektora Kaminskiego, wychodzącego z domu pani Jukas. Zapytał, czy ten pozwoli mu pościąć gałęzie i usunąć je z ogrodu, żeby pani Jukas zastała po powrocie porządek. To nie on o tym decyduje, odparł inspektor Kamiński, a stan staruszki nie uległ jeszcze poprawie. Jej siostrzenica z Michigan poleciła lekarzom odłączyć ją od aparatury, ale szpital odmówił.

— Całe szczęście — rzucił Gordon.

— Pana to cieszy?

— Oczywiście. Wierzyć mi się nie chce, że jej siostrzenica to powiedziała.

— Ja bym nie chciał leżeć tak na wpół żywy, podłączony do aparatury, a pan?

— Właściwie to nie. Rozumiem, o czym pan mówi.

— O to drzewo też niech pan zapyta tę siostrzenicę.

— A nie, chyba dam sobie spokój.

Inspektor otworzył notes. — Nazywa się Sheila Brown. Pamięta pana sprzed lat, kiedy przyjeżdżała tu w odwiedziny. Mówi, że jej ciotka zawsze się pana bała.

— Ale chyba już jej przeszło. To znaczy, tak mi się ogólnie wydaje.

Inspektor przerzucił kartkę. — No, nie wiem. Jej adwokat twierdzi, że była tu jakaś sprzeczka o drabinę — orzekł.

Gordon próbował wyjaśnić, ale inspektor ciągle mu przerywał. A dlaczego zabrał jej drabinę? I gdzie ona teraz jest? Jak długo był bez pracy? Czy brat dawał mu pieniądze? Wygląda na to, że ostatnio musiał być nieźle zdesperowany...

— Zalegałem z rachunkami, ale nie byłem zdesperowany — bronił się Gordon.

- A dlaczego pana zwolnili?
- Sam nie wiem. Ten Neil Dubbin, może go pan zna... On jest trochę nieprzewidywalny.
- Nieprzewidywalny? — zaśmiał się inspektor. — A on twierdzi, że próbował pan podpalić mu sklep.

Minęło kilka dni. Potężny konar w ogrodzie pani Jukas wrył się w ziemię, a porastające go liście zwiędły od upału. Bez troskliwego nadzoru człowieka proces niszczenia zachodził jeszcze szybciej, rozprzestrzeniając się jak zaraza. Z każdym dniem Gordon dostrzegał w sąsiedztwie coraz to nowe oznaki zniszczenia, podobnie jak w swoim własnym domu. Nie dotyczyło to wyłącznie przedmiotów, ale i ludzi. Najpierw znikła pani Jukas, a krótko potem Inez z rodziną. Oni też byli wobec niego nieufni, a mimo to lubił obserwować tę gwarną, liczną rodzinę. Rzadko widywał też Marvellę Fossum. Niedawno wieczorem przysnęła na schodach z papierosem w ręce. Jada próbowała ją obudzić, aż w końcu, zrezygnowana, dała spokój i usiadła obok niej. Siedziała tam jeszcze, kiedy Gordon kładł się spać. Śmiała się i dowcipkowała z przechodniami, jakby to była całkiem normalna scena z życia codziennego. Bo chyba każdy może czuwać przy naćpanej matce, by nie stoczyła się ze schodów? A czy przy pani Jukas też ktoś czuwa? Postanowił zapytać Kaminskiego, czy można ją odwiedzić.

Przy sąsiednim domu nie było widać żadnych policjantów. Może przychodzili wtedy, gdy był w pracy. Za dnia ktoś wyrzucił z samochodu butelki z piwem. Czekając na dostawę pizzy, Gordon poszedł pozbierać stłuczone szkło. Parę odłamków leżało na ścieżce pani Jukas, ale bał się wejść na jej teren bez pozwolenia. Rosła tam długo nie koszona trawa, a z za rogu sterczała obłuzowana rynna. Na chodniku po drugiej stronie ulicy stały kartony ze śmieciami. Leżał tam też stary dywan, który synowie Inez wyrzucili przy przeprowadzce. Jada właśnie wyszła z domu poszperać w kartonach. Kątem oka Gordon dostrzegł, jak dziewczyna wyciąga metalową, wygiętą półkę na buty i kładzie na werandzie. Następnie pchnęła stojący przy słupie telefonicznym dywan i poturlała w stronę domu. Nawet z takiej odległości słyszał jej postękiwanie, kiedy usiłowała przywlec go schodami na górę. Kiedy ruszył w stronę domu, zaczęła go wołać: — Ej, Gordon! Gordon!

Zamknął za sobą drzwi i przez firanę obserwował, jak z trudem próbuje wciągnąć dywan na werandę. Za każdym razem, gdy dowłokła go do połowy, zsuwał się z powrotem na dół. Teraz usiłowała wepchnąć

go na górę, ale była zbyt wąta, a dywan miał swoją masę. Widok jej kościstych ramion, zmagających się z szorstkim, sztywnym materiałem, wzbudził w nim silny gniew. Zamknął oczy, siłą woli opanowując żal, ale po chwili wzdrygnął się, gdy uczucie przeszło go na wskroś. Nie zrobi tego. Nie wolno mu. Nie chce tego czuć, nie. A jednak wszystko wróciło: ona, ten ból i pustka, przed którymi tak się bronił, szalały po świecie, a zwłaszcza tu, w tym miejscu, gdzie szukał schronienia.

Ulicą nadjechał zakurzony, biały samochód, z wygiętą anteną i brudną przednią szybą. Spod drzwi wystawał czerwony, zmięty rąbek spódnicy Delores. — Jak dobrze — szepnął cicho, stęskniony bardziej niż kiedykolwiek. Wsiadła i od razu ruszyła na drugą stronę ulicy na pomoc Jadzie i razem wtaszczyły dywan na werandę.

— Nie chciała jednak zaprosić mnie do środka — oznajmiła Delores, gdy wreszcie zjawiła się u niego w domu. Gordon chciał jej przynieść bandaż, ale ona tylko raz po raz zasysała krwawiący knykieć. Skaleczyła się, pomagając Jadzie. — Mówi, że jej matka jest chora. A mnie się zdaje, że to Jada choruje. Wygląda fatalnie, prawda?

— A bo ja wiem — mruknął, gdy ona otworzyła kopertę, wyjęła zdjęcie, plamiąc je krwią na odwrocie, i przycisnęła do piersi.

— Mówiła, że dopiero co widziała cię przed domem.

— Wyszedłem pozbierać śmieci.

— I jej nie zauważyłeś? — spytała zdumionym tonem.

— Chyba nie.

— Nie widziałeś, jak wносиła po schodach ten wielki dywan?

— Owszem, widziałem — przyznał, patrząc jej prosto w oczy.

— I nie pomogłeś jej?

— Nie, nie pomogłem.

Przygryzając wargę, przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, jakby nie do końca rozumiała jego słowa. Spytał, czy może zobaczyć zdjęcie. Wahając się, podała mu je. Ośrodek przysłał, właśnie dostała je pocztą i koniecznie musiała się tym z kimś podzielić. Z kimś spoza rodziny, dlatego wybrała jego — uznał w duchu.

— Ładna — przyznał, oglądając je z bliska. Ujął go powściągliwy wyraz poważnej twarzyczki May Loo. — Wygląda, jakby chciała dać ci coś do zrozumienia.

— A wiesz, że pomyślałam dokładnie to samo! Daję głowę, że kazali jej się uśmiechać, ale ona nie słuchała. Takie sprawia wrażenie, prawda? Do diaska, to przecież jej życie i może robić, co jej się podoba — dodała z nutą dumy w głosie.

— I spójrz na jej oczy. Patrzy prosto w obiektyw... — Oczy Gordona pieldy go, gdy czuł ucisk ramienia Delores, która przysuwała się coraz bliżej.

— Rzeczywiście. Aż strach bierze, nie?

— Myślisz, że jej się tu spodoba?

— A co ma się jej nie spodobać? No, chyba że masz na myśli mnie — dodała, śmiejąc się niepewnie i nagle znowu zmieniła temat. Zaczęła żalić się na rodzinę. Czepiali się nie tyle May Loo, co samej adopcji, zwłaszcza przez niezamężną kobietę z marnymi zarobkami, która mieszka w kamienicy w jednym z najuboższych miast w okolicy. Nawet jej dwudziestoletnia ciężarna siostrzenica, jeszcze nie mężatka, ale już zaręczona, wtrąciła swoje trzy grosze, by ją ostrzec przed samotnym macierzyństwem. — I powtarza mi to w każdym liście — ciągnęła. Najstarsza siostra zasypywała ją historiami o adopcjach, które okazały się tragiczne w skutkach. — Najgorsza była ta o chłopaku, który zadźgał matkę na śmierć, podczas gdy grała na pianinie.

— Musiała wyjątkowo fatalnie grać — zauważył i uśmiechnął się, gdy zachichotała.

— To samo jej powiedziałam, ale Linda nie ma za grosz poczucia humoru.

Na dźwięk dzwonka zerwał się jak oparzony. Właśnie dowieziono pizzę, już trzecią w ciągu paru dni. Po tym, jak zobaczył w sąsiedztwie dostawcę pizzy, zebrał się na odwagę, by złożyć zamówienie przez telefon. Zwykle zostawiał sobie dwa kawałki na następny dzień i nie musiał już przygotowywać lunchu. — Dziękuję — rzucił, podając chłopakowi odliczoną sumę.

— Wielkie mi co! — Tupiąc głośno, chłopak zbiegł ze schodów.

— O co mu chodzi? — spytała Delores, kiedy auto odjechało ulicą.

— Chyba nie lubi tej roboty. Ostatnio też się tak zachowywał.

— A dałeś mu napiwek?

— Nie — speszył się. — Mam po niego zadzwonić, żeby wrócił?

— Dasz mu następnym razem. Mmm, ale ładnie pachnie. — Delores poszła za nim do kuchni. — Co to za pizza?

— Pepperoni z serem.

— O, uwielbiam pepperoni. — Pochyliła się nad kartonem i pociągnęła nosem.

Poczęstował ją, zirytowany, że nie odmówiła. Złożyła kawałek na pół i zjadła jak kanapkę. Sos spłynął jej na jedwabną koszulę, a pod paznokciem miała ser. Zmoczyła róg ściereki do naczyń i potarła płamę, aż zrobił

się z niej pomarańczowy zaciek. Odwiesiła ścierkę, ale Gordon zdjął ją i wypłukał w zimnej wodzie.

— Wierzyć mi się nie chce, że zjedliśmy całą pizzę — zauważyła, wypychając pusty karton do kosza na śmieci.

— Rzeczywiście. — Wziął karton i złożył tak, by zajmował jak najmniej miejsca. — Mnie to zostają dwa kawałki na lunch w pracy — dodał i od razu poczuł się fatalnie na widok jej zawiedzionej miny.

— A ja właśnie zjadłam ci te dwa kawałki. I mam wyrzuty sumienia.

— Niepotrzebnie. Przepraszam, słowo daję, że nie to miałem na myśli.

Akurat, mówiło jej spojrzenie. — Słuchaj, ja cię chyba dzisiaj strasznie wkurzam, co, Gordon?

— A skąd! O rany, nie powinienem być tego mówić. Nie wiem, po co to powiedziałem. — Czuł się okropnie.

— Bo to prawda. W porządku, nie ma sprawy. Tylko po co najpierw mnie pocieszasz, a potem dołujesz — powiedziała z uśmiechem, ale oczy jej błyszczały od łez.

— No coś ty! Ja nie chciałem...

— Już dobrze. Całe życie ludzie tak mnie traktują. Muszę być dla nich dobrym i łatwym celem. — Otarła oczy i wydmuchała nos w zatłuszczonej serwetkę. Siłą woli Gordon nie odwrócił wzroku. — Wiesz, co jeszcze powiedziała mi siostra? Że ośrodek na pewno nie przyzna mi dziecka. Twierdzi, że woli mnie uprzedzić, żebym całkiem się nie załamala. — Pokręciła głową i zamknęła oczy. — A ja i tak się załamam. Już to czuję.

— Na pewno przyznają ci dziecko. A czemu niby mieliby nie przyznać?

Siedziała ze spuszczoną głową. — Mówiła, że przez ciebie. Bo się przyjaźnimy.

— Słuchaj, to może... powinniśmy przestać się przyjaźnić — wyrzucił jednym tchem, jakby wydobył z płuc cały tlen do ostatniej cząsteczki. Zrobiło mu się przy tym słabo.

Skinęła głową. — Przynajmniej na jakiś czas, dopóki nie przyznają mi dziecka. Albo lepiej zaczekam, aż mała przyjedzie i będzie już po wszystkim. Chyba wiesz, o co mi chodzi?

— Oczywiście, że tak. Doskonale cię rozumiem. — Ale tak naprawdę wcale jej nie rozumiał. I znowu odezwał się w nim ten niechciany gniew, który tkwił mu w piersi jak jakiś guz. — Tyle że zamiast o mnie, powinnaś się martwić o tego twojego szefa, Smicka, bo związek z żonatym mężczyzną raczej nie ułatwi ci adopcji, co?

Jej policzki zaczerwieniły się, jakby ktoś uderzył ją w twarz. — Z nim już dawno skończone. I żebyś wiedział, że okropnie się tego wstydę. *I słusznie*, przyznał w myślach, kiedy cicho zamknęła za sobą drzwi.

Chwilę po tym, jak położył się do łóżka, zadzwonił telefon.

— Halo?

— Wybacz, Gordon. A już miałam się rozłączyć. Pewnie cię obudziłam, co? — wyszeptała Lisa, jakby ciągle się bała, że śpi.

— Nie, nie spałem — odparł, zawiedziony. Był pewien, że to Delores.

— Słuchaj, dzwonię tak późno, bo moi rodzice właśnie wyszli. Byli u nas na kolacji i tato bez przerwy mówił o tobie, że świetnie idzie ci praca i że przypadłeś do gustu kierownikowi. Powiedział, że dzień w dzień, bez wyjątku, pracujesz za dziesięciu chłopów. Pomyślałam sobie, że nikt ci pewnie jeszcze tego nie mówił, i dlatego dzwonię, żeby ci powiedzieć, jak strasznie się cieszę... i jak bardzo dumna jestem z ciebie, Gordonie.

— Dziękuję.

— I Dennis też, ale ostatnio przechodzi naprawdę ciężki okres.

— A co z nim? Chyba się nie rozchorował, co?

— Sama nie wiem. Jest strasznie przybity i jakby nieobecny. Po pracy siedzi po ciemku i słucha muzyki do późnej nocy, a potem śpi tylko godzinę albo dwie.

— Jak myślisz, co go tak gnębi?

— Chyba nasze małżeństwo.

Nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Cisza dzwoniła mu w uszach.

— A nie zająłbyś do niego? Tego właśnie mu teraz trzeba. Od razu poczułby się lepiej.

Zszedł na dół i usiadł na kanapie. Przypomniało mu się, jak w któreś święta Bożego Narodzenia wszedł tu z samego rana i znalazł pod choinką swój pierwszy rower. Ale cała radość przeszła mu, gdy matka i ojciec uznali, że jest za duży na to, aby jeździć z kółkami bocznymi. Po dziś dzień czuł strach i upokorzenie, które towarzyszyły mu, kiedy jeździł chwiejnie po ścieżce tam i powrotem. Ojciec biegł z tyłu, trzymając go za siodełko, by jego wielgachny *syn* nie stracił równowagi. Za każdym razem spotykał go zawód, bo wystarczyło, że puścił siodełko, a rower zaraz przechylał się na bok. Wreszcie obaj uznali, że lepiej dać sobie z tym spokój. A później któregoś dnia Gordon wyrzął przez okno i zobaczył na swoim rowerze młodszego brata. Ojciec pchał go ulicą, a po chwili Dennis sam pedałowował dumnie naprzód, za co, oczywiście, rower Gordona trafił do niego.

Niedobry ze mnie człowiek, pomyślał Gordon, wbijając wzrok w przezroczyście, nieruchomą firanę. Mój brat jest w potrzebie. Powiniennem się o niego zatroszczyć, ale nie potrafię. Nic mnie to nie obchodzi. Ciągłe czuł się osaczony, mimo że wokół nie było już strażników, podwórze świeciło pustkami, a wszyskde zamki otwierały się od wewnątrz.

Gordon zdrapywał schodzącą farbę z tyłu domu. Postanowienie, by zadzwonić do Delores z przeprosinami, rosło w nim wraz z tempem pracy. Jeśli nawet nie wolno im się spotykać, to może przynajmniej porozmawialiby przez telefon — chciał jej powiedzieć. To chyba nie zaszkodzi? Przecież nikt z ośrodka adopcyjnego nie musi o tym wiedzieć. A gdy tylko Delores przejdzie wszystkie testy i wreszcie przyznają jej May Loo, to znowu będą mogli się widywać. Gordon zaniósł stołek przed dom i wręcz ucieszył się na widok obdrapanych desek. Praca była dla niego ucieczką. Od razu zabrał się za skrobanie. Zdrapywał kolejno każdą warstwę farby tak, by nie uszkodzić drewna. Nie bardzo wiedział, dlaczego wpadł w złość i mówił do niej takim tonem. Może po prostu nie umiał obchodzić się z ludźmi. Jak mógłby kiedykolwiek myśleć o jakimś związku, skoro nie potrafi nawet być przyjacielem? Przyjaźń zawsze była dla innych ludzi. O wiele łatwiej wyzbyć się wszelkich uczuć i zachowywać pozory. Ale teraz dość już miał samotności, wolał już chyba ból i gniew. *To złaż stąd i idź do niej zadzwonić*, powtarzał sobie, ale za bardzo się bał. Czuł, jak jego siła woli słabnie z każdą chwilą. Mimo to wszedł do domu i podniósł słuchawkę. A jeśli Delores chce, żeby dał jej spokój, tylko uprzejmość nie pozwala jej tego powiedzieć? A może May Loo jest tylko dobrą wymówką, żeby się go pozbyć? Wreszcie wykręcił numer Dennisa.

Dennis? Przyszedł Gordon...

Lisa powoli otworzyła drzwi jego gabinetu i brat przywitał go nikłym uśmiechem. Wtedy Lisa poprosiła, żeby usiadł, i oznajmiła, że Dennis się za nim stęsknił i że bardzo się cieszy na jego widok. Dodała też, że zaraz przyniesie im kawę. Obaj odmówili, byleby tylko nie zostać sam na sam, ale Lisa i tak wyszła z pokoju.

Piękny lipcowy ranek wydawał się bardzo odległy od tego zatęchłego gabinetu z zasłoniętymi oknami i wymownego milczenia Dennisa. Gordonowi przypomniały się ponure wizyty ojca w Fortley i ich przykre, wymuszone rozmowy.

Przestąpił z nogi na nogę. — Lisa mówi, że nie najlepiej się czujesz? Co ci dolega? — spytał. Czy Dennis poruszył głową? Nie był pewien.

- Nic mi nie jest — rzekł wreszcie Dennis ściszym głosem, dając Gordonowi odpowiedź.
- Ale jakoś nie wyglądasz za dobrze.
- Dennis wziął głęboki oddech. — Skoro tak mówisz.
- Żebyś wiedział. Wyglądasz trochę markotnie.
- Tak ci się zdaje?
- A nie mam racji? — rzucił szybko w odpowiedzi na nutę gniewu w tonie brata.
- Mówiłem przecież, że nic mi nie jest.
- No, to dobrze.
- Do pokoju weszła Lisa i postawiła tacę między nimi na szklanym stoliku. Dennis odsunął swoją filiżankę. — Zostaw, jeśli nie chcesz — powiedział. — Ale może Gordon się napije.
- Przecież już mówił, że nie chce — zauważył pogardliwie.
- Gordon spuścił wzrok i wzdrygnął się. Ich napięcia budziły w nim ten sam niepokój, co niegdyś kłótnie rodziców.
- Bardzo smaczna — rzucił, spiesznie wypijając mały łyk. — Właściwie to chętnie się napiję. Wstałem dziś wcześniej zedrzyć farbę, zanim zrobi się upał, i nawet nie zdażyłem zaparzyć sobie kawy.
- Jak to, zedrzyć farbę? — zdziwił się Dennis.
- No, z domu. Nawet nieźle mi idzie. Wczoraj skończyłem tył, a teraz zabieram się za przód. — Przy następnym łyku siorbnął, zachłysnął się i kawa poszła mu do tchawicy.
- A po kiego diabła zeskrobujesz z domu farbę?
- Żeby go odmalować — wykrztusił, zanosząc się od kaszlu. — Dziękuję — wysapał, kiedy Lisa podała mu serwetkę.
- Przecież niedawno go odmalowałem. Kosztowało mnie to dwa tysiące dolarów, a ty tak po prostu chcesz to wszystko zeskrobać?
- Farba się łuszczyła, więc trochę zdarłem i pomyślałem, że pójdę na całość.
- Na całość? Jak to, na całość?
- No, zedrę do końca i odmaluję, tak jak to robił ojciec.
- Dennis wbił w niego wzrok. — Wiesz, był tu ten Kamiński. Wspominał, że chcesz ściąć drzewo pani Jukas. O co ci, do diabła, chodzi?
- O ten wielki konar...
- Cholera, co ty w ogóle wyprawiasz?
- Zaproponowałem to tylko. Po prostu chciałem pomóc.
- Pomóc? A komu? Chyba samemu sobie?
- Pani Jukas, oczywiście — odparł i nagle zeszytniał.

— Czy ty nic nie rozumiesz? Nie widzisz, co tu się dzieje? — Dennis wyłonił się z ciemności jak płomień ognia na wietrze. — Oni myślą, że to twoja sprawa! To chyba oczywiste! A jakżeby inaczej!

— No to się przekonają, że to nie ja. — W piersi zawrzało mu gniew.

— Jasne, ale na razie wypytują o ciebie w całym mieście.

— Dennis — ostrzegła go Lisa. — Daj już spokój, dobrze? Gordon sam dobrze wie, co się święci. Po co jeszcze bardziej go dołować? Proszę cię, przestań już. Słuchaj, Gordon — dodała szybko. — Może wpadłbyś w przyszłą niedzielę na kolację? Chciałabym przygotować rodzicom coś szczególnego — zwróciła się do Dennisa. — Zaraz potem wylatują do Australii i długo ich nie będzie, chyba ponad miesiąc.

— Wszystko mi jedno. Rób, co chcesz. I tak pewnie się położę się do łóżka.

— O nie! Nie ma mowy, Dennis! Ten jeden raz usiądziesz i zjesz kolację z rodziną, zwłaszcza przed wyjazdem moich rodziców.

— Daj spokój, Liso, ja i tak nie będę mógł przyjść...

— Chyba nie wymagam od ciebie za wiele, Gordonie? — rzuciła surowym tonem. — Nie mógłbyś zrobić tego dla mnie i twojego brata?

Zdziwiony, skinął głową. Jeszcze nigdy nie zwracała się do niego takim tonem.

— Ale on wcale nie chce — rzucił Dennis, ubawiony. — Woli zostać sam. Nie potrzebuje nikogo, inni wcale go nie obchodzą. Zawsze tak było, przez całe życie, więc dlaczego, do diaska, teraz miałoby być inaczej?

Jadzie doskwierała samotność. Rozglądała się za Thurmanem, ale jego kuzyn Antawan nie widział go, odkąd tamten był u niego ogolić głowę. Jego starsza siostra, Jesenia z Margin Street, słyszała, że wyjechał do Nowego Jorku z paroma kolegami z gangu.

— Jasne! — rzuciła z uśmiechem i odwróciła się.

— Jeśli masz trochę oleju w głowie, to trzymaj się od niego z daleka.

— Thurm jest spoko. To fajny gość, przyjaźnimy się.

— Słuchaj, on wygaduje o tobie różne okropne rzeczy.

Wzruszyła tylko ramionami i odeszła. Po drodze zajrzała do kiosku obejrzeć zdjęcia w *People*, dopóki Hindus za ladą nie kazał jej kupować albo wyjść, bo to nie biblioteka. Mijając supermarket, gwizdnęła na jędzę z rurkami przy nosie, po czym skręciła na parking i ruszyła w gęstwinę cienkich drzew i zaśmieconych krzewów. Gałęzie trzaskały jej pod nogami. Może pies Cootiego jeszcze żyje. Powinna była wrócić tu tamtego dnia i dać mu jeść. Podeszła bliżej, ale spod sterty kartonów nie było sły-

chać nic, żadnych odgłosów skamlenia. Nie chciała zaglądać do środka, więc przebiegła obok. Dotarła do rozłożonej na ziemi tektury, usiadła i objęła się ramionami. Gdyby tylko ktoś ją przytulił i był z nią tak blisko jak Thurman. Zamknęła oczy, rozmyślając o scenie, którą kiedyś widziała w telewizji. *Zanurz siew ciemność, tak głęboko, głęboko*, nakazywała sobie siłą woli. Ale jej myśli krążyły wokół dziecka, które zdążyła już pokochać, nawet jeśli Polie był jego ojcem. Matka nadal brała kokę, a Poliemu obiecała, że usunie ciążę. Już dwa razy przyjechał, żeby ją zawieźć do Bostonu, ale ona zaczynała wtedy wymiotować i mówiła, że źle się czuje. Jada dobrze wiedziała, że matka się boi. Bała się wszystkiego i wszystkich. Wczoraj zapukał do nich szeryf i matka zamknęła się w łazience. Trzęsła się i szlochała, że to nie ona i że staruszka kłamie, ale szeryf wsunął tylko pod drzwi kolejny nakaz eksmisji. Jada niemal z niecierpliwością czekała, aż je wyeksmitują. Tego właśnie potrzebowała teraz jej matka — porządnego kopniaka, który postawiłby ją na nogi i sprawił, że znowu zaczęnie trzeźwo myśleć. Wczoraj, kiedy Delores pomogła jej wnieść po schodach dywan, miała wielką ochotę wyzalić się jej na zły los.

Pędząc na skróty przez ogrody, usłyszała szczenie. — No chodź, pieseczku — zawołała cicho. Jakiś czarno-biały szczeniak natychmiast przybiegł do płotu, wijąc się radośnie jak Leonardo, i wysunął maleńki pyszczek przez metalową siatkę. Jada dotknęła wilgotnego, różowego nosa i rozeźmiała się. — Jak się wabisz, miluśki? — Mówiąc to, pośpieszyła do furki, a pies ruszył za nią wzdłuż płotu. Piszczął i ujadał, poruszając przy tym krótkim ogonkiem. — Pewnie Szczekuś, co? To bardzo fajne imię, ty mały krzykaczu. — Szczeniak zaczął skakać na płot, skamłając jeszcze głośniejsze. — Ciii. Co się dzieje? Nie podoba ci się tutaj, co? O rany, wcale się nie dziwię.

Zardzewiała furka skrzypnęła, kiedy Jada otworzyła ją silnym pchnięciem. Maleńkie podwórce prawie w całości zajmowała obszarpana trampolina i nie było dość miejsca, żeby szczeniak mógł się wybiegać. W jego misce z wodą pływały liście i drobne muszki. — Pójdziesz ze mną? Chcesz iść na spacer? Jasne, przyda ci się trochę ruchu. — Gdy tylko dotknęła ciepłego, kudłatego łebka, szczeniak uciszył się. Zrozumiała, że psu potrzeba miłości. Pewnie nikt go nie wyprowadzał i przez cały czas był przywiązany, a kiedy szczekał, wychodzili uciszyć go kopniakiem. — Dobry piesek, dobra psinka — szeptała, odsupłując sznur od czerwonej smyczy. — No i gotowe! — zawołała, chwytając go na ręce i popędziła co sił w nogach przez cztery, pięć, sześć przecznic. Jeszcze trzy i będzie już w domu — bezpieczna. Postawiła psa na chodniku i pociągnęła za smycz,

myśląc, że zaprze się jak Leonardo, ale szczeniak truchtał obok niej. Jego radosne podskakiwanie bawiło Jadę.

Kiedy Gordon skończył gruntować oskrobane deski, opłukał pędzel i wyszedł spryskać róże. Nareszcie cały jego trud się opłacił: na liściach zostało już niewiele czarnych plam i każdy krzew zakwitł pąkami. Uciał trzy rozwinięte róże. To dla Lisy. Dziś miał pójść do niej na kolację i już ogarniał go strach. Chciał zadzwonić do Delores i poprosić ją, żeby mu towarzyszyła. O dziwo, właśnie teraz, kiedy zrozumiał, jak bardzo jej potrzebuje, musiała od niego odejść. Na schodach pani Jukas leżał plastikowy worek na zakupy i rzucona gazeta, ale nie mógł nic z tym zrobić.

— Ej, popatrz, mam nowego psa — zawołała Jada, przechodząc przez ulicę. Szczeniak wrywał się do niego. — Siad! Siad! — rzuciła i pies posłuchał. — Dobra psina! — pochwaliła, ale szczeniak już doskoczył do Gordona. — Siad! — nakazała znowu. Usiadł niechętnie.

Gordon roześmiał się, przyklęknął i pogłaskał psa po grzbiecie. Szczeniak zerwał się, skamłac i podskakując. Jada znowu nakazała, żeby usiadł, ale Gordon zapewnił, że wcale mu to nie przeszkadza, bo to miutki piesek. — I bardzo grzeczny — dodał, głaszcząc go po łebku. — A jak ma na imię?

— Szczekus.

— A dawno go masz?

— Właściwie to nie.

— Wygląda na tresowanego.

— A tak, sporo trenowaliśmy, prawda, Szczekusiu? — Przyklęła i przesunęła ręką po grzbiecie psa aż do koniuszka ogona. — Mówię mu, musisz być dobrze wychowany. Nie wolno skakać, czekać i obsikiwać ludzi.

— No cóż — mruknął, podnosząc się i Jada natychmiast się wyprostowała. — Lepiej już pójde zanieść swoje rzeczy.

— Słuchaj, często cię widuję. Bardzo dużo pracujesz, prawda? Co się tu święci? — spytała, kiedy schylił się po spray. Podniosła sekator i podała mu, a potem poszła za nim do garażu. Zadowolony szczeniak truchtał obok. — Pewnie sprzedajesz dom? Mój wuj Bob zawsze mawiał, najwyższy czas go podreperować i sprzedać. I zawsze tak robi, a potem przeprowadza się do ładniejszego domu. Szkoda, że nie widziałeś tego, w którym teraz mieszka. To naprawdę odlotowa chata: marmurowe podłogi, piękne obrazy — wołała w stronę dusznego, zatęchłego wnętrza garażu. Gordon odwiesił sekator na gwoździu. Z drzwi ciągle dobiegał go piskliwy,

monotonny głos dziewczyny: — Wiesz, byłam tam w zeszłym tygodniu. Ciotka Sue chciała mnie zatrzymać na parę dni, żebym pomogła jej przygotować przyjęcie — bo ona ciągle wydaje jakieś przyjęcia — ale nie mogłam zostać. Chodzi o moją mamę — dodała, kiedy ją wyminął. — Mówiłam ci już, że będzie miała dziecko? Tak strasznie się cieszę. Już nie mogę się doczekać. Tyle że rano wymiotuje, a właściwie to przez cały dzień, no i muszę być w domu, żeby jej pomagać, sam rozumiesz — ciągnęła, podążając krok w krok za nim i Gordon omal nie potknął się o szczeniaka. Podniósł z ziemi ścięte róże. — O Boże, jakie piękne. — Schyliła się i powąchała jedną. — Pewnie dla Delores?

— Nie, dla mojej bratowej.

— Aha. To ta, co ma dzieci? Syna i córeczkę?

— Właśnie. Lepiej już pójde się przygotować — powiedział i skierował się w stronę domu.

— A co? Urządza jakieś przyjęcie?

— Nie, to tylko kolacja.

Wzięła szczeniaka na ręce i weszła za nim po schodach. — Wiesz, powinieneś sobie kupić jakiegoś psa. Na pewno byłbyś zadowolony. Fajnie byłoby go przytulać, no i on by cię kochał — zauważyła, a szczeniak lisnął ją w podbródek.

— Ale mężczyłby się sam w domu.

— Ano tak. A w ogóle to gdzie pracujesz? Widzę, jak wychodzisz bardzo wcześnie, a wracasz dopiero po szóstej.

— To dlatego, że mam już nową pracę.

— A gdzie?

— Chyba nie znasz tej firmy — uciął i chwycił za klamkę. — No, to ja się zbieram. Muszę jeszcze zrobić kilka rzeczy. — Jeśli otworzyłyby teraz drzwi, to weszłaby za nim.

— Co za straszna historia z tą panią Jukas, nie?

— Rzeczywiście, okropna sprawa. Biedna kobieta.

— Niepotrzebnie się nad nią litujesz. Nienawidziła ciebie tak samo jak mnie i mojej matki.

— Wcale nie — uciął szybko.

— Była jędzowata, a przynajmniej dla mnie. Traktowała mnie jak śmiecia, jakbym w ogóle nie miała żadnych uczuć... — Spojrzała na niego i przez chwilę bał się, że dziewczyna się rozpłacze.

— No, to na mnie już czas.

— Ciągle się gniewasz! Mówiłam ci przecież, że zrobiłam to tylko ze strachu. O nic więcej mi nie chodziło — dodała, wskazując na piętro.

- W porządku, już rozumiem.
 - Akurat. Pewnie masz mnie za małą dziwkę. Mylisz się! Jestem dobrą dziewczyną, naprawdę!
 - Oczywiście, wiem przecież.
 - To dlaczego już się nie przyjaźnimy? Po tamtej nocy przestałeś się do mnie odzywać.
 - Jasne, że się przyjaźnimy — odparł, wzdrygając się. *Po tamtej nocy.* W jej ustach zabrzmiało to jak oskarżenie. — Proszę bardzo, to dla ciebie. I co ty na to? — Podał jej różę.
 - Dzięki — rzuciła z uśmiechem.
- Gdy tylko wszedł do domu, od razu popędził na górę. O szóstej miał być u Dennisa na kolacji, a była już za piętnaście piąta. Rozpinając koszulę, usłyszał na ulicy czyjeś podniesione głosy. Wyrzął przez okno i zobaczył, jak dwóch wyrostków biegnie w stronę Jady, coś pokrzykując. Niższy z chłopaków, przysadzisty i łysy, chwycił ją, a drugi usiłował wyrwać jej psa. Jada szarpała się i wrzeszczała, żeby dali jej spokój. Ten niższy stanął z tyłu i przydusił jej szyję włochatym ramieniem. Poszczekując, pies zaczął biegać w kółko, a drugi chłopak próbował złapać smycz.
- Co wy wyprawiacie? — zawołał Gordon, wybiegając na ulicę.
 - Ukradła mi psa! To mój pies! — krzyknął ten drugi, chwytając wreszcie za smycz.
 - Zostawcie ją! — nakazał Gordon, ale niski ciągle trzymał Jadę za szyję.
 - To pieprzona złodziejka — odparł, jakby tłumacząc się, dlaczego ściska za gardło tak wątłą dziewczynę. — Przymknęła i wykradła go z podwórza.
 - Cholera, nie obchodzi mnie, co zrobiła. Masz ją natychmiast puścić — huknął Gordon i ruszył w jego stronę.
- Chłopak posłuchał, a Jada obiema dłońmi zaczęła masować sobie szyję. Na ganku kamienicy otworzyły się drzwi i wyrzała zza nich Marvella Fossum.
- To nie jego pies! — krzyknęła Jada i chwyciła psa, ale chłopak ją odepchnął.
 - Odbiło ci? Jasne, że mój! — odparł, chowając podbródek przed mokrym językiem psa.
 - Jada... — Gordon podszedł bliżej i stanął między nią a chłopakami. — On twierdzi, że to jego pies. Czy to prawda?
 - Nie! On jest mój!
 - Ona mówi, że pies jest jej.

— Słuchaj pan, nie mam na to czasu. To mój pies — odrzekł chłopak i cofnął się, trzymając na rękach uradowanego szczeniaka. — Jeśli masz z tym jakiś problem, to się lecz. Słyszysz?

— To wcale nie jest twój pies, cholerny gnoju! — wrzasnęła Jada i niższy z chłopaków doskoczył do niej.

— Licz się ze słowami, pomyłona czarnucho czy jak cię tam, cholera, zwa.

— Jada! — Gordon chwycił ją, kiedy próbowała rzucić się na chłopaka. — Przestań! Natychmiast przestań — nakazał jej.

Chłopak śmiał się, gdy obrzucała go stekiem wyzwisk.

— Przecież to nie twój pies — powiedział do niej Gordon. — Sama dobrze wiesz, więc daj już spokój! Przestań! Dlaczego to robisz?

Trzymał ją obiema rękami, ale ona wrywała się i krzyczała.

— Dlaczego? — Odwrócił ją twarzą do siebie. — No, dlaczego?

— Znalazłam go — wyjąkała, wtuliła się w niego i zaczęła płakać. — Przysięgam, że go nie ukradłam. Znalazłam go i chciałam zabrać do domu. Próbowałam mu pomóc, i tyle.

— Idź do domu, Jada — powiedział. Odsunął się od niej, patrząc na oddalających się chłopaków. — No dalej, idź już.

Podniosła z chodnika różę. — I tak mi nie wierzysz, co?

Skinął głową. — Wierzę. — Wierzył, że sięgnęłaby po wszystko, co tylko pozwoli jej przetrwać. I że tak naprawdę nie miała innego wyjścia.

Po drinkach w salonie Lisa poprosiła gości do jadalni. Impreza była nieoficjalna: kobiety miały na sobie spodnie, a mężczyźni koszule rozpięte pod szyją. Na stole, zamiast obrusu, leżały podkładki pod nakrycia. Wzdłuż stołu, w wazonach z wodą, pływały małe wotywno świeczki na mieniącym się szkle, które odbijało światło na twarzach zebranych. Lisa wygląda dziś wyjątkowo ładnie i tak promiennie, zauważył w myślach Gordon, kiedy usiadła obok matki. Jego początkowy lęk przed spotkaniem z tyloma ludźmi powoli ustąpił, gdy Gordon bez reszty skupił się na sztuczkach i jedzeniu. Zrobiło mu się przyjemnie, gdy pośrodku stołu stanęły jego róże, mimo że wydawały się trochę długie i sterczące, zwłaszcza w porównaniu z poprzednim okazałym bukietem z różowych i pomarańczowych dali, przeplatanych tu i ówdzie różowymi i białymi tawuškami. Na kredensie stał bukiet o jeszcze bardziej jaskrawych kolorach, ale w całym pomieszczeniu czuć było tylko zapach róż. Gordon cieszył się, że może zachować anonimowość wśród toczących się wokoło rozmów. Każdy prowadził ożywioną dyskusję i zabiegał o uwagę, tylko on jeden wolał pozostać niezauważony. Siedzący po jego stronie stołu pan Harrington już dwa razy próbował włączyć go do rozmowy i Gordon rzucił coś lakonicznie w odpowiedzi. Popielaty na twarzy, Dennis siedział przy drugim końcu stołu. Jedzenie na jego talerzu leżało nietknięte. Przyklejony do warg uśmiech sprawiał, że wyglądał na znudzonego i jakby nieobecnego. Na przeciw Gordona siedział ksiądz Hensile, a przy nim Lukę, nowy opiekun młodzieży. Był to subtelny mężczyzna o rzadkich włosach, prawie tak samo wstydlivy jak Gordon. Policzki płonęły mu za każdym razem, gdy zwracano na niego uwagę. Dalej siedzieli Marty i Becca Brock, najbliżsi przyjaciele Mitzi i Toma Harringtonów. Tom i Marty mieszkali razem na studiach w Dartmouth. I tak rodzice Lisy poznali się przez siostrę **Martwego**. Becca Brock mogła mieć już grubo po siedemdziesiątkę. Była to drobna kobieta o dość dziwnej aparycji, mocno umalowanych oczach

i długich, kruczoczarnych włosach. Przekonana o swojej racji, uczestniczyła w trzech lub czterech rozmowach na raz. Właśnie poprosiła Jennifer, nastolatkę zatrudnioną do podawania kolacji, o inny widelec, bo ten, którym jadła, miał powyginane zęby. Dennis obrzucił ją wzrokiem.

— I już nigdy więcej go nie widziałem. — Tom opowiadał księdzu o jakimś mężczyźnie, którego z Martym Brockiem pieszczołiwie nazywali Mossie. Lisa spiesznie podniosła wzrok i spytała ojca, czy dolać mu wina. Pewnie już nie raz słyszała tę historię. Z tego, co mówili obaj mężczyźni, Mossie — spadkobierca jakiejś stalowni — któregoś dnia obudził się w posiadłości swoich rodziców w Pittsburgu, zjadł z ojcem obfite śniadanie — *stek, smażone ziemniaki i jajka, a potem założył rakiety śnieżne i poszedł do lasu, półtora kilometra za miasto...*

— Trzy czy cztery kilometry — przerwał Marty. — Mieli w swoich rękach pół hrabstwa.

— No i wykopał w śniegu dół, usiadł pod drzewem i włożył sobie spłuwę do ust...

— Tom! — przerwała Mitzi ze zboląłą miną, siląc się na uśmiech. — Lisa chce, żebyś spróbował nowego Merlota. Daj, skarbie, naleję mu. — Lisa podała jej butelkę i obie z matką wymieniły spojrzenia.

W międzyczasie dziewczyna przyniosła widelec, a panowie nadal zastanawiali się, dlaczego Mossie postanowił w taki sposób zakończyć swoje okazałe życie. — A miał chłopak wszystko: urodę, mądrość, pieniądze, kobiety! — westchnął Marty, krojąc cielęcinę.

— To naprawdę nie do wiary — przyznał Tom, jakby samobójstwo też należało do atutów Mossie'ego.

Gordonowi przyszedł na myśl Jerry Cox. Zabił się, bo nie nadawał się już do życia. Jego samobójstwo było skrajnym pretekstem, niepotrzebnym aktem skruchy, ostatnią szansą tchórzliwego człowieka na to, by zadać uczciwym ludziom jeszcze więcej bólu.

— Czy mógłby pan podać sos? — odezwał się John Stanley, który siedział na prawo od Gordona.

John Stanley miał piskliwy głos i obwisłą twarz, a jego silny brytyjski akcent działał Gordonowi na nerwy. Jego rozszczeniowy ton przypominał mu uderzenia pałki strażnika o kraty: *stuk stuk stuk*. W ten sposób wymagał uwagi, szacunku i posłuszeństwa. Tymczasem Gordon nie zauważył nigdzie żadnego sosu.

— Ten do pieczeni, o tam. — John Stanley zrobił nagły ruch głową i Gordon chwycił uchwyty sosjerki tak gwałtownie, że sos chlapnął prosto na pływające świeczki. — Czy mogę prosić jeszcze o podstawkę? — Stan-

ley trzymał sosjerkę nad talerzem, na który spływał rozlany sos. — Leży na stole, o tam.

— A tak, już widzę. Przepraszam. — Gordon podał mu podstawkę.

Jak światło obracającej się z wolna latarni morskiej, ospały wzrok Dennisa zatrzymał się na Gordonie.

— Świetnie gotujesz! — wykrzyknęła Becca Brock do Lisy, która podniosła się z miejsca, by dolać ojcu wina, chociaż ten zakomunikował jej, że nie chce więcej. Na co pochyliła się i ścisnęła go za ramię.

— Słuchaj, Gordon, słyszałem, że odmalowujesz dom — zagadnął wtedy znaczącym tonem.

— Tak, proszę pana. Chcę go tylko trochę odświeżyć.

— No więc gdybyś potrzebował pomocy, to dzwoń natychmiast. — Zerknął znad okularów. — Do brata.

— No nie wiem, Dennis jest strasznie zapracowany.

— Ale przyda mu się trochę ruchu.

— O, tego na pewno nigdy za wiele — zauważył Gordon i wszyscy wybuchli śmiechem, zadowoleni, że Gordon wreszcie się odezwał i okazał się całkiem normalny.

— Ja pracowałam trochę u Samarytan — opowiadała Rena Stanley Mart/emu Brockowi.

— Człowiek powinien mieć prawo do samobójstwa — oznajmiła Becca Brock. — Bo czemu nie, skoro kontrolujemy nasze życie pod każdym innym względem?

— Na litość boską — mruknął Dennis pod nosem.

O co mu chodzi, zastanawiał się Gordon, patrząc gdzieś w przestrzeń między bratem a bratową. Jej śniada cera jakby lśniła w wodnistym blasku świec. *Czy nie docenia tego, co ma? Dwoje pięknych, zdrowych dzieci, które właśnie oglądają na dole filmy wideo z dziećmi Stanleyów. I przyjaciół, i kochającego brata.* A może to za mało? Czy Dennis rzeczywiście uznał, że Gordon nie ma uczuć? Że nie obchodzi go nawet jego rodzony brat? I że właściwie nigdy go nie obchodził? Patrząc na niego, Gordon poczuł ciężar na sercu.

Dennis wziął głęboki oddech i rozsiadł się niedbale na krześle, znużony tą zbyt dobrze sobie znaną wymianą zdań i wyraźnie rozdrażniony, czego nawet nie próbował ukryć.

Mitzi po raz kolejny przyniosła na stół kosz z pieczywem i półmisek z wędlinami. — Gordon, powiedz nam, jakim szefem jest Tom? — zagadnęła.

— Bardzo dobrym — odparł, rozglądając się, czy wystarczy dla wszystkich, po czym nałożył sobie kilka plastrów. — Jest doskonałym szefem.

Dziewczyna do pomocy weszła do salonu i oznajmiła, że dzieci chcą obejrzeć jeszcze jeden film. Lisa pozwoliła. A tymczasem Becca Brock i Rena Stanley nadal dyskutowały o samobójstwie, a Lukę (którego nazwiska Gordon nie zapamiętał) właśnie opowiadał im o swoim bracie strażaku. W zeszłym tygodniu uratował kobietę, która groziła, że zeskoczy z dachu swojego apartamentowca, bo mąż zostawił ją z trojgiem dzieci na utrzymaniu i...

— Lukę — przerwał mu ksiądz Hensile. — Opowiedz nam lepiej o swojej siostrze. Podobno pracuje w opiece społecznej?

— Tak, w ośrodku adopcyjnym — odparł Luke. — Szuka rodzin dla dzieci, głównie tych z Chin.

— A moja znajoma właśnie się o to ubiega — wyrzucił Gordon, zaskakując samego siebie i wszystkich wokoło.

— I do tego zmierzam. To problem osobisty i moralny — trajkotała Becca Brock, przerywając ciszę. — Jeśli chcę umrzeć, to powinnam mieć prawo to zrobić, kiedy zechcę i w taki sposób, jak mi się podoba.

— Jasne, że powinnaś, Becca. — Westchnienie Dennisa przerodziło się w nerwowy śmiech.

Lisa uśmiechnęła się i nachyliła do Gordona: — O co się ubiega twoja znajoma?

— O adopcję. O małą dziewczynkę. Jest Chinką i ma na imię May Loo. — Wypowiedziane jednym tchem słowa zdawały się piętrzyć przed nim na stole.

— Kto? Twoja znajoma? — dociekała Lisa.

— Nie, ta mała dziewczynka. Jest bardzo ładna. Delores pokazała mi jej zdjęcie — odparł smutno.

— Delores chce adoptować dziecko? Och, to cudownie! — krzyknęła Lisa i oczy jej rozblęły w migotliwym świetle. — Na pewno będzie wspaniałą matką. Dziękuję ci, Gordonie. Tak umiliłeś mi wieczór... To najlepsza wiadomość, jaką słyszałam od bardzo dawna.

Przejęty swoim zachowaniem, spuścił wzrok. Czoło zaświeciło mu się od potu.

— Mamo, ty znasz Delores?

— Oczywiście, że znam. Chodzi o Delores Dufault — zwróciła się Mitzi do Reny Stanley. — Niezła z niej agentka. To bardzo oryginalna i przebojowa kobieta...

Na pewno bardziej fascynująca niż on ze swoim marnym życiem, pomyślał Gordon. Zdradził jej tajemnicę, wyjawiał ją obcym ludziom. Becca Brock od razu uderzyła w temat adopcji zagranicznych, twierdząc, że to kompletna farsa, skoro w ich rodzinnym kraju nie brak potrzebujących dzieci. — To pewien rodzaj rasizmu — podsumowała.

— A ja się z tym nie zgadzam — odparł ksiądz Hensile. — Adopcje zagraniczne po prostu trwają krócej.

— To dlaczego nikt nie adoptuje dzieci z Afryki? — dociekała Becca.

— Przepraszam bardzo... Przepraszam — powtórzył Gordon nieco głośniejszym, z trudem wydobywając słowa ze ściśniętego gardła. — Chyba nie powinienem był tego mówić.

— Och, daj spokój, Gordon. — Tom Harrington od razu przyszedł mu z pomocą. — Becca musi czasem dolać trochę oliwy do ognia.

— Wypraszam sobie — fuknęła Becca wstydliwie, oburzona.

Wszyscy wyczuwali jego przygnębienie. Tylko brat nie spuszczał z niego wzroku. — Mnie chodzi o to, że Delores jeszcze nikomu nie mówiła. Niepotrzebnie zawiódłem jej zaufanie — dodał Gordon, spuszczać wzrok, co jeszcze bardziej ubawiło Dennisa.

— W takim razie nie piśniemy ani słówka, prawda? — oznajmiła Lisa, patrząc po zebranych.

— A skąd.

— Oczywiście, że nie.

— Absolutnie.

— Przecież ja wcale jej nie znam — powiedział John Stanley. — Nie pamiętam nawet, jak się nazywa.

— Nic się też nie stało — uspokajała Rena Stanley. — My po prostu cieszyliśmy się razem z nią.

Po tym wszystkim czuł się jeszcze fatalniej, a do tego idiotycznie. Tymczasem rozmowa szybko zeszała na temat golfa. Dziewczyna doniosła ciepłe bułki i Gordon jako jedyny poczęstował się jeszcze jedną. Dennis odsunął talerz z nietkniętą kolacją i Gordon zrozumiał, że to znak, że wszyscy skończyli jeść. Odłożył widelec. Gdyby tylko była tu Delores. Na pewno wciągnęłaby się w wir rozmów, a wtedy on mógłby się schować w jej cieniu.

— Piękne są — zauważył ksiądz Hensile. — Te róże. To z twojego ogrodu, prawda?

— Tak, z podwórza — mruknął, nie odrywając od nich wzroku. — To róże mojego ojca, zasadził je dawno temu.

— Czy praca w ogrodzie rzeczywiście uspokaja, jak to ludzie mówią?

— O tak. To prawda. Bardzo uspokaja.

Zadzwiezczał dzwonek i Lisa wymknęła się do drzwi.

— Nie bardzo rozumiem — ciągnął ksiądz. — Przecież to ciężka harówka.

— No, niezupełnie.

Róże są takie piękne, a zarazem niebezpieczne, stwierdził ksiądz, dolewając wina. *Niebezpieczne*. Gordon podniósł wzrok. Co za dziwne określenie.

— Czy zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego róże mają kolce? — spytał ksiądz. — Wiem, dlaczego mają je jeżyny i maliny: żeby zniechęcić ptaki i zwierzęta do zjadania owoców, ale róże?

— Może z tego samego powodu, tyle, żeby zniechęcić ludzi, dopóki same nie rozkwitną... — dodał nerwowo.

Lisa wróciła do salonu. Wyczekujący uśmiech zniknął z twarzy jej matki, kiedy Lisa pochyliła się i szepnęła coś Dennisowi na ucho, a ten natychmiast podniósł się z miejsca. Rzucił coś, a ona pokiwała głową, a kiedy sięgnęła ręką do twarzy, dłoń jej drżała. Szybko złapała się za ramię, odprowadzając Dennisa wzrokiem.

— O co chodzi, kochanie? — dopytywała się jej matka.

— Jakiś nagły przypadek? Leczenie kanałowe? — zawołał ojciec przez stół, ale ona patrzyła tylko z maską spokoju na twarzy.

— Coś podobnego! — prychnęła Becca Brock. — Że też pacjenci mają czelność nachodzić go w domu. Mój wuj był lekarzem, i mówię wam, nikt nigdy mu tego nie robił!

— Na litość boską, on był chirurgiem plastycznym — zakwicział Marty.

— Niepotrzebnie Dennis zostawia swój numer — zauważyła pani Harrington. — To może być też niebezpieczne, skarbie — zwróciła się do córki. Lisa złożyła swoją serwetkę i ustawiła szklanekę z wodą i kieliszek z winem jedno przy drugim. — Złodzieje tak to robią. Najpierw dzwonią, żeby sprawdzić, czy ktoś jest w domu...

— Dziś nawet złodzieje znają się na technice.

— A raczej są po prostu wygodni!

— Unikają spotkania twarzą w twarz z nami, tak jak my z nimi.

— Przecież Lisa i Dennis mają doskonały system bezpieczeństwa — zauważył pan Harrington. — Care-Guard, to najnowocześniejszy system na świecie. Taki sam, jak u ciebie, Marty.

Lisa patrzyła na Gordona. Wyglądała na zmęczoną, wręcz wyczerpaną tymi rozmowami o przemoc i włamaniach do domów. *Chyba mi współczuje*, pomyślał, ale na widok przerażenia w jej oczach zrozumiał. *Me, chyba do niej dotarło, kim jestem, co zrobiłem i jaki ze mnie dziwoląg przy tych normalnych ludziach.*

— A ja wiem, co bym zrobiła — oznajmiła Rena Stanley.

— Co? Włazłabyś do szafy i zadzwoniła pod dziewięćsetjedenaście?
— zadrwiła Becca Brock.

— A skąd. Zastrzeliłabym ich!

I wszyscy wybuchli śmiechem, oprócz Lisy, która rozglądała się dokoła, zupełnie jakby nagle wszyscy wydali jej się obcy.

Do salonu wróciła Jennifer i coś powiedziała do Gordona, ale wśród szumu głosów nie usłyszał.

— Pytałam, czy już pan skończył...

— No nareszcie! — zawołał też wtedy pan Harrington z promiennym uśmiechem. — Mój wspaniały zięć wrócił!

Bo Dennis stanął w drzwiach salonu. — Gordon, chodź ze mną na chwilę.

Kiedy wstawał od stołu, zapadła cisza. Surowy ton głosu jego brata nie został niezauważony. Lisa też chciała wstać, ale usiadła sztywno na miejsce, jakby przykuta do krzesła jakimś łańcuchem.

— Pewnie chodzi o Jimmy'ego — rzuciła spieszenie pani Harrington.
— Sam mi mówił, że nie może się doczekać, by pokazać wujkowi Gordonowi swoją nową grę...

W holu Dennis trącił Gordona i szybko skręcił do swojego gabinetu.
— W holu jest czterech gliniarzy. Mają nakaz, ale ich nie wpuściłem. Powiedziałem, że cię przyprowadzę.

— Nakaz? A po co? — Pewnie chodzi o tych dwóch chłopaków ze szczeniakiem i tę dziewczynę, której imię nagle wyleciało mu z pamięci. Nie, tu chodzi o panią Jukas. To po to przyszli — myślą, że to *on* ją pobił.

— Chcą cię aresztować.

— Ale za co?

— Za zabójstwo pani Jukas. Zmarła dziś po południu.

— O Boże! Nie! Dennis, musisz mi uwierzyć. Ja tego nie zrobiłem. Do głowy by mi nie przyszło. Próbowałem tylko jej pomóc, przysięgam.

— Chodźmy już. — Dennis położył mu dłoń na ramieniu, prowadząc go do drzwi.

— Nie! — rzucił Gordon i odepchnął go.

— Nie rób mi tego! — Chrapliwy, wyraźny szept Dennisa uderzył go po twarzy jak strumień kwasu wgrzającego się w skórę. — Ani się waż. Nie przy tych wszystkich ludziach i nie na oczach moich dzieci! Rozumiesz? No dalej, idźże wreszcie. Nie stój tak i nie gap się na mnie. Rany boskie, słyszysz, co do ciebie mówię?

— Ale ja nic nie zrobiłem! Przysięgam. Proszę cię, uwierz mi! Błagam cię, Dennis! Powiedz tylko, że mi wierzysz, to pójdę, przyrzekam, pójdę natychmiast.

Dennis chwycił go za koszulę. — A niby co to było? Znowu wypadek? Wchodziła ci w drogę i stłukłeś ją, kurwa, do nieprzytomności?

Dalej poszedł już sam, stąpając po czarno-białych, marmurowych płytkach. Powoli Dennis ruszył za nim. Z czterech mężczyzn dwaj byli w mundurach, a dwaj pozostali mieli na sobie koszule z krótkimi rękawami i drelichowe spodnie i niczym nie różnili się od gości, którzy przyszli na kolację. Kamiński zrobił krok do przodu. — Gordon Loomis?

— Tak, proszę pana.

Samo aresztowanie przebiegło szybko, bez złości i nienawiści. Zabójstwo ślicznej Janine Walters i jej synka Kevina zdarzyło się tak dawno temu, że dzisiejsi policjanci już nie żywili do niego pogardy. Jego ofiarą była zgryźliwa staruszka, która całe życie miała już za sobą. Policjanci byli trochę spięci, jakby zażenowani tą wizytą. Nawet Kamińskiemu niezręcznie było zakładać mu kajdanki. Któryś z nich oznajmił Dennisowi, że przejechali nieoznakowanymi wozami, jakby to miało go uspokoić.

— Proszę. To na czas przejścia do wozu. — Chwycił z kanapy niebieską kurtkę Jimnr/ego i narzucił na skute nadgarstki Gordona.

— Bardzo mi przykro, doktorze Loomis. — Inspektor Kamiński otworzył drzwi.

Dennis westchnął i pokręcił głową.

— Jak tylko dowieziemy go na miejsce, odeślemy kurtkę — zawołał któryś z policjantów.

— W porządku, nie trzeba — odparł Dennis. Zatrzymajcie ją sobie albo po prostu wyrzucie, wszystko mijedno, dodał w myślach.

Było już po północy i Gordon drzemał w celi, kiedy strażnik otworzył kluczem drzwi. Na dole czekał brat i naczelnik powiedział, że może zejść, ale tylko na chwilę.

— Przez cały wieczór wydzwaniam do Miridiciego, do domu, i do biura, a on nie ma automatycznej sekretarki, tylko pieprzony faks. Wysłałem mu chyba z pięćdziesiąt wiadomości.

Miridici reprezentował Gordona, kiedy ten starał się o zwolnienie warunkowe. Na Gordonie nie wywarł większego wrażenia, ale Dennis uważał go za najlepszego adwokata w całym stanie.

— I dlatego właśnie tu jestem — ciągnął Dennis. — Muszę mieć pewność, że będziesz ostrożny. Masz z nikim nie rozmawiać, nie wolno ci nawet poprosić strażnika o szklankę wody, dopóki nie zjawi się tu Miridici.

— Ale ja już rozmawiałem. Tyle że powiedziałem im tylko to, co już wiedzieli — dodał szybko na widok przerażonej miny Dennisa.

— Naprawdę? To znaczy, co?

— No, kilka szczegółów i faktów. — I powtórzył mu dokładnie to, co powiedział Kaminskiemu: jaka była wtedy pogoda i o tym, jak był pewien, że około trzeciej panią Jukas przywiozła taksówka. Zapamiętał wszystko, co miał dla niej kupić. Nie wziął nawet listy zakupów, tylko gdzieś ją po drodze wyrzucił. A kiedy się dowiedział, w jakim kobieta jest stanie, pomyślał, że został z tymi zakupami na lodzie.

— Tak powiedziałeś? Że zostałeś z nimi na lodzie? — Dennis wpatrywał się w niego z niedowierzaniem.

— No wiesz, chodziło mi o to, że będę musiał je zatrzymać.

— I tak to powiedziałeś?

— Aha — skinął głową. Chyba tak, ale nie był pewien, nie pamiętał, nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje. Ten dziwny spokój był jak przezroczysta ściana, przez którą widać rzeczywistość, a nie da się jej poczuć.

— Gordon! Gordo, spójrz na mnie. Tu się liczy każde słowo, rozumiesz? Wszystko, co im powiesz, może być użyte przeciwko tobie. Tym razem zrób jak należy. Nie opowiadaj im wszystkich szczegółów, jakie przyjdą ci do głowy!

Tym razem? Po tym zabójstwie. Przecież powiedział im tylko prawdę. Interesowało ich, o której dokładnie zrobił zakupy, a godzina była wydrukowana na paragonie. Wiedzieli już, kiedy wyszła sprzątaczką i o której odwieziono do domu panią Jukas, a to oznaczało, że do napadu doszło między 12:25 a 13:10. Dennis zapytał, dlaczego akurat przed 13:10. Bo wtedy dzwonili z przychodni przesunąć termin kolejnej wizyty, a pani Jukas nie odbierała telefonu. Gordon stwierdził, że to musiało być dokładnie wtedy, gdy wszedł na werandę z zakupami. Słyszał zza drzwi dzwoniący telefon, i to dość długo.

— I powiedziałeś im to?

— Oczywiście, bo tak było. Słyszałem przecież.

— Jezu Chryste, i po co opowiadasz im takie rzeczy? — Dennis zerknął w stronę korytarza. Strażnik przechadzał się tam i z powrotem.

— Nie będę kłamać, bo tylko pogorszę sprawę — rzucił cicho Gordon.

— Wtedy też nie skłamałeś — syknął szeptem Dennis.

— Wtedy... — powtórzył, przymykając oczy. Wtedy w celi było ciemno i ze wszystkich stron otaczały go kraty, a to więzienie było nowoczesne, oświetlone wbudowanymi lampami. Tu też nie mógł mieć przy sobie paska ani sznurowadeł, a wśród skonfiskowanych rzeczy osobistych były portfel, grzebień i długopis. Złożenie podpisu dawało mu odrobinę nadziei. Wtedy nie podpisywał żadnych dokumentów. I wtedy też mówił tylko prawdę. — Dennis, nie tknąłem pani Jukas, przysięgam. Nie uderzyłem jej. Nawet jej wtedy nie widziałem. Ani razu nie podeszła do drzwi.

Zerkając przez ramię, Dennis trącił go kolaniem w nogę, przysunął się blisko i szepnął: — Słuchaj, oni nie wiedzą, ale jest jeden świadek. Jilly Cross. Widziała cię.

— Rzeczywiście, zgadza się. A nie mogłaby im o tym powiedzieć? Poprosisz ją? — spytał, nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

— Rany boskie, ona widziała, jak o tamtej godzinie wychodziłeś od pani Jukas.

— O nie! To nie tak!

— Mówi, że byłeś zły i zdenerwowany. Podobno spytała cię tylko, co tam robisz, a ty się na nią rzuciłeś.

— Nie, to nieprawda. Nic jej nie zrobiłem. — Gordon kręcił głową, tak przejęty, że zaczął dyszeć. — Wcale tak nie było.

— Sama mi mówiła dwa tygodnie temu — szeptał Dennis. — Gdy tylko usłyszała o pani Jukas, od razu zadzwoniła do mnie do gabinetu. Powiedziała, że to ty, że jest tego pewna, że nie ma wątpliwości, ale nie pójdzie na policję, jeśli ją tego nie chce. A teraz ciągle dzwoni i dopytuje się, co dalej. Chce wiedzieć, co powinniśmy zrobić, a ja nie mam pojęcia, co jej powiedzieć. Czuję się tak, jakby wciągał mnie jakiś wir, a ja nie mogę się uwolnić.

— Przepraszam. — Nic więcej nie mógł powiedzieć. Brat był gotów mu pomóc, ale nie chciał mu wierzyć.

— Zresztą zaraz będę się z nią widział. — Dennis zerknął na zegarek, przysunął się bliżej i szepnął cicho: — I chyba się z nią dogadam. Ale od tej pory masz siedzieć cicho. Wolno ci rozmawiać tylko z Miridicim.

Dennis wyrwał się już z apatii, może dlatego, że czekało go spotkanie z Jilly Cross albo że wreszcie miał szansę usunąć brata ze swojego życia. A może po prostu znowu poczuł, że wszystko leży w jego rękach. „Twój brat bardzo nam pomaga — pisała kiedyś matka. — Zawsze można na nim polegać. Ciocia Gert mówi, że nastolatek nie powinien podejmować ważnych decyzji rodzinnych, ale tatuś ciągle chodzi przygnębiony, no i Denny nie ma innego wyjścia. A przy tym tak świetnie sobie radzi...”

- Czy mam może zadzwonić do Delores?
- Nie.
- Ona też pewnie chciałaby wiedzieć.
- Nie sądzę.

Została już tylko łodyga. Jada pozbierała ostatnie **płatki** róży. Do butelki po napoju dolała wody i postawiła z powrotem na parapecie. Jeśli łodyga wypuści korzenie, to ją zasadzi i wyhoduje swój własny krzew róży. Wyjrzała przez okno: tyle jedzenia się marnuje w lodówce Gordona. Zanim go wypuszczą, wszystko zdąży się już zepsuć. Biedny facet. Czy starsza pani nie mogła pozostać w sypialni, żeby już nigdy nikomu nie sprawić kłopotu? Jego podwórze coraz bardziej przypominało jej ogród: było zaśmiecone papierami, gałęziami i skrawkami żółtej taśmy policyjnej. Trawa rosła, nieskoszona. Na schodach walała się nowa książka telefoniczna ze stronicami zamokniętymi i pomarszczonymi po nocnej ulewie. Ulicą truchtał jakiś mężczyzna z owczarkiem niemieckim. Wczoraj Jada dwa razy wybiegła z domu, przekonana, że słyszy ujadanie Leonarda. Nie wierzyła Thurmanowi. Polie, jakkolwiek wredny, był tak leniwy, że nie chciało mu się nawet zawiązywać butów, a co dopiero zadać sobie tyle trudu, żeby zabić jej psa. Nie, Leonardo musi gdzieś być i któregoś dnia na pewno wróci. Jada żałowała, że nie zna ani jednej modlitwy. Pamiętała tylko, jak ciotka Sue kazała jej zamknąć oczy i wyznać Jezusowi, co jej leży na sercu. Przymknęła więc powieki i wstrzymała oddech, ale żadna modlitwa nie przychodziła jej do głowy. Czuła tylko krzyczący w niej ból: *pomóżcie mi, proszę. Błagam, niech mi ktoś pomoże.*

Na palcach weszła do sypialni. Matka leżała nieruchomo na boku, zwinięta w kłębek, dokładnie w tej samej pozycji co przed godziną. Jada pochyliła się nad nią, ale słysząc jej równy, chrypliwy oddech, od razu się uspokoiła. Ostatnio po każdej dawce ciągle spała, a kiedy wstawała do łazienki, to nogi tak jej się trzęsły, że ledwo mogła iść. Ale za to im dłużej spała, tym mniej paliła koki, a jej brzuch stawał się coraz większy. Wkrótce na aborcję będzie już za późno. Jada nie była pewna, jak długo jeszcze tak wytrzymają. Jediną nadzieją było wysłanie matki na odwyk. Parę dni

temu poszła nawet do poradni, ale nie była umówiona i kazali jej wrócić nazajutrz o wpół do drugiej.

Jada zamknęła drzwi na klucz, przebiegła przez ulicę i weszła na werandę Gordona. Położyła przemoczoną książkę telefoniczną przy balustradzie. Drzwi były zamknięte, okna też. Próbowała jeszcze z tyłu i od piwnicy, ale wszystko było zaryglowane na cztery spusty. Wróciła przed dom i sięgnęła ręką w krzaki, by zerwać trzy świeże róże. — A to sukiny! — wrzasnęła, raniąc sobie ramię o kolec. Rozwścieczona, kopnęła ziemię i przykucnęła, szukając kamienia, by rozbić szybę w tylnych drzwiach, tak jak zrobił to Thurman.

Na podejździe zatrzymało się srebrne auto i otworzyły się drzwi. Od strony krzewów wysiadła wysoka, ciemnowłosa kobieta. — Ej! A ty co tu robisz? — zawołał brat Gordona znad dachu auta.

— Zbieram śmieci — odparła, wyrzuciła kamień i pokazała im pusty karton po prażonej kukurydzy i plastikową butelkę. — Książka telefoniczna cała przemokła, położyłam ją przy drzwiach.

— Dziękujemy ci, to bardzo miło z twojej strony — powiedziała kobieta, a mężczyzna wspiął się na werandę, przeskakując po dwa schody na raz. Jada obserwowała, czy przypadkiem nie wyciągnie skądś ukrytego klucza, ale miał swój własny.

— Gordon nie lubi, kiedy jest naśmieczone, sami państwo wiecie — dodała i poszła za kobietą przez trawnik. — Jestem Jada. Mieszkam w pobliżu, o tam — wskazała.

Kobieta wyciągnęła rękę i przedstawiła się jako Lisa, bratowa Gordona.

— A tak, wiem. Ta, co ma dwoje dzieci, prawda? Chłopca i dziewczynkę. Już tu panią widziałam.

— Masz doskonałą pamięć.

— Taa, *fonograficzną*. Tak mówią moi nauczyciele — uśmiechnęła się. — A zresztą mało kto tutaj przychodzi. Raz był tylko jakiś ksiądz. No i pani Delores. Znają pani?

Kobieta przytaknęła, otworzyła drzwi i oznajmiła, że idzie pomóc mężowi.

— Może ja pomogę? — Jada podeszła bliżej.

Odmówili, ale Lisa Loomis jej podziękowała. Przyszli tylko zajrzeć do domu i wziąć parę rzeczy dla Gordona. Lisa szybko weszła do środka.

— A jak on się czuje? — spytała jeszcze Jada z nosem przy siatce w drzwiach. — Chyba raczej kiepsko, co?

— Wszystko u niego w porządku. Gordon jest bardzo silny i da sobie radę. Jestem tego pewna.

— Lisa! — zawołał ze schodów jej mąż. — Nie mogę znaleźć kapci!

— Dlaczego mu to zrobili? — ciągnęła, gdy Lisa Loomis zniknęła w głębi domu. — Jak mogli go aresztować? Przecież on w życiu by tego nie zrobił. To wcale nie on. Głowę daję, że nie.

Kobieta podeszła do drzwi. — Jak to? Skąd wiesz, że to nie on?

Jej mąż wyszedł oznajmić, że nie ma za wiele czasu, bo za czterdzieści pięć minut czeka go następna wizyta.

— Po prostu wiem — odparła Jada. — Wiem, że on nikogo by nie skrzywdził, a zwłaszcza tej starszej pani, chociaż była z niej okropna ję-dza.

— Nie powinnaś tak mówić, to bardzo brzydko — zauważyła Lisa.

— No chodźże wreszcie! — fuknął jej mąż.

— Ale to prawda. Traktowała go jak śmiecia, a teraz jeszcze czepiają się go za to, że był dla niej miły. Niezły syf, szkoda gadać! — zawołała za zamkniętymi drzwiami.

Usiadła na schodach i czekała.

— Och! — Podskoczyła na dźwięk otwieranych drzwi. Brat Gordona wyniósł jakąś zieloną, płócienną torbę. — Mam do was prośbę — rzuciła, podążając za nimi do auta. — Pozdrówcie ode mnie Gordona, co?

— Ależ oczywiście. Jesteś bardzo miła — odparła Lisa.

— Niech pani uważa na te kolce, są strasznie ostre — ostrzegła, gdy Lisa Loomis otworzyła drzwi samochodu. — I powiedzcie mu, że będę doglądać jego domu, żeby nie pałętały się tu żadne typki — rzuciła Lisie przez okno, ale auto już wycofywało się z podjazdu. — I dopilnuję porządku. Już ja o to zadbam! — zawołała. Lisa pomachała jej ręką. — Co za pieprzona snobka, nawet ze mną nie pogada — mruknęła pod nosem.

W poradni było zimno. Jada schowała kartkę do kieszeni i założyła ręce, próbując opanować dreszcze.

— Bardzo przepraszam — rzucił pan Crowley, gdy wreszcie wrócił do biura.

Określenie „pan” jakoś nie pasowało do kogoś w dżinsach i czarnej koszulce. Był to młody człowiek o kościstej twarzy i blisko osadzonych oczach, które mrużyły się z niedowierzaniem przy każdym słowie Jady. Już dwa razy wywoływano go z biura. W ośrodku mieli kompletne urwanie głowy: przed drzwiami z tabliczką LEKI stała kolejka narkomanów, a w poczekalni tłoczyło się ich jeszcze więcej.

— Po prostu mamy dziś za mało pracowników. A więc mówiłaś, że...
— Rozejrzał się za kartką z notatkami. Odsunął na prawo stos papierów, po czym oparł się na krzesło i wbił wzrok w podłogę. — Gdzieś to tu miałem. A zresztą nieważne. — Wydarł z notesu pustą kartkę. — I tak prawie wszystko pamiętam. Masz na imię Jana, twoja mama jest uzależniona od koki i chce się zapisać na nasz program — wyrecytował i uniósł brwi: czy wszystko się zgadza?

— Właściwie to chodzi o moją ciocię. Powiedziałam, że to mama, ale tak naprawdę to moja ciocia. — Musiała być ostrożna. Skoro już dwa razy wychodził z biura, to może po to, by zawiadomić opiekę społeczną albo gliny?

— Twoje nazwisko, Jana?

— Brown.

Zapisał. — Wiek?

— Siedemnaście lat.

Podniósł na nią wzrok. — Siedemnaście?

— To znaczy, skończę za parę miesięcy.

I tak jej nie uwierzył. — Adres?

— A co to ma do rzeczy? Przecież tu nie chodzi o mnie, to nie ja potrzebuję odwyku. A pan pewnie tak pomyślał? — Oczywiście. Wiedziała, że uznał, że chodzi o nią.

— A nie, tak tylko pytam. To tylko standardowa procedura.

Jasne, standardowa procedura. Ani się obejrzy, jak do jej drzwi zapuka ktoś z opieki społecznej. — Proszę pana, chcę tylko zapisać ciocię na odwyk. Sama nie może przyjść, bo strasznie źle się czuje, i obiecałam jej, że to załatwię. A więc trzeba ją wpisać na jakąś listę, tak? — Wskazała na papiery. — To znaczy, że trzeba czekać?

— Tak, ale nasza lista jest już bardzo długa.

— A jak długo się czeka?

— No, jakieś trzy miesiące.

— Rany boskie! — Poczowała się tak, jakby ktoś walnęła ją prosto w żołądek. Ile szkody mogą wyrządzić dziecku narkotyki przez te trzy miesiące? No i matce? — Ona nie może tak długo czekać! Inaczej umrze! — Po tych słowach zamarła, rażona złym przeczuciem. Czasem, kiedy budziła się w nocy, bała się poruszyć, by nie dotknąć plecami trupa. — Na pewno są jeszcze inne miejsca — dodała słabym głosem. — Może gdzie indziej szybciej ją przyjmą.

— Tak, są jeszcze prywatne ośrodki i szpitale, ale tam trzeba płacić, a my jesteśmy finansowani przez państwo i dlatego...

— A nie mógłby pan dopisać jej gdzieś na początku listy? Przysięgam, że nikomu nie powiem.

— Przykro mi, ale nie mogę. To byłoby nie w porządku.

— Do dupy z takim porządkiem! Ci wszyscy ludzie i tak faszerają się tym szajsem, a ona długo nie pociągnie! Naprawdę!

— Przykro mi, Jana. A teraz uspokój się. Rozumiesz chyba, że każdy musi odczekać swoje. Takie jest życie.

Ale ona nie umiała się z tym pogodzić i zwątpić, nie mogła tak po prostu poddać się i przyznać: jestem nikim i wszyscy mają mnie gdzieś, bo *takie jest życie*. Przymknęła oczy. — Błagam pana. Proszę, niech jej pan pomoże, dobrze?

— Jest jeszcze jeden problem, Jano. Musisz ją tutaj przyprowadzić. Powinna się zgłosić dobrowolnie i oświadczyć, że potrzebuje pomocy. Takie panują tu zasady.

— Jasne. Ale ona nie może, jest bardzo chora — tłumaczyła, patrząc na niego. — A do tego jeszcze w ciąży.

— W takim razie pozostaje nakaz sądu.

— A jak to się załatwia? — spytała, sztywniejac przy jego odpowiedzi: w razie aresztowania sąd może nakazać ciotce leczenie odwykowe. Pokiwała słabo głową, kiedy podał jej jakieś broszury i spis telefonów zaufania dostępnych w nagłych przypadkach oraz numery infolinii.

— Wiesz, Jana. — Poklepała ją po ręce, patrząc prosto w oczy. — Czasem trzeba być brutalnym, żeby komuś pomóc.

Złapała go za rękę i pochyliła się nad biurkiem. — Jeśli tylko pan chce, to zrobię dla pana dosłownie wszystko, bez wyjątku. A jestem w tym naprawdę dobra! O co tylko pan poprosi — wyrzuciła, siląc się na uśmiech, ale jej twarz zdawała się rozpadać na tysiące kawałeczków. — Tylko błagam, niech ją pan wpisze na początek listy.

— Niestety — pokręcił głową z udawanym smutkiem. — Nie to miałem na myśli.

Cisnęła więc broszury na biurko i wyszła.

Feaster czekał w wozie, a Polie zapukał do drzwi. Jada miała dostarczyć towar gdzieś w okolicach kanału. Odbiorą go chłopak i dziewczyna. Jada na miejsce szarym volvo, więc lepiej niech się pośpieszy. Nie, odparła. Nie miała ochoty. Była zbyt zmęczona. Chciała zamknąć drzwi, ale Polie gwałtownie je pociągnął.

— Słuchaj, to naprawdę duża sprawa. Feaster i ja nie chcemy przepuścić okazji. Ci ludzie jada aż z Portland.

— Jasne — zaśmiała się. — Akurat mnie to obchodzi. — Matka nie spała przez całą noc, tylko płakała i powtarzała, że jest jej niedobrze i chce umrzeć. Jada bała się zostawić ją samą, żeby matka nie wyszła z domu i znów nie znikła na dłużej. Powoli przestawała ćpać, co zaraz dało się jej we znaki: była osłabiona od ciągłego wymiotowania, a jakiś czas temu dostała gorączki.

— No chodź! — rzucił, zerkając w stronę wozu. — Rusz się, bo inaczej pojedą do kogoś innego — ciągnął rozpaczliwym tonem.

— O nie. Nie pojedę, dopóki mi nie powiesz, gdzie jest Leonardo.

— Leonardo? — zapiszczał. — A kim, do kurwy nędzy, jest ten Leonardo?

— To mój pies. Podobno go zabrałeś...

— Jada? — zawołała matka z głębi mieszkania. — Kto to? Z kim rozmawiasz?

— Chwileczkę, mamo!

— Czy to Polie? Muszę się z nim zobaczyć.

— Kurwa, nie zawracaj mi głowy. Nie chcę jej tu widzieć. Nie teraz. — Zerknął na ulicę. Feaster machnął ręką, żeby się pośpieszył. — No chodźże wreszcie!

— To najpierw mi zapłać. Gotówką — dodała szeptem, wykorzystując jego desperację. — Potrzebne nam pieniądze. Nie mamy cojeść, a mama jest ciężko chora.

— Wiesz przecież, że on się nie zgodzi. Twoja matka wisi mu sporą kasę.

— No to trudno. W takim razie nie jadę.

— Słuchaj, weź resztę koki, którą dostaniesz dla matki, i sprzedaj.

— Akurat. I może mam handlować prochami tak jak ty, pieprzony mafioso. — Zaśmiała się. — Dziękuję bardzo! Lepiej się zmywaj, bo Feaster właśnie otworzył drzwi.

— Masz. — Podał jej dziesięciodolarowy banknot.

— To za mało.

Dał jej jeszcze jeden. — To wszystko, co mam.

Wbiegła do domu, ale matka już zasnęła albo zemdlała. Na jedno zresztą wychodziło. Przynajmniej można było zostawić ją na chwilę samą.

— No rusz się! — zawołał, gdy wróciła do drzwi. Chwycił ją za ramię, ale mu się wyrwała.

— Coś ty zrobił z Leonardem? Utopiłeś go, tak?

— Chryste Panie.

— Powiedz mi, to pojedę.

— Tak było — skinał głową. — Zadowolona?
— To chrzań się! — krzyknęła. A więc Thurman nie skłamał.
Złapał ją i sprowadził po schodach.
— Dlaczego? Po co to zrobiłeś? — Głos jej się łamał, kiedy próbowała go uderzyć. — To był jeszcze mały szczeniak.
— Zamknij się! Stul gębę, jasne? — Pchnął ją do wozu.
Feaster podkreślił muzykę. Zaczął kiwać do rytmu głową i zakręcać zmierzwione włosy na brodzie. Jedwabna koszula opinała mu barczyste ramiona. Kark Poliego błyszczał od potu. On sam zerkał na Jadę w lusterku.
W krzakach przy kanale stało zaparkowane volvo. Feaster ściszył muzykę i dla pewności podjechali bliżej.
— Maine. To oni. — Polie wskazał na tablicę rejestracyjną.
— No i gdzie go zabrałeś? — Jada wychyliła się między siedzeniami. Nic nie odpowiedział, więc powtórzyła pytanie.
— Gdzieś tam, sam nie wiem. Nad rzekę. — Polie zgromił ją wzrokiem.
— A kogo niby zabrałeś? — dociekał Feaster.
— Mojego pieska Leonarda. Ten bydlak go utopił.
— I po co, do kurwy nędzy? — Feaster spojrzał na niego z niedowierzaniem.
— Marvella mnie prosiła. Nie znosiła tego psa. Od jego zapachu robiło jej się niedobrze.
Jada opadła na siedzenie. A więc to matka. Kazała zabić jedyne stworzenie, które Jada kochała. Tacy ludzie mogą robić, co im się żywnie podoba, i nic nie jest w stanie ich powstrzymać. Nagle ogarnął ją bezwład, ale było to przyjemne uczucie. Mury rosły coraz wyżej, okna się zamykały, drzwi zatraskiwały. Nic już się nie zmieni, wreszcie to do niej dotarło. Ta pewność przyniosła jej pewną ulgę. W jej sercu nie było już nic — żadnego bólu czy modlitwy. Oświedone słońcem fabryczne mury błyskały wokoło raz po raz, jak na jakiejś szalonej orbicie, a oni krążyli w tej swojej fioletowej rakiecie. Nigdzie nie było żadnych policjantów i od razu trafili na właściwy samochód. Dziwne, że w ogóle zatrzymywali się na czerwonych światłach. Tyle że oni mieli jakieś życie, a ona nie.
— Masz. — Polie rzucił jej na tylne siedzenie plastikowy woreczek. — Weź sobie pięć bryłek. Pięćdziesiąt jest dla nich. — Zaparkował na roku przy krzakach i oznajmił, że ci ludzie dadzą jej pięćset dolarów. Tym razem przelicz, nakazał Feaster.

Odrętwiałą ręką wyjęła pięć bryłek i schowała do kieszeni. — A dlaczego tylko pięć? — spytała, na pozór oburzona, chowając woreczek w majtki. Pozostała jej tylko дума, która wysysała z niej resztki sił.

— Orany! — jęknął Feaster. — Ty jej to wytłumacz.

— Bo ostatnio spieprzyłaś sprawę — powiedział Polie, posyłając jej w lusterku znaczący uśmiech. — Ciesz się, że w ogóle coś dostałaś...

— A mama i tak nie usunie ciąży — przerwała mu i uśmiechnęła się. — Głowę daję, że nie.

Feaster odwrócił głowę. Na co ona czeka? Aż przyjadą gliny? Niech wysiada! I to migiem! — nakazał jej.

Szła powoli, kopiąc kamyki po drodze. Obejrzała się i pomachała ręką. Właściwie to dobrze by było, gdyby teraz przyjechały gliny. Aresztowaliby Poliego i matka przestałaby myśleć o usunięciu. — Co za łajdak, podły drań — szeptała pod nosem, zbliżając się do samochodu. Jakieś dziecko darło się wniebogłose. Kierowca skręcił szybę: w środku cuchnęło brudnymi pieluchami i skwaśniałym mlekiem.

— Dzień dobry! — odezwał się mężczyzna za kierownicą. Był starszy, niż się spodziewała: miał przeredzone mysie włosy i szare wąsy. Kobieta była młoda i wychudzona, a jej szkliste oczy wgapiły się bezmyślnie w Jadę. Wysiliła się na uśmiech, ale wargę jej opadła i zaczęła się ślinić. Na tylnym siedzeniu płakała mała dziewczynka z bladą, spoconą twarzą wtuloną w oparcie. — Cicho! — huknął mężczyzna na rozhisteryzowane dziecko, które zaczęło wrzeszczeć jeszcze głośniej. — No i co tam masz? — zwrócił się do Jady, obserwując ulicę w lusterku.

— Nie wiem. A może pan coś ma?

— Proszę. — Podał jej zwitek złożonych na pół nowych banknotów. — Chryste, zrób coś z nią — fuknął do kobiety.

— A niby co? — krzyknęła kobieta, wyraźnie zalekniona. — Co mam zrobić?

— Ona chyba jest chora. Wygląda na to, że ma gorączkę — rzuciła Jada, licząc pieniądze. Przerażliwy krzyk wdzierał się do odrętwiałej świadomości Jady jak rozpalone ostrze noża. *Nędzne, zaćpane debile, i jeszcze z dzieciakiem przyjeżdżają. A jeśli zjadą się gliny? Zresztą czy to w ogóle ich obchodzi?* Wcale, ich obchodziło tylko jedno: ten szajs, który chowała między nogami. Jedyna rzecz, na której zależało jej matce.

Sięgając do tyłu, ten za kierownicą usiłował wcisnąć dziecku do buzi smoczek. — Siedź cicho, do cholery! — krzyknął. Młoda kobieta znowu próbowała się uśmiechnąć, wpatrzona tęsknym wzrokiem w Jadę — zwiastunkę szczęścia i posiadaczkę jedynej rzeczy, której pragnęli. Ma-

chając rączkami, dziecko zaczęło kopać tył fotela i mężczyzna uderzył je po nogach, co wywołało jeszcze głośniejszy krzyk złości i bezsilności.

— Niech ją pan zostawi w spokoju! — zawołała Jada, ale on uderzał dalej. — Przecież ona nic złego nie robi. To jeszcze małe dziecko. To nie jej wina.

Wyjęła woreczek i cisnęła do auta, wysypując lśniące bryłki na siedzenia i podłogę. Mężczyzna i kobieta rzucili się, by je pozbierać. Krzyk dziecka prześladował Jadę przez całą drogę wzdłuż spokojnej, ciemnej wstęgi kanału. Ulicą z wolna nadjechał wóz.

— Proszę. — Wyciągnęła potem rękę z pieniędzmi, a Polie podał je Feasterowi i nakazał dziewczynie wsiąść do auta, ale ta zignorowała go i poszła dalej.

W drodze do domu zastanawiała się, w której z kamienic mieszka Delores. Wszystkie wyglądały jednakowo. Była pewna, że to gdzieś przy Lowell Street. Zapytała nawet paru ludzi, czy znają panią Delores, jednak nikt jej nie znał i nigdzie nie było widać jej samochodu. Tymczasem matka już pewnie dostawała świra. Jada czuła, że powinna wracać do domu, ale po raz pierwszy od paru tygodni było jej wszystko jedno. Tak jak Leonardo i stara jędra z sąsiedztwa, dziecko nie miało już żadnych szans. Tak czy inaczej, matka je zabije. Bo ona umiała tylko sprawiać ból i zawód. Tu Jada zawsze mogła na nią liczyć. Dziecko czekałoby takie samo życie jak tę małą dziewczynkę, która płakała w aucie narkomanów, chora, głodna i nie przewinięta. I to przy odrobinie szczęścia. Bo to dziecko nie miałoby wuja Boba i ciotki Sue — nie byłoby nikogo, kto przyszedłby mu z pomocą, może oprócz Jady. Ale gdyby trafiło do rodziny zastępczej, to pewnie nawet nie pozwoliliby jej go widywać.

Na osiedlu oparła się o łańcuchowe ogrodzenie i obserwowała chłopaków grających w koszykówkę. — Ej, Jada! — zawołał z cienia trybun czyjś głos. To był Thurman.

Jada przysiadła się do niego. Akurat jadł kanapkę. Włosy mu odrosły i miał na głowie czarną czuprynę. Najwyraźniej długo się nie golił. Pracował teraz na nocki w pizzerii i babka znowu pozwoliła mu się do siebie wprowadzić. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, obserwując zaciekłą grę, a on ciągle jadł tę swoją kanapkę.

— Słuchaj, byłam tam jeszcze raz — odezwała się.

— Niby gdzie?

— W lasku. Ale psa Cootie'ego już nie było.

Thurman otarł ręką usta. — Naprawdę? — Uśmiechnął się. — A może chcesz go teraz poszukać? — Podniósł się i rzucił jej na kolana piętkę

chleba. — Możesz mu to zanieść! — Chwycił ją za rękę i pociągnął do góry. — No chodź — ponaglił, głaszcząc ją po brzuchu, kiedy stała, oparta o niego. — Idziemy.

— Sama nie wiem — rzuciła i pogładziła go po kręconych włosach. — Najpierw powinnam chyba pójść do domu. Moja mama jest chora i leży w łóżku.

— Szlają się raczej przy torach, sam widziałem. Była z jakimś mensem od tych bezdomnych spod mostu. Taki paskudny typ bez zębów.

Jada pobiegła w stronę torów, ale nikogo tam nie było. Kiedy wreszcie dotarła do domu, matka leżała na kanapie z zakrwawionym ręcznikiem przy twarzy. Nie mogła zatamować krwotoku. Mówiła, że krew spływa jej do gardła i ją dławi. Nie bardzo wiedząc, co począć, Jada pobiegła do kuchni po szklanek wody, ale matce tak się trzęsły ręce, że wylała wszystko na siebie i Jada musiała trzymać jej szklanek przy ustach. Matka próbowała upić łyk, ale zakrztusiła się i krew popłynęła jej po brodzie. Jada przycisnęła jej ręcznik do nosa. Spod płótna matka wysapała, że przetrząsnęła wszystko, szukając koki, ale nie znalazła. Poszła nawet szukać Poliego, ale nikt nie chciał jej powiedzieć, gdzie on jest. I wtedy jakiś ćpun wstrzyknął jej ten szajs. To musiała być trucizna, bo już ją zabija. — Ja chyba umieram. Takie mam uczucie. — Jej skóra była spocona, błyszcząca i popielata, oczy miała wybałuszone.

— Tylko spokojnie — rzuciła Jada w panicznym strachu. — Dlatego właśnie powinnaś z tym skończyć, mamó. Ze względu na siebie i dziecko. — Żałowała, że nie ma przy sobie broszur. Kręciło jej się w głowie.

— Nie chcę żadnego dziecka — jęknęła matka. — Cholera, chcę tylko normalnie żyć tak jak wszyscy inni.

— I tak będzie, mamó. — Jada miała wielką ochotę ją objąć, ale się bała.

— Wcale nie. Nigdy tak nie będzie. — Zgięła się wpół, kaszląc i trzymając się za brzuch. — Jezu, jak mi niedobrze. Chyba zaraz umrę. Tak bym chciała już umrzeć. — Trzęsła się tak mocno, że zęby jej szczękały. — Skombinuj mi coś. Pomóż mi, mała. Ratunku — jęczała, przerażona, patrząc gdzieś w dal.

— Dobrze, mamó, zaraz ci coś dam. Popatrz. — Wyjęła z kieszeni bryłkę cracku. — Ale tylko jedną, dobrze? Zaraz ci przygotuję, a jutro pojedziemy do ośrodka i zapiszemy cię na leczenie, tak? To gdzie masz rurkę i butelkę? — spytała i podniosła matce ręce, żeby sprawdzić pod poduszką.

Następnie pobiegła do sypialni i ściągnęła z łóżka koc. Butelka po najoju wypadła i potoczyła się po podłodze. Wsadziła do niej słomkę i zaczęła kręcić się po pokoju, szukając zapalniczki. Albo zapałek. Czegokolwiek. — O rany! Jezu Chryste! Zaczekaj chwilę — wysapała i rzuciła na kanapę torebkę matki. Pierwsza zapałka zgasła. Potarła drugą i podsunęła drżący płomień do bryłki.

— Proszę. Weź, mamó. — Wetknęła matce słomkę do ust. Oczy matki rozwarły się, patrząc tak oszalałym wzrokiem, że Jada odsunęła się i podtrzymała butelkę wyciągniętą ręką. — Wciągaj, mamó! Szybciej! Spróbuj, na pewno dasz radę!

Matka wzdrygnęła się na całym ciele. Głowę odchyliła do tyłu, wygięła plecy i zeszywniała, targana pomrukiem z głębi trzewi, jak z jakiejś ciemnej, zatęchłej, wyszarpanej dziury. Przewróciła oczami i otworzyła usta, po czym bezwładnie opadła do przodu z podbródkiem opartym na piersi.

— Mamó? Mamó? — powtarzała Jada, usiłując wsunąć słomkę między martwe wargi matki. — Mamó, nie! Tylko nie to! — krzyknęła i rzuciła się na nią.

W chwili gdy strażnik otworzył drzwi, uznała, że jednak nie pokaże Gordonowi nowego zdjęcia May Loo. Szttywno wyprostowany, wydawał się tak nieruchomy, jak przymocowany do podłogi metalowy stół i krzesła. W blasku okratowanych sufitowych lamp jego twarzy wyglądała szaro i mizernie. Przez kilka dni po jego aresztowaniu w gazetach aż roiło się od artykułów o jego pierwszym zabójstwie. Przyrzekła sobie, że nie będzie ich czytać, a potem godzinami ślęczała nad każdym słowem, szukając jakiejś ważnej informacji, która wcześniej umknęła jej uwadze. Szczegóły przerażały ją na nowo. Wtedy była jeszcze młoda i wszystko wydawało się nierealne: ten chłopak na sali sądowej, którego w prasie nazywano mordercą, nie był tym samym Gordonem Loomisem, którego znała. Ale dziś kochała tego człowieka, zabójcę, przez co stała się częścią jego koszmaru, brnąc dalej w beznadzieję swojego życia. Miała wielką ochotę go pocieszyć, ale jakiś silny, obcy głos w jej głowie ostrzegał: *Lepiej trzymaj się z daleka. Powinnas teraz pomyśleć o własnej przyszłości. I o May Loo.* I wcale nie była taka pewna jego niewinności. Nieprzenikniona cisza otaczała go niczym warstwa lodu. Po jego słabym, wymuszonym uśmiechu trudno było jej poznać, czy to trauma pourazowa, czy zwykła obojętność. Jej monolog przypominał tonący wrak, którego trzymała się resztkami sił, a każde z nich i tak płynęło w inną stronę. Zbliżał się koniec i oboje o tym wiedzieli.

Mówiła, że na ulicy znowu roi się od handlarzy narkotyków. — A ciebie tu trzymają. Wiesz, policja chyba ma to gdzieś — podsumowała, żeby go podburzyć, a przy okazji strażnika lub kogokolwiek innego, a może tylko samą siebie. Wszystko byłoby lepsze od tego pogrzebowego patosu. Jak można tak beczynn timer siedzieć i jeszcze raz to znosić?

— Na szczęście ostatnio trochę się ochłodziło. Zaczęłam już odmalaowywać pokój gościnny. — Nie miała odwagi powiedzieć, że to pokój dla May Loo. — Żółte ściany ze ślicznym wzorkiem, w maleńkie baletniczki.

Muszę jeszcze odmalować biurko, bo jest niewykończone. — Wzięła głęboki oddech. — Wiem, że sam sporo malowałeś. Jak myślisz, ile warstw farby powinienam nałożyć?

Zamrugał oczami, jakby nagle się ocknął. — Nie wiem, nigdy nie malowałem mebli.

Zerknęła na zegarek. Straciła tylko czas i dniówkę. W następnym tygodniu miała wizytę rozpoznawczą z ośrodka adopcyjnego i czekała ją kolejny stracony dzień.

— Powinnaś już pójść — zauważył. Ucieszyła się, ale zaraz zrobiło jej się głupio, a po chwili ogarnął ją smutek z powodu straconych nadziei. Dawniej, gdy jeździła do niego w odwiedziny do Fortley, była tak przejęta i podekscytowana, że słowa same płynęły jej z ust. Dopiero w drodze do domu aż wzdrygała się na wspomnienie swoich bezsensownych uwag: trajkotała o ludziach, których on nawet nie znał, i o miejscach, których nigdy nie widział. A on nigdy nie mówił jej nic o sobie. Zawsze miała poczucie, że musi go zabawiać, zachwalać mu wolność, opowiadając o urokach życia codziennego. A może za każdym razem próbowała po prostu przekonać samą siebie, że było warto, że tę miesięczną przerwę między odwiedzinami, wiszącą niczym pomost nad przepaścią, da się jakoś znieść, bo każde zdarzenie, nawet błahe i przykre, można w tym czasie przerobić, wzbogacić, upiększyć i nagiąć w imię sprawy? Jak wielką przyjemność dawało jej czekanie na wizyty i relacjonowanie mu zdarzeń w porównaniu z beznamiętnością, która przychodziła potem, wypełniając ją zawsze tą samą pustką. Dla nich obojga wolność oznaczała rozczarowanie.

Zapytała, czy nic mu nie trzeba. Odparł, że nie. Dennis i Lisa przywieźli mu z domu parę rzeczy. Podniosła się z miejsca. Może ma zajrzeć do jego domu? Nie trzeba. Zresztą i tak nie dostałaby się do środka: Dennis szczerlnie wszystko pozamykał — oznajmił niechętnie, co znowu ją zirykowało. To może podlać trawnik? Od tygodnia nie padało i wszystko strasznie wyschło. *Jakie to okrutne i sadystyczne tak go dręczyć, rozdrapywać dawne rany.* No a róże? *Jego ukochane róże — tylko na nich mu zależało.* No właśnie, róże... Zamyślił się na chwilę. Nie, odparł, wahając się, nic im nie będzie. Zaproponowała, że mogłaby je podlewać. Zagładałaby do nich codziennie po pracy. *Była przecież wolna, za kierownicą swojego auta, tam, w świecie, gdzie żywe stworzenia zawsze potrzebowały opieki.* Niech tylko jej powie, co ma robić — może podlewać je węzłem ogrodowym...

— O nie! — przerwał jej, jakby raniony jej słowami. Ale jeśli chce i nie sprawi jej to kłopotu, to niech nabierze wody do konewki i podlewa

krzewy przy ziemi. Przez około minutę — on zawsze liczy wtedy powoli do sześćdziesięciu. Czy coś jeszcze? Gdyby miała trochę czasu, to przygotował specjalną mieszankę, butelka stoi na schodach z tyłu domu, i byłby wdzięczny, gdyby raz na tydzień spryskała nią cały krzew. Spytała, czy to jakiś środek nawożący. Nie, ten stoi w takiej wysokiej puszczy w garażu. Trzeba odmierzyć jedną ósmą szklanki do nakrętki i wysypać granulki u nasady krzewu.

— Tak po prostu wysypać? I już nic więcej?

— Ja używam jeszcze kultywatora. Wisi w garażu na gwoździu. Spulchniam nim glebę wokół krzewu. — I przesunął paznokciami po blacie stołu, żeby jej zademonstrować. — Musisz trochę wklepać te granulki i podlać wodą. I koniecznie zetnij sobie parę róż. Sekator też jest w garażu, zaraz obok kultywatora. Klucz leży pod najwyższym stopniem.

— Nie chcę ścinać ci tych róż, Gordonie. Tyle się przy nich napracowałeś.

— Im częściej się je przycina, tym lepiej rosną. Wtedy są mocniejsze — dodał z uśmiechem.

— Czy z ludźmi też tak jest?

— Może na niektórych to działa.

— A na ciebie nie?

— Sam nie wiem. — Zesztywniał.

— Co? Jak to, nie wiesz? — *Czyżbyś był w środku tak pusty i martwy?*

— Po prostu nie lubię o tym myśleć. I nie potrafię. Nigdy nie umiałem, a zresztą nie miałbym nawet odwagi.

— I chcesz powiedzieć, że to ci pasuje. Tak już musi być i nie masz na ten temat nic do powiedzenia! — Starła się nie rozpłakać.

Pochylił się do przodu, chwytając stół po bokach, i zadrżał, jakby chciał wyrwać go z podłogi. — A co mam robić? Nic na to nie poradzę. Nic. Mogę tylko czekać.

— To mógłbyś przynajmniej ze mną porozmawiać! Powiedzieć mi, co myślisz i co czujesz! Powiedzieć mi cokolwiek, do cholery!

Ale on tylko popatrzył na nią, rozgoryczony, jakby namawiała go do zrobienia czegoś podłego. — W porządku, a więc myślę, że nie powinni byli mnie stamtąd wypuszczać. Żałuję, że tam nie zostałem. Przynajmniej teraz szukaliby tego, kto naprawdę ją zabił. Zawiodłem ją, i to podwójnie: nie poszedłem jej na pomoc, no i teraz siedzę tutaj. Chcesz wiedzieć, jak się czuję? Jak jakiś obluźowany element, który pobrzękuje gdzieś w przestrzeni i od czasu do czasu wpada na czyjeś życie i totalnie je rujnuje.

— Gordonie... — Przymknęła oczy.

— Taka jest prawda. I nie chcę jeszcze bardziej zrujnować twojego.
— Nic mi nie zrujnowałeś, Gordonie. Wręcz przeciwnie.
— Albo ta twoja adopcja. I May Loo. Nie powinnaś nawet tu przychodzić. Pomyśl tylko, jak to będzie wyglądało.

— I wcale mnie to nie obchodzi, choć wiem, że powinno, ale tak nie jest. Zrobię wszystko, co trzeba, i jeśli się uda, to świetnie! A jeśli przez ciebie mi nie wyjdzie, dlatego tylko, że jesteś w moim życiu, Gordonie, to trudno. Czasem tak już bywa, prawda? Popatrz. — Sięgnęła po torebkę, otworzyła ją i podała mu kolorowe zdjęcie. — Tak chciałam ci je pokazać. Dopiero co je dostałam.

— Ona się uśmiecha! — zauważył, niemal uradowany.

— No właśnie. Czy nie jest śliczna?

Przytaknął tylko ruchem głowy.

— Nie, powiedz mi. Powiedz, co teraz myślisz, patrząc na to zdjęcie.

— No wiesz... — Popatrzył na nią przerażonym wzrokiem.

— No, mów. Wyduś to z siebie, proszę.

Przysunął zdjęcie bliżej i dokładnie mu się przyjrzał. — Myślę sobie... Myślę, że ta mała ma wielkie szczęście, bo już niedługo będzie cię miała na co dzień do końca życia.

Przez chwilę oboje milczeli, unikając swoich spojrzeń. — Dziękuję — powiedziała wreszcie.

Skinął głową i oddał jej zdjęcie.

— Nie, zatrzymaj je sobie. Mam jeszcze jedno — skłamała.

Po pracy pojechała prosto do jego domu. Na schodach z tyłu domu nie było konewki. *Pewnie ktoś ją ukradł*, pomyślała, przytrzymując wąż jak najniżej. Policzyła do sześćdziesięciu, ale było już za późno. Pierwszy strumień wody zamoczył cały krzew. Następnie spryskała liście mydlaną mieszanką Gordona. Nie powiedział jej, ile tego potrzeba, ale pewnie całą butelkę, skoro miała to robić raz na tydzień. Kiedy już skończyła, wokoło unosiło się pełno mydlanych baniek, ciężkich i okazałych. Połyskiwały na liściach, w zachwaszczonych ogródkach i na ulicy. Wkopanie nawozu w glebę poszło jej szybko, ale niechlujnie. Wstając z ziemi, miała zabłoczone ręce, kolana i stopy i całkiem zniszczyła sobie płócienne sandały. Powinna była najpierw się przebrać. Sekatorem ucięła najbardziej rozkwitłe róże. Spłukała pod węzem piekące, poranione ręce i pozbierała ścięte kwiaty. I co to za przyjemność? — pomyślała, zatraskując bagażnik. Zerknęła na skręcony wąż. Po co go związać i odwieszać na ścianę, skoro

i tak będzie trzeba go zdjąć? Osuszyła chustką ramiona. Zadrapania ciągle piekły, ale to był miły ból.

Następnym razem starała się nie zmoczyć liści, a mimo to były wilgotne. Co za różnica? W deszczu i tak zmokłyby jeszcze bardziej. Zakręciła szybko wodę. Musiała jechać do domu oszlifować szafkę przed nałożeniem drugiej warstwy farby.

— Dzień dobry! — odezwał się za nią czyjś głos.

— O rany! — westchnęła. — Jada, ale mnie wystraszyłaś. — Dziewczyna stała za nią z rękami w kieszeniach. — No i co tam nowego? — zagadnęła Delores, związając zabłocony wąż. — Jak się masz? Dawno cię nie widziałam.

— A ja panią widziałam. Wczoraj też tu pani była. — Oczy Jady błyszczały mocno jak światło odbite w lustrze.

— A tak, obiecałam Gordonowi, że się tym zajmę. Ale to nie dla mnie. Spójrz na moje ręce, co mi się porobiło od tych jego róż. Zupełnie jakby mnie zaatakowały — dodała, śmiejąc się niepewnie.

— A on jeszcze w więzieniu? — zagadnęła Jada, podążając za nią do samochodu.

— Niestety, tak — odparła Delores i wsiadła za kierownicę.

— Myśli pani, że on naprawdę to zrobił? — spytała Jada przez okno.

— A skąd. Oczywiście, że nie.

— Bo nie zrobił — rzuciła dziewczyna, jakby jej nie dosłyszała.

— A wiesz kto?

Jada pokręciła głową.

— To skąd wiesz, że to nie on?

— Tak po prostu. Wiem, i już. Gordon by tego nie zrobił. Co najwyżej by się wkurzył, ale nigdy w życiu nie zrobiłby czegoś podobnego.

— No racja, tak jak tamtego wieczoru, kiedy cię wpuściłam do jego domu. Dlaczego się tak wtedy wkurzył? O co mu chodziło?

W odpowiedzi dziewczyna wruszyła leniwie ramionami i zapytała Delores, dokąd jedzie. Na spotkanie, skłamała Delores. Czuła, że Jada czegoś od niej chce. — No, na mnie już czas. — Zapaliła silnik, ale Jada stanęła jeszcze bliżej okna.

— Pani mieszka na Lowell Street, tak?

— Tak. A dlaczego pytasz?

— Bo pani kiedyś mówiła, że mogłabym tam do pani wpaść. Pamięta pani?

— Aha, rzeczywiście. — A jeśli zjawi się podczas tej wizyty rozpoznawczej?

— No i właśnie tam byłam, chyba gdzieś koło pani domu. Nie wiedziałam tylko, który to numer.

— Jasne, musisz kiedyś do mnie wpaść. Przyjadę po ciebie. — Wrzuciła bieg i powoli ruszyła do przodu. — To do zobaczenia! — Pomachała przez okno, patrząc przed siebie, byleby tylko nie widzieć Jady, która odprowadzała ją wzrokiem. Obejrzała się dopiero na zakręcie: Jada przechodziła przez ulicę. *Czasem trzeba iść przed siebie*, zapewniała ją wewnętrzny głos. *Najpierw musisz pomóc sobie samej. Nie ty za nią odpowiadasz. Świat jest pełen takich dziewczyn. Skoro nikt inny nie staje na głowie, żeby jej pomóc, to dlaczego ty masz to robić?*

Zaparkowała na swoim miejscu i zgasiła silnik, ale nie wysiadała z samochodu. Nie miała chęci ani siły. Dlaczego na tym świecie jest tyle cierpienia? — Dlaczego? Dlaczego? — Jej pięść uderzała głucho o kierownicę. Dlaczego właśnie teraz, kiedy była tak blisko celu, nastały pustka i klęska, jakby już wyrwano jej z ramion to dziecko? Zardzewiałe schody przeciwpożarowe biegły przez cztery piętra, ale kończyły się na pierwszym i w razie pożaru trzeba by zeskoczyć na ulicę. Niezabezpieczone wyjście awaryjne — zanotuje w swoim raporcie urzędnik z ośrodka adopcyjnego. Oprócz jej rozwiązłości i przyjaźni z karanym mordercą były jeszcze noże kuchenne, ukrop w kranie, obluźwane stopnie na schodach, wywracające się ciężarówka, nocne tornada, wściekłe nietoperze na strychu, zbłąkane kule, toksyny w wodzie i w powietrzu i wszystkie inne niewidzialne zagrożenia, płynące z nadmiernej miłości, usilnych starań, braku umiaru i umiejętności wycofania się we właściwym momencie.

Jada otworzyła colę i zapaliła następnego skręta. Teraz przynajmniej nic jej nie dolegało, nawet głód czy strach. Tu, między jednymi a drugimi drzwiami, była bezpieczna, byleby tylko pozostały zamknięte. Jedne z nich prowadziły na ulicę, a drugie w tę ciszę, gdzie pod kołdrą widniał zarys sylwetki, która była dla niej całym życiem. Najpierw zaglądała tam z nadzieją, że to kolejny narkotykowy trans, który zaraz minie, i że matka znowu zacznie się ruszać. Nie licząc wczorajszej dostawy towaru, ostatnie parę dni Jada spędziła w domu, przeważnie śpiąc na kanapie. Za każdym razem, kiedy zbierała się, by pójść do wuja Boba, ogarniało ją znużenie i znowu zapadała w sen.

Wgramoliła się na kanapę. Trzeba będzie w końcu komuś o tym powiedzieć. Delores oddała się tak szybko, jakby już wiedziała i nie chcia-

ła o tym słyszeć. Jedzenia wystarczy jeszcze na kilka dni. Zastanawiała się, ile kosztuje bilet autobusowy na Florydę. Mogła przecież sprzedać resztę koki. Obliczyła, że towar był wart przynajmniej sześćdziesiąt dolarów. Spakowała trochę rzeczy do starej walizki, którą wyrzuciła Inez, ale samo wyjście z domu kosztowało ją teraz więcej sił, niż mogła z siebie dać. Wiedziała jednak, że musi uciec jak najdalej, zanim zjawi się tu opieka społeczna.

Tymczasem ktoś walił do drzwi. Polie. Wczoraj wieczorem omal nie powiedziała mu o matce, ale przestraszyła się, że jeszcze jej coś zrobi, i poszła do miasta dostarczyć dla niego towar, jakby nigdy nic.

Zamiast drzwi otworzyła okno. — Co znowu? — rzuciła, oszołomiona, opierając się o parapet.

— Musisz jechać z nami. Ronnie właśnie dostał telefon. — Wskazał na wóz z włączonym silnikiem.

— Nie da rady.

— Mówił, że da ci dwadzieścia pięć dolców.

— A dokąd mamy jechać?

— Do South Common.

— Mowy nie ma. — Zamknęła okno i zasunęła zasuwę. Ostatnio omal jej tam nie zaarrestowali. Tak niewiele była dla nich warta, że woleli wysłać ją niż innych swoich dostawców. Tymczasem Polie zaczął walić w okno. Tuż za ich wozem zatrzymało się długie, białe auto. Polie wrzeszczał do niej, żeby wyszła, bo czas ich goni. Wtedy po schodach weszła Delores i stanęła za nim. Odwrócił się, a Jada przyłożyła ucho do drzwi.

— Co się tu dzieje? — spytała Delores wysokim tonem.

— A co to panią obchodzi, do cholery?

— Jestem znajomą Jady — orzekła. Na twarzy dziewczyny pojawił się tak szeroki uśmiech, jakby lada chwila miał rozpołować jej twarz. — Zastałam ją w domu?

— Lepiej niech pani stąd spada, jasne?

— Ty chyba żartujesz — zaśmiała się.

— Mam z nią do obgadania ważne sprawy.

— I ja też!

— Zaraz, chyba się nie rozumiemy. Nie mam za wiele czasu, a muszę się z nią widzieć, więc spieprzaj stąd, paniusiu, pókim dobry.

Delores podeszła o krok bliżej i uniosła ręce, jakby przygotowana na wszystko. — Ty mi grozisz? — spytała.

— A skąd. Tylko ostrzegam, do kurwy nędzy — odparł, zbliżając się do niej.

Przyłożyła telefon komórkowy do ucha. — Dziewięćset jedenaście — zawołała, wybierając numer, ale wyrwał go jej, cisnął o podłogę werandy i zbiegł ze schodów.

— Pani Delores! — Jada otworzyła drzwi. Polie wsiadł do wozu i odjechał. Dziewczyna wybiegła na zewnątrz, podniosła roztrzaskany telefon i przyłożyła do ucha, z przerażeniem nasłuchując, czy głos w słuchawce zapyta o powód wezwania i adres.

Kiedy wróciła, Delores stała w drzwiach i usiłowała złapać oddech. — Chyba nie działa. — Jada podała jej telefon, raz po raz zerkając w głąb domu, czy przypadkiem nie otwierają się drzwi od sypialni.

— Pewnie wyczerpała się bateria — wysapała Delores z ręką na pierś. — Słuchaj, a o co właściwie mu chodziło? Czego od ciebie chciał? Co to za ważne sprawy?

— Sama nie wiem. To po prostu palant, i tyle.

— A może chodziło o twoją matkę? Czy ona jest w domu?

Spojrzała na spoconą twarz kobiety: jej bystry wzrok wędrował między zamkniętymi drzwiami. Widocznie Delores, tak jak i ona, też miała ten szósty zmysł i potrafiła wyczuć różne rzeczy, których nie dało się wyrazić słowami. — Chciał, żebym dostarczyła towar, a ja odmówiłam, no i się wściekł.

— Towar? Chodzi ci o narkotyki?

— Taa.

— Słuchaj, Jada, nie jesteś czasem głodna? — spytała wtedy Delores, otulając się ramionami.

— Chyba tak. Zresztą sama nie wiem, nie pamiętam — odparła i wsunęła głębiej do kieszeni figurki pani Jukas.

Jada zdążyła zjeść pół porcji frytek, jeszcze zanim wyjechały z parkingu przy McDonalddie. Delores nie zamówiła nic dla siebie. Mdliło ją w żołądku. Głowa dziewczyny kiwała się to w przód, to w tył, a fałszywie skromny wyraz jej twarzy mąciło szkliste spojrzenie oszalałych z zachwytu oczu. Oprócz tej ekstazy było w niej coś jeszcze — coś, co przepełniało Delores strachem od chwili, kiedy przekroczyła próg jej domu. To coś przylgnęło do niej jak brud do skóry. Nie powinna była tam wracać. A teraz, kiedy już to zrobiła, nie bardzo wiedziała, co powiedzieć ani co począć z tą dziewczyną. — Potrzebujesz jeszcze czegoś, póki jesteśmy poza domem?

Zamiast odpowiedzi Jada mruknęła cicho jak skulona kotka przy jedzeniu.

— Może coś z apteki? — Wskazała przed siebie. — Bo muszę jeszcze kupić szampon.

— Jasne.

Delores już zrobiła zakupy i przechadzała się powoli między półkami, żeby Jada nie odczuła, że ma się pośpieszyć. Mimo to nie mogła się oprzeć wrażeniu, że każda z nich próbuje zabić czas, zachowując przy tym jakieś pozory. Jedna czekała na ruch drugiej. Jada zatrzymała się przy wejściu do sklepu. Delores obserwowała, jak bierze z półki czasopisma, przegląda okładki i odkłada na miejsce.

— Chcesz któreś? — zagadnęła, podchodząc bliżej. W koszyku miała szampon, żółtą, plastikową kaczkę do kąpieli i malowanki i kredki dla May Loo.

— No pewnie — rzuciła Jada, nie ruszając się z miejsca.

— Może to? — Podała jej magazyn *Seventeen*.

Jada otworzyła go, mrużąc oczy, przysunęła sobie pod nos, po czym cofnęła go na długość ręki.

— Proszę. — Delores wzięła z półki parę okularów do czytania. — Załóż je i popatrz na tę stronę.

— Ale czad! — Jada odchyliła głowę. — Zupełnie jak szkło powiększające. Widać nawet jej brwi. I wszystko inne. A niech mnie — zaśmiała się, przewracając strony.

— A teraz spróbuj coś przeczytać. — Delores kazała jej przymierzyć jeszcze trzy inne pary z mocniejszymi szklami.

Czytała jak małe dziecko, akcentując każdą sylabę. — Od naj-młodszych lat Mar-ka Stan-ley no-si... — przerwała i pokazała palcem.

— Haute couture — doczytała Delores. — To po francusku, bardzo modne rzeczy.

— O rany, można w nich czytać nawet po francusku. — Jada rozejrzała się, jakby chciała sprawdzić jeszcze inne możliwości okularów.

Delores poprosiła sprzedawcę, żeby odciął cenę, i Jada od razu założyła je do wyjścia. — Jezu, czemu wszystko jest takie zamazane? — dziwiła się. Potykając się na chodniku, chwyciła Delores za ramię. Ta kazała jej zdjąć okulary, bo służą tylko do czytania. — A do innych rzeczy nie? — spytała, wskazując dookoła ręką.

Kiedy wsiadały do samochodu, Delores wyjaśniła jej, że przy większej odległości potrzebne są inne szkła, które przepisuje lekarz okulista,

i jeśli Jada chce, to umówi ją na wizytę. — Oczywiście, jeśli mama ci pozwoli.

Jada położyła okulary na kolanach i wyrzała przez okno. Delores spytała, czy potrzebuje jeszcze czegoś, zanim odwiezie ją do domu. Poirytowana jej milczeniem, powtórzyła pytanie.

— Nie chcę jechać do domu — rzuciła dziewczyna.

— A dokąd? Tylko musimy się pośpieszyć, bo ja w domu mam jeszcze sporo pracy — odparła, a Jada prychnęła pod nosem. — No, mów — nalegała, przyhamowując — bo jesteśmy już prawie na miejscu. — Delores zerknęła na nią: po twarzy dziewczyny spływał pot i znowu mruknęła coś pod nosem. — Słucham? Co mówiłaś? — pytała, skracając w Clover Street.

— Proszę, tylko nie to. Niech mnie pani nie odwozi do domu. Ja nie mogę tam wrócić. Niech się pani nie zatrzymuje!

Delores przejechała obok kamienicy. — Dlaczego? Co się stało? Niby czemu nie możesz wrócić do domu?

Ale Jada nie odpowiadała. Z początku Delores myślała, że dziewczyna na przełyka łyż, ale ta zaczęła się krztusić. Czy mama się na nią gniewa? Czy z mamą wszystko w porządku? Czy jest w domu? A może znowu wyjechała?

— Ona nie żyje...

Delores słuchała, a Jada opowiedziała jej o koszmarze ostatnich dni, o tym, że nie wiedziała, co robić, i bała się komukolwiek powiedzieć. Chciała nawet uciec, ale nie mogła znieść myśli, że zostawiłaby matkę samą. Bo jeśli nawet znalazłby ją Polie czy Feaster, to i tak nic by nie zrobili, tylko zostawiliby ją tam na pastwę losu.

— Och, Jada, skarbie. — Wyciągnęła rękę, ale dziewczyna odsunęła się. — Tyle się nacierpiałas. Tak bardzo ci współczuję. Naprawdę, uwierz mi. Ale obiecuję, że ci pomogę. Przysięgam, że tak zrobię. Porozmawiam z ludźmi i znajdziemy ci porządny dom, gdzie będziesz mogła...

— Ale ja chcę mieszkać z panią.

— O nie, to wykluczone. To się nie uda.

— Dlaczego? Mogłabym sprzątać, pomagać przy gotowaniu i innych rzeczach. No i mogłabym chodzić do szkoły. Mam już nawet okulary. — Założyła je. Wyglądały tak samo wykrzywione jak jej uśmiech. Otuliła się ramionami, drząc na całym ciele.

— Posłuchaj, skarbie, tego nie mogę zrobić. Ale postaram się znaleźć ci jak najlepszą rodzinę.

— Jasne, i znowu pójdę do czyjegoś domu na parę miesięcy, dopóki mi nie powiedzą: pakuj manatki, bo nic z tego nie będzie. I że nie umiem się przystosować. Albo że moja zastępcza mama jest w ciąży i muszę zwolnić pokój. Albo że mój zastępczy tato skarży się żonie, że się do niego przystawiam, a ja chcę tylko, żeby mnie polubił, do cholery. Słowo daję, że o nic więcej mi nie chodzi — dodała, szcękając zębami. — A pani już mnie polubiła, prawda?

— Tak, kochanie, oczywiście. Ale niedługo przyjeżdża do mnie mała dziewczynka...

— To zaczekam, aż wyjedzie.

— Nie, ona przyjeżdża na stałe. To dziewczynka z Chin. Zostanie moją córką.

— Przecież nawet jej pani nie zna. Ja to co innego. A jeśli jej pani nie polubi?

— Polubię na pewno.

— A jeśli pani się jej nie spodoba? Nie będzie pani mogła oddać jej z powrotem, tak jak mnie.

— Jada, proszę cię.

— Ze mną wszystko poszłoby o wiele łatwiej. To prosta sprawa, wystarczy zadzwonić do kogoś z opieki społecznej. Zwykle załatwiają to od razu, w parę godzin, jeśli sprawa jest pilna i bardzo by pani na mnie zależało...

— Posłuchaj, Jada, nie czas na takie rozmowy. Najpierw musimy załatwić inne sprawy, zając się twoją mamą.

— O nie! Najpierw chcę wiedzieć, co będzie ze mną. Cholera jasna, czy pani nic nie rozumie? Nie mam już nikogo. Wie pani, jakie to uczucie, do cholery?

— Tak się składa, że wiem.

— Nieprawda. Wcale nie. — Wargi Jady zadrżały, jakby próbowała opanować uśmiech. — A ja wiem, kto zabił tę staruszkę.

— Kto?

— Błagam, niech mnie pani do siebie zabierze.

— Powiedz mi, kto to zrobił, Jada — wyjąkała ledwo słowo po słowie z zapartym tchem. — Może to by pomogło Gordonowi... O mój Boże, co za nieszczęsny człowiek. Jeśli tylko coś wiesz... Zrobię wszystko, przysięgam, obiecuję, tylko mi powiedz.

— Mam nawet dowody.

— Jakie dowody?

— Proszę. — Wyjęła dwie małe figurki.

— To Hummel? — Ręce ślizgały się jej na kierownicy. Gordon sam opowiadał jej o kolekcji pani Jukas.

— To z jej domu.

— Kto ci je dał? — spytała i nagle ją olśniło, zupełnie jakby widziała wszystko na własne oczy. — To on, prawda? To ten facet, Polie, co się kręcił koło twoich drzwi. A więc po to przyszedł. To dlatego był taki wściekły. Nic dziwnego, że nie chciałaś wyjść. Pewnie okropnie się bałaś. I twoja mama... To on dał jej prochy, prawda? To wszystko przez nie... Rany boskie, już wiem, dlaczego zabrał mi telefon. Ale koniec z tym, Jada. Od tej chwili wszystko będzie inaczej. Już nie musisz tak dalek żyć wśród tych ludzi, którzy cię oszukują i wykorzystują...

Delores nie przestawała mówić. Jechała powoli i nierówno, to hamując, to znów przyśpieszając. Brała zakręty pod kątem prostym, jak zwykle zresztą, kierując się do centrum, stopniowo i prosto do celu, ale możliwie jak najdyskretniej, byleby tylko nie spłoszyć oszalałej dziewczyny. Cały czas opowiadała jej, jak od tej pory jej życie zmieni się na lepsze. Będzie mogła mieć zwierzaki, przyjaciół i wspianiały dom, tylko musi się bardzo postarać.

Jada wyglądała na rozbawioną. — Serio? Jeśli to takie proste, to здаje się, że będę miała lepsze życie niż inni na tym porąbanym świecie.

— Ten świat wcale nie jest porąbany — powiedziała Delores, zwalnając za zakrętem. — Naprawdę, możesz mi wierzyć...

Auto było jeszcze w ruchu, kiedy Jada otworzyła drzwi i niemal wyskoczyła. Delores nadepnęła na hamulec. Trzy budynki dalej był komisariat policji.

— Nie wierzę ci! — krzyknęła dziewczyna, zabierając z siedzenia figurki Hummel, jedną po drugiej. — Ty pieprzona, tłusta kłamczucho!

Nie przestając mówić, Delores wysiadła i ruszyła w stronę rozwścieczonej dziewczyny. — Niech ci będzie, że tłusta, ale nie kłamczucho. Nie jestem taka jak ci, wśród których żyjesz. Sama dobrze wiesz... Bo ja się nie poddam i nigdy, przenigdy nikogo bym nie odrzuciła.

Jada stała i czekała, obserwując zbliżającą się do niej kobietę.

Śnieg, który spadł zeszłej nocy, nie utrzymał się długo. W południe ulice były szare od brei. Dennis zaparkował przed domem i nie wyłączając silnika, zamknął drzwi. Wcześniej Gordon telefonował zawiadomić go, że to jedyna pora, kiedy Delores ma czas uczyć go jeździć i dlatego może się spóźnić, a jeśli Dennis wolałby odwołać spotkanie, to nie ma sprawy — mogą umówić się na przyszły tydzień. Dennis odparł, że zaczeka. Wyrzał przez okno. Skoro już się zobowiązał, to nie chciał tego zepsuć. Jeśli ze swojej strony zrobi wszystko i poniesie swoją część odpowiedzialności, to może wszystko jakoś się ułożyć.

Na trawniku pani Jukas pojawił się nowy znak z napisem NA SPRZEDAŻ. Poprzednie ktoś wykradł albo poprzewracał. Dzieciaki, podsumował Gordon. Pokryty śniegiem dom wyglądał całkiem nieźle. Może przyjedzie ktoś w nagłej potrzebie i przytknie oko na to, co się tu stało — i na mieszkających w sąsiedztwie ludzi. Właśnie odnawiano kamienicę po drugiej stronie ulicy — dostała nowe okna i elewację. Nigdzie nie było już widać fioletowego navigatora. Tego, który nim jeździł, pięć miesięcy temu oskarżono o zabójstwo pani Jukas, a towarzyszącego mu dilera uznano za jego współnika. Dennis pokręcił głową. Gordon miał szczęście, przynajmniej tym razem, bo następnym może zabraknąć świadków. Sam Kaminsky przyznał, rzecz jasna, w rozmowie prywatnej: zawsze znajdzie się jeden glina, który uzna, że niepotrzebnie zwolniono Gordona warunkowo z pierwszego wyroku.

Na podjazd skręcił wóz Delores, powoli, jakby przedzielony na pół: najpierw pojawiła się maska, a potem długi tył, który raz po raz podnosił się i opadał. Dennis nie bardzo wiedział, co denerwuje go bardziej: ta groteskowo nierówna droga czy Gordon siedzący za kierownicą tego grata. Delores podeszła spieszenie, mówiąc, że ma nadzieję, że nie czekał zbyt długo: niektóre drogi były słabo odśnieżone. Gordon zaczął przepraszać.

Wtedy otworzyły się tylne drzwi i z wozu Delores wygramoliła się wysoka, chuda dziewczyna.

— No i dotarliśmy! — zawołała, chwiejąc się przesadnie na boki. — Wszyscy w jednym kawałku!

— Dennis, to jest Jada Fossum — przedstawiła ją Delores. — Jada, a to doktor Loomis, brat Gordona.

— Już pana widziałam — uśmiechnęła się dziwnie.

— A teraz masz miłą okazję go poznać, prawda? — zauważyła Delores.

Wzdrygając się, ujął jej dłoń. Miała żółto-czarne paznokcie w tygrysie paski, tak jak Delores. — No jasne, racja. Naprawdę miło pana poznać. A jakżeby inaczej — dodała z tym swoim podejrzanym uśmiechem.

Nawet dotyk jej ręki był krepujący. Była dzieckiem pozbawionym dzieciństwa. Za dużo już wiedziała i koniecznie chciała dać o tym do zrozumienia innym, zwłaszcza mężczyznom. — I wzajemnie, Jada. Wiele o tobie słyszałem — dodał, jakby próbował rozwiać wszelkie wątpliwości, sam nie wiedząc, jakie.

— Oby tylko dobre rzeczy. — Ton jej głosu był równie przenikliwy jak jej spojrzenie.

— Oczywiście — uśmiechnął się i popatrzył na Delores. — A jak idzie nauka jazdy?

— W porządku — wtrąciła Jada. — Tylko trochę nam się wlokło, dlatego musiał pan tyle czekać — zaśmiała się.

— Chyba nie było aż tak źle, co? — Gordon zerknął na zegarek.

— W sumie to świetnie mu idzie. — Delores poklepała Gordona po ramieniu.

Dennisowi wydało się to dziwnie odrażające: dwa wielkie cielska, pomysłał, dwa balerony ocierające się o siebie nawzajem.

— Za każdym razem idzie mu coraz lepiej — ciągnęła.

— Ona twierdzi, że jeżdżę zbyt ostrożnie — powiedział, posyłając jej uśmiech.

Dennis wtopił but w ośnieżony krawężnik.

— Właśnie, bo on ciągle wciska hamulec... — Tu dziewczyna prze-rwała, uniosła ręce i zaczęła się kołysać na boki. — O rany, uważajcie! Zazrą w coś rąbniemy!

— Jada. — Delores dotknęła jej ramienia.

— Bo ja jestem jak drugi kierowca, prawda? — rzuciła dziewczyna w stronę Dennisa, próbując go rozbawić.

— Akurat — mruknęła cicho Delores.

Nie zważając na dziewczynę, Dennis spytał Delores, jak tam butik. Słyszał, że miała go kupić, a może nawet już to zrobiła. Gordon zawsze był taki tajemniczy i mówił tak niewiele, że trudno było coś zapamiętać. Interes idzie dobrze, odparła. Wprowadziła kilka nowych fasonów z myślą o młodszych klientkach, tych bardziej trendy. *Jezu*, pomyślał, spoglądając na jej krótką, czerwoną kurtkę z aksamitu, obszytą futrem. A spodnie w czarną kratę ledwo sięgały jej do kostek. Mówiła, że parę dni temu zjrzała do niej Lisa i kupiła matce na urodziny jedwabny sweter.

— Hej, Thurm! — zawołała nagle dziewczyna, pędząc przez ulicę do niezdarne go, powłóczącego nogami wymoczek. Na głowie miał pomarańczową czapkę z włóczki, a na biodrach czarne, workowate portki. Ręce trzymał schowane głęboko w nisko naszytych kieszeniach.

Stanęli na rogu, a dziewczyna trajkotała, wymachując rękami.

— A co to za jeden? — spytała Delores.

— Thurman Dominguez — odparł Gordon i wlepił w chłopaka wzrok. Dennis nigdy nie widział u niego takiej groźnej, chłodnej miny.

— Jada! — zawołała Delores. Zaczekała chwilę, po czym krzyknęła, że zaraz ruszają dalej. Nie zważając na nią, dziewczyna trzęsła się z podniecenia i trajkotała dalej.

— No i co teraz? — mruknęła Delores pod nosem.

— Wsiadaj do auta — powiedział Gordon.

— Nie mogę jej tak zostawić.

— I tak sama zaraz przyjdzie. — Otworzyła drzwi, a wtedy dziewczyna przybiegła i wsiadła obok niej.

Zaprowadzono ich do stolika w głębi sali małej, oświetlonej restauracji. Gdy tylko usiedli, Gordon od razu zaczął przeglądać menu. Dennis spytał, czy aż tak bardzo mu się śpieszy.

— Przepraszam. — Gordon zamknął menu. — Chciałem tylko zobaczyć, co tu mają. Uwielbiam włoską kuchnię.

Chyba aż za bardzo, zaśmiał się na to Dennis.

— No, racja. — Gordon poklepał się po brzuchu. — Trzeba będzie coś z tym zrobić.

Przez chwilę rozmawiali o diecie. Dennis zaproponował, żeby Gordon zapisał się na siłownię. Niedaleko browaru był klub Gold's Gym. — To parę minut pieszo. Mógłbyś chodzić zaraz po pracy na jakąś godzinę, trochę podźwigać, przejść parę kilometrów na bieżni. Albo możesz pójść wcześniej, jeszcze przed pracą. To w sumie najlepsza pora. Ja tam rano nie mogę logicznie myśleć, jeśli nie zrobię paru kilometrów...

I znowu robi tę swoją minę, myślał Dennis. Zachowuje się jak grzeczne dziecko. Mogę tak gadać, aż ochrypnę, a on tylko gapi się na mnie tym beznamiętnym wzrokiem. Ta jego wielka, nieprzejeđnana gęba, zawsze potulna, jakby czegoś się bał. Tylko czego? Że się posprzeczamy i od tego zdrzży powietrze? Bo to kosztowałoby go za dużo energii? Te sobotnie obiady przysparzały więcej kłopotów, niż były tego warte. A do tego robiły się cholernie nudne. Całe szczęście, że dziś pójdzie im szybko. Po południu miała wpaść recepcjonistka przejrzeć nowy system telefoniczny. Miała na Dennisa oko, czuła to od razu. Oczywiście nie tak jak Jilly Cross. Ta była starsza, miała męża i dzieci, z których dwoje było na studiach, a kobieta tego typu nie miała żadnych złudzeń. Nie czuła już rozpaczliwej potrzeby założenia rodziny. Wręcz przeciwnie: mąż się nad nią znęcał, a najstarszy syn miał chyba poważny problem z narkotykami. Z początku okropnie tęsknił za Jilly i w pewnym sensie nadal mu to zostało, chociaż terapeuta twierdził, że najbardziej brakuje mu euforii bycia z kimś, kto tak naprawdę go nie zna, dla kogo starałby się być dobrym człowiekiem — potrzebował powiernicy, kogoś, komu mógłby pomagać bez żadnych trwałych zobowiązań.

— I Lisa też biega — dodał szybko pogodnym tonem, wyrwijając się z rozmyślań. — Codziennie po pięć kilometrów.

— A co tam u niej? — zagadnął Gordon.

— W porządku. Zaangażowała się w pracę z młodzieżą w nowym centrum księdza Hanka i jest bardzo zadowolona, a przy tym strasznie zapracowana.

Gordon zrobił taką minę, jakby chciał coś powiedzieć, ale w tej samej chwili kelnerka przyniosła dania. Jadł potem łapczywie z takim przejęciem, że Dennis nie mógł na niego patrzeć. Wiele jeszcze brakowało jego bratu. *Więcej niż tylko jedzenia. Biedaczysko, nie miał ani chwili spokoju, tylko ciągle ponosił winę za innych. Zawsze był tym gorszym, zostawał w tyle, i tak przez całe życie.* — Słuchaj, Gord, od tamtego wieczoru u mnie w domu, no wiesz, kiedy przyjechała policja, coś mnie cholernie dręczy. Powiedziałem ci wtedy to i owo. Przepraszam, to było nie na miejscu...

Zdziwiony, Gordon podniósł wzrok, przeżuując jedzenie. — A skąd. Wcale nie. Absolutnie. Nic dziwnego, że tak sobie pomyślałeś. — Wzruszył przepaszając ramionami. — Chyba każdy by tak zrobił, nie?

W Dennisie zawrzała złość, że brat znów lekceważąco traktuje jego uczucia i starania. A więc nie da się przebić przez ten jego pancierz. Za nic w świecie. — I ty się z tym godzisz? To jest w porządku?

— Tego nie powiedziałem.

— Nie, ale na to wygląda.

Gordon odsunął talerz. — Słuchaj, po co w ogóle to robimy? — spytał kategorycznie tak cichym głosem, że Dennis musiał pochylić się nad stołem, żeby lepiej go słyszeć. — Jaki to ma sens? Za każdym razem się na mnie wściekasz. Dla ciebie to chyba żadna przyjemność, więc po co robić sobie kłopot?

— Bo jesteś moim bratem! — W gruncie rzeczy to było przecież dziecinnie proste, a jednak, z jakiegoś powodu, najbardziej dla Gordona niezrozumiałe. Przez chwilę siedzieli, patrząc jeden na drugiego. — Jezu Chryste — ciągnął Dennis, kręcąc głową. — Ty naprawdę myślisz, że dla mnie to kłopot spotkać się z tobą raz na tydzień? Dzwonić do ciebie i dowiadywać się, jak żyjesz? Pytać, czy niczego ci nie trzeba? Może i kłopot, ale dla ciebie. — Rzeczywiście, tak właśnie było.

— A skąd, żaden kłopot. Lubię, kiedy się odzywasz — powiedział Gordon i zamilkł na chwilę. — I lubię twoje towarzystwo — dodał tonem tak sztucznym, wyuczonym i przesadnie poważnym, że Dennis poczuł się, jakby ktoś walnął go w serce.

Pierwszy raz odczuł dzielącą ich ogromną przepaść. — Akurat. A ty jakoś nigdy do mnie nie dzwonisz. Nic a nic cię nie obchodzimy, ani ja, ani moje dzieci. Bo ty nie masz żadnych uczuć. Nigdy ich nie miałeś. Jesteś taki już od dziecka. Nigdy nic nie rozumiałeś, i nadal nie rozumiesz. Powiedz, kto ci pozostał na tym świecie, jeśli nie rodzina? Delores? A może ta mała wywłoka, jak jej tam?

— Jada.

— No właśnie. Cholera, po co wozicie ją samochodem? Czy wyście powariowali, żeby zabierać ze sobą kogoś takiego? Przecież to bezna dziejny przypadek, tylko patrzeć, jak wpakuje was w kłopoty! Jezu Chryste, czy ty w ogóle nie myślisz? W porządku, Delores to dziwaczka, ma trochę pstro w głowie, ale ty...

Gordon złapał go za nadgarstek i ścisnął tak mocno, że aż zabolowało. — Zamknij się, Dennis! Chociaż raz siedź cicho i słuchaj.

I brat zaczął mówić, a Dennis przez cały czas uśmiechał się słabo, bo tylko na tyle było go stać: głowa do góry i uśmiech, byleby tylko jakoś przetrwać te trudne chwile, ten smutek i wstyd, i tę bezsilność.

— Delores do tego nie mieszaj. To dobra kobieta. Zasługuje na więcej niż ja, Jada Fossum i wszyscy ci, którym próbuje pomagać. Sęk w tym, że Delores nie zdaje sobie z tego sprawy. Myśli, że jej się poszczęściło, bo tacy ludzie jak my jej potrzebują. I że na tym właśnie polega życie. Jest

święcie przekonana, że ludzie mogą się zmienić na lepsze, że nawet ja i ta mała Jada możemy być tacy jak inni. Wyobrażasz to sobie? Ona naprawdę w to wierzy — dodał, śmiejąc się żałośnie.

— I ja też, Gordo — powiedział łamiącym się głosem. Postukał parę razy w stół i mówił dalej: — To właśnie próbuję zrobić: dać ci poważną szansę.

Gordon spuścił wzrok, a po chwili podniósł głowę i z trudem spojrzął Dennisowi prosto w oczy. — W takim razie musisz mi zaufać. Proszę cię.

Dzień był chłodny i wietrzny. Po długiej, śnieżnej zimie nadeszła wiosna. Mały, kamienny budynek, który minęli po drodze, nie mógł być niczym domem, pomyślał na widok szerokich, podwójnych drzwi w tylnej ścianie. Była tam przechowalnia, gdzie trzymano trumny, gdy nie dało się kopać w zmarłej ziemi. Ich kroki po białych, tłuczonych kamieniach wydawały się jedynym odgłosem na ziemi, kiedy schodził za Delores ze wzgórza. Doskonale wie, gdzie to jest, twierdziła, ściskając owiniętą w złoty papier donicę z czerwonymi i żółtymi tulipanami. O tam, zawołała. Podbródek miała przyprószony pomarańczowym pyłkiem.

Jej grób znajdował się na niższym zboczach, w cieniu wysokiego drzewa, które właśnie zaczęło wypuszczać liście. Pod napisem Janine Walters były dwie daty, a pod imieniem dziecka tylko jedna. Nagrobek z szlifowanego szarego granitu okazał się mniejszy niż w jego wyobraźni. Był skromny, podobnie jak sąsiednie groby, bez żadnej wzmianki o okrucieństwie. Nie miał figurki ani wygrawerowanych słów ubolewania nad wyrządzoną krzywdą. *Na pewno jest tu coś jeszcze*, myślał, rozglądając się dookoła, *coś więcej niż tylko to*. Ale co? I dlaczego tak bardzo go to dręczyło? Co za okropne zuchwalstwo kazało mu uznać, że ma do niej jakiegokolwiek prawo? Tu uczczono pamięć zmarłej. Chociaż w ten sposób mogła połączyć się z innymi — pomyślał, ale zamiast ulgi czy pociechy zawładnęła nim przykra, upokarzająca skrucha.

Raz po raz odwracał głowę, bojąc się, że na wzgórzu zjawi się ktoś z jej krewnych i dozna szoku na jego widok. To Delores wpadła na pomysł, żeby tu przyjść. Postawiła donicę przy nagrobku, uklękła i przeżegnała się. Ale on nie mógł klęknąć ani się pomodlić. Wiatr rozwiewał mu kurtkę, brutalnie nią trzepocąc. Zrobiło mu się wstyd, że znowu zakłóca jej samotność.

Musisz to zrobić. Tak będzie dla ciebie najlepiej, namawiała go Delores. Ale myliła się. On tu nie pasował. Zmarli nie mogą przebaczać, a żywi nie mają prawa.

— Gordonie? — rzuciła Delores, odwracając głowę.

Dla jej spokoju pochylił głowę i czekał, dopóki nie wstała z klęczek.

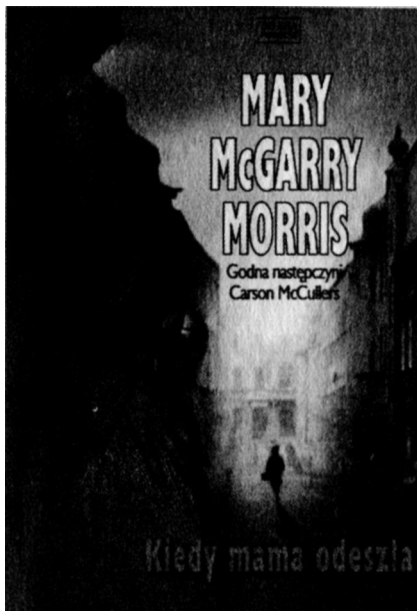
— Co za piękne miejsce — zauważyła, kiedy potem przejeżdżali przez ozdobną, żelazną bramę. — I ten jej grób. Tam, na wzgórzu, jest tak spokojnie. Nie tak jak gdzie indziej. Dajmy na to, moje wujostwo leży tuż przy autostradzie. Niby odgradzeni płotem, rzecz jasna, ale i tak słysząc straszny ruch. Wiesz, trochę to zabawne, bo mój wuj... och, może nie powinnam ci tego opowiadać, bo pomyślisz, że to dziedziczne. Mój wuj był złodziejem samochodów, to znaczy, nie takim zwyczajnym, przeciętnym, ale raczej kimś w rodzaju eksperta. Właściciele aut wynajmowali go, żeby im je kraść, a potem spychał do rzeki albo podpalał, nieważne zresztą, no i potem płacili mu z ubezpieczenia. A moja kochana ciocia Hazel do końca życia mówiła wszystkim, że wuj był doradcą do spraw bezpieczeństwa. I, jakby się dobrze zastanowić, to w pewnym sensie tak było. Pamiętam, jak kiedyś mój ojciec pożyczył mu swoje auto, żeby pojechał gdzieś z dziećmi. Ojciec był cały w nerwach, dopóki nie zobaczył znowu auta. A wuj Fred na to: na Boga, Lou, myślałeś, że stratuję ci tę brykę? Przecież nie jesteś moim klientem! — zawyła ze śmiechu. Wciąż miała przybrudzony podbródek, a jej włosy były potargane od wiatru.

Odchylił głowę i przymknął oczy, zanurzając się w jej bliskości. *Tak jest najlepiej, kiedy czeka go długa droga. Nawet jeśli nie widać pozostających w tyle drzew, sztyldów czy miast, to słysząc je w jej głosie. Jej niezachwiana wizja świata, w którym egoizm jest najgorszym grzechem, bawi go, a zarazem wzrusza. Nie do wiary, ile ta kobieta potrafi mówić, tak bezprzerwy, niekiedy nawet nie zaczerpując oddechu, jakby pogrążona w tej swojej nieokiełznanej przestrzeni tak głęboko, że musi dać mu wszystko, wypełnić każdą lukę swoją energią, obdarować tego, który nie ma nic, jakąś przeszłością, ludźmi, których nie poznał, miejscami, w których nigdy nie był, i tak dalej, bez końca, zupełnie jak Jada, kiedy odbija drewnianą raketką tę swoją piłkę na sznurku, pięćdziesiąt razy, pięćdziesiąt jeden, pięćdziesiąt dwa, czasami nawet aż do stu, sto jeden, sto dwa, coraz szybciej, byleby tylko nie przestawać — bo tak trzeba. To przecież dziecinnie proste, tłumaczy im Delores.*

NAKLADEM **C&T**

**DOBRA
POWIEŚĆ**

Mary McGarry Morris KIEDY MAMA ODESZŁA



„Podobno te ciężkie czasy nadeszły z Nowego Jorku, gdzie nastąpił krach na giełdzie. Ale Thomas miał wrażenie, że tak naprawdę wszystko zaczęło się później, tego mroźnego ranka, kiedy matka zostawiła ich u swojej siostry w miasteczku, wystroiła się i pojechała autobusem z Vermont do Massachusetts, żeby znaleźć pracę w jednej z tamtejszych wielkich fabryk. Niedługo wróci — tak początkowo ojciec mawiał najczęściej.

Wszyscy zgodnie twierdzili, że Irene Jalley była najładniejszą dziewczyną w miasteczku. Jej zauroczenie małym Henrym Talcottem zaskoczyło wielu. Irene doskwierała samotność na małej farmie. Chciała przechadzać się po chodnikach, po brukowanych ulicach... Ale zakochała się w Henrym, który odwzajemniał jej miłość tak bardzo, że czasami nie był w stanie pozbierać własnych myśli, a co dopiero zrozumieć jej kapryśne nastroje. Po kilku miesiącach pobrali się. Urodził się Thomas. Margaret przyszła na świat prawie cztery lata później...”